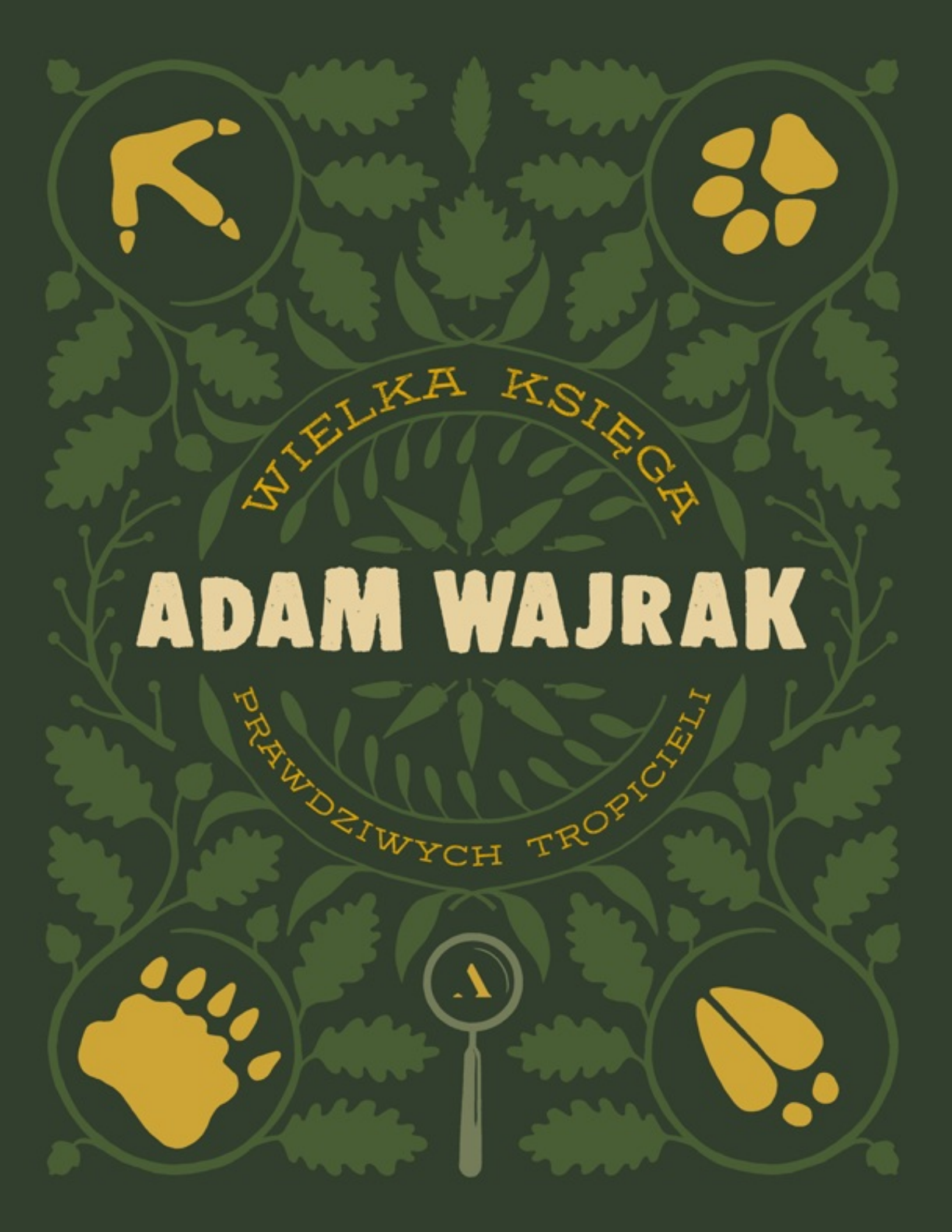




WIELKA KSIĘGA

ADAM WAJRAK

PRAWDZIWYCH TROPICIELI

WIELKA KSIĘGA

ADAM WAJRAK

PRAWDZIWYCH TROPICIELI



Redakcja: Karolina Oponowicz

Projekt graficzny okładki, skład i łamanie: Ula Pągowska

Fotografie (odwołania do numerów stron dotyczą wydania papierowego książki): Adam Wajrak oraz

Agencja Gazeta: Agnieszka Sadowska s. 26, 62, 441, Michał Mutor s. 86, Marek Podmokły s. 100, 136, 139, 276-277, Łukasz Zandecki s. 114, 205, 256, Łukasz Cynalewski s. 115, Iwona Burdzanowska s. 156, Damian Kramski s. 217, Małgorzata Kujańska s. 243, Adam Golec s. 287, 288, Cezary Aszkietowicz s. 326, Marzena Hmielewicz s. 335, Jakub Porzycki s. 347, Tomasz Stańczak s. 348, Kuba Atys s. 354, 470, Filip Klimaszewski s. 442, Renata Dąbrowska s. 459, 464, Wojciech Surdziel s. 471

BEW s. 59, 83, 230, 255, 336, 384, 435, 482

Waldemar Gorlewski s. 201, 226, 311, 472, zdjęcie autora na tylnej okładce

Wikimedia Commons: s. 159 (ilustracja z „Życia zwierząt” Alfreda Brehma), 229 (autor Adam Opióła).

Wybór zdjęć i fotoedycja: Waldemar Gorlewski

Korekta: Marta Śliwińska

Przygotowanie zdjęć do druku: Małgorzata Charewicz



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Dyrektor wydawniczy: Małgorzata Skowrońska

Redaktor naczelny: Paweł Goźliński

Koordynacja projektu: Katarzyna Kubicka

© copyright by Adam Wajrak, 2018

© copyright by AGORA SA, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2018

ISBN: 978-83-268-2149-3 (epub), 978-83-268-2150-9 (mobi)



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej





Wstęp

WIOSNA

Rozlewiska Biebrzy i Narwi

Rzeczki i kanały wschodniej Polski

Podmokłe łąki

Puszcza Białowieska

Bajorka i stawy wszelkie

Od Tatr po Bieszczady

Wiosna w mieście

LATO

Tatry

Bieszczady

Okolice Lublina

Na północ od Olsztyna

Puszcza Białowieska nocą

Nadmorskie plaże

Lato w mieście

JESIEN

Łąki i wrzosowiska

Tatry

Bieszczady

Puszcza Białowieska

Zachodnia Polska

Jesień w mieście

ZIMA

Łąki i pola

Puszcza Białowieska

Bieszczady, Beskid Niski i Pogórze Przemyskie

Gdzie okiem nie sięgniesz

Jeziora, rzeki i sadzawki

Morze Bałtyckie

Zima w mieście

Podziękowania



Tropy niedźwiedzia i wilka, naszych dwóch największych drapieżników



Drodzy Tropiciiele, drodzy przyjaciele,

Kultowe „Przewodniki prawdziwych tropicieli” wydane w czterech tomach: „Lato”, „Jesień”, „Zima” i „Wiosna”, mają już swoje lata. Dostaliście je do rąk na przełomie 2011 i 2012 roku, czyli prawie siedem lat temu. Siedem lat to na pierwszy rzut oka niewiele, ale w obecnych czasach to cała epoka. Nie wierzycie? Sam w to początkowo nie wierzyłem, ale kiedy czytałem niedawno po kolei cztery tomy „Przewodnika”, docierało do mnie, jak wiele się zmieniło. W przyrodzie też. Głównie w związku ze zmianami klimatu i tym, jak bardzo się on, niestety, za sprawą człowieka ociepla. To zła wiadomość dla nas i dla przyrody – nawet jeśli w Polsce skutki tego na razie nie wydają się katastrofalne. Bo przecież niczym strasznym nie jest pojawienie się u nas kolorowego pająka tygryka paskowanego czy ekspansja na północ kraju modliszki, znanej dotąd tylko na południu. Gorzej, że niektóre gatunki wymierają. Na przykład czajki. Gdy pisałem Wam o nich w 2012 roku, jeszcze raz na jakiś czas jakaś samotna para czajek próbowała wychowywać młode w okolicach mojego domu. Dziś się to nie zdarza wcale. Podobnie jest w całym kraju. Czajki i inne ptaki siewkowate, niestety, znikają na naszych oczach.

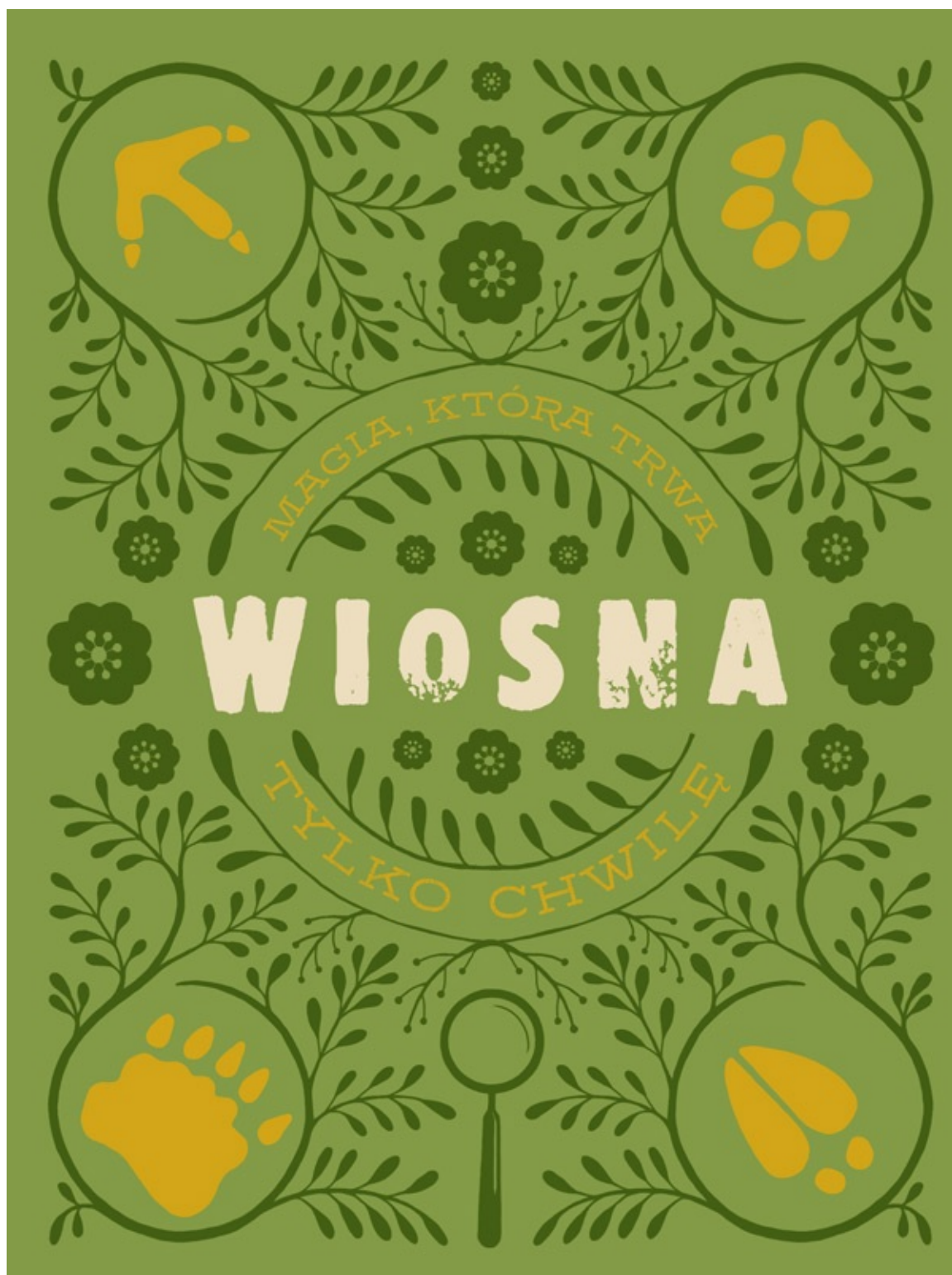
Za to technologia poszła do przodu i nadal się rozwija. Przecież dzisiaj waszym nieodłącznym towarzyszem jest smartfon, który jeszcze siedem lat temu nie był powszechny. W związku z tym musiałem nieco zmodyfikować fragment, w którym piszę o robieniu zdjęć przez lunetę.

U mnie też trochę się zmieniło. Kupiłem sobie kanadyjkę, czyli optymalną łódkę na małe leśne rzeczki, i pomykam nią od czasu do czasu. O tym, jak się

nią pływa, mogłem Wam wreszcie napisać na podstawie własnych doświadczeń.

Ponieważ wszystkie pory roku w nowym wydaniu są złożone w jednym tomie, a do tego dochodzą jeszcze liczne zdjęcia, głównie mojego autorstwa, to do rąk dostajecie naprawdę wielką księgę. I dlatego właśnie nazwaliśmy ją już nie „Przewodnikiem”, ale „Wielką księgą prawdziwych tropicieli”. Zresztą nie tylko dlatego, bo mam nadzieję, że pomoże Wam ona przeżywać naprawdę Wielkie Tropicielskie Przygody. Do zobaczenia w Puszczy albo gdzieś na szlaku.

Adam Wajrak



Nie znajdziecie drugiej pory roku tak różnorodnej jak wiosna. To dobry czas, by tropić ptaki, ssaki i płazy. Wiosna to szalenie smakowita pora dla prawdziwych tropicieli.

Kiedy tak naprawdę zaczyna się wiosna? Trudno powiedzieć. Dla mnie już w marcu, gdy przed domem pojawiają się czajki albo gdy na zamrożoną jeszcze rzekę wychodzą spragnione słońca bobry. Właśnie tak, bo wczesna wiosna przypomina zimę – potrafi zmrozić, że hej. A gdy już pojawiają się pierwsze oznaki zieloności, to zaraz giną pod śniegiem, który może się pojawić w każdej chwili. Dzień staje się coraz dłuższy, a w lesie słychać coraz większy gwar. Zresztą nie tylko w lesie.

Nie ma bardziej rozkrzyczanego i rozśpiewanego miejsca niż wiosenna łąka czy bajoro, bo wiosna to czas szalonej miłości. Kwitną kwiaty, żaby i ropuchy kotłują się w miłosnym uścisku, ptaki śpiewają i prześcigają się w powietrznych ewolucjach, by zdobyć partnera. Hormony buzują u zwierzaków jak szalone.

Wiosna to też rodzicielstwo. Większość maluchów przychodzi na świat wiosną. Wilki, jelenie, a także łosie. O ptakach nie wspominam, bo to oczywiste – wszystkie właśnie wiosną budują swoje gniazda i składają jaja. Większość z nich wraz z końcem wiosny ma już karmienie i wychowanie młodych za sobą. Na lato z wypuszczeniem dzieci z domu czekają tylko te naprawdę duże, jak bociany czy późno przylatujące orliki. Kiedy więc kończy się wiosna? Nawet i pod koniec czerwca, gdy z dziupli wylatują młode rozwrzeszczanych dzięciołów trójpalczastych i sóweczek. A może jeszcze później, gdy z wierzb wylatują młode dudki. Te ptaki ze śmiesznym czubkiem opuszczają dom w pierwszej połowie lipca. Wiosna przyrodnicza i tropicielska trwa naprawdę długo i każdego dnia potrafi być inna. Bądźcie uważni, bo wiosenne cuda mogą trwać tylko chwilę. Również dlatego, że wiele z nich, szczególnie tych związanych z terenami podmokłymi, zostało zniszczonych i dziś ich marne resztki znikają na naszych oczach. Nie ma więc co czekać! Ruszajcie na poszukiwanie wiosennej magii w przyrodzie!



Burzowe niebo i żółć mniszków, inaczej mleczy, to oznaka pełni wiosny na łąkach przed naszym domem



Co wy na to, by wybrać się do Amazonii? Nie namawiam was jednak na wyprawę do krainy Indian, węży anakond i krwiożerczych piranii. Wybierzemy się do naszej polskiej Amazonii, czyli nad Biebrzę i Narew. Co prawda nie ma tu dżungli, ale jest wiele powodów, by – bez wielkiej przesady – tę okolicę tak właśnie nazywać.

Nie byłoby legendarnej dżungli, gdyby Amazonia płynęła równym, uregulowanym kanałem. Całe tamtejsze przyrodnicze bogactwo zależy od dzikich i nieujarzmionych rzek. Tak samo jak nad Biebrzą i Narwią. W niektórych miejscach nieuregulowana Narew płynie wieloma korytami, Biebrza kręci niczym szalona serpentyna, a w jej dolinie roi się od starorzeczy. Te rzeczne meandry tętnią życiem, szczególnie wiosną.

Myślę, że doskonale wiecie, jak wyglądają łosie. Widzieliście ich pewnie setki na filmach przyrodniczych albo w książkach. Ale i tak pierwsze spotkanie z tym zwierzęciem oko w oko was zaskoczy. – Co tu robi ten dziwny koń? – zapytał dawno temu mój przyjaciel Romek Wolański, gdy wędrowaliśmy przez Puszcę Kampinoską. Popatrzyłem i zobaczyłem zwierzę, które od konia było nieco wyższe, na pewno szczuplejsze i miało krótki ogonek. Pysk też miało dziwny – z bródką i sterczącymi, trochę dużymi uszami. No i do tego ten dziwny koń był lekko garbaty. Chwilę mi zajęło, zanim zrozumiałem, że przed nami stoi łось. Byliśmy zachwyceni, bo od dawna szukaliśmy z Romkiem łosi, i to bez skutku.

BARDZO NIETYPOWY WIERZCHOWIEC

Łось to największy w Polsce przedstawiciel jeleniowatych i drugie

co do wielkości żyjące u nas zwierzę. Potrafi ważyć nawet pół tony i wielkością ustępuje tylko żubrowi. No i oczywiście z koniem nie ma nic wspólnego. Choć nie do końca. Podobno w wiekach średnich łosie czasem zastępowały konie. Używali ich rabusie, rycerze bez ziemi i honoru, dezertrzy i włóczyki, bo na łosiach można było poruszać się po bagnistej i zarośniętej okolicy, a wtedy większość terenów w Europie tak właśnie wyglądała.

Ucieczka przed pościgiem konnych stróżów prawa była pestką, bo parametry łosia jako pojazdu terenowego są po prostu znakomite. Łosie bardzo dobrze pływają – podobno mogą bez trudu przepłynąć dystans kilkunastu kilometrów i nurkować na głębokość nawet do pięciu metrów. Dzięki szerokim racicom bez trudu przemieszczają się po bagnach. Jeżeli dodamy, że w kłusie łos może osiągać prędkość około 30 kilometrów na godzinę, a w chwili zagrożenia na krótkich dystansach nawet 60 kilometrów na godzinę, to staje się jasne, dlaczego średniowieczni rabusie chętnie korzystali z tego trochę nietypowego wierzchowca.

Jeździecka historia łosia skończyła się jednak szybko, bo średniowieczne służby odpowiadające za bezpieczeństwo szybko się zorientowały, kto używa „pojazdu typu łos”, i za samo jego posiadanie lądowało się w lochu albo – co gorsza – traciło głowę. Na początku XVIII wieku z łosiami eksperymentowała jeszcze szwedzka kawaleria, ale krótko, bo zwierzęta bały się huku armat i muszkietów. Trudno mi powiedzieć, czy to wszystko prawda, ale wciąż są śmiałkowie, którzy próbują na łosiach jeździć, i niektórym się to nawet udaje, więc może coś w tym jest. Wreszcie – skoro można jeździć na reniferach, dlaczego nie można na łosiach?

BIEBRZA, KRÓLESTWO MATYLD

Mojego pierwszego łosia zobaczyłem, jak już wiecie, w Kampinoskim Parku Narodowym, który nawet ma to zwierzę w swym herbie. Ale tym, którzy nigdy w życiu nie tropili łosi, polecam Biebrzę. Tutejsze bagna i rozlewiska są ich prawdziwym matecznikiem i ostoją.

Dlaczego akurat Biebrza? To długa historia. Zaczęła się dziesięć tysięcy lat temu, gdy lodowiec wycofał się z terenu zajmowanego dziś przez nasz kraj. Renifery i łosie były pierwszymi zwierzętami jeleniowatymi, jakie pojawiły się w polodowcowej scenerii. Klimat jeszcze przez długi czas był zbyt ostry dla jeleni, nie mówiąc już o sarnach. Potem, gdy zrobiło się cieplej, renifery udały się na północ, a łosie zostały. Niestety, nie wiedziały, w co się pakują. Z czasem ludzie udoskonalili techniki polowania i wybili większość z nich. W XIX wieku można było je znaleźć już tylko na wschodzie i północy Europy. Łosie są łatwym celem dla myśliwych. Często nawet nie uciekają przed ludźmi, tylko stoją i z ciekawością się im przypatrują. Około 1830 roku na terenie Królestwa Polskiego istniała już tylko jedna ostoja, w okolicach Rajgrodu w dolinie Biebrzy. Było to najprawdopodobniej Czerwone Bagno, które w 1925 roku zamieniono w rezerwat łosi. Od 1993 roku jest częścią

Biebrzańskiego Parku Narodowego.

Biebrzańskie łosie przetrwały wszystkie zawieruchy. Co ciekawe, badania naukowców z Uniwersytetu w Białymstoku pokazują, że tutejsze łosie różnią się genetycznie od pozostałych zamieszkujących Polskę. Oznacza to, że są raczej domatorami i niechętnie wybierają się w dalekie podróże. Cóż się dziwić, nie muszą, bo na tych bagnach mają wszystko, czego im trzeba, a dzięki temu, że są w parku chronione, nie boją się ludzi. Są nawet takie, które zupełnie nie zwracają uwagi na gapiów! Popatrzą, posilą się pędami albo położą się w zaroślach, zupełnie nie przejmując się naszą obecnością. Taka była Matyllda, słynna biebrzańska kłępa, czyli samica łosia. Dziś takich Matyld możecie spotkać przynajmniej kilka. Co ciekawe, wielu ludzi myśli, że wciąż to jest jedna i ta sama Matyllda.



Łosie uwielbiają kaczeńce, choć dla ludzi są one trujące

Łopaty łosia

Pierwsze poroże zaczyna łosiom wyrastać już po jakichś 9 miesiącach, ale kształtuje się ono przez wiele lat. Te najbardziej okazałe mają co najmniej 10 lat. Myśliwi nazywają je łopatami, bo płaszczyzny poroża zlewają się ze sobą i przypominają łopaty albo otwartą dłoń. Łopatacze wyglądają pięknie i niezwykle majestatycznie. Kiedyś łopatacze były niezwykle rzadko spotykane w Polsce. Ponad 10 lat zakazu polowań na łosie sprawiło, że widać ich coraz więcej. Nie wszystkie łosie mają jednak takie poroża. Wiele byków nie ma łopat i wtedy myśliwi nazywają je badylarzami, bo rzeczywiście ich poroże przypomina badyle. Łosie zrzucają poroże późną jesienią. Od nowa zaczyna im rosnąć wiosną.



CZY ŁOŚ MOŻE ZJEŚĆ CAŁY LAS?

Oczywiście najlepiej wybrać się na łosie o świcie albo bliżej zachodu słońca. W dolinie Biebrzy można je obserwować ze skarp i specjalnych wież obserwacyjnych. Słowo daję, że już po kilku minutach wypatrywania można zobaczyć grupki łosi, które przechadzają się w wysokich trawach bagiennych. Wystają tylko ich łby i grzbiety, wyglądają więc, jakby płynęły. W zimowej części tej książki piszę o łosiach w lasach sosnowych, bo kora drzew i ich czubki, szczególnie tych młodych, to ulubiony zimowy pokarm tych zwierzków. Potrafią nawet złamać drzewko, by dostać się do tego przysmaku. Czy to oznacza, że łosie mogą zniszczyć las? Prawdziwego lasu, który rządzi się naturalnymi prawami – nie. Łosie i drzewa współistnieją przecież na naszej planecie od bardzo dawna i jak dotąd nic złego się nie działo. Co innego uprawy i monokultury stworzone przez człowieka. Gdy na jednym obszarze jest masa małych drzewek i wszystkie są w zasięgu pyska, to dla łosia tak samo, jakby nas ktoś wpuścił do magazynu czekolady. Ja jestem takim łasuchem, że nadgryzłbym każdą tabliczkę. Łosie też mają podobnie i dlatego szkółki leśne muszą być grodzone, i to wysokim płotem.

UCZTA WŚRÓD KACZEŃCÓW

Wiosną nie szukajcie łosi w lesie. Będą tam wpadać rzadziej i rzadziej. Ruszają teraz na bagna, gdzie z każdym dniem pojawia się więcej soczystej zieloności. I nie tylko zieloności, lecz także cudownej żółtości. Tak intensywnej jak żadna inna. Łosie uwielbiają kaczeńcowe łąki. Na przełomie kwietnia i maja takich podmokłych łąk jest cała masa. Biją w oczy soczystymi kolorami i jeżeli chcecie wpaść na łosie, to tam macie na to największą szansę.

Gdzieś wyczytałem, że kaczeńce zawierają substancje toksyczne dla ludzi.

Łosie nic sobie z tego nie robią i sami zobaczycie, że ledwo mogą się od nich oderwać. Jedzą i jedzą. Łoś wśród kaczeńców to widok, który zapiera dech w piersiach. Mam takie zdjęcie, a właściwie portret łosia, który na chwilę oderwał się od jedzenia. Wygląda przekomicznie, bo kwiatek kaczeńca zwisa mu z pyska.

Takie przyzwyczajone do ludzi łosie to idealny cel dla fotografów, ale nie zbliżajcie się do nich z aparatem za bardzo, a już szczególnie uważajcie wiosną. Jak na przedstawiciela jeleniowatych łoś jest bardzo odważny i nie tylko potrafi szybko uciekać, lecz także całkiem nieźle się bronić – jeśli poczuje się zagrożony. Nawet wilki dają mu spokój. Łosie rzadko stają się obiektem wilczych polowań, nawet w puszczach w północno-wschodniej Polsce, gdzie łosi jest najwięcej, a i wilków niemało. Wystarczy, że pogrożą wilczej sforcie swoim imponującym porożem. A gdy to nie zadziała, to pryskają do wody, gdzie wilki już im zupełnie nie zagrażają.

Wiosną należy trzymać się na bezpieczną odległość od łosi jeszcze z jednego powodu. W maju, czasem w czerwcu, po 38-tygodniowej ciąży na świat przychodzą młode. Najczęściej kłępa rodzi jedno, a bardzo rzadko trzy maluchy, które szybko stają na nogi. Zanim jednak to zrobią, są bezbronne i ich matka może być agresywna, gdy zbliżycie się za bardzo. – Kłępa staje dęba i atakuje przednimi nogami, jakby boksowała, albo spada z góry na przeciwnika – opowiadał mi Piotr Dombrowski, leśniczy w Biebrzańskim Parku Narodowym, który został raz postraszony przez zaniepokojoną łosią mamę. Na szczęście nie dostał racią, bo kłępa uderzyła kilka metrów od niego. – Taki cios ma ogromną siłę. Kiedyś znalazłem wilka z roztrzaskanym kręgosłupem – wspominał Piotr.

Dlatego gdy zobaczycie małego łosia, natychmiast się wycofajcie. Spokojnie, bez paniki, ale zdecydowanie w przeciwnym kierunku. Nie tylko z powodu agresywnej matki, ale dla jego dobra. Młode łosie, szczególnie te bardzo małe, instynktownie będą podążać za nogą. Oczywiście w naturze chodzi o nogę łosiowej mamy, ale jak w zasięgu ich wzroku pojawi się noga ludzka, to mogą się pomylić. A to z całą pewnością nie spodoba się kłępie. Gdy zaś nie ma jej w pobliżu, to młody łoś może się zgubić i nie będzie mógł trafić z powrotem do matki. Dlatego nie podchodźcie do łoszaków, choćby nie wiem jak rozkosznie wyglądały.



W mroźne wiosenne poranki z gardeł żurawi wydobywa się nie tylko klangor, ale również para

Test łosia

Zderzenie samochodu z łosiem należy do niezwykle niebezpiecznych zdarzeń. Wielki, ciężki łось stoi przecież na wysokich nogach. Uderzenie samochodu podcina mu nogi i powoduje, że zwierzę wpada przez przednią szybę do środka auta. Dlatego po terenach, na których żyją łosie, należy jechać wolno i ostrożnie. Łoś może wyjść na drogę zupełnie nieoczekiwanie, a że jest słabo widoczny, to zwykle kierowcy zauważają go w ostatniej chwili. W Szwecji, gdzie łosi jest cała masa, wymyślono test łosia polegający na gwałtownym skręcaniu i wymijaniu przeszkód bez hamowania. Chodzi o to, że gdy łoś znajdzie się już przed samochodem, to może nie być na to hamowanie czasu. Takim testom poddawane są wszystkie wprowadzane na rynek samochody.



ZNIKAJĄCE ARENY BATALIONÓW

Ja tu ciągle o łosiach, a przecież Biebrza wiosną to jest też ptasi raj. Możecie zobaczyć tu klucze gęsi zbożowych i białoczelnych, które lecą w kierunku rodzinnej Syberii. Możecie obserwować gęgawy – część z nich zostanie w Polsce i założy tu gniazda, a reszta polecą dalej. Zobaczycie tu łabędzie krzykliwe o żółtych dziobach. Do tego żurawie, których klangor, czyli krzyk przypominający odgłos potężnych trąb, robi wrażenie na każdym. Oj, będzie się działo!

Wędrówki gęsi, łabędzi i żurawi trwają przez cały marzec, aż do kwietnia. Co nie oznacza, że po przelocie gęsi robi się cicho. Wtedy przypada szczyt przelotów batalionów. A tych nad Biebrzą jest mnóstwo!

Gdy byłem małym chłopcem, babcia Zosia opowiadała mi o pewnym angielskim lordzie, który wyznaczył olbrzymią nagrodę dla tego, kto przyniesie mu ustrzelone dwa takie same samce batalionów. W okresie godów samce stają się prawdziwymi strojnisiemi. Na głowie wyrasta im pióropusz składający się z dwóch czubów – niektórym przypomina to fryzurę XVI-wiecznego eleganta. Dodatkowo wokół szyi mają kryzę z piór, która wygląda jak kołnierze na portretach malowanych przez XVI- i XVII-wiecznych mistrzów. Sprostanie wyzwaniu rzuconemu przez angielskiego arystokratę było niemożliwe, bo podobno ubarwienie samców z kryzami i pióropuszcami nigdy nie jest takie samo. Jak już byłem dorosły, próbowałem ustalić, czy to prawda z tą nagrodą, ale nie trafiłem ani na żadne źródło, które by o tym mówiło, ani nie potwierdził tego żaden z moich znajomych zajmujących się ptakami.

Na przełomie kwietnia i maja nad rozlewiskami toczy się prawdziwy ptasi spektakl. Tysiące batalionów rusza do walki o serce ukochanej. Samce w szacie godowej – tak nazywa się ich upierzenie w okresie miłości, czyli toków – bardzo się od siebie różnią. Niektóre mają jasne ozdoby, inne – ciemne. W czasie godów, które polegają na tańcach, walkach i utarczkach pełnych stroszenia piór, ciemne samce zajmują centrum aren, czyli małych terytoriów, których zazdrośnie strzegą. Natomiast jasne biegają po obrzeżach aren i między nimi. Z tego powodu nazywa się je często samcami satelitarnymi. Są też takie, które wyglądają zupełnie tak samo jak niepozorne samiczki. Nie zwracają one niczyjej uwagi i po cichutku – bez stroszenia piór i biegania – szukają partnerki. Jak myślicie, kogo wybierają samice? No więc nie zgadliście! Samice wybierają bardzo różnie, bo pisklęta, które wyklują się z jajek, pochodzą od różnych ojców – często od dwóch, ale zdarza się, że i od czterech.

Toki batalionów są niesłychanie pięknym widowiskiem. Niestety, być może jesteście jednym z ostatnich pokoleń, które na nie patrzą. Z tego,

co słyszę, z roku na rok jest tych ptaków coraz mniej. To samo wcześniej stało się z ich lęgami. Kiedyś nad Biebrzą bataliony zakładały gniazda i wychowywały pisklęta, dziś już tego nie robią. Prawdopodobnie nie robią tego już nigdzie w Polsce, co oznacza, że przestały mieszkać w naszym kraju i teraz są już tylko podróżnymi zatrzymującymi się u nas na chwilę. Przyczyną mogą być zmiany w środowisku – zarastanie łąk, brak terenów wylewowych, ale również ocieplanie się klimatu. Widać, że trasy ich wędrówek powoli przesuwają się na północ. A jeżeli kolejne wiosny będą suche, to o tokach będziemy tylko opowiadać naszym wnukom.



Samice batalionów wyglądają skromnie przy samcach o wymyślnych kryzach i fryzurach

Nieboraczki

Czasami w kałużach i niewielkich zbiornikach wodnych nagle po wiosennych deszczach pojawiają się przedziwne skorupiaki,

przekopnice. Opowiedział mi o nich Cezary Werpachowski z Biebrzańskiego Parku Narodowego. Jak wyglądają? Mają zwykle nie więcej niż kilka centymetrów długości, szeroki pancerzyk podobny do żółwiego i odwłok zakończony czymś, co przypomina rozdwojony ogonek. Na tym pancerzu troje oczu – dwoje właściwych i jedno pochodzące z okresu larwalnego.

Warto ich szukać wiosną w kałużach i niewielkich zbiornikach. Wyglądają jak eksponaty wprost z muzeum skamielin. I wszystko się zgadza, bo przekopnice są żywymi skamielinami. Żyją na naszej planecie w niezmienionej formie od 200-300 milionów lat.

Jako gatunek są bardzo wiekowe, ale pojedyncze przekopnice żyją w kałuży nie dłużej niż parę tygodni. Składają jaja i umierają. Co ciekawe, nie ma wśród nich samców, wszystkie są samicami, a jednak się rozmnażają. Takie zjawisko nazywamy dzieworództwem lub partenogenezą. Ich jaja mogą czekać w piasku na odpowiednie do rozwoju warunki nawet kilka lat. Z tego powodu nazywa się je też nieboraczkami, bo kiedyś ludzie byli przekonani, że spadają z nieba z deszczem.



Jak schować się za krową?

W Brzostowie zobaczycie jedno z najfajniejszych biebrzańskich widowisk. Każdego ranka krowy ze wszystkich tutejszych obór przechodzą albo przepływają przez rzekę w drodze na soczyste pastwiska. Jest na co patrzeć! Widok widokiem, ale krowy odgrywają tu bardzo ważną rolę. Zjadają trawę i dzięki temu my mamy wspaniałe mleko, a czajki, krwawodzioby i rycyki – miejsca do zakładania gniazd.

Rasą, która jest najlepiej przystosowana do życia na biebrzańskich łąkach, jest prastara krowa polska czerwona i je właśnie możecie zobaczyć w Brzostowie. Są jednolicie rude. Szybko zobaczycie, że ptaki wcale się ich nie boją. Kiedyś wykorzystywali to myśliwi, którzy chowali się za oswojoną oraz przyuczoną specjalnie do takich podchodów krową i tak polowali na wodne brodzące ptaki.

Oczywiście nie polecam wam podchodzenia do ptaków za prawdziwą krową, ale możecie schować się za sztuczną. Zróbcie ją z cienkiej sklejki i noście jak tarczę. Taki sposób zbliżania się do zwierząt jest często wykorzystywany w Ameryce, gdzie na preriach pasie się wiele krów. Pamiętajcie tylko, by wyciąć niewielki otwór, przez który będziecie mogli obserwować zwierzęta, i by wymalować krowę matowymi farbami, gdyż mało która prawdziwa krowa się błyszczy.



Brodzące w biebrzańskich rozlewiskach krowy to prawdziwe szczęściary



Choć bóbr to nasz największy gryzoń, wcale nie jest łatwo go zobaczyć



Historia bobrów w naszym kraju zatoczyła wielkie koło. W pradawnych czasach miały się całkiem dobrze – król Bolesław Chrobry rygorystycznie je chronił w swych dobrach. Niestety, troska królów niewiele pomogła i na początku XX wieku bobrów było tyle co kot napłakał. Wszystko przez to, że każdy chciał mieć bobrowe futro oraz zjeść sobie bobrowy ogon. Kiedy już się wydawało, że jest u nas po bobrach, dzięki ochronie i kuzynom sprowadzonym z Rosji i Białorusi nasze bobry odzyskały wigor. Dziś są wszędzie! Każda rzeczka i kanał mają swoją bobrzą rodzinę. A najwięcej jest ich na północnym wschodzie Polski.

Najpierw pojawiły się oczy, nos i uszy jednocześnie. Kawałek głowy niczym gruba kreska na wodzie. Potem głowa na chwilę zniknęła pod wodą, a ja zamarłem w bezruchu. Nagle przy brzegu trzasnął cieniutki wiosenny lód i wtedy go zobaczyłem. Przebijał się na powierzchnię. A potem wyszedł tak wielki, że nie mieścił mi się w kadrze aparatu. Siedziałem bezradny, bo gdybym się ruszył, tobym go wypłoszył. Zresztą widok był tak niesamowity, że natychmiast zapomniałem, że właśnie tracę szansę na piękne zdjęcie. Bóbr na żywo naprawdę robi wrażenie.

CZAS NA NOWALIJKI

Jeżeli chcecie zobaczyć największego gryzonia żyjącego w naszym kraju, to musicie ruszyć się z domu wczesną wiosną. Najlepiej tak wczesną, że tak naprawdę nie wiadomo, czy to jeszcze zima, czy już nie. Dobrze, gdy zalega

jeszcze lód, a śnieg miesza się z błotem. To może być luty, marzec, a nawet kwiecień, oczywiście jeżeli to jest taki kwiecień jak z przysłowia, czyli kwiecień plecień, co przeplata trochę zimy, trochę lata.

No więc jak tylko poczujecie wiosnę w powietrzu, to pomyślcie o bobrach. Dlaczego akurat tak wcześnie? Bobry to nocne zwierzęta. Zdarzają się takie, które przywykły do ludzi i pływają za dnia. Czasem robią to też młode, które nie wiedzą jeszcze, że możemy być groźni. Zwykle jednak bobrom się to nie zdarza. Wychodzą z kryjówek, gdy zaczyna się szarówka, tuż po zachodzie słońca. Mało wtedy widać i zobaczyć bobra jest bardzo trudno. Co tam trudno! To jest prawie niemożliwe. W trzcinach i wysokich trawach bobry wydeptują ścieżki i zobaczyć je można właściwie tylko wtedy, gdy płyną albo siedzą sobie gdzieś na wierzchołku żeremia. Tylko że gdy jest ciepło, takie okazje zdarzają się rzadko. Co innego wczesną wiosną, gdy bobry mają już dość zimy.

Bobry co prawda nie zasypiają na zimę, ale większość czasu spędzają wtedy w głównej komorze nory albo żeremia, gdzie cała bobrza rodzinka dogrzewa się własnym ciepłem. Zjadają gałązki, które zmagazynowały jesienią w podwodnych spiżarniach. Sami przyznacie, że taka dieta może się szybko znudzić. To tak, jakbyśmy jedli całą zimę tylko konserwy lub zawekowane w słojach przetwory. Nic dziwnego, że po dwóch-trzech miesiącach takiej diety bobry mają ochotę na coś świeżego. Kuszą je wierzby, w których już zaczynają krążyć soki, co widać po pojawiających się na nich baziach. Dla bobrów to jak dla nas świeżutka sałata i pierwsze pomidory z ogródka. Może też być tak, że zapasy podjadane przez całą zimę już się skończyły i trzeba wyjść z wody, by coś przekąsić. To jednak niejedyny powód. Zima z lodami i wzbierającymi rzekami naruszyła bobrowe tamy i kanały oraz żeremia. Teraz to trzeba szybko je naprawić, bo od tego zależy przyszłość bobrzej rodziny. No i jeszcze w lutym i marcu bobrom zbiera się na miłość. W czasie miłosnych zalotów popiskują albo pluszczą się w wodzie z takim zapałem, że nie sposób tego nie usłyszeć. Jednym słowem, wiosną bobry mają tyle zajęć, że nawet jeszcze całkiem długiej nocy im nie wystarcza i wiele rzeczy muszą robić w dzień. Gdy zaświeci słońce, może się nawet zdarzyć, że cała bobrza rodzinka wyjdzie się wygrzać na brzeg rzeki. I wtedy będą widoczne jak na dłoni.

JAK BOBRY PRZESTAŁY BYĆ PRZYRODNICZYM RARYTASEM

To było bardzo, bardzo dawno temu. Byłem zupełnie małym chłopcem i razem z moim przyjacielem Romkiem dostaliśmy zaproszenie na wycieczkę. Nie byle jakie zaproszenie! Zapraszał nas wuj Lechosław Herz, który był i wciąż jest moim mistrzem, jeśli chodzi o podpatrywanie zwierzaków. Wuj Lechosław zapraszał nas na bobry. Byliśmy tak dumni, jakby proponowano nam lot na Marsa. Bobry, kiedy chodziłem do podstawówki, stanowiły przyrodniczy rarytas. Po II wojnie światowej nie było ich prawie w Polsce. Kilka tułało się gdzieś po Mazurach. Potem kilka sprowadzono

z Rosji do specjalnych rezerwatów i kilka przeszło przez granicę z Białorusią i osiedliło się w Puszczy Białowieskiej. Pod koniec lat 80. były wciąż u nas bardzo rzadkie.

Wujek Herz załatwił sobie tylko znanymi sposobami pozwolenie na obserwowanie bobrów w Kampinoskim Parku Narodowym. Siedzieliśmy całą noc przy jakiejś rzeczce, która obrzydliwie śmierdziała. Warto było, bo ku naszej wielkiej radości usłyszeliśmy w końcu pluśnięcie bobrego ogona i zobaczyliśmy ciemny kształt. Dziś będziecie mieli o wiele łatwiej. Bobry są dosłownie wszędzie, no, może poza Tatrami. Mieszkają nawet w dużych miastach, gdzie ku rozpaczy mieszkańców wycinają drzewa w parkach. Zdarzają się nawet bobry, które wypływają w morze. Do życia potrzebują tylko trochę wody i drzew lub krzewów. Wody naprawdę nie musi być dużo. Miałem takiego zaprzyjaźnionego bobra, który mieszkał w rowie przydrożnym przy szosie Teremiski – Białowieża i nie wynosił się nawet wtedy, gdy ten rów czasami wysychał.

Wodą, czyli jak wiosłować

Szukanie dobrych miejsc do zaczajenia się na bobry to udręka tam, gdzie jest dużo starych koryt lub gdzie te zwierzaki narobiły kanałów. Jeżeli kanały są wąskie, da się je przeskoczyć. Gorzej ze starorzeczami, które są szerokie i bagniste. Przedzierając się przez trzcinowe zarośla, hałasujemy i płoszymy zwierzęta. Jan Marcin Węsławski, mój przyjaciel i znany polarnik, zarekomendował mi kiedyś drogę wodną i kanoe. Nic dziwnego, kanoe w dawnych czasach znakomicie służyło Indianom i traperom, którzy polowali w Kanadzie na bobry. Można na nim wszędzie wpłynąć i pozwala na zabranie sprzętu potrzebnego do przeżycia w głuszy wiele tygodni. W kanoe można przygotować sobie posiłek, a nawet się zdrzemnąć. Kanoe jest cichsze od kajaka – umiejętne wiosłowanie jednym piórem jest bezszelestne. Ma także zwykle mniejsze zanurzenie i pozwala wpływać na zarośnięte płycizny i rozlewiska. W kanoe każdy wiosłuje tylko jednym wiosłem i tylko z jednej strony. Sekret polega na tym, że wioslarz wykonuje wiosłem ruch w kształcie litery J – długie pociągnięcie wzdłuż burty z energicznym zwrotem na końcu. To pozwala na utrzymanie kanoe w linii prostej przy wiosłowaniu z jednej burty. Sprawdziłem to i okazało się, że to naprawdę genialny sposób na podglądanie wodnych zwierzaków. W wielu miejscach zwierzaki nie kojarzą człowieka w łódce z żadnym zagrożeniem i boją się o wiele mniej. Zdarzało mi się, że bobry lub wydry podpływały zdziwione pod samą burzę.





Canoe, inaczej kanadyjka, jest najlepszą łódką do penetrowania leśnych rzeczek i rozlewisk

WIELKI BUDOWNICZY W AKCJI

W Polsce żyje teraz ponad 30 tysięcy bobrów, choć niektóre szacunki mówią nawet o 100 tys. Ta różnica bierze się zapewne stąd, że niektórzy liczą każde napotkane żeremie bobrowe jako jedną rodzinę, a przecież wiele żeremi może być opuszczonych. Tak czy inaczej, bobrów jest dużo w porównaniu z czasami, gdy tropiłem je z wujem Lechosławem. Nie znaczy to jednak, że są w każdej rzeczce! Trzeba się trochę postarać, żeby je zobaczyć.

Ja poszukiwania zaczynam zawsze od znalezienia miejsca, w którym widać ich obecność. Teoretycznie nic prostszego. Bobrze żeremie, czyli bobrzy dom, może wystawać nawet kilka metrów nad wodę i mieć średnicę nawet około 20 metrów u podstawy. Żeremia nie sposób z niczym pomylić – to kopiec z gałęzi i mułu. W środku tego kopca jest komora, w której bobry siedzą, gdy

jest im zimno. Komora wysłana jest suchymi roślinami oraz drobnymi patyczkami i temperatura nie spada tu zwykle poniżej zera. Wejścia do żeremia umieszczone są pod wodą, więc do środka może dostać się tylko znakomity pływak. Niektóre żeremia mają nawet otwory wentylacyjne. To popis sztuki budowlanej i dlatego żeremia podobają się nie tylko bobrom. Bardzo często mieszkają w nich norki lub zaskrońce.

Bobry słyną jednak nie z budowy żeremi, ale z tam. To są dopiero genialne konstrukcje! Zbudowane z mułu i gałęzi, a czasem nawet z kamieni, potrafią zatrzymać potężne masy wody. Po co to bobrom? Tamy podnoszą poziom wody, dzięki czemu zalewa ona wejścia do żeremi, ułatwiając gryzoniom transport gałęzi oraz bezpieczne poruszanie się. Temu też służą robione przez bobry kanały.



Bobry ścinają drzewa, by dostać się do gałązek. Stanowią one bobrzy pokarm oraz budulec do tam i żeremi

Tamy mogą mieć naprawdę olbrzymie rozmiary. W Polsce widywałem takie, które miały nawet do dwóch metrów wysokości i kilkadziesiąt metrów długości. Ale – jak podaje znawca bobrów doktor Andrzej Czech – bywają znacznie większe. Kanadyjskie bobry zbudowały tamę mającą 1200 metrów długości, a inna miała ponad pięć metrów wysokości! Zastanawiacie się, ile takich tam może zrobić jedna bobrza rodzina? Andrzej Czech pisze, że kiedyś na odcinku strumienia o długości nieco ponad kilometra naliczył 25 tam.

Nieźle, prawda?

DLACZEGO NIE WARTO CZEKAĆ PRZY ŻEREMIACH?

Bobrze tamy i żeremia przekształcają środowisko i tam, gdzie się pojawiają, jest więcej owadów, płazów oraz niektórych gatunków ryb. Można tam też często zobaczyć wydry albo – szczególnie w górach – bociany czarne. Na zalanych terenach obumierają drzewa i okolice często odwiedzają dzięcioły, w tym prawdziwe rzadkości, takie jak dzięcioł białogrzbiety czy trójpalczasty. Mimo to darowałbym sobie czajenie się na bobra przy żeremiu lub tamie. No, chyba że są tam wyraźne ślady niedawnego pobytu tego zwierzęcia.

Zwykle to jednak strata czasu. Z kilku powodów. Po pierwsze, bobry zwykle w pobliżu swoich konstrukcji są dość ostrożne. Jeżeli tama albo żeremie nie wymagają naprawy, to się przy nich za bardzo nie kręcą. Czasami jedynie i tylko gdy żeremie otoczone jest wodą, odpoczywają na jego wierzchołku. Po drugie, to, że w rzece nie ma żeremia, wcale nie oznacza, że nie ma w niej bobrów. Otóż tam, gdzie woda jest wystarczająco głęboka, bobry nie budują tam. Jeżeli chcecie wytropić bobry, to musicie znaleźć miejsce, w którym jedzą.

Ich pokarmem są wszelkie rośliny – bobry zjadają kilkaset gatunków różnych roślin. No i znane są z tego, że ścinają drzewa. W naszym kraju nie ma drugiego zwierzęcia, które potrafiłoby to zrobić. Żaden inny nie dysponuje tak potężnym narzędziem jak bobrze siekacze, czyli olbrzymie zęby na przedzie. Te dolne mogą mieć nawet kilkanaście centymetrów długości! Mało tego, one cały czas rosną i dlatego bobry muszą je ścierać. Zwierzę opiera górne siekacze o drzewo i porusza tylko tymi dolnymi. I to z potworną siłą! Nacisk wynosi kilka ton na centymetr kwadratowy. Bobry ścinają drzewa, by dostać się do delikatnych gałązek na szczycie. Nie jedzą drewna, ale przegryzają korę i łyko, czyli to, co jest pod korą. Nie należą one do delikatnych i łatwo trawionych kąsków, dlatego bobry mają bardzo odporny przełyk, który niezwykle szybko się goi po zranieniu.

GDZIE SZUKAĆ BOBRÓW?

Właśnie po ściętych drzewach i wierzbowych krzakach najłatwiej poznać obecność bobrów. Przyjrzyjcie się dobrze patykom, które leżą wokoło – jeżeli cięcia są w wielu płaszczyznach, tak jakby ktoś strugał, jest to dzieło bobra. Jeżeli widać jedno lub kilka cięć, zrobił to raczej ktoś z siekierą. A pomylić można się łatwo. Piotr Topiński, który zajmował się bobrami w Kampinoskim Parku Narodowym, opowiadał mi, że czasami obgryzione przez bobry patyczki archeolodzy brali za rzeźby wykonane przez naszych przodków tysiące lat temu.

Jeżeli znajdziemy miejsce takiej wycinki, jesteśmy już blisko, ale to jeszcze

nie jest to. Szczególnie wczesną wiosną wszystkie drzewa wyglądają na świeżo ścięte, a mogły paść pod siekaczami bobrów tygodnie wcześniej. Trzeba szukać miejsc, gdzie bobry wychodzą na ląd. Ten supersprawy w wodzie zwierzak po lądzie nie porusza się najlepiej. Dlatego bobry zwykle nie oddalają się od wody. Długie wędrówki urządzają sobie tylko kilkuletnie młode, które poszukują nowych miejsc do osiedlenia się. Te, które mają już swój kawałek świata, nie zapuszczają się daleko. A gdy wychodzą z wody, nie dość, że ciągnie się za nimi ogon, to jeszcze mokre futro obciera podłoże. W takich miejscach widać świeżo wyslizganą ziemię albo śnieg. Jeżeli zobaczysz wyraźną, wilgotną rynnę, znalazłeś to, czego szukałeś. Być może w pobliżu takiego miejsca wypatrzysz jeszcze odcisk tylnej łapy, która ma nawet do 15 centymetrów długości i 11 centymetrów szerokości. Nie sposób jej z niczym pomylić, bo przypomina kaczą łapę, z tym że kaczka ma trzy palce z przodu i jeden z tyłu, a bóbr – pięć.

Spróbuj zacząć się przynajmniej kilkanaście metrów od takiego miejsca. Bobry nie mają najlepszego wzroku, ale gdy będziemy za blisko, to nas wypatrzą. Może się zdarzyć, że właśnie zaskoczycie bobra, który już jest na brzegu. Takie spotkania nie trwają długo, bo zwierz z pluskiem zwiewa do wody.



Ekipa filmowa na czatach

Jak się zamaskować

Wytlumić ludzki zapach, by bobry nas nie poczuły, jest bardzo trudno, ale tym bym się nie przejmował. Coraz częściej mieszkają one blisko ludzi i nasz zapach wcale nie musi ich niepokoić. Na pewno jednak będą się bały ludzkiej sylwetki, dlatego obserwowanie bobra na stojąco to nie najlepszy pomysł. Dobrze mieć ze sobą rozkładany stołeczek. Taki, jaki można kupić w sklepach wędkarskich.

Trzeba się ubrać tak, by ubranie jak najbardziej zlewało się z otoczeniem. Jeżeli na brzegach rzeki jest jeszcze śnieg, to dobrze mieć białe ubranie maskujące. Jeżeli wiemy, gdzie bóbr wychodzi z wody, fajnie jest zrobić parawan z siatki maskującej albo trzciny.

Najpierw musimy ustawić szkielet, do czego potrzebne będą cztery rozwidlone na końcu tyczki leszczynowe lub wierzbowe i trzy bez rozwidleń. Te z rozwidleniami wbijamy w ziemię, a te bez rozwidleń będą poprzeczkami. Na takiej konstrukcji rozpinamy siatkę – wystarczy pas siatki o wymiarach 2x2 metry. Możemy też użyć trzciny, by powstało coś w rodzaju parawanu plażowego.

Zastanawiacie się, co lepsze – siatka czy trzcina i gałęzie? Ja wolę siatkę. Zbudowanie ukrycia z trzciny jest bardzo pracochłonne i wymaga cierpliwości. Trzeba jej bardzo dużo naścinać, a potem powiązać w snopki. Robi się przy tym masę zamieszania nad rzeką, a to płoszy zwierzęta. Poza tym deszcze i wichury niszczą trcinę i słomiane maty. Siatkę rozpina się szybko, a czas jest tu decydujący. Każda minuta kręcenia się to mniejsza szansa na spotkanie ze zwierzątkiem. Nie kupujcie byle jakiej siatki. Takie z plastikowymi elementami strasznie szeleszczą. Najlepsze są takie, których oczka wypełnione są syntetycznymi włóknami.

Gdy przyplynie bóbr, trzeba się zachowywać bardzo cicho. Jeżeli chcecie robić zdjęcia, nie naciskajcie spustu seriami, bo to może spłoszyć zwierzątko. Róbcie pojedyncze zdjęcia, i to wtedy, gdy bóbr pracuje albo je. Być może uda wam się zobaczyć na własne oczy, jak ścina drzewo. Mnie się to marzy.



Jak ogrzać stopy

Gdy łązi się po mokrym w gumowych butach wiosną, kiedy wciąż jest dość zimno, najbardziej ziębną stopy. Najgorsze jest siedzenie w bezruchu i wtedy może być bardzo nieprzyjemnie. Aby temu zapobiec, dobrze jest mieć grube skarpety i kalosze na tyle duże, by można było w środku poruszać palcami. Nie ma nic gorszego niż kalosze idealnie dopasowane do stopy.

Ale kiedy stopy naprawdę już nam solidnie zmarzną, to trzeba szybko zdjąć but i skarpetę, a potem stopę rozetrzeć rękami. Jeżeli jednak jest tak zimno, że trzeba rozcierać stopy, to najwyższy czas wracać do domu.



ZIMNA WODA ZDROWIA DODA

Woda to bobrzy żywioł. Nic dziwnego, bo rzadko który nasz ssak jest tak przystosowany do pływania jak bóbr. Palce jego tylnych łapek spięte są błoną pławną, a wielki spłaszczony ogon pracuje niczym podwodny napęd. Ogon, który jest pokryty łuską i przypomina nieco rybi, służy też jako ster. Co jednak najważniejsze, bobry mogą – podobnie jak foki – gospodarować natlenioną krwią w czasie nurkowania. Tlen trafia wtedy głównie do mózgu, który najbardziej go potrzebuje. To oraz duże płuca pozwalają zwierzęciu spędzić pod wodą całkiem sporo czasu. Bóbr może nie wynurzać się nawet przez kilkanaście minut (dla porównania wydra, inny świetny pływak – przez kilka). Bobrze futro jest bardzo gęste i składa się z dwóch warstw – krótkich mięciutkich włosów puchowych oraz długich i twardych włosów okrywowych, które są spłaszczone na końcach i w czasie nurkowania całkowicie przykrywają włosy puchowe, w których zbiera się powietrze. Dzięki temu bobrom niestraszna nawet zimna woda, bo ich futro działa jak kombinezon nurka.

Mimo że bobry są całkiem spore i często ważą powyżej 20 kilogramów, to podpływającego bobra nie da się tak łatwo wypatrzeć. Nie zobaczycie olbrzymiej kłody, która płynie w waszym kierunku. Nad wodę wynurzy się raczej tylko głowa, a najczęściej sam jej czubek. Bobry nie muszą bardzo się wynurzać, bo ich oczy, uszy i nos osadzone są na głowie mniej więcej na tym samym poziomie, i to dość wysoko. Wystarczy, że wysuną się na dwa centymetry, i już wiedzą, co się dzieje. A potem znów chowają się pod wodą. Czasami, gdy są pewne, że w okolicy nie czai się żadne niebezpieczeństwo, płyną środkiem rzeki, tworząc na tafli wyraźną literę V. Wówczas zauważycie ślad na wodzie, ale bobra będzie trudno zobaczyć, bo nawet wtedy wynurza tylko część głowy.

Teraz uwaga! Gdy zobaczycie bobra w wodzie, nawet nie drgnijcie! Zastygnijcie niczym kamień. Może wyjdzie i zobaczycie na własne oczy to wspaniałe zwierzę w całej okazałości.

Jak wyciągnąć kalosz z błota kijem

Do przeszukania brzegów takiej bobrowej rzeczki z lądu też trzeba się przygotować. Podstawa to oczywiście dobre kalosze lub wodery, czyli takie wysokie kalosze kończące się na biodrach. Są też butospodnie, ale ich nie polecam na takie wyprawy. Łazić w nich jest bardzo niewygodnie, a na dodatek jest w nich gorąco, gdy idziemy, i zimno, gdy się zatrzymamy.

Kalosze, niestety, łatwo się gubią, gdy ugrzęźniemy w bagnie albo mule, a to oznacza koniec wyprawy. Co zrobić, gdy nam się kalosz przyssie do błocka? Nie wpadać w panikę, nie ciągnąć do góry. Lekko przechylić się do przodu, tak by pięta się uniosła, zaprzeć się palcami w kaloszu i powolutku go wyciągać, a potem trochę cofać. I tak parę razy. Super, gdy w pobliżu jest jakieś drzewko, o które można się oprzeć. Najlepiej jednak mieć kij bagienny.

Nie ruszałbym na wyprawę bez solidnego leszczynowego lub wierzbowego kija. Nie by z kimś walczyć, ale by mieć trzeci punkt podparcia. Kij musi być wyższy od nas przynajmniej o pół metra. Dla mnie odpowiedni jest przynajmniej dwumetrowy, a mam 175 centymetrów wzrostu. Dobrze taki kij bagienny przetestować przed wyjściem na wyprawę. Nie może być zrobiony ze zbyt kruchego ani zbyt giętkiego drewna. Przetestujcie go, opierając się na nim całym ciężarem, albo spróbujcie wręcz na niego wskoczyć niczym na małe drzewko. Kij musi wytrzymać dużo, bo jak wam pęknie w grząskim terenie, to wylądujecie w błocie.





Kanadyjka potrafi sunąć naprawdę cicho. Można nią podpłynąć do niejednego zwierzaka



Takie łąki są wszędzie – nad wielkimi rzekami, które w atlasach geograficznych oznaczone są grubą niebieską kreską, i nad rowem z wodą, którego nazwę znacie tylko wy. Pod lasem i tuż za granicą twojego miasta. Sąsiadują ze świeżo zaorаныmi polami i mrocznymi bagnami. Można powiedzieć, że podmokłe łąki to pospolity widok. Nic bardziej mylnego! Tak naprawdę są ginącą częścią naszej przyrody, bo zastępują je trawniki. Ale to na podmokłych łąkach wiosną dzieją się naprawdę magiczne rzeczy.

W naszej wsi, czyli w Teremiskach, też są takie łąki. Nie tak wielkie jak te nad Narwią, Biebrzą czy Wartą, bo nasza rzeczka Łutownia do dużych nie należy i ma nie więcej niż trzy metry szerokości. Jej dopływy, dziś zamienione w kanały, są jeszcze węższe. Kiedyś tereny nad Łutownią zapewne były bardziej podmokłe i żyło tu też więcej ciekawych ptaków. To musiało być całkiem niedawno, bo niektóre z gatunków zniknęły dosłownie na moich oczach.

Jeszcze pod koniec lat 90. ubiegłego wieku, czyli jak dla mnie całkiem niedawno, gdy ruszałem wiosną na spacer z psami, już po paru krokach nadlatywały z kwileniem czajki. To najbardziej wiosenne ptaki, jakie znam. Przylatują do zachodniej Polski jeszcze w lutym, a u nas, na wschodzie, pojawiają się w marcu. Ich powrotna wędrówka jest jeszcze bardziej rozciągnięta w czasie – zaczynają ją już pod koniec maja i może ona trwać czasem nawet do początków grudnia. Pod koniec maja młode czajki są już na tyle duże, że potrafią latać i same sobie radzą. Wszystko, co ważne w życiu – czyli gody, wysiadywanie jaj i wychowywanie młodych – czajki załatwiają wiosną. Nic dziwnego, że mogą być symbolem wiosny. Choć nie dla wszystkich... Gdy Nuria pierwszy raz zobaczyła czajki na łące przed domem, krzyknęła: „Ave fria!”, co po hiszpańsku oznacza ptaka przynoszącego zimno. Nic w tym dziwnego, bo czajki na zimę lecą również do Hiszpanii i tam

kojarzą się z nadchodzącym chłodem. Dziś, gdy dostajecie do ręki to nowe wydanie „Wielkiej księgi prawdziwych tropicieli”, czajek w praktyce w Teremiskach nie ma. Ot, może jedna para zakłada gniazdo raz na dwa lata, a i tak rzadko udaje się im z sukcesem wychować młode.



Czajki kiedyś były niezwykle pospolitymi ptakami. Dziś to rzadkość

CZEMU MAŻ ŁATA JAK SZALONY?

Czajki to te niesamowite czarno-białe ptaki z czubkiem na głowie oraz zaokrąglonymi skrzydłami. Jeżeli są na łące, nie sposób ich nie zauważyć. Żadne inne ptaki nie zachowują się jak szaleni piloci, którzy popisują się nieprawdopodobnymi akrobacjami: beczkami i korkociągami. Widać tylko czarno-białe mignięcia.

Kiedy zobaczycie takie kwilące i szalejące w powietrzu czajki, będą to

samce. Zerknijcie niżej, na ziemię, a zobaczycie drepczące samice. Czajki nie szaleją tak bez powodu. Samce wykonują loty godowe, by samica mogła poznać, ile wart jest jej zalotnik, i dokonać wyboru męża. Nie jest to wybór prosty. U czajek samiec i samica zajmują się na zmianę wysiadywaniem i wychowywaniem młodych. Do niedawna myślano, że ptaki te tworzą tradycyjne pary – jeden samiec i jedna samica – i że dzielą się czasem oraz rodzicielskimi obowiązkami w miarę po równo. Okazało się, że nie zawsze tak jest. Niektóre samce opiekują się dwiema, a czasami aż trzema samicami. Wtedy samiec przeznaczają znacznie mniej czasu na opiekę nad jajami i potomstwem, no bo przecież rozerwać się nie może.

Właśnie wczesną wiosną samice muszą zdecydować, czy wiązać się z kawalerem, czy z samcem, który ma już żonę lub nawet dwie. Dylemat jest poważny, bo samce, które mają więcej niż jedną samicę, są silniejsze i mają więcej doświadczenia jako ojcowie. Co więc wybrać – fajtłapę, który będzie poświęcał żonie i dzieciom więcej czasu, czy supersamca, który tego czasu nie będzie miał za wiele? Nie jest to prosta decyzja i dlatego samice z uwagą przyglądają się samcom i ich zwariowanym powietrznym ewolucjom.

Lot jako sposób na sprawdzenie przyszłego męża to nie tylko metoda stosowana przez czajki. Skowronki wiszą nad polami i śpiewają. A czajkom często towarzyszy brodziec krwawodzioby zwany krwawodziobem. Samica i samiec wyglądają tak samo – mają szaro-białe upierzenie, czerwony dziób i nogi. Po wyglądzie nie da się rozpoznać płci, ale po zachowaniu – bez trudu. Samce w czasie wiosennych godów godzinami latają nad samicami, wręcz wiszą w powietrzu, i do tego drą się niemiłosiernie. I to tak, że niektórym ornitologom przypomina to jodłowanie.

Wydawałoby się, że takie latanie to całkiem przyjemny sposób zdobywania samicy, bo może nam się zdawać, że latanie dla ptaka to jak chodzenie dla nas. Nieprawda. Wyjaśnił mi to kiedyś profesor Przemysław Chylarecki z Muzeum i Instytutu Zoologii PAN: – Gdy rąbiesz drzewo, to wysiłek dla twojego organizmu jest trzy razy większy, niż gdybyś na przykład spał czy siedział. Natomiast lot krwawodzioba nad samiczką to aż dziewięć razy więcej pracy w porównaniu ze spoczynkiem, bo nie dość, że lata, to jeszcze non stop woła.

Niesprawiedliwością byłoby jednak napisanie, że w tej całej grze poświęca się tylko samiec krwawodzioba, a samica jedynie siedzi i wybiera. Owszem, tak jest, gdy trwają gody, ale po nich, gdy samica wybierze już sobie partnera, to ona znosi cztery jaja, które stanowią 75 procent masy jej ciała. Nie mówcie, że to nie wymaga wysiłku!



Kochające się krawawodzioby

Bekas beka ogonem

W wiosenne i letnie dni usłyszycie nad głową coś pomiędzy dudnieniem i buczeniem. Jeżeli szybko zadrzecie głowę, zobaczycie niewielkiego ptaszka z długim dziobkiem. To bekas kszczyk. Ten niewielki ptak siewkowaty w czasie lotu miłosnego wydaje buczący głos, ale nie pochodzi on z jego gardła. To odgłos powietrza przelatującego przez pióra ogona, czyli sterówki.

Bekasy wzlatują wysoko, a następnie opadają w dół i w czasie tego opadania powietrze przelatujące przez sterówki charakterystycznie buczy lub – jak kto woli – dudni. Bekasy podobnie jak czajki i rycyki zamieszkują wilgotne łąki i niewielkie bagienka. Ocieplanie się klimatu może jednak przyspieszać ich wysychanie, a sucha łąka staje się zupełnie nieprzydatna,

jeśli chodzi o zdobywanie pokarmu. Bekas szuka bezkręgowców, wtykając swój długi dziób w miękką glebę. Gdy ta zaschnie, umrze z głodu.



RODZINA W MASKUJĄCE PLAMY

Efektem akrobatycznych zalotów czajek jest wspólne gniazdko i kilka, najczęściej cztery, gruszkowatych jaj. Gniazdo nie jest arcydziełem konstrukcyjnym – to tylko wgłębienie w trawie lub ziemi. Za to jaja to mistrzostwo sztuki maskowania – na oliwkowozielonym tle mają pełno ciemnych punktów, kleksów i kreseczek.

Warto poszukać gniazda czajek, ale nie będzie to łatwe. Przede wszystkim należy obserwować z daleka, by nie denerwować ptaków. Wypatrujemy miejsca, gdzie przysiadają. Zwykle przez lornetkę lub lunetę można zobaczyć siedzącą czajkę, a raczej wystającą nad trawę głowę z czubkiem. Tam trzeba szukać. Gdy znajdziecie już gniazdko, przyjrzyjcie się mu z metra lub dwóch. Nie dotykajcie jaj, nie depczcie wokoło, bo nie chcecie przecież zdenerwować rodziców.

Moją opowieść o czajkach zacząłem od tego, że gdy wychodziliśmy kiedyś na spacer z psami, te ptaki od razu pojawiały się z kwileniem. Nie witały się z nami, ale właśnie sprawdzały, czy jesteśmy zagrożeniem dla jaj lub piskląt. Mają dużo pracy, bo przecież nie ma nic prostszego, niż zjeść coś, co już leży na ziemi. Zapytacie teraz, jakim cudem czajki w ogóle przetrwały, bo przecież gniazdo i jaja są zamaskowane, ale co z pisklętami?

No więc, jeżeli znalezienie gniazda i jaj czajki to trudne zadanie, to wypatrzenie piskląt, które wykluwają się po 25 dniach, czyli na przełomie kwietnia i maja, jest prawie niemożliwe. Maluchy też są pokryte maskującymi plamkami. Wykluwają się w parogodzinnych odstępach i już następnego dnia wędrują za rodzicami w poszukiwaniu jedzenia. Czajki podobnie jak wszystkie siewkowate to zagniazdowniki. Oznacza to, że maluchy nie wychowują się w gnieździe, a opieka rodzicielska ogranicza się do ogrzewania i prowadzenia ich w miejsca, gdzie maluchy same mogą sobie znaleźć coś do jedzenia.

OSIEDLE POD SPECJALNĄ OCHRONĄ

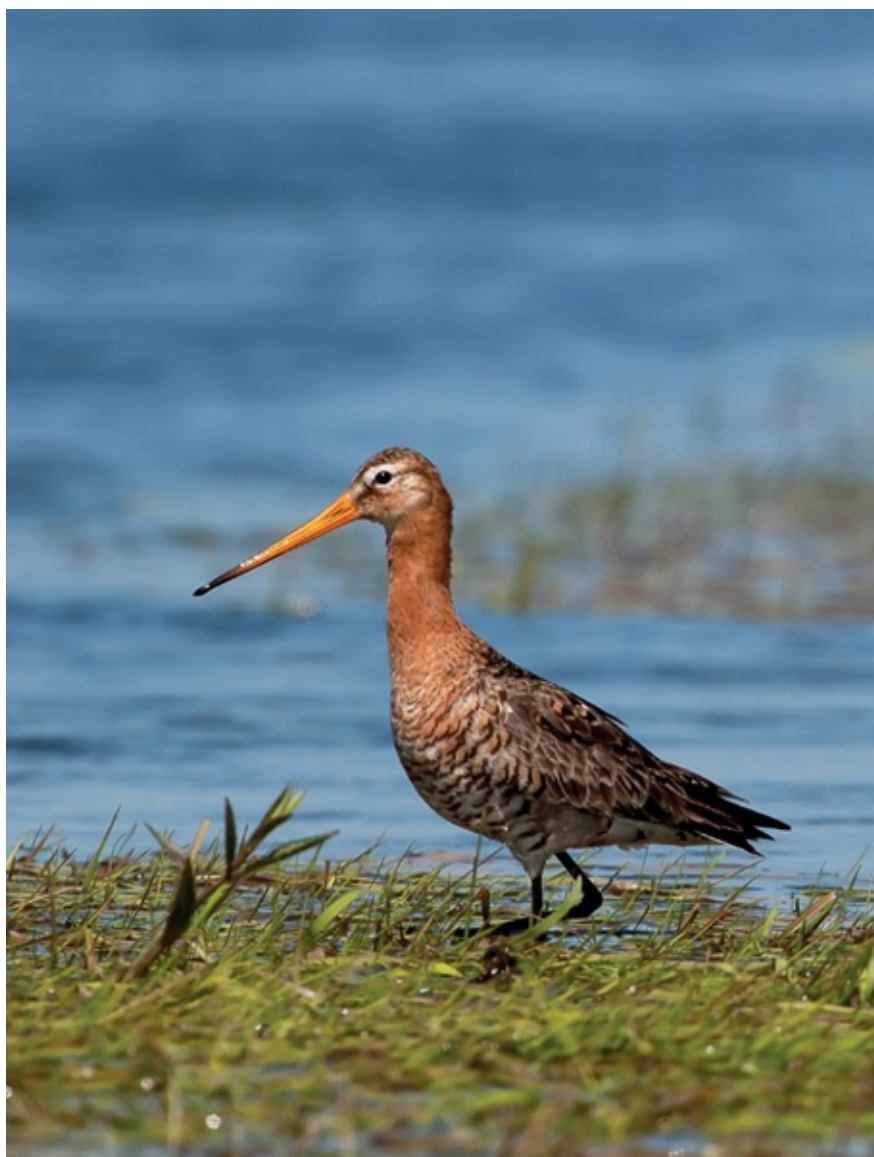
Po zachowaniu czajki możecie łatwo poznać, gdzie na łące ma gniazdko lub pisklaki. Jeżeli jesteście daleko, to podleci, przefrunie wam nad głową, zrobi koło i wróci do dzieci. Jeżeli jesteście blisko, to będzie pikowała nad wami co parę sekund i będziecie mieli wrażenie, że za chwilę trzaśnie was w głowę. Zachowanie czajek zależy też od tego, na jakim etapie wysiadywania

znajdują się jaja. Bardziej bronią tych jaj, z których za chwilę mają wykluć się pisklęta, niż tych na początku wysiadywania.

Gdy już nie mają innego wyjścia, chwytają się jeszcze bardziej desperackich sposobów. Lądują frontalnie przed prześladowcą i rozkładają skrzydła, jakby chciały powiedzieć: „Tu jestem!” Liczą, że taki lis uzna, że lepiej zjeść dużą czajkę niż kilka jajek lub maleńkie pisklaki, a gdy lis atakuje, odlatują mu sprzed nosa. To czasami działa, ale widziałem lisy, które nie dały się nabrać na taki numer. Lisy nie są głupie i wiedzą, że skoro czajki robią coś takiego, to młode są tuż-tuż i nie należy uganiać się za symulującym rodzicem, tylko skrupulatnie przeszukiwać teren. Ale wtedy czajki zmieniają strategię na taką zupełnie dla nich nietypową. Parę razy widziałem już, jak para czajek na widok lisa odlatywała od gniazda i spokojnie obserwowała go z daleka. Najwyraźniej te niegłupie ptaszki zauważyły, że jak zachowują się cicho, to lis idzie gdzie indziej. Takie kombinowanie ma sens, bo przecież nawet jakby czajkom udało się lisa przegonić za dnia, to wróci on w nocy, gdy ptaki są zupełnie bezbronne.

Lis lisem, a co z latającymi drapieżnikami? No więc w powietrzu zwrotna i szybka czajka nie ma sobie równych i takiego kruka, myszołowa czy nawet orlika potrafi przegonić bez większego kłopotu. Można powiedzieć, że para czajek jest niczym para myśliwców, które chronią gniazdo przed atakiem z powietrza. Z bojowej postawy czajek korzystają też inne ptaki. Wielu ornitologów mówiło mi, że gdy na nadbużańskich łąkach trafią na gniazdo czajki, to nie dalej niż 15 metrów od niego znajduje się też gniazdo krwawodzioba, który korzysta z parasola ochronnego czajek.

Takie parasole ochronne tworzą też inne ptaki. Bardzo waleczny jest rycyk, ptak podobnego rozmiaru jak czajka, o szaro-brązowym upierzeniu, długich nogach i prostym, długim dziobie. Często możecie go spotkać na tych samych łąkach co czajki. Te długie nogi i dziób pomagają mu szukać różnych małych żyjątek w płytkiej wodzie terenów zalewowych. W Arktyce ptaki siewkowate i kaczki osiedlają się w pobliżu rybitw popielatych, które potrafią niezłe przywalić w głowę. Natomiast gęsi mieszkają w pobliżu sów śnieżnych, które też mają gniazdo na ziemi i potrafią swoimi ostrymi pazurami zmusić do odwrotu niejednego lisa polarnego.



Rycyk to spory ptak siewkowy o charakterystycznym drugim i prostym dziobie. Łatwo wyszukiwać nim pokarm na rozlewiskach

CZEMU ZNIKAJĄ CZAJKI?

Jeszcze 20 lat temu czajki były pospolitymi ptakami, a dziś widać je coraz rzadziej. Nie pomagają im nawet sprytne sztuczki, za pomocą których próbują wykołować drapieżniki. Wymierają, bo znikają podmokłe łąki. Osuszamy je lub zamieniamy w pola orne. A czajkom nie wystarczają małe kawałki – zupełnie innego środowiska potrzebują do wysiedzenia jaj, a innego do włączenia się z młodymi. Kilka lat temu obserwowałem, jak czajki, które miały gniazdo po jednej stronie naszej wsi, usiłowały przeprowadzić pisklęta między domami i przez szosę na drugą stronę. Trwało to przynajmniej tydzień, bo na drodze stał im bocian, który miał wyraźną chrapkę na maluchy.

Nie pomaga im także to, że lisów jest więcej niż kiedykolwiek wcześniej, bo za pomocą szczepionek zlikwidowaliśmy wściekliznę, która ograniczała ich liczebność. Czajki nie mają szans w starciu z taką liczbą lisów, które są w stanie przeszukać dosłownie każdy metr kwadratowy łąki. Nic dziwnego, że – jak wyszło z badań naukowców z Centrum Ekologii PAN oraz Muzeum i Instytutu Zoologii PAN – na łąkach nad Bugiem i Narwią piskłeta wykluwają się tylko z sześciu procent zniesionych jaj. Reszcie nie udaje się przetrwać trwającego blisko miesiąc okresu wysiadywania.

Na łące przed moim domem jeszcze 20 lat temu były trzy-cztery pary czajek. Obecnie w całych Teremiskach, jak już wspominałem, jest tylko jedna i to też nie co roku. Na początku przypominałem wam, że gdy znajdziecie gniazdko czajki, nie należy się do niego zbytnio zbliżać. To dlatego, że wygnieciona trawa w pobliżu gniazd może być znakiem dla drapieżników, że warto się tym miejscem zainteresować.



Sikora modra uwija się wśród bazi w poszukiwaniu owadów

Kotka i aspiryna

Na świecie mamy kilkaset gatunków wierzb, w Polsce – około 30. Różnią się kolorem i kształtem liści. Niektóre mogą być bardziej krzaczaste, inne bardziej drzewiaste. Wszystkie jednak łączą baze, zwane też kotkami. Wierzbowe kotki to kwiatostany wierzb. Przypominają trochę budową

kłosa, choć po przekwitnięciu odpadają. Nazwa „kotki” wzięła się od tego, że są „futraste”, oraz od legendy o pewnym czarowniku, który wyczarował puchate kotki na wierzbie, by pocieszyć swoją ulubioną kotkę, która straciła młode.

A, i ciekawostka! Nie wiem, czy wiecie, ale aspirynę zawdzięczamy również wierzbowi. Od starożytności wiadomo było, że wyciąg z kory bardzo pospolitej wierzby białej zapobiegał przeziębieniom i je leczył, bo zawierał bardzo dużo kwasu salicylowego. Po łacinie wierzba to *Salix*, a w XIX wieku uzyskano z tego kwasu kwas acetylosalicylowy, czyli aspirynę.



Młode drozdy, choć wyglądają nieporadnie i słabo latają, nie potrzebują naszej opieki

Ratować czy nie ratować?

Zasada pierwsza i najważniejsza: bez względu na to, czy to jest młoda sarenka na łące, mały drozd lub kawka w mieście, czy młody puchaty puszczyk w parku lub lesie, nic nie robimy! W bardzo wielu przypadkach młode, choć wyglądają na sieroty, wcale sierotami nie są. Matka małej

sarenki zapewne do niej wróci, gdy tylko się oddalicie. Jeśli chcecie się o tym przekonać, to przyjdźcie w to samo miejsce po paru godzinach i w 99 procentach przypadków po sarence nie będzie śladu. Wydawała się wam chora, tymczasem nie ruszała się przy was ze strachu.

Podobnie zaszkodzicie, jeśli zabierzecie młode drozdy lub sowy bez powodu. Maluchy te wychodzą z gniazda, gdy jeszcze dobrze nie latają. To ich strategia przetrwania. Mały puchaty puszczyk siedzący nisko na gałęzi jest pod opieką rodziców i nocą przejdzie na inną gałąź. Radę da sobie także młody drozd, który na początku potrafi podlecieć najwyżej na pół metra. Za trzy dni będzie podlatywał na kilka metrów, a po tygodniu – nieźle latał.

Jeżeli uważacie, że jednak coś jest nie w porządku ze zwierakiem, na którego trafiliście, i rzeczywiście trzeba interweniować, to spróbujcie się skontaktować ze specjalistą z najbliższego ośrodka rehabilitacji dzikich zwierząt. Taką listę możecie znaleźć na stronach Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska. Zanim zabierzecie zwierzaka, opiszcie dokładnie specjalście, co się dzieje, i ściśle stosujcie się do jego rad. Niestety, polskie ogrody zoologiczne są pełne osieroconych zwierzaków, które zostały odebrane rodzicom tylko dlatego, że ktoś miał dobre serce, ale za mało wiedzy.



Samce żaby moczarowej w czasie godów robią się intensywnie niebieskie

ŻABA NIEBIESZCZEJE Z MIŁOŚCI

Obiecałem wam magię, prawda? Co więc powiecie na niebieskie żaby? Tak niebieskie, jak niebieskie potrafi być wiosenne niebo albo wyciągnięte z szafy letnie dżinsy! Gdy pokazuję zdjęcie takich żab, to wielu myśli, że stworzyłem je za pomocą programu graficznego. Nic z tego! Zapomnijcie o komputerze, wystarczy wam jedynie odrobina cierpliwości i dobry słuch.

Najlepszy jest słoneczny, bezwietrzny dzień, z temperaturą dużo powyżej dziesięciu stopni, jeden z tych z przełomu marca i kwietnia. Chodzi o to, by bajorka na łące się nagrzały i woda w nich też miała powyżej dziesięciu stopni. Muszą to być takie bajorka, do których przychodzą żaby. Takie najzwyczajniejsze, najbardziej pospolite żaby moczarowe. Te, które widzicie przez cały rok, jak skaczą sobie po wilgotnych łąkach. Zaraz, zaraz, powiecie, bo przecież doskonale znacie te żaby i wiecie, że bywają w różnych odcieniach brązu, ale nigdy nie są niebieskie! Racja. Przez cały rok nie są, ale wiosną na chwilę zmieniają kolor.

Gdy tylko pojawi się pierwsze wiosenne słońce, samce żab moczarowych wychodzą z kryjówek na lądzie, różnych zakamarków i jam, gdzie zimowały, i kierują się w stronę płytkich zbiorników wodnych. Im bardziej się do nich zbliżają, tym bardziej robią się niebieskie. To ich szata godowa i można powiedzieć, że niebieszczeją z miłości. Zbierają się w stadka, które liczą nawet kilkaset takich niebieskich panów. Przepychają się i śmiesznie cieniutko poszczekują. Przynajmniej tak to słyszeć z bliskiej odległości. Z daleka, czyli z przynajmniej kilkudziesięciu metrów, przypomina to bulgotanie gotującej się wody.



Samce żaby trawnej zwykle kłębią się w bajorku

Podejść do takiego niebieskiego zgromadzenia samców wcale nie jest łatwo. Tu, w Puszczy, bywają one bardzo płochliwe, choć są miejsca, w których nie boją się zbyt. Nawet drgania ziemi to dla nich wyraźne ostrzeżenie, że trzeba się schować pod wodę. Ucieczką reagują na ruch naszego cienia. Dlatego gdy wybieramy się na żaby moczarowe, trzeba polegać na słuchu. A jak już, nasłuchując, zlokalizujemy, gdzie są, to dobrze mieć ze sobą stołeczek albo matę, by usiąść lub się położyć przy bajorku i nie ruszać za bardzo. Gdy tak poczekamy w bezruchu, to po kilkunastu, a czasami kilkudziesięciu minutach nad wodą pojawią się pierwsze spiczaste niebieskie pyszczki samców i rozpocznie się koncert.

Miłość, miłość, a gdzie samice? Wśród tych niebieskich przepychających się panów bardzo trudno zobaczyć brązowe samice. W przeciwieństwie do samców nie zmieniają koloru i trudno je wypatrzeć. Łatwiej za to zobaczyć ślady ich obecności, czyli kiście skrzeku. Samice składają go nocą, bo wtedy odwiedzają panów. Im więcej w bajorku skrzeku, tym mniej niebieskich samców. Cały spektakl trwa około tygodnia.

Bardzo podobna w zachowaniu i wyglądzie do żaby moczarowej jest żyjąca głównie w lasach i parkach żaba trawna. Często obydwie gatunki występują razem, ale w bajorku od razu widać, kto jest kto. Żaby trawne są nieco większe, mają okrągłe pyszczki i tak naprawdę prawdziwie niebieskie

robią się tylko w okolicach podgardla. Żaby trawne zwykle przystępują do godów wcześniej niż moczarowe. Dorosłe żaby trawne i moczarowe bardzo szybko opuszczają bajorka i wracają na ląd. Natomiast młode żabki wychodzą z bajorek po dwóch-trzech miesiącach. Tyle zajmuje im wyklucie się ze skrzeku, przejście stadium kijanki i przeobrażenie się w żabę.



Na widok dudka zawsze się cieszę. Mało jest ptaków o tak intensywnych kolorach

Głowiasta wierzba

Wierzby głowiaste to takie, z których co pięć-sześć lat obcina się gałęzie wyrastające z góry pnia, czyli z głowy. Taki zabieg wykonywany, niestety, powszechnie na innych gatunkach drzew jest barbarzyństwem i robi drzewom krzywdę. Z polnymi wierzbami jest inaczej. Nie jest to ani szpecenie, ani ranienie drzewa, które może doprowadzić do jego śmierci. W dawnych czasach ogławianie wierzb było świetnym sposobem

na pozyskiwanie opału. Robiono to oczywiście w czasie spoczynku drzewa, czyli późną jesienią i zimą. Część gałęzi szła na opał, a niektóre sadzono. Spróbujcie sami. Wystarczy kawałek gałązki, niezbyt gruby, ale i niezbyt cienki, tak by dało się go wcisnąć głęboko w ziemię. Najlepiej taki do metra długości. Wbijamy taki patyk jak najgłębiej w ziemię, i już. Wierzbie naprawdę niewiele trzeba, by wypuścić korzenie i by z takiego patyka zamienić się w drzewko. Im więcej wilgoci na danym terenie, tym oczywiście lepiej. Przycinając takie drzewko i jego boczne gałęzie, najpierw co roku, a potem co kilka lat, możecie właśnie uformować własną wierzbę głowiastą.



DLACZEGO MIKOŁAJ REJ NIE LUBIŁ DUDKÓW?

Jak już postanowicie opuścić podmokłą łąkę, to zwróćcie uwagę na jej skraj. Granicą każdej porządnej łąki jest zwykle szpaler starych wierzb lub grusz. Najczęściej wyglądają, jakby miały się rozpaść. Mają popękane pnie, pełne zakamarków, dziupli i szpar. Według legend mieszkają w nich duchy i diabły, ale nie ma co się ich bać, bo podobno są dobrodusze.

Czartów z wierzb nie widziałem nigdy i nie będę opisywać, jak się na nie zacząć, ale za to wiem, że w drzewnych zakamarkach mogą sobie żyć inne, również bardzo ciekawe, istoty. Jedną z nich jest dudek. To ciepłolubny ptak, który przylatuje do nas w kwietniu, ale jego poszukiwania najlepiej rozpocząć w maju. Dudka kręcącego się przy dziuplach i karmiącego pisklęta możecie spotkać pod koniec czerwca. Tak jest, dudkowa wiosna zaczyna się i kończy późno.

Tropienie dudków najlepiej zacząć od wypatrzenia, po której łące łążą w poszukiwaniu owadów, a potem – w kierunku których drzew lecą ze zdobyczą. Tak traficie do dziupli. Gdy ją znajdziecie, raczej do niej nie zagłębajcie. Dudki potrafią się bronić, że hej. Podobno dawno temu moja wieś Teremiski była dudkowym eldorado. W starych dziuplastych wierzbach nad rzeką Łutownią co roku gniazda zakładało przynajmniej kilka par dudków. Tak mówią starzy mieszkańcy. Opowiadają też, że starsze dzieci namawiały młodsze, aby wsadzały ręce albo głowy do dziupli z młodymi dudkami. I się zaczynało!

Dudki, które mieszkają w niskich dziuplach, często z wielkim otworem, muszą jakoś się bronić. Młode syczą jak węże, a gdy to nie odstraszy prześladowcy, to strzelają okropnie śmierdzącą wydzieliną z gruczołów znajdujących się w okolicach kuprów. To dlatego Mikołaj Rej uznał dudki za ptaki śmierdzące i własne gniazdo kalające. Zupełnie niesprawiedliwie, bo dudki ani nie kalają gniazda, ani nie śmierdzą bez powodu. Robią to tylko wtedy, gdy ktoś im się pakuje do dziupli. Te niewielkie i delikatne ptaki nie miałyby szans na wychowanie dzieci, gdyby nie taki sposób obrony. Tak

samo zupełnie niesprawiedliwie twierdzi się, że ich gniazdo śmierdzi. Wiem, bo sam powąchałem. Nie śmierdzi do czasu, gdy ktoś je zaatakuje i dudki muszą użyć swojej broni chemiczno-biologicznej.

Jak ratować młode ptaki?

Jeżeli w wasze ręce trafi nieporadne pisklę, możecie mu udzielić pierwszej pomocy.

1. Umieśćcie je w ciepłym miejscu. Wiele z takich sierot jest wychłodzonych. Można pisklę delikatnie ogrzać lampą albo umieścić obok butelkę z ciepłą wodą. Karmienie ani pojenie wychłodzonych ptaków nie ma sensu, bo stracą jeszcze więcej energii.
2. Ogrzanego ptaka spróbujcie napoić ciepłą wodą. Zaczynajcie od kropelki z pipety w kąt dzioba. Jeżeli zobaczycie, że pije, wtedy podajcie następną.
3. Jeżeli to jest ptak owadożerny: sikora, jaskółka, wróbel, szpak lub kos, możecie go nakarmić jajkiem na twardo. To najlepszy pokarm, jaki możecie mieć pod ręką. Stosunek żółtka do białka powinien być 1:2, czyli na jeden kawałek żółtka dajcie dwa kawałki białka.



SOWA MĄDRA JAK ATENA?

Strzelanie kupą, choć okropne, nie dało jednak początku legendom o diabłach i duchach mieszkających w wierzbach. Podejrzewam, że to zasługa innego ptaszka – pewnej małej sowy, czyli pójdzki. Ona też uwielbia zakamarki i dlatego mieszka na strychach i w dziuplach wierzb głowiastych. O zmierzchu można zobaczyć, jak poluje na gryzonie i owady. Siada sobie wtedy na jakimś słupku na środku łąki w oczekiwaniu na ofiarę i przekrzywia swój śmieszny łepiek.

To przesympatyczna sówka, ale dawniej wierzono, że jej głos, od którego wzięła się jej nazwa, zwiastował nieszczęście. Raz jest kwilący i wysoki, a raz stłumiony, i podobno – bo ja wsłuchiwałem się w niego miliony razy i jakoś nie mogę tego usłyszeć – przypomina słowa „pójdz, pójdz w dołek pod kościółek” lub „na cmentarz”. Ludzie święcie wierzyli, że pójdzki wyciągają z chorych resztki sił. Oczywiście nie muszę wam mówić, że to jest straszna głupota, prawda?

Wróćmy do dziupli, bo tam właśnie pójdzki składają jaja. Samica, gdy już w kwietniu zacznie wysiadywać, nie da się spędzić z jaj żadną siłą. Młode wykluwają się po blisko miesiącu i w przeciwieństwie do piskląt wielu sów są tej samej wielkości. Oznacza to, że samica, która składa około czterech jaj, zaczyna wysiadywanie dopiero, gdy złoży ostatnie jajo. Dzięki temu wszystkie młode mają szansę przetrwać. Młode pójdzki karmione są przez

oboje rodziców i zwykle już w lipcu są poza gniazdem. I sami już widzicie, jak niesprawiedliwie potraktowano te naprawdę porządne ptaszki!

Po łacinie pójdzki nazywają się *Athene noctua*. Czy zauważyliście coś ciekawego w tej nazwie? Ależ tak, chodzi o Atenę, boginię wojny, ale też mądrości. Starożytni Grecy uznali pójdkę za ptaka bogini Ateny, bo wydawało im się, że stworzenie o tak bardzo ludzkim wyrazie twarzy musi być bardzo mądre. Ale choć pójdzka ma dużą głowę i wielkie oczy, to nawet wśród ptaków nie zalicza się do wielkich inteligentów.



Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się zrobić zdjęcie tej sympatycznej sowie, tylko trochę większej od sóweczki

Czym karmić młode ptaki owadożerne?

Często pytacie mnie, czy łapać dla nich muchy. Obawiam się, że same muchy nie wystarczą, bo tylu, by wychować małego ptaszka, nie dacie

radę złapać. Ale ponieważ najlepiej karmić takie ptaki owadami, proponuję zaopatrzyć się w sklepie zoologicznym w larwy mączników. Przed podaniem trzeba je dokładnie umyć i zabić. Żywa larwa mącznika może pokiereszować wnętrzności młodego ptaka. Na krótki okres świetnym pokarmem zastępczym dla młodych ptaków jest mieszanka serowa wymyślona przez Krystynę Rogaczewską i Jerzego Desselbergera. Oto jej receptura: biały ser pełnotłusty – 300 g, glukoza w proszku – 30 g (2 łyżki stołowe), mąka ryżowa – 15 g (1 łyżka stołowa), mąka kukurydziana – 12 g (1 łyżka stołowa), preparat witaminowy vitaral (Polfa) – 1 drażetka.

Biały ser powinien być dobrej jakości, świeży i niezbyt wilgotny; najlepiej nadaje się do tego celu ser wiejski. Mąkę ryżową można zastąpić kleikiem ryżowym w proszku albo ryżem gotowanym na gęsto. Mąki kukurydzianej nie można zastąpić kukurydzą w innej postaci. Vitaralu nie można zastąpić innymi preparatami witaminowymi, gdyż zawierają sól kuchenną, na którą ptaki są szczególnie wrażliwe. Przygotowanie: drażetkę vitaralu sproszkować (uprzednio zmyć polewę). Wszystkie składniki bardzo dokładnie wymieszać, aż do uzyskania masy o jednolitej barwie – chodzi o to, by równomierne rozprowadzić witaminy. Gotowa mieszanka powinna mieć konsystencję miękkiej plasteliny (w razie konieczności można ją zagęścić mąką kukurydzianą). Mieszanke umieścić w szklanym naczyniu i mocno ubić. Zamrożenie (–10 st. C) świeżej mieszanki na kilka godzin zwiększa jej trwałość i zapobiega fermentacji. W chłodni (4 st. C) można ją przechowywać przez 7 dni; w temperaturze pokojowej zachowuje dostateczną świeżość przez blisko 12 godzin. Z takiej mieszanki robimy kuleczki, które na wykałaczce wkładamy do otwartego dzioba. Karmienie trwa, dopóki maluch ma ochotę na jedzenie. Po karmieniu podajemy pipetą trochę wody.





Wiosna to ostatni moment, żeby wybrać się do Puszczy Białowieskiej i coś ciekawego zobaczyć. Już za chwilę gęste korony drzew odetną światło i w lesie będzie ciemno jak w nocy. Nie tylko nie zajrzycie wtedy w leśne zakamarki, ale nawet trudno będzie wam zobaczyć, jak wielkie są drzewa. Wiosną możecie obserwować za to do woli, a jest co, bo wiosenny las tętni życiem.

Opowiem wam teraz o rzeczach pozornie obrzydliwych, bo o gnijącym drewnie oraz o owadach, które nazywamy – zupełnie bez sensu i bez powodu – szkodnikami. To te „obrzydliwości” tak naprawdę tworzą las i umożliwiają życie wielu zwierzętom, które już obrzydliwe nie są.

Gdy będziecie podróżować z Hajnówki, która jest bramą do Puszczy Białowieskiej, w kierunku Białowieży, która znajduje się w jej centrum, to po obu stronach szosy zobaczycie niesamowity las. O taki las bardzo trudno w innych częściach Polski. Pomiedzy drzewami zauważycie świerki z rdzawymi, uschniętymi igłami, a czasem nawet ogołocone z kory i pozbawione gałęzi. Miejscami widać będzie tylko pnie martwych świerków, które wyglądają jak gigantyczne maszty bez żagli. Zauważycie połamane przez wiatr drzewa, które wyglądają, jakby jakiś olbrzym grał nimi w gigantyczne bierki. Jakbyście próbowali przejść przez nie, to albo połamalibyście nogi, albo zajęłoby to wam całą wieczność. Katastrofa? Owszem, ale tylko z pozoru, bo w puszczy to także rzadka szansa dla innych gatunków. A dla nas to okazja na spotkanie z niesamowitym i bardzo rzadkim ptakiem. Ale zanim o nim, muszę wam wyjaśnić, kto tu tak narozrabiał.

ATAK NA FORTECĘ

Parę lat temu na tym pobojuwisku stał sobie zielony, świerkowy las. Sądząc po całkiem grubych pniach, miał ponad sto lat. Co dokładnie się stało, pewnie nie dowiemy się nigdy. Może niski poziom wód gruntowych? Może robota jakiegoś grzyba? Trudno powiedzieć. Na pewno trwała ciepła wiosna, bo żeby rozpoczął się taki atak, temperatura musi być powyżej 11 stopni, i wszędzie unosił się zapach aromatycznej żywicy. Z jakiegoś powodu korniki – małe, bo zaledwie cztero-, pięciomilimetrowe chrząszcze – poznały, że kilka świerków jest osłabionych. To był sygnał do ataku.

Myślicie, że to takie proste wgryźć się w korę, i już? A drzewa się tak temu biernie poddają? Otóż nie. Kornik drukarz (jeden z kilku naszych korników, chyba najpospolitszy) i świerk współistnieją od tysięcy lat i od tego czasu trwa między nimi nieustanna walka, ale kornik nigdy sam nie przebije kory świerku. Jak to, powiecie, przecież nieźle sobie radzą z naszymi meblami! Korniki nie jedzą mebli, te od mebli to kołatki, korniki atakują tylko żywe drzewa. I to też nie tak hop-siup.

Korniki uzbrojone są w mocne żuwaczki i zarodniki pewnego rodzaju grzyba, który pomaga im osłabić roślinę, ale świerk jest jak forteca. Na atakujące korniki drzewo wylewa żywicę niczym obrońcy smołę na tych, co podchodzą pod mury. Pierwsi atakujący giną od razu. Jeżeli jest ich mało, nie mają szans na ten podbój. Jedynym sposobem jest zwołanie kolegów. „Chłopaki, atakujemy świerk i potrzebujemy pomocy! Każdy, kto jest w pobliżu, niech przybywa!” – rozsyłają po całym lesie.



Martwe drzewa rozkładają się bardzo długo i są domem i pokarmem dla wielu istot

Korniki oczywiście nie krzyczą, wysyłają chemiczną informację. I jeżeli mają trochę szczęścia, to na ich sygnał przybywają zastępy małych wojowników w brązowych pancerzykach. Jeżeli jest ich wystarczająco dużo, udaje się im przełamać linie obronne drzewa.

Gdy zdobędą fortecę, a świerk obumiera i przestaje sączyć żywicę, samce drążą specjalne komory, do których przywołują samice. Każdemu z samców udaje się zwykle zwabić do swojej komnaty od jednej do kilku samic. Po zapłodnieniu razem już drążą długie, bo ponaddziesięciocentymetrowe korytarze. Tam samice składają do stu jaj. Z tych jaj wykluwają się larwy, które będą drążyć swoje korytarze i odżywiać się łykiem oraz miazgą żyjącego jeszcze świerku. Korytarzy jest tyle, że pod korą drzewa powstaje rozgałęziony wzorek. Po przejściu w stan poczwarki i przeobrażeniu się młode korniki wylatują w poszukiwaniu nowych świerków. I atak na drzewa rozpoczyna się na nowo.

Drzewa, które nie mogą przewodzić wody i substancji odżywczych, obumierają. W Puszczy Białowieskiej korniki są w stanie dokonać kilku takich ataków rocznie. Efekty ich pracy są jednak widoczne tylko wtedy, gdy jest gradacja, czyli gdy korników jest bardzo dużo.



Czarki to wiosenne grzyby, które potrzebują rozkładających się gałązek

KATASTROFA TO SZANSA

Jeżeli na taki zaatakowany przez korniki las spojrzemy okiem producenta drewna, to rzeczywiście stała się katastrofa. Mniejsza jednak, niż gdyby ten las wyciął człowiek i zostałyby tu tylko pieńki. Po ataku korników las żyje. Jak suchy las może żyć? Może, tylko trzeba spojrzeć na to okiem przyrodnika.

Jak pisze w swoich pracach profesor Jerzy Gutowski z Zakładu Lasów Naturalnych Instytutu Badawczego Leśnictwa, dzięki działalności korników martwe drewno jest miejscem życia dla ponad stu rzadkich i ginących gatunków chrząszczy. Niektóre z nich, takie jak: zagłębek bruzdkowany, bogatek wspaniały, zgniotek cynobrowy, rozmiazg kolweński lub ponurek Schneidera, to bardzo rzadkie już dziś owady. A bogatek do tego jest śliczny, bo mieni się wszystkimi kolorami tęczy.

Ciekawe jest to, że tam, gdzie korniki zwalczamy, i tam, gdzie tego nie robimy, gradacja, czyli właśnie masowy ich atak, trwa mniej więcej tyle samo. A to dlatego, że naturalnych wrogów korników jest kilkakrotnie więcej w lasach, w których z nimi nie walczymy. Na korniki polują pasożytnicze roztocza, nicienie, grzyby i owady, takie jak błonkówki, różne muchówki oraz chrząszcze. Jeden niewielki chrząszcz przekrasek mróweczka potrafi w ciągu życia zjeść sto korników! Kornikom nie służy także pogoda – gdy zima jest

ostra, może paść i połowa populacji. Jednym słowem, korniki nie mają łatwego życia.

A las? Las bardzo szybko zabliznia rany. Katastrofa starych świerków jest szansą dla młodego pokolenia, które chronione przez martwe cielska przodków rośnie w oczach. Te drzewka muszą konkurować ze sobą, dzięki czemu powstaje dużo lepszy las, niż gdyby został on posadzony przez człowieka.



Dzięcioł czarny wykuwa największe dziuple spośród naszych dzięciołów

Wiosenne grzybobranie

Przeciętny zjadacz chleba jest przekonany, że jesień to grzybowa pora. Otóż cały rok jest grzybowy. Mamy grzyby zimowe, takie jak zimówka aksamitnotrzonowa, a zimą i wczesną wiosną na pniach czarnego bzu możecie zobaczyć uszaka bzowego zwanego uchem Judasza. To jadalny

grzyb ceniony w kuchni azjatyckiej, który rzeczywiście przypomina trochę ucho.

Są też grzyby typowo wiosenne. Rosnące w lasach i przypominające fałdy mózgu piestrzenice albo pojawiające się na trawnikach – szczególnie tam, gdzie są pnie po wyciętych drzewach – czernidłaki. W puszczy zaś rośnie grzybek, który dla mnie jest takim znakiem wiosny jak dla innych białe kwiaty przebiśniegów. To czarka. Wśród naukowców cały czas toczy się dyskusja, czy mamy czarkę szkarłatną, czy austriacką, albo czy jedną i drugą, ale to dyskusja dla specjalistów, ponieważ tylko oni są w stanie je odróżnić. I tym zajmować się nie będziemy.

Czarki, które wystają spod śniegu, są właściwie pierwszym kolorowym elementem w lesie po zimie. Wyglądają jak małe szkarłatne miseczki i nawet czasami zbiera się w nich woda. Nie zobaczycie ich wszędzie. Są tam, gdzie jest wilgotno i nie brakuje martwego drewna. Czarka najbardziej lubi opadłe, niezbyt grube gałęzie drzew. Zupełnie czego innego potrzebuje kolejny wiosenny grzyb, a mianowicie żółciak siarkowy. Wyrasta na obumierających i martwych grubych pniach i jest pomarańczowy jak żółtko jajka.



DZIWAK WŚRÓD DZIECIOŁÓW

Obumierające lasy to jedyna szansa, by zobaczyć dziecięcia trójpalczastego, bo korniki są ważnym składnikiem jego diety. To absolutny dziwak wśród dziecięciół. Nie dość, że ma trzy palce, to jeszcze samiec ma żółtą czapeczkę, w przeciwieństwie do innych gatunków, które jeżeli w ogóle mają czapeczkę, to czerwoną. To mój ulubiony dziecięciół, bo zwykle jest napuszony i wygląda niczym pluszowa maskotka.

Wprawne ucho (moje, niestety, nie jest takie, bo należę do osób, o których mówi się, że słoń nadepnął im na ucho) potrafi rozpoznać po bębnieniu gatunek dziecięciola. Mnie udaje się to tylko jako tako przy dziecięciu trójpalczastym. Jeżeli gdzieś w Karpatach albo w Puszczy Białowieskiej, Knyszyńskiej lub Augustowskiej uda się wam znaleźć las zaatakowany przez korniki i usłyszycie wiosną takie szybkie bębnienie z wolnym finałem, to znaczy, że dziecięciół trójpalczasty polubił tę okolicę i ma zamiar tu zamieszkać. Takim szybkim bębnieniem samiec informuje, że to terytorium jest już zajęte. To zwalnianie na końcu jest charakterystyczne dla dziecięciola trójpalczastego, bo na przykład dziecięciół duży, nie wspominając o czarnym, bębni, jakby strzelał z karabinu maszynowego. Zwalnia trochę dziecięciółek, najmniejszy z naszych dziecięciółów.

Bębnienie jest formą komunikowania się w czasie godów i wiosną ma się wrażenie, że las został opanowany przez armię szalonych doboszy. Bo musicie wiedzieć, że jeżeli jakiś gatunek dziecięciola bębni, to robią to

i samce, i samice. Choć są gatunki dzięciołów, które bardzo mało albo w ogóle nie bębnią i w czasie godów porozumiewają się zupełnie inaczej. Dzięcioł zielonosiwy głównie krzyczy, choć niektórzy twierdzą, że raczej donośne gwizdże. Jeszcze mniej bębni i więcej krzyczy dzięcioł zielony, którego krzyk przypomina chichotanie. Natomiast dzięcioł średni, gdy przyjdzie mu ochota na założenie rodziny, jęczy i w ogóle nie bębni.



Zawilce, jedne z pierwszych wiosennych kwiatów w lesie, to przysmak żubrów

Kolorowy świat na dnie lasu

Wiosną w puszczy mamy prawdziwy dywan kwiatów, ale kolorowo jest tu tylko przez chwilę. Dopóki liście w koronach drzew nie rozwiną się na tyle, że odetną światło. Rośliny żyjące na dnie lasu mają naprawdę ciężki żywot, bo muszą zrobić wszystko, co ważne, w bardzo krótkim czasie. Jak tylko skończą się pierwsze mrozy i stopnieje śnieg, muszą wyrosnąć, szybko zakwitnąć, rozmnożyć się i wytworzyć nasiona. A to wszystko do początków maja, bo wtedy drzewa mają już gęste liście i pora umierać. Tyle czasu mają na przykład zawilce, które choć trujące dla nas, są przysmakiem żubrów. Troszkę ciepła wystarczy, by z kłączy, czyli tego, co znajduje się pod ziemią, wystrzeliły zielone listki i białe kwiaty. Takie kłącze rozrasta się do siedmiu lat, a potem wyrasta z niego kolejne kłącze.

Genetycznie są identyczne, co oznacza, że jest to ten sam organizm i może tak naprawdę mieć setki lat. Razem z zawilcami pojawiają się też fioletowe przylaszczki, kwitnące na żółto śledziennice o małych niepozornych kwiatach, a także fioletowe lub różowe kwiaty wawrzynka wilczełyko, który kwitnie, zanim jeszcze wypuści listki. Uważajcie, bo ma on silnie trujące czerwone owoce! Za to bardzo smaczny jest czosnek niedźwiedzi, który w wiosennych lasach tworzy całe kwieciste dywany. Z wyglądu trochę przypomina konwalie, ale pomylić go z nią nie sposób, bo bardzo mocno pachnie czosnkiem. Co prawda jest chroniony, ale nic się nie stanie, gdy skubniecie parę listków. Jeżeli wam zasmakuje, kupcie nasionka, wysiejcie go w ogródku i wtedy zupełnie w zgodzie z prawem możecie robić z niego pyszne wiosenne sałatki.



CZY DZIĘCIOŁ JEST LEKARZEM DRZEW?

Jeżeli już para dzięciołów się dobierze, to wtedy wykuwają dziupłę. Dzięcioły trójpalczaste najczęściej robią to w martwym lub obumierającym świerku. Nie musi to być wielkie drzewo, a dziupla czasem jest bardzo nisko, nawet metr nad ziemią. Dom dzięciołów trójpalczastych można poznać po tym, że kora wokół jest odłupana.

Jak to możliwe, że dzięcioł nie złamie sobie dzioba od tego kucia? By było im łatwiej, dzięcioły zakażają drzewa grzybami. Peter Pechacek, jeden z najlepszych znawców tego gatunku, twierdzi, że dzięcioł trójpalczasty umyślnie kaleczy drzewa, by grzyby mogły je bez wysiłku atakować, bo rozmiękczają drewno. Okazuje się, że dzięcioły trójpalczaste robią dziuple w drzewach, w których już wcześniej kuły.

Do podobnych wniosków doszli też badacze amerykańscy, którzy stwierdzili, że istnieje coś w rodzaju współpracy między niektórymi gatunkami dzięciołów i grzybów, które wykonują za nie część pracy. Dzięcioły nie tylko ranią drzewa, aby przenoszonym przez wiatr zarodnikom grzybów było łatwiej, ale najczęściej same roznoszą zarodniki.

Czy takie infekcje są niebezpieczne dla drzew? Nie zawsze. Amerykańskie dzięcioły przenoszą tylko te rodzaje grzybów, które atakują twarde części pnia, a zostawiają nietknięte warstwy odpowiedzialne za przewodzenie wody i soków. Drzewo więc żyje dalej, co jest przecież także w interesie dzięcioła. Spróchniałe mogłoby paść razem z gniazdem i przestałoby służyć gościom. Tak czy inaczej, nazywanie dzięciołów lekarzami drzew to wielka pomyłka.



Dla dzięcioła trójpalczastego lasy, w których nie ma gradacji kornika i masowego zamierania świerków, to pustynia

WDZIĘCZNOŚĆ DLA KORNIKÓW

Dziuplę dzięcioła trójpalczastego najłatwiej namierzyć w czerwcu. Jak? Po hałasie! Maluchy, które tuż po wykluciu są cicho, w czerwcu rozpoczynają wielkie darcie się. Małe trójpalczaki to zdecydowanie najgłośniejsze ze wszystkich dzięciołów. Szybko jednak wylatują z dziupli i koczują po okolicy w poszukiwaniu drzew zaatakowanych przez korniki.

Życie tego śmiesznego dzięcioła polega na szukaniu miejsc, które my uznajemy za dotknięte tragedią. Są wszędzie tam, gdzie las doświadczył efektów wiatrołomów, pożarów czy ataku grzybów. Ale w Polsce takich miejsc, w których rośnie prawdziwy las, jest bardzo mało. Jeśli jednak tam traficie, posłuchajcie, czy gdzieś nie słychać takiego delikatnego stukania.

W przeciwieństwie do innych dzięciołów trójpalczasty nie będzie się was bał i będziecie mogli go obserwować nawet z kilku metrów, bez ukrywania się i maskowania.

Mam nadzieję, że uda się wam zobaczyć trójpalczaka, jak mówią o nim pieszczotliwie ornitolodzy. Wtedy zrozumiecie, jak ważną rolę odgrywają korniki w lesie, i będziecie im wdzięczni.

Gwiżdżące, głuchnące i bulgoczące kury

Na wiosnę nie można zapomnieć o leśnych kurakach. Najpospolitszy z nich to jarząbek. Widzimy go zwykle, gdy zaczyna przed nami uciekać – na początku na piechotę, a dopiero gdy uzna, że sytuacja jest naprawdę niebezpieczna, zrywa się do lotu ze świstem skrzydeł. Wiosną i jesienią jarząbki bardzo często sobie poświstują. Tak wysoko, że trudno to skojarzyć z całkiem sporym ptakiem. Czasami świstanie jarząbka dobiega z ziemi, a czasami z drzew, bo jego przysmakiem są pączki drzew i leśne owoce. Jarząbki spotkacie na północnym wschodzie Polski i na południu. To najpospolitsze leśne kuraki. Najrzadszymi są głuszce. W Polsce mieszka ich nie więcej niż 250 – w Borach Dolnośląskich, Puszczy Solskiej, Lasach Janowskich, Puszczy Augustowskiej oraz Tatrach i Beskidach. Na przełomie marca i kwietnia głuszce zaczynają zaloty. Samce nocą zajmują czubki drzew lub wysoko rosnące gałęzie i siedzą tam do rana. Kiedy wschodzi słońce, opuszczają skrzydła, unoszą głowę i zaczynają pieśń, by przywabić samice. Pieśń składa się z kilku części, które dzięki swojemu brzmieniu zostały nazwane: kłapaniem, trelowaniem, korkowaniem i szlifowaniem. W trakcie ostatniej części ptak zupełnie głuchnie i temu zawdzięcza swoją nazwę. Na skrajach lasów swoje gody odprawia inny rzadki i zagrożony kurak – cietrzew. Żyje w północno-wschodniej Polsce i na południu – w Tatrach i Izerach. Lubi torfowiska, mokradła i górskie łąki. Toki cietrzewi polegają na tańcach i walkach, w czasie których samce rozkładają swoje ogony przypominające liry i śmiesznie gulgoczą.





Najpospolitszym leśnym kurakiem, czyli kuzynem głuszca i cietrzewia, jest jarząbek

STRACH MIESZKAĆ W TAKIEJ DZIUPLI

Amerykańskie dzięcioły przez wiele lat korzystają z jednej dziupli, ale nasze wykuwają ich wiele. Jedną, by wychować w niej młode, a inne, by się w nich przespać (w dziupli z dziećmi, gdy te podrosną, panuje straszny tłok). Czasem z nieznanych powodów dzięcioły porzucają swoją dziuplę i kuja sobie nową. Dziupli po dzięciołach jest więc w puszczy pełno. Duże po dzięciole czarnym, a małe po dzięciołku. Bardzo wysoko z jajowatym wlotem po dzięciole biało-grzbiętym i bardzo nisko z niemal idealnym okrągłym otworem po dzięciole średnim lub trójpalczastym. No i cała masa dziupli po dzięciole dużym, który jest tutaj najpospolitszym gatunkiem. Jednym słowem, pełno wokoło wolnych domów do zajęcia.

Nic się jednak nie marnuje, bo dziuple po dzięciole czarnym zamieszkują sowy włochatki, kaczki gągoły oraz gołębie siniaki. Te wysoko na drzewach zajmują jerzyki, te niżej szpaki, które są takimi łobuzami, że jak im się spodoba jakaś dziupla, to potrafią nawet wygonić z niej dzięcioła. Pomimo tej przemyślanej gospodarki mieszkaniowej cała masa dziupli po dzięciołach stoi pusta. Czyżby brakowało chętnych?

Pomyślcie, że coś tu nie gra, bo przecież w parkach i ogrodach sikory bogatki czy modre chętnie wprowadzają się do budek lęgowych, dlaczego

więc nie zajmują dziupli po dzięciołach? Nie tylko nie zajmują, ale nawet bardzo ich unikają. Tylko prawdziwe desperatki wśród sikor zamieszkują takie dziuple – zaledwie parę procent. Odważnych muchołówek jest nieco więcej, ale też nie lubią domów po dzięciołach. Dlaczego? Małe ptaki jak ognia boją się dzięcioła dużego, który ma w zwyczaju odwiedzanie swoich – i nie tylko swoich – starych dziupli i jak tylko zastanie tam jaja albo pisklęta, to natychmiast je zjada. W sumie nie robi mu różnicy, czy pochłonie tłustą larwę, czy różowego pisklaczka muchołówki albo sikory.

Wiele razy widziałem muchołówki białoszyje wpadające w panikę na widok dzięcioła, który właśnie odwiedził okolicę. Nawet kowaliki, które potrafią za pomocą gliny zmieszanej ze śliną oblepić otwór wlotowy, by pasował do ich rozmiarów, unikają starych dziupli dzięciołów. Cóż się dziwić, takie gliniane zabezpieczenie to pestka dla dzięcioła.

Gdzie zatem mieszkają małe ptaki w lesie? Sikory czarnogłowe i czubate same wydłubują sobie dziuple w spróchniałym pniaczku, ale to są wyjątki, bo reszta musi szukać schronienia. Na szczęście dla innych sikor, muchołówek białoszyich i małych oraz kowalików w puszczy nie brakuje naturalnych dziupli. Powstają, gdy trochę wody dostaje się w szczelinę drzewa i po zamarznięciu woda rozsadza je od środka. Dziuple czasem drążą grzyby, które atakują drzewo w miejscu po złamanej gałęzi. Najbardziej dziuplastymi drzewami w Puszczy Białowieskiej są graby, a w innych rejonach, na przykład na południu, mogą to być buki. Graby, jeżeli ludzie im pozwolą rosnąć bez interwencji, robią się pokręcone i czasami przypominają dziwne stwory. Dużo naturalnych dziupli mają także lipy.

Za takimi właśnie dziuplami rozglądają się przylatujące w kwietniu z Afryki muchołówki białoszyje. To przy nich koncertują samce w czasie godów, bo samice nie tylko oceniają kandydatów na mężów po upierzeniu i śpiewie, lecz także zwracają baczną uwagę na dziuple.

KIEDY DZIUPŁA ZJADA GNIAZDO

Poszukiwanie domu trwa wiosną i w maju najlepsze dziuple są już zajęte. Są takie dziuple, które zajmowane są przez całe lata. Raz przez muchołówki, a potem przez rudziki albo na odwrót. Wiosną trzeba więc się spieszyć, by wybrać jak najlepsze mieszkanie. To ważne, żeby było bezpieczne, bo na małe ptaki czyhają też kuny i gryzonie. Myszy leśne świetnie się wspinają i nie przepuszczają jajom czy pisklętom.

Z tego powodu naturalne dziuple, które znajdują się nisko i mają duże otwory, nie są idealnym miejscem do założenia rodziny, bo nie zabezpieczają przed drapieżnikami. Mają jednak inną bardzo ważną zaletę – pożerają gniazda.

Pomyślcie teraz, że zwariowałem, ale to prawda. Czy kiedyś jesienią czyściliście budki lęgowe? Zawsze pełno w nich pasożytów, ale w dziuplach naturalnych nie ma tego problemu. Potwierdziły to badania profesora Tomasza Wesołowskiego, znawcy Puszczy Białowieskiej. Jak to możliwe?

Dziuple są „sprzątane” przez grzyby, bakterie i owady, których w budkach nie ma albo których jest tak mało, że nie potrafią sobie same poradzić.

W naturalnej dziupli jest ich pełno i gdy młode muchołówki zbierają się do opuszczenia domu, z gniazda, w którym się wychowały, nie zostaje już prawie nic. Nieco trwalsze są gniazda sikor, ale i one znikają do następnego sezonu lęgowego i ptaki powracające wiosną z zimowisk mają wysprzątany dom, który wygląda, jakby go nikt wcześniej nie zajmował.

KRWAWY DRAPIEŹNIK W ROZMIARZE MINI

Jest jednak ptak, przed którym pryskają myszy i nornice, a małe ptaki na jego widok wpadają w zupełny popłoch. To sóweczka, nasza najmniejsza sowa. Waży 60-80 gramów i rozmiarami zbliżona jest do szpaka. Nie dałbym się zwieść ładnej nazwie i rozmiarom sóweczki, bo przy niej nawet puchacze i puszczyki to mięczaki. Polują one na wielokrotnie mniejsze od siebie ofiary, głównie gryzonie, a taka sóweczka zjada nornice (trzy-cztery razy od niej mniejsze), myszy leśne (dwa razy mniejsze), a nawet kosy, które są od niej i większe, i cięższe.

Zobaczyć sóweczkę nie jest łatwo, bo jest maleńka i ma świetnie maskujące upierzenie, które sprawia, że wygląda jak kawałek kory. W puszczy, w której żyje ich całkiem sporo, bo między 100 a 200 par, tropienie ich przypomina poszukiwanie igły w stogu siana. Chyba że zdecydujecie się polegać nie tylko na swoim sokolim wzroku, lecz także okolicznych ptaków. Zobaczycie, jakie emocje wzbudza sóweczka! Jeżeli tylko ją gdzieś wypatrzą, wpadają w szal. Gdy tylko usłyszycie gdzieś jazgot sikorek, rudzików, kowalików i zaniepokojone odgłosy dzięciołów i kosów, to znaczy, że w okolicy jest drapieżnik. I bardzo prawdopodobne, że będzie to właśnie sóweczka.

Możecie też próbować szukać jej po odgłosach. Wczesną wiosną samiec oznaczający terytorium będzie bardzo wyraźnie gwizdał. To takie bardzo dźwięczne „fiu, fiu, fiu” – czasami długie i pociągłe, a gdy jest zdenerwowany, to szybkie. Przy dziupli też pogwizduje, ale znacznie ciszej. Samica odpowiada mu świszczącym głosem. Takie nawoływania możecie usłyszeć na początku kwietnia oraz w maju i czerwcu.



Młody puszczyk uralski wygląda na bezbronnego puchatka, ale nie radziłbym się do niego zbliżać.
Rodzice potrafią ostro bronić młodych

DLACZEGO SÓWECZKA ŚPIEWA?

Pierwsze nawoływanie sóweczek, czyli to z początku kwietnia, oznacza, że samiec znalazł dziuplę i teraz kusi samicę. Wybranka ocenia, czy dziupla nadaje się na schronienie dla młodych. Czasami samiec proponuje partnerce kilka dziupli do wyboru. Nie może to być byle co. Ważny jest rozmiar mieszkania – sóweczce odpowiadają dziuple pozostawione przez dzięcioła trójpalczastego, dużego lub biało-grzbiatego. Istotna jest też lokalizacja – sóweczka nie jest w stanie obronić jaj i piskląt przed kuną, dlatego dziupla musi być głęboka i mieć wąski wlot, by wślizgnęła się tam sóweczka, a nie drapieżnik. A że wybór nie jest prosty, to sóweczki dużo o przyszłym mieszkaniu dyskutują.

Potem rozgadają się w maju, gdy samiec przynosi wysiadującej samicy jedzenie. U sóweczek wysiaduje tylko mama i jak na sowy mają one dość nietypowy sposób wysiadywania jaj. Puszczyk zaczyna wysiadywać, gdy pojawi się pierwsze jajo, i gdy znosi następne, zarodek w tym pierwszym jest już całkiem rozwinięty. W efekcie młode wykluwają się w dużych odstępach czasu i gdy wykluwa się ostatni, jego starsze rodzeństwo może być już całkiem pokaźnych rozmiarów. Z tego powodu najmniejszy puszczyk jest dość często zjadany przez resztę.

Sóweczka ma inny system. Jaja również znosi w odstępach, najczęściej dwudniowych, ale wysiadywanie zaczyna dopiero, gdy pojawi się ostatnie jajo. No, czasami przedostatnie. Po miesiącu wysiadywania maluchy wykluwają się niemal w tym samym czasie i małe sóweczki dorastają mniej więcej w takim samym tempie.

W czasie wysiadywania to samiec karmi partnerkę. Cichutkim gwizdaniem daje znać, że jest w pobliżu, i samica syczeniem odpowiada, że zaraz odbierze dostawę. Potem, gdy w połowie maja wykluwają się młode, odgłosów jeszcze przybywa, bo syczą też maluchy. Samiec więc wciąż przynosi jedzenie, samica je odbiera i karmi dzieci. Czasami sama coś upoluje albo przyniesie jakieś zapasy, bo sóweczki są strasznie przezorne i zawsze wokół gniazda mają spiżarnię. Spiżarnia to może za dużo powiedziane, bo zwykle jest to gałąź albo złamany konar, na którym coś można położyć bez obawy, że spadnie. Dlatego okolica dziupli musi obfitować w różnorodne zakamarki.

Aby to wszystko zaobserwować, nie musicie wybierać się do lasu nocą. W nocy sóweczki nie polują, bo niezwykle słabo wtedy widzą. Prawie tak źle jak my. Za to znacznie lepiej widzą kolory niż nocne sowy. Dzięki temu sóweczka jest nie tylko świetnym łowcą gryzoni, ale także ptaków. Wypatrzy je bez problemów, nawet gdy kryją się wśród gałęzi. Sóweczki najczęściej polują wczesnym przedpołudniem i późnym popołudniem, czyli wtedy, gdy jest najlepsza widoczność i gdy ofiary – ptaki i gryzonie – są najbardziej aktywne.



Sóweczka, choć malutka, jest super skutecznym myśliwym

DO GÓRY, W KORONY

Młode sóweczki w porównaniu z innymi sowami długo siedzą w dziupli. Młode puszczyki opuszczają dziuplę, gdy są jeszcze puchatymi, szarymi kulkami, które nie potrafią latać. Sóweczki wyłazą po mniej więcej 30 dniach od wyklucia i w przeciwieństwie do puszczyków są już wtedy całkiem sprawnymi lotnikami.

Nie muszą się spieszyć z wyjściem na świat, bo ich dziuple są w miarę bezpieczne i przez wąski otwór nie wślizgnie się kuna. Za to bycie sóweczkowym maluchem w lesie jest szalenie niebezpieczne. Dlatego maluchy, gdy już wylecą, to co sił w małych skrzydełkach i zaopatrzonych w pazurki łapkach starają się wleźć jak najwyżej i schronić się w gęstych koronach drzew. Takie zawody we wspinaniu zwykle mają miejsce pod koniec czerwca.

Młode sóweczki, które opuściły dziuplę, przechodzą spod opieki mamy pod wyłączną kuratelę ojca. Razem będą koczować po puszczy, poznawać las i dorosłe życie. Tak kończy się okres ich dzieciństwa, a dla mnie wiosna, bo wyłot sóweczek i dzięciołów trójpalczastych to dla mnie znak, że zbliża się lato.



Marzycie o spotkaniu z fantastycznymi zwierzętami, smokami i bajkowymi stworami? Szukajcie wiosną bajorek, jeziorok i stawów! Wcale nie muszą to być wielkie akweny, wystarczy zupełnie zapomniana sadzawka lub glinianka. Nie pożałujecie!

Stałem sobie nad brzegiem jednego z bajorek w pobliżu warszawskiej Cytadeli i aż krzyknąłem z wrażenia: „Krokodyl!” Tak naprawdę nie byłem do końca pewien, czy to krokodyl, czy może bardziej jakiś wodny smok. Mogło to być zarówno jedno, jak i drugie, bo stworzenie, które płynęło w moim kierunku, było naprawdę niezwykle. Wyglądało jak jakiś prehistoryczny jaszczur, miało spłaszczony ogon, a na grzbiecie dziwaczny grzebień. No i było ogromne!

Stwór nie był oczywiście krokodylem ani tym bardziej wodnym smokiem, ale wspaniałym okazem traszki grzebieniastej. Byłem wtedy małym chłopcem, a jak jest się małym, to wszystko wydaje się większe, niż jest w rzeczywistości. Ta moja przygoda sprzed lat świetnie jednak oddaje świat naszych bajorek, tych większych i mniejszych. Świat przedziwnych stworzeń o fantastycznych kształtach i życiu jak z bajki.

KOLCZASTY MIESZKANIEC BAJORKA

Czasami bajorka są tak małe, że wydaje się, że nie ma w nich żadnych ryb. Ale bajorka, choć małe, mogą być głębokie, a wtedy ryby w nich są i mają się naprawdę dobrze. Szczególnie te małe. Najpospolitszymi są ciernik i cierniczek. Cierniczek to ten mniejszy, z większą liczbą kolców na grzbiecie i mniej opancerzony. Ciernik ma zwykle trzy lub pięć kolców na grzbiecie,

dwa kolce na brzuchu i płytki, które przykrywają go niczym pancerz po bokach. Wygląda bardzo groźnie!

Nie wszystkie cierniki są tak samo opancerzone. Zdarzają się populacje bardzo opancerzone (to te, które mieszkają w morzach) oraz takie, które pancerza w ogóle nie mają. A teraz zapytacie pewnie, jak to możliwe, że cierniki żyją i w morzach, i w sadzawkach. Możliwe, bo cierniki mają małe potrzeby środowiskowe, czyli są bardzo tolerancyjne i niewymagające, i dlatego mogą mieszkać i w słonym morzu, i w słodkowodnej sadzawce oddalonej o setki kilometrów od morza. Podsumujmy: żyją prawie wszędzie poza zimnymi górskimi potokami, mają kolce i pancerz. Potrafią być bardzo agresywne i drapieżne, wyjadają ikrę i narybek innym rybom. Wychodzi nam istna ryba bojowa!

Coś w tym jest, chociaż trzeba pamiętać, że ciernik ma zwykle pięć-sześć centymetrów długości, czyli naprawdę groźny jest tylko dla małych przeciwników. Więksi zjadają go ze smakiem i nawet za bardzo im te kolce nie przeszkadzają. Widziałem, jak zimorodek schwycił ciernika i tłukł nim o gałązkę, by nieco go zmiękczyć i połamać kolce. Ze zjadaniem cierników nie mają problemu ani wydry, ani kormorany. Dla czapli to tylko kłapaniecie dziobem. Ciernik więc może być panem i władcą bajorka pod warunkiem, że w okolicy nie ma nikogo większego.

Wiosna dla cierników zaczyna się w maju i wtedy samce robią się intensywnie kolorowe – na brzuszku czerwone, a na grzbiecie metalicznie niebieskie lub zielone (to akurat zależy od tego, kto na nie patrzy). Ale te małe rybki nie tylko potrafią ładnie wyglądać, lecz także są niezłymi budowniczymi. Samce za pomocą specjalnej wydzieliny sklejają z kawałeczków roślin gniazdko i zapędzają do niego pojedynczo napotkane samice. Samica składa tam do 200 jaj i zaraz samiec ją wygania. Te ciernikowe zaloty wyglądają na bardzo brutalne, ale jest w tym sens. Samicom zależy przecież na tym, żeby tylko ich potomstwo przetrwało, i mogą wyjadać ikrę złożoną przez poprzedniczki. Samcowi zależy zaś, by mieć jak najwięcej dzieci. Gdy wszystkie samice znajdujące się na jego terytorium zniosą jaja, to samiec zajmuje się dziećmi. I to bardzo troskliwie. Nie tylko przegania intruzów, ale też „wentyluje”, czyli za pomocą ruchów płetw dba, by rozwijającym się jajom, a później młodym, nie zabrakło dobrze natlenionej wody.

Obserwowanie tych małych rybek jest fascynujące i możecie spróbować przyjrzeć im się z bliska we własnym domu, czyli po prostu założyć ciernikowe akwarium. Kiedyś, dawno temu, hodowałem cierniki i było to prawdziwe wyzwanie. Wbrew pozorom ich hodowla nie jest wcale łatwa, ale – słowo daję – obserwowanie, jak budują gniazda, zalecają się i opiekują ikrą, a później młodymi, jest tak niesamowitym spektaklem, że warto spróbować.

RYBKA, CO POTRZEBUJE MAŁŻA

Panuje powszechne przekonanie, że ryby składają ikrę byle jak i byle gdzie, a los potomstwa mają w nosie. Ale przecież cierniki robią gniazdka, a trocie, o czym piszę w jesiennej części, wykopują specjalne dołki. Jest jeszcze różanka.

To mała rybka karpiowata dochodząca zwykle do dziesięciu centymetrów długości. Błyszczą się metalicznie i dlatego nazywana jest czasami siekierką. Na pierwszy rzut oka nie ma w tej rybce nic ciekawego. Ot, wygląda jak malutki, nieco zgrabniejszy karaś albo nieco bardziej garbata płotka. Od ogonka ma ciemniejszą smugę i przezroczyste płetwy. Ale pod koniec kwietnia i na początku maja różanki zaczynają się zmieniać i wtedy już nikt nie nazwie ich siekierkami! Boki ciała samców stają się naprawdę metaliczne, smuga robi się szmaragdowa, brzusek czerwony, pomarańczowy lub różowy. I stąd pochodzi nazwa tej rybki. Czerwienieje im też płetwa na grzbiecie i w okolicach odbytu.

Samce robią się śliczne, a samice właściwie się nie zmieniają. Napisałem „właściwie”, bo samica nie zmienia kolorów, ale rośnie jej pokładełko. To taka specjalna rurka do składania jaj, która może mieć nawet pięć centymetrów, czyli jak na taką małą rybkę jest dość długa. Samce nie zmieniają jednak barwy i nie pojawi się pokładełko u samic, gdy w sąsiedztwie zabraknie małży. Właśnie tak! To obecność małży sprawia, że różankom od razu zbiera się na miłość, bo małże – najczęściej skójka malarska albo szczeżuja wielka – są inkubatorem dla jaj różanki. Za pomocą rurki samica składa ikrę do jamy skrzelowej małża. Nie ma ich dużo, bo miejsca w jamie skrzelowej też nie ma za wiele – zwykle 10-40. To bardzo mało jak na rybę, ale samice mogą być spokojne, bo ich ikra jest bezpieczna. Mały kłopot ma za to samiec – musi zapłodnić jaja, które są już głęboko w małżu. Sprytna rybka radzi sobie i z tym. Po prostu wie, gdzie mięczak wciąga wodę, i tam wpuszcza swoje nasienie.

Mieszkanie w gościnie u małża ma zalety, bo jest bezpiecznie, wilgotno i narybkowi nic się nie stanie, nawet gdyby w bajorku zaczęło ubywać wody. Ale są też wady – mało tlenu, bo przecież małż pobiera go dla siebie, no i jajo może wpaść dalej, do syfonu, czyli otworu, przez który małż pobiera pokarm, i zostać zjedzone przez gospodarza. Brakuje też pokarmu, o który trzeba konkurować z małżem. No i jest ciemno. Ale natura zadbała o to wszystko! Z brakiem tlenu nie ma większego kłopotu, bo larwy różanek mają bardzo silnie ukrwione ciało i oddychają całą jego powierzchnią, a przed wpadnięciem do syfonu ratuje je specjalny haczyk. Różanki mieszkają więc sobie tam szczęśliwie, aż po 40 dniach mają około centymetra długości i przychodzi pora na samodzielne życie.

MAŁŻ, CO POTRZEBUJE RYBKİ

Czy małże mają coś przeciwko takiemu lokatorowi na gapę? Nie, bo młode różanki nie przeszkadzają im w tym, co lubią robić najbardziej, czyli leżeć zakopane w piasku lub mule i jeść. Jedzą właściwie non stop, czyli filtrują

wodę, która jest dla nich źródłem tlenu i pokarmu. Taka szczeżuja wielka potrafi przefiltrować kilkadziesiąt litrów wody dziennie, by wyłowić plankton lub zawiesinę składającą się z resztek organicznych, pierwotniaków i bakterii.

Szczeżuja wielka to naprawdę duży małż, bo może mieć do 20 centymetrów długości. Ale są jeszcze szczeżuja pospolita, skójką malarską (nazywa się tak dlatego, że już w czasach starożytnych malarze używali jej muszli do mieszania farb i opierania pędzelków) oraz małże rzek i potoków. Zaraz, zaraz – powiecie – małże są przecież tylko w morzu. Otóż nie, małże żyją też w rzekach i bajorach, ale niestety już coraz rzadziej.

Kiedyś było ich zatrzęsienie. W XIX i na początku XX wieku używano ich jako karmy dla świń i drobiu. Jeszcze w latach 50. XX wieku szczeżuja wielka była bardzo pospolita na terenie całej Polski. Teraz najczęściej można znaleźć już tylko wielkie i puste muszle. Małży słodkowodnych ubywa w zaskakującym tempie. Główną przyczyną jest zanieczyszczenie wód, na co małże są bardzo wrażliwe. Gdy tylko poczują, że w wodzie jest jakieś świństwo, natychmiast przestają filtrować i się zamykają. Z tego powodu bardzo często małże stosowane są w stacjach uzdatniania wody jako sygnał ostrzegawczy. Pracownicy dzięki czujnikom na ich muszlach obserwują, czy małże się nie zamykają, i jeżeli większość to robi, to jest jasne, że z wodą dzieje się coś niedobrego. Oczywiście w stacjach uzdatniania wody przyczyna jest natychmiast wykrywana i małże po jakimś czasie się otwierają i wracają do filtrowania. W zanieczyszczonych rzekach i jeziorach giną.

Inną przyczyną wymierania małży jest ich dość skomplikowany rozwój. Na pewnym etapie larwy, które sobie rosną we wnętrzu macierzystego małża, wydostają się na zewnątrz i muszą znaleźć rybę żywiciela, by mogły zaczepić się na jej skrzela lub ciele. Żywicielami mogą być cierniki, ale też ryby całkiem duże, takie jak okonie czy szczupaki. Jeżeli brakuje czystej wody i ryb żywicieli, to nie ma też tych mięczaków. A to oznacza, że nie ma też różanek.



Cierniki są jednymi z piękniejszych i ciekawszych ryb, jakie znam

Jak założyć ciernikowe akwarium?

1. Aby cierniki dobrze się czuły, trzeba mieć jednego samca i kilka samiczek.
2. Musicie karmić je pokarmem żywym, bo cierniki nie jedzą suchego pokarmu.
3. Trzeba pilnować, żeby woda była dobrze natleniona i chłodna. Zimą nie może mieć temperatury wyższej niż 10 stopni, a wiosną i latem – wyższej niż 20. To nie jest takie proste zadanie w akwariach stojących w ogrzewanych mieszkaniach. Akwarium więc musi stać w chłodnym miejscu, a woda powinna być dobrze filtrowana i natleniana.
4. Ważne, by w akwarium było dużo roślin, bo cierniki lubią się wśród nich chować, ale też potrzebują miejsca i materiału na budowę gniazda.
5. Wielkość akwarium ma ogromne znaczenie. Dobrze, by miało przynajmniej sto litrów pojemności, a najlepiej mieć dwa takie akwaria, żeby po złożeniu jaj przenieść samiczki do drugiego zbiornika. Samiec naprawdę będzie tłukł je niemilosierdzie, a nie będą mogły, tak jak w bajorku, po prostu sobie odpłynąć.



NA LUSTRZE I POD LUSTREM BAJORKA

Pierwszymi stworzeniami, jakie zobaczycie, gdy zerkniecie do wiosennego bajorka, będą najprawdopodobniej ślimaki. Niektóre z nich są arcyciekawe – błotniarki ze skrzyconą spiczastą muszlą i zatoczki z muszlą skrzyconą do środka. Obydwa gatunki odżywiają się szczątkami roślin i glonami, choć błotniarki mogą nawet zjeść kawałek jakiegoś martwego wodnego zwierza. Ślimaki potrafią też chodzić po tafli wody od drugiej strony, czyli z naszego punktu widzenia – głową w dół. Dla nich tafla wody jest jak powierzchnia stołu i spacerują sobie wtedy od spodu.

Nic w tym dziwnego, bo wiele owadów zna takie sztuczki. Nartniki, które trochę wyglądają jak wielkie komary z małym tułowiem i długimi, cienkimi kończynami, chodzą na przykład po wodzie. Właśnie tak! Końce ich długich nóg zaopatrzone są w cienkie włoski, które dzięki napięciu powierzchniowemu utrzymują owada na tafli. Jeżeli owad jest lekki jak nartnik, to powierzchnia wody zachowuje się jak błona i może on się na niej utrzymać.

Nartniki poruszają się, ślizgając się po tafli wody. Tafla sadzawki to dla nich nie tylko rodzaj drogi, lecz także źródło informacji – wyczuwają wszystkie drgania i natychmiast wiedzą, gdy na powierzchni wody znajdzie się jakiś owad lądowy, na którego można zapolować. Co ciekawe, mamy dwa pokolenia nartników – wiosenne, które wykluwają się w maju i nie potrafią latać, oraz letnie, a może nawet jesienne, które latać potrafią.

Jeżeli przyjrzyście się tafli, to zauważycie, że jej powierzchnię zamieszkuje cała masa przedziwnych stworów. Te czarne kropki, które kręcą się bez sensu jak spirale na powierzchni wody, to krętaki. Niewielkie chrząszcze, które utrzymują się na powierzchni na tej samej zasadzie co nartniki, ale tak naprawdę żyją trochę pod wodą, a trochę nad nią. Są częściowo zanurzone i ich oczy podzielone są na dwie części. Górna przystosowana jest do patrzenia nad wodą, a dolna – do patrzenia pod nią. Krętaki potrafią nurkować, ale nie wychodzi im to najlepiej, bo włoski, które pozwalają im utrzymać się na tafli, przeszkadzają w nurkowaniu.

PLUSKWIAKI PEŁNE NIESPODZIANEK

Nartniki nie są komarami, ale pochodzą z rodziny pluskwiaków i są krewnymi pluskiew. Niejedynymi przedstawicielami tego gatunku, jaki możecie zobaczyć w bajorku. Przy powierzchni pływa też coś, co wygląda jak duża mucha z wiosłami. To nie mucha, tylko pluskolec. Gdy go zobaczycie, prawdopodobnie będzie „wisiał” po drugiej stronie tafli plecami do dołu.

Gdy się do niego zbliżycie, machnie odnóżami i w ciągu paru sekund zniknie pod wodą. Pluskolce są świetnymi pływakami i sprawnymi drapieżnikami.

Podobnie jak wszystkie pluskwiaki pluskolec ma kująco-ssący aparat gębowy. Nie gryzie, tylko nakłuwą ofiarę, wstrzykuje płyn, który ją paraliżuje, i rozpuszcza wszystko, co w środku, a potem wypija taką zupkę. Grzbiet pluskolca dzięki zebranemu pod skrzydłami powietrzu jest srebrny. Z tego właśnie powodu i jeszcze tego, że potrafi boleśnie ukłuć człowieka, często jest nazywany pszczołą wodną. Mnie nigdy się to jednak nie zdarzyło, ale byłem zawsze bardzo ostrożny i nigdy nie brałem pluskolec do rąk.

Pluskolec to jednak nic w porównaniu z dwoma innymi pluskwiakami – płoszycą i topielicą. To są dopiero mistrzowie kamuflażu. Płoszyca wygląda jak zgniły listek, a topielica jak patyczek. Czają się gdzieś w gęstwinie roślin wodnych i czekają na przepływające obok owady, rybki lub kijanki. Chwila nieuwagi, i już po ofierze! Ich odnóża przypominają nieco odnóża modliszki i działają niczym długie kleszcze. Ofiara też jest nakłuwana i wysysana. Gdy dobrze przyjrzy się tym owadom, to zobaczycie, że oba mają długą rurkę na odwłoku. To przez nią oddychają, gdy są pod wodą.

Choć płoszyca i topielica wyglądają jak podwodne zwierzęta, to ich wygląd wprowadza w błąd. Kiedyś hodowałem topielicę w akwarium. Byłem przekonany, że się z niego nie wydostanie, bo niby jak miałyby to zrobić na cienkich nogach. Pewnego dnia obudził mnie jednak dziwny brzęk. Coś wielkiego latało po pokoju. Zapaliłem światło i okazało się, że moja topielica postanowiła zmienić miejsce zamieszkania i... odleciała. Tak jest, większość owadów wodnych potrafi świetnie latać. Latają pluskolce, topielice i płoszyce. Podobnie jak chyba najgroźniejsi podwodni owadzi łowcy, czyli pływaki żółto-brzeżki.



Trzciniak potrafi śpiewać naprawdę głośno

Trzcinowisko

Może się zdarzyć, że tuż obok waszego bajorka jest trzcinowisko, czyli bujne zarośla z gęsto rosnącą trzcina, która ma też trochę pałki wodnej. To świat powiązany z tym w wodzie, ale nieco inny i trochę kosmiczny. W takich trzcinowiskach mieszkają sobie bąki i bączki. Obydwa te ptaki – bo chodzi o ptaki! – są blisko spokrewnione z czaplami, świetnie łążą po trzinach i są mistrzami kamuflażu. Raz tylko udało mi się zobaczyć bąka w trzcinowisku. Natomiast bączki widziałem tylko w zoo i musiał mi je palcem pokazać jego dyrektor doktor Andrzej Kruszewicz. Wykrycie, czy w trzinach mieszka sobie bączek, będzie trudne, bo to cichy i skryty ptak. Czy mieszka w nich bąk, możecie poznać po jego charakterystycznym godowym głosie. Niektórzy uważają, że przypomina on ryczenie krowy,

ale według mnie raczej dmuchanie w pustą butelkę.

Trzciny mają też swojego drapieżnika – to błotniak stawowy. Znakomity szybownik, a jego lot przypomina bujanie się nisko nad trzcinami. To bujanie się to charakterystyczna cecha wszystkich błotniaków. Znowu najgłośniejszym trzcinowym śpiewakiem jest trzciniaak. Jego gniazdo uwite wśród trzcin to niesamowicie misterna konstrukcja. W trzcinowisku mieszka też bardzo podobny do trzciniaaka, ale mniejszy od niego trzcinniczek. To właśnie temu małemu ptaszкови mieszkające w naszym kraju kukułki najczęściej podrzucają swoje jaja.



JAK BRZYDKA LARWA NA PIĘKNOŚĆ WYRASTA

Pływaki żółto-brzeżki to piękne chrząszcze o zielonkawych pancerzach z żółtą obwódką, od której bierze się ich nazwa. Samce mają gładki pancerz, natomiast samice – karbowany. U samców na przednich kończynach możecie zobaczyć też przyłgi, które służą do przytrzymywania samicy w miłosnym uścisku. Tylne odnóża pływaków przypominają zaś wiosła i dzięki nim oraz opływowym kształtom pływaki są rekordzistami w podwodnych wyścigach.

Pływaki to też świetni myśliwi – potrafią upolować nawet małą rybę. Ale jeszcze lepszym łowcą jest przypominająca smoka larwa pływaka żółto-brzeżka. Poznać ją łatwo po długim ciele, wielkiej głowie i olbrzymich, przypominających obcęgi żuwaczkach. Larwa jest tak brzydka, że aż ciekawa. Według mnie brakiem urody może konkurować tylko z larwami ważek, które nie dość, że brzydkie, to są jeszcze krępe i szare.

Larwy ważek są jednak przykładem najbardziej zdumiewającego przeobrażenia w świecie owadów. Przez wiele miesięcy siedzą pod wodą, nawet nie zbliżając się do jej powierzchni, bo oddychają tlenem rozpuszczonym w wodzie. Gdy nadchodzi wiosna, powoli podpływają do powierzchni. A kiedy zobaczycie takiego brzydala, który wychodzi na wystające z wody rośliny, możecie być pewni, że właśnie rozpoczyna się jeden z najbardziej fascynujących i zaskakujących przyrodniczych cudów. Grzbiet brzydala pęka, a na świat wychodzi piękna ważka. Z początku mało kolorowa i z pogniecionymi skrzydłami, ale z każdą minutą robi się coraz piękniejsza. Skrzydełka się jej prostują, ciało nabiera kolorów.

Gdy byłem mały, obserwowałem, jak z takich paskudnych larw wychodziły ważki zwane husarzami. Są jednymi z naszych największych ważek i jak latają, to chrzęszczą niczym zbroją. Choć masywne, są piękne. Mają niebieskie lub zielone odwłoki i wielkie oczy, które robią niesamowite wrażenie. Różnym gatunkom ważek można by poświęcić oddzielną książkę, a może nawet księgę. Jeżeli zaczacie się nad jeziorkiem, bajorkiem lub rzeczką, zobaczycie przynajmniej kilka gatunków. Może uda się wam podpatrzeć, jak ważki polują w locie. Zobaczycie, jakimi są świetnymi

lotnikami!

Pomyślcie wtedy, że ważki latają już od ponad 300 milionów lat po naszej planecie. Widziały pojawienie się i wymarcie dinozaurów. Te prehistoryczne ważki były naprawdę duże i mogły mieć rozpiętość skrzydeł nawet do 70 centymetrów.

Małż perłorodny

Powstawanie pereł to dla mięczaków nic przyjemnego. Jeżeli do małża dostanie się ziarenko piasku, które go drażni i mu przeszkadza, mięczak broni się i otacza je masą perłową, która składa się z węglanu wapnia i organicznej substancji zwanej konchioliną. Taka sama kombinacja substancji wyściela muszlę od wewnątrz.

Jak wiecie, najsłynniejsze perły pochodzą od małży zwanych perłopławami, które żyją w ciepłych morzach. Nie oznacza to jednak, że to są jedyne perły. Jeszcze 100-200 lat temu nawet na terenie Polski można było znaleźć małże, które produkowały perły. Chodzi o skójkę perłorodną, sporego małża, który mieszka na dnie strumieni i części rzek z piaszczystym dnem i dobrze natlenioną wodą.

Skójki były długowieczne i mogły dożywać nawet 100 lat. Jeszcze w XVII wieku na Dolnym Śląsku istniały specjalne zakłady zajmujące się łowieniem i obróbką słodkowodnych pereł. Podobno też masowo występowały na początku XIX wieku w Bzurze w okolicach Łęczyc. Najwięcej było ich jednak na Śląsku w Nysie Łużyckiej, Kwisie i Bobrze. Dziś nie ma po nich śladu. Dały się im we znaki masowe połowy, nie tylko dla pereł, ale również na paszę dla zwierząt i jedzenie dla ludzi. Do tego doszło zanieczyszczenie rzek chemią spływającą z pól uprawnych. Ostatnie skójki na Śląsku zniknęły w latach 30. XX wieku. Skójki wciąż jeszcze żyją w kilku europejskich krajach i być może uda się kiedyś ten gatunek przywrócić polskim rzekom.



ROPUCHY ROBIĄ SIĘ ZABORCZE NA WIOSNĘ

Jak już was bolały oczy od wypatrywania małych owadów, to najwyższy czas poznać większych mieszkańców bajerek. Żadne porządne bajorko nie może obyć się bez płazów. Choćby takie ropuchy. To prawdziwe bajorkowe arystokratki. Nie skaczą jak żaby, tylko dumnie krocą. A gdy zobaczą jakieś niebezpieczeństwo, to stają na wyprostowanych nogach, nadymają się jak balon i pokazują, jakie są duże i groźne, no i jak trudno będzie je połknąć. To i dodatkowo gruczoły jadowe w skórze odstraszały wszystkich naturalnych wrogów.

Takie nadymanie się zupełnie jednak nie działa na rozpędzony samochód, dlatego tak wiele ropuch ginie na drogach. Naukowcy szacują, że w Wielkiej Brytanii aż 20 ton rocznie (ropucha waży 30-150 gramów, samce są o wiele mniejsze od samic), a w Polsce zapewne jeszcze więcej. Na stu metrach przeciętnej drogi rocznie ginie od dwóch do trzech ropuch. Naturalnie te płazy mogą dożywać nawet do 40 lat, ale gdy ropucha trafi na jakąś drogę, to szanse na 40. urodziny w gronie rodziny i znajomych są nikłe.



Pan ropucha miłośnie ściskający większą od siebie samicę to coraz rzadszy widok. Te płazy masowo giną na drogach

Wiosna to dla ropuch czas wędrówek. Jeżeli traficie wtedy na ropuchy szare, to możecie się zdziwić, bo zobaczycie, że mały samiec podróżuje sobie na większej samicy. Wędrują w stronę zbiornika wodnego, w którym samica złoży skrzek. Zwykle jest to to samo jeziorko, w którym one same przyszły na świat. Samiec trzyma się tak kurczowo samicy nie dlatego, że chce ją wykorzystać jako środek lokomocji, ale dlatego, że nie chce pozwolić, by inny samiec zapłodnił skrzek.

Wiosną w ogóle samce ropuch zachowują się jak szalone. W zbiornikach, gdzie odbywają się gody, zobaczycie kłębowiska ich ciał. Czasami jedną samicę usiłuje chwycić kilka samców, czasami samce łapią się kawałka drewna albo nawet ludzkiej ręki, jeżeli włożycie ją do wody. Po tych godach na roślinach zostają sznury skrzeku, niektóre mogą mieć do pięciu metrów

długości, bo jedna samica może złożyć nawet pięć tysięcy jaj.

PŁAZI KONCERT NA WIELE GŁOSÓW

Sznury skrzeku są charakterystyczne dla wszystkich ropuch. Żaby i rzekotki wytwarzają wszelkiego rodzaju mniejsze i większe kiście. Skrzek to widoczny efekt godów, ale jest też efekt słyszalny, czyli wszelkie odgłosy. Najbardziej niesamowity jest głos kumaka nizinnego. Zna go każdy dorosły Polak, choć mało kto wie, że to kumak. Wystarczy, że w jakimś starym polskim filmie pokazane jest, jak na wsi zapada zmrok. Wtedy zwykle słychać takie ciche, zawodzące pohukiwanie. Takie strasznie, strasznie smutne.

Ten dźwięk wydaje właśnie ten niewielki płaz. Samce, gdy wejdą do wody, nadymają podgardle niczym kowalskie miechy. Nie tylko po to, by pozawodzić, lecz także po to, by spowodować drgania wody. Jest to ostrzeżenie dla innych samców, że ten kawałek bajorka jest już zajęty.

Głos kumaków niesie się daleko, ale gdzie im do rzekotek. Wypatrzeć je w wodzie lub na trzcinach jest szalenie trudno, bo idealnie dostosowują kolor do otoczenia. To te małe, śliczne zielone „żabki” z przyssawkami na palcach, dzięki którym znakomicie się wspinają. Specjalnie napisałem „żabki” w cudzysłowie, ponieważ rzekotki nie są żabami, tylko rzekotkami. To oddzielna grupa płazów. Same rzekotki są małe, ale głos mają potężny. Trajkoczący lub grzechoczący. Brzmi, jakby ktoś używał jakiejś bardzo głośnej grzechotki. Tak głośnej, że słychać ją nawet z odległości kilometra. Trajkoczą tylko samce. Służą im do tego, podobnie jak kumakom, worek rezonansowy. Panowie rzekotki tak się nadymają, że czasami ten worek jest niemal tak duży jak oni sami. Rzekotki są bardzo czułe na wszelkie trąkoczenia, wabi je nawet warkot przejeżdżającego samochodu. Możecie sami to sprawdzić, potrząsając pudełkiem zapalek koło miejsca, gdzie się odzywały. Na pewno odpowiedzą.

Spiwnie za to terkoczą ropuchy zielone i paskówki. Niektórzy twierdzą, że głos ropuchy zielonej przypomina nawet głos kanarka. Bardzo głośne są też wszelkie żaby zielone, czyli żaba wodna, jeziorowa i śmieszka, której rechot przypomina śmiech. Piszę o płazach bardzo głośnych, ale jest też płaz supercichy. To grzebiuszka ziemna, bardzo tajemnicza ropuszka, w niektórych okolicach dość pospolita, ale mało kto ją widział. Wszystko przez jej dość skryty, nocny tryb życia.



Rzekota nie jest żabą. Pamiętajcie o tym!



KTOKOLWIEK WIDZIAŁ, KTOKOLWIEK ZNA

To prawda, że większość ropuch jest aktywna właśnie nocą, ale taką ropuchę szarą można zobaczyć także za dnia i widział ją każdy, a grzebiuszkę mało kto. Wszystko dlatego, że ta ostatnia spędza cały dzień zagrzebana w ziemi i jest to kryjówka, do której raczej nie da się zajrzeć. Dzięki twardym wyrostkom na tylnych łapkach, które działają jak łopaty, grzebiuszka zakopuje się momentalnie. W kilkanaście sekund może się znaleźć na głębokości kilkunastu centymetrów (na zimę chowa się nawet metr pod ziemią).

Zresztą nie tylko jej łapki są przystosowane do zagrzebywania się. Wyłupiaste oczy o charakterystycznych dla nocnych zwierząt pionowych źrenicach chowają się wtedy w oczodołach niczym reflektory sportowego samochodu. A skoro grzebiuszki są takie ciche, to jak szukają partnerów? W czasie godów, które trwają od maja do lipca, buczą sobie cicho, ale znowu prawie ich nie słychać, bo siedzą wtedy pod wodą.

Grzebiuszka jest maleńka, bo mierzy zaledwie pięć-sześć centymetrów. Za to jej kijanka to prawdziwy potwór w porównaniu z kijankami innych płazów – może mierzyć nawet 12 centymetrów! Nic dziwnego, że dawniej brano ją za rybę. Kijanki grzebiuszki są dość nieliczne, co jest nietypowe dla płazów. Efektem godów żab i ropuch są tysiące kijanek w jednym bajorku i dokładnie na tym polega strategia rozmnażania się płazów. Nie lubią opiekować się potomstwem, muszą więc mieć go bardzo, bardzo dużo. Tylko wtedy jest szansa, że któreś z młodych przeżyje. Większość kijanek nie przeobrazi się w postać dorosłą. Zginą, i to naturalna kolej rzeczy. Kiedyś płazy były zwierzętami niezwykle licznymi, obecnie naukowcy uznają je za najbardziej zagrożoną wymarciem grupę zwierząt. Dają się im we znaki zmiany w środowisku i budowa dróg, które przecinają trasy ich wędrówek.



Spotkać zagrzebaną w ziemi grzebiuszkę nie jest łatwo



WODNY SMOK

Na koniec muszę wrócić do tego, od czego zaczęliśmy, czyli do traszek. W naszym kraju mieszkają cztery gatunki tych przedziwnych płazów. Jest traszka górska, karpacka, zwyczajna oraz grzebieniasta. Ta ostatnia najbardziej przypomina smoka i jest najpospolitsza, więc zapewne to ją spotkacie.

Gdy zrobi się trochę cieplej, traszki wyruszają ze swoich kryjówek, którymi mogą być na przykład jakieś stare, zapyziałe piwniczki. Wędrują wilgotnymi nocami i są wtedy bardzo skryte. Na takim wędrowaniu udało mi się je przyłapać tylko raz. Czego tak w tajemnicy szukają? Bajorka! I gdy dotrą do wody, to zobaczyć je już wcale nie jest trudno.

Na ciele samca pojawiają się wtedy ciemne kropki, jego brzuch robi się pomarańczowy, a na grzbiecie wyrasta ten wspaniały smoczy grzebień. Traszka grzebieniasta może mierzyć nawet do 17 centymetrów, czyli jest to kawał płaza! Nic dziwnego, że jak byłem mały, to pomyślałem, że to krokodyl lub smok. A dodatkowo w czasie godów samce stroszą swoje ozdoby, by przepędzić konkurencję i zdobyć samicę. To wygląda trochę jak taniec połączony z walką i gonitwami. Traszki są w tym czasie tak zajęte, że możecie je spokojnie podglądać.

Efektom godów są jaja. Samica dyskretnie odpływa i składa je pojedynczo na listkach roślin. Stara się, by partner nie zobaczył gdzie, bo czasami się zdarza, że samce pożerają jaja. Samica traszki grzebieniastej może złożyć nawet ponad 400 jaj i każdemu poświęca tyle samo czasu i uwagi, bo musi je odpowiednio zamaskować. Po góra kilku tygodniach wylęgają się z nich larwy, które mają śmieszne pierzaste skrzela i jeszcze bardziej kosmiczno-smoczy wygląd niż ich rodzice.

Kukułka

Kukułki dzielą się na coś w rodzaju klanów w zależności od tego, u jakich rodziców się wychowały. Jeżeli kukułka wyrosła w gnieździe rudzików, to będzie szukała gniazda tych ptaków, by podrzucić im swoje jajo, jeżeli w gnieździe trzcinników, to one będą jej celem. Jaja kukułki są bardzo podobne do jaj gospodarzy, ale nie oznacza to, że nie potrafią sobie z nimi radzić. Niektórym ptakom udaje się wykryć podstęp i wyrzucają jajo albo też wynoszą się do nowego gniazda. Te, którym się to nie uda, skazane są na karmienie podrzutka.



Mała kukułka w gnieździe rudzika prosi o pokarm. Za chwilę wywali za burtę jaja rudzika

Mała kukułka wykluwa się wcześniej niż ptaki, którym została podrzucona. Zwykle po 11-12 dniach. Potrzebuje dobę na okrzepnięcie i wywalenie „rodzeństwa” z gniazda. Nieważne, czy w formie jaj, czy piskląt. Mała kukułka ma nawet specjalne zagłębienie na plecach, w którym wynosi jaja i wywala je za burtę gniazda. No, a potem otwiera szeroko dziób i każe się karmić. Przybrani rodzice nie mogą się powstrzymać. W powszechnym mniemaniu sprawia to wielki, intensywnie ubarwiony od środka dziób małej kukułki. Nie do końca jednak tak jest. Naukowcy wykazali, że niezwykle ważny jest intensywny dźwięk wydawany przez pisklę podrzutka. To właśnie on miesza w głowach przybranym rodzicom. Każe im karmić jedno pisklę z taką samą częstotliwością i wydajnością, jakby to była trójka lub czwórka ich własnych dzieci. Do jednej gardzieli pakują tyle owadów, co do kilku. Naukowcy pokazali, że gdyby podrzucić pisklę drozda lub kosa trzcinniczkom, te co prawda go karmią, ale niezbyt intensywnie. Gdy tylko puści się z magnetofonu głos młodej kukułki, zaczyna się szaleństwo karmienia. Za pomocą głosu kukułka zmusza przybranych rodziców, by ją karmić nie tylko intensywnie, lecz także dłużej. Trzcinniczki opiekowały się podrzutkiem o dziesięć dni dłużej niż swoimi własnymi dziećmi. Po co to kukułce? Bez tego wołania karmiona byłaby rzadziej i nie miałyby szansy dorosnąć. A dojrzała jest od swoich żywicieli kilkakrotnie większa.





Wiosna w górach pojawia się i znika. Jednego dnia może być ciepło i wiosennie, następnego zimno jak w grudniu, a kolejnego upalnie jak w lipcu. Takie gwałtowne zmiany najczęstsze są w górach wysokich, takich jak Tatry, ale jeżeli myślicie, że niższe Bieszczady was nie zaskoczą, to uważajcie. Zaskoczą was na pewno!

Jak już wiecie, nie lubię pchać się na szczyty. Nie pamiętam, kiedy byłem na Giewoncie, Rysach czy Świnicy. Ostatni raz na Połoninę Caryńską lub Wetlińską wyszedłem chyba ze 30 lat temu. Nie włączę wysoko, bo wszyscy tam gonią i zwykle jest tam tłok. A jak jest pełno ludzi, to mało zwierząt. Poza tym wiosną, nie wspominając o zimie, na szczytach i graniach jest po prostu niebezpiecznie. Lód, ślisko, wieje i zaczyna śniegiem. Do tego jeszcze zagrożenie lawinami. Zatem nie ma zwierząt i jeszcze jest niebezpiecznie, więc nie mam tam nic do roboty.

Wiosną w Tatrach, nieco poniżej skalnych szczytów, dzieje się za to wiele ciekawych rzeczy. Najpierw budzą się świstaki i wykopują się z nor, a potem rodzą młode kozice, ale lepiej i bezpieczniej dla nas nie przeszkadzać wtedy tym zwierzętom. Zresztą zerknijcie do letniej i jesiennej części – dowiecie się, że świstaki lepiej podglądać latem, a kozice jesienią.

To co, lepiej zapomnieć o górach wiosną? Nic z tych rzeczy, góry wiosną są bardzo ciekawe, ale nie będziemy wychodzić wysoko. Zaczajmy się na zazielenionych halach. Może zobaczymy jelenie albo nawet niedźwiedzie. Po zimowym śnie niedźwiedzie często wychodzą, by paść się jak owce. Nie zgadniecie, gdzie są często widywane! W Kuźnicach. Tam, gdzie prosta droga prowadzi do dyrekcji Tatrzańskiego Parku Narodowego.

Jeżeli zobaczycie takiego niedźwiedzia na tej lub innej hali, nie zbliżajcie się! Obserwujcie go z naprawdę dużej odległości. Po obudzeniu się po zimie niedźwiedzie są dość nerwowe i jeżeli już atakują ludzi, często dzieje się to

właśnie wiosną. Pamiętajcie, by nigdy nie wchodzić do gęstych młodników. Tam niedźwiedzie wciągają często resztki padliny i odpoczywają, i mogą zaatakować, gdy ktoś niespodziewanie znajdzie się w ich pobliżu. To nie przypadek, że poważne niedźwiedzie ataki mają zwykle miejsce w Bieszczadach wczesną wiosną przy młodnikach. W Tatrach takich wypadków na razie nie było, ale lepiej unikajcie niebezpiecznych sytuacji. O tym, jak się zachowywać, gdy zaatakuje niedźwiedź, możecie przeczytać w jesiennej części.



Znaleźć trop niedźwiedzia na błocku to jest zawsze przeżycie

ŁADNE NIE MUSI BYĆ NUDNE

Życzę wam wiosennego, bezpiecznego podglądania niedźwiedzi, ale my będziemy szukać na halach czegoś innego. Ruszymy na krokusy. Każdy, ale to każdy powie wam, że krokusy są po prostu piękne. Piękne są nie tylko w pojedynkę, ale przede wszystkim w swej zbiorowości. Gdy wczesną wiosną zakwitną krokusowe łąki, gdy zrobią się fioletowe od tysięcy kwiatów, to widok aż dech zapiera. Jest tak powalający, że podobno nawet dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego pada przed łąką pełną krokusów na kolana. Turyści z całego kraju robią specjalne wycieczki w marcu i kwietniu w Tatry i na Podtatrze, by zobaczyć i sfotografować kwitnące krokusy.

Już widzę, jak się krzywicie – przecież nas, prawdziwych tropicieli, najbardziej fascynują rzeczy interesujące, ciekawe, skomplikowane i tajemnicze, a kwiatki są takie nudne. Kiedyś też mi się wydawało, że rośliny przecież „tylko sobie tak rosną”. Ale krokusy nie są nudne. Zapewniam was! Nie dość, że piękne, to jeszcze bardzo dzielne. W letniej części piszę, że rośliny wysokogórskie są dzielne. To prawda, a krokus jest najdzielniejszy z nich wszystkich.

Tatrzańskie rośliny, których pochodzenie często jest arktyczne, mają wiele zupełnie nieoczekiwanych przystosowań do takich warunków. Niektóre posiadają na przykład małe, twarde listki pokryte woskową wydzieliną, zupełnie jak rośliny rosnące gdzieś na pustyni – to zabezpiecza je przed wysychaniem i przemarzaniem. Tworzą też skupiska, które wyglądają jak poduchy, a jak wiadomo, w takim czymś zawsze cieplej i przytulniej. Tylko że krokus takich ułatwień nie ma.

W Tatrach śnieg w czerwcu to rzecz normalna, a co dopiero na przełomie marca i kwietnia, gdy zwykle kwitną krokusy. Jednego dnia, gdy przychodzi ciepły halny, może być plus 20, a następnego dnia może spaść śnieg i wszędzie będzie biało. Co prawda krokusy rosną niżej niż szarotki, dębiki czy skalnice, ale przecież w Tatrach jest ciężko nawet w reglu dolnym, czyli na wysokości od 600 do około 1000 metrów nad poziomem morza, a więc tam, gdzie głównie je spotykamy. Poza tym kwiaty krokusów pojawiają się jako jedne z pierwszych, a cała roślinka to góra 15-20 centymetrów, i gdy przyjdzie śnieżyca, to zasypuje je wiosennym, często mokrym i ciężkim śniegiem. Krokus nie tylko to przetrwa, ale potrafi nawet przebić się przez śnieg, gdy nie ma go bardzo dużo. A przebija się najdelikatniejsza część krokusa, czyli jego kwiat.

Skoro pogoda zmienia się jak w kalejdoskopie, to krokusy nauczyły się reagować na zmiany. Gdy nadchodzi załamanie pogody, kwiaty zamykają się, by przeczekać bezpiecznie pod śniegiem. Dotyczy to jednak tylko kwiatów niezapylonych, które wciąż jeszcze czekają na pyłek sąsiada, który przyniesie im wiatr lub owady. Te, które zostały już zapylone, nawet nie podejmują walki o przetrwanie. Wiedną i giną. Nie na darmo oczywiście, bo ich zalążki i tak przetrwają pod śniegiem i powstaną z nich nasiona.

Co ciekawe, nasiona nie rozwijają się nad ziemią jak u innych kwiatów, ale pod nią. Dopiero gdy dojrzeją, pojawiają się na powierzchni, ale wtedy przymrozki już rzadko się zdarzają i nasionka krokusów są bezpieczne. Same nasionka też są bardzo ciekawe, bo otoczone warstewką roślinnego tłuszczu bogatego w białka. Ta pożywna substancja bardzo smakuje mrówkom, które nasiona roznoszą dalej. Na krokusowej bulwie, z której wyrasta roślina, pojawia się więc nowa, mniejsza bulwa – na jednym metrze kwadratowym łąki mogą być ich setki. I już wiecie, skąd wielkie krokusowe wiosenne dywany.

OWCE I KROKUSY – GÓRSKA PRZYJAŹŃ TRWA

Naukowcy zauważyli, że krokusom jak mało którym roślinom nie służy rolnictwo. Wystarczy raz przeorać łąkę pod uprawy, by krokusy zginęły. Za to zupełnie nie przeszkadzają im owce, które górale wypasają na krokusowych łąkach.

Owce zostały udomowione jakieś dziewięć-dziesięć tysięcy lat temu gdzieś w Azji. W Tatrach owce i pasterze pojawili się kilkaset lat temu i zapewne właśnie wtedy pojawiła się wielka szansa dla krokusów. Szansa, bo o związkach wypasu z krokusami krążą dziś najfantastyczniejsze teorie. Niektórzy twierdzą, że roślina ta przybyła w Tatry z pasącymi owce Wołochami. Prawda jest jednak bardziej prozaiczna. Prawdopodobnie krokus zawsze był w Tatrach, choć pewnie nie w takich ilościach, i to właśnie pasterstwo umożliwiło jego ekspansję.

Co właściwie wspólnego ma wypasanie owiec z krokusami? Po pierwsze, pojawiały się w górach tereny otwarte. Większość tatrzańskich polan powstała dzięki pasterzom. Po drugie, owce zjadały wszystkie rośliny przeszkadzające niezbyt wysokim krokusom. Przerzedziły łąki i krokusy miały szansę przebić się przez gęstwinę roślin. Do tego owce nawożą glebę swymi odchodami. A samym krokusom zgryzanie niewiele szkodziło, bo przecież pojawiają się zwykle przed wejściem owiec na łąkę.



Krokusy na tle gór to widok, który zapiera dech w piersiach

Kto pomoże Wajrakowi?

Właściwie w świecie ptaków jest tak, że to samiec jest śliczny i kolorowy. To on śpiewa i tokuje, a potem obowiązek zajmowania się jajami spada na samicę, która zwykle jest szara i niepozorna. Od tej reguły są jednak wyjątki. Na przykład u morneli, niewielkich ptaków siewkowatych, to samica jest kolorowa, to ona tokuje i uwodzi szarego samca, a potem zostawia jaja i pisklęta pod jego opieką.

Mornel jest u nas często widywany na przelocie, gdy podróżuje ze swych legowisk na Dalekiej Północy na zimowiska w Afryce. Dlaczego akurat zawracam wam głowę ptakami, które widuje się na przelotach, a tak naprawdę mieszkają one gdzieś daleko w tundrze? Bo tak się składa, że prawdopodobnie od czasu do czasu morniele zakładają gniazda wysoko

na halach Babiej Góry, w Tatrach w paśmie Czerwonych Wierchów i w Karkonoszach. Nic dziwnego, bo takie hale bardzo przypominają tundrę.

Popatrzcie na pięknego mornela samca i jeszcze piękniejszą samicę w szacie godowej, żebyście wiedzieli, o co chodzi. Koniecznie dajcie znać, gdy zobaczycie je pod koniec naszej wiosny, czyli na przełomie maja i czerwca, bo to będzie znaczyło, że trafiliście na parę lęgową. Dla mnie to ptak legenda, a spotkanie z nim znaczy dla mnie tyle samo co wytopienie yeti.



DRODZY I MNIEJ DRODZY KUZYNIE KROKUSA

Górale od kształtu kwiatów nazywają krokusy tulipankami, kieluchami, a nawet szafrankami. Nie przypadkiem, bo nazwa naukowa krokusa to *saffron* spiski. Krokus jest jednym z 80 gatunków szafranów, a jego kuzynem jest szafran siewny lub uprawny, z którego uzyskuje się najdroższą przyprawę świata. Powstaje ona z ususzonych pręcików oraz słupka kwiatów i można nią przyprawiać ryby, zupy czy ryż, który zabarwia się na żółto. Stąd też nazwa szafranu, bo żółty to po arabsku safra.

Dla wielu ludów szafran to nie tylko przyprawa nadająca potrawom lekkiej goryczki, ale również afrodyzjak. Aby uzyskać niewielką ilość szafranu, trzeba zebrać olbrzymie liczby kwiatów – podobno kilogram szafranu to słupki ze 150 tysięcy suchych kwiatów. Trzeba je zbierać bardzo szybko, bo zakwitają i więdną w ciągu paru dni. No i oczywiście robi się to ręcznie. Nic dziwnego, że taka przyprawa jest bardzo droga. Jeden z najlepszych szafranów osiąga cenę ponad 40 tysięcy złotych za kilogram. W średniowieczu, gdy wierzano, że ta przyprawa ma właściwości lecznicze i chroni przed dżumą, cena szafranu była wyższa niż złota, a za jego fałszowanie groziło spalenie na stosie.

Nasz szafran spiski nie nadaje się na przyprawę. Występuje tylko w zachodniej części Karpat, a 70 procent z 14-milionowej populacji tej rośliny rośnie właśnie na łąkach Tatr i Podtatrza. Niewielkie ilości krokusów można znaleźć również w Bieszczadach w Woli Michowej, gdzie trafiły jako nasionka wraz z owcami przywiezionymi z Tatr.

BIESZCZADZKIE TAŃCE

Zostawiamy Tatry i ruszamy w Bieszczady. Określa się je czasem jako węzowe góry. Wczesna wiosna to dobry czas na obserwację żmij, które są najbardziej odporne na chłody i można je zobaczyć na mocno nasłonecznionych stokach, nawet gdy w cieniu leży jeszcze śnieg. W takich

miejscach może ich być całkiem sporo, bo żmije często razem zimują i się wygrzewają, tworząc tak zwane kłębowiska.

To brzmi trochę jak z horroru, bo jeżeli zaledwie kilka metrów od nas kłębi się kilkanaście lub kilkadziesiąt żmij, to dresczyk przejdzie przez plecy najtwardszemu tropicielowi. Wężę nie robią jednak tego, by nas przerazić, ale by się nieco podgrzać. Podobnie jak inne gady są zmiennocieplne, czyli temperatura ich ciała zależy głównie od temperatury otoczenia, ale drganiem mięśni mogą się trochę podgrzewać. W takich kłębowiskach zwykle jest o pięć-sześć stopni cieplej.

Przy kłębowiskach możecie wczesną wiosną zobaczyć, jak żmije tańczą. Stoją naprzeciwko siebie i się kołyszają. Nie stoją oczywiście na czubku ogona, ale unoszą przednią część swojego ciała. Czasami nawet się obejmują. To pojedynki samców, wygrywa ten, który uniesie się wyżej. Gdzieś w pobliżu powinna leżeć znacznie większa i grubsza od nich samica. To o jej względy walczą. W środku lata mama żmija urodzi młode żmijki. Zwykle od kilku do nawet ponad 20. Co ciekawe, mogą one pochodzić nawet od kilku ojców.

Pamiętajcie, by w takich nasłonecznionych miejscach, gdzie może znajdować się godowe miejsce żmij, dobrze się rozglądać. Akurat wiosną są mało ostrożne i można na nie nadepnąć albo – co gorsza – na nich usiąść. Co prawda jad żmii nie jest groźny dla człowieka, ale lepiej nie dać się ukąsić.



Nie byłoby tyle krokusów w naszych górach gdyby nie owce

JAK W GĘSTWINIE WYPATRZYĆ SOWĘ?

Wczesnowiosenna wyprawa w Bieszczady to także okazja na spotkanie z trzecią co do wielkości polską sową, czyli puszczykiem uralskim. Jeżeli jednak chcecie znaleźć go w gęstym lesie, to szkoda czasu. Nie ma sensu szukać ptaka z dużą głową, uszami, czymś, co przypomina ludzką twarz z parą świdrujących oczu. Zapomnijcie o wypatrywaniu czegoś z cętkami, szarego lub brązowego w lesie, gdzie pełno szarości i brązów. Tak nie znajdziecie żadnej sowy. One się świetnie maskują. To mistrzowie kamuflażu. Zlewają się z otoczeniem i wyglądają jak kawałek kory, pień, zeschnięty liść. Na szczęście dla nas, podglądaczy, czasem popełniają błąd i wtedy zupełnie się z otoczeniem nie zlewają. Tak dzieje się wtedy, gdy usiądą na cienkiej gałązce, co puszczyki uralskie bardzo lubią robić. Wtedy na nic ich talenty kamuflażowe, bo po prostu nigdy się nie zdarza, by od cieńszej gałęzi odrastała grubsza. Mało tego, bardzo rzadko rośnie ona pod kątem prostym do góry, bo prawdziwe gałęzie są zawsze trochę pochylone. A sowa siedzi prosto! Jeżeli więc chcecie zobaczyć sowę w gęstym lesie, to zwracajcie uwagę na takie właśnie dziwne gałęzie.

W Bieszczadach puszczyk uralski to podobno najpospolitsza sowa, choć spotkania z nimi to jak spotkania z duchami. Przelatują nagle, nie wiadomo skąd i zupełnie bezszelestnie, i już ich nie ma. Ale jeśli chodzi o inne części Polski, to już takie pospolite nie są. Żyją na południu w górach i na północnym wschodzie, tuż przy granicach. Zresztą też nie wszędzie, bo w Puszczy Białowieskiej ich nie ma. Zastanawiacie się, skąd ta nazwa „uralski”? Nie wiem, może nazywają się tak dlatego, że większość z nich mieszka na Syberii, czyli za Uralem.



Puszczyki uralские, tak jak inne sowy, są bardzo troskliwymi rodzicami

KTO SIĘ NIE BOI PUSZCZYKA, LĄDUJE W SZPITALU

Puszczyk uralski to wielka sowa. Może ważyć od pół do półtora kilograma i mieć rozpiętość skrzydeł nawet do półtora metra. Wydaje się, że kilogram to niezbyt dużo, ale jak na sowę to bardzo dużo. Ci, którzy widzą po raz pierwszy puszczyka, czyli naszą najbardziej znaną sowę, mówią, że jest „ogromny”, a waży pół kilograma i ma rozpiętość skrzydeł dochodzącą rzadko do metra. Wszystkie sowy zresztą wydają się większe, niż są w rzeczywistości, bo mają dużo piór i puchu.

Puszczyki uralские nie tylko są wielkie, lecz także potrafią być bardzo agresywne. Każdy miłośnik ptaków wie, że słyną z tego, że atakują w obronie młodych. Nie ma znaczenia, czy mają przed sobą orła, lisa, niedźwiedzia, czy człowieka. Wielgaśnymi pazurami starają się trafić

w głowę. Od kiedy jakiś ornitolog w Skandynawii stracił oczy, ci, co badają puszczyki i zakładają im obrączki, robią to w hełmach motocyklowych i często w towarzystwie asysty, która zasłania ich różnymi płachtami przed atakami. W Bieszczadach też był podobno taki wypadek – pewien podleśniczy znalazł się przez przypadek zbyt blisko młodego i wylądował z podrapaną głową w szpitalu.

Nie myślcie, proszę, tylko, że puszczyki rzucają się z pazurami na ludzi, bo są złe albo wredne. Ich młode opuszczają dziuplę lub gniazdo (czasami mieszkają w opuszczonych gniazdach innych ptaków, na przykład kruków lub myszołowów), gdy jeszcze dobrze nie latają. Są puchatymi stworkami, które często, zamiast wylądować na gałęzi, spadają na ziemię i później z trudem próbują się gramolić wyżej i wyżej. Z czasem udaje się im to coraz lepiej, ale gdyby nie samica gotowa ich bronić przed każdym, niechybnie zostałyby zjedzone.

Z MIŁOŚCI DO PUCHATYCH KULEK

Taka obrona to wielkie poświęcenie, bo przecież człowiek albo nawet orzeł jest większy od puszczyka uralskiego i puszczykowa matka może łatwo stracić życie. W gniazdach orłów przednich w Bieszczadach naukowcy co roku znajdują resztki wielu młodych i dorosłych puszczyków uralskich. Fińscy naukowcy, którzy badali te sowy, stwierdzili, że do większych poświęceń gotowe są te samice, które mają więcej młodych. Zwykle są bardziej agresywne w latach, w których jest dużo gryzoni. Właśnie wtedy mogą mieć najwięcej młodych i jest największa szansa na ich wychowanie. Mają więc czego bronić!

A samce? No cóż, ojcowie tacy dzielni i gotowi do poświęceń zwykle nie są. Tak czy inaczej, jeżeli puszczyk uralski siedzi bardzo blisko i nie chce odlecieć, nie idźcie dalej, bo może zaatakować. Pewnie niedaleko są puchate młode. Wtedy najlepiej spokojnie poczekać, aż ptak do nas przywyknie i uzna, że jesteśmy niegroźni. Rozejrzyjcie się przez lornetkę, czy gdzieś nie ma młodych. Samica powinna je wołać takim „zip, zip” – brzmi to, jakby ktoś przesuwiał suwak. Natomiast samiec, który przyniesie jedzenie, będzie cicho buczał.

Gdyby doszło do ataku i puszczyk przeleciałby wam nad głową, należy przede wszystkim ochronić twarz i szybko się wycofać. To oznacza, że jesteście za blisko młodych. Co to oznacza „za blisko” – trudno powiedzieć. Na początku maja obserwowałem rodzinę puszczyków, czasami byłem bardzo blisko młodych i moja obecność rodzicom nie przeszkadzała. Może dlatego, że zbliżałem się do nich powoli, a w okolicy byłem regularnym gościem. W tym samym czasie jakieś inne zdenerwowane bieszczadzkie puszczyki pogoniły turystów z zabytkowego cmentarza. Być może dlatego, że pojawili się oni na nim dość nagle i od razu podeszli zbyt blisko młodych.

Gazda, baca, juhasi i owce

Teorii, jak i skąd pasterze trafili w Tatry, jest cała masa. Marek Grocholski, znawca tych gór, w wydawanym przez Tatrzański Park Narodowy kwartalniku „Tatry” wymienia trzy podstawowe.

1. Najbardziej znana, ale chyba mało prawdopodobna, to taka, że owce przybyły tu z Wołochami, ludem romańskim. Wołosi, którzy wędrowali wzdłuż łuku Karpat, mieli właśnie przynieść znajomość pasterskiej sztuki i mieszać się z miejscową ludnością. Ta wędrówka miała trwać od XIV do XVI wieku.

2. Druga teoria głosi, że znajomość pasterstwa – i owszem – pochodzi od Wołochów, ale nie bezpośrednio. Przodkowie miejscowych górali mieli przejść ją od ludów ruskich, które się stykały z Wołochami, czyli od przodków Łemków i Hucułów.

3. Trzecia i ostatnia teoria mówi, że pasterstwo pochodzi bezpośrednio z południa. Za tym przemawia podobieństwo pewnych ważnych dla pasterzy słów, bo na przykład słowo „baca”, czyli szef juhasów, brzmi niezwykle podobnie po polsku, słowacku i rumuńsku. Natomiast już dla Hucułów baca to „walach”. „Juhas”, czyli pomocnik i pracownik bacy, pochodzi z węgierskiego i oznacza owczarza.

W dawnych czasach bacowie co roku zbierali owce z kilku nawet wsi i ruszali z nimi na hale na wypas. Owce należały do gospodarzy, czyli do gazdów. Jak wyjaśnia inny znawca gór, Marian Liberak, podział owczych dóbr był sprawiedliwy – skóra z zabitej owcy należała do właściciela, czyli gazdy. Mleko dzielone było na pół. Baca doił owcę i w mleku zanurzał patyk, który potem przecinało się na pół i było wiadomo, która połowa mleka należy się bacy, a która gaździe. Sezon wypasu tradycyjnie zaczynał się 23 kwietnia na świętego Wojciecha, a kończył na świętego Michała 29 września.



GĘSTA SZKOŁA ŻYCIA

W rozdziale o puszczy pisałem wam o sowie, która poluje, gdy jest jasno. Robi to nie tylko sóweczka. Za dnia poluje też bardzo rzadki u nas puszczyk mszarny i właśnie puszczyk uralski. Dlatego gdy je wypatrzycie, macie niebywałą okazję zobaczyć je w akcji. Polujące puszczyki nie siadają wysoko. Zwykle kilka metrów nad ziemią. Taki atak z małej wysokości ma sens, bo ofiara, czyli jakaś mysz lub nornik bury, nie ma dużo czasu, by się schować. W bukowym bieszczadzkim lesie pełno jest zakamarków, zwalonych pni czy ogromnych korzeni i zawsze można tam czmychnąć. Dlatego atakująca sowa musi siedzieć nisko, by atak trwał jak najkrócej i gryzoń nie miał szansy się schować.

Kiedyś obserwowałem polującego puszczyka uralskiego. To była samica, która opiekowała się wraz z partnerem szóstką młodych. Ojciec latał na polowania, a ona nie zostawiała młodych bez opieki i polowała w okolicy. Latała bezszelestnie między grubymi bukami i strzelistymi jodłami jak wielki szary motyl. Mówię wam, nie widziałem w Bieszczadach piękniejszego widoku. Możecie sami się o tym przekonać już od początku maja, bo wtedy młode opuszczają gniazda i razem z rodzicami koczują po górach i uczą się życia.

WODNE HARCE SALAMANDER

Skoro już jesteśmy w Bieszczadach, nie sposób nie wspomnieć o salamandrach. Z tymi salamandrami to dziwna sprawa. W części letniej będę opisywał wam, że należy szukać ich po deszczu, bo podobnie jak inne płazy nie radzą sobie z wysychaniem. Dlatego ze swych kryjówek wychodzą tylko nocą, gdy jest wilgotno, lub gdy spadnie deszcz.

Takie deszczowe dni to dla salamander czas obfitości. Mogą polować do woli, a gdy się solidnie najedzą, są w stanie czekać na następną okazję nawet miesiąc. Różnią się jednak od innych naszych płazów. Traszki, rzekotki, ropuchy i żaby, by złożyć jaja, wchodzi do wody, ale nie salamandry. W wodzie jednak w maju rodzą się młode. Wtedy ciężarne samice idą nad strumienie i rodzą do nich larwy o pierzastych skrzelach.

Larwy salamandry są szybkie jak małe rybki i bardzo żarłoczne. Potrzebują dobrze natlenionej wody pełnej drobnych zwierząt. Idealny strumień powinien mieć zagłębienia, w których woda nie płynie zbyt szybko, czyli tak zwane głęboczki, ale nad nimi powinny być niewielkie wodospady, które sprawiają, że woda jest dobrze natleniona. Niestety, takie strumienie coraz częściej regulujemy i zamieniamy w rynny. Wydaje się nam, że lepiej jest, gdy woda szybko płynie. Salamandry tracą miejsce, gdzie mogłyby wychowywać młode, a my mamy jeszcze większe powodzie.



Salamandry chodzą mniej więcej tak, jak ich praprzodkowie 400 mln lat temu



Stworzone przez nas, ludzi, budowle to plac zabaw dla wielu zwierząt. Najlepiej widać to wiosną, kiedy przychodzi czas na zaloty i wychowywanie młodych, bo wtedy zwierzaki prześcigają się w pomysłach na wykorzystanie osiągnięć inżynierów i architektów. Z tego, co stworzyliśmy my, ludzie, korzystają w sposób zupełnie zaskakujący.

Na pewno widzieliście je tysiące razy – takie małe, zwinne ptaszki z rudymi, dygającymi ogonkami. Samica jest brązowawa, samiec może być czarny jak węgiel, ale rudy ogonek ma jedno i drugie. To kopciuszek. Widuję je często, gdy obserwuję świstaki w Kotle Świnickim. Tu pewnie mi przerwiecie, bo miało być przecież o miastach! No i będzie, bo kopciuszki mieszkają wszędzie. W miastach i miasteczkach możecie usłyszeć ich szeleszczący głos nad ranem lub o zmierzchu. Dwie parki kopciuszków mieszkają w moim ogrodzie – w stercie złożonych belek i pod okapem na werandzie.

Czy nie wydaje się wam przedziwne, że tego samego ptaszka można spotkać w Tatrach, na białowieskiej wsi i w centrum wielkiego miasta? Dziwne, ale nie zawsze tak było, bo ojczyzną kopciuszka są góry. Kiedyś zamieszkiwały szczeliny skalne, ale potem stwierdziły, że równie wygodne są ludzkie siedziby. To odkrycie pozwoliło kopciuszkom zdobyć niziny.

ERA WIELKICH ODKRYĆ KOPCIUSZKOWYCH

Właśnie w Tatrach usłyszałem, że kiedyś kopciuszka nazywano pasterzem albo szłaśnikiem, bo zakładał gniazda w pasterskich szłaśach. Czasami mówiono też „pasterz szłaśnik”. Podoba mi się zwłaszcza „szłaśnik”, bo ta

szeleszcząca nazwa przypomina mi głos kopciuszka. Wyobrażam sobie, że było to tak: w dawnych bardzo czasach, prawdopodobnie w XIX wieku, gdy większość kopciuszków wciąż mieszkała w szczelinach skalnych, jakaś para tych ptaków zobaczyła dziwne konstrukcje. To były szałas baczów wypasających wówczas na masową skalę owce i krowy w Tatrach. Może nawet nie było to w Tatrach, ale na przykład w Pieninach. A może zdarzyło się to i tu, i tu.

A może to był jakiś samotny kopciuszek, który zobaczył, że wszystkie dobre szczeliny w skałach zostały już zajęte przez innych. „Hej, ale fajne” – pomyślał na widok szałasu i zauważył, że szczeliny w tych dziwnych konstrukcjach niezbyt się różnią od tych skalnych. Jak pomyślał, tak zrobił i założył gniazdko pod okapem szałasu. Szybko odkrył, że warunki są tam nawet lepsze niż w skałach, bo drapieżniki boją się podchodzić do miejsca, gdzie stale kręcą się ludzie. Góralom mały ptaszek nie przeszkadzał, a może było im nawet rażniej.

Mądre kopciuszki, gdy zorientowały się, że dwunożne istoty robią takie przydatne konstrukcje, ruszyły szukać podobnych, ale większych. No i trafiły na morze możliwości, na miliony dobrych miejsc do założenia gniazd w naszych wsiach, miastach i miasteczkach. Dziś kolejne pokolenia kopciuszków nawet nie wiedzą, jak wyglądają góry. Narzekać nie mogą, bo nie tylko mają gdzie mieszkać, lecz także w miastach, które są przecież na nizinach, jest cieplej, wiosna i lato trwają dłużej i kopciuszki mogą sobie pozwolić na częstsze zakładanie rodziny. Teraz te małe ptaszki mogą mieć pisklęta nawet trzy razy w roku. Ale miasto to nie tylko korzyści.

Uwaga, to asfalt, nie woda!

My, ludzie, uwielbiamy błyszczące, wypolerowane i gładkie powierzchnie. Wiecie, że odbijający się w szybie ogród może sprawić, że ptaki będą się rozбивać o okna. W okresie godowym swoje odbicie ptaki mogą traktować jako konkurenta. Zdarzały się przypadki szpaków i zięb atakujących okna oraz bocianów rzucających się na wypolerowane samochody.

Światło odbite od powierzchni niektórych budynków, dróg, karoserii samochodów, wypolerowanych postumentów lub ścian albo czarnych worków na śmieci to fałszywa informacja: „Tu jest, zwierzaki, to, czego najbardziej szukacie – woda”. Wążkom albo płýwakom może się wydawać, że budynek to przemiły staw, w którym jest pełno jedzenia, albo znakomite miejsce do rozrodu. Nurom często zdarza się lądować na skropionej przez deszcz szosie, bo myślą, że to rzeka. Problem polega na tym, że te ptaki potrafią zerwać się do lotu tylko z prawdziwej wody.

Jak wynika z badań, światło odbite od ciemnych, błyszczących powierzchni może powodować, że wydają się one zwierzętom nawet bardziej atrakcyjne od prawdziwej wody. Naukowcy zaobserwowali, że niektóre wodne owady, takie jak widelnice albo wodne chrząszcze, bardzo chętnie składają jaja na powierzchni dróg lub na dachach

samochodów. Czasami możecie zobaczyć na drodze dziesiątki pływaków żółto-brzeżków zdziwionych, że nie mogą zanurkować. Problemy mają też większe zwierzęta. Światło odbite od foliowych torebek pływających w wodzie jest niemal identyczne jak to odbite od meduz, które są ulubionym przysmakiem wielu gatunków żółwi morskich.



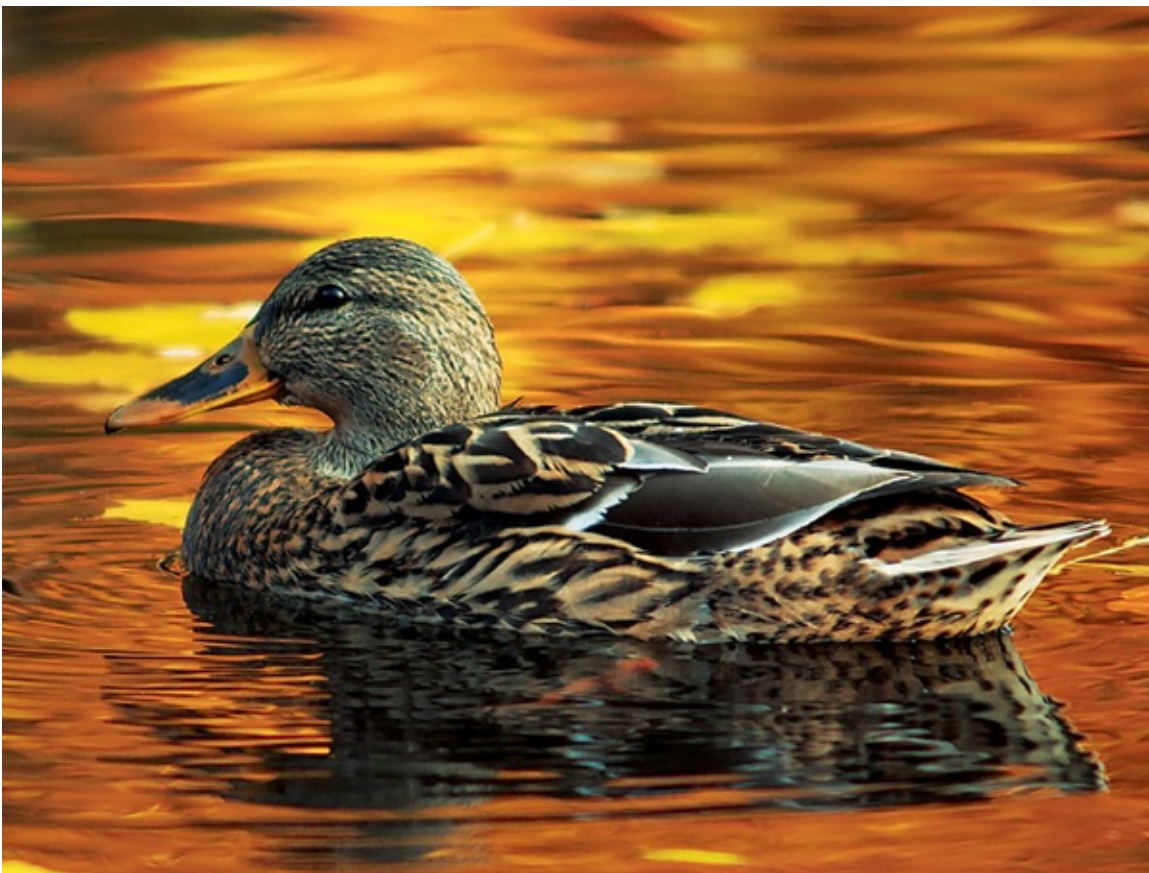
Samiec kopciuszka niesie pokarm młodym znajdującym się w środku starej hydroforni

SCENA BALKONOWA Z KACZKĄ

W miastach i miasteczkach nie należy szukać rzadkich gatunków, bo one raczej nie lubią dużych skupisk ludzkich. Oczywiście są wyjątki takie jak

sokoły wędrownie, o których piszę w letniej części. Zupełnie niesamowite są za to zachowania tych najbardziej pospolitych. Chcecie przykłady? To zaczniemy od gniazd. W każdym mieście spokojnie można ogłosić konkurs na gniazdo w najdziwniejszym miejscu.

Takiego konkursu na pewno nie wygrają kaczki krzyżówki. To, że potrafią założyć gniazdo na trawniku między dwoma ruchliwymi pasami ruchu, nikogo już nie zdziwi. Zresztą to jest całkiem mądre, bo przecież nie wejdzie tam żaden lis. W miastach mamy przecież lisy, co prawda głównie żywią się śmieciami, ale taką młodą kaczką nie pogardziłyby na pewno. Oczywiście dla takiej kaczki mamy problemem może być wyprowadzenie młodych kaczek na spacer, ale tu pomagają ludzie. Gdy młode się wyklują i chcą z mamą pomaszerować do najbliższego stawu, policja po prostu zatrzymuje ruch albo ludzie sami łapią i przenoszą małe kaczki.



Samica kaczki krzyżówki może wysiadywać jaja nawet na waszym balkonie

Kaczki wysiadują też jaja na dachach i balkonach. Przecież to superbezpieczne miejsce – przynajmniej tak się kaczkom wydaje. I tak jest, jeżeli gniazdo nie znajduje się wyżej niż dziesięć metrów, a pod nim jest trawnik. Wtedy młode po wykluciu mogą sobie spokojnie wyskoczyć i podreptać za mamą do wody. Gorzej, gdy kaczka próbuje zrobić gniazdo wyżej lub wokoło jest beton. Jeżeli tylko zobaczycie, że coś takiego się dzieje i w gnieździe dopiero pojawiło się pierwsze jajo, to specjaliści Stołecznego

Towarzystwa Ochrony Ptaków radzą kaczkę przepędzić. To dla jej dobra – może założyć gniazdo w innym, lepszym miejscu.

Jeżeli kaczka wysiaduje już od dawna, czeka was prawdziwa akcja ratownicza. Musicie zrobić coś w rodzaju ogrodzenia, które będzie zapobiegać samobójczej śmierci piskląt. Balkon najlepiej otoczyć gęstą siatką lub tekturą, a kiedy młode się wyklują, co ma miejsce zwykle po 28 dniach wysiadywania, młode i matkę trzeba schwytać. Najlepiej zrobić to nocą zaraz po wykluciu. Zaświećcie mocną latarką, ale tak, by was nie widziały, i złapcie ptaki w siatkę. Idealny jest podbierak na ryby. Pamiętajcie, żeby maluchy i matkę zapakować do oddzielnych pudełek, bo przerażona kaczka może zdeptać swoje dzieci. A potem pójście nad staw i wypuście najpierw młode, a potem ich matkę, by wiedziała, że nie straciła dzieci, i by nie odleciała, jak tylko ją uwolnicie.



Sikora modra potrafi zakładać gniazda w dziwacznych miejscach

PODZIEMNE I JEŹDŻĄCE GNIAZDA

W dziwnych miejscach zakładają gniazda także sikorki – na przykład w słupkach parkanowych. Jak widzą taki słupek, który jest pionowo stojącą rurą, to wydaje im się on czymś w rodzaju bezpiecznej dziupli. Tak naprawdę jest to dla sikor jeszcze większa pułapka niż balkon dla kaczek. Młode muszą się naprawdę namęczyć, by wydostać się z takiego słupka, a większy deszcz

może je utopić. Dlatego jeżeli macie takie słupki w ogrodzie, to lepiej je zatkać, zanim zaczną się nimi interesować sikory bogatki lub modre.

Kiedyś, gdy mieszkalem w Warszawie, co rusz wpadałem też na sikory, które mieszkają w latarniach. Nie tam, gdzie jest żarówka, bo mieszkanie w kloszu zajmowały już zwykle wróble, ale w skrzynce na dole. Jak tylko usłyszałem wołanie młodych z poziomu chodnika, od razu wiedziałem, że w którejś latarni są sikorki. Wystarczyło poczekać chwilkę na rodzica, który z dziobem pełnym owadów leciał do dzieci, i już dokładnie wiedziałem w której. Niektóre gniazdka znajdowały się pod poziomem chodnika, a więc były to podziemne sikory. Podejrzewam, że nowoczesne latarnie są szczelne i wcale o taką sikorkę nie jest łatwo, ale koledzy ornitolodzy powiedzieli mi, że wciąż się zdarzają.



Muchotłówek szare mieszkają w lasach, ale gniazda miewają i w skrzynkach na kwiaty czy przewodach wentylacyjnych

Jednak sikorka w latarni nie wygrałaby konkursu na gniazdo w najdziwniejszym miejscu. Nie udałoby się to też muchotłówce szarej, która lubi doniczki na balkonach, ani jednej pustułce, która upodobała sobie otwór wentylacyjny. Tak się składa, że ta akurat sprawiła wielką przyjemność miłośnikom ptaków, bo mieszka w wentylatorze, który jest w pokoju, w którym pracują, i dzięki temu mogą ją i jej młode z ciekawością podpatrywać.

W moim rankingu dziwnych miejsc na gniazda do finału dostałyby się gniazda w samochodach. W zakładaniu gniazd pod maskami gustują głównie pliszki. Oczywiście tracą łęg, gdy nagle właściciel takiego samochodu po długim postoju postanawia się nim przejechać. Szczęście miały pewne pliszki, które uwiły sobie gniazdko pod maską nowiutkiego samochodu w salonie samochodowym w Olsztynie, którego szef okazał się wielbicielem ptaków. Samochód został sprzedany dopiero wtedy, gdy wyleciały pisklęta. Po wyczyszczeniu był jak nowy.

Słyszałem też o pliszkach w szlabanie na przejeździe kolejowym. Szlaban podnosił się i opadał, a pliszkom jakoś to nie przeszkadzało. Znowu na jednym z forów przyrodniczych odnalazłem informację o rudzikach, które zamieszkały w koparce. Koparka stała długo, ale w końcu ruszyła, gdyż pracowała przy budowie drogi. Na szczęście dla rudzików w Polsce drogi buduje się wolno i gdy młode opuszczały gniazdko, koparka była około 200 metrów od miejsca, w którym ich rodzice usiedli na jajach.



Pliszka też zakłada czasem gniazda w nietypowych miejscach

Ale nawet pliszka w szlabanie i pod maską samochodu ani rudziki w koparce nie wygrałyby mojego konkursu na najdziwniejsze gniazdo. Według mnie zwycięzcami są sieweczki rzeczne. Te małe siewkowate ptaki można spotkać w przeróżnych miejscach, gdzie jest piasek lub żwir, czyli po prostu na brzegach rzek i piaszczystych łachach, oraz takich, które są

efektem ludzkiej działalności, na przykład w kopalniach piasku. Zaraz, zaraz – powiecie – ale przecież sieweczki nie zakładają gniazd w dziecięcych piaskownicach! Racja, tam nie, ale w miastach i na ich obrzeżach są większe powierzchnie żwirkowe, tylko nie każdy może je zobaczyć. To dachy nowoczesnych budynków. Gdy jakiś czas temu znalazłem się na dachu naszej redakcji, zaniemówiłem z wrażenia. Cóż za idealna kamienista pustynia! Podobnie jest na dachach wielu supermarketów i hal. I tam mieszkają od czasu do czasu sieweczki. Nie wiem tylko, jak sobie radzą maluchy ze schodzeniem z takiej „plaży”. Z pozoru świetnie wyglądająca pustynia może okazać się pułapką.



Kosy mieszkają w lasach, ale też w miastach

I JAK TU ŚPIEWAĆ W TAKICH WARUNKACH?

Uwielbiam słuchać miejskich kosów, które wlatują na jakąś wysoką antenę lub czubek drzewa i donośnym trelem oznajmiają, że terytorium jest już zajęte.

W miastach możecie też usłyszeć słowiki. Podobno nawet wróciły w ścisłe centrum Warszawy i śpiewają pod Pałacem Kultury i Nauki. No i jeszcze są szpaki!

Szpaki są absolutnie genialne do podsłuchiwania, bo możecie posłuchać, jak się uczą śpiewu. Wiele ptaków uczy się śpiewania w wieku pisklęcym.

Badania robione u trzciniaków pokazały, że lepszymi i zdolniejszymi śpiewakami są te, które były dobrze karmione, i to one lepiej przyswajają melodię śpiewaną przez ojca. Szpaki natomiast uczą się chyba całe życie, bo ta ich pieśń jest nie tylko szpacza. Bazują oczywiście na szpaczych gwizdach, ale dużo improwizują i wplatają do swojego śpiewu całą masę innych dźwięków. U mnie na wsi to wołania czajek i żurawi. Ostatnio zaś usłyszałem w pieśni szpaka pipanie przepiórki. Szpak musiał je zapamiętać z zeszłego roku, bo jak to śpiewał, to do przylotu przepiórek był jeszcze kawał czasu.

W mieście szpaki wplatają w pieśń klaksony, dzwonki telefonów oraz pisk hamującego tramwaju. Takich dźwięków może być bardzo wiele i dobrze się wsłuchujcie, to usłyszycie w szpaczych śpiewach nuty przedziwne. Po co to robią? Myślę sobie, że chodzi o to, że jak samica słyszy takiego pana szpaka z rozbudowaną pieśnią, to od razu wie, że jest to nie byle kto, ale szpak, który wiele przeszedł i wiele słyszał.



Spójrzcie na to wspaniale mieniące się upierzenie szpaka

Śpiew w mieście nie jest łatwy. Pewnie zwróciliście uwagę, że miejskie ptaki bywają tak głośne, że potrafią terroryzować okolicznych mieszkańców. Najczęściej to nie one są winne, ale my, a w zasadzie hałas, jaki wytwarzamy. To dlatego miejskie dzięcioły wałają w latarnie, bo bębnienie w blachę niesie się lepiej niż bębnienie w drzewo. W Wielkiej Brytanii

naukowcy przyjrzeni się kosom, których samce terroryzowały sąsiedztwo głośnym śpiewem. Nie był to jednak normalny śpiew, ale szalona pieśń, w którą, podobnie jak szpaki, wplatały dźwięki klaksonów i syren alarmowych. Natomiast pewien holenderski uczony odkrył, że miejskie sikory, by być wyraźnie słyszane wśród niskich tonów miasta, śpiewały w wysokich tonacjach. Znowu badania nad berlińskimi słowikami pokazały, że próbują one przekrzyczeć miejski hałas i śpiewają znacznie głośniej niż ich wiejscy kuzyni. W poranki dni powszednich, gdy miasto huczy, ich śpiew jest głośniejszy niż w weekendy, gdy jest nieco ciszej.

No dobrze, ale są ptaki małe, które nie są w stanie przebić się ze swym słabiutkim głosikiem przez miejski zgiełk. Co one mogą zrobić? Muszą po prostu zmienić porę śpiewania. Okazało się, że rudziki z tych części miast, w których hałas za dnia przekracza 60 decybeli, śpiewają w nocy. Tam, gdzie nie przekracza poziomu 55 decybeli, śpiewają za dnia.



Wróble, choć jedzą właściwie wszystko, młode muszą karmić owadami

Skąd się wzięły niebieskie jajka na trawniku

Dość często możecie wpaść na błękitne jaja szpaków w zupełnie nieoczekiwanych miejscach. Leżą sobie gdzieś na drodze albo na trawie, zwykle dość daleko od budek. Jak myślicie, dlaczego szpaki je wyrzuciły? Są to jaja niezapłodnione, a ponieważ szpaki wiedzą, że nic z nich nie

będzie, to wynoszą je z gniazda. Bo po co takie jajko trzymać? W budce nie ma za wiele miejsca, a poza tym takie jajeczko może się popsuć. Dlaczego nie wyrzucają go przy budce? Tu odpowiedź też jest prosta i logiczna. Bo nie chcą, by drapieżnik, szczególnie taka kuna, trafił do budki albo w jej pobliże.

Jest jeszcze jedno wyjaśnienie. Niektóre samice szpaków zachowują się zupełnie jak kukułki i podrzucają jaja innym parom. Dlaczego to robią? Może w ten sposób zwiększają szansę na przetrwanie swych potomków? Posiadanie własnego lęgu i dodatkowo jednego lub dwóch piskląt w rodzinach zastępczych zwiększa szansę na przetrwanie. A może ich budka została zniszczona w trakcie znoszenia i jest to jedyny sposób na ocalenie młodych? Nie wiadomo.



WRÓBLE NIE DLA BOGATYCH

Z naszych miast znikają, niestety, gatunki pospolitych ptaków. Nie ma już w nich prawie dzierlatek z prześmiesznymi czubkami, które zamieszkiwały różne rozgrzebane budowy, dzikie chaszcze i zaniedbane blokowiska. Bogacące się miasta nie są dobrym miejscem dla tych ptaków.

Do niedawna mieliśmy poważny problem z wróblami. Wiele lat temu ten ptak był uznawany za pospolity gatunek, a czasami wręcz za szkodnika (strasznie nie lubię tego określenia), a dziś jest gatunkiem w wielu krajach zagrożonym. W Warszawie w ciągu ostatnich 30 lat ubyło 40 procent wróbli. W Wielkiej Brytanii jeszcze na początku lat 70. szacowano ich liczebność na 13 milionów par, a już pod koniec lat 90. – już tylko na 6 milionów.

Wróble znikają zarówno z terenów wiejskich, jak i z miast. Zdaniem brytyjskich naukowców wymieranie na wsi nie miało wielkiego związku z tym, co się dzieje w miastach, bo wiejskie populacje nie zasiedlają miejskich obszarów. Wróbel to ptak osiadły, który nawet poza sezonem lęgowym nie przemieszcza się dalej niż na dwa kilometry. Interesujące było jednak co innego. W miastach sytuacja wróbla była całkiem niezła w dzielnicach, które można by określić jako te gorsze. Tak jest w Bristolu – w biedniejszych dzielnicach wróbel jest wciąż pospolity, ale z tych lepszych zniknął całkowicie. Z gorszymi dzielnicami wróbel związany jest również w Paryżu i Berlinie. Dlaczego?

Przecież bogaci ludzie nie prześladowają wróbelka i większość z nich chętnie by go widziała w sąsiedztwie. Problem w tym, że bogaci zmieniają miejskie środowisko na bardzo wróblowi niesprzyjające. Oczyszczają ogrody, a wysoką trawę, zielska, krzaki zastępują przystryżonymi trawnikami i egzotycznymi roślinami. To powoduje natychmiastowy spadek liczby owadów, którymi wróble karmią młode. W 75 procentach londyńskich ogródków przydomowych więcej jest chodników niż zieleni, a coraz więcej

zielonych części przestrzeni publicznej przeznaczanych jest na parkingi. Zdaniem naukowców takie środowisko jest też bardziej jednorodne, przez co jest w nim mniej możliwości ukrycia się przed drapieżnikami, na przykład kotami, krogulcami, srokami i wronami.

Brak kryjówek powoduje, że wróble są więc częściej zjadane, a te, którym uda się przetrwać, są bardziej zestresowane. To odbija się na liczbie wychowywanych młodych i zapasach tłuszczu potrzebnych do przetrwania zimy. Zresztą w dobrych dzielnicach biedny wróbel nie za bardzo ma gdzie wychowywać pocięchy. Nowoczesne lub odnowione budynki nie mają szpar i szczelin, szczególnie na poddaszach, które są ulubionymi miejscami lęgowymi wróbli. Badania na Wyspach pokazały, że wróble lubią budynki sprzed 1919 roku, natomiast rzadko zakładają gniazda w budynkach wybudowanych po 1985 roku. Nieremontowane lub wręcz zrujnowane budynki są ulubionym miejscem wróbli w hiszpańskiej Walencji i w Wiedniu. No cóż, ale czy powinniśmy zbiednieć, by zostały z nami wróble? Niekoniecznie, wystarczy, że zmieniając środowisko, pomyślimy o nich i pozostawimy im kawałki dzikiej miejskiej przyrody. Przecież nie musimy zamieniać całych miast w sterylne szpitale. Poza tym takie miasta są okropnie nudne. I to nie tylko dla wróbli. Na szczęście ostatnio wróble mają się trochę lepiej. Jak wynika z danych Monitoringu Pospolitych Ptaków Lęgowych, czyli takiego specjalnego programu, w ramach którego zbierane są dane o liczebności ptaków, w Polsce od 2010 roku liczba wróbli rośnie. Co im sprzyja? Prawdopodobnie łagodny początek zimy. Ten czas był kiedyś najbardziej krytyczny dla młodych wróbli.

PUSTUŁKA I PŁOMYKÓWKA Z WIEŻY

W miastach, nawet dużych, jeżeli będziecie zadzierać głowy wysoko i usłyszycie kwilenie drapieżnego ptaka, to na pewno będzie to pustułka. Mały, śliczny sokół, który zawisa niczym helikopter nad podmiejskimi łąkami. Pustułki są w tym absolutnymi mistrzami. W ten sposób polują na gryzonie i duże owady. W mieście, jeżeli nie ma łąk w pobliżu, polują na małe ptaki.

Pustułki kiedyś chętniej zamieszkiwały miasta. Były to czasy, gdy wieże kościołów, ratuszy, zamków i pałaców nie były jeszcze szczelnie zamknięte. Nie uciekły zupełnie, bo na szczęście w porę się zorientowały, że można mieszkać również w przewodach wentylacyjnych, a ostatnio też, że niezłym miejscem na gniazdo są skrzynki na kwiatki na mało odwiedzanych balkonach. Na pomoc pustułkom przyszli wielbiciiele ptaków, którzy wieszają dla nich budki na dachach. W konsekwencji udało się uratować dla miast pustułki.

Niestety, tyle szczęścia nie miały płomykówki. Tych pięknych ptaków nie ma już w większych polskich miastach. Jeszcze w latach 50. XX wieku płomykówki mieszały w wieżach kilku warszawskich kościołów, dziś nie ma po nich śladu. W przeciwieństwie do pustułek nie poradziły sobie

z wielkomiejskim zgiełkiem.

Teraz płomykówki, piękne sowy o jasnych piórach i sercowatej twarzy, możecie zobaczyć właściwie tylko w małych miasteczkach. Mają się tam lepiej również dlatego, że wciąż mogą polować na gryzonie. Robią to nie tylko na polach, ale również w zamkniętych pomieszczeniach, takich jak strychy i stodoły. Szczególnie zimą, bo ta sowa nie za bardzo potrafi łapać myszy w śniegu, a w stodołach nawet zimą śniegu nie ma.

Płomykówka, która upatrzy sobie jakąś stodołę, potrafi nie wylatywać z niej tygodniami. Stąd też zapewne angielska nazwa tego ptaka, którą można przetłumaczyć jako „sowa stodołowa”. Skąd polska nazwa tego ptaszka? Na piórach skrzydeł można dostrzec rysunek, który bardzo przypomina płomyczek, i stąd płomykówka. Wiosną, gdy wyjdziecie w takim miasteczku na spacer, możecie usłyszeć trochę przerażający głos płomykówki – piski połączone z charczeniem. Nic pięknego, raczej dreszcze przechodzą po plecach. Za to gdy zauważycie ją siedzącą w oknie lub lecącą bezszelestnie niczym biały duch, to robi to na was niesamowite wrażenie. Zobaczycie!

Jak poznać, czy jajo jest zależone?

Nie z każdego jaja wykluwa się pisklak. Aby się to stało, jajo musi być zapłodnione i musi się w nim rozwijać zarodek. Jak poznać, czy jajo jest zależone, to jeden z tematów wykładów mojego holenderskiego przyjaciela Paula Veenulietana na zajęciach z przyrody na uniwersytecie. Gdy mi o tym powiedział, zdębiałem, bo rozpoznawania zależonych jaj nauczyłem się od mojej babci Czesi z podlubelskiej wsi, gdy miałem pięć lat. Otóż bierzemy takie jajo, nawet kurze, i z jednej strony świecimy na nie silną lampą, a z drugiej oglądamy. Jeżeli zobaczycie w środku czerwone żyłki i będzie ono ciemniejsze, to znaczy, że rozwija się w nim przyszły ptak i natychmiast trzeba je odnieść kwoce.



Nie tylko pszczoła

Myślicie, że zapylanie kwiatów to robota tylko naszej dobrze znanej pszczoły miodnej. Otóż nie. W Polsce mieszka całkiem pokaźna jej rodzina, składająca się z 450 gatunków pszczołowatych. Pszczoła jest tylko jednym gatunkiem z tej rodziny, który został dawno temu udomowiony. Samych wielkich, włochatych trzmieli mieszka w naszym kraju 30 gatunków. Do tego dochodzą takie ciekawe pszczoły jak murarka ogrodowa, która – jak sama nazwa wskazuje – zamurowuje swoje gniazda. To, co je łączy, to pokarm. Wszystkie żywią się nektarem i pyłkiem

kwiatowym. Pyłkiem karmią też swoje larwy. A przy okazji zapylają, czyli przenoszą pyłek i umożliwiają roślinom zapłodnienie i w rezultacie powstanie owocu. To, że my, ludzie, jemy owoce, zawdzięczamy właśnie pszczołowatym oraz całej masie innych owadów, a także ptakom i w niektórych rejonach świata nietoperzom. Ponieważ pszczołowatych jest tak dużo i są tak różnorodne, mogą zapylać mnóstwo roślin i działać w różnych warunkach oraz różnych porach roku.

Trzmiele to prawdziwi tytani zapylania – w ciągu jednej minuty robotnica trzmiela może odwiedzić 20-25 kwiatów, a pszczoła miodna tylko około 13. Ponadto trzmiele potrafią pracować już bardzo wcześnie rano, gdy jest jeszcze całkiem zimno i pszczoły jeszcze nie wyściubiają nosa z ula. Mają przecież futerko, a drganiem mięśni skrzydeł potrafią podwyższyć temperaturę ciała. Niektóre gatunki trzmieli żyją nawet w Arktyce!



Jak zrobić domki dla dzikich pszczół?

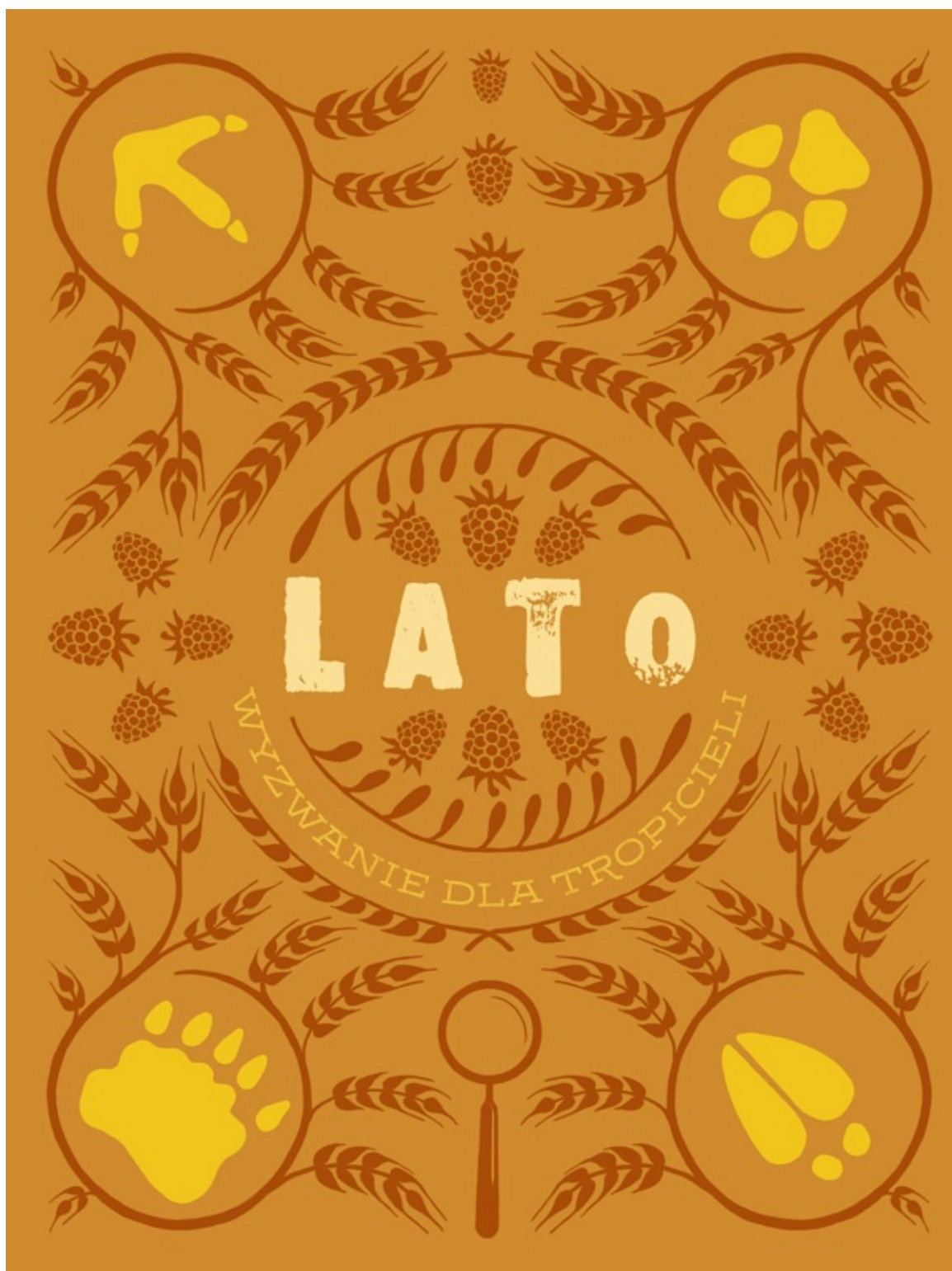
Jeżeli macie ogródek przy domu albo przy szkole, możecie spróbować zbudować mieszkanie dla owadów zapylających. Najbardziej znany jest domek dla trzmieli. To sześcián o bokach liczących 13 centymetrów. Powinien być zrobiony z nieheblowanych i nieimpregnowanych desek. Ma być szczelny i nieprzeciekający, wypełniony mchem lub suchymi liśćmi, z otworem o średnicy około 20 milimetrów w środku przedniej ścianki. Taki domek można postawić na ziemi w tej części naszego ogrodu, do której zbyt często nie uczęszczamy.

Innym sposobem na zachęcenie dzikich pszczół do wizyty są leżące poziomo, przywiązane do budynków lub zawieszone wszelkiego rodzaju wiązki słomy, trzciny lub bambusa. Wiazki powinny mieć kilkanaście centymetrów średnicy. Lubią je i budują w nich gniazda murarki. Takie pęczki z trzciny lub słomy to nic innego jak imitacja strzech, w których w dawnych czasach mieszkali murarki.

Wspaniałym domem dla dzikich pszczół są wszelkie gliniane konstrukcje, które wykonujemy z gliny pomieszczonej z piaskiem i sieczką słomianą. Gлина powinna stanowić 70-80 procent, a bloków lub walców glinianych nie wypalamy. Zanim nasza mieszanka wyschnie, nakłuwamy ją drutem o różnej długości i grubości lub gwoździem. Dźgamy pod różnym kątem. Taki domek jest świetny dla wielu gatunków pszczół i innych owadów. Pamiętajmy o tym, że zarówno gliniane domki, jak i wiązki słomy lub trzciny warto przykryć daszkiem, by nie zostały rozmyte przez deszcze lub nie zamiękły i nie zgniły.



Zrobić zdjęcie pszczole zbierającej pyłek z kwiatów wierzby to było naprawdę wyzwanie



Coraz rzadziej chce mi się wyjeżdżać dalej niż w Tatry albo Bieszczady.

Nie dlatego, że uważam afrykańskie sawanny, lody Arktyki albo azjatyckie i południowoamerykańskie dżungle za nudne, ale dlatego, że ciągle się okazuje, iż równie fascynujące spotkania ze zwierzętami mogę mieć dużo bliżej. Po co mam więc się wysilać i gnać gdzieś na koniec świata, skoro niesamowite przygody czekają na mnie w Polsce?

Miał rację wujek Lechosław Herz, który wbił mi do głowy najważniejszą rzecz. Od niego wiem, że najciekawsze przygody i największe wyzwania dla prawdziwych tropicieli nie czekają gdzieś hen daleko, ale zupełnie blisko, dosłownie tuż za rogiem.

W lesie, do którego mam kilkaset metrów, jest jak w dżungli, a na łące, szukając derkacza, czuję się jak na sawannie. Radości z pierwszej wytropionej samodzielnie żmii albo salamandry nie przyćmiły mi spotkane później aligatory. W Tatrach znowu, gdy na chwilę odwrócę się od tłumów gnających po szlakach, czuję się jak w epoce lodowcowej.

Tropienie to przygoda, jakich mało, ale nie będę owijał w bawełnę – lato to nie lada wyzwanie dla tropiciela. Najtrudniejsza pora roku. Pora dla mistrzów tropienia. Teraz nie będzie łatwizny i musicie naprawdę wyteńczyć oczy, bo nie będzie prosto. Wiecie dlaczego? Bo jest gorąco jak diabli i zwierzęta wychodzą z kryjówek tylko w nocy. Poza tym robi się zielono i gęsto, a w takiej gęstwinie zobaczyć cokolwiek jest bardzo trudno. Wreszcie większość gatunków ma już całkiem duże młode, które już nie są takie głupie, żeby można je było sobie tak podglądać bez wysiłku.

A tropy? Może gdzieś znajdziecie ślad odcisniętej łapy na piasku lub błocie, ale to wszystko. O czytaniu jak z księgi zapomnijcie. W lecie będziecie musieli składać układanki wieloelementowe, ale jeżeli oprócz przyrody lubicie zagadki, to czeka was dużo zabawy.



Na początku lata pokryte miękkim „zamszem” poroże jeleni jest jeszcze mocno ukrwione i przyciąga komary



Tatry mają wielką zaletę – wszystko jest tam później. Jak wiadomo, im wyżej, tym zimniej. Teoretycznie wraz z podejściem o każde 100 metrów ponad poziom morza temperatura spada o jeden stopień. To oczywiście teoria, ale zwykle na Hali Gąsienicowej jest zimniej niż w Zakopanem, a na Świnicy – zimniej niż na Hali. Dlatego gdy na nizinach nie zostało już nawet wspomnienie po biologicznej wiosnie, bo kwiaty przekwitły, a młode zwierzęta wyrosły, to w Tatrach możemy jeszcze trafić na wiosnę. Co tam wiosnę! Możemy nawet zobaczyć jeszcze zimę.

Gdy pewnego czerwcowego poranka wyszedłem przed leśniczówkę na Hali Gąsienicowej, byłem przekonany, że oszalałem. Wokoło było białe, bo w nocy spadł śnieg, i kukała kukułka, która dla mnie jest ptakiem ornitologicznego lata. Jedno do drugiego tak nie pasowało, że trudno mi było uwierzyć, że to, co widzę i słyszę, jest możliwe.

Konsekwencje tego, że w Tatrach jest zimniej, to nie tylko śnieg i kukułka w tym samym momencie. To przede wszystkim jedyne miejsce w Polsce i jedno z niewielu miejsc w Europie, w których można poczuć się jak w epoce mamutów. W Tatrach panuje klimat i wciąż żyją zwierzęta z czasów, gdy po Ziemi chodziły mamuty. Nie wierzycie?

Pewnie myślicie, że zwariowałem, bo zapraszam was w Tatry w lecie. Przecież właśnie tłumy walą przez zakopiańskie Krupówki i wędrują nad Morskie Oko, a na szlaku na Giewont kolejka ustawia się taka, że wygląda jak wielkomiejski korek. Wszyscy gonią, by wejść na szczyt, by coś zdobyć, i wokoło jest tłoczno i hałaśliwie. Czy można sobie wyobrazić miejsce bardziej odrażające dla prawdziwego przyrodnika, tropiciela i poszukiwacza przygód? Właśnie teraz czekają nas tu najciekawsze wyzwania! Proponuję wam zupełnie inne Tatry – takie do oglądania, a nie zdobywania. Zamiast

gonić wyżej i wyżej, będziemy sobie szli powoli i bardzo często będziemy przystawać. Na szczyty takie jak Giewont, Świnica czy Rysy nie wejdziemy wcale, no bo po co? Powiem wam szczerze, że od lat na nich nie byłem i wcale się tam nie pcham. O wiele ciekawsze rzeczy można zobaczyć po drodze.

PRZEZ DOLINY, CZYLI PODZIWIĄJ PLUSZCZA

Zatem powoli, bo góry nigdzie nam nie uciekną. Zanim wejdziemy wysoko, musimy przejść dolinami, a dolinami płyną strumienie. I mijamy je zdecydowanie za szybko! Trudno się dziwić, gdy w dali widzimy skaliste szczyty, które przyciągają niczym magnes. Do nich gonimy, bo myślimy, że to kwintesencja gór. Ale to błąd. Stop! Zatrzymajcie się natychmiast! To już w dolinach trzeba się zacząć uważnie rozglądać, bo gdzieś nad strumieniem albo w strumieniu może się pluskać pluszcz.

To taki mały i krępy ptak z krótkim ogonkiem. Ciemny, czarno-brązowy, z białą piersią. Właśnie dzięki niej łatwo wypatrzeć, jak sobie podryguje na kamieniu. To najbardziej niesamowity ptak w naszych górach. Pluszcze nie są zbyt płochliwe i można je czasami obserwować nawet z kilku metrów. Nie potrzebujecie ukrycia czy maskowania, co najwyżej dobrej lornetki. A jest na co patrzeć – skacze z jednego kamienia na drugi i nagle hop do wody. Nurkuje nawet na kilkanaście sekund.

Uwielbiam pluszcza, bo to ptak niespodzianka. Komuś, kto nie ma pojęcia o ornitologii, do głowy nie przyjdzie, że pluszcz jest związany z wodą nie mniej niż kaczka czy perkoz. Nie ma ani płaskiego dzioba, ani błon pławnych między palcami. Wygląda raczej jak drozd, typowy ptak śpiewający. Pozory jednak mylą. To spec od ekstremalnych warunków wodnych, bo woda w górach to ekstremalne środowisko. Ma zaledwie kilka stopni, a utrata ciepła w wodzie następuje około 20 razy szybciej niż na lądzie. Dlatego rozbitkowie tak szybko giną w morzach przy temperaturze, która na lądzie nie sprawiłaby większego kłopotu. A pluszcz daje radę.



Mijając górskie potoki, koniecznie rozglądajcie się za nurkującymi pluszczami

CZEMU PLUSZCZ NURKUJE?

Podobnie jak inne zwierzęta, które muszą zanurzać się w zimnej wodzie, a nie mają grubej warstwy tłuszczu jak foki, pluszcz ma coś, co przypomina kombinezon polarnych nurków. Pierwsza warstwa to nieprzemakalne pióra pokryte substancją olejową wytwarzaną przez gruczoł w okolicach kupra. Chronią one przed zamoknięciem grubą warstwę puchu. Między puchowymi włóknami zbiera się zaś powietrze i to ono chroni ptaka przed wychłodzeniem. Na tej samej zasadzie działają też puchowe kurtki i śpiwory. I dlatego tak bardzo trzeba uważać, żeby puch w nich się nie zbił. Bo jak się zbije, to nie będzie miejsca na powietrze i całość straci właściwości izolacyjne.

To niejedyna niespodzianka, jaką przygotował pluszcz. Może też zasłonić nozdrza specjalnymi płatkami skóry, a oczy przesłonić przezroczystą błoną,

która działa niczym okulary. We krwi ma także dużo hemoglobiny, co ułatwia mu dłuższe przebywanie pod wodą. Jego kości są cięższe niż u innych ptaków, co zmniejsza wyporność i ułatwia nurkowanie.

Pluszcze nie nurkują jednak dla zabawy. Polują na żyjące w strumieniach bezkręgowce, których jest tam całkiem sporo. W tatrzańskich aż roi się od larw chruścików. To te, które budują takie śmieszne, podłużne domki. Są deserem tylko dla pluszczy, bo żaden inny ptak nie potrafi zanurkować tak, żeby się do nich dostać. To dlatego, że pluszcze mogą chodzić po dnie, przytrzymując się kamieni, ale też mogą pod wodą latać! Słowo daję. Wraz z kolegami udało nam się kiedyś sfilmować pluszcze pod wodą i okazało się, że pływają, używając skrzydeł dokładnie tak, jakby latały. Tę samą technikę pływania stosują pingwiny, które oczywiście nie potrafią latać.



W razie wypadku w górach nie zwlekajcie z wezwaniem pomocy. Każda minuta jest cenna

Gdy zdarzy się wypadek...

Jeszcze nigdy nie przydarzył mi się żaden poważny wypadek w górach, ale paru moim przyjaciółom – owszem. Jeden nawet stracił życie na ogólnodostępnym szlaku przy pięknej pogodzie. Dlatego zawsze trzeba być gotowym na najgorsze. Oczywiście najłatwiej jest zadzwonić pod numer ratunkowy 112 lub numer TOPR czy GOPR 601 100 300, dlatego wychodząc w góry, musimy pamiętać o dobrze naładowanej komórce.

Trzeba ją trzymać w miejscu ciepłym i zabezpieczonym przed wilgocią. Można w zwykłej foliowej torebce na suwak. Musi być w takim miejscu, by zawsze można było do niej łatwo sięgnąć. Swoją noszę w kieszeni na piersi, dodatkowo jest przymocowana do linki, którą mam na szyi.

Niektóre firmy produkują komórki wodoszczelne i odporne na wstrząs. Warto taką mieć. Komórka ma jeszcze inną zaletę – służby ratownicze mogą określić rejon, w którym przydarzył się nam wypadek. Oczywiście pod warunkiem, że ktoś je powiadomił o wypadku. Dlatego trzeba zawsze mówić przyjaciółom lub obsłudze schronisk, na ile i gdzie się wychodzi. Co, gdy nie ma zasięgu? Wtedy też można prosić o pomoc. W górach każdy sygnał powtórzony sześć razy na minutę oznacza SOS. Możecie więc mrugnąć latarką co 10 sekund albo krzyknąć, albo gwizdnąć. Odpowiedź, że ktoś otrzymał naszą wiadomość, to sygnał powtórzony trzy razy na minutę.

Najłatwiej gwizdnąć, gdy ma się gwizdek. Tak jest, głupi gwizdek jest bardzo ważnym urządzeniem ratunkowym! Dlatego znajduje się przy każdej nowoczesnej kamizelce ratunkowej, a w górach jest tak samo potrzebny jak na wodzie. Krzycząc, szybko stracie energię, gwizdać możecie, ile chcecie, a do tego dźwięk gwizdka słyszany jest z daleka. Zatem gwizdek i komórka powinny być zawsze pod ręką w górach.



Jak rozmawiać z helikopterem?

W górach – i nie tylko – służby ratownicze wykorzystują śmigłowce, a z takim śmigłowcem trzeba umieć porozmawiać. Skąd załoga ma wiedzieć, czy to akurat wy potrzebujecie pomocy? Musicie użyć własnego ciała. Obydwie ręce wyciągnięte do góry, ramiona lekko rozchylone tak, że całą sylwetkę przypominacie „Y” – to sygnał do udzielenia wam pomocy. Przypominacie literę „Y”, którą zaczyna się angielskie „yes”, czyli „tak”. „Tak”, bo potrzebuję pomocy. Gdy śmigłowiec nad nami krąży, a nie potrzebujemy pomocy, też warto załogę o tym poinformować. Wtedy jedno ramię unosimy skośnie do góry, a drugie w dół, tak by wyglądać jak „N”, od „no”, czyli „nie”.



Y - YES - TAK



N - NO - NIE



GNIAZDO NICZYM FORTECA

Jak szukać pluszcza? Pierwsza wskazówka – oczywiście nad strumieniem. Ale przecież strumienie są bardzo długie. Poza tym takie łożenie może być bardzo uciążliwe, bo bywa tam błotniście i grząsko. No i jeszcze, jak to w Tatrach, czasami bywa stromo.

Podobnie jak w wypadku innych ptaków najlepiej więc zacząć poszukiwania od gniazda. Dobrze, ale jak znaleźć gniazdo tak małego ptaszka? W odróżnieniu od większości ptaszków śpiewających, które mogą mieć gniazda dosłownie wszędzie, pluszcze zawsze, albo prawie zawsze, zakładają gniazdo w tym samym miejscu. Namierzenie pierwszego gniazda pluszczy zajęło mi nie więcej niż godzinę.

Gniazdo jest usadowione niczym forteca, a więc poszukiwania należy zacząć od znalezienia stromej ściany. Tak by zejście z góry było bardzo trudne, a wejście od dołu prawie niemożliwe, bo odcięte przez rwącą wodę. Młode, gdy podrosną, wyskakują bezpośrednio do wody. To ich chrzest bojowy. Musicie więc szukać ściany skalnej albo na przykład mostku o takich właśnie cechach. Takich miejsc nie ma wiele, więc naprawdę łatwo je znaleźć. Gdy już je odkryjecie, to możecie do nich wracać latami, bo korzystać będą z nich pokolenia pluszczy.

Gniazdo pluszczy to konstrukcja wielorazowego użytku. Składa się z dwóch części: obudowanego mchami daszka, który chroni młode przed wiatrem i deszczem, oraz wnętrza wymoszczonego wodnymi roślinami, które przypomina czarkę. To w niej samica wysiada jaja i to w niej wychowuje młode. Gdy podrosną i opuszczą gniazdo, rodzice usuną tę czarkę z powodów higienicznych (pozbędą się tak na przykład pasożytów) i zbudują sobie nową, by wysiedzieć kolejne jaja. Obudowa z mchów zostaje. Trochę przypomina to nasze, ludzkie, zwyczaje – też częściej odnawiamy dom w środku niż na zewnątrz.

ZAMIESZANIE, CZYLI PISKŁĘTA W GNIEŹDZIE

Gdy już znajdziecie gniazdo, pamiętajcie, by obserwować je z takiej odległości, żeby się was pluszcze nie bały. Gdy tylko zobaczycie, że ptak z owadami w dziobie nie chce podlecieć do gniazda, oddalcie się kawałek, bo to oznacza, że piskłęta nie dostały obiadu na czas. Jeszcze jedna ważna uwaga – pluszcze mają młode dwa razy do roku. Jaja składają wiosną, na przykład w kwietniu, i potem jeszcze w maju lub czerwcu. Mało tego, w dole strumienia, gdzie nie jest tak zimno jak u góry, mogą mieć młode wcześniej niż kilkaset metrów wyżej. Dlatego jak zobaczycie puste gniazdo

i szare młode goniące wzdłuż strumienia za rodzicami, nie oznacza to, że za zakrętem, w innym gnieździe, rodzice nie będą karmić o wiele mniejszych pociech.



Burze potrafią być groźne. Lepiej nie wychodzić w góry gdy jest parno i gorąco

Burza w górach

Jednej rzeczy boję się w lecie w Tatrach. To burza. Zdarzają się przez cały rok, ale w lecie są szczególnie intensywne i pojawiają się czasem naprawdę nagle. Z małej białej chmurki nagle robi się chmura burzowa strzelająca błyskawicami na prawo i lewo. Niebezpieczne są właśnie takie błyskawice. Ale nie panikujcie! Najpierw spróbujcie ocenić, jak daleko burza jest od was i czy się oddala, czy przybliża. Jak to zrobić? Wystarczy liczyć sekundy dzielące od błysku do momentu, kiedy usłyszymy huk. Gdy jest ich coraz mniej, oznacza to, że burza idzie w naszą stronę. Licząc sekundy, można też w przybliżeniu określić, jak daleko znajduje się od nas. To proste, światło porusza się z szybkością około 300 tysięcy kilometrów na sekundę i dociera od razu do naszego oka, za to dźwięk rozchodzi się z prędkością tylko ponad 330 metrów na sekundę. Dzieląc liczbę sekund przez trzy, otrzymamy w przybliżeniu liczbę kilometrów dzielących nas od burzy.

Burzę bezpiecznie przeczekać tak naprawdę można tylko w schronisku, ale

nie zawsze mamy czas, by do niego dotrzeć. Przede wszystkim trzeba więc zejść ze szczytów i grani. Należy również unikać miejsc, gdzie są łańcuchy lub schodzą potoki. Metal i woda dobrze przewodzą ładunek elektryczny, więc lepiej trzymajmy się od nich jak najdalej. Nie należy stawać przy pionowych ścianach i nie wolno chronić się pod drzewami, bo trafione eksplodują tysiącami drzazg. Dobre są wszelkie zagłębienia. Jeżeli mamy odpowiednio duży plecak, należy na nim usiąść, podkulając nogi – chodzi o to, by odizolować się od podłoża. Wszelkie metalowe przedmioty, na przykład statyw, należy położyć w odległości kilku metrów od siebie.



ŚWISTAK Z EPOKI LODOWCOWEJ

Wytropiliście już pluszcze? Zatem pora na dalsze wyzwania. Naszym kolejnym są zwierzęta zwane alpejskimi. Tym razem będą to świstaki, bo na kozice wybierzemy się kiedy indziej. W Alpach żyje setki tysięcy, a może miliony świstaków. W naszych górach mamy zaledwie koło 100 świstaczych rodzin. To około 400 stworzeń. W słowackiej części Tatr jest ich kilkukrotnie więcej, ale to wciąż bardzo niedużo. Idziemy więc szukać bardzo rzadkiego zwierzęcia.

Kiedyś świstaki były spotykane nawet na nizinach. Tam gdzie dziś mamy lasy, kiedyś był skraj łądolodu zarośnięty trawami, który nazywał się stepotundrą. Po niej właśnie chodziły sobie mamuty. Świstakom to bardzo odpowiadało, bo było tam pełno jedzenia, no i bardzo mało drzew. Przy takiej widoczności można było szybko zwiać do nory, gdy zbliżał się jakiś drapieżnik. Świetny wzrok i szybkość to ich jedyna broń.

Niestety – przynajmniej dla świstaków – jakieś 10 tysięcy lat temu nadeszło ocieplenie. To dzięki niemu my, ludzie, zrobiliśmy tak zawrotną karierę w świecie natury, bo mogliśmy z łowców zamienić się w rolników. Za to świstaki musiały skorzystać z tego, co potrafiły najlepiej, i uciekły w góry. Tam gdzie chłodniej i gdzie oczywiście nie było drzew. W Europie znalazły odpowiednie miejsce w Alpach i Tatrach. Obecnie ekolodzy martwią się, czy obserwowane ocieplenie się klimatu, znacznie gwałtowniejsze od tego sprzed tysięcy lat, nie przysporzy świstakom kłopotu. Las, którego te zwierzątka tak nie lubią, wędruje coraz wyżej do góry.

Lodowcowe pochodzenie świstaków ma ogromne znaczenie, jeżeli chcemy je obserwować, bo gdy jest naprawdę gorąco, siedzą w norach. Najlepiej obserwować je nad ranem i do południa. Nie lubią także złej pogody, więc zapomnijcie o podglądaniu świstaków, gdy pada i wieje.



Świstaki to wiewiórki, które nie lubią drzew. By ich uniknąć gdy kończyła się epoka lodowa, wyniosły się w wysokie góry

ZIMOWY SEN W SIANKU

Ponieważ wysoko w górach klimat wciąż jest taki jak w czasie epoki lodowcowej, to świstakom bardzo przydaje się wiele przystosowań z tamtych zimnych czasów. Najciekawszym jest sen zimowy, do którego świstaki specjalnie się przygotowują. Właściwie od momentu, gdy się budzą, zaczynają się otłuszczać. Samiec, który wczesną wiosną ważył około 3 kilogramów, przed snem zimowym waży już dwa razy więcej! Mało tego, na zimę świstaki przygotowują specjalne nory. Letnie, które służą im do rozmnażania się, są płytkie – młode rodzą się na głębokości około metra. Za to nora zimowa może mieć nawet 7 metrów głębokości!

Wejście do niej świstaki zatykają specjalnym czopem z ziemi, kamieni

i roślin. Komorę, w której będą spały, wyściełają siankiem. Może go być nawet 10 kilogramów. Czy lubią wygodne spanie, czy może siano jest przekąską? I jedno, i drugie. Sen świstaka jest bardzo głęboki. Temperatura ciała spada z około 37 stopni do 8, liczba uderzeń serca – ze 130 na minutę do zaledwie 15. Liczba oddechów też zostaje ograniczona do kilku na minutę. W czasie snu przy życiu utrzymuje go zgromadzony tłuszcz. Co jakiś czas świstak budzi się, by się wysiusiać i coś przekąsić. Po co to robi, skoro mógłby spać? Otóż potrzebuje pobudki do utrzymania przy życiu bakterii, które rezydują w przewodzie pokarmowym i latem ułatwiają mu – podobnie jak innym roślinożercom – trawienie roślin.

PIERWSZA RZECZ – AMORY

Gdy świstak się obudzi, jest wychudzony i niespecjalnie wybrzydza. Zjada wszystko, co zielone. Wcina jak szalony, bo może zjeść dziennie ponad kilogram pokarmu, czyli to tak, jakby człowiek pochłoniął 20-30 kilogramów jedzenia jednego dnia. Wyczyn raczej niemożliwy. W podstawowej diecie tatrzańskich świstaków doliczono się 43 roślin. Co ciekawe, świstaki starają się wybierać rośliny bogate w nienasycone tłuszcze roślinne. Wysokie stężenie tych związków pozwala im potem lepiej przeżyć okres hibernacji. Zapasy takiego tłuszczu sprawiają, że budzą się zdrowsze wiosną.

Zgromadzonego tłuszczu starcza im nie tylko na przespanie zimy, lecz także na wykopanie się z nory czasami przez kilkumetrową warstwę śniegu i na natychmiastowe gody. Do wszystkiego, co najważniejsze, dochodzi w norze, ale nasze tatrzańskie świstaki wyłazą jeszcze na powierzchnię, by odetchnąć świeżym powietrzem. To różni je od alpejskich, którym tak się śpieszy, że na amory zbiera się im jeszcze przed pierwszym wiosennym wyjściem.

MŁODE MYSZOWATE

Owocem tych wiosennych czułości są młode, które z nor wychodzą w lipcu. I one są właśnie powodem, dla którego warto się wybrać w Tatry w lecie. Świstaki nie mają zbyt dobrych doświadczeń z człowiekiem. Bywało, że znajdowały się na granicy wymarcia i setki lat prześladowań sprawiły, że są dość ostrożne. To oczywiście zależy od kolonii, ale generalna zasada jest taka, że im świstak starszy, tym ostrożniejszy. Stare można poznać po tym, że mają żółte – wręcz złote – futro. Im młodszy, tym więcej szarości. A najmłodsze są szare i dość myszowate, co nie znaczy, że mało sympatyczne z wyglądu. Są tak ufne, że mogą podejść bardzo blisko, nawet na kilka metrów.

W rodzinie są młode z różnych lat, bo dla świstaków życie rodzinne to podstawa. Bez rodziny niemożliwe byłoby kopanie nor, a przede wszystkim skuteczna obrona przed drapieżnikami. Nie mają świstaczych dyżurów,

zwykle wszyscy członkowie rodziny – i ci pracujący, i ci odpoczywający – bacznie rozglądają się po okolicy. Świst jednego z nich oznacza, że do nor zwiewają wszystkie.

Co bierzemy do plecaka?

Oczywiście na tatrzańską ekspedycję trzeba się dobrze przygotować. Ja mam zawsze ze sobą kijki do chodzenia po górach. Są one mocniejsze od tych do nordic walkingu. Po co kijki, jak nie ma śniegu i nie można jeździć na nartach? Otóż podpierając się kijkami, łatwiej włożyć pod strome zbocza, a schodzi się z przyjemnością, bo odciążają nogi. Kiedyś myślałem, że to jakaś głupota, ale dziś nie ruszam się bez kijków. Nie używam tylko gumowych nasadek na końcówki, bo zawsze się gubią.

W plecaku też mam zawsze oscypek, czyli ser produkowany przez górali z owczego i krowiego mleka. Jak się ma wodę i oscypek, to można chodzić i chodzić. Ser zawiera wszystko, czego potrzebuje nasz organizm – białko, tłuszcz i sole. Ale poza oscypkiem przydaje się też batonik. Taka żelazna porcja na wszelki wypadek. Gdy idziemy na dłużej, warto mieć czapkę, rękawiczki, coś ciepłego – sweter, polar i Goreteksową kurtkę. Pogoda w górach może w każdej chwili się zepsuć. Gdy ruszamy na krótszą wycieczkę, warto mieć w plecaku folię NRC. To taka supercienka płachta wykorzystywana przez służby ratownicze. Z jednej strony jest złota, z drugiej – srebrna. Ta srebrna strona odbija ciepło i gdy chcemy siebie albo kogoś zabezpieczyć przed wychłodzeniem, przykrywamy go srebrną stroną do ciała, a złotą na zewnątrz. Gdy ktoś się przegrzał, można też owinać go w folię, lecz odwrotnie. Taką folię mam zawsze w plecaku i nigdy jej z niego nie wyjmuję.



NAJLEPIEJ ZE SZLAKU

Nory są bardzo ważną częścią świstaczego życia, ale przy norach nie warto na świstaki czekać. Po pierwsze, są przy nich bardzo ostrożne. Po drugie, pamiętajmy, że jesteśmy w parku narodowym i nie wolno schodzić tu ze szlaków. Zresztą schodzenie ze szlaku jest najgłupszą rzeczą, jaką można zrobić, bo liczba kolonii znajdujących się w miejscach niedostępnych jest podobna do tej przy szlakach.

Świstaki są mądrymi zwierzątkami i szybko zauważyły, że tam, gdzie są ludzie, nie ma za dużo drapieżników. Przecież orzeł nie podleci, a wilk nie podejdzie tam, gdzie przewalają się tłumy. Kłusownik też nie będzie mordował zwierząt na oczach turystów. Dlatego najłatwiej zwierzaki w Tatrach oglądać właśnie ze szlaku.



Skalnice to rośliny, które spotkacie w Arktyce i wysokich górach takich jak Tatry

ZABAWA W ZMĘCZONEGO TURYSTĘ

Znam w Tatrach jedno miejsce, gdzie wystarczy przystanąć, by zobaczyć świstaki. To szlak prowadzący z Zielonego Stawu na Przełęcz Swinicką. Gdy usłyszę świst, od razu zaczynam się rozglądać. Nie gnam do góry, gdzie pędzą wszyscy, ale idę powoli i siadam na kamieniu koło uczęszczanego szlaku, tuż przed ostrym podejściem. A potem się maskuję, by nie wzbudzić ich podejrzeń. Udaję zmęczonego turystę – wyciągam termos i coś do zjedzenia i z przerażeniem patrzę na podejście, gdy tak naprawdę rozglądam się wokoło. Po paru chwilach, jeżeli jest dobra pogoda, widać świstaki. Patrzenie, jak jedzą, iskają się albo gonią, jest prawdziwą przyjemnością. Tak poza wszystkimi ciekawostkami biologicznymi to są po prostu śliczne zwierzątka.

Najprawdziwsi twardziele

Prawdziwymi twardzielami nie są żyjące w wysokich górach zwierzątka, ale tatrzańskie rośliny. Do takich wniosków dochodzę, gdy patrzę, w jakich warunkach rosną. Gdy wieje lub jest zimno, kozice znikają, świstaki chowają się w norach, a taka skalnica, śliczna roślina o drobnych

kwiatkach, trwa na posterunku tam, gdzie wyrosła. W Tatrach jest ponad dziesięć gatunków skalnic.

Zresztą warunki, w których żyją wysokogórskie rośliny, są ekstremalne nie tylko z powodu niskich temperatur. Dają się im we znaki bardzo silne wiatry oraz brak wody. Rośliny mają jednak swoje sposoby na przetrwanie – są niskie, mają zdrewniałe łodygi i twarde liście, często pokryte włoskami albo wydzieliną przypominającą воск. To zabezpiecza je przed mrozem i wysuszającymi wiatrami. Tworzą różne formy, na przykład przypominające poduszkę, dzięki czemu jest im nieco cieplej i mogą zatrzymać więcej wilgoci. Tak rośnie na przykład lepnica bezłodygowa, często spotykana w arktycznej tundrze, a w Tatrach żyjąca powyżej granicy lasu. To taka poducha z jasnofioletowymi kwiatkami.

Dla mnie najbardziej ekscytującym odkryciem było to, że w Tatrach widać rośliny, które znam z Arktyki. Najłatwiej z tej arktyczno-tatrzańskiej flory rozpoznać dębik ośmiopłatkowy, który jest przybyszem z Arktyki. To krzewinka o ślicznych białych kwiatkach i zielonych – nawet zimą – listkach przypominających trochę liście dębu. Dębiki są długowieczne, ich kępki mogą mieć nawet ponad sto lat. To też metoda na przetrwanie, bo częste przeprowadzki w tak ekstremalnych warunkach są bardzo energochłonne.

Dębik znany jest paleontologom badającym stepotundrę, czyli takie trawiaste stepy, po których tysiące lat temu deptały mamuty. Badając kolejne warstwy osadów sprzed kilkunastu tysięcy lat, czyli z końca plejstocénskiego zlodowacenia, naukowcy odkryli coś dziwnego. Najpierw znaleźli pyłki roślin dość ciepłolubnych – to logiczne, skoro się ocieplało i kończyła się epoka lodowcowa. Nad nimi była jednak warstwa bogata w pyłki dębika, co oznaczało jedno: nagle zrobiło się bardzo zimno.

To ochłodzenie, które od łacińskiej nazwy dębika – *Dryas octopetala* – nazywamy młodszym dryasem, zaczęło się około 12 tysięcy lat temu i trwało mniej więcej 1000 lat. Jedna z teorii głosi, że to gwałtowne oziębienie zostało wywołane... ociepleniem, które spowodowało pęknięcie lodowej bariery, zatrzymującej wody wielkiego jeziora Agassiz. Ten zbiornik w Ameryce Północnej zawierał olbrzymie ilości słodkiej wody. Gdy dostała się ona do oceanu, zatrzymała Prąd Zatokowy, który jak kaloryfer ogrzewa Europę, i zrobiło się zimno. Ten moment wykorzystały dębiki, by rozplenić się na naszym kontynencie.





Bieszczady to jedno z najdzikszych miejsc w naszym kraju. To dzikość inna niż na przykład w Puszczy Białowieskiej. Owszem, w niedostępnych dolinach i na stromych zboczach można znaleźć prastare bukowe lasy, których nie sadził człowiek, ale nie na tym polega wyjątkowość Bieszczadów. To środowisko unikalne nie tylko dzięki siłom przyrody, lecz także powikłanej historii.

Jeszcze w latach 40. ubiegłego wieku w Bieszczadach było bardzo tłoczno. Mieszkańcy zajmowali się głównie pasterstwem i rolnictwem i na dziką przyrodę nie było tu zbyt wiele miejsca. Po II wojnie światowej ukraińska ludność została przymusowo wysiedlona i góry opustoszały, bo przez wiele lat nie wszystkim pozwalano się tu osiedlać. Dzika przyroda szybko skorzystała z okazji i góry zdziczały jeszcze bardziej. Bieszczady stały się rajem dla wilków i rysi. Wróciły niedźwiedzie, których jeszcze przed wojną tu nie było.

To, co zostało po dawnych mieszkańcach, ciągle otacza bieszczadzkie zwierzęta. Niedźwiedzie uwielbiają zjadać jabłka ze zdziczałych sadów. Jaszczurki, zaskrońce i żmije często wygrzewają się w ruinach domów. Dzikie koty, żbiki, żyją tutaj wygodnie dzięki mozaice pól i lasów oraz dużych polan, które pozostały po starych wsiach.

Co najważniejsze dla naszej ekspedycji, właśnie dzięki temu, że kiedyś mieszkali tu ludzie, rozgościł się tu także wąż Eskulapa, największy i najbardziej tajemniczy wąż, jaki żyje w naszym kraju.

Bieszczady to, jak już pisałem, wężowe góry. Boicie się troszkę? Nie ma powodu, to będzie fascynująca ekspedycja. Wiele lat temu z moim kolegą Romkiem Wolańskim mieliśmy dwa bieszczadzkie marzenia – zobaczyć niedźwiedzia i spotkać tajemniczego, wielkiego węża Eskulapa. Niedźwiedzia

widziałem w innych górach, ale nigdy w Bieszczadach. Węża Eskulapa w końcu zobaczyłem, po wielu latach. Ale ile się nałaziłem i naszukałem! A ile się przedtem nasłuchałem – że wielki, że to polski dusiciel, że może mieć ponad 2 metry długości. Że gruby jak ramię drwala i non stop łązi po drzewach. To ostatnie w zalewie legend, bajek i plotek okazało się prawdą. No, prawie prawdą, ale o tym za chwilę.

KRÓLESTWO GADÓW I PŁAZÓW

Wąż Eskulapa to niejedyna przyrodnicza ciekawostka, jaką kryją w sobie Bieszczady. Są jeszcze superrzadkie gniewosze, no i oczywiście zaskrońce oraz żmije. Mówicie, że pospolite i nieciekawe? Otóż nie. Właśnie w Bieszczadach możecie zobaczyć zupełnie czarnego zaskrońca, który nie ma żółtych plam, i czarną żmiję, na której grzbiecie ledwo co widać zygzak. Tak naprawdę to ten zaskroniec jest największą przyrodniczą rewelacją tych gór. Poza tym żyją tu aż trzy gatunki jaszczurek: zwinka, żyworódka oraz beznoga jaszczurka, czyli padalec, i dwa niezwykle fascynujące gatunki płazów, czyli kumak górski i salamandra. Zaskroniec jest zwykle stalowoszary i ma ciemniejszą głowę z żółtymi plamami „za skroniami”, od których wzięła się jego nazwa. Oczywiście nie dotyczy to tych zupełnie czarnych zaskrońców, które są... zupełnie czarne. Występują one jednak bardzo rzadko i może przez to myli się je z węzami Eskulapa. Zaskroniec może mieć do 1,5 metra długości, choć zwykle widuje się krótsze. Ja najbardziej lubię oglądać takie świeżo wyklute, bo przypominają sznurówki.



Piękne zaskronce są najpospolitszymi u nas węzami

Żmija jest o wiele krótsza. Te naprawdę duże mają około 70 centymetrów, ale to rzadkość. Nie jest smukła, ale raczej pękata, i w przeciwieństwie do innych węży ma sercowatą główkę. Na grzbiecie obowiązkowy zygzak i na głowie znak przypominający literę „H” lub „X”. Żmije mogą być szare, miedziane lub – jak kto woli – brązowe i oczywiście czarne. U tych ostatnich najłatwiej widać zygzak i trzeba się dobrze przyjrzeć, by go zobaczyć.

Żmiję troszkę przypomina gniewosz. Jego głowa jest jednak smukła, a nie sercowata. Różnicę między nim a żmiją najbardziej widać, gdy patrzy się mu w oczy – jego źrenice są okrągłe, a żmije mają wąskie i pionowe szczelinki. No i wreszcie wąż Eskulapa. Podobno w Europie bywają takie, które mają nawet 2 metry długości, ale u nas takich nie spotykano. Jest smukły, jasny na spodzie, a od góry – oliwkowo-brązowy. Jak go zobaczycie, to od razu będziecie wiedzieć, że to ten tajemniczy wąż.

WĄŻ MUSI SIĘ POBYCZYĆ W SŁOŃCU

Zanim opowiem wam o tym, gdzie szukać węży, muszę wspomnieć o czymś równie ważnym, a mianowicie o tym, kiedy ich szukać. Gdy przed laty z Romkiem przeczesywaliśmy najgłębsze bieszczadzkie ostępy, święcie

wierzyliśmy, że za chwilę przed naszym nosem zadynda z drzewa wąż Eskulapa. Niestety, mijały dni, a potem tygodnie, a wreszcie kolejne wakacje, a my nic nie widzieliśmy. Nie tylko nie spotkaliśmy węża Eskulapa, ale nawet zwykłej żmii nie udało nam się zobaczyć. Chyba wpadliśmy na jakieś zaskrońce, ale i te zwiewały niczym błyskawica i nie byliśmy w stanie im się dobrze przyjrzeć. Widzieliśmy trochę jaszczurek, ale to wszystko. Jednym słowem, ponieśliśmy sromotną klęskę. Mało tego, nie za bardzo wiedzieliśmy dlaczego.



Niepozorny gniewosz to jeden z naszych dwóch najrzadszych gatunków węży

Wszystko wyjaśniło się po wielu latach, gdy spotkałem w Bieszczadach Staszka Burego, o którym można powiedzieć, że zna węże jak mało kto. Staszek jest dziś młodym naukowcem – znakomitym herpetologiem, czyli specjalistą badającym gady i płazy. Kiedy jeszcze był w szkole średniej bez jego pomocy pracy z gadami w Bieszczadach nie wyobrażało sobie wielu poważnych naukowców, bo lepszego tropiciela gadów nie ma. No więc gdy ze Staszkiem ruszyłem w góry, zobaczyłem od razu i żmiję, i upragnionego węża Eskulapa.

Zrozumiałem także, dlaczego z Romkiem nam się to nie udawało. Wszystko przez to, że zupełnie nie rozumieliśmy gadów! Wydawało nam się, że te stworzenia uwielbiają się wygrzewać i robią wszystko dla byczenia się w słońcu. I niczym ludzie na plaży będą robić to, gdy jest gorąco, czyli

w samo południe albo tuż po południu.



Żmija to nasz jedyny jadowity wąż

JAK SPOTKAĆ LEŻAKUJĄCEGO WĘŻA?

Owszem, gady uwielbiają kąpiele słoneczne. Mało tego, są im one niezbędne do życia, bo to zwierzęta zmiennocieplne. Oznacza to, że temperatura ich ciała zależy od temperatury powietrza i nie są niezależne od otoczenia jak my, czyli ssaki, albo ptaki. By funkcjonować, muszą – tak jak baterie słoneczne – najpierw wygrzać się na słońcu. Oczywiście wiedzieliśmy o tym z Romkiem, tylko źle ocenialiśmy, jaki może to mieć wpływ na nasze poszukiwania. Szukaliśmy, gdy było bardzo gorąco, i to był nasz błąd.

– Na węże najlepiej wychodzić rano, gdy promienie słońca zaczynają dopiero grzać ziemię – tłumaczył Staszek. Chodzi o to, że właśnie wtedy węże są bardzo mało aktywne, bo sił i energii starcza im jedynie, by po zimnej końcówce nocy znaleźć jakieś w miarę bezpieczne miejsce i się wygrzać. Wtedy myślą tylko o „naładowaniu baterii” i nic ich poza tym nie obchodzi albo może nie aż tak bardzo jak wtedy, gdy już się wygrzeją. No bo wtedy żmija czy zaskroniec nie traci już czasu na wygrzewanie, tylko co sił pełźnie w gęstwinę polować. Takie wygrzane węże są też bardzo czujne i reagują na wszystko, co dzieje się w okolicy. Zapytacie, jak to się dzieje, że zwiewają, zanim nawet nas zobaczą. Otóż taki olbrzym jak człowiek, idąc, wywołuje

drżania i gady oraz płazy świetnie je wyczuwają.



Samce jaszczurki zwinki potrafią wyglądać egzotycznie

By zobaczyć więc węże, trzeba tropić rano. Gdy tuż po świcie ruszyłem w miejsce wskazane mi przez Staszka, od razu zobaczyłem trzy żmije i zaskrońca. Spragnione słońca wylegiwały się w słabych jeszcze promieniach. Bardzo wczesny poranek to właśnie najlepsza pora na węzowe tropienie.

Żmije, które są bardziej odporne na chłód, wyłazą pierwsze, za nimi zaraz zaskrońce, najdłużej trzeba czekać na węże Eskulapa. Pojawiają się, gdy słońce świeci mocniej, około 10. Gdy przegapisz jednak te godziny, to masz jeszcze szansę spotkać węże tuż przed zachodem słońca. Szczególnie tę porę lubią żmije, bo nocą polują.

Oczywiście za dnia też możemy spotkać węża, ale już nie jest tak łatwo go podejść jak rano lub po południu. Kiedy więc polują lub załatwiają inne swoje sprawy, możecie się sami powylegiwać w słoneczku, co jest bardzo przyjemne.

GDZIE SZUKAĆ WĘŻY?

Kolejnym błędem w tropieniu węży jest szukanie ich w zupełnie

niewłaściwych miejscach. Najprostszy sposób, by je znaleźć, to po prostu zapytanie kogoś, kto mieszka w okolicy. Możecie oczywiście też poszukać sami, ale nie zapuszczajcie się w żadne dzikie ostępy, bo węże mieszkają tuż obok... schroniska lub pola namiotowego, na którym się zatrzymaliście. Szukajcie miejsc, gdzie składowane są kamienie, deski lub gałęzie. Żmije i zaskrońce w Bieszczadach uwielbiają takie sterty, bo mogą się tu w miarę bezpiecznie wylegiwać. Gdy tylko nadciąga jakieś niebezpieczeństwo, czmychają w płataninę gałęzi.

Dostrzec je z początku nie jest łatwo, ale wystarczy, że oczy się przyzwyczają, i wtedy bez trudu rozróżnicie cienką gałązkę od zygzaka żmii czy smukłego ciała zaskrońca. Patrząc na żmije w takiej płataninie, widać wyraźnie, po co im ten zygzak. To nie ozdoba, ale maskowanie, które sprawia, że wąż jest ledwo widoczny.

Jeżeli będziecie podchodzić do sterty gałęzi, to musicie najpierw się przyjrzeć, z której strony świeci słońce. Tam gdzie promienie padają najgęściej, tam będą i węże. Ale uwaga, nie skradajcie się ze słońcem za plecami. Jak rzucicie cień w kierunku gadów, to na pewno zwieją. Podchodzić do nich trzeba z boku.

Jak się ubieram i co zabieram w Bieszczady?

W Bieszczadach mam zawsze mocną koszulę z długimi rękawami oraz mocne spodnie. Zdarzają się lata, gdy tutejsze gzy są bardzo złośliwe, a poza tym w tych górach jest pełno jeżyn, kolczastych tarnin, głogu, dzikich róż i tym podobnych rzeczy. Bieszczady to kolczaste góry.

Dobrze mieć ochraniacze na buty, nie tylko dlatego, że jest tu zwykle pełno błota, ale gdy wejdzie się w takie chaszcze ze sznurówkami na wierzchu, można się bardzo nieprzyjemnie zaplątać. A na głowę jakaś czapeczka lub lekki kapelusz, żeby łazenie na słońcu nie skończyło się źle. Warto mieć coś przeciwdeszczowego, bo często tu pada. I koniecznie butelkę z wodą. Nieprzegotowanej wody z bieszczadzkich strumieni nie radzę pić. Może się to skończyć nieprzyjemną chorobą.



Jak zrobić przytulny domek ze starego tropiku i hamaka?

W lecie nie lubię spać w namiocie. Jest w nim gorąco i duszno. Najbardziej lubię spać po prostu na karimacie na ziemi, w lekkim śpiworze. Ale kiedyś praktykowałem też inny sposób na biwakowanie. Miałem lekki hamak, stary tropik, czyli tę górną część namiotu, i linkę. Rozpinałem hamak między drzewami, nad nim linkę, na którą kładłem tropik. Potem wystarczyło go przymocować do ziemi szpilkami lub śledziami i robiła się

z tego całkiem sympatyczna siedziba. Tropik zabezpiecza przed niewielkim deszczem i rosą. Poza tym jest pod nim miło, rześko i przewiewnie. A co najważniejsze, taki domek można zwinąć w jeden leciutki rulon w minutę i nie trzeba się martwić o te wszystkie linki, maszty i tym podobne rzeczy, które psują humor przy rozbijaniu namiotu.



WĘŻOWA MISS GRACJI

Węże Eskulapa są bardzo związane z człowiekiem i naszymi różnymi konstrukcjami budowlanymi. Szczególnie drewnianymi. Jeżeli więc chcecie zobaczyć węża Eskulapa, przyglądajcie się wszelkim szałasom, drewnutniom czy stertom trocin tuż za upadłymi tartakami. Przy takich, które wciąż pracują, węże również bywają, ale rzadziej. Podobno węże Eskulapa są dość częstymi gośćmi w ulach. Mojego pierwszego węża Eskulapa zobaczyłem, jak wypęłzał spod dachu pewnego baru piwnego. Mający około 1,5 metra wąż wyszedł nagle ze szczeliny, przeszedł na wiszącą gałąź i zniknął w gęstwinie. Od razu jednak uprzedzam – zobaczyć węża Eskulapa nie jest łatwo, ale jeżeli już wam się uda, to zapamiętacie to do końca życia. Nie ma piękniejszego i bardziej dystyngowanego węża w Europie. No i będziecie wielkimi szczęściarzami, bo to nasz najrzadszy wąż. W Polsce jest ich nie więcej niż 200 i wszystkie mieszkają w Bieszczadach.

KTO ZRZUCIŁ SKÓRĘ?

Jak myślicie, jakie ślady zostawiają po sobie węże? Na pewno nie ślady stóp. Węże, tak samo jak jaszczurki, gubią skórę. Chodzi o wylinkę, czyli naskórek, który z czasem starzeje się i zaczyna krępować węża, przeszkadzając mu przy wzroście. Nasz, ludzki, naskórek także cały czas się łuszczy, choć nie widać tego tak wyraźnie jak u węży i jaszczurek, bo ich odpada całkiem pokaźnymi płatkami. Gdy znajdziemy taką starą powłokę, wygląda ona, jakby zwierzę po prostu całe wyszło ze skóry. Węża, który ma zrzucić naskórek, zobaczyć nie jest łatwo. Stary naskórek zasłania mu oczy, które wyglądają, jakby były zamglone, i wąż ukrywa się, bo niezbyt dobrze widzi i mógłby łatwo paść ofiarą drapieżników.

Nie potrafię wam powiedzieć, jak często węże zrzucają naskórek, bo to zależy od wielu czynników. Na pewno młode, które rosną, muszą robić to znacznie częściej niż dorosłe. Jeżeli gdzieś znajdziecie wylinkę, możecie spróbować poznać, kto taki „wyszedł ze skóry”. Gdy jest mała i widać na niej łapki, to znaczy, że była to jaszczurka. Jeżeli wylinka jest długa, to oczywiście był to wąż. Tylko jaki?

Spójrzcie na wylinkę pod światło. Jeżeli na stronie grzbietowej, czyli tej, gdzie widać odciski drobnych łusek, a nie podłużnych tarczek brzusznych, jest zygzak, to jest to żmija. Teraz popatrzcie na łuski. Widzicie taki karb na łusce idący wzdłuż? To znaczy, że skórę zgubił zaskroniec albo żmija. Gdy karbu nie ma, to znaczy, że wylinka należała do węża Eskulapa. Znowu gdy łuska jest mała, to do gniewosza. Jeżeli macie trochę szczęścia i macie również tę część, którą wąż zrzucił z głowy, możecie odróżnić wylinkę żmii (ma na głowie masę drobnych tarczek) od innych węży (mają tylko dziewięć dużych tarczek). Wylinek najlepiej szukać przy stertach kamieni, gałęzi i wszędzie tam, gdzie węże mogą się schować i poobcierać.

DLACZEGO MIŁOŚNICY ZWIERZĄT NIE ŁAPIĄ WĘŻY I JASZCZUREK?

No dobra, wiem, co was teraz korci: złapać jakiegoś węża i przez chwilę potrzymać go w rękach. Powiem tak – to bardzo przyjemne uczucie, pod warunkiem że wąż jest oswojony. Można wtedy poczuć, że nie jest obślizgły, tylko bardzo miły w dotyku. Mało tego, można wyczuć w jego ciele moc. Nie polecam jednak łapać dzikich gadów. Mógłbym napisać, że zabrania tego prawo, bo wszystkie gady są u nas chronione, ale są też inne powody. Jaszczurki potrafią odrzucić ogon i nigdy już im taki sam nie odrośnie.

Dla węży bycie dotykanyh to też bardzo stresująca przygoda. Złapana żmija będzie próbowała was ukąsić. Po co niepotrzebnie narażać się na działanie jadu? Węże Eskulapa gryzą, i to czasami dość boleśnie, a zaskronce wydzielają z siebie okropnie śmierdzącą maź. To wszystko jednak nic w porównaniu z tym, jaką przykrość możemy takiemu wężowi sprawić. Otóż one niezbyt często jedzą, polują raz na tydzień lub dwa. Bardzo długo trawią, czasem nawet około tygodnia. Przestraszone potrafią taki posiłek zwrócić. To naturalny odruch obronny, bo najedzonemu albo raczej trawiącemu wężowi jest trudniej uciekać. Strata jednego posiłku dla węża jest tym samym, czym pozbawienie nas jedzenia na tydzień! Chyba nie chcielibyście znaleźć się w takiej sytuacji? Dlatego nie łapcie węży. One tego po prostu nie lubią.



Wąż Eskulapa jest nie tylko wielki, ale też potrafi się świetnie wspinać na drzewa

Jaszczurka prawie jak wąż

Bieszczady to absolutnie genialny teren do podglądania jaszczurek. W tym samym miejscu możecie tu zobaczyć nawet dwa gatunki: miedzianą jaszczurkę żyworodną i zielonkawą jaszczurkę zwinkę. Różnią się one nie tylko kolorem i rozmiarem (zwinka jest większa), lecz także sposobem, w jaki na świat przychodzą młode. Zwinka składa jaja w gniazdach w ziemi, a żyworodna, jak sama nazwa wskazuje, rodzi malutkie jaszczureczki. Takie maleństwa można zobaczyć w środku lata – są ciemnomiedziane, prawie czarne.

Wąż to wąż, a jaszczurka to jaszczurka, ale jest pewna jaszczurka mylona z węzami. To padalec. Może być on miedziany we wszystkich odcieniach, czasami zdarza się turkusowy z mniejszymi lub większymi plamami

na grzbiecie. To rzadkość. Padalec, który jest jaszczurką beznogą, kształtem rzeczywiście trochę przypomina węża, ale tak naprawdę wszystko go od węża różni.

Zamiast dużych węzowych tarczek na spodzie ma na całym ciele drobne jaszczurcze łuski, przez co porusza się wolniej. Nie potrafi się sprawnie wici, głowy nie ma wyraźnie oddzielonej od reszty ciała jak u węży. Jego głowa też nie jest węzowa – ma wyraźne otwory uszne, których węże nie mają, i potrafi do nas mrugnąć okiem, bo ma powieki, których węzom brakuje. No i wreszcie padalec nie potrafi wysuwać języka bez otwierania pyszczka jak węże. Za to tak jak jaszczurki złapany za ogon odrzuci go i czmychnie, gdzie pieprz rośnie. Dlatego błagam, nie łapcie także jaszczurek!

Po co padalcowi to podobieństwo do węża? Przez styl życia. Często zagrzebuje się w ściółce i wchodzi pod kamienie w poszukiwaniu ukrycia i pokarmu, bo padalce polują na ślimaki, dżdżownice i inne wszelkie wolne stworzenia. Wolne, bo sam padalec nie jest zbyt szybki.



Beznogi padalec może i wygląda jak wąż, ale po pyszczku widać, że to jaszczurka

JAK ZROBIĆ INKUBATOR DLA ZASKROŃCA?

Gniewosze i żmije – w odróżnieniu od innych gadów – rodzą młode. Nie jest to dokładnie to samo co u ssaków, bo ich jaja rozwijają się w ciele samicy i młode wykluwają się z nich tuż przed porodem. Po żmijach wyraźnie widać, gdy są ciężarne. Taka samica jest naprawdę pękata – nic dziwnego, bo może urodzić nawet do 20 młodych.

Zaskrońce i węże Eskulapa składają jaja. Samica zaskrońca może ich złożyć ponad 20, a węża Eskulapa – nie więcej niż osiem. Nie wyglądają wcale jak kurze jaja – różnią się kształtem, a przede wszystkim skorupką, która jest skórzasta i miękka. Jak wiecie, ptaki – choć nie wszystkie – wysiadują jaja. W najgorszym wypadku, tak jak kukułki, podrzucają do wysiedzenia innym. Znam tylko jeden gatunek, który nie wysiaduje, ale o tym później.

Chodzi o to, by rozwijające się w jajach zarodki miały stałą temperaturę i by była ona w miarę wysoka. Dokładnie ten sam problem z jajami mają gady, w tym węże, ale niestety, ponieważ są zmiennocieplne, nie mogą ich wysiedzieć jak ptaki. No i jak sobie z tym problemem radzą? Otóż ukrywają je tam, gdzie gnie materia organiczna, liście, resztki drewna czy trawa. W procesie gnilnym przy różnych reakcjach chemicznych wytwarzane jest ciepło i takie kupki trocin, gnijących liści lub siana to idealne naturalne inkubatory, z których korzystają zaskrońce i węże Eskulapa.

Inkubator możecie sami zrobić węzom we własnym ogrodzie. Wystarczy skoszoną trawę i liście gromadzić w jednym miejscu. Warstwy dobrze przekładać gałęziami, by kopczyk nie okazał się zbyt zbity. Gdy już zaczną solidnie gnić i w okolicy są zaskrońce, na pewno skorzystają z waszego zaproszenia i pod koniec sierpnia będziecie mogli zobaczyć prześliczne maleńkie węże.

Ach, obiecałem wam jeszcze napisać, co to za ptak, który nie wysiaduje. To australijski nogal. Usypuje kopce z piasku pomieszanego z gnijącymi szczątkami roślin i tam składa swoje jaja, czyli wykorzystuje to samo zjawisko chemiczne co nasze węże.

Pleń bardzo tajemniczy

Pleń jest równie tajemniczy jak yeti lub potwór z Loch Ness, ale dużo bardziej fascynujący, bo istnieje naprawdę. Sam nigdy go nie widziałem, choć poluję na niego od lat i mam nadzieję, że to się wkrótce zmieni. I to dzięki wam, drodzy czytelnicy, bo już mi wskazaliście kilka miejsc, gdzie pleń widywany są regularnie, np. w Gorcach. Pleń może mieć nawet trzy metry długości, kilkanaście centymetrów szerokości i kilka grubości. Czasem jest obły, a czasem płaski. Zmienia kształt, bo składa się z tysięcy maleńkich, mniej więcej centymetrowych, larw. Zlepione wydzieliną zachowują się, jakby były jednym organizmem przypominającym wielkiego węża. Bardzo sprawnie – choć z niezbyt zawrotną szybkością około siedmiu metrów na godzinę – pleń wędruje w znanym tylko sobie kierunku.

Nikt nie wie, dlaczego małe larwy muchówki zwanej ziemiórką pleniówką

nagle postanawiają wyjść z ziemi i ruszyć w podróż. Być może szukają lepszego miejsca do życia. Larwy występują w ściółce leśnej w dużych skupieniach – nawet do stu na metr kwadratowy. Ich główne pożywienie stanowią rozkładające się części roślin, próchniejące drewno itp. Może formowanie olbrzymiego węża podejmują, gdy zaczyna im brakować pożywienia lub robi się za sucho. Ale dlaczego nie wędrują pojedynczo? Na to pytanie odpowiedź też jest tylko teoretyczna: by było bezpieczniej. Drapieżnik nie odważy się zaatakować wielkiego węża. Plenie nie są atakowane ani przez mrówki, ani przez pająki, ani przez ptaki.

A jak to się dzieje, że larwy wiedzą, gdzie i jak mają się spotkać, aby stworzyć plenia? Tu także można snuć domysły o działaniu feromonu kumulacyjnego, czyli substancji chemicznej wydzielanej przez owady, która informuje o tym, że trzeba się zebrać. Inną zagadką jest to, co takiego węża prowadzi. Czy sunie on w przypadkowym kierunku, czy też zmierza do określonego celu? Jak to się dzieje, że larwy z końca podporządkowują się tym na początku?

Naukowcy snują tylko przypuszczenia, bo zjawisko jest tak rzadkie, że bardzo trudno je zbadać. Plenie pojawiają się pod koniec czerwca i na początku lipca. Można je zobaczyć zwykle nad ranem, gdy jest jeszcze chłodno. Plenie odnajdowano w Puszczy Białowieskiej, nad Biebrzą, na Mazurach, w Pieninach, Karkonoszach, Bieszczadach oraz Tatrach.

W dawnych czasach górale uznawali, że pleń jest ważnym znakiem. Jeżeli szedł z góry w stronę pól, to zwiastował urodzaj, a jak szedł do góry, to spodziewano się głodu. I choć larwy raczej nie mają nic z tym wspólnego, gdy znaleziono takiego plenia zwiastującego dobrą wiadomość, suszono larwy i posypywano nimi obejście. Tylko tego nie róbcie, błagam! Jak znajdziecie plenia, to zróbcie mu zdjęcie lub nagrajcie krótki film i koniecznie mi wyślijcie.





Plenie, czyli węże larw muchówki, widziałem tylko na takich rycinach i na zdjęciach

JAK NIE ZOSTAĆ UKĄSZONYM PRZEZ JADOWITE ZWIERZĘ?

Niektórzy z was pewnie i tak dalej boją się węży, a zwłaszcza żmii. Szczególnie tego, by nie zostać pogryzionym. To nie takie proste, bo żmije nie kęsają ot, tak sobie. Nie są z natury agresywne w stosunku do człowieka i gdy tylko czują naszą obecność, starają się umknąć. Wystarczy więc zachowywać się głośno, by ich uniknąć, bo jad zdecydowanie nie jest czymś, czym mogą szafować na prawo i lewo.

Jad służy węzom do polowania. Żmija kąsa ofiarę, na przykład mysz, i czeka, aż ta umrze, i dopiero wtedy ją połyka. Wąż ma zęby jadowe, które przebijają skórę ofiary. Zarówno zęby, jak i siła i ilość jadu obliczone są, by zabić ofiarę wielkości myszy lub jaszczurki, a nie człowieka. Owszem, może się zdarzyć, że ktoś jest uczulony na jad węży, i wtedy mogą się

pojawić kłopoty. Dlatego choć jad żmii nie jest groźny dla człowieka, lepiej od razu udać się do lekarza po surowicę. Wsysanie jadu nie ma większego sensu, bo może się on dostać do naszego organizmu przez małe ranki, które zwykle mamy w ustach. Jedyne, co możemy sami zrobić, to założyć lekką opaskę uciskową powyżej miejsca ugryzienia.

Tak naprawdę znacznie gorsze mogą być ukąszenia szerszeni lub os. Najbardziej niebezpieczne są te w język, bo wtedy może nawet dojść do śmierci. Dzieje się tak zwykle, gdy zostawiamy słodki napój w nieprzezroczystym naczyniu albo napój jest ciemny i nie widzimy, co w nim pływa. Bierzemy łyka i... auć! Dlatego nigdy latem nie traćcie z oczu puszek z napojami! Raz mi się zdarzyło coś takiego. Nic przyjemnego i trzeba natychmiast udać się do lekarza. Równie niebezpiecznie jest wpakowanie się na gniazdo os lub szerszeni. Często zakładają je gdzieś pod dachem, w starych ambonach myśliwskich, wiatkach turystycznych czy stodołach. Warto takie miejsce dobrze sprawdzić, zanim na przykład zalegniemy w nim na noc. A sprawdzić jest nietrudno, bo gniazdo przypomina kulę i zwykle wokoło uwijają się chmary os czy szerszeni.

To oczywiście nie wszystkie jadowite zwierzęta, jakie mamy w naszym kraju. Jest jeszcze rzęsorek – śmieszna, całkiem sporych rozmiarów ryjówka, która w rzeczkach i bajorkach poluje na żaby, traszki i rybki. Ma jad w ślinie, ale jest on groźny wyłącznie dla żab i zwierząt o podobnych rozmiarach, więc nie macie się czego obawiać.

GROŹNY MIESZKANIEC KAŁUŻ, CZYLI KUMAK

To nie koniec bieszczadzkich atrakcji. Fascynujące są jeszcze dwa tutejsze gatunki. Kumak górski, którego możecie zobaczyć od wiosny do wczesnej jesieni prawie w każdej bieszczadzkiej kałuży. Mogą to być nawet koleiny na drodze – o dziwo kumaki, a przynajmniej ich część, potrafią przetrwać, nawet gdy przez taką kałużę przetoczy się bardzo ciężki samochód.



Kumaki górskie wyglądają jak ogórki kiszzone z oczami

Kumaki trochę przypominają żaby, ale żabami nie są. To zupełnie oddzielna grupa płazów bezogoniastych, podobnie jak ropuchy i rzekotki. Kumaki wyglądają jak grudki błota z oczami. Jak już je spotkacie, to koniecznie zerknijcie na te oczy. Jeżeli uda się wam zrobić powiększenie portretu kumaka, to zobaczycie, że mają źrenice w kształcie serduszek. Te szare grudki na grzbiecie to nic innego jak gruczoły jadowe. Dlatego jeżeli bierzecie kumaka do ręki, zawsze po tym myjcie ręce. Potarcie oczu może być bardzo nieprzyjemne.

Szare z góry kumaki są jaskrawopomarańczowe na brzuszku. To ostrzeżenie dla innych zwierząt: „Uwaga, jestem trujący”. Fotografowanie i filmowanie ich w kałużach to nie jest prosta sprawa, ale zdradzę wam sekret filmu przyrodniczego, który pokazał mi znakomity operator Krzysio Skrok. Otóż jak pewnie wiecie, wszelkie osłony podwodne na aparaty i kamery są dość drogie. Można zwierzęta filmować lub fotografować w akwarium, ale zaaranżowanie takiego środowiska, by wyglądało na naturalne, jest niemożliwe i od razu wyczuwa się sztuczność. Trzeba więc odwrócić sytuację i zamiast wsadzać zwierzęta do akwarium, włożyć akwarium z aparatem lub kamerą do kałuży ze zwierzętami. Oczywiście trzeba uważać, by nie nalała się do niego woda – obiektyw musi być przytknięty do szyby, a szyba superczysta. Dlatego odpowiednia szmatka i kropla płynu do czyszczenia szyb zagwarantują nam dobre podwodne zdjęcia.

SALAMANDRY W DESZCZU

Innym bieszczadzkim płazem, z którym spotkanie zawsze przyprawia mnie o bicie serca, jest salamandra. Piękna, czarna, w pomarańczowe plamy – wygląda jak przedpotopowy smok, w mikroskali oczywiście. I coś w tym jest. Naukowcy twierdzą, że pierwsze zwierzęta na Ziemi chodziły właśnie tak jak salamandry. Było to 400 milionów lat temu – te pierwsze stworzenia także były płazami jak salamandry. Nazywały się teropody i odciski ich łap znaleźli polscy naukowcy w Górach Świętokrzyskich. Salamandra nie jest tak szybka jak jaszczurki, ale gdy poczuje drgania wywołane ludzkimi krokami, będzie całkiem sprawnie zwiewać i chować się pod pniami lub płatami kory.

Kiedy ich szukać? Najlepiej po nocnym deszczu. Gdy jest mokro, salamandry wychodzą na łowy. Musi być wilgotno, bo podobnie jak inne płazy obawiają się wyschnięcia. Dlatego też salamandry żyją tam, gdzie jest dużo martwego butwiejącego drewna, bo trzyma ono wilgoć. Na ich poszukiwanie także ruszamy po deszczu. Nie ma jednak sensu łązić wszędzie. Ja ich szukam przy leśnych drogach. W górach takie drogi wcinają się w zbocza i jedna ich krawędź zakończona jest ścianą. Wystarczy, że ma około metra, a czasami mniej, by zatrzymać salamandry. Przy takich minizboczach gleba tworzy coś w rodzaju okapu. Zajrzyjcie tam, to zobaczycie pomarańczowe plamki salamandry.



W lecie na spotkanie z salamandrą macie największą szansę po deszczu



Kiedy byłem małym chłopcem, moim idolem był Michał Wołodyjowski – człowiek, który tak dobrze władał szablą, że potrafił pokonać każdego w walce. Nie miał z nim szans żaden Szwed, Tatar ani Kozak. Michała Wołodyjowskiego poznałem dzięki babci Zosi, która czytała mi na głos „Trylogię” Henryka Sienkiewicza. Pan Michał nie tylko walczył szabelką, lecz także uganiał się po bezkresnych stepach, największych trawiastych przestrzeniach na świecie.

Na stepach rośło drzew tyle co kot napłakał, przecinały je za to wielkie rzeki takie jak Dniepr, czasami zdarzały się na nich głębokie jary, ale tak naprawdę był to jeden wielki ocean traw. Większy nawet niż preria, po której chodziły amerykańskie bizona i na której polowali Indianie. Step się ciągnął od dalekich Chin i Mongolii, przez Rosję i Ukrainę, aż po Zamość i Lublin. Wyobrażacie to sobie?! Trawa, trawa i trawa przez tysiące kilometrów. Myślicie, że to nuda? Nic z tych rzeczy. Na stepach żyły orły stepowe, piękne sokoły rarogi, wilki, dzikie konie i suhaki, śmieszne antylopy z nosami, które wyglądały jak krótka trąba słonia.

Tego świata już nie ma. Zniknął zupełnie u nas, w Europie. Step w szczątkowej formie pozostał jedynie daleko w Rosji i Mongolii. Nasze zostały zamienione w pola, bo stepowa ziemia, czarnoziem, była najżyźniejsza w Europie. Zamiast stepów mamy teraz pola truskawek, pszenicy i łąki.

Czy to znaczy, że nie ma już śladu po stepowym świecie? Wcale nie. Niektóre łąki wciąż przypominają trochę stepy. Zostało też kilka stepowych zwierząt. I tyle. Myślicie, że to niewiele? Jak poczytacie o tych stepowych zwierzętach, to zmienicie zdanie, bo są bardzo ciekawe.

Lato kojarzy mi się z wakacjami na podlubelskiej wsi u mojej babci i z truskawkami. Za domem prawie każdy na wsi miał sad, za sadem był

warzywniak, a potem właśnie zagon znakomitych truskawek. Jadłem je najczęściej prosto z krzaka i nie przejmowałem się ani trochę, że niemyte i że piach zgrzyta mi w zębach. Nic tak nie smakuje jak truskawki prosto z krzaka!

A że nie jest to przewodnik dla kucharzy, ale dla tropicieli zwierząt, to ucieszy was, że za grządkami z truskawkami były już tylko pola i łąki. Olbrzymie, bezkresne, ale bardzo różnorodne. Pola oddzielały od siebie miedze. Był na nich rzepak, ziemniaki, buraki cukrowe oraz owies, pszenica i żyto. No i oczywiście zwierzęta!

Wtedy nawet nie przypuszczałem, że poza sarnami, lisami, zającami, kuropatwami i bażantami żyje na tych polach zwierzak niezwykle i tajemniczy niczym potwór z Loch Ness. Gdy byłem małym chłopcem, nawet nie wiedziałem o jego istnieniu. Dowiedziałem się o nim dopiero wiele lat później. Mało tego, minęło wiele lat, zanim go zobaczyłem. Tym tajemniczym stworzeniem był... chomik.

Widzę, że zaniemówiliście. Przecież chomika każdy widział, a jak nie i chce go koniecznie zobaczyć, to przecież nie jest potrzebna wyprawa dla prawdziwego tropiciela, wystarczy wizyta w najbliższym sklepie zoologicznym. Otóż nie chodzi mi o chomika syryjskiego, najbardziej popularnego dziś chomika na świecie. Myślę o chomiku europejskim, który ma równie ciekawą historię, ale jest zupełnie inny od tego, którego znacie.

SKĄD SIĘ WZIĘŁY WSZYSTKIE CHOMIKI?

Chomik europejski był kiedyś bardzo pospolity, a potem stał się rzadkością. Zupełnie odwrotnie niż chomik syryjski, który najpierw należał do rzadkości, a później zrobił zawrotną karierę. Czy wiecie, że wszystkie chomiki syryjskie w klatkach i akwariach na całym świecie pochodzą od jednej matki? A przynajmniej do niedawna tak było.

Wszystko zaczęło się w Azji, gdzie żyje całkiem sporo różnych gatunków chomików. Dużych i małych. Z pręgą i bez. Wszystkie za to mają kieszenie, a raczej torby, w policzkach, które napychają pokarmem, gdy chcą przetransportować zapasy do nory. Mogą w nich też przenosić młode.

Chomik na potrzeby Europejczyków był odkrywany kilka razy. Najpierw pod koniec XVIII wieku w Azji odkrył go angielski przyrodnik, którego imię zapomniano równie szybko, jak to, czego dokonał. Potem chomik został odkryty jeszcze raz przez kolejnego Anglika – George’a Roberta Waterhouse’a – który nadał mu w 1839 roku nazwę złoty chomik syryjski. Następnie na wiele lat słuch o chomikach zaginął. Niektórzy twierdzą, że do Europy, a dokładniej do Wielkiej Brytanii, przywiózł je brytyjski konsul w Syrii pod koniec XIX wieku. Podobno nawet je rozmnażał na Wyspach, ale nie przetrwały dłużej niż do 1910 roku.

Żaden naukowiec nie widział potem chomików przez blisko 20 lat, aż do czasu, gdy na ich poszukiwanie do Syrii wybrał się Israel Aharoni, zoolog z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Dokładnie 12 kwietnia

1930 roku w pobliżu miasta Aleppo wykopał gniazdo z samicą i jedenastką młodych. Część z nich umarła w niewoli, część uciekła z laboratorium uniwersyteckiego i od nich wzięty się dzikie chomiki w Izraelu. Kilko potomków laboratoryjnych chomików trafiło w 1931 roku do Wielkiej Brytanii i dało początek wszystkim chomikom syryjskim w hodowlach. Potwierdzają to badania genetyczne, które dowodzą, że wszystkie europejskie chomiki mają jedną matkę.

Luneta, aparat albo... smartfon

Najlepszym sprzętem do obserwacji wszystkich zwierzaków na otwartych przestrzeniach jest luneta. Dziś możecie dostać całą masę lunet. Bardzo jasnych i ze zmienną ogniskową. Ale pamiętajcie o jednym – luneta to nie wszystko! By dobrze obserwować zwierzęta przy 20-krotnym albo 40-krotnym powiększeniu, potrzebny jest statyw, i to bardzo stabilny. Lunety są o tyle fajne, że do niektórych z nich można zamocować aparat albo smartfon. Dotyczy to zarówno aparatów kompaktowych, jak i lustrzanek i właśnie smartfonów. Takie fotografowanie połączone z obserwacją nazywa się digiscoping. Wiele informacji na ten temat znajdziecie w internecie. Znajdziecie też aplikacje na smartfony, które pozwolą wam robić zdjęcia przez lunetę, oraz specjalne adaptery i uchwyty. Dzięki digiscopingowi uzyskacie zbliżenia, jakich nie osiągnie żaden, nawet bardzo drogi obiektyw tradycyjny. Pamiętajcie tylko, że tym sposobem uzyskujecie odpowiedniki obiektywów z ogniskową nawet tysiące milimetrów. Mało kiedy światło jest na tyle odpowiednie, by zrobić zdjęcie w tak krótkim czasie i nie przenieść drgań z ręki. Dlatego potrzebujecie statywu i aparatu, który może robić zdjęcia za pomocą wężyka lub pilota. Warto o tym pomyśleć, bo dla prawdziwego miłośnika natury nie ma nic gorszego niż rozmyte zdjęcia wspaniałej przyrody.



ZIEMNY PIES LUB SKRZECZEK

Ponieważ chomik kojarzy się z malutkim, miłym zwierzątkiem, od razu uprzedzam, że nie szukamy puszystego milusińskiego. Nasz europejski chomik to całkiem spory zwierzak – jest największym chomikiem i te, które znacie, wyglądają przy nim niczym karzełki. Najcięższy chomik europejski ważył około kilograma, podczas gdy syryjski – ponad 100 gramów. Oczywiście o tak wielkie chomiki europejskie bardzo trudno, ale nawet te, które ważą kilkaset gramów, bardziej przypominają rozmiarami świnkę morską – długość ich ciała to około 30 centymetrów. No i brawo dla naszych, bo chomiki europejskie są o wiele ładniejsze niż te syryjskie. Są

trójkolorowe – na grzbiecie rude, a na brzuchu czarne jak węgiel. To czarne oddzielone jest od rudego bielą. Podobno trafiają się chomiki europejskie całe czarne lub białe, ale bardzo rzadko.

Charakterek dzikich chomików też różni się od tych, które zmuszone są do życia z ludźmi i cierpliwie znoszą różne nasze zachcianki. Chomik europejski potrafi być bardzo waleczny. Zaatakowany przez lisa broni się, skacząc i gryząc. Człowiekowi również potrafi się postawić. Dzielnie broni też swych nor – staje wtedy słupka i szczeka.

No właśnie, to wskazówka dla prawdziwych tropicieli, jak odnaleźć chomiki. Jeżeli gdzieś występują, to na pewno są dobrze znane i trzeba o nie pytać lokalnych mieszkańców. Jednak bądźcie czujni, bo od tego szczekania miejscowi często nazywają je: ziemne psy, polne pieski lub skrzeczki.



Zdenerwowany chomik europejski szczeka, dlatego bywa nazywany pieskiem ziemnym

GDZIE SZUKAĆ CHOMIKÓW?

Oj, nie będzie łatwo, bo tereny, które zamieszkują chomiki, kurczą się bardzo szybko. Nie ma już chomików na Mazowszu i Podlasiu. Wciąż nieźle trzymają się na Roztoczu, Lubelszczyźnie i w części Małopolski, na przykład w okolicach Sandomierza. Jest ich jeszcze trochę na Śląsku oraz w Jaworznie.

Ja bym poszukiwania rozpoczął w okolicach Sandomierza albo Lublina. Zresztą w Lublinie nie trzeba nawet wyjeżdżać za miasto, bo czasami chomiki pojawiają się na miejskich trawnikach. Ale to żadna przygoda dla prawdziwych tropicieli! Ruszamy więc na pola pod Lublinem. To nie mogą być jednak byle jakie pola. Dobrze, jakby były różnorodne, poprzecinane miedzami. Tam gdzie obok zboża rośnie coś jeszcze – rzepak, fasolka, buraki. Jakiś nieużytek też byłby niczego sobie. Mile widziane są także wszelkiego rodzaju górki, bo chomiki lubią, jak jest im sucho. Ta różnorodność to podstawa, bo chomik potrzebuje dużych ilości pokarmu, a w szczególności ziarna. Na łąkach zielonych po horyzont od trawy chomika bym nie szukał.

APARTAMENT Z KOMNATAMI

Czego szukać? Śladów oczywiście. Jest tylko jeden wyraźny ślad obecności chomików – nora. Jak piszą Joanna Ziomek i Agata Banaszek w książce „Chomik europejski”, chomiki mają całą masę nor. Nory stałe, gdzie mieszkają latami, i nory tymczasowe, które służą im tylko jako kryjówka. Nory mieszkalne mogą być różne. Samce i młode chomiki kopią nory z jednym wejściem ukośnym i dwoma-trzema pionowymi. Te służą do ucieczki. Samice, szczególnie te, które spodziewają się młodych, kopią bardzo skomplikowane nory z kilkoma, czasami nawet 12 wyjściami. Samica musi się tak napracować ze względu na młode. Może być ich nawet dziesięcioro i chodzi o to, by w razie ewakuacji, na przykład gdyby zaatakował rodzinę lis, nie było zbyt wielkiego tłoku w tunelach.

Chomiki nie są zbyt towarzyskimi zwierzętami i poza czasem godów i wychowywania młodych raczej siebie nawzajem unikają. Nawet samice zostawiają młode po nieco ponad miesiącu. Tych kilka wyjść służy także do tego, by dzieci nie wpadały na siebie za często i by nie dochodziło do niepotrzebnych awantur.

Nory chomików są szalenie skomplikowane, bo poza tym, że są w nich komnaty, w których śpią, to jeszcze mają one toalety, tak zwane latryny, gdzie biegają za potrzebą. W norach zimowych są jeszcze spiżarnie, w których gromadzą zapasy.

No dobrze, ale jak odróżnić norę chomika od nor innych zwierząt? Nie jest to trudne. Przy skośnym wejściu do chomiczej nory zawsze jest kopiec ziemi i trudno go przegapić. Czasami, szczególnie po żniwach, widać go nawet z bardzo daleka. Gdy zobaczycie takie kopce, to będzie pewny znak, że jesteście na terenie zajęтым przez chomiki. Teraz tylko musimy zdecydować, przy której z nor się zacząć, by zobaczyć chomika...

CZY KTOŚ TU MIESZKA?

Zaraz, zaraz, policzmy. Nory kopią samice, samce i młode, których może być nawet do dziesięciu. Chomiki mają młode dwa, czasami trzy razy w roku. Nory letnie, nory zimowe. Nory stałe i nory tymczasowe. Nie trzeba być geniuszem matematycznym, by domyśleć się, że nor może być bardzo dużo.

Na dodatek skąd wiadomo, czy akurat w tej, na którą wpadliśmy, w ogóle mieszka chomik? Na chomiki polują przecież lisy, myszołowy, sowy, psy i koty, więc wielu właścicieli nor, nawet tych wyglądających na świeżo wykopane, może być już w chomiczym raju. Mało tego, jak te wszystkie nory odnaleźć w gęstwinie zbóż i traw? No właśnie, musimy zacząć strategiczne planowanie!

By zobaczyć chomika, trzeba wyruszyć na Lubelszczyznę dokładnie w czasie żniw albo tuż po nich, gdy już po truskawkach nie zostało nawet wspomnienie. Nie można jednak przesadzić z tym czekaniem, bo jak rolnicy zaorzą ścierniska, to już tak łatwo nor nie znajdziecie. Zostaną zniszczone, a chomiki ukryją się gdzieś przy miedzach w gęstej trawie. Tuż po żniwach na ścierniskach jest jeszcze cała masa niezebranych ziaren, które chomiki lubią najbardziej. Swoją dietę urozmaicają także zielonymi częściami roślin, bulwami takimi jak buraki i ziemniaki, czasami zdarza się im schrupać jakiegoś owada, ślimaka lub dżdżownicę, ale to ziarna są najważniejszym chomikowym przysmakiem. Na zimę dorosły chomik potrafi zebrać do 30 kilogramów zapasów. Głównie właśnie ziaren, bo one się nie psują i są bardzo pożywne. Nic dziwnego, że kiedyś rolnicy nie przepadali za chomikami i je tępili.

W zbieraniu oczywiście bardzo pomocne są torby w policzkach. Gdyby chomik musiał nosić po kilka ziarenek w pyszczku, to zima zastałaby go z pustą spiżarnią. Dzięki temu, że może naładować nawet 70 gramów, czyli jak na zwierzątko, które waży zwykle od 200 do 800 gramów, całkiem nieźle, to zbieranie do toreb ma sens. Tym bardziej że zbiera szybciej, niż je. A zjeść może sobie później w norze.

KIEDY PRACOWITY CHOMIK WYCHODZI Z DOMU?

Na tropienie chomika nie można wyruszać z gołymi rękami. Trzeba się odpowiednio przygotować, a raczej przygotować przynętę. Choć ja, szczerze mówiąc, od słowa „przynęta” wolę „podarunek”, czyli coś, co się chomikowi przyda. To mogą być ziarna pszenicy lub owsa, pestki słonecznika lub pokrojona marchewka. Z mojego doświadczenia wynika, że pszenica jest najlepsza, bo chomiki ją uwielbiają. Poza tym zbieranie ziarenek zajmuje im trochę czasu i można je dzięki temu dokładnie zobaczyć lub sfotografować. Musimy mieć pszenicy sporo, bo dzięki niej ustalimy, które nory są zajęte i o jakiej porze mieszkające w nich chomiki wychodzą z domu.

Sposób na chomiki pokazał mi Grzesiek Leśniewski, znakomity fotograf przyrody, który zna te zwierzątka jak mało kto. Otóż przy norach należy

wysypać ziarno i sprawdzić następnego dnia, czy wciąż tam jest. Jeżeli tak, to nora jest opuszczona. Jeżeli ziarna nie ma, to znaczy, że mamy szczęście i znaleźliśmy chomika. Dosypujemy więc tam ziarno i sprawdzamy po kilku godzinach, co się z nim stało. To pozwoli nam dokładniej określić porę, o której chomik opuszcza swój dom. Chomiki najczęściej wychodzą rano lub późnym popołudniem.

Kiedy już się dowiecie, przy której z nor najczęściej coś się dzieje, weźcie sobie koc lub karimatę, połóżcie się nie dalej niż dziesięć metrów od niej, ale nie bliżej niż pięć. Chomiki mają słaby wzrok, ale na samym początku nie ma co się za bardzo zbliżać, bo się przestraszą.

Muszę wam opowiedzieć o tym, jak kiedyś znalazłem taką norę i rozłożyłem się wygodnie. Wcześniej ścieżkę wysypałem ziarnami i wiedziałem, że mój chomik wychodził rano. Na początku rześki poranny chłodek i rosa zmuszały mnie do skupienia, ale potem słońko przygrzało, oczy mi się skleiły i – co tu dużo gadać – zasnąłem. Gdy otworzyłem oczy, omal nie wrzasnąłem z radości. Tuż przede mną wielki, śliczny rudo-czarno-biały chomik napychał się ziarnem. Kiedy miał już pełne policzki, zniknął gdzieś w gąszczu i po chwili był z powrotem. Gdy odchodził, szybko dosypywałem ziarna. Chomiki są tak pracowite i skrupulatne, że muszą wszystko wyzbierać do ostatniego ziarenka i dzięki temu obejrzałem go sobie bardzo dokładnie.

SUSEŁ STEPOWY

Chomiki podobnie jak wiele ssaków ich wielkości zasypiają na zimę, czyli hibernują. To bardzo głęboki sen, w czasie którego liczba uderzeń serca i oddechów spada do kilku na minutę, a temperatura ciała, która zwykle wynosi około 37 stopni, spada do mniej więcej 6 stopni. To jednak nie chomik jest znany ze swego głębokiego snu, ale suseł. Na południowej Lubelszczyźnie i Zamojszczyźnie jest jeszcze kilka miejsc, gdzie możecie zobaczyć to zwierzątko z dużymi oczami i ślicznym nakrapianym grzbietem.



Suseł perełkowany to mieszkaniec stepów i przy okazji uroczy zwierzak

Susły to zwierzęta stepowe i ich obecność w tym rejonie także świadczy o tym, że bezkresne stepy sięgały aż po Zamość. Podobnie jak świstaki, które żyją w wysokich partiach Tatr, susły są wiewiórkami, które nie przepadają za drzewami. Uwielbiają za to wielkie i w miarę suche łąki. Kiedyś występowały w tej okolicy bardzo licznie i podobnie jak chomiki były uznawane za szkodniki. Jak to jednak często w przyrodzie bywa, to, co wydaje się pospolite, staje się bardzo szybko rzadkie i dziś susły perełkowane żyją tylko w kilku rezerwach. Specjalnie dla nich kosi się tam trawę albo wypasa krowy, by teren nie zarastał. Tak jest w Popówce położonej koło Miączyna, Suślich Wzgórzach koło Chochołowa, Hubalach oraz Wygonie Grabowieckim koło wsi Grabowiec-Góra. Poprawia się też sytuacja susłów perełkowanych na trawiastym lotnisku w Świdniku. Jeszcze w 2004 roku było ich tam kilkanaście tysięcy, potem ich liczebność spadła do kilkudziesięciu, a teraz jest już kilkaset. Susły w przeciwieństwie do chomików nie są samotnikami, ale tworzą kolonie. Mogą one liczyć nawet po kilkanaście tysięcy zwierząt. Ostatni raz oglądałem susły w rezerwacie Popówka. To było niesamowite przeżycie. Jak przystało na kuzynów świstaków, susły gwizdzą. Nie jest to jednak taki głośny gwizd, przypomina raczej pisk. Nie sposób go jednak pomylić.

Bardzo ważne jest, abyście wybierali się na susły przy odpowiedniej

pogodzie. Oczywiście najlepiej latem, ale ciepłą wiosną też może uda się je zobaczyć. Susły zwykle nie wychodzą z nor, gdy pada, wieje lub jest zimno. Temperatura powietrza musi być powyżej 10 stopni. No i dobra wiadomość dla śpiochów – nie ma co wybierać się na susły nad ranem, bo wychodzą z norek dopiero koło południa.



Lato to czas pasikoników. Na zdjęciu podkrzewin szary

JAK WYPATRZYĆ SUSŁA?

Nie rozglądajcie się za niczym wielkim! Suseł jest malutki, mniejszy od chomika europejskiego, ale przez to, że jest smukły, wydaje się dłuższy. Rekord otłuszczonego przed snem zimowym susła to około 400 gramów. Zwykle jednak są mniejsze.

Zastanawiacie się, dlaczego susły potrzebują skoszonej trawy? Otóż są wzrokowcami. Aktywne bywają tylko za dnia, gdy mogą wszystko dokładnie zobaczyć, a w gęstwinie wysokich traw nie dostrzegą niebezpieczeństwa. A muszą uważać. Gdy będziecie w pobliżu kolonii, na pewno zobaczycie latające nad nią ptaki drapieżne – myszołowy, błotniaki lub orliki. Na susły polują też bociany, lisy i koty. Na widok niebezpieczeństwa susły pryskają do swoich nor co sił w nogach. Od nor chomiczych różnią się tym, że wlot do nich jest pionowy.

Odwiedzając susły, pamiętajcie, że jesteście w rezerwatach. Nie wolno

w nich schodzić z wyznaczonych dróg. Zresztą susły przywykły do ludzi na ścieżkach i nie uciekają. Dopiero gdy zejdziemy z trasy, to zaniepokoiemy susły. Przestraszone uciekną do norek i nie będą z nich wychodziły przez długie godziny. Dlatego lepiej usiąść i spokojnie obserwować okolicę. Najlepiej przez lunetę. A gdy susły się do nas przyzwyczają, mogą podejść naprawdę blisko.

Na koniec opowieści o susłach perełkowanych warto dodać, że mamy też u nas drugi gatunek susła. To suseł morełowany, który nie ma charakterystycznych dla perełkowanego białych plamek na grzbiecie. Gatunek ten występował w południowo-zachodniej Polsce. Wytepiony kilkadziesiąt lat temu został przywrócony dzięki staraniom przyrodników z Polskiego Towarzystwa Ochrony Przyrody „Salamandra”, Fundacji „proNatura” oraz specjalistom z poznańskiego ogrodu zoologicznego. Jego trzy kolonie są już na Dolnym Śląsku i Opolszczyźnie.

MIESZKAŃCY POLNYCH NOREK

Susły i chomiki to nie wszyscy fascynujący mieszkańcy polnych norek. Bardzo lubię wyszukiwać norki świerszczy. Tak jest, mamy dwa gatunki świerszczy! Jeden to świerszcz domowy, którego można kupić niemal w każdym sklepie zoologicznym, gdyż jest popularnym pokarmem dla różnych gadów. Oczywiście zamiast robić z niego obiad, możecie go pohodować. Nie potrzebuje wiele – wystarczy pomieszczenie z czymś w rodzaju domku zrobionego na przykład z pudełka, bo świerszcze lubią się chować za dnia. Jako pokarm wystarczą płatki owsiane i kawałki jabłek.

Drugim gatunkiem świerszcza jest świerszcz polny, który w przeciwieństwie do brązowych domowych kuzynów wygląda niczym czarny lakierek. Jego domem są norki. Jeżeli zobaczycie wykopaną w ziemi norkę grubości dziecięcego palca, może to być domek świerszcza. Poczekaście chwilę, to może nawet wyjdzie. Z takiej norki może się też wyłonić coś innego, na przykład włośchaty trzmieł.

PTAKI TEŻ MIESZKAJĄ W NORKACH

Nie wierzycie? Na pewno trafialiście w czasie wędrówek na wielkie dziury w żwirowniach. To ulubione miejsce jaskółek brzegówek, które kopią norki i żyją w olbrzymich koloniach. To chyba jedyne jaskółki, które nie mieszkają w pobliżu ludzi. Takiej kolonii nie sposób nie zauważyć, bo zwykle unoszą się nad nią chmary tych ptaków. Brzegówki w przeciwieństwie do oknówek i dymówek są całe brązowe, bez czarnych grzbietów i głowy. Obserwowanie, jak uwijają się przy norkach, to czysta przyjemność.

Ale jaskółka brzegówka to niejedyńy ptak, który wykopuje norki. Jeżeli będziecie mieli trochę szczęścia, to zobaczycie żołą. Piękne patki wielkości szpaka, ale zupełnie do niego niepodobne. To prawdziwy budowniczy wśród

ptaków – potrafi w ciągu dwóch tygodni wydobyć i wyrzucić ponad 10 kilogramów ziemi. Nieźle jak na ptaszka, który waży nie więcej niż 50 gramów, prawda?

Żołą to ptaki o długich, cienkich dziobach, długim ogonku i smukłej sylwetce. Są przepiękne, niebiesko-zielonkawo-rudo-żółto-czarne. Wyglądają jak tropikalne ptaki, które zagubiły się na Północy. I to prawda, bo żołą w Europie żyją tylko w dość ciepłych miejscach. Żywią się dużymi owadami, które chwytają w locie. Jak tylko je zobaczycie, to od razu zauważycie, że to powietrzni akrobaci.

Jaka jest szansa na ich zobaczenie? Coraz większa. Co prawda w Polsce, szczególnie właśnie na południowym wschodzie, żyje około 200 par tych ptaków, ale ich liczba stale rośnie, bo klimat się ociepla, co zachęca żołą do odwiedzania naszego kraju. Spotyka się je już nawet na północy Polski. Poza tym żołą są ptakami bardzo rodzinnymi i w wychowywaniu młodych bierze udział również ich rodzeństwo z poprzednich lat. Innymi słowy, w kolonii są nie tylko rodzice, lecz także ciocie i wujkowie.

Przy norkach żołą bym się specjalnie nie czał. Bez maskowania się z obserwacji tych ptaków nic nie wyjdzie. Są na to zbyt ostrożne.



Żołą u nas przybywa, bo nasz klimat się ociepla



Najbardziej zabocianionym regionem Polski jest północna część województwa warmińsko-mazurskiego, czyli po części Warmia, a po części dawne Prusy. Gdy w innych rejonach Polski zagęszczenie ponad 40 par boćków na 100 kilometrów kwadratowych można uznać za duże, tu mieszka aż 60 par. A są takie miejsca, jak na przykład okolice Bartoszy, gdzie panuje prawdziwy bociani ścisk, bo jest ich tam aż 100 par.

Dlaczego boćki wybrały sobie akurat rejony Bartoszy? Zdecydowały o tym wichry historii. W czasach pruskich ten region był dużo gęściej zaludniony niż Prusy Wschodnie i Warmia. Bociany miały tam więc wiele dobrych miejsc do zakładania gniazd. Koniec wojny oznaczał koniec niemieckich Prus – północna część trafiła do Rosji, południowa przypadła Polsce. Niemieccy mieszkańcy albo uciekli, albo zostali wysiedleni. Na ich miejsce pojawili się Polacy, Ukraińcy, Łemkowie i Bojkowie wysiedleni w czasie akcji „Wisła” z południowo-wschodnich Kresów. Przeurocza pani Zofia, która przed wojną mieszkała w województwie stanisławowskim, a teraz w Żywkowie, opowiadała mi, że jedynym żywym stworzeniem w opuszczonym przez niemieckich mieszkańców miasta był bocian. Panowała zupełna cisza, a bocian usiadł na dachu i zaklekotał. Dla ludzi, którzy pod przymusem musieli opuścić swoje domy i znaleźli się w zupełnie obcym miejscu, to był znak nadziei.

Komunistycznym władzom nie zależało, by powstało w tej okolicy rolnictwo indywidualne. Przesiedlonych ludzi, którzy potracili swoje ojcowizny, dość łatwo było skolektywizować, bo znaleźli się na obcej ziemi. Miejsce niemieckich folwarków i majątków zajęły PGR-y, czyli państwowe gospodarstwa rolne, a opuszczone indywidualne gospodarstwa popadły w ruinę. Bocianom zostało znacznie mniej dachów

do wyboru niż kiedyś i dlatego to w PGR-ach powstały bocianie kolonie. Było im tam jak w raju, bo w PGR-ach nie brakowało łąk, a przecież nie ma dla bocianów nic lepszego.

Po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej właśnie tam powstał obszar specjalnej ochrony ptaków w europejskiej sieci Natura 2000 Warmińskie Bociany. Nie uchroniło to jednak środowiska bocianów przed niekorzystnymi zmianami. Popegeerowskie łąki bardzo szybko zamieniły się w lasy albo w plantacje orzechów włoskich. Setki tysięcy hektarów zostały zamienione w plantacje zbóż, głównie pszenicy. Warmia to dziś kraina ciągnących się po horyzont jednorodnych upraw, a dla bocianów i wielu innych ptaków to jak pustynia. Nie pożywi się tu orlik krzykliwy ani dzierzba gąsiorek. Dlatego śpieszcie się oglądać tamtejsze bociany, bo nie wiadomo, ile jeszcze tam wytrzymają.

Piszę tu tylko o bocianach, bo to gatunek specjalny i zasługuje na oddzielny rozdział. Po pierwsze dlatego, że dla mnie są jednym z wyznaczników przyrodniczego lata. Wyklucie się młodych oznacza koniec wiosny i początek lata, a ich zniknięcie w sierpniu – początek jesieni. Po drugie, żaden inny równie duży i dziki ptak nie odważył się zamieszkać tak blisko ludzi. Dzięki temu możemy obserwować go bez maskowania się i ukrywania. Po trzecie, w żadnym kraju nie ma tylu bocianów co w Polsce i trzeba z tego korzystać.

Jak to się w ogóle stało, że bocian mieszka obok ludzi, a raczej nad nami, bo na dachach domów? W Polsce ta więź między człowiekiem a bocianem rozpoczęła się jakoś we wczesnym średniowieczu, choć w Europie musiało się stać to znacznie wcześniej – znane są przekazy o bocianach budujących gniazda na rzymskich świątyniach.

Bociany, zanim związały się z człowiekiem, były mieszkańcami rozległych dolin rzecznych. Kiedyś rzeki były nieograniczone wałami i swobodnie wylewały, więc w ich najbliższym sąsiedztwie niewiele wyrastało. Troszkę jednak dalej nie brakowało dużych i rozłożystych drzew, które były w stanie unieść bocianie gniazda.

Doliny, które stanowiły znakomite miejsce polowań dla bocianów, bardzo szybko zostały zagospodarowane przez człowieka. To właśnie tam rolnictwo stawiało pierwsze kroki, bo tam była najlepsza gleba. Nie było to jednak rolnictwo intensywne i nie powodowało dużych szkód. Wręcz przeciwnie – przez całe stulecia rolnicy tworzyli znakomite warunki dla zwierząt związanych z otwartymi przestrzeniami. Korzystały z tego czajki, skowronki, susły, chomiki, sarny, no i właśnie bociany białe.



Te kochające się bociany sfotografowałem już po wylocie młodych. Po co to robią, skoro nie będzie z tego jaj? Dla scementowania więzi

DOM NA POKOLENIA

Zacznijmy od tego, co z działalności boćków widać najbardziej, czyli od gniazda. Historia zaczyna się, gdy młoda para zaczyna budować sobie dom. Zwykle z dala od miejsca, w którym przyszły na świat. Doktor Piotr Profus z Instytutu Ochrony Przyrody PAN prześledził losy 73 młodych bocianów i okazało się, że samce zakładały rodzinę średnio w odległości 15 kilometrów od gniazda, w którym przyszły na świat, a samice – aż 177 kilometrów. Najbliższy dystans wynosił 400 metrów, a najdalszy – 600 kilometrów.

Do budowy gniazda boćki zabierają się w czwartym roku życia, zwykle w maju i czerwcu, gdy starsze już wychowują młode. Zaczynają od położenia

– z pozoru bezładnie – kilku grubszych gałązek, potem dokładają cieńsze, a środek moszczą trawą, często z ziemią lub sianem.

Młode w takim nowym gnieździe pojawiają się zwykle dopiero w następnym roku. Zanim jednak przyjdzie na nie pora, para dorosłych przystępuje do ulepszania gniazda. Poprawia konstrukcję z patyków, ale też donosi świeżą wyściółkę. Będą to robić tak długo, jak będą młode, by gniazdo utrzymać w czystości. Maluchy po wykluciu się – po ponad 30 dniach wysiadywania – znajdują się w zagłębieniu w środku gniazda, czymś w rodzaju niecki. Z czasem od nowej wyściółki wewnątrz gniazda stanie się płaskie.

Niektóre bocianie gniazda zajmowane są przez dziesiątki lat, a w wyjątkowych wypadkach – nawet więcej niż sto. Co roku gniazda są nadbudowywane i ich waga może przekraczać kilkaset kilogramów. Rekordzista wśród gniazd ważył około dwóch ton. Mało które drzewo udźwignie taki ciężar. W przeszłości właśnie brak takich drzew w pobliżu odpowiednich terenów łowieckich ograniczał bociany. Od czasu gdy przełamały strach przed człowiekiem i nauczyły się korzystać z jego budowli, skończyły się ich kłopoty.

Bocianie gusta zmieniają się w zależności od regionu Polski. Na wschodzie, zachodzie i północy ptaki głównie zakładają gniazda na domach i słupach elektrycznych. W środkowej i południowej Polsce wybierają głównie drzewa i słupy. W bocianich gniazdach żyją zresztą nie tylko bociany. Czasami mieszkają w nich szpaki, pliszki i wróble, i mazurki, takie przemiłe „wróbelki” z brązową czapeczką i kropkami na policzkach.

Kurak w podróży

Kuraki, czyli kuropatwy, jarzabki, ginące głuszce oraz cietrzewie, to ptaki, które uwielbiają łązić i gdy nie muszą, nie używają skrzydeł. Nie lubią też podróżować – jak mieszkają sobie na jakieś łące, to jej nie opuszczają. Ot, tacy domatorzy zwierzęcego świata.

Jest jednak pewien kurak, superpodróżnik – przepiórka. Prawdziwe maleństwo, bo waży średnio 100 gramów, a gdy zbiera się do odlotu i jest otłuszczona, to 150 gramów. Przepiórki przylatują do nas z Afryki w moje okolice, czyli na wschód Polski, pod koniec maja. Nie widzę, jak przylatują, ale za to już w czerwcu je słyszę. Wy też na pewno słyszeliście takie „pid, pid, piditpit” na rozgrzanych letnim słońcem łąkach, szczególnie przed burzą. Tak właśnie woła samiec przepiórki. Myślicie, że to jest gdzieś blisko? O nie, może być bardzo daleko.



Trudno wypatrzeć naszego najmniejszego kuraka, przepiórkę

Spróbujcie powoli iść w kierunku tego głosu. Ale tylko wtedy, gdy przepiórka woła – gdy przestaje, też się zatrzymujcie. Blisko będziecie dopiero wtedy, gdy poza „pid, pid, piditpit” usłyszycie jeszcze takie „kwę”. To dopiero oznacza, że jesteście bliźniutko, może nawet metr lub dwa od przepiórki. Tak blisko, a jej nie widać? No właśnie, maleństwa świetnie się maskują.

Warto spróbować poszukać przepiórki. Mnie po wielu takich podchodach w końcu się udało. Pamiętajcie o jednej rzeczy. Przepiórki nie tylko podróżują do i z Afryki. One są w stałej podróży. Mogą zakładać rodzinę na jednej łące, a potem lecieć na inną, oddaloną nawet o setki kilometrów. Jak usłyszycie to „pid, pid, piditpit”, to od razu ruszajcie do akcji. Nie ma co czekać, bo pewnie zaraz poleci sobie gdzie indziej.



WCIĄGA JAK ODKURZACZ

Jeżeli chcecie zobaczyć, jak sprawnymi myśliwymi są bociany, to nasłuchujcie warczenia traktorów lub kombajnów. Ten odgłos to dla nich sygnał, że pora na wielką wyżerkę. Bociany pracującą maszynę słyszą nawet z odległości kilku kilometrów i zlatują się, bo to świetna okazja na łatwe polowanie. Zwróćcie uwagę, że za traktorem z kosiarką zawsze maszeruje kilka bocianów. Długi dziób i szyja oraz jeszcze dłuższe nogi pozwalają im polować nawet w wysokich trawach. Po co jednak się trudzić? Na skoszonej łące posiłek jest widoczny jak na talerzu.

Bociany chwycą wszystko, co nie zdąży uciec i się schować. Nie są wybrednymi drapieżnikami. Zjedzą wszystko, co są w stanie połknąć. Ofiarami padają małe owady – pasikoniki i pszczoły; bezkręgowce – dżdżownice i ślimaki; oraz płazy, a z nich przede wszystkim żaby, które razem z dżdżownicami są ważnym pokarmem wczesną wiosną. Bociany polują także na krety i niewielkie ptaki – w ich diecie można znaleźć i szpaki, i skowronki, i wróble. Bardzo ważną część bocianiego menu stanowią gryzonie, a więc myszy i norniki. Jeżeli się uda, to bociek połknie też małego zająca, bo tylko wielkość ofiary stanowi dla niego ograniczenie.

Bociany stosują bardzo różne techniki łowieckie. Mogą wędrować i płoszyć – to działa zarówno na łące, jak i w płytkiej wodzie. Mogą się też na krótko zaciąć przy norze gryzonia lub siedząc spokojnie i machając dziobem w powietrzu, chwytając latające chrząszcze i niewielkie ptaki. Bez problemu chwytają także z powierzchni wody młode kaczki. Sposobów mają wiele, bo bociany to odkurzacze, które w okresie lęgowym od świtu do nocy nie schodzą z łąki i jedzą. Duuużo jedzą.

ILE JE BOCIAN?

Zapotrzebowanie na jedzenie ma ogromne. Każdy z rodziców wychowujących jedno lub dwójkę młodych musi dziennie zjeść ponad kilogram pokarmu. Gdy młodych jest od trzech do sześciu, dzienna porcja dorosłego zwiększa się do 1,3 kilograma. Do tego trzeba doliczyć wyżywienie młodych. Jeden młody bocian musi dostać w sumie ponad 34 kilogramy jedzenia – tyle wynosi racja żywnościowa od wyklucia do pierwszych lotów, czyli przez ponad 40 dni. Jakby tego było mało, przez następnych 10 dni po opuszczeniu gniazda, zanim rodzina ruszy w podróż, młode od rodziców otrzymują jeszcze 3 kilogramy jedzenia, a kolejne 2,5 kilograma zbierają sobie same.

Według znawcy bocianów prof. Zbigniewa Jakubca te 30 kilogramów

można przeliczyć na dżdżownice. To dwa pełne duże wiadra dżdżownic. Dwa wiadra na każdego młodego. Dżdżownic zebranych jedna po drugiej, wyszukanych na łące wśród żdźbeł trawy. Nic więc dziwnego, że wokół bocianiego gniazda musi być dużo łąk, prawda?

Fotografując, postanowiłem kiedyś uchwycić, jak polujący bocian podrzuca i połyka dżdżownicę, i muszę wam powiedzieć, że choć w końcu mi się to udało, bocian robi to tak szybko, że nie jest to łatwe zadanie.



Bociany nauczyły się, że na skoszonych łąkach lub polach o wiele łatwiej złapać jaszczurkę, jakiegoś gryzonia, albo pasikonika

REKORD ZA REKORDEM

W rejonie Bartoszy, tuż przy granicy z Rosją, znajduje się mała wioska Lejdy. Pierwszy raz byłem tam w 1991 roku. Pamiętam doskonale, jak wędrowałem wśród łąk, gdy nagle zza pagórków wyłoniła się ta mała

poniemiecka wioska. Mam do niej sentyment, bo nie widziałem nigdy bardziej bocianiego miejsca.

W Lejdach dachy ugięły się od bocianich gniazd – na jednej stodole było ich aż cztery! W „Gazecie Wyborczej” odnalazłem mój tekst z tamtych czasów, zaczyna się tak: „W Lejdach, małej wiosce na północy Polski, nazywanej przez okolicznych mieszkańców Bocianowem, padł rekord. 21 dachów ugięło się pod ciężarem 28 bocianich gniazd. Jest ich tam trzy razy więcej niż wszystkich gniazd w Danii”.

Lejdy nie były żadnym wyjątkiem na Warmii. W Żywkowie co roku było do 40 par, w Szczurkowie, tuż przy granicy z Rosją, jeszcze w 2004 roku ponad 40 par gnieździło się głównie na słupach. Natomiast we Lwowcu na gotyckim kościele można było znaleźć 10 bocianich gniazd! Zresztą cały Lwowiec jest zabocianiony.

Takie grupowe zakładanie gniazd nazywa się koloniami, choć bociany nie są tak kolonijnymi ptakami jak czaple, kormorany czy gawrony, które nigdy nie zakładają gniazd pojedynczych. Kolonia to coś w rodzaju społeczności, którą wiążą silne więzy. Takie, które każą jej członkom bronić gniazd sąsiadów przed atakiem drapieżnika. U bocianów tego nie ma – zakładają gniazda w skupiskach, bo nie mają wyboru. Dzięki temu na Warmii i Mazurach mamy bardzo fajny szlak bocianich kolonii.



Kolonia bocianów na kościele w Lwowcu przypomina te, które można zobaczyć w Hiszpanii lub Portugalii

Warto się wybrać w tamte okolice, choć bocianów jest już tam mniej niż w latach 90. i na początku tego wieku. Znikają, bo zmienia się nasze rolnictwo. Różnorodne pola i łąki zamieniane są w tysiące hektarów uprawy kukurydzy i pszenicy. Poza gryzoniami nie ma na nich nic do jedzenia dla boćków. Zresztą gryzonie dostępne są tylko w czasie żniw, bo nawet długie nogi i dziób nie umożliwiają polowania w wysokim zbożu. Do gwałtownego spadku liczebności tych ptaków doszło w latach 2005-07 – w ciągu zaledwie kilku lat z 50 tysięcy par boćków ubyło około 10 tysięcy par! Później znów boćków przybyło i dziś mamy 50-53 tysięcy par.

Inne fajne bocianie miejsca w Polsce to wioska Kłopot w dolinie Odry. Mieszka tam 30 bocianich par i jest nawet muzeum bociana białego. Bociany lubią także suche drzewa nad Biebrzą, w okolicach wioski Chyliny na północ

od Brzostowa. Co prawda nad Biebrzą i Narwią najbardziej oblegana jest bociania wioska w Pentowie, ale ja wolę właśnie suche drzewa w Chylinach na zachodnim brzegu Biebrzy. Wiecie dlaczego? Bo gdy nadchodzi zachód słońca, siada na nich czasami nawet kilkanaście bocianów, a w okresie przelotów i bocianich sejmików panuje tam istne bocianie szaleństwo i czujesz się jak na afrykańskiej sawannie. Naprawdę polecam tam wycieczkę na przełomie lipca i sierpnia.

Tych, którzy nie mają jak wybrać się w teren, zachęcam do obserwowania bocianów w Przygodzicach, bo można je śledzić przez umieszczoną przy ich gnieździe kamerkę w internecie.

NIEBEZPIECZNA PODRÓŻ

Młode, które można poznać po tym, że mają czarne końcówki dzioba, odlatują wcześniej niż dorosłe. Ich rodzice zostają u nas trochę dłużej, by набrać sił przed podróżą i odpocząć po wysiłku, jakim było wychowywanie młodych. Młode boćki nie potrzebują towarzystwa dorosłych w wędrówce. W przeciwieństwie do żurawi lub gęsi nie muszą lecieć z rodzicami na zimowiska, by poznać drogę. Same doskonale ją znają. Mają to zapisane w genach, podobnie jak latanie, którego nikt nie musi ich uczyć.

Młode oczywiście nie lecą w pojedynkę. Podróż do Afryki to niebezpieczna rzecz, więc zbierają się w stada. Bociany z jednego gniazda dołączają do innych z tej samej wsi, potem łączą się z boćkami ze wsi sąsiedniej. Znikają z całej okolicy, by dołączyć do większych zgrupowań. Czasami dołączają do nich ptaki dojrzałe, z czerwonymi dziobami – to te, które nie miały w tym roku młodych albo po prostu je straciły i mogą sobie pozwolić na wcześniejszy wylot.

Niestety, taka bociania wędrówka nie jest bezpieczna – w pierwszym roku życia ginie nawet 70 proc. bocianów. Przez Bałkany i Bliski Wschód nasze bociany docierają do Afryki, potem lecą do Egiptu i wzdłuż wschodnich wybrzeży Afryki dalej – na południe. Ale nie bezpośrednio. W rejonie Sudanu gwałtownie skręcają na zachód i udają się do Sahelu, by się najeść. To najlepsze miejsce na duże szarańczaki, czyli podstawowy pokarm bociana w Afryce. Ilość tego pokarmu zależy od opadów. Zdaniem naukowców od sytuacji w tym właśnie rejonie zależy, co się potem będzie działo z boćkami w Polsce. Susze oznaczają mniej roślinności, którą żywią się szarańczaki, a bez nich znacznie mniej bocianów dotrwa do wieku dojrzałego i wróci do Polski. Dorosłe boćki do Polski wracają znów na przełomie marca i kwietnia.



Bywa, że płochliwe bociany czarne przestają się bać człowieka. Tego spotkałem w Muszynie

JAK SZYBOWIEC

Bociany wędrują, wykorzystując ciepłe prądy wznoszące. Gdy ziemia się nagrzewa, odrywa się od niej coś w rodzaju bąbla ciepłego powietrza, który wznosi się wysoko, bo jest cieplejszy niż powietrze. Z takiego bąbla albo – jak nazywają to zjawisko piloci szybowców – prądu termicznego korzystają bociany.

Dzięki szerokim skrzydłom unoszą się wysoko. Właśnie w okresie przelotów można zobaczyć wirujące stada bocianów z pozoru nieruchomymi skrzydłami – tak naprawdę ich mięśnie cały czas pracują, by jak najlepiej wykorzystać prąd. Wtedy widać także, jak szybko bociany się wznoszą. Wykorzystując lot ślizgowy, pokonują olbrzymie odległości. W Europie do 200 kilometrów dziennie, a w Afryce, gdzie prądy wznoszące są lepsze i można się wzbić wyżej – nawet do 700 kilometrów.

CZARNY KUZYN

Jest jeszcze jeden bocian – czarny. To leśny kuzyn bociana białego, mieszkaniec lasów i zawodowy rybak, bo ryby właśnie stanowią jego

główny pokarm. Dotychczas uważano, że bociany czarne są bardziej płochliwe i dlatego jest ich mniej niż białych – w Polsce zaledwie 1500. Co ciekawe, bociany czarne wyraźnie przestają się bać człowieka.

Na zachodzie i w centrum Polski zakładają gniazda w małych podmiejskich laskach, a na południu można zobaczyć, jak nic sobie nie robiąc z wędkarzy łowiących na muchę w bystrych górskich rzekach, polują na ryby. Polecam Dunajec, San albo rzeki w okolicach Muszyny. Gdy pierwszy raz zobaczyłem bociana czarnego niemal w centrum tego uzdrowiskowego miasteczka, musiałem przecierać oczy ze zdumienia. Zawsze byłem przekonany, że to straszny dzikus, a tu proszę...

TAKI DZIWNY ORZEŁ

Wiem, wiem, miało być tylko o bocianach, ale bez orlika nie da rady. Mogę nie pisać o dudkach, wilgach i innych letnich ptakach, ale o orliku krzykliwym muszę. W największy upał, gdy ptakom nie chce się śpiewać (no, może poza trznadlem, bo ten dziwnie lubi się wtedy drzeć) i słyszeć tylko cykanie koników polnych, w taki upał, że nawet bociany nie łążą po łące zbyt zajęte osłanianiem młodych od skwaru, właśnie w taki upał można zobaczyć orlika krzykliwego, jak sobie lata nad łąką. Gdzie tam lata! On po prostu pływa w rozgrzanym powietrzu, ledwo poruszając skrzydłami. Mógłbym pisać, że jest większy od myszołowa, a mniejszy od bielika czy orła przedniego, ale to nie ma sensu, bo po tym szybowaniu bezbłędnie go rozpoznać.



Orlik krzykliwy ma rozpostarte skrzydła nie tylko szybując nad łąką, ale również polując na piechotę

Myszołowy, bieliki, orły przednie, a także bociany, szybując, mają skrzydła wygięte do góry w formie spłaszczonego V. Natomiast skrzydła orlika krzykliwego oraz bardzo rzadkiego orlika grubodziobego są opuszczone w dół. Sporo tych ptaków mieszka w Bieszczadach, Beskidzie Niskim, Puszczy Białowieskiej, Knyszyńskiej, na Warmii, Mazurach, Lubelszczyźnie i w północno-zachodniej części kraju. Tam gdzie jest dobrze bocianom, są i orliki. I choć zakładają one gniazda dalej od ludzi niż bociany, bo na skrajach lasów, to mają wiele wspólnego. Bociany i orliki polują na podobne ofiary: wczesną wiosną na żaby, potem na gryzonie, węże i jaszczurki. I orlik, i bocian łowią owady oraz czasami młode ptaki.

Orlik jest najprawdziwszym orłem – poznanie po opierzonych nogach i kształcie dzioba. To w ogóle bardzo śmieszny ptak. Jego skrzydła mają

ponad 1,6 metra rozpiętości. Nie tylko ugania się za maleńkimi stworzonkami, lecz także za nimi biega. Naprawdę! Czasem spada na swoje ofiary z przestworzy, jak przystało na orła, a często biega za nimi w podskokach, co sprawia, że można go pomylić z zającem.

To najbardziej polski z orłów, bo nie wiem, czy wiecie, ale największa część orlików zamieszkujących Unię Europejską żyje właśnie u nas. Szacuje się, że jest to około 2 tysięcy par. Do września, bo wtedy odlatują do Afryki, by wrócić do nas w kwietniu.



Rozkładające się owoce to znakomity wabik na rusałki admirały

Motyle w ogródku

Aby skusić motyle na bliższe spotkanie, trzeba zrobić specjalną mieszankę z ciemnego piwa, do którego wrzucamy kawałki gnijących owoców. Mogą to być jabłka, śliwki lub gruszki. Możemy też wymieszać sok jabłkowy

z piwem w szklanym lub plastikowym naczyniu. Taka mikstura musi trochę odstać. Podobno im dłużej, tym lepiej – niektórzy zostawiają ją nawet na całe miesiące. Wystarczy jednak tydzień w cieple. Sfermentowaną miksturą smarujemy pieńki lub odrobinę wylewamy na spodek. Nie ma obaw – motyle się nie upiją, bo ich metabolizm jest inny niż nasz. Ten sposób działa znakomicie na motyle nocne, a za dnia, przynajmniej u mnie, przylatywały rusałki admirały, które uwielbiają zgniłe owoce. To bardzo ciekawe motyle, bo wędrują niczym ptaki. Pod koniec lata odlatują od nas na południe Europy. Nie lecą jednak tak jak bociany, mają inną technikę. Wznoszą się wysoko, by znaleźć odpowiedni wiatr, który poniesie je tam, gdzie chcą. I niesione wiatrem pokonują setki, a nawet tysiące kilometrów.





Lasów w naszym kraju mamy całkiem sporo, bo około 30 procent powierzchni Polski jest nimi pokryte. Las to las, czyli takie miejsce, gdzie drzewa rosną do góry, wszystko pachnie żywicą i gdzie chodzi się zbierać grzyby – tak myślałem, dopóki nie zamieszkałem w Puszczy Białowieskiej. Czeką tu na mnie coś zgoła innego. Drzewa wielkie, małe, krzywe i proste, złamane i przewrócone, sterczące korzenie zwane wywrotami. Do tego masa próchna, gnijących omszałych kłód pełnych jakichś dziwnych grzybów i owadów. Jednym słowem, bałagan, jaki nie panował w żadnym znanym mi dotąd lesie. Ale tak naprawdę czy w lesie powinien być wzorcowy porządek? Przecież martwe drewno to miejsce życia wielu gatunków roślin, grzybów oraz zwierząt.

Myślicie, że las bez samych idealnych drzew jest chory? Wcale nie. To właśnie tu rosną największe, a raczej najwyższe drzewa w Polsce, a może w Europie. Białowieskie świerki mogą mieć ponad 50 metrów wysokości (to tyle, ile ma 15-piętrowy budynek), a dęby – około 40 metrów.

Puszcza to efekt działania sił natury. Strukturę kształtują w niej nie siekiera czy piła albo wyhodowane w szkółce sadzonki, ale wichury, korniki, pożary oraz walka gatunków o miejsce do życia, czyli to, co w tak zwanym zwykłym lesie jest zwalczane z całą surowością. Myślicie, że wymieniałem same katastrofy. Pewnie, że tak. Ale są to tylko katastrofy w „normalnym” lesie, który ma stać prosto i rosnąć tylko w górę. Tymczasem w puszczy pożary, korniki i wichury to nie kataklizmy czy katastrofy, ale szansa. Na miejsce tych drzew, które giną, pojawiają się nowe, które dotąd nie miały szansy się przebić. Między roślinami w lesie toczy się walka o miejsce i światło i jest ona równie zażarta jak pogoń wilka za jeleniem. Trwa jednak trochę dłużej – czasami dziesiątki albo setki lat.

Dla mnie lasy, w których działają prawa natury, to prawdziwe lasy.

Największy taki kawałek prawdziwego lasu to oczywiście Puszcza Białowieska. Ale drobne kawałeczki, czasami zupełnie mikroskopijne, rozsiane są po całej Polsce. Trochę jest ich w górach, trochę w dolinach rzek. Może w waszych lasach uda się wam także znaleźć takie minipuszcze pełne prawdziwych tajemnic... A kiedy już je odnajdziecie, to pomyślcie, że kiedyś tak wyglądała cała Europa.

Noc letnia jest zupełnie specjalna. Chociażby dlatego, że jest najkrótsza w roku i to ma wiele zalet. Nocne zwierzęta nie mają wystarczająco dużo czasu, by zrobić wszystko, co do nich należy, przed wschodem słońca, i robią to również za dnia. Z kolei inne, które zwykle ruszają się za dnia, gdy jest bardzo gorąco, czekają z utęsknieniem na noc, bo wtedy robi się chłodniej o kilka stopni. Nocą jest także mniej uciążliwych owadów. Gzy, które za dnia potwornie męczą żubry, jelenie, sarny i inne zwierzęta, śpią smacznie. Nawet komary dają sobie z gryzieniem spokój i przeszkadzają trochę mniej. Jest tylko jeden problem – pewnie macie stracha przed pójściem nocą do lasu.

MORDERCA CZYHA NOCĄ

Ja też miałem potwornego stracha. Do czasu. Było to dawno temu, chodziłem do podstawówki i na konkurs olimpiady biologicznej pisałem pracę o puszczykach. To najpospolitsze sowy w naszym kraju, ale fascynują mnie od dawna, bo potrafią sobie poradzić w każdych warunkach. Żyją w pierwotnych puszczach, na wsiach oraz w centrach wielkich miast. Polują, karmią młode i się uaktywniają, gdy już się dobrze ściemni. Dla mnie najważniejsze jednak było to, że w nocy się odzywają. Samce takim charakterystycznym „hu, hu, huuu”, które doskonale znacie, bo słyszać je w każdym filmie grozy albo w każdym innym filmie, gdy jego twórcy chcą dać do zrozumienia, że zaraz będzie strasznie tajemniczo albo groźnie. Samica odpowiada zwykle takim łagodnym „kjuwit”, którego raczej nie znacie, bo nie ma go w filmach – nie jest wystarczająco przerażające, by robiło filmową karierę. No i w ogóle nie kojarzy się z całkiem sporą sową.

Puszczyków musiałem oczywiście szukać nocą. Robiłem to wczesną wiosną i latem, gdy mają po raz drugi młode, oraz jesienią, gdy młode i stare ptaki ustalają między sobą terytoria.

Jednym z miejsc, które musiałem odwiedzać nocą, był Las Bielański. Możecie mi nie wierzyć, ale ten las to resztki prastarej puszczy, które zachowały się w granicach Warszawy. Zawsze chodziłem tam z tatą, ale pewnego dnia nie mogłem ze mną iść. To było wtedy, gdy usłyszałem od moich kolegów z podwórka, że na okolicznych osiedlach grasuje brutalny morderca. Pewne był jedynie produktem czyjejś fantazji, ale my, dzieci, strasznie się go baliśmy. No i właśnie wtedy się okazało, że muszę iść nocą do lasu.



Puszczyki, nasze najpospolitsze sowy o nocnym trybie życia, czasami wyglądają ze swych dziupli za dnia

Badania nad puszczykami nie mogły czekać, gdyż traktowałem je ze śmiertelną powagą. No i poszedłem. Było ciemno i tylko gdzieś przez korony drzew przebijało się światło księżyca. Szedłem z duszą na ramieniu, świecąc sobie latarką. Zamarłem, gdy usłyszałem, że w moim kierunku zbliża się coś dużego. Słyszałem wyraźnie kroki i trzask łamanych gałązek. Nie byłem w stanie się ruszyć. Sparaliżował mnie strach. Wyobrażenia dokładnie podpowiadała mi, kto zaraz wynurzy się z ciemności. Ten straszny morderca...

Byłem się tak bardzo, że nie mogłem uciekać. Jedyne, na co się zdobyłem, to zgaszenie latarki. To było nawet rozsądne, bo przecież latarka wskazywała złoczyńcy drogę do mnie niczym latarnia morska. Stałem tak i czekałem na pewną śmierć. Kroki się zbliżały. Bliżej i bliżej, aż w końcu

w promieniach księżyca zobaczyłem sylwetkę. Morderca wyglądał jak... dzik.

Odetchnąłem z ulgą, a potem przestraszyłem się jeszcze bardziej. Jako dziecko wychowane w mieście nie wiedziałem, że dziki absolutnie nie są groźne. Gdy to już zrozumiałem, przestałem się bać nocy w lesie. Mało tego, noc to najbezpieczniejsza część doby. Żli ludzie nocą do lasu nie chodzą, bo... bardzo się boją. A tylko ludzie mogą nam zrobić krzywdę. Zwierząt nie ma się co obawiać.

DERKACZ DERKA Z CAŁYCH SIŁ

Zanim dotrę od siebie do Puszczy Białowieskiej, muszę przejść przez łąkę (trochę to męka, bo jestem uczulony na pyłki traw). Na łąkę warto się wybrać nocą. I koniecznie właśnie na początku lata. Znacie derkacza? Tego niewielkiego, bo ważącego zaledwie 160 gramów ptaka mało kto widział, za to zapewne wielu go słyszało. Nocą z łąk słychać rytmiczne i bardzo głośne „der, der”, od którego wzięła się polska nazwa tego chruściela.



Wszyscy znają derkanie derkacza, a mało kto wie, jak on wygląda

Derkacze zobaczyć trudno, bo zaraz po przylocie – pod koniec kwietnia lub na początku maja – z południowo-wschodniej Afryki zapadają w gęste trawy i ze skrzydlatych podróżników zamieniają się w piechurów. Za to ich głos usłyszeć nietrudno, bo ma niebywałą siłę. Pomiary z odległości 30 centymetrów wykazały natężenie 120 decybeli, czyli tyle co silnik ciężarówki. Przez noc samiec derkacza może wydać z siebie nawet ponad 20 tysięcy pojedynczych derknień. Pieśni ptaków bywają bardzo skomplikowane, bo niosą wiele informacji. Niektóre ptaki wyśpiewują całe zwrotki z refrenami. Natomiast derkacz w kółko powtarza dwusylabowe „der, der”. Nie może sobie pozwolić na skomplikowane śpiewy, bo złożone zwrotki nie byłyby słyszalne w takiej gęstwinie. To, że wykrzykuje je tak głośno, także jest zrozumiałe, bo przecież inaczej nikt by go nie słyszał w gąszczu traw. Wydawałoby się więc, że informacja przekazywana przez derkacze jest

niezwykle uboga. Okazuje się jednak, że wcale nie. Bardzo ciekawą hipotezę na ten temat postawili badacze, którzy stwierdzili, że przerwa między „der, der” pozostaje u derkacza zawsze taka sama, ale już pomiędzy poszczególnymi powtórzeniami tych dwóch sylab się zmienia.

Po przylocie derkacz derka dość wolno. Wydaje z siebie od 65 do 80 derknięć na minutę, często robi też dłuższe przerwy. Po jakimś czasie przyśpiesza i zaczyna derkać jak szalony, dochodząc do 120 derknięć na minutę. Co więcej, robi to niemal bez przerwy. Skąd ta zmiana? Otóż naukowcy przypuszczają, że zaraz po przylocie derkacze starają się wywalczyć skrawek terenu, który najbardziej będzie odpowiadał samicy. W maju, gdy na łąkach jest dużo wody, a trawy są jeszcze dość krótkie, trudno o miejsca odpowiadające tym ptakom i samiec musi konkurować z innymi o terytorium z odpowiednią trawą. By informować rywali, że to jego kawałek, nie trzeba non stop derkać, co więcej, przerwy są konieczne, by słyszeć derkających konkurentów. Samce, które derkają wolniej, są bardziej agresywne niż te derkające szybko.

To, czy samiec znajdzie samicę, zależy od terytorium, jakie zajmie. Tuż po przylocie dobre terytorium to towar deficytowy, co widać chociażby po tym, że samce derkają w większym zagęszczeniu. Sytuacja zmienia się na przełomie czerwca i lipca, gdy zbliża się drugi lęg. Derkacze zaczynają derkać bardzo szybko. Już im nie zależy tak bardzo na rywalizacji z innymi samcami. Odpowiednich miejsc jest dużo i nadchodzi pora, by skoncentrowały się głównie na wabieniu samic.

Wygląda więc na to, że z pozoru nieskomplikowany język derkaczy niesie informację nie w sylabach czy zwrotek jak u innych ptaków, ale w rytmie albo – jak kto woli – w szybkości derkania. To jak z tam-tamami, za pomocą których człowiek porozumiewał się w gęstych dżunglach – dla derkacza porośnięte trawą łąki to właśnie taka dżungla. By go zobaczyć, spróbujemy go wywabić z tej gęstwiny.

Jak się ubrać latem do lasu?

Nie ma znaczenia, czy idziemy nocą, czy za dnia – w lesie zawsze warto mieć coś lekkiego, co osłoni nas od deszczu. W takich miejscach jak Puszcza Białowieska, szczególnie gdy jest gorąco, o letnie ulewy nietrudno. Są one intensywne i mogą przemoczyć do suchej nitki w parę minut. Gdy idę do lasu za dnia, to się nimi tak bardzo nie przejmuję, bo można się rozejrzeć wokoło i zwiać pod gęste świerki. Niekoniecznie te wysokie, bo one działają jak piorunochron i piorun może trzasnąć w taki świerk, a wtedy będziemy mieli problem.

Poza tym za dnia, gdy jest bardzo gorąco, moknie się szybko, ale też szybko się wysycha. Nocą to już nie jest takie proste, dlatego warto mieć coś od deszczu. I wygodne kalosze. Dla mnie to podstawowe obuwie, bo Puszcza Białowieska jest lasem dość mokrym, a jak się łązi nocą, to trudno nie wdepnąć w jakąś wodę lub błoto.



Tak właśnie ubrany chodzę do lasu

Wreszcie latarki. Tak naprawdę, gdy świeci księżyc albo gwiazdy, to latarki nie są wcale potrzebne. Co prawda my, ludzie, słabo widzimy w nocy, ale nie jest tak, że nie widzimy w ogóle. Jeżeli nie zapalicie latarki, to zobaczycie, że wzrok powoli przystosuje się do ciemności. Latarki jednak są potrzebne. Bardzo lubię czołówki, czyli takie zakładane na głowę. Najlepsze są takie, które pozwalają na regulowanie światła. Poza taką latarką mam też zwykłe, takie, które świecą wąskim strumieniem światła. Nie musi być to jakiś bardzo silny, wielki reflektor.



KONKURENT Z ODTWARZACZA

Oczywiście najprostszym sposobem, by wywabić derkacza, jest puszczenie samcowi głosu innego samca. Zdenerwuje go to strasznie i przyjdzie zobaczyć, kto mu wszedł na terytorium. Można używać do tego dowolnego odtwarzacza. Dobrze, by miał mocne głośniki, bo derkacz drze się z wielką siłą i nikt takiego konkurenta z cieniem głosem nie potraktuje poważnie. Odtwarzanie z komórki może więc nie wystarczyć. Trzeba także wybrać odpowiednią lokalizację – blisko ptaka i w miejscu, gdzie nie ma zbyt gęstych traw, bo włożenie w trawy może derkacza wypłoszyć. Ja najczęściej wabiłem derkacze na skrajach polnych dróg. Stawiamy więc nasze urządzenie udające derkacza i cofamy się o kilka metrów. Teraz mocną latarką świecimy w kierunku, z którego słychać prawdziwego derkacza. Trzeba świecić tak, żeby oświetlać wierzchołki traw. Derkacze mają wrzecionowaty kształt i w gęstwinie traw czują się jak ryba w wodzie, ale nawet one lekko potracają trawy. Gdy prawdziwy derkacz przerwie wołanie, a wierzchołki traw zaczną się delikatnie poruszać, to znaczy, że właśnie się do nas zbliża. Teraz numer polega na tym, by dobrze określić, gdzie wyjdzie, i cały czas trzymać go w snopie światła latarki. Bo latarka nie tylko oświetla derkacza, lecz także ukrywa nas. Sztuka wabienia derkaczy polega na tym, żeby schować się za światłem tak, by ten bystry ptak nas nie wypatrzył.

Derkacz może być tak zdenerwowany konkurentem, że podejdzie bardzo blisko. To okazja, by zobaczyć tego tajemniczego ptaka nawet z odległości metra. A warto, bo na pewno będziecie zaskoczeni, jak mały jest ten właściciel potężnego głosu.

Jest jeszcze jeden sposób wabienia derkaczy. To zadanie dla prawdziwych koneserów o znakomitym słuchu i wyczuciu rytmu. Otóż takie derkaczowe „der, der” można uzyskać, pocierając plastikową kartą o grzebień. Raz w życiu widziałem, jak to działa, i powiem wam, że to możliwe. Derkacz przychodzi. Oczywiście kluczowa jest odpowiednia karta i grzebień – jedno i drugie powinno być twarde. Nadawały się do tego stare karty telefoniczne, a teraz podobno świetne są także karty kredytowe.

Jak już zobaczycie derkacza, dajcie mu i innym spokój. Wabienie nie czyni im wielkiej krzywdy, ale odrywa przecież od tego, czym powinny się zajmować, czyli od obrony terytorium przed prawdziwymi konkurentami i poszukiwania samicy. Dlatego też, gdy derkacz nie przybiega po paru minutach, lepiej go zostawić w spokoju, bo może go rozpraszamy albo stresujemy. Może ukrywa się przejęty, bo myśli, że na jego terenie rozgościł się bardzo silny samiec. Piszę o tym dlatego, że wabienie głosem różnych gatunków ptaków stało się bardzo popularne. Sam to często robię i wiem, że lepiej uważać i robić to ostrożnie oraz z umiarem, tak aby ptakom nie zaszkodzić.

JAKIE ZWIERZĘ PATRZY NA NAS Z CIEMNOŚCI?

W czasie nocnej wycieczki do lasu trzeba mieć latarkę. Nie należy jej zbyt często używać, by nie płoszyć zwierząt. Warto jednak od czasu do czasu poświecić, by zobaczyć świecące oczy różnych stworzeń. Z daleka wszystkie wydają się bladoniebieskie lub jasnożółte. Z bliska po ich kolorze można poznać, czy gapi się na nas roślinożerca, czy drapieżnik.

Jak myślicie, jaki jest odbłask wilczych oczu? Pewnie myślicie, że jak drapieżnik, to na pewno krwawy – czerwony lub pomarańczowy. Niespodzianka! Na czerwono lub pomarańczowo świecą się ślepie roślinożerców, takich jak jelenie. Natomiast wilcze, rysie lub lisie ślepie są bladoniebieskie lub bladozielone. Bywają jednak wyjątki – wyłupiaste oczka naszego pieska Misia świeciły na czerwono, choć u innych psów były niebieskawe. Ale on był zwariowany i nie przystawał do żadnych reguł rządzących światem.

Zastanawiacie się, dlaczego gdy poświeci się latarką w oczy zwierząt, to świecą, a ludzi nie? Oczy zwierząt, które są aktywne także w nocy, są inaczej zbudowane niż nasze. Nocą nigdy nie jest zupełnie ciemno, zawsze jest odrobinka światła i chodzi o to, by ją jak najlepiej wykorzystać. Siatkówka to ta część oka, która jest zbudowana z pręcików i czopków wrażliwych na światło i rejestrujących jego przepływ. U zwierząt, które lubią łązić nocą, za siatkówką znajduje się błona odbłaskowa. Gdy u ludzi promień światła wykorzystywany jest tylko raz, to u zwierząt błona odbija już wcześniej odbite światło i kieruje je jeszcze raz na siatkówkę. Dzięki temu zwierzęce siatkówki mają większą szansę na zanotowanie obrazu.

CO SIĘ JESZCZE ŚWIECI W LESIE?

Czy są organizmy, które świecą same? Pewnie, że tak. W Puszczy Białowieskiej kilka razy widziałem świecące próchno. Wyglądało jak fosforyzujący duszek. Tak naprawdę to nie próchno świeci, tylko strzępki, czyli coś w rodzaju korzeni różnych grzybów. Dzieje się to pod wpływem procesów chemicznych i nazywa bioluminescencją. W chemiczno-biologiczne zawiłości nie ma się co wdawać, ale warto wiedzieć, że nie tylko grzyby świecą. W letnią noc macie ogromną szansę na zobaczenie świetlików zwanych – właśnie od letnich nocy – świętojańskimi (noc św. Jana to najkrótsza noc w roku). Żyją na skrajach lasów, przy leśnych polanach, a ja najczęściej widuję je przy leśnych drogach. W ciepłe noce bezskrzydłe samice wspinają się na rośliny i światłem informują latające samce o swej obecności. I samice, i samce mają nie więcej niż dwa centymetry długości i małą latarenkę na końcu odwłoka. Ich światelka nie sposób nie dostrzec.

Na świecie żyje cała masa gatunków świetlików i wiele z nich ma własny kod migania, taki świetlikowy alfabet Morse'a. Mało tego, drapieżne samice niektórych amerykańskich świetlików potrafią migać jak inne gatunki po to, by przywabić samca obcego gatunku i go zjeść. Nasze świetliki tego nie robią, bo one w ogóle nie jedzą. Żyją bardzo krótko. Gdy już się odnajdą i dojdzie do zapłodnienia, to szybko składają jajeczka i giną. Jedzą za to ich

larwy – są drapieżne i polują na ślimaki. Poza świetlikiem świętojańskim w naszym kraju żyje jeszcze iskrzyk, mały mieszkaniec łąk i parków, oraz bardzo rzadki świecek, który w ogóle nie lata, bez względu na płeć.

Jak nie dać się komarom?

Gryzą nas tylko komarzyce, bo potrzebują bogatego w białko pokarmu, by złożyć w wodzie jajeczka, a nasza krew to bardzo pożywny pokarm. Z tym, żeby nas znaleźć, też nie mają najmniejszego problemu – wykrywają nas dzięki zapachowi oraz temperaturze. To, czy rok będzie bardzo komarzy, nie zależy – wbrew powszechnemu mniemaniu – od tego, jaka była zima, ale od tego, jaka jest wiosna. Jeżeli mokra, komarów będzie dużo i będą zajadłe, bo komary właśnie w wodzie składają larwy. Na szczęście komary są bardziej niż kleszcze wrażliwe na repelenty, którymi możemy się popryskać.



Bzyczenie komarów doprowadza mnie do szału, ale przecież te owady pełnią ważną rolę w przyrodzie

Preparaty te mają zwykle dość silny zapach i to, niestety, przeszkadza, gdy chcemy się zacząć na jakiegoś zwierzątko. Ale i na to jest rozwiązanie! Można już kupić komaroodporne ubrania – koszule, kurtki oraz spodnie.

Jeżeli dodamy siatkę na twarz, jesteśmy prawie całkowicie bezpieczni. Prawie, bo jeżeli chcemy fotografować, to powinniśmy mieć na rękach rękawiczki przylegające do ciała, ale odporne na ugryzienia. Niestety, z takimi się nie spotkałem. Używam rękawiczek skórzanych, które są niezbyt wygodne. Siatka na twarz powinna być na tyle drobna, by zabezpieczała nas też przed meszkami. I nie powinna przylegać do skóry, dlatego najlepiej nakładać ją na kapelusz.



10 kleszczowych przykazań

Łaziły już po mnie i małe, i duże. Wpijały mi się w ciało o różnych porach roku i w różne miejsca. Najwcześniej po zimie kleszcza znalazłem na sobie w lutym, podczas chwilowego ocieplenia. Kleszcze w Puszczy Białowieskiej są prawie cały rok i nie szukam ich na sobie tylko wtedy, gdy na zewnątrz jest mróz i śnieg. Mało tego, coraz częściej spotykam się z kleszczami nie tylko na łące i w lesie, lecz także we własnym ogrodzie. Wybierając się na derkacze czy borsuki, na pewno nałapiecie kleszczy, dlatego przedstawię wam kilka zasad obchodzenia się z nimi.



Kleszcz gdy wykryje podwyższoną temperaturę, albo wyższe stężenie dwutlenku węgla, rozpościera odnóża, gotowy do abordażu na ofiarę

1. Nie bój się! Nie ma co się bać kleszczy i demonizować zagrożenia z ich strony. Muszą napić się krwi, by z larwy przeistoczyć się w nimfę, z nimfy zaś w postać dorosłą, by potem złożyć jajeczka. Niekoniecznie musi być to krew człowieka, kleszcze nie są wybredne.
2. Spodziewaj się ich wszędzie – na łące, wśród krzewów, w lesie. Kleszcze w różnych stadiach rozwoju potrzebują roślinności kilku rodzajów i wysokości.
3. Lubią wilgoć – na przykład brzegi leśnych rzeczek porośnięte leszczyną (w suchym sosnowym lesie będzie ich niewiele). Ten, kto w grupie idzie pierwszy, złapie ich najwięcej, choć innym też na pewno coś się trafi.
4. Żadne ubranie nas nie zabezpieczy – nie ma znaczenia, czy mamy spodnie wpuszczone w buty i szczelnie zapięliśmy kurtkę. Chyba tylko

gumowy kombinezon byłby kleszczoodporny, ale chodzenie w nim, szczególnie w lecie, oznaczałoby potworną mękę.

5. Lubią jasne kolory – zauważyłem, że kleszcze znacznie chętniej wchodzi na ubrania jasne. Z drugiej strony na jasnym ubraniu łatwiej jest je zauważyć i się ich pozbyć. Na ciemnym polarze kleszcz jest praktycznie niewidoczny. Dlatego wolę chodzić do lasu w jednolitych, w miarę jasnych ubraniach.

6. Obejrzyj się dokładnie po wyprawie – wszędzie. Kleszcze nie wpijają się od razu. Zwykle potrzebują kilku godzin na znalezienie odpowiedniego miejsca.

7. Obejrzyj ubrania – moje leśne ciuchy dokładnie oglądam i zostawiam na werandzie. Gdy nie mam zamiaru ich używać, wrzucam je do pralki. Kleszcze mogą się ukrywać w szwach lub załamaniach kieszeni.

8. Zwracaj uwagę na łaskotanie – każde łaskotanie czy uczucie, że coś po mnie łązi, powoduje, że natychmiast oglądam to miejsce. U mnie to już nawyk.

9. Spryskaj się środkami odstraszającymi – nie odstraszają one kleszczy w stu procentach, dlatego nie wolno rezygnować ze sprawdzenia ciała i ubrania. Gdy zrobicie jedno i drugie, macie jednak większe szanse na skuteczną obronę przed kleszczami.

10. Masz kleszcza – nie panikuj! Nie przypalaj go i nie smaruj tłustymi substancjami. Cała sztuka polega na uchwyceniu go za głowę, a najlepiej za aparat ssący – jak najbliżej skóry – i wyciągnięciu zdecydowanym ruchem. Nimfy i larwy zwykle nie wbijają się głęboko i łatwo je usunąć. Dorosłe potrafią wessać się głębiej. Narząd ssący przypomina budową harpun i trzyma się bardzo mocno. Mój znajomy, by wyciągnąć kleszcza, robi pętelkę na mocnej nitce i tą pętlą łapie kleszcza jak najbliżej skóry. Sprawdziłem – działa znakomicie. Ale dziś nie trzeba tego robić. Dostępne są znakomite niewielkie plastikowe narzędzia do wyciągania, które chwytają kleszcza idealnie za głowę, tak że w ciele nic nie zostaje. Mam takie, noszę je w portfelu.



BORSUKI NA DIECIE DŹDŻOWNICOWEJ

Największą zaletą lata, a dokładnie letniej nocy, jest możliwość podglądania zwierzaków, na przykład borsuków. W Puszczy Białowieskiej zobaczyć borsuka nie jest łatwo. Po pierwsze dlatego, że mają olbrzymie terytoria. W Polsce centralnej i zachodniej terytorium borsuczej rodziny ma od 3 do 5 kilometrów kwadratowych, a w Puszczy – od 8 do nawet 25 kilometrów. Skąd aż tak duże różnice? Profesor Rafał Kowalczyk z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży uważa, że to wszystko przez dietę. W Puszczy możecie zobaczyć wykopane głębokie, dziwne rowki – to ślady

po borsukach, które szukały dżdżownic. I mogą sobie takie borsuki zjadać płazy, na przykład ropuchy, ptaki albo gryzonie czy padlinę, ale to dżdżownice są najważniejsze. W Puszczy mogą stanowić nawet 75 procent borsuczej diety. Dżdżownice mają jedną wadę – są bardzo małe, te leśne ważą około jednego grama. Borsuk, by się najeść, musi się trochę nakopać, i to na dużym obszarze.

Dżdżownice są zdrowe, bo to prawie samo białko, jest ich bardzo dużo – w Puszczy na jednym hektarze może być ich nawet 400 kilogramów (na łąkach jeszcze więcej, bo czasem ponad 1300 kilogramów na hektar). Do tego liczba dżdżownic się zmienia – wiosną może ich być bardzo dużo, latem nawet pięć razy mniej, a jesienią znowu ich przybywa.



Najlepiej obserwować borsuki, gdy dzień staje się krótszy od nocy. Wychodzą wtedy z nor, kiedy jest wciąż widno

Bycie takim borsukiem latem to ciężka praca. Noc jest bardzo krótka,

a napracować się trzeba sporo, bo dżdżownic jest mało. Borsuk nie ma jednak wyjścia i wychodzi z nory całkiem wcześnie, jeszcze późnym popołudniem, gdy wciąż jest jasno.

Od połowy maja do połowy czerwca z nory z mamą wychodzą młode. To jest bardzo fajne, bo najpierw pojawia się wielgachna matka, która przez chwilę kręci się przy norze, a za chwilę za nią wybiegają maluchy. Zwykle trzy lub cztery. Bawią się, baraszkują i wydają przy tym całą masę chrząknięć i fuknięć. Gdy matka znika w lesie, młode dopiero zaczynają szaleństwo. Młode borsuki bawią się jak małe które zwierzątka. To, co widzieliście w wykonaniu młodych psiaków albo kotów, to jest nic w porównaniu z młodymi borsukami. Lepsze są chyba tylko młode wydry.

SZUKAMY NORY BORSUKA

Młode borsuki wychodzące z nory to mój stały punkt letniego programu. Żeby nie było, że tylko was skusiłem, to też powiem, jak je odnaleźć. Otóż trzeba poszukać nory. Najlepiej zrobić to jeszcze w marcu, gdy borsuki już się obudziły i jest jeszcze trochę śniegu, bo wtedy wytropimy je łatwiej. Tropu borsuka nie sposób pomylić z żadnym innym – ma bardzo długie pazury i pięć placów widocznych dokładnie na odbiciu w śniegu.

Co zrobić, jak się przegapiło marcowe śniegi? Trzeba szukać tam, gdzie nora jest prawdopodobna. Może to być piaszczysty wzgórek w okolicy – borsuki lubią je najbardziej. Zresztą nie tylko one. Również lisy, jenoty, a nawet wilki, bo nora w takim miejscu będzie sucha i przyjemna.

Jak rozpoznać norę borsuka? Otóż jeżeli nora jest używana, to zawsze jest tam sporo świeżo wyrzuconego wilgotnego piachu. Na nim trzeba poszukać odcisków łapek właściciela nory. Jak ma pięć paluchów, to borsuk, jak cztery, to lis albo jenot. Wtedy też warto się zacząć, bo młode liski lub jenoty są bardzo zabawne.

Innym znakiem rozpoznawczym borsuczych nor jest duża liczba wejść, bo potrafią być olbrzymimi kompleksami, których pokolenia tych zwierząt używają nawet przez 100 lat. Przynajmniej tak jest na wschodzie, gdzie nory to prawdziwe rozbudowane pałace. To, czy nora jest zajęta, najlepiej sprawdzić w środku dnia, gdy zwierzątka sobie głęboko śpią. Oglądać je jednak polecam po południu – od około 17 do nory lepiej się już nie zbliżać, bo każde zamieszanie może sprawić, że nie wyjdą. Jedyne, co musicie wtedy zrobić, to spokojnie usiąść w jednym miejscu i zachowywać się cicho. To nie będzie łatwe, bo o tej porze roku w lesie jest pełno komarów, a popołudniowe, przedwieczorne godziny to ich ulubiona pora.

Komary nie wyrządzą nam większej krzywdy, w najgorszym wypadku trochę nas poswędzi. Bardziej nieprzyjemne są zdecydowanie osy i szerszenie. Nie atakują jednak bez powodu i dlatego niebezpieczna jest jedynie sytuacja, gdy znajdziemy się w pobliżu ich gniazda. Lubią je zakładać pod dachem, czyli we wszelkiego rodzaju wiatach i myśliwskich ambonach. Gdy wchodzimy pod taki dach po ciemku, może nas czekać przykra

niespodzianka, bo obudzone owady lecą do światła. Nawet gdy mamy latarkę czołówkę, lepiej ją trzymać w ręce niż na głowie. Kiedyś lecący do światła szerszeń pacnął mnie w twarz, potem pacnął mnie następny i następny. I choć żaden mnie nie użądlił, poczułem się bardzo nieswojo pod takim zmasowanym atakiem.



Szerszeń spija sok z wierzby. Wbrew pozorom to nie jest agresywny owad. A jaki piękny!

Jak latarką wyświetlić kod Morse'a

Ten bardzo sprytny system porozumiewania się został wymyślony przez Samuela Morse'a oraz Alfreda Vaila, dwóch amerykańskich wynalazców. W pierwszej połowie XIX wieku, czyli gdy nie było mowy o telefonie, a telegraf był nowinką techniczną, stworzyli oni system nadawania wiadomości. Składał się z różnych kombinacji krótkich i długich sygnałów nazywanych potocznie kropkami i kreskami. Okazał się bardzo użyteczny,

bo można nim zapisać w bardzo prosty sposób wszystkie litery, cyfry i znaki.

Sami popatrzcie – moje imię można zapisać tak: • – – • • • – – –. Kropka i kreska to litera „a”. Zaleta tego alfabetu polega na tym, że można go nadawać, świecąc latarką, gwizdząc gwizdkiem lub wysyłając impulsy elektryczne.

Najsłynniejszy sygnał i taki, który powinien znać każdy, to: • • • – – – • • •. Trzy kropki, trzy kreski i znów trzy kropki. To sygnał SOS, czyli wołanie o pomoc. Szczególnie ważne na morzu. Te trzy kropki, trzy kreski i znów trzy kropki wybrano na taki sygnał, bo łatwo go zapamiętać. Później zaczęto to jednak interpretować jako skrót od angielskich słów „save our ship”, co oznacza „ratujcie nasz statek”, lub „save our souls”, czyli „ratujcie nasze dusze”.

ALFABET MORSE'A					
A • –	B – • • •	C – • – •	CH – – –	D – • •	E •
F • • – •	G – – •	H • • • •	I • •	J • – – –	K – • –
L • – • •	M – –	N – •	O – – –	P • – • •	R • – •
S • • •	T –	U • • –	W • – –	Y – • – –	Z – – • •



Jak określić cztery strony świata?

Jest taki stary harcerski sposób określania stron świata po mchach rosnących na drzewach. Chodzi o to, że mech podobno zawsze rośnie z północnej strony drzewa, bo ta najślabiej oświetlana jest przez słońce. A tam, gdzie jest cień, panuje wilgoć, co bardzo lubią mchy. Teoretycznie wszystko się zgadza i wygląda super, ale gdybym stosował tę metodę określania północy w Puszczy Białowieskiej, to zapewne dotąd bym nie wyszedł z lasu. Mech rośnie, i owszem, od północy, ale na idealnie prostych drzewach, które rosną w dużych odstępach od siebie i są posadzone pod linię. Takie lasy bywają, ale są nudne jak flaki z olejem i ja do nich nie chodzę. Jeżeli w lesie są różne drzewa, o różnej grubości, położeniu i wreszcie nachyleniu, to mech będzie rósł po różnych stronach. To może określać kierunki po słońcu, które wschodzi na wschodzie, w południe jest na południu, a zachodzi na zachodzie? To dobry sposób. Lubię go używać. Gdy słońce wschodzi przy moim lewym ramieniu, to wiem, że idę na południe, a jak przy prawym – to na północ. Gdy zachodzi

i mam je po prawej stronie, to znaczy, że maszeruję na południe. Idealnie południe słońce wskazuje między 12 a 13.

Podobnie można w nocy znaleźć północ po Gwieździe Polarnej – jest najjaśniejsza w układzie Małej Niedźwiedzicy lub – jak kto woli – Małego Wozu. Problem ze słońcem i z gwiazdami polega jednak na tym, że często jest pochmurnie i ich nie widać. I co wtedy? Właśnie dlatego nawet jak wędruję po lesie, który znam jak własną kieszeń, to zawsze mam ze sobą kompas. Nigdy mnie nie zawiódł, bo o niego dbam. Nie wkładam go do kieszeni z metalowymi przedmiotami lub czymś, co mogłoby go rozmagnesować. A GPS? Bardzo fajne urządzenie. Używam go do oznaczania na przykład drzew, do których chciałbym wrócić. Ale w gęstwinie liści i przy zwartych koronach drzew nie łapie czasami sygnału satelitów i nie jest w stanie określić pozycji, nawet jak bardzo tego potrzebujesz. Zależy jest także od baterii. Pewnej nocy znalazłem się z GPS-em w podmokłym lesie i właśnie wysiadły mu baterie. To był ten jeden z niewielu razów, gdy zapomniałem kompasu, i wierzcie mi, bardzo tego żałowałem.





– Morze to jest jakaś straszliwa nuda, nie zabierajcie mnie już tam nigdy. Nigdy, słyszycie? Chcę w góry! – tak dawno temu oświadczyłem moim rodzicom, którzy za punkt honoru stawiali sobie wyjazd latem nad morze. W związku z tym niemal każde wakacje spędzaliśmy nad morzem. Miałem sobie z siostrą popływać, powdychać jod niesiony morską bryzą i pojeść rybkę, bardzo zdrową.

Rodzice chcieli dobrze, ale ja myślałem, że nad tym morzem oszaleję. Jedzenie gofrów z bitą śmietaną i puszczenie latawca nie było w stanie mnie pocieszyć. Leżenie na plaży i kąpiele były jedną wielką nuuuuudą. Jak okiem sięgnąć, żadnych zwierząt i nic ciekawego. Poza mewami, ale jak było gorąco, to i one gdzieś znikwały.

Myślałbym tak dalej i umarł zapewne w przekonaniu, że morze to flaki z olejem, gdybym nie spotkał naukowców z Instytutu Oceanologii PAN, Stacji Morskiej Uniwersytetu Gdańskiego oraz estońskich specjalistów od fok, którzy nauczyli mnie patrzeć na morze zupełnie inaczej. Otworzyli mi oczy i raptem się okazało, że polskie plaże i małe morze to fantastyczny obszar pełen niesamowitych stworzeń. Ale uwaga! Żeby to dostrzec, musicie być naprawdę bardzo uważnymi tropicielami. Podglądanie zwierząt nad morzem to nie przelewki! Ale jak już wam się uda, to już nigdy nie powiecie, że morze i plaże to nuda.

Największą nudą oczywiście wydawała mi się plaża. Przecież już na pierwszy rzut oka widać, że to tylko piasek. Dużo piasku. Nad Bałtykiem mamy jeszcze plaże kamieniste oraz skaliste, gdzie jest lita skała, ale

większość naszych plaż to piasek. Powstają, gdy fale wynoszą morski piasek na brzeg. Wiatr niesie je dalej w głąb lądu i tak, miliony ziarenek potem, tworzy się wydma. Plaże także znikają. Dzieje się tak wtedy, gdy olbrzymie sztormowe fale zabierają piasek do morza, w czym pomaga wiatr wiejący od morza. Plaże mogą mieć od 10 do 100 metrów szerokości i latem potrafią rozgrzać się nawet do 50 stopni. Między ziarenka piasku dostaje się wywiana z morza sól, czyli – jak możecie sobie wyobrazić – jest to środowisko zupełnie nie do życia. Czy rzeczywiście?

PRAWDZIWY TŁOK W KAŻDEJ SKALI

Polskie plaże są najbardziej zdeptaną częścią naszego kraju. Linia brzegowa Polski to około 500 kilometrów, ale w przeliczeniu na powierzchnię to około 20 kilometrów kwadratowych, czyli tyle, ile ma niewielki las lub jezioro. Rocznie ten skrawek odwiedza 8 milionów ludzi, gdy – dla porównania – Warszawa ma około 500 kilometrów kwadratowych i około 2 milionów mieszkańców. Wyobrażacie już sobie ten tłum nad morzem?

Nie oznacza to wcale, że na plaży nie ma zwierząt. Wręcz przeciwnie! Kwitnie tam życie. Nie głodują, bo jest tam pełno pysznego jedzenia – fale pchają w kierunku brzegu całą masę zanieczyszczeń organicznych: szczątków glonów, zwierząt, które padły w wodzie, no i tego, co my wyrzucamy do wody. Każdy wie, że przy brzegu woda nie jest zbyt klarowna, ale im dalej, tym czystsza. Piasek jest znakomitym filtrem, czyli sitem, które zatrzymuje wszystko, co się w wodzie znajduje. Wyłapuje wszystko poza substancjami rozpuszczonymi w wodzie – na tej samej zasadzie działają filtry we wszystkich oczyszczalniach ścieków na całym świecie. Mało tego, jak opowiedział mi doktor Lech Kotwicki z Instytutu Oceanologii PAN, te zanieczyszczenia są momentalnie pożerane przez ogromną ilość niewielkich istot, które mieszkają sobie między ziarenkami piasku. Dziwicie się, jak to możliwe, że nie zdeptała ich ta cała masa ludzi?



Polskie plaże są najbardziej zatłoczonymi miejscami w naszym kraju

Wyobraźcie sobie olbrzymią górę usypaną z gigantycznych głazów. Można po niej jeździć bardzo ciężkimi maszynami, ale znajdą się szczeliny, w których mógłby się ukryć człowiek, a zdecydowanie pies lub mysz. Tak samo jest między ziarenkami piasku, tylko w mniejszej skali, bo ziarna mają od 0,3 do 0,4 milimetra średnicy. W garści piasku 30-40 procent objętości to puste przestrzenie. To w nich mieszka całe to towarzystwo, które pożera materię organiczną.

Na naszych plażach także w skali mikro panuje wielki tłum. Według badań naukowców z Instytutu Oceanologii na 10 centymetrach kwadratowych plaży, czyli na obszarze mniejszym od pudełka zapalek, żyje średnio 1000 organizmów wielokomórkowych: robaków, skorupiaków, małży i ich larw, ślimaków, wieloszczetów, skąposzczetów, roztoczy, larw owadów i innych grup bezkręgowców. Możecie je wszystkie zobaczyć pod mocną lupą,

spróbujcie.

Gdyby próbkę piasku umieścić pod mikroskopem, to zobaczylibyście coś niesamowitego – zupełnie inny świat. Stwory jak z filmów o kosmitach. Są tam bakterie, grzyby i zwierzęta jednokomórkowe, takie jak pierwotniaki. Jednokomórkowców jest wielokrotnie więcej – pod kocem, na którym leżymy sobie na plaży, żyją miliony organizmów wielokomórkowych i zapewne miliardy jednokomórkowych. To właśnie one zżerają plażę. Naukowcy obliczyli, że metr kwadratowy polskiej plaży utylizuje rocznie, czyli rozkłada na wodę i dwutlenek węgla, 75 kilogramów materii organicznej. Więc dziennie na każdym metrze znika materia organiczna rozmiarów i wagi całkiem sporego kotleta schabowego.

PCHŁA SPRZĄTACZKA

Mikroskopu nie potrzebujemy, by zobaczyć jedno całkiem spore zwierzątko. No, może przyda się lupa, jeżeli chcemy je dokładnie obejrzeć. To oczywiście pod warunkiem, że uda się nam je odnaleźć, a to nie będzie takie proste. Ruszamy na poszukiwanie zmieraczka plażowego. Uwaga, przyda się latarka, bo tropimy nocą!

Warto jeszcze za dnia zlokalizować miejsce, gdzie morze wyrzuciło trochę glonów albo inne części roślin, bo tam będziemy szukać. Zmieraczki to czyściciele plaż. Dzień spędzają zagrzebane na głębokości kilkunastu centymetrów, a nocą wychodzą z piasku i zaczynają „sprzątać”, czyli zjadać wszystko, co fale wyrzucają na brzeg. Ich przysmakiem jest celuloza, choć trawienie celulozy wśród tak małych organizmów jest raczej niespotykane. Zmieraczek zjada drewno, gałęzie, liście, nawet papiery.

Poznacie go od razu, bo to całkiem spory skorupiak osiągający 2-3 centymetry długości, ze śmiesznymi oczkami. Trochę przypomina z kształtu konika polnego i podobnie skacze – daleko i wysoko, bo nawet na metr – i dlatego zwie się pchłą morską. Kilkadziesiąt lat temu było to zwierzątko bardzo pospolite na polskich plażach – na każdym metrze kwadratowym żyło sobie nawet kilkaset zmieraczków. Dziś występują tylko tam, gdzie jest mało ludzi, z dala od zejść na plażę – tam gdzie nasze deptanie nie wyrządza im krzywdy. Niestety, zmieraczek jest za duży, by ukryć się między ziarnami piasku i nie zostać zdeptany.



Biegus zmienny kiedyś gnieździł się na naszym wybrzeżu, dziś bywa tu przelotem

PRZYSTANEK PLAŻA

Wiem, wiem, pora na coś większego niż pierwotniaki i trzycentymetrowe zmieraczki. Może więc ptaki i ich wędrówki? Myślicie, że coś mi się pomyliło, bo jesień to czas ptasich wędrówek, a nie lato. To prawda, ale są ptaki, które muszą zacząć podróż nieco wcześniej. Przecież nasz lipiec albo sierpień to w Arktyce początek jesieni. A jeżeli ma się przed sobą taką drogę jak piaskowce, które lecą z Arktyki do wybrzeży Afryki, to trzeba się gdzieś zatrzymać. Czasami na taki przystanek wybierają nasze wybrzeże, i to właśnie w środku lata. Zresztą nie tylko piaskowce, ale również biegusy zmienne, biegusy rdzawe, kamuszniki, szlamniki rdzawe, siewnice i biegusy krzywodziobe. Podróżują z Syberii lub Skandynawii, ale także z bliższych okolic, jak na przykład lecące ze wschodniego Bałtyku ostrygojady, które

przypominają takie minibociany czarne.

Czy trudno podglądać tych ptasich wędrowców? Bywają bardzo płochliwe, ale czasami zachowują się, jakby człowiek ich w ogóle nie obchodził. By zrobić im dobre zdjęcie, wystarczy przykryć się siatką maskującą, a czasami nawet w ogóle nie trzeba się maskować.

Dlaczego nie należy pić słonej wody?

Słona woda to jedna z pierwszych rzeczy, jaka powstała na naszej planecie. Miliardy lat temu zaczęła wypełniać oceany, które były zupełnie innego kształtu niż obecnie. Było to tak dawno temu, że jeszcze nie było życia na Ziemi, a skały dopiero się formowały. Możemy tylko przypuszczać, że słona woda stała się słona, ponieważ deszcze wymywały cząstki sodu, chlorku, glinu oraz magnezu i kilku innych pierwiastków i minerałów z powstających właśnie skał.

Skąd wiemy, że tak było, skoro nas nie było? Otóż cała morska woda na świecie ma bardzo podobny albo wręcz identyczny skład pierwiastków. Oczywiście w niektórych morzach, takich jak Bałtyk, tę słoność czuć mniej niż na przykład w oceanach. W Bałtyku, który jest morzem zamkniętym, do którego trafia sporo wody słodkiej z rzek, zasolenie nie jest duże i wynosi 7-8 jednostek PSU (które oznaczają miligram soli na litr wody), ale w innych oceanach zasolenie przekracza nawet 30 PSU.

Wypicie takiej wody oznacza, że nie gasimy pragnienia, ale wręcz przeciwnie – chce nam się bardziej pić. Ponieważ woda morska jest bardziej słona niż woda w komórkach naszego organizmu, to będą się one odwadniać. Wielu rozbitków straciło przez to życie. I pamiętajcie, by oszczędzać wodę, bo woda słodka, którą możemy pić, to zaledwie około 3 procent wodnych zasobów na świecie.



PTAK JAK KOSMONAUTA

Szczególnie ptaki z Syberii niezbyt boją się ludzi. Warto się im przyjrzeć nie tylko dlatego, że pochodzą z dalekich okolic, ale również dlatego, że są to naprawdę najbardziej wytrwali wędrowcy w świecie ptaków. Te maluszki ze smukłymi nogami i długimi dziobkami nie mogą szybować. By lecieć, niemal cały czas muszą ostro machać skrzydłami, a trasy, które pokonują, są naprawdę rekordowe. Żyjące na półwyspie Tajmyr biegusy rdzawe co roku lecą do Mauretanii i Afryki Południowej, a gdy nadchodzi wiosna – z powrotem. W ciągu 20 lat swego życia taki biegus przelatuje dystans, jaki dzieli Ziemię od Księżyca, i z powrotem, czyli 800 tysięcy kilometrów!

Nieźle są też osiągnięcia szlamników rdzawych, które żyją we wschodniej

Syberii i na Alasce – lecą na swe zimowiska wyjątkowo daleko, bo aż do Nowej Zelandii. Rekord najdłuższego nieprzerwanego ptasiego lotu należy właśnie do samicy szlamnika rdzawego zaopatrzonej w nadajnik satelitarny, która 30 sierpnia 2007 roku wystartowała z Alaski i po ośmiu dniach i pięciu godzinach nieprzerwanego lotu pokonała liczącą ponad 11 tysięcy kilometrów trasę do Nowej Zelandii.

Co jest potrzebne do takich wojaży? Oczywiście paliwo, czyli tłuszcz, który dostarcza energii. Zapasy tłuszczu u niektórych siewkowatych stanowią przed podróżą około 45 procent masy ciała. Biegusy rdzawe ważą wtedy niemal dwa razy więcej niż normalnie. Ale sam tłuszcz nie wystarczy. Przed wędrówką zaczynają im więc także przyrastać mięśnie piersiowe i mięśnie serca, w tym samym czasie wiele organów ulega zmniejszeniu, na przykład te, które w czasie lotu nie będą do niczego potrzebne, czyli jelita i żołądek.

Jedna dziesiąta masy biegusa rdzawego przypada na żołądek. Zmniejszenie go o połowę pozwala zatankować 5 procent więcej tłuszczu. Oczywiście nie następuje to od razu, żołądek jest przecież niezbędny do otłuszczania się. Szlamniki rdzawe, które objadają się średnio przez trzy tygodnie, zwiększają masę żołądka o 30 procent w ciągu pierwszych dziesięciu dni obżarstwa, by w ciągu następnych dziesięciu zmniejszyć go o 20 procent. Dlatego ptaki, które zobaczycie, choć na chłopski rozum powinny się zajmować jedzeniem na przystankach w czasie podróży, wcale nie będą tego robiły. Mają tak skurczone żołądki, że potrzebują trochę czasu, by ich układ pokarmowy po wędrówce wrócił do normalnego stanu. Gdy widzę takie odpoczywające biegusy, to zawsze się zastanawiam, na ile mogę się zbliżyć z aparatem, by nie płoszyć i nie przeszkadzać im w regenerowaniu. Myślę, że zamiast zbliżać się do ptaków i je straszyć bez powodu, lepiej po prostu zacząć się tak, by im nie przeszkadzać, ale by widzieć, jak wyciągają z piasku różne bezkręgowce.

WIELKI FOCZY BŁĘKIT

Raz na zawsze przestałem twierdzić, że Bałtyk to nuda, gdy na maleńkich estońskich wyspach zobaczyłem stada fok. Głównie fok szarych, bo ich jest najwięcej w naszym morzu. W dodatku to największe foki! Samce, które mają takie końskie pyski, mogą ważyć nawet 300 kilogramów. Samice, które mają pyszczki przypominające psy, są o połowę mniejsze.

W Bałtyku żyje około 20 tysięcy tych fok. Swego czasu żyło ich pięć razy więcej, ale zostały wybite przez ludzi. Na estońskich wysepkach można zobaczyć grupy liczące kilkadziesiąt, a czasami kilkaset sztuk. Myślicie, że łatwo do nich podejść? Otóż najłatwiej jest podpłynąć. Foki szare są dość ciekawskie i gdy płynie się łodzią, potrafią się do niej zbliżyć nawet na kilka metrów.



Foki szare jeszcze niedawno były u nas rzadkimi gośćmi. Ale powracają na nasze wybrzeże – niewielkie stado żyje w Ujściu Wisły

W wodzie czują się jak... ryba w wodzie, bo przecież polują na ryby. Kiedyś foki jadły głównie dorsze, a teraz, gdy przetrzebiliśmy dorsze, w ich menu są głównie śledzie i szproty. Foki szare stosują strategię polowania podobną do wilków i także działają w grupie. Podobno potrafią płynąć tyralierą i zaganiać ryby do rybackich sieci (swoich oczywiście nie mają), a potem je z tych sieci wybierać.

Do podwodnych polowań foki są świetnie przystosowane. Nie chodzi tylko o to, że mają płetwy i opływowy kształt niczym łódź podwodna. Głównym problemem nurkujących ptaków i ssaków jest gospodarowanie tlenem i wielkie płuca na niewiele się tu zdają, bo te niczym balony tylko przeszkadzają w nurkowaniu. Ważniejsze jest to, co dzieje się z tlenem rozpuszczonym we krwi. Gdy naukowcy przyjrzel się fokom, okazało się,

że potrafią one „gospodarować” natlenianiem swoich organów. Otóż nurkującej foka serce niemal przestaje bić. Gdy foka szara zaczyna nurkowanie, jej serce bije z szybkością ponad stu uderzeń na minutę, ale już w trakcie nurkowania – tylko około sześciu razy. Krew z cennym tlenem przestaje być pompowana do nerek, układu trawiennego, bo wtedy większość natlenionej krwi otrzymuje mózg. To najbardziej tlenożerny organ i bez tlenu natychmiast by umarł. Ale nawet mózg foki „nurkuje” – obniża temperaturę, by zużywać jak najmniej tlenu.

JAK INDIAŃSKI TROPICIEL

Chyba wiem, co się wam teraz marzy – stado fok leżących na plaży i przewalających się z boku na bok, do których podejdziecie na parę metrów. Zgadłem? Jeżeli tak, to dlatego, że sam o tym marzę. Takie rzeczy dzieją się jedynie na filmach przyrodniczych. To oczywiście możliwe, ale daleko na Antarktydzie, gdzie foki nie miały za dużo kontaktu z człowiekiem i się go nie boją. Taki numer nie przejdzie z bałtyckimi fokami, które od tysięcy lat były prześladowane przez ludzi i są czujne jak wilki i rysie w jednym.

Aby zbliżyć się do wylegującej się foki, trzeba być cichym niczym indiański tropiciel. Podchodzić należy na czworaka albo czołgać się, bo na wysepkach, gdzie się wylegują, nie ma za czym się schować. Są płaskie jak stół. No i oczywiście bardzo trzeba uważać na kierunek wiatru – jeżeli wieje od nas, foka poczuje nas i pryśnie do wody. Tak jest na niewielkich wysepkach, czyli w Estonii, Szwecji lub Finlandii, bo w Polsce takich wysepek prawie nie ma. Jak będziecie mieli szczęście, to foki możecie zobaczyć na piaszczystych łachach przy ujściu Wisły, ale ponieważ to jest chyba jedyne miejsce w Polsce, gdzie foki mogą odpoczywać, to lepiej je obserwować z daleka przez lunetę. Niech mają spokój. Zupełnie co innego, gdy zobaczycie fokę na plaży. Wtedy zostawcie skradanie się. Zdrowa foka na plażę raczej nie wyjdzie. To, że jest na plaży, oznacza, że potrzebuje pomocy, jest chora, młoda lub osłabiona. Pierwszą rzeczą, jaką możecie zrobić, to poprosić wszystkich, by się do foki nie zbliżali na więcej niż kilkanaście metrów. Obecność człowieka to dla niej stres. Od razu powiadomcie o tym naukowców ze Stacji Morskiej na Helu – oni jej pomogą. Telefon do nich: 601 88 99 40 lub 58 675 08 36 – zapiszcie sobie koniecznie przed wyruszeniem nad morze.

Rośliny wydmy

Rośliny, które rosną na wydmach, muszą sobie poradzić z ruchomymi piaskami, wiatrem, solą i suszą. Taka honkenia piaszkowa z przypominającymi łuski zielonymi mięsistymi liśćmi wystaje zaledwie kilkanaście, rzadziej kilkadziesiąt centymetrów ponad piasek. Myślicie, że to maleństwo? To, co widzicie, to tylko część tej rośliny. Jej korzenie

sięgają kilka metrów w głąb, aż do miejsc, gdzie jest woda.

Bardzo ciekawe są wydmuchrzyca piaskowa i piaskownica zwyczajna, które należą do traw, ale w przeciwieństwie do traw z trawnika mają ostre i twarde liście. Tak te rośliny zabezpieczają się przed wiatrem i piaskiem. Piaskownica, gdy jest bardzo gorąco i grozi jej utrata wody, zwija liście w rurkę, bo wtedy traci mniej wody. A taki mikołajek nadmorski ze swymi fioletowymi kwiatami i kanciastymi liśćmi jest nie tylko dzielny na tej piaszczystej pustyni, lecz także bardzo piękny.



MORSKI PIRAT PIERWSZEJ KLASY

Mewy za to możecie obserwować bez problemu. Przyglądajcie się im bacznie, szczególnie tym dużym, takim jak mewa srebrzysta. W porównaniu z naszą głównie śródlądową śmieszką, co ma śmiejący się głos i czarny łeppek, to prawdziwy wilk morski i pirat. Kiedyś miałem okazję obserwować, jak na małej wysepce sterroryzowały wszystkie inne ptaki. Edredony, takie morskie kaczki, musiały twardo siedzieć na jajach, bo zejście groziło tym, że mewy zrobią sobie z nich posiłek. Maleńkie rudziki, choć zwykle nie znoszą swojego towarzystwa, siedziały zgodnie w zardzewiałym autobusie, który znalazł się na tej wysepce nie wiadomo skąd. I słusznie, bo jakby nie były zgodne, toby zostały pożarte. Same mewy srebrzyste, też siedzące w tym czasie na jajach, czekały tylko na błąd sąsiada lub sąsiadki, by podkraść mu przyszłego potomka. No, bandziory pierwsza klasa!

Strasznie lubię je za ten bandycki błysk w oku i za to, że nie dają sobie w kaszę dmuchać. Poza tym to niezwykle mądre ptaki. Podejrzewam, że inteligencją nie bardzo odbiegają od prawdziwych ptasich inteligentów, czyli ptaków krukowatych, takich jak wrony czy kruki. I myślę, że w miastach, do których właśnie wkraczają, będziemy mieli bardzo ciekawe starcie między mewami srebrzystymi a wronami, dotąd niepodzielnymi władcami miejskich deptaków.



Mewy są sprytne i mądre. Wystarczy im spojrzeć w oczy, żeby się o tym przekonać

Mewy są już prawie w każdym mieście na Wybrzeżu. Zakładają gniazda na gzymsach domów i dachach. Jedyną przewagę wron to chwytne łapy, ale już dziób mewa ma potężniejszy. Mewy srebrzyste kolonizują Polskę od północy, a od południa wkracza do nas przybysz z nad Morza Czarnego, czyli mewa białogłowa. Wygląda dokładnie tak samo jak mewa srebrzysta i tak na pierwszy rzut oka mało kto jest w stanie rozpoznać, która jest która.

Wiecie, jakie jest najlepsze miejsce na obserwację mew? Nie tylko plaża, ale również wysypiska śmieci. Tam roi się od mew i tam możecie spotkać nawet gatunki arktyczne, takie jak mewa blada. To dopiero gigant! W Arktyce polarnicy dla uciechy rzucają im całe kostki masła. I wiecie co? One ich nie rozdziobują, tylko w całości połykają! Przez parę sekund wyglądają bardzo śmiesznie, bo mają kanciastą, kwadratową szyję, ale potem kostka spływa w dół, a one już czekają na następną.

PUŁAPKA NA MRÓWKI

Na samej plaży za dnia toczy się też walka o życie. Masowo giną na niej owady zwiewane przez wiatr w kierunku morza. Znajdziecie tam całą masę biedronek i stonek, które nie za bardzo wiedzą, jak sobie z tą gigantyczną pustynią poradzić. Tam gdzie jest spokojnie i nie ma ludzi, czyha na nie trzyszcz piaskowy. Możecie go spotkać nie tylko na plażach, lecz także na wydmach i w piaszczystych lasach, czyli wszędzie tam, gdzie jest piasek.

Po czym go poznać? Jest malutki, bo ma około 2 centymetrów długości, bardzo wielkie oczy, długie nogi oraz wielkie i bardzo potworne żuwaczki. Najbardziej charakterystyczną jego cechą jest to, że biega z prędkością 9 kilometrów na godzinę. Jeżeli weźmiemy pod uwagę jego wielkość, to jest to prędkość całkowicie zawrotna. Naukowcy obliczyli, że trzyszcz wielkości człowieka biegałby 22 razy szybciej niż najlepsi sprinterzy olimpijscy. Na szczęście takiego wielkiego trzyszcza nie ma, bo zapewne polowałby na ludzi wylegujących się na piasku i nikt nie miałby żadnych szans na ucieczkę.

Uciec przed trzyszczem nie mają szans mrówki, chrząszcze, o larwach owadów, które zwykle są powolne, nie wspominając. Jak tylko jakiś owad znajdzie się w zasięgu jego wzroku, a trzyszcz ma ochotę na polowanie, to wynik jest jasny – owad ginie w potwornych szczękach w okamgnieniu.

Zupełnie inną strategię polowania wybrały kolejne piaskowe drapieżniki, czyli mrówkolwy, a raczej ich larwy. Nie spotkacie ich na plaży, bo tam za bardzo wieje i piasek zasypywałby ich pułapki. Musicie wybrać się nieco dalej – na wydmy albo gdzieś do nadmorskiego lasu, gdzie jest pełno piasku. Zresztą podobnie jak w przypadku trzyszcza nie musi to wcale być nad morzem. Konieczny jest tylko piasek.

Rozejrzyjcie się dokładnie w takim miejscu. Jeżeli zobaczycie lejki w piasku o średnicy kilku lub kilkunastu centymetrów, to właśnie trafiliście na śmiertelne pułapki. Na dole pod takim lejkiem czyha zakopana larwa mrówkolwa. Choć dorosły mrówkolew przypomina ważkę, to larwa jest dość brzydka, ma grubaśny odwłok, małeńki tułów i główkę oraz wielkie żuwaczki przypominające długie szczypce. Te szczypce to jest to, co wystaje na dnie lejka, a raczej pojawia się, gdy tylko larwa wyczuje drgania piasku wywołane przez nadchodzącą mrówkę lub innego owada nieświadomego zagrożenia czającego się w piasku.

Naukowcy odkryli, że przy odpowiednio grubym piasku, który dobrze przenosi drgania, larwy już z odległości ponad 10 centymetrów wiedzą, że ktoś się zbliża. To ogromna odległość, bo sama larwa zwykle nie ma więcej niż centymetr. A gdy biedna mrówka trafi do lejka, jest już po niej. Nie dość, że ściany są strome, to jeszcze larwa ostrzeliwuje ją ziarenkami piasku. Rzuca tak celnie, że ofiara spada na dół. Gdy to się stanie, larwa chwytą ją i wciąga pod powierzchnię. Uff... Prawda, że przerażające?



Trzyszc piaskowiec to jedno z najszybszych zwierząt na naszej planecie

PAN RYBA ZASZEDŁ W CIĄŻĘ

Rozpisałem się o plażach i piasku, a ani razu nie zeszliśmy do morskiej wody. Nie zamoczyliśmy nawet nogi. Tak być nie może i teraz to zrobimy. Nie będziemy wcale wchodzić głęboko, bo najciekawsze rzeczy w Bałtyku dzieją się na płytkich wodach.

Chodzi mi o podwodne łąki. Kiedyś rosły nieco głębiej, ale coraz większa ilość różnych zawieszin powoduje, że światło nie dociera już tak głęboko, a podwodne łąki, jak wszystkie łąki, potrzebują światła. Więc możecie je zobaczyć całkiem blisko, bo na głębokości metra. Nie oddalajcie się zbyt od brzegu i założcie maskę lub okulary do nurkowania (przedtem przemyjcie je wodą morską, żeby wam nie zaparowały). Nabierzcie powietrza i chlup pod wodę. Widzieliście kiedyś filmy o morskim podwodnym świecie? W tych filmach występowały śmieszne ryby, które mają ryjek przypominający koński pyszczek i w ogóle wyglądają niczym konik szachowy i z tego powodu nazywane są konikami morskimi. Koników morskich u nas nie ma, za to żyje coś, co jest z nimi blisko spokrewnione. To iglicznia. Poznać ją bardzo łatwo, właśnie po ryjku przypominającym rurkę, który jest wypisany wymaluj jak u koników morskich.

Ciało iglicznia jest wężowate (a nie powyginane jak u konika morskiego)

i może mieć nawet 30 centymetrów długości. Nazwa tej ryby wzięła się od igły. Iglicznice są długie i cienkie, dzięki czemu wyglądają jak jakaś łydyga. Ta ciekawa rybka potrafi też dostosowywać kolor do koloru roślin, w czym bardzo przypomina kameleona. Musi się maskować, bo bardzo wolno pływa. Jej główny napęd stanowią płetwy piersiowe oraz płetwa grzbietowa. Taki napęd nie daje wielkich prędkości i ucieczka przed drapieżnikiem wcale nie jest taka łatwa.



U iglicznice, podobnie jak u innych koników morskich, to samiec „zachodzi w ciążę”

Najciekawszy u iglicznice jest sposób rozmnażania się. To samiec przechodzi coś, co można nazwać ciążą. Samiczka składa samcowi jajeczka do specjalnej torby utworzonej z fałdów skórnych. Pani iglicznica, „produkując” jajeczka, ponosi wielki wydatek energetyczny i dlatego potem to samiec przejmuje opiekę nad potomkami. Po kilku tygodniach z torby wydobywają się młode iglicznice mające od 3 do 4 centymetrów długości.

To bardzo ciekawa, ale niestety rzadka rybka. Przez stosowanie sieci szorujących po dnie zniszczyliśmy podwodne łąki. Na szczęście powoli się one odradzają i macie coraz większą szansę na zobaczenie igliczni albo wężyńki. Jest podobna do igliczni, ale różni się od niej głównie tym, że pan wężyńka nie ma tej specjalnej torby na jaja i samica przykleja mu ikrę po prostu do brzuszka. W podmorskich łąkach zobaczycie też cierniki. Rybki z kolcami, co budują gniazda, ale to już zupełnie inna historia. Kiedyś ją wam opowiem. Obiecuję.



Z naszego punktu widzenia miasto to po prostu miasto i już. Tłum ludzi, samochody, autobusy i tramwaje oraz masa sklepów. Dla zwierząt miasto może być pustynią (asfaltowe drogi i betonowe chodniki), przedziwnym lasem (parki) albo górami pełnymi stromych ścian i wąwozów (budynki). Pomiedzy tym wszystkim jeżdżą samochodami albo pędzą na piechotę ich ukochane źródła pokarmu... czyli my, ludzie.

Oczywiście nie chodzi o to, że miejskie zwierzaki chcą nas zjadać. Nie zjada się przecież kury znoszącej złote jajka. Zwierzęta polują na to, co produkujemy, czyli co wyrzucamy albo sadzimy, by ozdobić nasze miasto. Zwierzęta korzystają ze wszystkiego, co otacza je w mieście – równie chętnie zaglądają do kosza na śmieci, jak i odwiedzają trawniki. Niczym szpiegdy baczenie obserwują każdy nasz ruch. Udowodnić wam to?

Kiedyś przeprowadziłem prosty eksperyment. Pod Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie, czyli w samym centrum miasta, gdzie tysiące ludzi śpieszy do autobusów, tramwajów i na Dworzec Centralny, kupiłem sobie hot doga. Niezbyt je lubię, ale to najbardziej naturalne pożywienie w tym rejonie Warszawy, zresztą takie było mi potrzebne do eksperymentu. By nie spalić swojej misji, ugryzłem kawałek, a resztę wywaliłem do kosza, tak jak to robią wszyscy, którym coś nie smakuje. Wystarczyło parę sekund, a już w koszu siedziała siwa wrona i wywalała gazety i różne śmieci w poszukiwaniu mojej bułki z parówką. Gdy ją znalazła, natychmiast chwyciła łup w dziób i odleciała. Powtarzałem eksperyment kilka razy i różnica była jedynie taka, że czasami wrony wydłubywały samą parówkę, a bułkę zostawiały. Wiadomo, parówka to białko zwierzęce, a za tym właśnie przepadają wrony.

To doświadczenie jest dowodem na to, że wrony nie grzebią w śmieciach bez sensu. Cały czas mają nas na oku. Siedząc na latarniach, budynkach

i drzewach, wciąż obserwują przechodniów. Jest ich sporo, więc muszą być bardzo uważne, żeby nie przegapić żadnej okazji. Miasto to góra pożywienia produkowanego przez ludzi. Wrony polują na parówki, gołębie żebrzą o chleb, a znowu na tłuste gołębie polują miejskie drapieżniki. Cały ten miejski ekosystem napędzamy my, ludzie. Wielką zaletą miasta jest mała – w porównaniu z lasami i łąkami – liczba drapieżników. No bo przecież nie ma wilków, rysi, jastrzębi, orłów, kruków czy sóweczek. Miasto ma też swoje wady. Gdy nagrzej się w lecie miejskie mury i dachy, to jest tu gorąco i sucho niczym na najprawdziwszej pustyni skalistej. Dlatego wiele zwierząt wychodzi na miasto dopiero, gdy zapada zmrok.



Mam wielką sympatię do wron. Kiedyś jedną wychowałem i wiem, że to prawdziwi ptasi mądrale

PODBÓJ MIAST TRWA

W Polsce występują dwa gatunki kun – leśna, zwana tumakiem, i domowa, zwana kamionką. Mogę wam długo opisywać, jak rozróżnić jedną od drugiej – po wielkości (kuna leśna jest nieco większa, ale obydwie ważą od 1 do 2 kilogramów), kolorze (leśna ma ciemniejsze futro, za to domowa ma jaśniejszy, biały śliniak, czyli plamę na piersi, a leśna – taką raczej żółtą). To wszystko jednak są cechy, które mogą umknąć naszej uwadze, bo to szalenie szybkie zwierzątka.

Tak naprawdę najważniejszy jest kształt śliniaka, czyli tej białej plamy. Otóż u kuny domowej jest on bardziej wydłużony i zachodzi częściowo na przednie łapki. A najpewniejszym znakiem rozpoznawczym jest kolor nosa. U domowej jest on różowy, u leśnej czarny. Żeby wam już zupełnie ułatwić zadanie, dodam, że w mieście kuny leśnej raczej nie znajdziecie. Gdzieś na przedmieściach wchodzących w lasy być może tak, ale widząc to stworzenie w samym mieście, możecie być raczej pewni, że spotkaliście kunę domową.

Kuna domowa pochodzi z południa Europy i związała się z człowiekiem dość dawno. Pewnie tysiące lat temu żyła sobie gdzieś w skałach i któregoś dnia zobaczyła, że te ludzkie budynki wyglądają podobnie. I jest ich coraz więcej! Skorzystała więc z okazji i zamieszkała na strychach.

Można ją też spotkać w stodołach i chlewach na wsiach, ale to miasto jest dla niej prawdziwym rajem. Chodzi nie tylko o kryjówki, lecz także o jedzenie. Miejskie menu jest bogate – masa gołębi, piskląt, jaj, ludzkie śmieci i gryzonie. Nie wiem, czy wiecie, ale właśnie gryzonie, a więc szczury i myszy, są tym, co kuny lubią najbardziej. Gdy trzeba zaciskać pasa, kuny nie mają też problemu ze zjedzeniem suchej bułki albo ogryzka. Zresztą owoce też bardzo lubią...

Jak zwabić kunę?

Kuny gonią jak szalone i można je zobaczyć tylko przez sekundę, a fajniejsze byłoby dłuższe spotkanie – czy to możliwe? Można spróbować zwabić je piskiem myszy. Ja zamykam usta i wciągając powietrze, przez zaciśnięte wargi wydaję delikatne piskocmoknięcia, na które kuny reagują całkiem nieźle. Jak się wam uda dobrze to zrobić, to kuna może podbiec całkiem blisko. Będzie wtedy ze zdziwieniem się przyglądać, co to za wielka mysz. Dobrze też są wabiki imitujące pisk myszy, które można kupić w sklepach myśliwskich. Zwykle dołączone są do nich płytki z nauką, jak należy popiskiwać, by zwabić lisa. Bo te wabiki są na lisy, ale na kuny też nieźle działają.



SAMOCHODOWA PROWOKACJA

Kuny to prawdziwe akrobatki. Potrafią się świetnie wspinać i wejść w najmniejsze szczeliny. Wdrapią się po chropowatym murze, a nawet rynnie. Jeżeli na strychu znajdziecie zgromadzone w jednym miejscu wałkowate odchody, to znaczy, że macie kuniego lokatora. Dowodami obecności kuny mogą być obgryzione resztki ptaków, na przykład skrzydła, albo skorupki jaj.

Zresztą jak macie w domu kunę, to doskonale o tym wiecie, prawda? Co prawda samce mają spore terytoria i mogą korzystać z kilku strychów, ale samice z młodymi raczej siedzą w jednym domu i potrafią tam nieźle narozrabiać. Co chwila dostaję listy od zrozpaczonych czytelników, którym kuny niszczą izolację w dachu, budując w niej gniazda i hałasując jak całe stado diabłów. Szczególnie młode, które przychodzą na świat w kwietniu i maju, uwielbiają się bawić i rozrabiać, gdy tylko trochę podrosną.

Jeżeli nie macie w domu kuny, a chcecie ją zobaczyć, nie macie wyjścia i musicie wyruszyć na miasto po zmroku. Zobaczyć kunę nie będzie łatwo. Najlepiej wybrać się na nie właśnie latem, bo wtedy trwają kunie gody. Są one pełne gonitw i pozorowanych, albo i nie, walk samców. Patrzcie na przemykające się zakamarkami koty. I jeżeli któryś z kotów będzie wyglądał dziwnie, bo będzie taki podłużny na krótkich jak na kota łapkach, to właśnie najprawdopodobniej macie przed sobą kunę.



Najbliższym kuzynem kuny domowej jest kuna leśna. Można ją poznać po czarnym nosie

Okres kunich zalotów jest przekleństwem dla kierowców w wielu miastach Europy Zachodniej, w Polsce także zaczyna narastać kunio-samochodowy problem. Chodzi o to, że kuny gryzą wszelkie kable w samochodowych instalacjach. Nie dlatego, że jakoś specjalnie im smakują. Kuny często znakują samochody substancjami zapachowymi oznaczającymi, że to terytorium już jest zajęte. Niestety, nie kojarzą, że samochody mogą się też przemieszczać i gdy taki samochód z zapachem jednego samca przejeżdża na terytorium innego, to dla prawowitego właściciela terytorium taka zapachowa wizytówka to potwarz i prowokacja. No więc gryzie on w złości, co popadnie, i często przegryza kable.

Jak wyprosić kunę z domu?

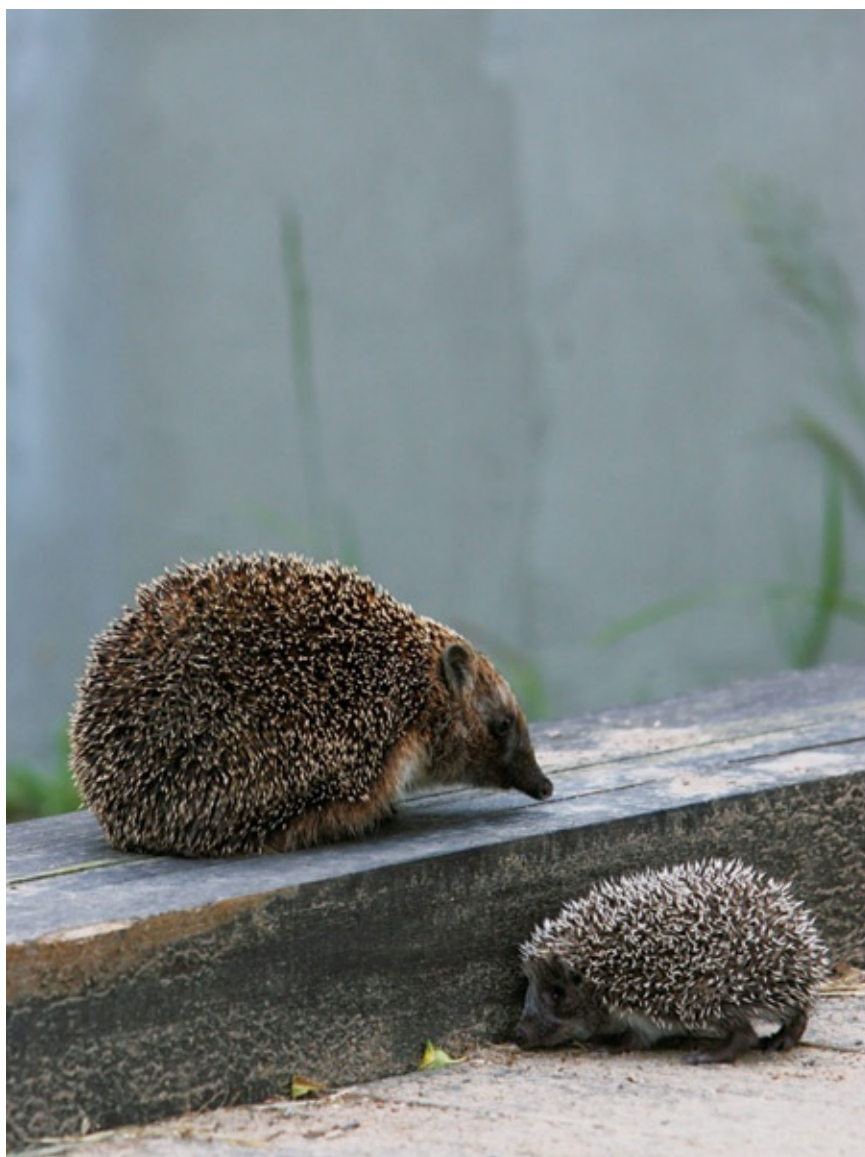
Piszę o tym, bo wiem, że wielu ludzi nie może z kuną wytrzymać. Podobno świetnie działają zapachy różnych drapieżników, takich jak wilki, rysie czy tygrysy. Ludzie z opanowanych przez kuny domów kiedyś ustawiali się w kolejce do ogrodów zoologicznych po obsiadaną ziemię z wybiegów drapieżników. Działało i kuny na jakiś czas się wynosiły, ale w końcu zabroniła tego inspekcja sanitarna z obawy, że przy okazji można roznieść różne pasożyty.

We Francji, gdzie kuni problem też jest dość poważny, płoszy się je za pomocą kulek z naftaliną, taką samą, jaką stosuje się przeciw molom. Rozkłada się je przy miejscach, gdzie kuny wchodzi na poddasze i najczęściej przebywają. Tylko że to jest działanie na krótko. Najlepiej więc uszczelnić dom tak, by nie mogły się do niego dostać. Ja na szczęście tego nie muszę robić, bo kuny mieszkają u mnie w stodole i bardzo się z tego cieszą, bo dzięki temu nie mam za dużo myszy.



ILE IGIEŁ MA JEŻ?

Szukanie w mieście jeży jest nieco łatwiejsze niż kun, ale wcale do prostych nie należy. Po pierwsze, na poszukiwanie wszelkich bezkręgowców, które są głównym pokarmem tych owadożernych ssaków, jeże wyruszają po zmroku. Jeżeli zobaczycie jeża za dnia, to został on raczej wypłoszony ze swojej kryjówki, niż wyszedł sam na przechadzkę. Gdy tylko zapadnie zmrok, jeże wychodzą na łowy i wbrew pozorom poruszają się bardzo szybko. Brytyjscy naukowcy stwierdzili, że mogą one w ciągu jednej nocy spenetrować teren o powierzchni od kilku do 25 hektarów. Dlatego przekonanie, że w naszym ogródku mieszka jeż, może być fałszywe, bo może to być kilka jeży, które co jakiś czas nas odwiedzają.



Jeże wędrują od jednego do drugiego ogrodu pokonując całkiem spore odległości

Gdy przeszukują teren swoimi długimi pyszczkami, nie są zbyt szybkie i poruszają się z prędkością około 3 metrów na minutę, ale gdy coś im grozi, potrafią zasuwać z szybkością 40 metrów na minutę, czyli około 2,4 kilometra na godzinę. Mówicie, że to niezbyt prędko? Tak, to prawda, że maszerujący człowiek idzie dwa razy szybciej, ale jeże nie muszą być szybsze, bo ich ofiary, takie jak ślimaki, dżdżownice, żaby, małe ptaki, nie wygrają z nimi. Owoce, które lubią jeże, też nie są szybsze...

Na wrogów te zwierzaki mają inny sposób, czyli oczywiście igły. Co ciekawe, jeże mają aż cztery rodzaje igieł. Pierwsze jeszcze przed urodzeniem, a ostateczne, które są na całe życie, pojawiają się, gdy jeż ma miesiąc, i rosną z nim całe życie. Zastanawiacie się, ile igieł ma jeż? Jeż wschodni, który żyje w większej części naszego kraju, ma ich około 6,5 tysiąca. Jeż zachodni, który zamieszkuje tereny przy granicy z Niemcami –

ponad 8 tysięcy.

NOWY PRZYJACIEL PSÓW I KOTÓW

Kiedy zobaczycie jeża, z łatwością będziecie mogli go obserwować i na pewno usłyszycie, jak śmiesznie chrząka. Szczerze mówiąc, byłem przekonany, że dla jeży nadejdą ciężkie czasy wraz z rozwojem motoryzacji. Szczególnie właśnie dla tych żyjących w miastach. Wiele z nich przecież ginie pod kołami samochodów. Tymczasem one całkiem dobrze sobie radzą. Może nauczyły się, jak przekraczać bezpiecznie drogi, a może mniej wędrują, bo odkryły nowe źródło pokarmu.

Od wielu czytelników wiem, że miejskie i podmiejskie jeże ostatnimi czasy zajęły się opróżnianiem psich i kocich misek z wszelkiego rodzaju karmy. Taki sposób na życie ma swoje wyraźne zalety. Jeż nie musi się nachodzić i naszukać, żeby się najeść. Przy michach z kocim lub psim jedzeniem możecie zobaczyć nie tylko pojedyncze zwierzaki, lecz także matki z młodymi. Czyli uwaga, gdy wasz kot lub pies zaczyna zjadać podejrzenie dużo, a w misce nigdy nie ma resztek, to znaczy, że macie gościa.

Letni karmnik

Latem zwierzaki nie potrzebują nas tak bardzo. Karmnik, który zimą był tłumnie odwiedzany przez ptaki, teraz świeci pustką. Nie ma się co zdziwić – wokół jedzenia w bród i człowieka z jego przysmakami można zignorować. Nie jest prawdą, że w lecie nie możemy zwierzakom oferować niczego, co by je interesowało. To oczywiście woda. Spróbujcie zacząć się przy leśnej kałuży, szczególnie w upał, a zobaczycie tam cały przekrój ptasiego towarzystwa. Drozdy i sikory, i grubodzioby, i nawet dzięcioły będą pić i się kąpać.

Podobne poidło możecie zrobić ptakom w ogrodzie. Wystarczy miska z odrobiną wody, a natychmiast pojawią się przy niej wróble, mazurki, szczygły i dzwońce. Uwaga! W misce powinno być mało wody, by ptak wielkości wróbla mógł stanąć na dnie, lub trzeba położyć patyczki, żeby gdy wpadnie, mógł się wydostać.



PTAKI, KTÓRE ŚPIĄ, LATAJĄC

Kiedy mieszkałem w Warszawie, uwielbiałem obserwować jerzyki. Cudne ptaki, które przypominają jaskółki, ale jaskółkami nie są. To te niemal

zupełnie czarne z długimi i cienkimi niczym sierp skrzydłami. Zresztą jeżeli znajdziecie się w miejscu, gdzie żyją jaskółki oknówki (małe, z białymi brzuskami i niewielkim wcięciem na ogonie), jaskółki dymówki (mieszkają w oborach i mają długie wcięte ogony) oraz jerzyki, to zobaczycie, że polują one na zupełnie różnych wysokościach. Najniżej dymówki, które latają niemal nad ziemią, potem nieco wyżej oknówki, a najwyżej jerzyki. Tak sobie podzieliły przestrzeń, a raczej tak występuje owadzia drobnica, która niczym plankton w wodzie unosi się w przestworzach.



Nie mam zdjęcia dzikiego jerzyka, bo gnieźdzą się w niedostępnych miejscach i latają bardzo szybko. Obfotografowałem je jednak, bo wychowaliśmy kilka

Z obserwacją jerzyków nie będzie problemów, bo rzucają się w oczy. A obserwować je warto, bo są najbardziej latającymi z latających ptaków w naszym kraju. Kontakt z twardym gruntem mają tylko wtedy, kiedy zwisają z jakiegoś muru. Co zwykle robią po to, by wejść w szczelinę

i założyć tam skromne gniazdo. Skromne, bo składa się z polepionych śliną żdźbeł i piórek. Wypatrzenie, gdzie jest wlot do takiego gniazda, jest prawdziwą sztuką, bo jerzyki potrafią wlatywać do niego z prędkością 70 kilometrów na godzinę!

Samica składa dwa-trzy jaja i po blisko trzech tygodniach wykluwają się młode. Pisklaki jerzyków to też fenomen, bo gdy zabraknie pokarmu i na przykład z powodu załamania pogody rodzice muszą gdzieś dalej odlecieć, zapadają w przypominający hibernację stan odrętwienia i tak są w stanie przetrwać głód.

Gdy młode po kilkudziesięciu dniach wylecą z gniazda na przynajmniej trzy lata, zupełnie tracą kontakt z twardym gruntem. Będzie tak do czasu, gdy dorosną i przyjdzie pora na założenie rodziny. Tak, jerzyki nawet śpią w powietrzu! Wzbijają się wtedy wyżej, niż polują – polują na wysokości od kilkudziesięciu do kilkuset metrów, a potrafią spać na 2 tysiącach, a nawet na 3,5 tysiąca metrów wysokości.

Szybkość też mają jerzyki zawrotną. W locie nurkowym osiągają nawet

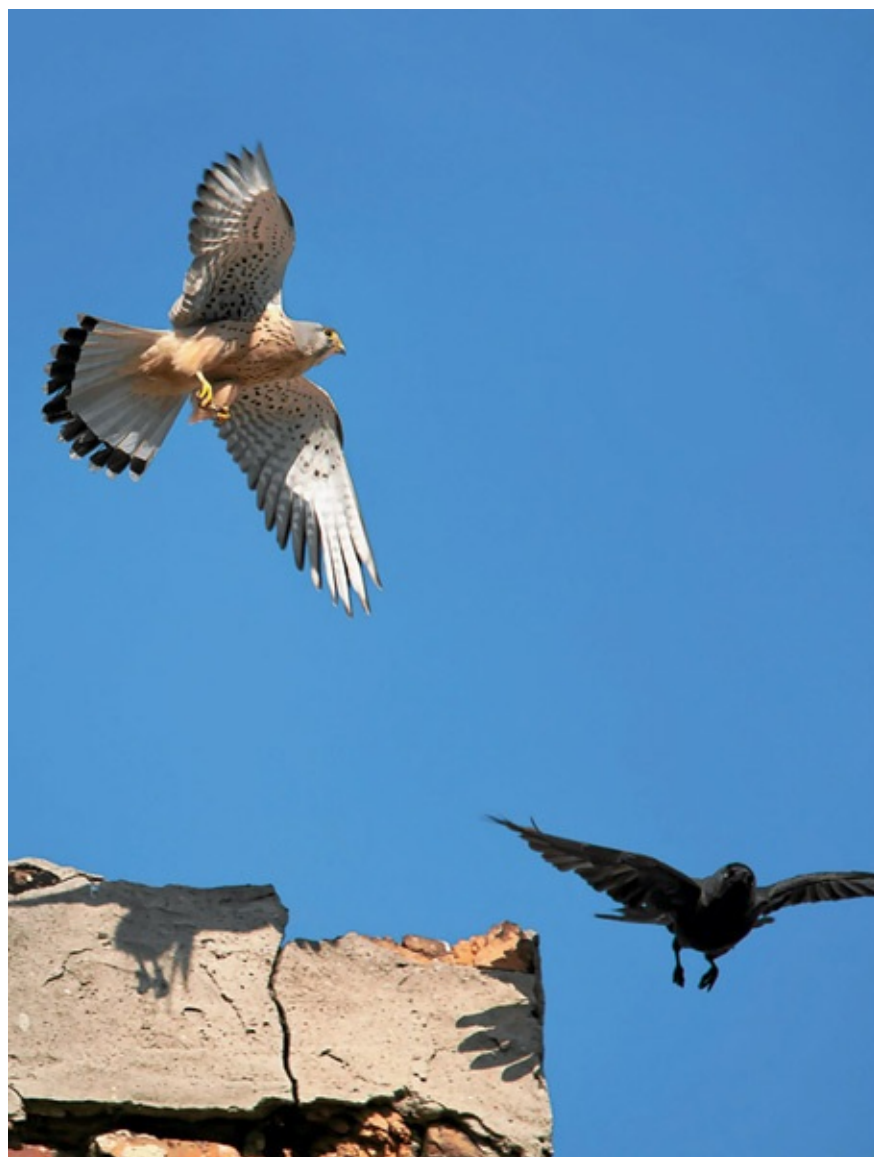
220 kilometrów na godzinę. Dużo? Otóż nasz jerzyk jest prawdopodobnie czwarty na liście. Tuż przed nim jest niewielki sokół kobuz, który potrafi pikować z prędkością 240 kilometrów na godzinę, a jeszcze szybszy jest większy od naszego jerzyk skalny, który zasuwą z prędkością 250 kilometrów na godzinę. Mistrzem świata jest jednak sokół wędrowny pikujący na swoje ofiary – uwaga! – z szybkością 320 kilometrów na godzinę!

WIELBICIELE MIEJSKIEJ ARCHITEKTURY

Chcecie takie sokołe pikowanie zobaczyć? Ja je widziałem w Tatrach. Coś niesamowitego. Szczególnie huk, jaki mu towarzyszy. Nie musicie jednak uganiać się za sokołami po Tatrach. Wystarczy zacząć się na nie w okolicach Dworca Centralnego w Warszawie.

Baczenie przyglądajcie się najwyższym kondygnacjom Pałacu Kultury i Nauki – sokoły mają gniazdo w pobliżu iglicy na 45. piętrze, jakieś 15 pięter powyżej tarasu widokowego. Dlaczego tak wysoko? Otóż sokoły wędrowne zawsze zajmują najwyższe w okolicy miejsce. Poza tym jest tam umieszczona specjalna skrzynka lęgowa dla nich.

W osiedleniu się sokołów w Warszawie pomogli naukowcy z Muzeum i Instytutu Zoologii PAN i sokolnicy, czyli myśliwi, którzy polują z ptakami drapieżnymi. To oni wypuszczali młode sokoły, aż jeden z nich, a raczej jedna z nich, pod koniec lat 90. osiedlił się na Pałacu Kultury. Do samicy dołączył starszy samiec i tak Warszawa odzyskała sokoły. W XIX wieku widywano je, jak polowały na gołębie na Krakowskim Przedmieściu. Potem jednak zanieczyszczenie środowiska sprawiło, że niemal wyginęły.



To niestety nie moje zdjęcie dwóch pięknych ptaków związanych z wielkimi ludzkimi budowlami:
pustułki i kawki

Jeżeli nie uda się wam zobaczyć sokoła wędrownego, to w polskich miastach na pewno wytropicie pustułkę, która uwielbia zakładać gniazda we wszelkich przewodach wentylacyjnych i jest kuzynką sokoła wędrownego. Na łąkach za miastem najłatwiej zobaczyć ją, gdy poluje, zwisając w powietrzu, ale w mieście najlepsze jest tropienie na słuch. Jak usłyszycie takie dźwięczne „ki, ki, ki”, to znaczy, że spotkaliście pustułkę.

No dobrze, ale co te wszystkie dzikie ptaki robią w mieście? Czy sokoły, pustułki, a nawet kaczki krzyżówki, które ostatnio nie tylko zakładają gniazda na trawnikach, lecz także na balkonach, zwariowały? Otóż nie. Taki balkon jest jak znajdująca się gdzieś wysoko półotwarta dziupla. Dla sokoła wędrownego i pustułki miejskie budynki to skały, a dla jerzyków – skały i dziuple. Jednym słowem – miasto daje nowe możliwości.

WOJNA GANGÓW TRWA

Nic dziwnego, że do miasta pchają się wciąż nowi przybysze i miejski tropiciel musi być gotowy na wszelkie niespodzianki. Są już lisy, a jenoty czają się na przedmieściach. W zachodniej Polsce do miast wkrótce wejdą szopy pracze, bo to już stało się w Niemczech. W naszych miastach za to mieszkają dziki. Śpią sobie w krzakach, a gdy zapada noc, cicho ruszają buszować w śmietnikach i ryć w trawnikach. Do miast przybyły także wielkie gołębie grzywacze i zwykłe pospolite gołębie zyskały konkurencję.

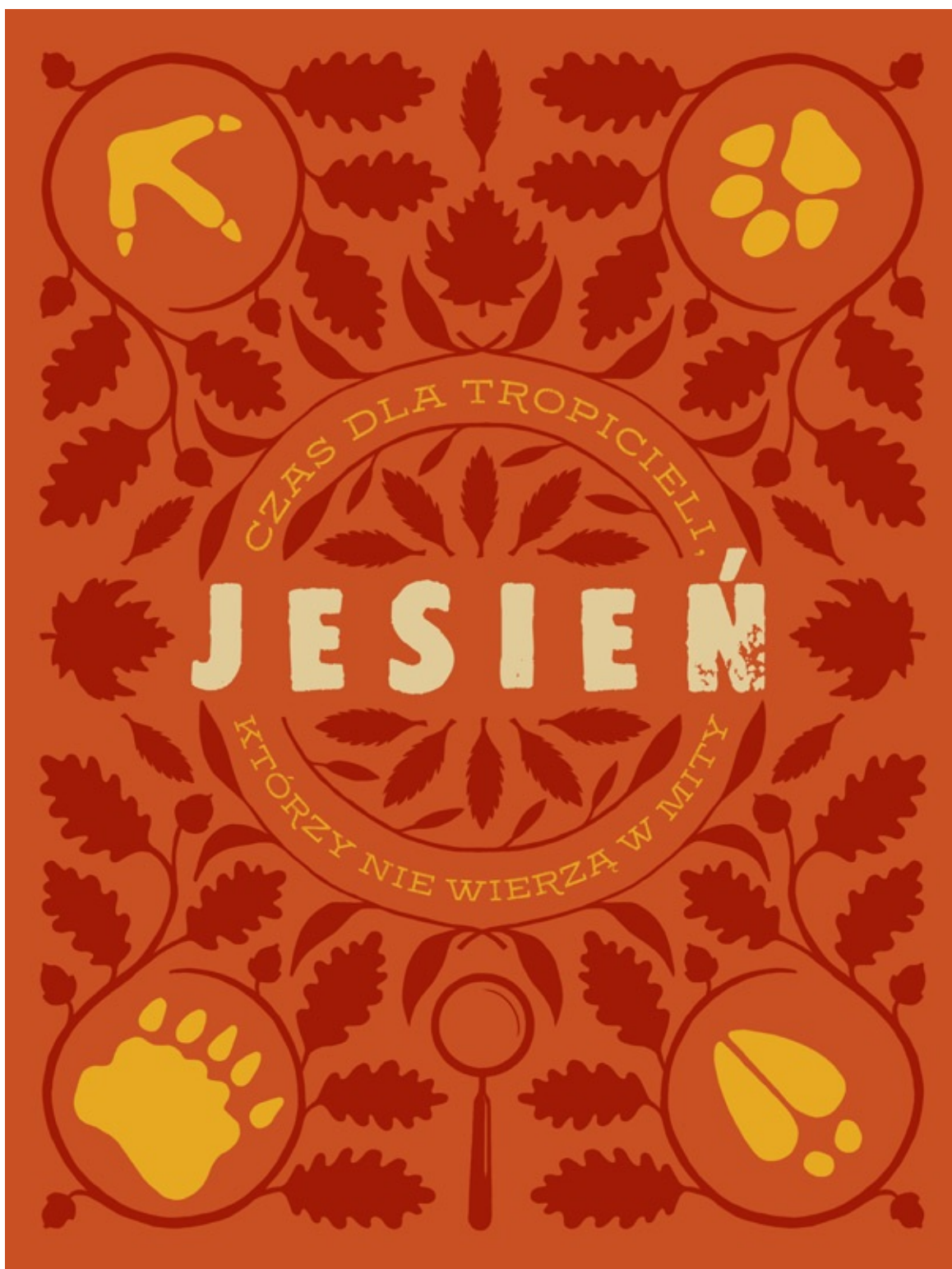


Spotkanie z miejskimi lisami nie jest rzadkością, choć rzadko ma miejsce za dnia

Prawdziwe zamieszanie panuje jednak wśród miejskich ptaków krukowatych. Często przypomina to walkę gangów. Przez setki lat w miastach jedynymi przedstawicielami krukowatych były kawki. Ich klany mieszkaly sobie w kominach, na dachach i rządziły okolicą. A potem pojawiły się sroki, większe i silniejsze. Gdy już myślały, że miasto należy do nich, wtedy ze wsi przeprowadziły się wrony siwe, które nawet dzielnej sroce potrafią rozebrać gniazdo i wyjeść jaja lub pisklęta. Jakby tego było mało, doszły jeszcze sójki, które z ptaków leśnych stają się coraz bardziej miejskie. To koniec zamieszania? Nic z tych rzeczy. Myślę, że w końcu do miasta wrócą kruki, które w średniowieczu miały się w nich całkiem dobrze, i wtedy wrony stracą swoją pozycję.

Zwierzaki przenoszą się do miast, bo są one pełne pokus – tyle tu nowych

miejsc do wychowywania młodych i pełno jedzenia. To jednak nie tylko ziemia obiecana. Miejskie ptaki muszą głośniej śpiewać, by przekrzyczeć hałas, i niektóre z nich, takie jak kosy, które żyją w mieście w większym tłoku, są o wiele bardziej nerwowe niż ich leśni kuzyni.



Pisałem wam, że latem tropić zwierzaki jest naprawdę trudno. W lesie jest gęsto i niczego nie widać. Zwierzęta przed upałem chowają się najgłębiej, jak mogą – gdzieś w bagnie lub cieniu, gdzie nie sposób je wypatrzyć. Lato to czas dla wytrwałych tropicieli. Jesień to czas dla tropicieli, którzy nie ulegają mitom.

Bo co większość ludzi myśli o jesieni? Że coś się kończy – bo ptaki odlatują, bo opadają liście. Większość z was nie lubi jesieni, bo przecież dobiegły końca letnie wakacje i pora iść do szkoły. Jesień to schyłek, koniec i trzeba czekać aż na wiosnę, by nastąpiło odrodzenie. No więc to są mity.

Owszem, niektóre ptaki odlatują, ale wiele przylatuje. Liście opadają – i bardzo dobrze, bo nareszcie w lesie coś będzie widać. Wakacje będą znowu za rok i nie ma się co martwić. Mnie jesień wcale nie kojarzy się z końcem czegoś. Wręcz przeciwnie – dla mnie jesień to feerie barw. Sami musicie przyznać, że nie ma bardziej kolorowej pory roku.

Gdy myślę o jesieni, to myślę o obfитоści owoców i nasion oraz o niespotykanym o żadnej innej porze roku obżarstwie! To jesienią jak szalone opychają się dziki, żubry i niedźwiedzie, nornice, myszy, popielice, gęsi i żurawie... Jesień to też czas na miłość. Myślicie, że coś mi się pomyliło, bo wszyscy wiedzą, że zwierzakom przychodzi ochota na miłość wiosną? Mylicie się! Kozicom, żubrom, łosiom, jeleniom, niektórym nietoperzom oraz pająkom na zaloty zbiera się właśnie jesienią. Gdyby nie jesienne gody, wiosną wiele zwierzaków nie miałoby dzieci. Jesienią jest więc co tropić i podglądać. W świecie przyrody aż kipi, bo wszyscy przygotowują się do nadchodzącej zimy.

Kiedy zaczyna się jesień? Ta kalendarzowa – gdy noc robi się dłuższa niż dzień. Taka tropicielska może się zacząć wcześniej, bo jeszcze w sierpniu, wraz z odlotem bocianów, albo na początku września, gdy zaczną ryczeć jelenie. Jesień może być ciepła niczym lato, ale bez tej letniej parności i duchoty. Może też być mokra, mglista i tajemnicza. Jesień jest chyba najbardziej różnorodną porą roku.

Dla prawdziwych tropicieli jesień to cała masa atrakcji. Nie zrażajcie się nawet najokropniejszą częścią jesieni, czyli czasem, gdy na przełomie listopada i grudnia jest mokro, zimno i ciemno, a na dodatek wszyscy są przeziębieni i mają co najmniej katar. Nawet w łóżku można być tropicielem – tropicielem przygotowującym się do nadchodzącej zimy. Poza tym tą nieprzyjemną częścią jesieni nie ma co się przejmować, bo zaraz spadnie śnieg, złapie mróz i zacznie się zima – raj dla tropicieli.



Jesienne mgły na łąkach przed naszym domem



Jesienne łąki z pozoru mogą wyglądać nieciekawie. To prawda, że w porównaniu z letnimi są mniej kolorowe, bo letnie rośliny kończą kwitnienie. Są jednak wyjątki! Na podgórskich łąkach można teraz zobaczyć zimowita jesiennego, kwiat przypominający krokusa. No i pięknie kwitną wrzosi. Rzeczywiście, wiele tego nie ma, ale jesień to uczta dla tropicieli, bo w tych przekwitających roślinach, które wyglądają jak nudne, zeschnięte badyle, jest pełno życia.

Na jesiennych łąkach uwijają się gryzonie i owady. Nad łąkami słyszeć pasikoniki i unoszą się motyle, a także – co najważniejsze – łąki są pełne pajaków, które rosły przez całą wiosnę oraz lato i właśnie teraz są największe i najładniej wyglądają.

Dzień był gorący, prawie letni. Zadarłem głowę i aż otworzyłem usta z zachwytu. Na tle niebieskości nieba błyskały srebrne nitki. Zapewne gdybym miał sokoli wzrok, to dostrzegłbym na ich końcach niewielkie pajaczki. Te nitki, które nazywamy nitkami babiego lata, to znak, że prawdziwe lato się skończyło, ale nie ma co rozpaczać – jesień w przyrodzie to jest dopiero to!

Młode pająki zaczynają podróż, gdy jest jeszcze ciepło. Zanim to zrobią, budują platformę startową lub wychodzą na wysokie rośliny. Tam odwracają się odwłokiem tak, by owiewało go powietrze, i zaczynają produkować przędzę, którą od razu porywa wiatr. Nic produkują tak długo, aż poczują, że swobodnie je uniesie, wtedy dopiero puszczają się i unoszą w powietrze. Gdzie lecą? Otóż takim środkiem transportu nie da się sterować i pająki mogą wylądować w zupełnie dziwnych miejscach. – Podróżujące pająki znajdowano nawet na szczytach Himalajów – opowiadała mi doktor Marzena Stańska z Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach. Marzena bada pająki, czyli jest arachnologiem. Dzięki niej

dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy o tych niezwykle interesujących bezkręgowcach.

O tym, że mogą lecieć wysoko, sam się przekonałem. Srebrne nitki były tak wysoko, że ledwo je widziałem, gdy stałem sobie na przełęczy Liliowe w Tatrach, czyli na wysokości blisko 2 tysięcy metrów nad poziomem morza. Ciekawe, skąd wystartowały te pajęczki i czy zdawały sobie sprawę, że lecą właśnie nad Tatrami.

PAJĄK TO PAJĄK, A NIE OWAD!

Wczesna jesień najbardziej kojarzy mi się z pajakami. Polecam wam wyjście na taką wczesnojesienną łąkę zaraz po tym, jak ustąpi mgła. Dzięki kropelkom rosy, które osiadają na pajęczych sieciach, widać je znakomicie. Niektóre wyglądają jak naszyjniki pełne pereł lub brylantów. Przepiękny widok! A gdy nieco się ociepli i rosa zniknie, a na łące zaczną cykać pasikoniki, pojawią się dorosłe pająki. Uwierzycie lub nie, ale to jedno z najciekawszych stworzeń, jakie mieszkają na naszej planecie.

Wczesna jesień jest świetnym czasem do podglądania pajaków z wielu powodów. Najważniejszy to chyba ten, że pająki, które rosły przez całą wiosnę i lato, są już teraz duże i bardzo dobrze widoczne. Zanim jednak pójdziemy je tropić, opowiem wam, czego się o nich dowiedziałem.

Otóż najczęściej są one mylone z owadami, a przecież rozróżnić te grupy bezkręgowców jest bardzo łatwo. Na pewno wiecie to ze szkoły, ale na wszelki wypadek przypomnę, że pająki mają osiem nóg, po cztery z każdej strony, a owady – sześć, po trzy z każdej strony ciała. Owady mają wyraźną głowę, a pająki – głowotułów, czyli głowę, która jest zlana z tułowiem. Wreszcie owady mają jedną parę oczu, a pająki mogą mieć ich całkiem sporo. Mieszkające w naszym kraju gatunki mają albo sześcioro, albo ośmioro oczu! Nieźle, prawda?

JAK KAMELEON I KOT, CZYLI PAJĘCZE SZTUCZKI

Są też pająki, które mają zupełnie nieprawdopodobne umiejętności. Taki bagnik, nasz chyba największy pająk – jego głowotułów z odwłokiem ma czasami ponad 2 centymetry – biega po wodzie! Bagnik jest jedynym polskim pajakiem, który potrafi upolować kręgowca, bo poluje na małe rybki. Rozsnuwacz plujący strzela w ofiary siecią nasączoną jadem i łapie je niczym na lasso. Spokojnie, jego ofiarą padają głównie komary.

Nie wszystkie pająki czają się na swoje ofiary w sieciach – niektóre polują nocą (te mają jedną parę oczu wyraźnie większą od pozostałych), są też takie, które skradają się do ofiary niczym koty. Tak robią skakuny – niewielkie, krępe pająki. Z kolei kwietniki potrafią zmienić barwę, by ukryć się w kwiecie i stamtąd polować na niespodziewające się niczego ofiary. Niektóre pająki budują jednorazowe sieci. Sieć przątnika wygląda jak

wycinek tej normalnej, którą znacie z zakurzonych piwnic. Ma ona tylko trzy punkty zaczepienia – jednym z nich jest sam pajak. Gdy jakaś ofiara wpadnie w pułapkę, przątnik schodzi po swojej nici, a sieć się zapada, dokładnie tak samo jak sieć rybacka, gdy wpada do niej ryba. Po każdym takim polowaniu pajak musi wybudować nową sieć.

Życie pajaków jest bardzo pracowite, bo zawsze, gdy już wybudują sieć, to coś w nią wpada. Nie martwcie się, niewiele się marnuje. Pajęcza przędza zbudowana jest głównie z białka i zniszczoną pajaki po prostu zjadają. No tak, w przyrodzie nic się nie marnuje.



Pajaki mają osiem kończyn i głowę zrośniętą z tułowiem

Zanim opowiem wam o pajakach, które robią wielkie i efektowne sieci na łące, muszę wspomnieć, że czasami sieć staje się pułapką dla jej właściciela za sprawą guzonia pajęczarza, czyli pajaka, który poluje na inne pajaki. Podchodzi on do sieci swojej ofiary i lekko nią porusza. Gdy zaniepokojony właściciel przybiega, by zobaczyć, co takiego się dzieje, guzoń kąsa go i zjada. Aby zjeść ofiarę, pajaki wbijają szczękoczułki w jej ciało i wpuszczają specjalne enzymy, które rozpuszczają wszystko w środku, i taką pożywną zupkę wypijają.

NAJLEPSI RODZICE DBAJĄ O KOKONY

Pajęcza sieć służy także do osnuwania kokonów, czyli zbiorniczków z jajami, z których rodzą się małe pająki. Niektóre pająki są bardzo troskliwymi rodzicami i nie zostawiają młodych na pastwę losu, ale noszą je ze sobą i bardzo się nimi opiekują. Tak robi darownik przedziwny. Zanim jednak w rodzinie pojawią się dzieci, samiec musi postarać się o względy ukochanej i przynosi samicy prezent ślubny – pięknie opakowany w przędzę posiłek. Gdy samica sobie je, samiec nie próżnuje i efektem są jaja, które samica nosi potem w kulistym kokonie. Trzyma je w szczękoczułkach – jak widzicie, przypominające trochę wielgachne zęby szczękoczułki wcale nie służą tylko do kłania, polowania i wysysania ofiar.



Pajęcze sieci są misterną konstrukcją zbudowaną z białka

Inne gatunki pajaków często noszą kokon pod odwłokiem – tak robią samice niektórych gatunków pogońcowatych. Gdy z jakichś powodów taka mama straci kokon z potomstwem, z rozpaczy znajduje sobie coś, co go

zastępuje. Może to być kawałek drewna, kłębek futra lub coś innego, co kształtem i wielkością przypomina kokon.

Wypalanie traw

Jesienią i wczesną wiosną możecie zobaczyć płonące łąki lub trzciny. Zwykle z daleka widać tylko dym, ale gdy się zbliżycie, to zobaczycie szalejące czerwone języki ognia. Większość tych pożarów to efekt umyślnych podpaleń. Są ludzie, którzy wierzą, że na miejscu spalonych traw lub trzin wyrośnie im śliczna zielona trawka. Trawka i tak by wyrosła, a podczas pożaru ginie wszystko inne. Przetrwać pożaru nie mają szans kokony z małymi pajęczkami lub modliszkami.

Ginie życie nie tylko na powierzchni, ale też pod powierzchnią – tam, gdzie jest dużo suchych roślin, temperatura ognia może być bliska 1000 stopni Celsjusza i zabija dżdżownice, które znalazły się pod powierzchnią. Dym dusi trzmiele i mrówki, które chcą prezimować w norkach. Gina też często ludzie, którzy trawy podpalają. Przy zmieniającym się wietrze ogień zakreca i potrafi pędzić jak szalony, a uciec przed takim żywiołem jest trudno.

Nigdy nie próbujcie gasić sami pożarów. Zostawcie to strażakom! Straż i służby leśne, by rozprawić się z takim pożarem, używają narzędzia zwanego tłumicą. To coś w rodzaju giętkiego wiośła na bardzo długim kiju i o bardzo dużym piórze (pióro to ta część wiośła, którą częściowo zanurzamy w wodzie). Takim czymś – na odległość! – walczą dopiero z płomieniami.

Gdy jednak z jakichś powodów musicie poradzić sobie z pożarem sami, to najlepiej gasić ogień, przyduszając go dokładnie tak samo jak strażacy. Nie będziecie mieli pod ręką kubła i wody, ale łopata lub kurtka wykonana z naturalnych materiałów (syntetyk się momentalnie zapali!) może wam w tym pomóc. Można też mocno uderzać w ogień gałęziami. Pamiętajcie tylko o tym, by były to gałęzie drzew liściastych, i to świeże, bo sucha gałąź – a już na pewno gałąź świerka lub sosny! – momentalnie się zapali.



TYGRZYKOWE ZDOBYWANIE POLSKI

Dobrze, dość tych opowieści o dziwnych pajakach. Idziemy poszukać pajaków, które najbardziej odpowiadają naszym wyobrażeniom o tych zwierzętach, czyli mają kolorowe grubaśne odwłoki, długie nogi i budują duże efektowne sieci. Tak jak na przykład krzyżaki.

Wbrew pozorom nie jest to jeden gatunek, ale cała grupa pajaków. Mamy krzyżaka łąkowego, krzyżaka dwubarwnego, krzyżaka zielonego,

pomarańczowego i nawodnego. Najbardziej znany jest jednak brązowy krzyżak z białym wzorem w kształcie krzyża na grubym odwłoku. Buduje on „klasyczne” okrągłe sieci z rozchodzącymi się ze środka promieniami. Krzyżak, a dokładnie pani krzyżakowa, bo to ona tworzy te konstrukcje, siedzi sobie najczęściej w środku sieci lub w kryjówce obok. To takie sieci najłatwiej odnaleźć wczesną jesienią. Jeżeli znajdziecie sieć przykrytą rosą, to bardzo możliwe, że jej właściciel już nie żyje, bo krzyżaki ogrodowe na noc zjadają swoją sieć, a po wschodzie słońca budują ją od nowa. Przyjrzyjcie się dokładnie takiej sieci. Prawda, że wygląda na pracochłonną robotę? Jak myślicie, ile by wam zabrało czasu budowanie takiej konstrukcji, gdybyście byli wielkości pająka? Pani krzyżakowej zajmuje to zaledwie godzinę!

A teraz wyzwanie – poszukamy tygrysiego pająka. Idźcie na rozgrzane łąki i rozejrzyjcie się za najciekawszym pająkiem, jakiego widzieliście. Tygrzyk paskowany też należy do krzyżakowatych, ale zamiast krzyża na odwłoku ma żółte, białe i czarne pasy, które przypominają wzory tygrysa. To przepiękny pająk i chociażby dla samych pasków warto go zobaczyć.

Tygrzyki są bardzo ciepłolubne, a raczej słonecznolubne, i dlatego najwięcej tygrzyków występuje nad Morzem Śródziemnym. Skoro aż tak daleko, to dlaczego o tym piszę? Bo ostatnio często można je spotkać i w innych miejscach, także w Polsce! Najłatwiej na południu naszego kraju. Jest ich u nas coraz więcej, bo nasz klimat wyraźnie się ociepla.



Tygrzyk paskowany dzięki ocieplającemu się klimatowi opanował już całą Polskę

Naukowcy zastanawiają się, jakim cudem te pająki tak szybko opanowały takie ogromne terytorium. Niektórzy przypuszczają, że kokony z jajami tygrzyków w czasie jesiennych powodzi porwały strumienie i zniosły na północ. Może tak było, a może młode tygrzyki zostały przyniesione przez wiatr. Przemawia za tym to, że ekspansja tygrzyków na Polskę nie odbywała się tylko z południa na północ, ale również z zachodu na wschód. Małe tygrzyki podróżują także na nitkach przędzy, ale nie robią tego jesienią, tylko wiosną.

MAŻ – SMACZNY KĄSEK

By zobaczyć naprawdę piękne tygrzyki, trzeba wyruszyć na ich poszukiwania późnym latem albo wczesną jesienią, gdy są już naprawdę duże. Szukanie pająka w wysokich roślinach, nawet tak charakterystycznych, nie jest zbyt łatwe, ale na szczęście możemy szukać jego sieci, a tej nie da się pomylić z żadną inną. Przez środek tygrzykowej pajęczyny, która podobnie jak u innych pajaków zrobiona jest z cienkich nici, przechodzi gruba biała taśma. To tygrzyk wplótł ją zygzakowato w sieć i po tym poznacie, że to jego sprawa.

Po co tygrzykowi taki szlaczek na sieci? Teorii na ten temat jest wiele. Jedna mówi, że wzmacnia on konstrukcję sieci, co jest konieczne, bo tygrzyk poluje na duże i silne owady, między innymi ważki, inna – że taki biały pas wygląda dla wielu owadów jak wolna przestrzeń między roślinami i przez to wpadają w tygrzykową pułapkę. Kolejna teoria jest taka, że wzór niektórym ofiarom przypomina kwiaty, jeszcze inna – że tu nie chodzi o ofiary tygrzyka, ale o to, by on sam nie stał się ofiarą. Zwolennicy tej teorii twierdzą, że ptaki boją się przerwać sieć z takim zygzakiem. Podobno także tygrzyk chowa się za ten pas, gdy jest mu za ciepło lub gdy chce udawać, że go nie ma. Być może tygrzykowy wzór spełnia wszystkie te zadania i pająki te używają zygzaka w zależności od potrzeby.

Zaraz, zaraz! Piszę ciągle „tygrzyk”, używając rodzaju męskiego. To błąd, bo ten wielki pasiasty pająk to tak naprawdę ona! Samiec jest malutki, kilkakrotnie mniejszy niż samica, i jest szary jak... szara myszka. Końcówka sierpnia to czas miłości u tygrzyków. Małeńki samiec zakrada się do sieci samicy, przy której wygląda jak karzełek, i po zalotach pani tygrzykowa zjada pana tygrzyka. Ratuje się tylko niewielka część samców, i to tylko dlatego, że są tak małe, że samicom nie chce się tracić czasu na takie znikome ilości jedzenia. Zapłodniona samica buduje kilka kokonów, które przypominają dzbanuszek z wieczkiem. W każdym może być nawet kilkaset jaj. Nie wiadomo, czy w polskim klimacie młode wykluwają się jeszcze jesienią i zimują w kokonie, czy przychodzą na świat dopiero wiosną. Na pewno wiosną opuszczają kokon. A samica? No cóż, dołącza do swojego męża w pajęczym raju.

UJŚĆ ZE SPOTKANIA Z ŻONĄ Z ŻYCIEM

Ej, ej, to jak to jest z tym zjadaniem mężów? Przecież wszyscy wiedzą, że robi to modliszka. Czy rzeczywiście? Modliszki są bardzo ciepłolubnymi owadami i kojarzą się z tropikami. I słusznie. Na świecie żyje ponad 2 tysiące gatunków modliszek, a u nas mieszka tylko jeden – modliszka zwyczajna. Gdzie jej szukać? W poprzednim wydaniu tej książki pisałem, że najlepsze są rozgrzane słońcem wrzosowiska w okolicach Lasów Janowskich, a jeszcze lepiej Puszczy Sandomierskiej, ale to się zmieniło. Oczywiście wrzosowiska w tych okolicach są świetnym miejscem i jak będziecie uważnie się przyglądać wrzosowym krzaczkom, to pewnie dostrzeżecie tego niezwykłego owada. Ale to nie są już jedyne miejsca w Polsce. Modliszki możecie spotkać w okolicach Warszawy, w Puszczy Białowieskiej i nawet tak daleko na północy jak Mazury! Jak się tam znalazły? Nie wiem dokładnie, ale przyczyna jest ta sama co w wypadku ekspansji tygrzyków, czyli ocieplanie się klimatu. Nie bądźcie więc zaskoczeni, gdy nagle przed wami pojawi się ten niezwykły owad.



Coraz cieplejszy klimat sprzyja modliszkom. Są już nawet na północy Polski

Nie będziecie mieli wątpliwości, że to on. Ma wielki odwłok, trójkątną – niczym u kosmity! – głowę i przednie odnóża, które wyglądają jak złożone do modlitwy. Oczywiście modliszka się nie modli i odnóża służą jej do polowania. Jeżeli nie będziecie jej przeszkadzać, to może uda się wam zobaczyć, jak poluje.

Jest na co patrzeć, bo modliszka jest mistrzem spokoju, kamuflażu i szybkości. Potrafi tkwić w bezruchu naprawdę długo. Wystarczy jednak, że w zasięgu tych niby złożonych do modlitwy ramion znajdzie się świerszcz lub pasikonik. Nagły ruch, ułamek sekundy i już po nim! Widziałem takie polowania i jestem pod wrażeniem sprawności modliszki, choć zjadanie ofiar żywcem, muszę przyznać, przyprawia mnie o dreszcze. Ale takie są prawa natury.

Jeżeli wrzesień jest ciepły, to na pewno zobaczycie wielkie, bo mogące

mieć nawet 7-8 centymetrów długości, samice o grubych odwłokach. Po wrzosowisku mogą też kręcić się samce w poszukiwaniu samic. Są o wiele mniejsze i – co ważne – potrafią latać. Ta umiejętność potrzebna jest im nie tylko po to, by uciekać przed wrogami, ale również po to, by odnaleźć samicę.

Wiem, co teraz myślicie – że gdy taki biedny pan modliszka znajdzie panią, to zaraz traci głowę. Tak jest, żona ucina mu łepiek, a potem go zjada. Tylko że jest to raczej rzadkie wydarzenie, bo samce na ogół wychodzą z tego spotkania i z głową, i z życiem.

Skoro spotkanie z samicą sporadycznie kończy się dla nich śmiercią, dlaczego więc wszyscy o tym mówią? Modliszka jest świetnym przykładem, jak często opinie na temat zwierząt formułujemy na podstawie obserwacji ich życia w niewoli. Ludzie od wieków trzymali modliszki, bo te owady ich fascynowały. Niestety, modliszki w niewoli często były niedożywione, a samce nie miały jak uciec i głodne samice zjadały mężów, bo nie miały wyboru.

W naturze efektem spotkania pana i pani modliszki są wypełnione jajami kokony, które samica przytwierdza do roślin. W każdym z kilku kokonów może być od 100 do 200 jaj. Jeżeli jesień jest ciepła, to modliszki przeżywają do października. Giną z nastaniem poważniejszych chłódów, natomiast w maju z kokonów wychodzą młode i rozłazą się po wrzosowisku.

Co to jest indiańskie lato?

Zauważyliście, że jeszcze w październiku, a czasami nawet w listopadzie, nagle robi się całkiem przyjemnie ciepło, nie ma wiatru, niebo jest czyste i bezchmurne. Gdyby nie krótki dzień, można by pomyśleć, że to lato. Ten pogodowy fenomen zawdzięczamy zwykle rozbudowanym wyżom, czyli obszarom o bardzo wysokim ciśnieniu. Ciekawe jest to, że takie ciepłe jesienne dni znane są nie tylko u nas, lecz także niemal na całej półkuli północnej. W USA takie ocieplenie nazywa się indiańskie lato. Być może zostało tak nazwane przez europejskich kolonistów, bo w tym czasie Indianie napadali na ich osady. A może europejscy koloniści nazwali tak ten czas dlatego, że jest to niezbyt prawdziwe lato, a raczej jesień podszywająca się pod lato. Wiadomo, że koloniści nie szanowali Indian i przypisywali im fałszywe intencje. Być może z tego samego powodu w Europie ten czas nazywamy babim latem – baba to przecież niezbyt miłe określenie starszej pani.

Na szczęście u nas można mówić po prostu polska złota jesień i chyba to jest najlepsze określenie, bo nikogo nie krzywdzi i dobrze oddaje charakter tego zjawiska.





TATRY

KTO TAK BIEGA PO GÓRACH?

Jesień w Tatrach jest nieuchwytna jak mgła. Tak naprawdę to do końca nie wiadomo tu, kiedy lato zamienia się w jesień, a jesień przechodzi w zimę. Czy zaczyna się, gdy borówki są czarne i słodkie, a jarzębiny czerwone? A kończy się wraz z pierwszym śniegiem?

Otóż śnieg może spaść tu dosłownie w każdej chwili, nie tylko jesienią, ale też wiosną, latem, o zimie nie wspominając, zatem nie jest on tu żadnym wyznacznikiem. Ja wymyśliłem sobie, że jesień w Tatrach to ten czas, gdy świstaki zabierają się do zasypiania, niedźwiedzi nie obchodzi nic poza borówkami, a kozicom w głowie miłość. Kalendarzowo wychodzi, że ta wysokogórska jesień jest krótka, ale za to bardzo intensywna. I bardzo ciekawa. Sami zobaczycie!

Stanąć oko w oko z największym europejskim drapieżnikiem to jest wyzwanie dla prawdziwego tropiciela. Nie chodzi tylko o to, by zobaczyć niedźwiedzie, ale o to, żebyście i wy, i one wyszli z tego spotkania cali i zadowoleni. Największą szansę na takie spotkanie macie właśnie jesienią w Tatrach.

Zanim jednak wyjaśnię, dlaczego akurat wtedy, to opowiem historię, która przydarzyła się nam, gdy filmowaliśmy niedźwiedzie. W rejonie Hali Gąsienicowej udało się nam spotkać niedźwiedzicę z dwójką młodych. Cała gromada obżerała się jagodami i wydawało się, że nic innego ich nie obchodzi. Zresztą nie wyglądały na takie, co mogą komukolwiek zrobić krzywdę. Małe były niczym pluszowe zabawki, a ich mama z olbrzymią spasioną pupą wyglądała misiowato i niezdarnie. To uspiło naszą czujność.

Krzysio Skrok, operator, Jacek Sokołowski, dźwiękowiec, i ja filmowaliśmy więc sobie tę niedźwiedzią rodzinę, a Andrzej Załęski, reżyser, został

z naszymi plecakami. Zostawiliśmy je, by móc swobodniej się poruszać. I to był błąd, a raczej błędem było to, że się podzieliliśmy. Bo jakoś tak wyszło, że z jednej strony niedźwiedzica miała skały, z drugiej nas, a z trzeciej Andrzeja, którego ledwo było widać, bo siedział sobie za małą górką.

No i nagle niedźwiedzica, a za nią małe, ruszyła w jedynym sensownym dla niej kierunku, czyli w stronę Andrzeja, którego nie widziała. Nie zdążyliśmy nawet krzyknąć. – Zje Andrzeja – wyszeptał tylko Jacek, a ułamek sekundy później niedźwiedzica była kilkanaście metrów od naszego kolegi. I wtedy z otyłej, misiowatej góry futra zamieniła się w kłębek mięśni – zjeżonego olbrzymiego kota, który fuknął potwornie i niczym błyskawica ruszył na Andrzeja. Słowo daję, myśleliśmy, że już po nim.

Na szczęście niedźwiedzica po dwóch czy trzech skokach zatrzymała się, a Andrzej zachował się przytomnie, bo zamiast uciekać, powoli i spokojnie się wycofał. Gdyby uciekał, mógłby niedźwiedzicę sprowokować do dalszej pogoni.

UCZCIE SIĘ NA BŁĘDACH WAJRAKA

Piszę wam o tym nie po to, by się pochwalić, jak blisko niedźwiedzi byliśmy (bo naprawdę blisko to był Andrzej, a on jakoś nie chce się tym chwalić), ale po to, by na własnych błędach wytłumaczyć, jak do takiej sytuacji nie doprowadzić. Oczywiście pierwszym błędem było to, że się rozdzieliliśmy. Gdy widzicie niedźwiedzie albo gdy wędrujecie po terenie, gdzie mogą one być, nie rozłażcie się na wszystkie strony. To może skończyć się tak jak w naszym przypadku, czyli sytuacją, w której niedźwiedź, by uciec, musi ruszyć na człowieka.

Drugi błąd – to, że Andrzej nie był dla niedźwiedzicy widoczny. Część ataków niedźwiedzi na ludzi wynika właśnie z tego, że zwierzę zostaje zaskoczone naszą obecnością. Tak było w Bieszczadach, gdy kobieta szukająca zrzuconych przez jelenie poroży (o tym, co to są poroża, a co to są rogi, piszę w rozdziale o rykowisku) w gęstym młodniku weszła na niedźwiedzia jedzącego padlinę i została przez niego bardzo poważnie poraniona. Jeżeli obserwujemy niedźwiedzie, to najbezpieczniej jest wtedy, gdy my widzimy niedźwiedzia, a on – nas. Warto nawet trochę pohłasować, gdy zbliżamy się do młodników w Bieszczadach czy gęstej kosówki w Tatrach. Jeśli śpi tam niedźwiedź, trzeba dać mu szansę, by spokojnie sobie odszedł. Oczywiście nie chodzi o to, żeby krzyczeć. Niedźwiedzie mają świetny słuch, wystarczy głośno rozmawiać. W obecności niedźwiedzi nie schodzmy także ze szlaków. Chodzi nie tylko o to, że jest to zakazane w parkach narodowych, lecz także o to, że niedźwiedzie – tak samo jak inne zwierzęta – są przyzwyczajone do ludzi na szlakach i nie uznają ich za zagrożenie. Oczywiście to działa, dopóki ktoś nie nakarmi niedźwiedzia kanapkami, bo wtedy, niestety, kończy się to tragedią. Dla człowieka lub niedźwiedzia, a często dla obu.

KTO PYTA, NIE BŁĄDZI, CZYLI TROPIMY NIEDŹWIEDZIA

Już kilka razy czułem się w Tatrach, jakbym wskoczył do amerykańskiego filmu przyrodniczego. No bo stoję sobie co prawda na szlaku, który jest tak zatłoczony, że w niczym nie przypomina bezludnej Alaski, ale wystarczy się odwrócić i już widzę, jak wielka niedźwiedzica z dwójką młodych wychodzi z gęstej kosodrzewiny. Na początku bacznie się rozgląda, a potem zaczyna zajadać się jagodami. I tak oto nie dalej niż 50 metrów ode mnie przeciąga się ogromny zwierzak, który ma potężne kły i pazury.



Niedźwiedź, nasz największy drapieżnik, jesienią zajada się... borówkami

Nie przesadzam. Duże samce mogą ważyć nawet ponad 300 kilogramów, a samice – do 200. Podobno zdarzają się samce ważące do 400 kilogramów! Spotkanie z niedźwiedziem na szlaku to nie to samo co oglądanie go za fosą

lub siatką w ogrodzie zoologicznym. Tu nie dzieli was od niego nic, a jedynym zabezpieczeniem przed niedźwiedzimi kłami i pazurami jest wasz i jego rozsądek. Uwierzcie mi, że emocje są ogromne...

No dobrze, ale jak takiego wielkiego niedźwiedzia znaleźć? Przede wszystkim zapomnijcie o tym, że da się go w jakikolwiek sposób śledzić, na przykład tropiąc. W Tatrach jest to bardzo niebezpieczne, a poza tym niedźwiedzie raz są tu, a raz tam, i przechodzą codziennie odległości, które są nie do pokonania dla człowieka. Wiemy o jednym niedźwiedziu, który penetrował w Bieszczadach obszar 1500 kilometrów kwadratowych! To sporo, ale mało mówi o tym, jakimi wędrownikami potrafią być niedźwiedzie. To widać dopiero na przykładzie niedźwiedzia Iwo, który wyruszył z Tatr, przebył Słowację, dotarł na Węgry, po czym znów przez Słowację doszedł w Bieszczady, następnie opuścił Polskę i ukraińskimi Bieszczadami dostał się w pobliże Rumunii. W sumie przeszedł ponad 420 km, a jakby tego było mało, jego późniejsza wędrówka na Ukrainie to dodatkowe 260 km. To wszystko wiadomo dzięki pracy naukowców z Instytutu Ochrony Przyrody PAN i Tatrzańskiego Parku Narodowego, którzy w 2014 roku założyli lwowi specjalną obrozę zbierającą dane i odzyskali ją, gdy się rozpięła i odpadła w 2016 roku.

Oznacza to, że niedźwiedź, który jednego dnia jest w Tatrach, kilka godzin później może być już poza nimi. Jeżeli chcecie zobaczyć niedźwiedzia, musicie znaleźć się w miejscu, gdzie on jest. Tylko jak to zrobić?

Tatry to niewielkie góry – całe mają około 800 kilometrów kwadratowych powierzchni, a nasza polska część to tylko 250 kilometrów kwadratowych. To obszar wielkości połowy Warszawy, który odwiedza około 3 milionów turystów rocznie. Pomimo takiego tłoku wciąż mamy tu świstaki, kozice, wilki, rysie, głuszce i cietrzewie oraz niedźwiedzie. Dzika przyroda znalazła sobie niedostępne miejsca, w których przetrwała, i tylko czasami się nam, ludziom, pokazuje. Im lepiej się zachowujemy, tym częściej ujawnia nam swoje tajemnice.

Ale wróćmy do tych milionów ludzi. Góry zatłoczone, prawie wszędzie są turyści, którzy mniej lub bardziej się rozglądają. Skorzystajcie z tego. Widzicie, że grupka ludzi zatrzymuje się i na coś patrzy. Może to być niedźwiedź. Idźcie tam. Inny sposób to słuchanie, o czym ludzie mówią na szlakach. Informacja o niedźwiedziu pasącym się przy szlaku roznosi się lotem błyskawicy.

Świetnymi węzłami informacyjnymi są schroniska, gdzie schodzą się ludzie z różnych szlaków. Wiecie, jak wytropiłem ostatnio niedźwiedzicę z dwójką młodych? Otóż poszedłem do Murowańca, jednego z najczęściej odwiedzanych schronisk, i po prostu głośno zapytałem: „Przepraszam, czy ktoś z państwa widział niedźwiedzia?”. Po chwili podszedł miły pan, który dokładnie mi wyjaśnił, gdzie spotkał niedźwiedzią mamę z pociechami.

Lornetka i co warto brać do plecaka

Do wypatrywania niedźwiedzi polecam wam lornetki o dziesięciokrotnym lub ośmiokrotnym powiększeniu i dość dużym świetle, na przykład o średnicy okularu 42 milimetry. Takie lornetki są w miarę jasne i wyraźnie widać przez nie w czasie szarówki. Większego powiększenia nie ma sensu używać, ponieważ obraz bardzo się wówczas trzęsie i trudno lustrować zbocza. Poza tym lornetki z większym powiększeniem są zwykle bardzo ciężkie, a przecież wybieramy się w góry. Do plecaka warto zabrać worki foliowe, a jeszcze przed wyjściem dokładnie zapakować w nie wszystkie rzeczy, które mamy w plecaku. Pamiętajcie, może padać, a nie ma superwodoszczelnych plecaków! Nasze rzeczy najlepiej jest zabezpieczyć właśnie workami. Dobrze mieć ze sobą kilka worków na wszelki wypadek. Możemy wtedy z gór nasze śmieci oraz śmieci zostawione przez innych. Poza tym worek zawsze można rozciąć i zrobić z niego pelerynę lub użyć do związania różnych rzeczy.



BARDZO DZIWNY DRAPIEŹNIK

Komu jednak ten mało traperski sposób nie odpowiada, polecam lornetkę i systematyczne oglądanie zboczy. Nie wszystkich. Tych, na których rosną borówki. To na nie patrzcie. Niedźwiedzie najłatwiej zobaczyć, jak są na otwartej przestrzeni, czyli gdy wiosną jedzą sobie świeżą trawkę albo jesienią – właśnie borówki.

Przydaje się dobrze wyćwiczone oko, ale nie zniechęcajcie się początkowymi niepowodzeniami. Niedźwiedź z daleka nie wygląda jak niedźwiedź, ale jak szarobura, ciemna, czasami brunatna, kreska. Często nie widać głowy, bo podjada przecież borówki. Z tego samego powodu nie zobaczycie też łap. Będzie widać tylko grzbiety. Porusza się powoli i bez żadnych gwałtownych ruchów. Owszem, może przyspieszyć, ale to znaczy, że zaraz zniknie gdzieś w gęstwinie kosodrzewiny, by położyć się odpocząć albo przenieść się na inne jagodowe polany.

Czy nie dziwi was trochę, że piszę, że niedźwiedź to drapieżnik, a zaraz po tym – że zajadał się jagodami? Prawda jest taka, że to drapieżnik, który nie jest do końca mięsożercą. Właściwie to głównie jest wegetarianinem.

Niedźwiedzie potrafią polować – w Bieszczadach odnotowano przypadek niedźwiedzia, który zabił żubra. Nie gardzą padliną, a znalezione lub zabite zwierzęta czasami zakopują, by im starczyło na potem i by nikt im nie podkładał jedzenia. Taka zakopana padlina nazywana jest mogiłą. Niedźwiedzie zajadają się także ze smakiem larwami i dorosłymi mrówkami oraz larwami os i pszczoł. Kiedyś tropiliśmy w Bieszczadach niedźwiedzia, który wykopywał nawet gryzonie.

Jak widzicie, jeżeli niedźwiedź chce, to może być bardzo drapieżny. Mięsny pokarm to – przynajmniej dla naszych misiów – mniej niż połowa diety.

Większość to rośliny. Owoce takie jak: borówki, jarzębina, dzikie lub dziczące jabłka w Bieszczadach oraz maliny i jeżyny. Bardzo im smakują wszelakie pędy, a na wiosnę – również trawy i młody owies. Do tego rośliny takie jak: szczaw górski, lepieźnik lub podbiał. Jak podają w swojej książce „On” Filip Zięba i Tomek Zwijacz-Kozica, niedźwiedź zjada od 10 do 15 kilogramów roślin dziennie, czyli około 2 ton rocznie. Dużo tych roślin jak na drapieżnika, przyznacie sami.

BORÓWKOWY ZAWRÓT GŁOWY

Niedźwiedzie są wielkimi borówkowymi łasuchami. W czasie wędrówki po Tatrach może uda wam się zobaczyć kupę niedźwiedzia. Gdy jest dużo borówek, jest olbrzymia, czarna jak borówki i pełna liści. To dlatego, że niedźwiedź wsuwa je jak odkurzacze i nie bawi się w wybieranie owoców. Misie najwięcej zjadają borówki czarnej – to ta zwana czarną jagodą. Jest jeszcze czerwona borówka, brusznica, która rośnie w mniejszych ilościach i na mniejszych krzakach. Nie jest tak słodka jak borówka czarna.

Na bagnach rośnie borówka bagienna – czarna jak borówka czarna, ale jej krzaczki i owoce, które mają jasny miąższ, są większe. Bywa nazywana też borówką pijanicą, bo po jej zjedzeniu można się poczuć jak po alkoholu. Niektórzy twierdzą, że zdarzają się nawet halucynacje. To dlatego, że często jej owoce pokryte są pyłkiem bagna zwyczajnego – rośliny, która właśnie ma takie właściwości.

Czarna jest też bażyna – ma małe, czarne owoce i krzaki pokryte igiełkowatymi liśćmi. Nie wolno tylko zjadać jej pestek, gdyż zawierają substancje niedobre dla nerek. W Polsce, w tym w Tatrach, można też spotkać czerwoną niczym brusznica mącznicę lekarską. Ta borówka ma właściwości lecznicze i znajduje się pod ochroną. Ciekawe jest to, że część jej nazwy łacińskiej to uva-ursi, czyli owoc niedźwiedzi. Borówki są bardzo smaczne oraz zdrowe i należy je jeść. Ale w parkach narodowych ich nie zrywajcie, bo tam są tylko dla zwierzków, w tym niedźwiedzi.

Skąd się wziął pluszowy miś?

W dawnych czasach górale czuli respekt przed niedźwiedziem. Nie wymawiali jego imienia, by nie wywołać go z lasu. Najczęściej mówili o nim „on”. Niestety, gdzieś na początku wieku niedźwiedź zamienił się w poczciwego, kochanego, niegroźnego misia. Wszystko przez prezydenta Stanów Zjednoczonych.

W 1902 roku Theodore Roosevelt wybrał się na polowanie, bo chciał ustrzelić dzikiego niedźwiedzia. Jego współpracownicy woleli jednak nie narażać prezydenta i podsunęli mu przywiązane sznurkiem do drzewa niedźwiadka. Roosevelt się zorientował i odmówił zastrzelenia zwierzęcia (później kazał go jednak zabić, by ulżyć jego niedoli w niewoli). Zdarzenie

to zostało opisane, a przede wszystkim uwiecznione na karykaturach w amerykańskich gazetach. Te komiczne rysunki zainspirowały producentów zabawek do wypuszczenia na rynek pluszowych misiów zwanych po angielsku Teddy Bear (dosłownie: miś Teoderek). I tak pojawił się pluszowy miś. Pamiętajcie jednak, że pocziwy pluszak i prawdziwy niedźwiedź to dwie różne istoty. Prawdziwy niedźwiedź to dzikie zwierzę.



Nie zbliżajcie się do niedźwiedzi, nawet gdy to słodko wyglądający maluch. Matka zawsze jest w pobliżu i może zaatakować

Gdy atakuje niedźwiedź...

Choć w Europie ataki niedźwiedzi na ludzi zdarzają się bardzo rzadko, to warto zapoznać się z kilkoma zasadami przygotowanymi przez naukowców z projektu Karpackie Niedźwiedzie (Carpathian Bear Project) oraz ich kolegów ze Słowacji i Skandynawii. Te rady mogą się przydać w Tatrach, ale też w Bieszczadach.

- Gdy zobaczysz niedźwiedzia, w żadnym wypadku się do niego nie zbliżaj. Nie krzycz, ponieważ w ten sposób możesz go zaskoczyć i sprowokować do ataku. Upewnij się, że istnieje wystarczająco dużo miejsca i wolna droga ucieczki dla zwierzęcia, na wypadek gdyby nagle cię spostrzegło. Jeśli spotkasz młodego ciekawskiego niedźwiedzia, pamiętaj, że jego matka prawdopodobnie jest w pobliżu. Zawróć i opuść to miejsce drogą, którą przyszedłeś.

- Jeśli niedźwiedź już cię zauważył, zachowaj spokój i pozostań na swoim miejscu. Niedźwiedź, stojąc na tylnych łapach, wygląda przerażająco, bo może mieć nawet do 2 metrów wysokości. Ale stojąc, nie atakuje, tylko bada otoczenie. Stara się lepiej zobaczyć, poczuć lub usłyszeć, co się dzieje. Pokaż mu, że ma do czynienia z człowiekiem. Wyprostuj się, daj mu znać o swojej obecności, mówiąc niskim, stanowczym głosem, i wolno wymachuj rękoma ponad głowę. Wycofaj się powoli i ostrożnie drogą, którą przyszedłeś – nigdy nie uciekaj, bo to może sprowokować do ataku! Nie uciekniesz przed niedźwiedziem – biega on z szybkością nawet 50 kilometrów na godzinę, czyli znacznie szybciej niż człowiek.

- Podczas bliskiego spotkania nie patrz drapieżnikowi w oczy (dla zwierząt to sygnał agresji). Jeśli niedźwiedź się zbliża, pozostań na swoim miejscu i odzywaj się spokojnym głosem. Jeśli się zatrzyma, zwiększ dystans, wycofując się powoli. Postaraj się zejść mu z drogi. Być może tylko tego oczekuje.

- Jeżeli zwierzę zostało sprowokowane, przypuszczalnie jest to samica z młodymi bądź niedźwiedź w pobliżu padliny. Zapewne nie zdążył się skryć w bezpiecznym miejscu, bo pojawił się nagle lub obudził go ze snu zimowego. Rozdrażniony niedźwiedź może zaatakować, jednak zwykle jest to pozorowany atak. Powinieneś jak najszybciej zasygnalizować mu swoje pokojowe intencje. Mów głośno, nie rób żadnych gwałtownych gestów. Opuść to miejsce i nigdy nie biegnij! Szarżujący niedźwiedź często chce tylko przestraszyć intruza, wycofa się, zanim dojdzie do bezpośredniego kontaktu. Fizyczne ataki są rzadkością.

- Gdy widzisz, że dojdzie do bezpośredniego ataku, postaraj się odwrócić uwagę niedźwiedzia, rzucając przed siebie jakiś przedmiot – plecak, kurtkę, czapkę. To powinno zatrzymać i zainteresować zwierzę oraz dać ci czas na odejście.

- W przypadku kiedy to nie pomoże, połóż się na brzuchu, lekko rozchyl nogi, palce spleć za głowę. Palce muszą być splecione do środka, tak by niedźwiedź nie mógł ich chwycić zębami. W tej pozycji osłonisz głowę i kark. Jeśli masz plecak, zabezpiecz on twoje plecy. Połóż ręce na szyi i chroń głowę – przy fizycznym kontakcie niedźwiedź często atakuje twarz. Przylegając brzuchem do ziemi lub przyjmując pozycję embrionalną, ochronisz narządy wewnętrzne.

- Udawaj, że jesteś martwy. Zachowuj się tak biernie, jak to tylko możliwe, dzięki temu będziesz wyglądał mniej groźnie. Gdy niedźwiedź uzna, że nie jesteś dla niego żadnym zagrożeniem, odejdzie. Kiedy atak ustanie, pozostań w pozycji leżącej przez kilka minut. Poczekaj, aż niedźwiedź oddali się zupełnie.



Obdrapane drzewa!

Tam gdzie są niedźwiedzie, możecie zobaczyć obdrapane drzewa. Na niektórych widać wyraźne ślady pazurów. Niedźwiedź drapie drzewo, a potem się o nie wyciera. Widać więc na korze włosy z niedźwiedziego futra, a czasami nawet ich olbrzymie kępy. Dokładnie nie wiadomo, po co niedźwiedzie to robią. Czy po to, by się podrapać po plecach? Czy może po to, by pozbyć się pasożytów?

Może takie drzewa to coś w rodzaju słupów ogłoszeniowych, na których samce zostawiają zapachową informację o sobie. Drzewa drapią jednak także samice i młode. Jedna z teorii głosi, że młode robią to po to, by pachnieć jak duże samce i w ten sposób zabezpieczać się przed atakiem ze strony dużych niedźwiedzi.

Niektóre drzewa są obdarte z kory i z łyka dokładnie i dookoła. Najczęściej są to jodły i możecie je zobaczyć w Bieszczadach, w Tatrach raczej się ich nie widuje. W tym wypadku niedźwiedziom nie chodzi na pewno o znakowanie, ale o wypijanie soków i zjadanie bogatego w soki łyka, czyli warstwy znajdującej się tuż pod korą. Takie soki jodły bogate są w cukry i bardzo odpowiadają niedźwiedziom, które właśnie obudziły się ze snu zimowego.



DLACZEGO NIEDŹWIEDŹ TYLE JE?

Niedźwiedź zjada to, co pozwala mu się szybko otłuścić i wyrównać straty po śnie zimowym oraz przygotować się do kolejnego snu. Je więc wszystko, czego jest wokoło najwięcej. Niedźwiedzie mieszkające na północy Europy lub Ameryki, gdzie smacznych roślin nie ma za wiele, jedzą więcej mięsa. Nasze niedźwiedzie późnym latem i jesienią uwielbiają zjadać się borówkami, ponieważ są one bogate w cukry. Cukry najłatwiej zaś przekształcić w tłuszcze i dlatego jedząc jagody, miś może się łatwo otłuścić przed snem zimowym.

A zadanie nie jest proste, bo niedźwiedź musi przybrać około połowy swojej normalnej wagi, czyli miś ważący wiosną 100 kilogramów przez lato i jesień musi przytyć przynajmniej 50 kilogramów. To tak, jakby dziecko po pół roku miało ważyć tyle co dorosły. Nieźle, prawda?

To obżarstwo nasila się oczywiście jesienią. I niedźwiedzie, które są normalnie zwierzakami aktywnymi raczej nocą, można wtedy zobaczyć również w dzień. W szczytowym momencie opychania się niedźwiedzie są zajęte jedzeniem przez 20 godzin na dobę! W taki czas właśnie musicie trafić, jeżeli chcecie je zobaczyć. Objadanie zaczyna się już w sierpniu, a kończy, gdy śnieg strąci jagody. Kiedy to może się stać? Najczęściej w drugiej połowie października lub na początku listopada.

Niedźwiedzie szukają tego, co otłuszcza szybko, i dlatego wystarczy, że zasmakują w bułce, cukierku albo czekoladce, a tracą zupełnie głowę. Ich natura każe im tego szukać za wszelką cenę, a gdzie najlepiej szukać, jeśli nie w domach albo w plecakach turystów? I już kłopoty gotowe.

Dlatego niech nigdy nie przyjdzie wam do głowy karmić niedźwiedzie! Nie mogą poznać smaku bułeczki lub czekolady! Niedźwiedź okradający i atakujący ludzi zwykle zostaje zabity. Czekolada, ogryzek, kanapka czy jakiegokolwiek śmieci zostawione w Tatrach lub Bieszczadach mogą oznaczać wyrok śmierci dla jakiegoś niedźwiedzia. Pamiętajcie o tym. A gdy zobaczycie takie śmieci, to zabierzcie je ze sobą na dół do śmietnika. Wiem, że to trochę obrzydliwe, ale dla niedźwiedzi warto to zrobić.

DLACZEGO NIEDŹWIEDŹ NIE BOI SIĘ LUDZI?

Niedźwiedzie, które jedzą borówki jesienią przy tatrzańskich szlakach, nie są zwierzętami oswojonymi. Nie są też jakoś specjalnie zdegenerowane, jak twierdzą wielbiciel bardzo dzikich niedźwiedzi. Nie uciekają przed nami, ale gdy zbliżymy się za bardzo, odchodzą. A jeżeli tego nie robią, to wy to zróbcie.

To, że się nie boją ludzi, nie oznacza, że coś się im pokreśliło w głowie. Zwierzęta takie jak niedźwiedzie nie rodzą się z wiedzą, że człowieka należy się bać. Tego, czego należy się obawiać, uczą się od matki, z którą spędzają pierwszy rok lub dwa lata życia. Gdy mama przed czymś ucieka, to i młode później będą zwiewały, bo wiedzą, że to jest be. Niedźwiedzie, które nie boją się ludzi, to te, które nie miały złych doświadczeń po takim spotkaniu.

Może być też tak, że samice z młodymi idą w okolice szlaków, na których są ludzie, bo wiedzą, że tam nie spotkają samców. Zdarza się, że samce zabijają niedźwiadki, które nie są ich dziećmi. To brzmi okropnie, ale takie są brutalne prawa przyrody i dlatego samice robią wszystko, co mogą, by bronić młode.

Uwaga! Kamień!

Znacznie częściej niż z lawinami śnieżnymi możecie spotkać się z lawinami kamienistymi. Zazwyczaj powodują je ludzie. Na stromych zboczach zdarza się, że ktoś potrąci kamień, albo wy potrącicie kamień. Wtedy trzeba krzyknąć: „Uwaga! Kamień!” – to ostrzeżenie dla tych, co idą za wami.



Widok na jesienne Tatry

Uwaga! Lawina!

Do lawin dochodzi, gdy masa śniegu lub kamieni przewyższa siły tarcia i rusza w dół. Zdarzają się najczęściej, gdy śniegu jest dużo, czyli zimą i wiosną. Ale lawiny śnieżne zdarzają się w Tatrach o każdej porze roku! Może taka lawina nie zabije, ale może poturbować. Nigdy więc nie ignorujcie ostrzeżeń i komunikatów lawinowych. Komunikaty podawane są w 5-stopniowej skali zagrożenia. Uwaga, ratownicy TOPR podkreślają, że to jest skala zagrożenia, czyli zagrożenie jest zawsze i żaden ze stopni nie oznacza całkowitego bezpieczeństwa!

Pierwszy stopień – brak opadów przez dłuższy czas, stabilna pokrywa śniegowa – zejście lawiny jest możliwe przy bardzo dużym nacisku grupy turystów na bardzo stromych stokach.

Drugi stopień – pokrywa śnieżna średnio związana – zejście lawiny jest możliwe przy znacznym obciążeniu na bardziej stromych stokach (kąt

nachylenia powyżej 35-40 stopni). Nie należy wchodzić do żlebów i na strome odkryte stoki.

Trzeci stopień – pokrywa śnieżna słabo związana – zejście lawiny może spowodować nawet jeden człowiek. Należy omijać niebezpieczne miejsca (na przykład stoki z nawianym śniegiem). Istnieje ryzyko samorzutnego zejścia średniej lawiny.

Czwarty stopień – pokrywa śnieżna słabo związana na większości stoków stromych – duże lawiny mogą występować samoistnie. Należy poruszać się jedynie po bezpiecznych szlakach i trasach, choć najlepiej nie wychodzić w góry.

Piąty stopień – pokrywa śnieżna słabo związana na wszystkich stokach (chwiejna) – lawiny występują samoistnie. Obowiązuje BEZWZGLĘDNY zakaz wyjść w góry.



STARY NIEDŹWIEDŹ SŁABO ŚPI

A teraz ciekawostka! Nie wszystkie niedźwiedzie zapadają w sen zimowy. Gdy zima jest lekka, a w okolicy jest dużo pokarmu, część niedźwiedzi w ogóle nie zasypia. Tylko samice, które mają urodzić młode, zawsze zasypiają i robią sobie gawry.

Gawra to taki zimowy dom niedźwiedzi. Może znajdować się w dziupli wypróchniałego dużego drzewa, gdzieś pod pniem lub wykrotem albo w skalnej rozpadlinie lub jaskini. Niedźwiedzie do gawry znoszą gałęzie i ściółkę – w tym celu potrafią ogołocić kilka drzewek w okolicy!

Zbliżanie się do gawry jest głupie i niebezpieczne, bo niedźwiedzie nie śpią twardym snem jak na przykład nietoperze lub susły. Czyli nie jest to hibernacja, ale raczej dość płytki sen zimowy. Temperatura ich ciała obniża się tylko o kilka stopni, za to liczba uderzeń serca zmniejsza się kilkakrotnie. Niedźwiedź potrzebuje kilku sekund, by się obudzić, a obudzony może być bardzo niebezpieczny.

W czasie snu niedźwiedź nie je i nie pije, dlatego budzi się o wiele chudszy. Naukowcy zafascynowani są tym, jak to się dzieje, że niedźwiedzie w czasie tak długiego, bo trwającego czasami nawet sześć miesięcy odpoczynku nie tracą mięśni ani nie mają odleżyn, jak na przykład chorzy leżący wiele tygodni w szpitalnych łóżkach. Być może rozwiązanie zagadki śpiących niedźwiedzi pomoże wielu ludziom, a kto wie, może ułatwi nam lot na Marsa, który będzie trwał bardzo długo i trzeba będzie go jakoś przeżyć bez odleżyn.

WYSOKOGÓRSKIE GONITWY KOZIC

To był koniec października. Razem z Krzysiem Skrokiem, operatorem, i Marcinem Szymaniakiem, jego asystentem, filmowaliśmy stadko kozic. Takie bardzo typowe kozy, czyli samice z młodymi. Stały sobie na skałach poniżej nas i skubały trawkę. Wyglądały super, ale były trochę za daleko, żebyśmy mogli zrobić im dobre zdjęcia. Podchodzić nie było jak i po co, bo za kozicami raczej nie należy łązić. Dlaczego? Wyjaśnię wam później.

Stalibyśmy tak zapewne jeszcze długo, gdyby nie hałas, który dobiegł z góry. Czarna jak węgiel kozica, z nastroszoną na karku sierścią, która wyglądała jak grzywa u jakiegoś potwora, goniła w naszą stronę. Cap, czyli pan kozica, biegł, a właściwie leciał, prosto na nas, a z jego otwartego pyska buchała para.

Gdy dzieliło go od nas zaledwie kilka metrów, zatrzymał się. Przyjrzał się nam spod grzywy, zabeczał żałośnie i pognał dalej w kierunku pasących się kóz i młodych. Na jego widok całe stado dało nogę. To, co wyglądało jak atak na nas, było początkiem koziego romansowania. Kozice zalecają się do siebie, goniąc się na potęgę. Samce, czyli właśnie capy, przeganiają konkurentów, ścigając ich przez setki metrów. Gonią też za partnerkami – za nimi mogą biec nawet kilometry.

Gody kozic polegają na gonitwach i dlatego nazywają się gonami. Na początku myślałem, że to bardzo głupio tak sobie okazywać miłość gonitwami i bieganiem, ale gdy przemyślałem to nieco lepiej, stwierdziłem, że to bardzo dobry system. No bo jak inaczej poznać w górach wartość kandydata na męża, jeśli nie po tym, jak biega?

Kozice decydują się na zaloty w październiku, listopadzie, a nawet w grudniu. Czemu tak późno? To małe zwierzęta, więc ciąża trwa u nich krótko. Gdyby ich gody odbywały się w środku lata, to młode przyszłyby na świat pod koniec zimy. Tymczasem po trwającej około 160 dni ciąży wykoty, czyli narodziny kozic, przypadają na okres od kwietnia do czerwca, akurat gdy w górach już zaczyna się zielenić. Młode ważą 1-2 kilogramy i od razu próbują wstać, a następnego dnia po porodzie już wędrują za mamą po skałach.

CZTERY PORY ROKU KOZICH IGRASZEK

Właściwie porady dotyczące tego, jak podglądać kozice, mógłbym umieścić w części zimowej, wiosennej albo letniej, bo te zwierzęta możecie spotkać w Tatrach cały rok. Nie zasypiają na zimę jak niedźwiedzie, nie chowają się jesienią w głębokich norach jak świstaki.

Wiosną kozy, czyli samice kozic, są w bardzo zaawansowanej ciąży i gdy przychodzą na świat młode koziczki, lepiej im nie przeszkadzać. Zresztą wtedy w górach nie jest jeszcze zbyt bezpiecznie i nie wszystkie szlaki są dostępne. Zimą kozice schodzą nieco niżej – tam gdzie wiatr wywiewa śnieg i mogą dostać się do roślin. Na białym śniegu widać je także najlepiej, ale łożenie wtedy po Tatrach powinno się zostawić doświadczonym taternikom. Ja staram się nie wychodzić zimą powyżej schronisk. Kozicom też lepiej nie

przeszkadzać, bo to ciężki dla nich czas.



Kozice są największymi twardzielami Tatr. Włazą w najbardziej niedostępne miejsca

Latem jest w miarę bezpiecznie, ale wtedy z kolei kozice nie są zbyt ruchliwe. Bardzo nie lubią gorąca i gdy jest zbyt ciepło, leżą sobie gdzieś na skalnych półkach w cieniu i zobaczyć je trudno, bo świetnie zlewają się z otoczeniem. W upały ruszają się w zasadzie tylko o świcie i zmierzchu. Gdy zdarzy się trochę śniegu, od razu to wykorzystują – można wtedy zobaczyć, jak starsze leżą i się chłodzą, a młode brykają.

O brykaniu opowiadał mi Tomek Zwijacz-Kozica. Dla młodych kozic to nie tylko zabawa, lecz także przygotowanie do życia w górach, w których śnieg zalega przez większą część roku. Choć nie widziałem, jak brykają kozice, to wiem, że robią to na pewno, bo latem znajduję ogromne ilości kozich tropów na płatach śniegu. Może wam się uda trafić na takie kozie igraszki. Największe szanse na kozie łowy macie jednak jesienią, bo to wtedy kończą z letnim lenistwem i biegają jak oszalałe. I dlatego opowiadam wam teraz o kozicach.

CZY KOZICA WISI NA ROGACH?

Kozica tatrzańska to podgatunek. Kozice żyją w Azji Mniejszej,

na Kaukazie, Bałkanach, w Alpach Sabaudzkich i rumuńskich Karpatach. Najwięcej kozic jest jednak w Alpach – tamtejsza populacja liczy pół miliona zwierząt. Do tego jest jeszcze kozica iberyjska występująca w Pirenejach, Apeninach oraz Górach Kantabryjskich. Gdy spojrzeć na mapę, to aż dziw bierze, że tak podobne do siebie zwierzęta występują w tak różnych częściach naszego kontynentu.

W czasach ostatniego zlodowacenia, czyli jeszcze jakieś 12 tysięcy lat temu, wszystkie kozice stanowiły jedną rodzinę. To było wtedy, gdy po naszym kraju chodziły także lisy polarne i renifery. Kiedy przyszło holocenne ocieplenie, wiele przystosowanych do chłódów zwierząt wycofało się tam, gdzie warunki były dla nich bardziej sprzyjające. Renifery i lisy polarne powędrowały na północ, czyli do Skandynawii, a kozice – w góry. Tak samo nasze tatrzańskie kozice oddzieliły się od krewnych mieszkających w innych częściach Europy i Azji.



Gody kozic zwane gonami przypadają na koniec jesieni i początek zimy. Są szczególnie wyczerpujące dla capów

Kozice znakomicie czuły się w epoce lodowcowej, bo są świetnie przygotowane do takich zimowych warunków. Ludzie wiedzieli o tym od dawna, ale nie zawsze wyciągali z tego właściwe wnioski. Otóż kiedyś myślano, że zakrzywione rogi kozic, zwane zresztą hakami, służą kozicom do zaczepiania się na urwistych skalnych lub lodowych krawędziach. Nic z tych rzeczy! Nikt nie widział kozicy wiszącej na rogach. I pewnie nie zobaczy.

Za to zimowe futro kozic tak dobrze izoluje, że nawet śnieg nie topi się na nim. Kolor futra też ma kolosalne znaczenie. Rude kozice robią się zimą niemal czarne, bo ciemny kolor lepiej absorbuje promieniowanie słoneczne i jest im cieplej.

Nawet oczy kozic są przystosowane do życia na śniegu. Ich źrenice mogą się zmniejszyć do naprawdę małych dziurek i wpuszczać bardzo mało światła – dzięki temu kozice nie ślepną od odbitych od śniegu promieni. A człowiek, jeśli w słoneczny dzień na śniegu nie zasłoni oczu okularami albo goglami, to może nabawić się śnieżnej ślepoty. Światło odbite od śniegu powoduje oparzenie siatkówki i utratę wzroku. Na jakiś czas lub na zawsze. Dlatego właśnie Inuici, czyli ludy zamieszkujące najdalszą Północ, nosili kiedyś okulary zrobione z kości renifera z wyciętą szparką.

Mgła

Jesienią, a właściwie o każdej porze roku, może was w górach zaskoczyć mgła. Nie ma się czego bać, bo mgła to nic innego jak drobinki wody w powietrzu. Różnica między mgłą a chmurami jest taka, że mgła zwykle dotyka powierzchni ziemi. Powstaje, gdy wychładza się powietrze i para wodna zaczyna się skraplać. Dlatego zwykle mgły powstają wieczorami, gdy ciepłe powietrze nagrzane przez ziemię styka się z zimnym. Mgły mogą też powstać, gdy masy cieplejszego powietrza zetkną się z zimnym gruntem, na przykład wtedy, gdy jest śnieg, a temperatura powietrza jest powyżej zera. Bywają takie mgły – i nie ma w tym przesady! – że ledwo widać czubek własnego buta.

Podczas mgły w górach wasza uwaga powinna się skupić wyłącznie na oznakowaniach szlaku. Tylko to jest pewne! Ufność w możliwości GPS-u może was drogo kosztować, bo wystarczy parę metrów i już jesteście poza szlakiem, a to w Tatrach może oznaczać śmierć. Gdy mgła jest taka, że nie widać ani szlaku, ani jego oznakowań, lub wiecie, że zeszliście ze szlaku, należy usiąść i mgłę przeczekać. Zwykle pierwszy wiatr ją rozwieje, a brnięcie w takiej sytuacji, bez żadnej widoczności, jest bardzo niebezpieczne.



NIE ZGADNIESZ, CO POTRAFI KOZICA!

Racice kozic mają ostre krawędzie, a w środku są miękkie – krawędzie działają dzięki temu jak raki, a miękka część jak poduszka antypoślizgowa. Między piętami z tyłu racicy rozpięta jest skóra, która pełni funkcję rakiety śnieżnej, gdy zwierzę przedziera się przez głęboki śnieg.

Jeśli chodzi o zdolność do wysiłku, kozice są rekordzistami na skalę olimpijską. Ich serce to superpompa – waży 400 gramów, podczas gdy sama kozica tylko około 40 kilogramów. U dorosłego człowieka, który zwykle jest dwa razy cięższy, serce waży około 300 gramów. We krwi kozic jest też trzy razy więcej czerwonych krwinek, odpowiedzialnych za transport tlenu, niż u nas. Natura zaopatrzyła kozicę najlepiej, jak tylko mogła, na te trudne warunki. Tylko nie myślcie, że raki, liny, czekany, kurtki, polary oraz buty sprawiają, że zaczniecie się poruszać po górach jak kozice. Nic z tego, i to z prostego powodu – nawet nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, co w górach naprawdę potrafią kozice!

W miesięczniku „Tatry” leśniczy Stanisław Wierzbanowski opisał, jak 29 lipca 2006 roku załoga leśnicówki w Kuźnicach została wezwana na ratunek młodej kozicy, która utknęła na jednej ze skał Nosala. Rzeczywiście na małej skalnej półce stała kozica i nie mogła się ruszyć. Półka była tak mała, że zwierzę nie mogło się na niej nawet położyć. Mnożyły się pomysły, jak je ratować – na przykład dwóch ratowników miało się spuścić na linach i zmusić kozicę do skoku na wyższą półkę. Pod 20-metrową ścianą rozpięto sieć, która miała zamortyzować ewentualny upadek zwierzęcia. Po dwóch dobach debat nad planem akcji ratunkowej, która mogłaby się skończyć tragicznie dla ludzi i zwierzęcia, kozica, znudzona obserwowaniem krzątających się wokoło ludzi... wskoczyła na inną półkę i zaczęła spokojnie skubać trawę. Cztery dni później poszła sobie z Nosala bez niczyjej pomocy.

Jak wybrać buty na wyprawę w góry?

Buty na wyprawę w góry zawsze muszą być za kostkę. Nie chodzi tylko o to, że trzymają kostkę i trudniej skrócić nogę, lecz także o to, że przy schodzeniu noga opiera się wygodniej w takich butach. Podeszwa musi mieć wibram przystosowany do chodzenia po skałach. To ważne, bo tatrzańskie kamienie potrafią być ostre i śliskie. W źle dobranym bucie bardzo nieprzyjemne jest stuknięcie o kamień – potwornie bołą palce. Można uniknąć kłopotów, wiedząc, jak wybrać buty, już w sklepie. Muszą być trochę większe – o numer lub półtora. Tak by było w nich trochę luzu, nawet jak będziecie mieć grubą skarpetę. Najlepszym testem jest stanięcie na jednej nodze i stuknięcie palcami drugiej w podłogę. Jeżeli poczujecie mocne i nieprzyjemne uderzenie w palce, to znaczy, że but jest albo za mały, albo kształt niezbyt odpowiada waszej stopie.

But nie powinien nigdzie uciskać. Przed wybraniem się w góry warto pochodzić w nowych butach, by zobaczyć, czy nie obcierają. Dobrze je

zaimpregnujcie specjalnym preparatem, by były wodoodporne. Wędrówka w mokrych skarpetach to koszmar i szybko można sobie odparzyć stopy. Bolesne doświadczenie, którego lepiej unikać.



JAK PODGLĄDAĆ KOZICE?

W całych Tatrach mieszka około tysiąca kozic, z czego po polskiej stronie – około 300. Większość z nich jest pewnie przyzwyczajona do widoku ludzi, ale pamiętajcie, że dla kozic, które prześladowaliśmy przez setki lat, takie spotkanie zawsze jest stresujące. Nawet jak przed nami nie uciekają, to często wydają wtedy taki dziwny dźwięk – coś między fuknięciem a gwizdnięciem. Oznacza to, że są zaniepokojone.

Najłatwiej i najlepiej podglądać kozice ze szlaku. Wiedzą wtedy, że wszystko jest w porządku. Człowiek schodzący ze szlaku jest dla kozic podejrzany. Bo kto tak robi? Może kłusownik? Gdy czują się bezpieczne, mogą podejść nawet na kilka metrów. Wystarczy wtedy spokojnie stać albo przysiąść. Nigdy nie idźmy za kozicami, bo to je może spłoszyć. Mało tego, pamiętajcie, że tam, gdzie kozice dają sobie radę, wy albo nawet bardzo doświadczony taternik możecie mieć kłopoty z poruszaniem się.

W Tatrach kozice można zobaczyć właściwie wszędzie. Ja mam swoje ulubione miejsca. Jedno to szlak wchodzący z Doliny Kościeliskiej na Ciemniaka i później inne szczyty zaliczane do Czerwonych Wierchów. To jednak miejsce dla naprawdę wytrawnych turystów i dobrych piechurów. Zanim wyjdzie się w obszar skał i hal, na których mogą być kozice, trzeba długo wędrować przez las. Tam kozic raczej nie zobaczycie, bo one do lasu wchodzi wyłącznie zimą, a i to wtedy rzadko i tylko do tego położonego bardzo wysoko.

Drugie moje ulubione miejsce to rejon Kasprowego Wierchu. Tu kozice możecie zobaczyć nawet tuż przy samej stacji kolejki. Fajna jest też krótka wycieczka w kierunku przełęczy Liliowe. Gdy się podchodzi do tej przełęczy lub schodzi z niej szlakiem w kierunku Hali Gąsienicowej, bardzo często można na nie trafić. Wyżej i dalej w kierunku Świnicy i Orlej Perci nie chodźcie. Choć jest to otwarty szlak, to jest on bardzo niebezpieczny, szczególnie jesienią, i wiele osób straciło tam życie.

Mam też dla was ciekawostkę. Mała grupka kozic żyje także w masywie Śnieżnika w Sudetach. Nie jest to naturalne miejsce ich występowania, zostały tam przywiezione z Alp ponad sto lat temu i już się zadomowiły.

Gdy widzimy, jak kogoś porwała lawina...

Dokładnie obserwujemy, jak schodzi lawina, i próbujemy określić, gdzie jest

porwany człowiek. Gdy lawina się zatrzyma, odczekujemy jeszcze minutę, by mieć pewność, że nie schodzi następna, i dzwonimy do służb ratowniczych. Nie czekamy na ich przybycie, ale natychmiast ruszamy z pomocą. Szukamy miejsc, gdzie na powierzchni widać czapkę, rękawiczkę czy cokolwiek innego. Tam może być także człowiek.

Ofiarę lawiny musimy jak najszybciej wykopać. Liczy się każda sekunda. Jeżeli kiedyś będziecie myśleć poważnie o narciarskich lub turystycznych wyprawach w góry zimą, powinniście być wyposażeni w tzw. pieps lawinowy albo detektor lawinowy. Małe urządzenie, które pozwala namierzyć zasypanego. Wychodząc w trudnych warunkach w góry, każdy powinien mieć przy plecaku łopatę śnieżną i sondę lawinową, czyli specjalną składaną tyczkę długości kilku metrów służącą do nakłuwania śniegu. Aby dobrze się nią posługiwać, trzeba być jednak przeszkolonym.



Nigdy nie lekceważcie ostrzeżeń przed lawinami

Gdy porywa nas lawina...

Uratowanie się z lawiny to nie jest prosta sprawa. Gdy widzimy, że schodzi na nas i nie mamy szansy ucieczki lub schowania się za załomem skalnym, to musimy zrzucić plecak, odrzucić kijki i zapiąć dokładnie kurtkę. Mamy na to sekundy albo ułamki sekund, więc nie ma

co się zastanawiać i trzeba działać.

Gdy dostaniemy się w lawinę, starajmy się tak jakby płynąć i znaleźć się jak najbliżej jej powierzchni. Plecak i kijki to utrudniają. Poruszajmy całym ciałem. Gdy czujemy, że lawina się zaraz zatrzyma, trzeba zamknąć usta, a rękami wybić sobie wokół nich jak największą wolną komorę w okolicach twarzy, lub próbować ręce ułożyć przed twarzą, tak żebyśmy mieli czym oddychać. Jeżeli udało się nam zapiąć kurtkę, to dobrze, bo wychłodzenie to jedna z głównych przyczyn śmierci w lawinie. Starajmy się spokojnie oddychać, bo teraz najważniejszy jest spokój. No i czekamy na pomoc.



Raki i czekan, czyli jak chodzić po lodzie

Wyróżnić boleśnie siedzeniem w coś twardego o tej porze roku wcale nie jest trudno, dlatego pamiętajcie o kijkach. W górach lepiej mieć cztery punkty podparcia, a nie tylko dwa. Zdradliwy jest śnieg – nie ten głęboki, ale taki na kilkanaście centymetrów, pod którym jest mokra trawa. To superśliska mieszanka. Nie traficie na nią, jeśli zostanieecie na szlaku, bo na szlakach nie ma raczej traw. Za to mogą być oblodzone kamienie. Nawet gdy te w słońcu są suche, to te w cieniu to już inna historia. A lód w górach to przekleństwo.

Jeżeli szlaki są oblodzone i TOPR albo park narodowy ostrzegają, by nie wychodzić w góry, to tego nie róbcie. Raz wpakowałem się na taki oblodzony szlak i zapamiętam to do końca życia. Uszedłem może 200 metrów i wracałem na czworaka. Z duszą na ramieniu. Dlatego gdy zauważycie, że początek szlaku jest oblodzony, wracajcie! Nigdy nie zakładajcie, że dalej będzie lepiej, bo zwykle jest gorzej i kijki nie pomogą. Pomóc mogą, owszem, raki, ale powiem wam coś od razu – jeżeli nie wiecie, jak z nich korzystać, to lepiej, żebyście nie próbowali w tych okolicznościach. Jesienią lód jest cienki. Zresztą nie wystarczy przypiąć raki do butów, trzeba się nauczyć w nich chodzić!

Takie przeszkolenie przeszedłem na Spitsbergenie i wcale nie było proste. Raki to kolce, które wbijając się w lód, powodują, że się po nim nie ślizgamy, ale jesteśmy o ładnych parę centymetrów wyżsi i przez to mniej stabilni. To trochę tak jak z chodzeniem na obcasach. Poza tym, jeżeli stawiamy nogi zbyt blisko siebie, to możemy kolcem zaczepić o rak lub spodnie i wywrotka gotowa.

Upadek w rakach jest groźniejszy niż bez nich, ponieważ jesteśmy o te parę centymetrów wyżsi i środek ciężkości mamy gdzie indziej. Koziołkujemy więc w zupełnie nieoczekiwany dla nas sposób. Jeżeli już idziemy w rakach po śniegu i nie zwracamy uwagi, czy śnieg nam ich nie oblepił, to może się okazać, że zamiast kolców na butach mamy śnieżną,

śliską bambułę. I znowu leżymy. To dlatego, gdy chodzi się w rakach, zawsze trzeba mieć przy sobie czekan. Raki i czekan to taka nierozłączna para. Gdy dojdzie do koziołkowania w rakach, jedną z niewielu szans na zatrzymanie się jest zabicie czekana. Oczywiście nie chodzi o jego uśmiercenie, ale wbicie w śnieg, glebę lub skalną szczelinę.

Co z tzw. raczkami albo antypoślizgowymi nakładkami na buty? Są dobre, gdy chcemy przejść się po śliskiej drodze gdzieś na płaskim, ale nie pakowałbym się w nich na oblodzone tatrzańskie szlaki.



Raki i czekan mogą nam uratować życie - pod warunkiem, że wiemy jak ich używać

Plecak tropiciela

Spójrzcie do letniej części, gdzie opisałem, że w górach niezbędny jest gwizdek. Przydaje się do wzywania pomocy. Pamiętajcie, sześć gwizdnięć lub innych sygnałów, na przykład świetlnych, na minutę, czyli jeden co 10 sekund, jest wołaniem o pomoc. Nie zapomnijcie o numerach alarmowych 112 i TOPR 601 100 300. Do plecaka zapakujcie też folię NRC i latarkę.

Wychodząc jesienią w góry takie jak Tatry, musimy być przygotowani nawet na zimę. Nie zapomnijcie więc ciepłej czapki, rękawiczek, polaru oraz kurtki przeciwdeszczowej (idealna to taka także wiatroszczelna). Warto

mieć w plecaku dodatkową zmianę skarpet i bielizny zapakowanych w folię. Przebranie się po wyprawie na kozice w suche ciuchy gdzieś w ciepłym schronisku to idealny finał tropienia. Zapakujcie także batoniki i termos. Jeżeli macie nowy termos, pamiętajcie, że zwykle trzeba go dobrze przepłukać wrzątkiem. Zapoznajcie się wcześniej z możliwościami termosu – wypełnijcie go wrzątkiem i włożcie do lodówki na cały dzień. Dzięki temu możecie ocenić, jak długo będzie trzymał ciepło. Osobiście nie mam dobrego doświadczenia z termosami, które mają w nakrętce dziwaczne mechanizmy do nalewania. Takie rzeczy psują się i dużo lepszy jest zwykły odkręcany termos.

Do wypatrywania kozic bardzo się przydaje lornetka. Nie musi mieć wielkiego zbliżenia, ale warto, by była lekka. Przecież wszystko to będziecie musieli nieść na plecach. Uff, to chyba wszystko...





Bieszczady jesienią są najpiękniejszymi górami na świecie. Mienia się tysiącem kolorów – są czerwono-rudo-żółto-zielone, bo takie kolory mają liście i igły rosnących tam drzew. No i pachną, i to jak! Wszędzie unosi się woń grzybów: prawdziwków, rydzów, no i czosnkowy zapach twardzioszków czosnaczków, śmiesznych grzybków z cienką nóżką.

Zanim wyruszymy jednak w te kolorowe i pachnące bieszczadzkie lasy, muszę was ostrzec. Nie chodzi o to, że może się wam przydarzyć jakaś niebezpieczna przygoda. Nic z tych rzeczy. Nie grozi wam nic ponad to, co może spotkać turystę o tej porze roku w górach. Musicie być za to przygotowani na ryki, jakich nigdy jeszcze nie słyszeliście. Jesienią w Bieszczadach będzie głośno!

To najpotężniejszy ryk, jaki wydają nasze zwierzęta. U ludzi, którzy mają odrobinę wybujałą wyobraźnię, przywołuje on na myśl potwory, a u innych powoduje, że ciarki przechodzą im po plecach. To ryk, który sprawia, że wielu wdrapuje się na drzewa, bo myślą, że czai się na nich niedźwiedź, choć niedźwiedzie ryczą rzadko i nie tak głośno. To też nie jest ryk wilków, jak twierdzą niektórzy (równie przestraszeni), bo przecież wilki nie ryczą, tylko wyją! To będzie ryk potężny, często przerażający, pełny siły i mocy, czyli ryk... jelenia. Bez względu na to, co podpowiadała wam wyobraźnia, nie martwcie się, to naprawdę tylko nasz pocziwy, roślinożerny jeleni!

Skoro jesteście już psychicznie gotowi na wyprawę, to ruszamy.

Wśród zapachu grzybów w bieszczadzkich lasach poczujecie jeszcze jeden. Niektórzy mówią, że to zapach piżma, ale to nie to. Nie przypomina żadnego ze znanych nam zapachów. Powiem wam tylko, że tak pachnie dzikość i miłość. Ten dziwny zapach wydzielają byki, czyli jeleni panowie, i nie sposób się nie zatrzymać, gdy go poczujecie. To znak, że rykowisko, jeden

z najbardziej fascynujących spektakli w przyrodzie, już się zaczęło. To także jedno z najważniejszych wydarzeń w życiu jeleni, bo jego efektem są śliczne nakrapiane jelonki, które przychodzą na świat w połowie maja.

POGODA NA JELENIE

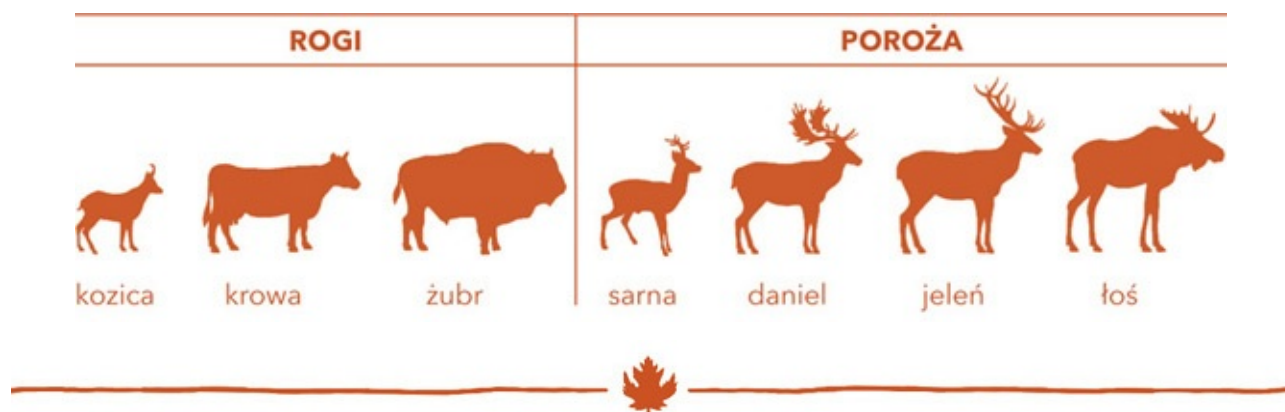
Zanim jednak wyruszyście w góry na poszukiwanie ryczących jeleni, sprawdźcie dokładnie prognozy pogody. Jelenie to meteopaci, czyli takie stworzenia, które robią wiele rzeczy w zależności od pogody. Ja też trochę jestem meteopatą, bo jak jest niskie ciśnienie, a na dodatek jest gorąco, to najchętniej nic bym nie robił, a czasami jeszcze boli mnie głowa. Wiele zwierząt też tak ma i niechętnie się w ogóle rusza, gdy jest niskie ciśnienie. Co innego, jak są pogoda wyżowa i chłodek. Tak jest też z jeleniami. Żeby rykowisko zaczęło się na dobre, musi być przynajmniej jeden dzień z przymrozkiem i dobrą pogodą wyżową. Im wyższe ciśnienie, tym lepiej.

Taki przymrozek łatwo zauważyć na nizinach – bo albo jest, albo go nie ma. W górach może z nim być bardzo różnie. Przymrozków może nie być w dolinach, a gdzieś wysoko, na bieszczadzkich połoninach, już są i wtedy jelenie wędrują właśnie tam. I tam będą ryczeć. Grzesiek Leśniewski, który fotografuje przyrodę w Bieszczadach, opowiadał mi, jak jelenie ryczały na początku rykowiska, czyli we wrześniu, właśnie na połoninach, bo tam było chłodniej. Na szczęście zresztą dla nich, bo połoniny są w parku narodowym i myśliwi, którzy uwielbiają polować na jelenie podczas rykowiska, mieli utrudnione zadanie.

Kto ma rogi, a kto poroża?

Gdy słyszę, że jeleni ma rogi, to chce mi się ryczeć jak jeleni. To nieprawda! Rogi mają krowy, żubry i kozice. Natomiast jelenie, sarny, danieli i łosie noszą na głowie poroża. Jaka jest różnica? Otóż zasadnicza. Rogi tworzy tkanka rogowa – tak samo jak nasze paznokcie czy zwierzęce kopyta i pazury. Rogi narastają całe życie i nigdy nie odpadają, chyba że zwierzę złamie sobie róg i wtedy już nie odrośnie. Rogi – choć różnych kształtów – mają zarówno samce, jak i samice. Natomiast poroże to wyłącznie ozdoba samców, z wyjątkiem reniferów, które mają poroże bez względu na płeć. Poroże mają więc byki, czyli samce jeleni, danieli oraz łosi, i kozły saren. Rogi nie są ukrwione, natomiast poroże, które jest tkanką kostną, już tak. Zasadnicza różnica polega na tym, że poroże co roku odpada. W zależności od gatunku odbywa się to albo późną jesienią (u łosi), albo wczesną wiosną (u jeleni). Takie zgubione poroże nie jest wcale bezużyteczne. Jeżeli znajdziecie je w lesie, to mu się dokładnie przyjrzyjcie. Zobaczycie ślady małych zębów po uczcie gryzoni: myszy, nornic lub wiewiórek. Kto wie, może poroże gryzły też popielice? Gryzonie podgryzają poroża, bo są one jednymi z niewielu źródeł wapnia w lesie. Tak jak my potrzebują go

do budowy kości. Zresztą dokładnie w tym samym celu obgryzają kości padłych zwierząt. Martwicie się o zwierzę, które straciło poroże? Niepotrzebnie! Poroże odrasta. Nowe na początku jest mięciutkie i zamszowe. Takie jest aż do lata, podczas którego twardnieje, a zamszową osłonę zwierzę wyciera o drzewa. I znowu samiec ma piękną koronę.



PANIE NA LEWO, PANOWIE NA PRAWO

Ani wiosną, ani latem tego, co dzieje się w czasie rykowiska, raczej nie zobaczycie. Jelenie przestrzegają ścisłego podziału na męskie i damskie stada. W damskich stadach są łanie z cielakami, czasami jakiś byczek, czyli samiec, ale na ogół młody. Stado prowadzi najczęściej łania zwana licówką. To starsza łania, której towarzyszy ciele. Natomiast byki, czyli samce, te z wielkimi, wspaniałymi ozdobami na głowach, trzymają się oddzielnie. Czasem chodzą w pojedynkę, a czasem stadami, które przypominają męskie kluby. Widziałem kiedyś wiosną w Bieszczadach stado składające się z 16 jelenich facetów i ani jednej łani.

Taki damsko-męski podział utrzymuje się niemal cały rok, poza jesienią. Bycze stada rozpadają się wtedy i byki ruszają na poszukiwanie łań. Nie są głupie i wiedzą, że do łań nie wystarczy przyjść tak po prostu. Trzeba pokazać, jakim to się jest supersamcem. Supersamiec musi też innym bykom pokazać swoją siłę i dlatego ryczy. Najpotężniej, jak potrafi.



Rykwisko to jedno z najpiękniejszych zjawisk przyrodniczych, jakie znam

Jelenie ryczą na ogół po południu, nocą i nad ranem. Ale bywają dni, gdy ryczą też za dnia. Czasami w lesie słychać suchy i głośny trzask. To znak, że ryczenie nie wystraszyło konkurencji i byki starły się na poroża, by uzyskać kontrolę nad jakimś terenem lub stadkiem łań. Takie zapasy zaczynają się od silnego uderzenia i zwykle nie trwają długo, bo ten, który czuje się słabszy, szybko ucieka.

Ile ma lat i jak się nazywa pan jeleni?

Niektórzy twierdzą, że po porożu możecie z grubsza poznać wiek byka. Najmłodsze nie mają żadnych odgałęzień, tylko proste, małe i spiczaste tyki, przez co nazywają się szpicakami. To byki całkiem młode, bo szpice

pojawiają się w drugim roku życia. Potem przybywa rozgałęzień.

To nieprawda, że z każdym kolejnym rokiem przybywa na każdej z głównych gałęzi poroża jedno odgałęzienie. A to znaczy, że byk, który ma sześć lat, wcale nie musi mieć na każdej odnodze po sześć odgałęzień. Może mieć mniej lub więcej. Poza wiekiem o kształcie poroża decyduje jednak cała masa czynników: pokarm, choroby czy same geny. Stare byki, które mają ponad 15 lat, mogą mieć zaledwie kilka odgałęzień.

Od liczby odgałęzień biorą się za to nazwy byków. Byk, co ma po sześć na każdej z tyk, nazywa się dwunastakiem regularnym, bo w sumie ma 12 odgałęzień. A że w przyrodzie mało co jest regularne, więc czasami takiemu bykowi wyrasta po jednej stronie pięć odgałęzień, a na drugiej sześć, i wtedy mnożymy przez dwa liczbę odgałęzień z tyki, na której jest ich więcej. Czyli jak ma pięć na jednej, a na drugiej sześć, to mnożymy sześć przez dwa i też go nazywamy dwunastakiem, ale nieregularnym.



ZARYCZ NA KONKURENTA

Zwykle jednak słabeuszowi wystarczy usłyszeć ryk rywala. Dlatego jelenie pojedynki najczęściej odbywają się na ryczenie. Dla łań ryk to informacja, który byk nadaje się najbardziej na ojca. Dla innych byków to dowód na siłę rywala. Jelenie jednak nie tylko ryczą – wydają całą gamę odgłosów: od potężnego ryku, przez postękiwanie czy mruczenie, aż po trochę dziwne beczenie. Warto się tym głosom przysłuchiwać, bo może się to nam przydać. Jak namówić jelenie do dania głosu? Możecie spróbować za pomocą specjalnego wabika, który na ogół wygląda jak plastikowa lub gumowa rura, albo po prostu składając dłonie i próbując ryczeć jak byki. Trudne jest nie samo ryczenie, ale robienie tego z odpowiednią mocą. Jak zaryczycie za mocno, to prawdziwy byk może sobie pomyśleć, że lepiej do takiego potężnego konkurenta się nie zbliżać. Jak zaryczycie za słabo, to wtedy byk też nie przyjdzie, bo stwierdzi, że takim słabeuszem nie będzie sobie zawracał głowy.

By zwabić byka, można też udawać przeciwnika i łamać gałązki. One dość często robią to, by pokazać swoją siłę. Ale znowu uważajcie – gdy przesadzicie z tym trzaskaniem, to też nic z tego nie będzie. Jeżeli jednak będziecie mieć trochę cierpliwości i szczęścia, to podbiegnie do was jelen.

ZAKOCHANY ROGACZ I MÓZG OPERACJI

Byki dostają bzika od jesiennej miłości. Nie jedzą albo jedzą bardzo mało, i to przez okres całego rykowiska, czyli czasami nawet przez miesiąc. Nie

interesuje ich nic poza łaniami, no i konkurentami. Teoretycznie więc zbliżenie się do nich powinno być bardzo łatwe. No i jest, ale tylko na początku rykowiska. Wtedy do takiego ryczącego byka możecie podejść, i to bardzo blisko. Nawet jak was dostrzeże, to ruch raczej go zainteresuje, niż wypłoszy. Zupełnie odwrotnie jest z łaniami. Szczególnie te z cielakami bacznie rozglądają się po okolicy i każdy szmer, każdy dziwny ruch lub zapach będzie powodem do ucieczki.

Różne myśliwskie opowieści mówią o bykach z haremami, sugerując, że jelenie mają wiele żon. Ale na temat tego, kto kogo ma, to ja bym polemizował. Owszem, byk broni stada przed konkurentami, ale jak łanie gdzieś chcą iść, to byk grzecznie i posłusznie idzie za nimi. Gdy łanie ruszą biegiem, to byk nie zastanawia się, dlaczego uciekają, tylko rusza za nimi. I kto tu jest mózgiem operacji?

To łanie są naprawdę czujne i to na nie musicie zwracać największą uwagę w czasie podchodzenia do ryczących byków, żeby ich nie wypłoszyć. To, że łanie, choć ciche, są tak naprawdę siłą sprawczą rykowiska, jest także wskazówką, gdzie szukać jeleni. Co prawda byki prawie nie jedzą, ale łanie dbają o kondycję. Trudno im się dziwić – przecież zaraz mają zająć w ciążę. Więc są tam, gdzie jest jedzenie, czyli na łąkach i skrajach lasu. Do lasu wracają, gdy obrodzą żołądźcie (na nizinach) albo bukowe orzeszki (w górach i na północy kraju).

MASKOTKI NIE LUBIĄ PALACZY

Wczesna jesień w Bieszczadach to też świetna okazja do spotkania z pilchami. To niezwykle urocze nadrzewne gryzonie przypominające wiewiórki. Za sprawą długich i mniej lub bardziej puchatych ogonków. Rudą i małą orzesznicę, która żyje w gęstych krzewach, będzie wam raczej trudno zobaczyć, ale koszatkę, żołądnicę czy popielicę – już dużo łatwiej. Są wszędzie tam, gdzie stare dziuplaste drzewa. W kryjówkach spędzają dzień, a gdy nadchodzi zmierzch, ruszają, by się objadać.



Pewnie nigdy nie spotkałbym orzesznicy, gdybym nie wychowywał sierotki tego gatunku



Lubią mieszkać w bukach, ale ponieważ tych jest coraz mniej, szukają sobie schronień zastępczych. Wiele z nich chroni się w starych drewnianych domach, myśliwskich ambonach i budkach lęgowych. Kiedyś, w dawnych czasach, spędziłem noc w starym szałasie i gdy się obudziłem, z przerażeniem stwierdziłem, że właśnie popielice albo koszatki zjadły moje papierosy. Nie zjadły dokładnie, bo to mądre stworzenia, ale obgryzły filtry, których pewnie użyły do wyściółki gniazda. To był wyraźny znak, żebym rzucił ten okropny nałóg.

Dlatego szukając popielic, wypatrujcie wszystkich konstrukcji z dużą liczbą zakamarków. Najpewniejszym jednak testem na sprawdzenie, czy mieszkają gdzieś popielice, jest pozostawienie jakichś smakołyków na noc lub dwie. Świetnie się nadają rozłupane orzechy włoskie, pestki dyni lub – absolutny przysmak popielic – masło orzechowe. Wystarczy odrobinka w różnych miejscach, gdzie trochę wyżej, na jakiejś belce. Jeżeli się okaże, że przynęta zniknęła, to znaczy, że w takim miejscu warto się zacząć.

We wrześniu i w październiku popielice wychodzą ze swoich kryjówek tuż po zmierzchu. Nawet nie musi być specjalnie ciemno. Jeżeli uda się wam zobaczyć te zwierzątka, będziecie naprawdę zachwyceni – wyglądają, jakby wymyślił je producent najbardziej milusińskich maskotek.

Bieszczadzkie menu

W Bieszczadach można się zająć znakomitymi orzechami laskowymi, ale nie tylko. Warto spróbować odrobinki orzeszków bukowych, czyli bukwi. Do późnego lata lub wczesnej jesieni ukrywają się zamknięte w specjalnej torebce, która wygląda jak kolczasta kulka. Gdy się otwiera, wypadają z niej dwa lub trzy orzeszki. Wyglądają jak wielkie pestki jabłka – z tą różnicą, że składają się z trzech ścianek. Na pewno je znajdziecie pod bukami. Szczególnie w roku bukowej obfitości, który zdarza się raz na cztery lata. Wtedy pod drzewami jest ich cała masa.

Rozłupcie delikatnie takiego orzeszka i zjedzcie. Całkiem dobry, prawda? Nie tak dobry jak laskowy, ale zawsze coś. Kiedyś ludzie je prażyli i dodawali do mąki, bo zjedzenie na surowo większej ilości może spowodować zawroty głowy. Orzeszki poza substancjami odżywczymi mają też takie, które nam nie służą, choć jelenie i popielice mogą się nimi zająć do oporu. Dlatego spróbujcie dwa lub trzy i na tym koniec!



Popielice jesienią objadają się na potęgę – różnymi orzechami, owocami, liśćmi i pędami. Jedzą jak szalone i w ciągu miesiąca mogą przytyć nawet dwukrotnie. Masa ciała, która normalnie waha się od 30 do 91 gramów, może skoczyć do 200, a według niektórych nawet do 300 gramów. Takie tłuste popielice pod koniec października zapadają w głęboki sen zimowy.

Zanim się to stanie, wyprowadzają się z dziupli, ambon oraz domów i szukają norek pod powierzchnią ziemi. Tam temperatura ich ciała obniża się do temperatury otoczenia, liczba oddechów i uderzeń serca spada do kilku na minutę i w takim stanie starają się przetrwać do kwietnia lub maja.

Mało kto wie, że popielice przez starożytnych Rzymian były uznawane za przysmak i delikates. Mieli oni nawet specjalne gliniane słoje lub garnki zwane glirariumi (glis to po łacinie właśnie popielica), w których je tuczono. Nasi przodkowie też musieli je podjadać, bo resztki popielic znajdują się w różnych prasłowiańskich osadach. Dziś oczywiście nikomu nie jest w głowie jedzenie popielic – ponieważ przetrzebiliśmy liściaste puszcze, ten gatunek trafił do czerwonych ksiąg zwierząt ginących. Co więcej, z wielkim wysiłkiem są one reintrodukowane, czyli wprowadzane na nowo, w wielu miejscach, na przykład w Puszczy Bukowej w Szczecińskim, gdzie program przywracania tego gatunku prowadzi przyrodnicy z towarzystwa Salamandra i naukowcy z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jadalne popielice pozostawiły jedynie ślad w języku angielskim, w którym nazywają się fat lub edible dormouse, czyli tłuste lub jadalne koszatki.

Człowiek liść

Jeżeli znacie miejsca, gdzie regularnie przychodzą jelenie, możecie się na nie zacząć. Musicie tylko odpowiednio się zamaskować. Namiot czy szałas nie są najlepszym pomysłem, bo nie dają wam możliwości ruchu. Oczywiście tak ukryci jesteście zupełnie niewidoczni, ale czając się na jelenie, nie jest to aż takie ważne jak przy płochliwych i dysponujących znakomitą wzrokiem ptakach. Ja do fotografowania używam specjalnego ubrania maskującego. To spodnie, kurtka oraz kominiarka zrobiona z cienkiej siateczki obszytej odstającymi gałgankami przypominającymi liście. Nazywam to ubraniem człowieka liścia lub człowieka krzaka. Takie ubrania zwane kombinezonami snajperskimi można kupić, ale można je też bez trudu zrobić. Wystarczy przyszyć gałganki w naturalnych kolorach, czyli brązowym, ciemnoszarym lub zielonym, do starych spodni lub kurtki. Bardzo ważna jest też kominiarka z wycięciem na oczy, bo to, czego się boi wiele zwierząt, to ludzka twarz. Im mniej widoczna, tym lepiej. Dobrze, żeby ubrania, które będziecie obszywać, były jak najcieńsze i przewiewne, ponieważ po dołożeniu gałganków tworzy się kolejna warstwa ubrania i w czymś takim może być bardzo gorąco!

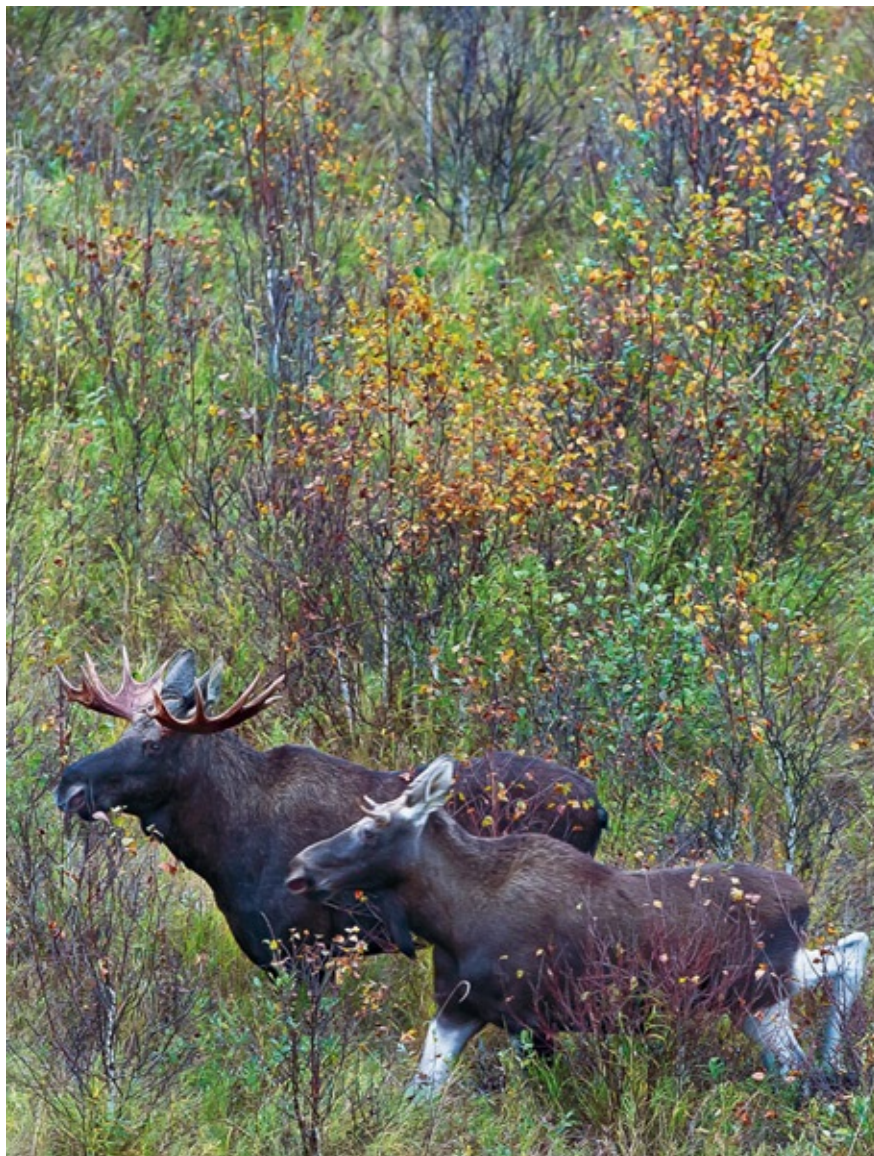




Taki kombinezon maskujący zacierza kształty człowieka i sprawia, że wygląda się jak omszały pień.
Tu mój przyjaciel Andrzej Załęski

Bukowisko i bekowisko, czyli zaloty rogaczy

Zanim na dobre rozpocznie się rykowisko, już na bagnach startuje bukowisko. Nie ma nic wspólnego z bukami, to po prostu okres godowy łośi. Łosie to najwięksi kuzyni jeleni i w Bieszczadach raczej ich nie spotkacie, gdyż lubią bagna i niziny. Na nie najlepiej ruszyć nad Biebrzę, do Puszczy Augustowskiej lub Kampinoskiej. Bukowisko zaczyna się zwykle już na początku września i czasami trwa jeszcze w październiku. Łosie byki nie są tak głośne jak ryczące jelenie, bo zamiast ryczeć... stękają. Innym okresem godowym jest zaczynające się w październiku, a kończące w listopadzie bekowisko, czyli zaloty danieli. Daniele też są kuzynami jeleni i pochodzą z południa Europy. Żyją tylko w tych polskich lasach, w których pomaga im człowiek, na przykład dokarmiając je. Inaczej by nie przetrwały, bo nie są przystosowane do życia w naszym klimacie. Byki danieli nie dość, że beczą, to jeszcze wykopują specjalne dołki, do których wabia samice, by uprawiać tam z nimi miłość. W środku lata, od połowy lipca do połowy sierpnia, swoje gody ma sarna, czyli najmniejszy kuzyn jelenia. Te gody, podobnie jak w przypadku kozic, polegają na szalonych gonitwach.



Spotkać łosia o rozłożystych łopatach to jest coś!

WILKI BARDZIEJ I MNIEJ MUZYKALNE

Czas rykowiska to nie tylko ryczenie jeleni czy tuczenie się koszałek. Jesień to też czas, kiedy macie największą szansę na usłyszenie wilków. Wilcza wataha to rodzina składająca się z wilka ojca, wilczycy matki oraz ich dzieci. Czasami to potomstwo z kilku lat. Wataha zwykle nie liczy więcej niż osiem wilków. Wilki razem polują, jedzą i odpoczywają, a ich życie to wędrówka po rozległych terytoriach w poszukiwaniu ofiar.

W Bieszczadach ofiarami wilków padają najczęściej jelenie. Wilki polują na nie chętnie w głębokich, wyżłobionych przez strumienie jarach, bo często

słabsze jelenie nie mogą się z nich wydostać na czas i łatwo wpadają w sidła wilków. Polowanie to często praca zespołowa – część watahy nagonia, a część czeka w ukryciu. Po udanym polowaniu wilki wyją.

Wycie jest też sygnałem dla innych wilków, że terytorium jest już zajęte. Zasadniczo wycie jest bardzo ważnym sposobem komunikacji dla wilków. Niejedynym – wilki także drapią i pozostawiają ślady zapachowe tak jak psy. Napiszę wam o tym więcej zimą, gdy na śniegu będzie można zobaczyć wszystko jak na dłoni. Jesienią warto skupić się na wyciu, bo będzie go wyjątkowo dużo.

Wilki wyją właśnie teraz, bo w dorosłe życie wchodzi młode, które przyszedł na świat na początku maja. Mają już pół roku i ruszają na polowania z resztą rodziny. No i uczą się wyć. A przecież żeby się czegoś nauczyć, trzeba to często powtarzać.

Jak posłuchać wilków? Przede wszystkim, wybierzcie spokojną noc. Wilki – podobnie jak jelenie – są meteopatami, więc najlepiej, by noc była wyżowa i pogodna. Co prawda wilki wyją nie tylko nocą i możecie je czasem usłyszeć tuż po zachodzie słońca, ale zdarza się to rzadziej. Zupełnie rzadko i to raczej tylko zimą wyją za dnia.

Znajdźcie więc miejsce, z którego nie słychać odgłosów wsi. Dla niedoświadczonego ucha wycie psów z daleka może być mylące. Fajnie jest stanąć na jakimś wzgórzu, bo wtedy najlepiej się słyszy, co się dzieje w okolicy. Naprawdę warto nasłuchiwać i poświęcić na to kilka nocy, bo gdy usłyszycie wycie wilków, będzie to niezapomniane przeżycie.

Stare wilki wyją przeciągle i melodyjnie. Zupełnie jak w filmach. Natomiast młode będą wyły jak jakaś szalona piekielna maszyna. Zupełnie bez ładu i składu, jakby słoń im nadepnął na ucho. Gdy usłyszycie je z daleka, spróbujcie następnego dnia się do nich zbliżyć. Może upolowały tam jelenia i będą wyły jeszcze raz?

Nie warto wyć. Wilki może i nawet na takie wycie odpowiedzą, ale bardzo szybko się zorientują, że to wyje człowiek. Jak? Po prostu cichutko do was podejść i nawet ich nie zobaczycie. Wystarczy, że was poczną, i już będą wiedziały, że to wasze wycie to oszustwo. I jeszcze jedno – gdy usłyszycie wilki po raz pierwszy, to kolana się pod wami ugną, a zimny pot spłynie po plecach. Wiem to z własnego doświadczenia. Pomyślicie wtedy o tych wszystkich bajdach o złych wilkach. Myślicie? No więc bez obaw! Wilki bardziej boją się nas niż my ich.

Kupa kupie nierówna

W bieszczadzkich lasach mieszka wiele zwierząt. Jak wiedzieć, z kim macie do czynienia? Jeżeli nie widzicie tropów, czyli odcisniętych racic, przyjrzyjcie się po prostu bobkom, czyli – co tu dużo gadać – kupom. Nietrudno je zobaczyć.

Czasami się zdarza, że w tym samym lesie mieszkają sarna, jeleni (jak w Bieszczadach), a czasem nawet jeszcze łoś (w Puszczy Białowieskiej,

Knyszyńskiej, Kampinoskiej czy nad Biebrzą). Kupy wszystkich tych zwierząt są walcowate, choć te łosia chyba najbardziej owalne i oczywiście największe. Mogą mieć dwa lub trzy centymetry długości i zwykle są brązowe. Im bliżej zimy, tym jaśniejsze, bo łosie będą jadły więcej kory. Mniejsze, bo blisko dwucentymetrowe, i bardziej podłużne są te jelenia – są ciemne, czasami prawie czarne, ale też trochę jaśnieją bliżej zimy. Najmniejsze, bo o długości około centymetra, są sarnie bobki. I już zagadka rozwiązana...





Puszcza Białowieska to moje ulubione miejsce na Ziemi. Pisałem o niej w letniej części, piszę w jesiennej i – słowo daję! – jeszcze nieraz wam o niej opowiem. Na początek dobra wiadomość – jesienią będzie nam tutaj łatwiej tropić niż latem. Liście już trochę opadły, gęstwina trochę się przerzedziła, komary nie gryzą już jak szalone, a zwierzęta nieco chętniej ruszają się ze swoich kryjówek.

Co będziemy śledzić tym razem? Giganty! Puszcza to miejsce, w których ich pełno. Myślicie, że chodzi mi tylko o żubry? Otóż nie tylko. Naszą przygodę zaczniemy od podróży w czasie...

Gdyby udało się wam przenieść w czasie i znaleźć się w Europie sprzed 10 tysięcy lat, to spotkalibyście całkiem sporo bardzo dużych zwierząt. Olbrzymie mamuty, czyli krewniaki słoni, nosorożce włochate, dzikie konie, olbrzymie jelenie (w porównaniu z nimi te współczesne są miniaturowe), tury, które być może są przodkami naszego bydła (ale nawet największemu buhajowi, czyli panu krowie, daleko do ogromnego tura). Do tego wielkie niedźwiedzie jaskiniowe i lwy. Tak jest! Europa miała swoje lwy, a nawet hieny, bardzo podobne do tych afrykańskich. No i jeszcze oczywiście żubry.

To całe olbrzymie towarzystwo, zwane naukowo megafauną („mega” oznacza, że coś jest bardzo duże, a „fauna” to zwierzęta), wyginęło w większości właśnie około 10 tysięcy lat temu. Przyczyniła się do tego zmiana klimatu. Nagłe ocieplenie pozwoliło rozpanoszyć się ludziom i nasi przodkowie wybili większość dużych zwierząt. Oczywiście nie od razu.

Lwy prawdopodobnie żyły jeszcze na Bałkanach w czasach, gdy powstawały mity greckie. Wielkie tury przetrwały do 1627 roku, gdy w Puszczy Jaktorowskiej, która rosła całkiem niedaleko od Warszawy, padła ze starości ostatnia krowa. Ostatnie stado dzikich koni – tarpanów, które biegały jeszcze w XVIII wieku po Puszczy Białowieskiej – zostało wyłapane

i pomieszane ze zwykłymi końmi na początku XIX wieku. Te tarpany, które możecie oglądać w różnych hodowlach, tak naprawdę mają tylko domieszkę krwi dzikich przodków. Na początku XX wieku z wielkich zwierząt Europy zostały tylko żubry w Puszczy Białowieskiej i na Kaukazie. Niestety, te na Kaukazie zostały wybite w latach dwudziestych XX wieku, gdy w Rosji szalała wojna domowa, a nasze żubry w Puszczy Białowieskiej wymordowano w większości w czasie I wojny światowej. Ostatnia krowa na wolności została zabita w 1919 roku. Jak to możliwe, skoro wszyscy wiedzą, że żubry żyją wciąż w Puszczy?

RYSY CAŁKIEM PREHISTORYCZNE

Na szczęście w różnych hodowlach i ogrodach zoologicznych przetrwało trochę białowieskich żubrów. Dzięki polskim i niemieckim przyrodnikom (w niemieckich hodowlach było ich najwięcej) w 1929 roku cztery żubry wróciły do Puszczy. Co prawda, nie na wolność, ale do zagrody, ale to zawsze lepiej niż nic. W 1952 roku było ich już tyle, że wypuszczono pierwsze żubry na wolność. W 2016 w polskiej części Puszczy mamy ich około 600 (nie wiem dokładnie ile, bo gdy czytacie tę książkę, może ich być jeszcze więcej).

Jednym słowem, można powiedzieć, że udało się je uratować, choć wciąż żubrów jest bardzo mało. Na świecie jest ich około 6500, z czego blisko 1700 w Polsce. To malutko, jeżeli weźmiecie pod uwagę, że niedźwiedzi polarnych, uznawanych za zagrożone wyginięciem, jest 20 tysięcy. Wolne stada żubrów żyją w Puszczy Białowieskiej, w Puszczy Boreckiej, Knyszyńskiej, w Bieszczadach i okolicach Wałcza.

Wyprawa na żubry to szansa na spotkanie z jedynym zwierzęciem, które biegało razem z mamutami oraz włochoatymi nosorożcami i przeżyło do dzisiaj. Dlatego gdy spotykam żubry, czuję się trochę jak łowca z epoki kamienia łupanego. Zapewniam was, że też się tak poczujecie. Żubry nie tylko są wielkie – największe samce ważą prawie tonę! – lecz także mają w swoim wyglądzie coś prehistorycznego.



Para żubrów. Byk na przedzie z bardziej otwartymi rogami. Krowa z zawiniętymi

Szeleścić czy nie – oto jest pytanie

To ważne, w czym wyberiecie się tropić żubry. Do chodzenia po lesie zieleni raczej nie będzie odpowiednia, bo dno lasu i pnie drzew nie są zielone. Lepsze są ciemne szarości lub brązy – dokładnie takie, jakie mają zwierzęta mieszkające w lesie. Popatrzcie, jakiego koloru są jelenie, dziki, wilki lub żubry.

Nie lubię wszelkiego rodzaju wojskowych ciapek – żadne drzewo ani pień nie jest w ciapki i bardzo wątpię w ich maskujące właściwości. Gdyby ciapki były przydatne, toby je miały wszystkie zwierzęta, a przecież nawet wiele rysi nie jest szczególnie mocno cętkowanych. Gdy trzeba chodzić na tle czegoś w miarę jednolitego, czyli ściany ciemnych drzew, lepiej też być jednolicie ubranym.

Zupełnie inaczej, gdy siedzimy na ziemi w lesie. Wtedy ciapki i wojskowe kamuflaże mogą być przydatne, bo na dnie lasu jest pełno plam. Do takiego siedzenia mam specjalną płachtę w maskujące wzory, którą się przykrywam, lub ubranie człowieka liścia, o którym wam pisałem.

Na łące jest trochę inaczej niż w lesie i tu zieleń może się przydać. Zresztą brzozy, tylko jaśniejsze, też świetnie się sprawdzają. Szczególnie jesienią, wśród pożółkłych roślin. Ważny jest też materiał, z którego jest wykonane ubranie. Nie używam syntetycznych ubrań z membraną, wodoodpornych i podobno oddychających, takich z końcówką „-teks”, jak goreteks czy hydroteks. Bardzo szybko robi mi się w nich gorąco, a poza tym potwornie szeleszczą. Taką kurtkę można jeszcze jakoś znieść, ale spodnie to przekleństwo. Są nieszeleszczące „teksy”, ale bardzo dużo kosztują, więc porzuciłem wszelkie „teksty” dla bawełny z domieszką włókien sztucznych. Jest to mocne jak nie wiem co, przemaka, ale bardzo szybko wysycha. I nie szeleści!

Skradanie się, gdy pod nogami mamy warstwę suchych liści, jest potwornym utrapieniem. Zwierzęta słyszą nas z odległości i szybko uciekają. Dlatego gdy ruszam na żubry, wybieram wietrzną pogodę. Nie huragan czy wiatr, że spadają gałęzie, bo wtedy jest niebezpiecznie, ale taki, by wszystko w lesie szeleściło. Nasze szeleszczenie zginie w masie innych szelestów i zwierzaki nie tak prędko się zorientują, że je tropimy.





Gdy tylko zrobi się wilgotno, kulki purchawek obsypują pnie drzew

JAK NIE POMYLIĆ ŻUBRA Z DRZEWEM?

Wytropienie żubrów nie jest wcale takie łatwe. Choć są ogromne i ich przodkowie pochodzą z niewoli, to te, które – mam nadzieję – spotkacie w Puszczy, świetnie nauczyły się żyć na wolności. Są bardzo czujne i potrafią uciec, zanim je zobaczycie. Wystarczy trzask gałązki pod butem.

Szczególnie trudno zbliżyć się do stad krów, czyli samic z młodymi. Stado dowodzone jest przez doświadczoną krowę, inne oddzielają się od niego tylko na parę dni w maju, gdy przychodzi czas cielenia. Nie liczcie na to, że uda się wam podejść takie stado w lesie. Mnie ta sztuka udała się może z dwa razy w ciągu kilkunastu lat i myślę, że bardziej przez przypadek niż ze względu na moje tropicielskie zdolności. Oczywiście zimą na polu, przy stogach siana, stado można zobaczyć bez trudu, ale podchodzenie do niego w lesie jest skazane na porażkę.

Inaczej jest ze skradaniem się do byków. Mogą one się włączyć w pojedynkę albo w małych stadkach bez wyraźnego dowódcy. Takie stadko widzę co roku od października do czerwca na łąkach przed domem. Czasami chłopaki – bo tak ich nazywam – podgryzają sobie korę lub liście leszczyny w lesie, kilkadziesiąt metrów od skraju łąki. Gdy nie jedzą, to sobie leżą i odpoczywają.

Powiem wam jednak, że wypatrzenie ich w lesie wcale nie jest łatwe. Żubr świetnie zlewa się z otoczeniem. Promienie słońca, szczególnie gdy jest wysoko, przenikają przez korony drzew i tworzą mozaikę plam, co sprawia, że oczy wariują zupełnie, bo raz jest bardzo ciemno, a raz bardzo jasno. Do tego dochodzą wykroty, czyli sterzące z ziemi systemy korzeniowe, które wyglądają jak olbrzymie tarcze, i jeszcze zwalone drzewa, których w Puszczy jest dużo. Gdy taki żubr położy się za czymś takim, to można przejść 20 metrów od niego i go nie zauważyć. Zresztą spójrzcie na żubra – jest ciemnobrązowy. W lesie wydaje się po prostu czarny. Jest więc czarną plamą, która wygląda jak zwalony pień albo wykrot. Natura świetnie przystosowała żubry do życia w tym środowisku. Nawet ich garb sprawia, że jeszcze bardziej przypominają wykrot. Jak więc znaleźć żubra? Trzeba szukać ciemnej plamy wśród czarnych plam.

Muszę przyznać, że zdarzyło mi się setki razy pomylić żubra z wykretem i wykrot z żubrem. Jest nawet taki jeden wykrot koło mojego domu, który ciągle myślę z żubrem, bo stale zapominam, że jest bardzo podobny do grzbietu żubra. Łatwo więc nie jest, ale przecież prawdziwi tropiciele się nie poddają, prawda?

CO TO SIĘ PIĘTRZY W LESIE, CZYLI POZNASZ ŻUBRA PO KUPIE

Tropienie żubrów warto zacząć od rozpoznania sytuacji – proponuję wam rozpocząć od sprawdzenia skrajów polan. Najlepiej w środku dnia, by nie płoszyć stada, które będzie wtedy odpoczywać gdzieś dalej. Szukamy polan w środku lasu, ale również takich wielkich, na których są wsie. Co nam po polanach bez żubrów? No więc tropienie żubra zaczynamy od szukania jego kupy.

Z poznaniem jej nie będziecie mieli kłopotu, bo to największa kupa, jaką kiedykolwiek widzieliście. Nawet niedźwiedź, który objadł się niezbyt strawnych jabłek, nie robi większej. Zresztą nic w tym dziwnego, żubr zjada od 40 do 60 kilogramów pokarmu na dobę! Jeżeli znajdziecie świeżą kupę, powie wam ona bardzo dużo – na przykład, gdzie są żubry. Jak to możliwe?

Żubry masę czasu spędzają w lesie, ale tak naprawdę są zwierzętami trawożnymi i nic im tak nie smakuje jak świeża trawa i różne rośliny zielone, a tych więcej jest na otwartych terenach. Wiosną uwielbiają jeść zawilce, które rosną w lesie, i gdy tylko się one pojawią, uciekają z łąk. Ale jesienią zawilców nie ma. Nie do końca wiadomo, czy żubry jedzą turówkę wonną lub turówkę leśną, czyli tak zwaną żubrówkę. Jeżeli już, to na pewno nie jest ona ważnym składnikiem ich diety, na którą składa się ponad 130 gatunków roślin oraz grzybów. Tak, żubry lubią też opieńki. Przepadają za żołędziami.

Jesienią najchętniej jedzą to, co jest na łąkach, nawet bardzo małych w środku lasu. Gdy zielonego jedzenia brakuje, żubry uzupełniają dietę korą z drzew. Im bliżej zimy, tym więcej kory. Żubry ze smakiem zjedzą korę

grabową, lipową, jesionową, olchową, dębową lub nawet świerkową. Ich prawdziwym przysmakiem jest jednak kora osik, szczególnie z okolic korony. Oczywiście gdy osika stoi, to do niej nie dosięgną, ale gdy runie, to pielgrzymują do niej nie tylko żubry, ale również jelenie i łosie. Gdy znajdziecie obgryzione drzewka, to możecie być pewni, że znacie sprawców.

Po kupach łatwo poznać, ile kory, a ile soczystej trawy zjadł żubr. Jeżeli kupa jest płaska jak placek i rzadka, to znaczy, że żubr żywi się głównie na łące. Jeżeli kupa jest wypiętrzona i o konsystencji twardej plasteliny, to znaczy, że żubr całkiem sporo czasu spędza w lesie. Oczywiście najwięcej informacji dostarczy wam świeża kupa. Zimą odróżnienie kupy świeżej od starej nie jest trudne – świeża nie jest zamrożona. Jesienią jest trochę trudniej. Gdy jest chłodno, spróbujcie zbliżyć rękę – jak poczujecie ciepło, to znaczy, że świeża. Żubrze kupy są duże i stygną jakiś czas. Poza tym świeża zwykle ładnie się błyszczy, podczas gdy stara jest matowa.

Jeżeli świeżą kupę znajdziecie nad ranem, to znaczy, że żubry wychodzą na łąkę o świcie. Jeżeli kupa jest zimna i wygląda, że przeleżała noc, to będzie wskazywało na to, że łąkę odwiedzają o zmierzchu. Zwykle jest jednak tak, że na łąkach żubry są od zmierzchu do świtu, a tylko na dzień chowają się do lasu. A im będzie chłodniej, tym więcej czasu będą spędzały na jedzeniu i tym łatwiej można je będzie zobaczyć nawet za dnia.

Dlaczego liście robią się kolorowe?

Zastanawiacie się, dlaczego opadają liście? Odpowiedź jest dość prosta – drzewa w naszej strefie klimatycznej muszą sobie radzić w dwóch bardzo różnych okresach. Latem i wiosną, gdy jest ciepło i jasno, oraz zimą, gdy jest zimno i ciemno.

Jesień to początek tego zimnego i ciemnego okresu, który trzeba jakoś przetrwać. Dlatego drzewa przechodzą w stan spoczynku i zamykają wewnętrzne fabryczki, w których za pomocą fotosyntezy wytwarzały substancje odżywcze. Fotosynteza to reakcja chemiczna, która zamienia dwutlenek węgla i wodę w substancje organiczne przy użyciu światła słonecznego. Do tej reakcji potrzebny jest chlorofil dający liściom barwę zieloną. Wyłączenie tej fabryczki powoduje, że z liścia odpływają substancje odżywcze i powoli umiera. Ponieważ chlorofil ulega rozpadowi, to znika zieleń i liście stają się żółte i czerwone.



Jesień dzięki żółtym i czerwonym liściom może być spokojnie uznana za najbardziej kolorową porę roku

W lesie liściastym co roku na 1 hektar opada od 15 do 30 ton liści. Tak powstaje ściółka. Liście, martwe niewielkie zwierzęta, odchody oraz drobne gałązki, owoce i nasiona to źródło składników odżywczych oraz kołdra chroniąca glebę przed wysychaniem i mrozami. To miejsce życia bakterii, grzybów, pierwotniaków, mięczaków, pierścienic, pajęczaków i owadów. Na 1 metrze kwadratowym leśnej ściółki może żyć około 1,5 miliona roztoczy tylko jednego gatunku.

Ściółka jest też szalenie ważna dla ptaków takich jak: strzyżyki, rudziki, kosy, drozdy. Szukają tam bezkręgowców, czyli pokarmu. Sójki nie tylko przeszukują ściółkę, lecz także chowają w niej pokarm, na przykład żołędzie (tak też je rozsiewają). Grzebać w ściółce lubią też gawrony i orzechówki. Liście to także schronienie dla gryzoni, płazów i gadów. Dlatego ja nie grabię liści w moim ogrodzie, a już na pewno ich nie palę! Bo wtedy nie dość, że zabijamy miliony organizmów, to jeszcze wypuszczamy do atmosfery dwutlenek węgla ocieplający klimat. Jest jeszcze jeden ważny argument przeciwko grabieniu i paleniu liści – tam, gdzie nie grabimy, psie kupy znikają o wiele szybciej, bo są szybciej rozkładane.



KROWA CZY BYK – STRATEGIA ZALEŻY OD PŁCI

Gdy już wiecie, że żubry odwiedzają obserwowaną przez was łąkę, musicie ustalić, czy jest to stado krów z młodymi, czy też grupa byków. Najprościej jest to zrobić po tropach, czyli odciskach racic. Żubry są dużymi i ciężkimi zwierzętami i o ich tropy nie jest trudno. Można je nawet zobaczyć na szutrowych drogach, na których generalnie mało co widać. Z rozpoznaniem tropów żubra też nie będzie kłopotu, bo wyglądają jak... olbrzymie racice.

Wy jednak musicie ustalić, czy będziecie obserwować krowy, czy też byki. Odcisk racic byka jest większy niż krowy, ale to przecież żadne pocieszenie, gdy nie ma się porównania. Dlatego zwracajcie też uwagę na kształt – tropy byków są niemal okrągłe. I – co bardzo ważne – nie mają ostrego zakończenia. Tropy krów są nieco bardziej podłużne i ostro zakończone. To tylko z opisu wydają się delikatne i mało widoczne różnice, ale słowo wam daję, że gdy zobaczycie, to od razu się zorientujecie, o co chodzi, i poznacie, gdzie szła krowa, a gdzie byk.

W zależności od płci żubra wybierzemy strategię ich szukania. Jeżeli znaleźliście tropy krów z cielakami, to musicie zjawić się na łące przed zmierzchem i usiąść gdzieś w miarę z dala. Aby was nie poczuły, koniecznie weźcie pod uwagę kierunek wiatru – ma wiać od strony żubrów, a nie od was! Nawet tak przygotowani nie możecie mieć gwarancji, że czekanie zakończy się sukcesem, bo żubrzyce mogą wyjść na łąkę, gdy będzie już zupełnie ciemno. Jak już wspominałem, krowy są bardzo czujne i płochliwe, dlatego ja zwykle im nie przeszkadzam i ruszam na byki.

Gdy wiem, że na jakiejś łące je sobie trawę stadko byków, ruszam na ich poszukiwania. Zwykle wychodzę albo rano, gdy słońce wschodzi, albo tuż przed zachodem i spaceruję skrajem lasu. Tak by widzieć, co się dzieje i na łące, i w lesie. Żubry zwykle pasą się na łące albo obgryzają korę w lesie. Mogą sobie też leżeć, ale zobaczenie leżącego żubra to wyższa szkoła jazdy i trzeba mieć dobrze wytrenowane oko.

Marsz skrajem lasu ma ogromną zaletę – gdy słońce jest nisko i świeci znad linii drzew, w lesie jest ciemno, a na łące w miarę jasno. Ponieważ idziemy lasem, to nasz wzrok bardzo szybko przywyka do mroku i widzimy znakomicie i to, co dzieje się w lesie, i to, co dzieje się na łące. Z jasnej łąki już nie byłoby tak dobrze patrzeć, bo las wyglądałby jak jedna ciemna plama.

Jeżeli żubry są na łące, a tak jest bardzo często, to zobaczymy je szybciej niż one nas. I o to chodzi. Musicie jedynie zwracać uwagę, by nie stanąć na jakąś gałązkę. Jak trzaśnie, to żubry zwieją. Gdy będziecie w odległości około 50 metrów – bardziej lepiej się nie zbliżać – kucnijcie albo usiądźcie. Najlepiej oprzyjcie się o drzewo lub w ogóle schowajcie za nie, tak byście byli jak najmniej widoczni.

Jeśli żubry was poczuły lub usłyszały i uciekły galopem, nie idźcie za nimi. To bez sensu. W lesie są szybsze od was, poza tym zdenerwowały się i będą teraz bardzo czujne. Cierpliwości. Usiądźcie i poczekajcie godzinę lub dwie.

Uspokoją się i wrócą na łąkę, bo zależy im na jedzeniu. Jeśli nie wyjdą tego samego dnia, to będą następnego. Oczywiście jeżeli nie będziecie za nimi gnać przez pół Puszczy Białowieskiej.

Gdy żubry was zobaczą, ale nie uciekną, tylko nieco odejdą, to znak, że trzeba przestać się zbliżać. Dajcie im się do was przyzwyczaić. Gdy zobaczycie, że straciły zainteresowanie wami i zaczęły jeść albo się położyć, możecie się odrobinę zbliżyć. Kiedy znów się spojrzą, przystańcie. Jeżeli będziecie zachowywać się cicho i unikniecie gwałtownych ruchów, będziecie mogli je obserwować godzinami.

CO ROBIĆ, GDY ZDENERWOWAŁEŚ ŻUBRA?

Wspominałem wam wcześniej, że nie warto się zbliżać do żubrów na odległość mniejszą niż 50 metrów, bo można je spłoszyć. Są byki, do których, gdybyście chcieli, moglibyście podejść znacznie bliżej. Szczególnie wczesną jesienią, gdy buzują w nich hormony, bo trwa jeszcze okres żubrzych godów, i nie boją się nikogo. Moglibyście to zrobić, tylko byłoby to bardzo głupie i mogłoby się okazać bardzo niebezpieczne. Zdenerwowany żubr może zaatakować. Nie słyszałem, by kogoś zabił, ale o kilku poturbowanych i poranionych wiem. To ci, którzy liczyli na swój refleks i szybkie nogi. Żubr jest jednak bardzo szybki i zwrotny. Dlatego lepiej mieć te kilkadziesiąt metrów przewagi. Na wszelki wypadek.

Jeżeli obserwujecie żubry, a szczególnie byki, starajcie się mieć je wszystkie na oku. Wejście między stado też może skończyć się nie najlepiej. Jeżeli któryś idzie w waszą stronę, powoli się wycofujcie. Najlepiej w stronę najbliższych drzew. Cały czas próbujcie też zwiększać dystans, ale róbcie to powoli i bez gwałtownych ruchów. W takim lesie jak puszcza, pełnym gałęzi i korzeni, bieganie skończy się upadkiem.

Żubr nie wydaje żadnych dźwięków ostrzegawczych. Jeżeli grzebie kopytem w ziemi, ma pochylony łeb i kręci ogonem, to znaczy, że jest bardzo zdenerwowany i lepiej się wycofać. Dobrze jest schować się za drzewem. Jakoś nigdy nie musiałem na niego wchodzić. Gdy jesteśmy na otwartej przestrzeni, warto zdjąć kurtkę, plecak lub nawet czapkę. Przy ataku rzucamy coś przed żubra – to może zatrzymać go na chwilę, bo na tym przedmiocie wyładowuje swoją furję. Tak przed atakiem żubrów ratowali się myśliwi, którzy polowali na nie w średniowieczu. Zwykle jednak żubrowi nie chodzi o to, by nas wgnieść w ziemię i wziąć na rogi, tylko żeby postraszyć, i zatrzymuje się po kilkunastu metrach szarży, gdy odchodzimy.

TAM, GDZIE ROSNĄ REKORDZIŚCI

Puszcza to miejsce, gdzie poza żubrami mieszkają też inne olbrzymy. No, może nie mieszkają, ale rosną, bo chodzi o drzewa. Tak jest, Puszcza Białowieska to miejsce absolutnie unikalne pod tym względem – tu rosną

najwyższe i najpotężniejsze drzewa w Polsce. Być może nawet zagęszczenie takich olbrzymów jest tu największe w Europie! Owszem, w innych europejskich krajach rosną większe drzewa, ale nigdzie nie ma ich aż tylu w jednym miejscu. Wbrew pozorom takie olbrzymy nie jest wcale łatwo wytropić. Owszem, grube dęby rzucają się w oczy, ale już strzeliste świerki lub jesiony nie tak bardzo, bo rosną w gęstym lesie. Tak gęstym, że na ogół widać kawałek pnia, a czubek ginie gdzieś w absolutnej zieloności. Dlatego jesień, szczególnie późna, gdy już większość liści opadnie, jest najlepszym czasem na te poszukiwania.

O tych drzewnych gigantach dowiedziałem się od Tomasza Niechody, który jest tropicielem i poszukiwaczem takich olbrzymów. To on odnalazł i zmierzył najwyższe drzewo w Polsce – świerk mierzący 52 metry. Jedna kondygnacja w budynku ma około 3 metrów wysokości, czyli ten świerk jest wysoki jak 16-piętrowy budynek. Zamknijcie oczy i wyobraźcie sobie taką budowlę w lesie. Robi wrażenie, prawda? Albo jesion, który jest o 8 metrów niższy i ma 44 metry wysokości. Tak wygląda właśnie najwyższe drzewo liściaste w Polsce.



Tomasz Niechoda, znawca i poszukiwaczem wielkich drzew, obok Maćka, olbrzymiego dębu z Puszczy Białowieskiej

Najgrubsze białowieskie drzewo w polskiej części Puszczy to dąb Maciek, który ma ponad 7 metrów obwodu. 7 metrów to oczywiście nie jest

rekordowa grubość, bo dąb Napoleon (rósł w Zaborze w województwie lubuskim, ale został spalony przez nieznaną sprawcę w 2010 roku) miał ponad 10 metrów. Podobnie jak dąb Chrobry rosnący w Borach Dolnośląskich oraz słynny dąb Bartek z okolic Zagnańska w województwie świętokrzyskim. Tylko co z tego, że tamte są grube, skoro przy Maćku to liliputy! Maciek ma 41 metrów wysokości – Chrobry jest o 13 metrów niższy, a Bartek aż o 17. Białowieskie dęby nie są grubasami, ale za to są strzeliste! Zresztą właśnie w Puszczy rośnie jeden z najwyższych dębów w Europie – ma około 44 metrów wysokości.

Ile żyje gigant?

Kłopot z określaniem wieku drzewa bierze się stąd, że trzeba policzyć roczne przyrosty, czyli słoje. W Puszczy Białowieskiej taki roczny przyrost u dębu waha się od 1,8 milimetra do 3 milimetrów, licząc w promieniu, czyli od środka pnia do jego krawędzi. Oznacza to, że na grubość taki dąb przyrasta rocznie nieco więcej niż pół centymetra, czyli promień długości metra oznacza ponad 400 lat! Ile taki 400-latek może mieć obwodu? Teraz przyda wam się matematyka!

Mamy promień, czyli r , wynoszący około metra. Teraz trzeba zastosować wzór na obwód koła, czyli $O = 2\pi r$, i tak wychodzi, że ponad 400-letni dąb może mieć około 6 metrów obwodu. To oczywiście tylko teoria, bo w przyrodzie może być zupełnie inaczej. Starsze dęby mogą być cieńsze, a młodsze grubsze, bo bardzo wiele zależy od tego, w jakich warunkach drzewo rośnie.

Śmierć takiego olbrzymiego drzewa jednak wcale nie kończy jego historii. Przyrodnicy mówią, że martwe drzewa są bardziej żywe niż te, które stoją mocno korzeniami w ziemi i mają zielone korony. Na martwym drzewie mogą mieszkać setki gatunków owadów, dziesiątki gatunków roślin, mchów, porostów oraz grzybów. Bez martwych drzew nie byłoby w Puszczy dzięcioła trójpalczastego, który potrzebuje zamierających świerków, czy dzięcioła białogrzbietego, który korzysta z martwych drzew liściastych. Te bardzo rzadkie ptaki żyją dzięki zmarłym drzewom.

Tak naprawdę więc do tego, jak długo żyło drzewo, trzeba dołożyć to, jak długo się rozkłada aż do całkowitego zniknięcia. W Puszczy przyjmuje się, że rozkład może trwać około jednej piątej tego, ile drzewo żyło. Czyli drzewo, które umarło, gdy miało sto lat, będzie rozkładać się dwadzieścia. To też oznacza, że spacerując po Puszczy, możecie trafić na resztki wielkich dębów, które umarły nawet sto lat temu!



Białowieskie drzewa rosną takie duże, ponieważ nikt się tu nimi nie zajmuje. Myślicie, że na zdrowy rozum powinno być odwrotnie? Otóż nie, drzewa rosną duże tam, gdzie muszą walczyć o przetrwanie i światło z innymi drzewami, gdzie nikt im życia nie „ułatwia” wycinką. Tak samo jak na inne organizmy na drzewa czyhają choroby i pasożyty, które powodują, że te najsłabsze giną, a zostają najsilniejsze.

Wśród drzew i ich wrogów trwa tak samo zażarta walka jak między jeleniami a wilkami. Różnica jest jednak taka, że w świecie zwierząt atak na ofiarę i jej walka o życie mogą trwać kilka minut lub kilka sekund, a w świecie drzew – kilkadziesiąt, a czasami kilkaset lat. A walka jest równie bezwzględna.

Większość olbrzymich drzew rośnie tylko na terenach ściśle chronionych, gdzie zwykły turysta nie ma wstępu. To jest wyzwanie dla was! Spróbujcie poszukać takich gigantów poza parkami narodowymi. Trochę ich jeszcze ocalało. Wiem, bo sam odnalazłem niedawno koło domu dwa olbrzymie dęby. Poszukajcie takich drzew w swojej okolicy. Może gdzieś kryje się rekordzista, o którym nikt jeszcze nie wie?

CZY KRÓL JAGIEŁŁO ODPOCZYWAŁ POD DĘBEM?

Na pewno się zastanawiacie, ile lat mają takie olbrzymy. Najstarszy w Polsce jest cis pospolity rosnący w Henrykowie Lubańskim w województwie dolnośląskim. Ten staruszek – w przeciwieństwie do dębów – nie jest wielki. Przed burzą, która w 1989 roku obłamała mu część pnia, miał około 5 metrów obwodu. Jest tylko nieco wyższy od domu jednorodzinnego, który stoi obok. Może jest niepozorny, ale według niektórych może mieć około 1200 lat! Czyli jest starszy niż Polska!

Nie wiercie natomiast w opowieści o tym, że w Polsce rosną dęby, które mają 800 lub 1000 lat! Kiedyś krążyła legenda, że dąb Jagiełły, pod którym król miał odpoczywać, liczył 800 lat. Gdy dąb się wyrócił, okazało się, że miał nie więcej niż 500 i król w czasie polowania w 1409 roku nie mógł się schronić w jego cieniu, co najwyżej mógł na niego nadepnąć. W Puszczy najstarsze drzewa mają 600-650 lat. Dąb Maciek może mieć około 500. By się tego dokładnie dowiedzieć, trzeba by go nawiercać i policzyć słoje, a tego nikt nie chce robić. Zresztą czy 500 lat to mało? Maciek puszczał pierwsze korzenie na początku XVI wieku, gdy nasz świat wyglądał zupełnie inaczej niż teraz, a zakończy żywot za 100 lub 150, gdy nikogo z nas nie będzie na świecie.

Najstarszy na świecie

Pewnie myślicie, że największym i najstarszym organizmem w Puszczy i w ogóle na świecie jest jakieś drzewo, prawda? Otóż błąd. Tę godność piastuje od niedawna opieńka! Tak jest, ten mały grzybek rosnący

na pniach i na drzewach. Pewnie teraz stukacie się w czoło i myślicie, że oszalałem. Nóżka z kapeluszem, czyli to, co widzicie na powierzchni, to tylko mała część grzyba, jego owocniki. Przed naszym wzrokiem ukryta jest rozrośnięta grzybnia, która może być o wiele większa. Opisana w 2003 roku i rosnąca w stanie Oregon w USA opieńka rozrasta się na obszarze prawie 9 kilometrów kwadratowych, może ważyć blisko 700 ton i żyć na Ziemi od 8 tysięcy lat. To jeden organizm! Ustalenie, że grzybki wystające w różnych miejscach pochodzą z tej samej grzybni, było możliwe dzięki badaniom genetycznym.

Podejrzewam, że gdyby takie zrobiono w Puszczy, też czekałyby nas niespodzianki, bo Puszcza to raj dla grzybów. Naukowcy do tej pory znaleźli tutaj blisko około 1900 gatunków grzybów wielkoowocnikowych, czyli takich, których owocniki możemy zobaczyć gołym okiem. Na obszarze około kilometra kwadratowego jest ich ponad 800 gatunków.



Czernidłak gromadny całymi gromadami może obsypać martwe pnie albo wykroty

W Puszczy znaleziono grzyby uznane za dawno wymarłe, na przykład rosnące na martwych wiązach żyłkowiec różowawy, śliczny grzyb o łososiowym kolorze. Znaleziono go w XIX wieku niedaleko Elbląga, potem przepadł i wydawało się, że gatunek ten już nie występuje w Polsce, aż znalazł się w Puszczy. To samo jest z lepkozębem brązowym – grzybem o kolczastym spodzie. Aż 130 gatunków grzybów rośnie tylko w tym miejscu. Niektóre zostały tu odkryte, na przykład kolcowniczek białowieski. Co roku w Puszczy znajduje się też gatunki, których nigdy wcześniej nie widziano w Polsce – jak na przykład cylindrowiec owłosiony.

Jeżeli macie chrapkę na grzyby do zupy, to pamiętajcie o jednym – zawsze zbierajcie je z dorosłymi, którzy się na tym znają. Grzybów z blaszkami na spodzie, jeżeli macie jakieś wątpliwości, lepiej nie zbierać – tu musicie mieć 120-procentową pewność. Bardzo często trujący muchomor sromotnikowy jest mylony z kaniami i gąskami.



BY SOWOM CHCIAŁO SIĘ CHCIEĆ

A może takie olbrzymie drzewa wcale nie są potrzebne i w Puszczy wystarczyłyby drzewa, powiedzmy, średnie? Otóż nie, okazuje się, że wielkie drzewa są sercem lasu. I to sercem, które naprawdę bije, bo podobnie jak serce pompuje życiodajną krew, tak samo wielkie drzewa dostarczają życiodajnego pokarmu.

Puszcza jest tak gęsta, że bardzo mało światła dociera do jej dna. Właściwie zielono jest tam tylko wtedy, gdy pojawiają się kwitnące na biało zawilce i na niebiesko przylaszczki. Ten zielony dywan z niebieskimi i białymi kwiatami znika, gdy liście wyższych pięter lasu odcinają dno lasu od światła.

W lecie pokarmu roślinnego na dnie lasu jest pięć razy mniej niż na przeciętnej łące. Nic dziwnego, że mieszka tam bardzo mało gryzoni. Naukowcy z Instytutu Biologii Ssaków PAN policzyli, że w niektórych latach po ciężkiej zimie może być ich jedynie od kilku do kilkunastu na hektarze. I to wszystkich myszy i nornic razem wziętych! Potem powoli ich liczba rośnie, ale kolejna zima oznacza znów załamanie.

Co 6-9 lat ta pustynia zamienia się w miejsce tętniące życiem, i to dzięki wielkim drzewom, które zrzucają masę nasion. Graby, lipy, a przede wszystkim dęby potrafią zrzuć jesienią nawet 5 ton nasion (głównie żołądzi) na hektar. Nagle miejsce, w którym nie było jedzenia, zamienia się w róg obfitości. Gryzonie zaczynają się mnożyć nawet zimą, bo jesienią było przecież pod dostatkiem pokarmu, i w kolejnym roku wiosną może być ich nawet do 300 na hektar. Zresztą nie tylko gryzonie mają super. Objadają się dziki, które dzięki żołądziom przeżywają zimę wypasione, korzystają też

żubry i sójki.

Po takiej obfitości, wiosną, gdy gryzoni jest bardzo dużo, sóweczki, czyli najmniejsze sowy Europy, wychowują więcej młodych niż zwykle, a sowy włośchatki w ogóle decydują się na założenie rodziny. Włośchatki, gdy gryzoni jest mało, wcale nie mają na to ochoty, a samce, które siedzą w dziuplach, nawet nie zapraszają do nich wędrujących samic. Po co to robić, skoro nie będzie można wyżywić dzieci? Gdy gryzoni jest dużo, samce kuszą samice, wołając ze swych dziupli śmiesznym głosem: „Pu, pu”.

Potem znów przychodzi załamanie, bo żółędzie się kończą i po kolejnej zimie gryzoni jest już bardzo mało. Sowy, kuny i łasice mają znowu fatalnie, ale za to odżywają małe ptaki, takie jak muchołówki. Przy dużej liczbie gryzoni było im trudno, bo podjadały ich jajka i pisklęta. Po kolejnych latach odpoczynku, w czasie których jest bardzo mało nasion, wielkie drzewa znów fundują wielu zwierzętom wielką wyżerkę! I takim oto rytmem żyje Puszcza.

Jak zmierzyć wysokość drzewa?

Jeżeli jeszcze was nie przekonałem, że warto polubić matematykę, to myślę, że mam koronny argument. Jeżeli chcecie zmierzyć wysokość drzewa, to musicie albo kupić bardzo drogie urządzenie laserowe, albo polubić liczenie. Jeżeli wybraliście matematykę, to jeszcze powinniście zaopatrzyć się w kołek mający, powiedzmy, dwa metry oraz taśmę do mierzenia odległości. Metody są trzy.

Metoda cienia

Pierwszą metodę trygonometryczną podaję za stroną miłośnika drzew Piotra Gacha Mojedrzewa.pl. Polega na zmierzeniu w tym samym czasie długości dwóch cieni: rzucanego przez wzorzec, w tym wypadku nasz pionowo wbity kołek (niech długość jego cienia będzie l), i cienia drzewa (niech to będzie L). Ponieważ kąt padania promieni słonecznych na drzewo i na wzorzec jest taki sam, to proporcje cienia do wysokości są takie same u wzorca, jak i u drzewa, czyli $h/l = H/L$, gdzie h to znana wysokość naszego kołka, a H – szukana wysokość drzewa. Skoro znamy wysokość kołka-wzorca h , długość jego cienia l oraz długość cienia drzewa L , to łatwo możemy wyliczyć wysokość drzewa za pomocą wzoru: $H = hL/l$. Niestety, metoda cienia ma wiele wad. Cień nie zawsze jest, czasem pada na obszary niedostępne, a czasem jego granica bywa bardzo nieostra.

Metoda trójkąta na leżąco

Lepsza metoda od poprzedniej. Aby zmierzyć drzewo, kładziemy się na ziemi i ustawiamy tak, aby patrząc jednym okiem, wierzchołek wzorca pokrywał się dokładnie z wierzchołkiem drzewa. Zakładając, że oko „leży na ziemi”, wysokość wyliczamy ze wzoru: $H = h(L+l)/l$, gdzie L to odległość

drzewa od wzorca, l – odległość oka od wzorca, a h – wysokość wzorca. Wadą tej metody jest to, że trzeba kłaść się na ziemi, a dokładność pomiaru nie jest zbyt imponująca, bo nasze oko nigdy nie leży idealnie na ziemi.

Jest dokładniejsza metoda. Od poprzedniej różni się tym, że zamiast leżeć, stoimy, i dlatego musimy jeszcze uwzględnić wysokość w , na której znajduje się nasze oko. W tym przypadku otrzymujemy wzór: $H = (h-w)(l+L)/l+w$.

Metoda fotograficzna

Podaje ją Piotr Gach. Polega ona na zrobieniu zdjęcia drzewa wraz ze znajdującym się tuż przy nim obiektem o znanej wysokości i następnie na obliczeniu wysokości drzewa z proporcji odczytanej ze zdjęcia. Nie jest to jednak zbyt dokładny pomiar, więc podaję to jedynie jako ciekawostkę.

Jeżeli te wszystkie matematyczne wzory bardzo was przestraszyły, to poproście rodziców, by zmierzili wysokość drzewa razem z wami. Zobaczycie, że te łamigłówki okażą się bardzo proste.





Prawda, że wielu z was myśli, że dzięki przyrodę możemy zobaczyć tylko na wschodzie i południu naszego kraju? Ja tak myślałem bardzo długo. Zachodnia i północna Polska, województwo lubuskie, pomorskie i zachodniopomorskie, wydawała mi się przez długi czas zupełnie nieciekawa. To wielki błąd! Nigdzie indziej na nizinach nie płyną rzeki o tak silnym prądzie. Jesienią te rzeki nie tylko są wartkie, lecz także roją się od ryb, które odbywają właśnie coroczną miłosną podróż. Nigdzie indziej nie zobaczycie tak wielkich stad ptaków – widok tysięcy żurawi i gęsi dosłownie zapiera dech w piersiach. Dlatego oficjalnie zachód Polski ogłaszam Dzikim Zachodem. Przyrodnicze atrakcje czekają na ciebie, tropicielu!

Wiecie, co jest według mnie najpiękniejszym obrazem jesieni? Ogromne stada żurawi na tle wschodzącego lub zachodzącego słońca. I nic tego nie zmieni, nawet to, że być może niedługo żuraw będzie tak pospolity jak kura. Tak, kiedy zaczynałem interesować się ptakami, żurawie były absolutną rzadkością. Nie dość, że było ich tyle co kot napłakał, to jeszcze uchodziły za ptaki niezwykle płochliwe i wrażliwe na obecność człowieka. Moi koledzy z przejęciem opowiadali, jak robi się zdjęcia żurawiom w gnieździe – trzeba iść na bagna i brodzić po kolana w wodzie. Od samych opowieści robiło się zimno, bo na tropienie trzeba było wybrać się wczesną wiosną i woda była lodowata.

Szukanie gniazd żurawi nie jest proste, bo budują je one na kępach. Co prawda zaraz po przylocie na miejsca lęgowe, czyli w marcu lub nawet w lutym, strasznie się drą i ich głosy przypominające trąby słychać z paru kilometrów, ale to na łąkach. Tam odbywają się te żurawie zaloty i kłótnie. Jest co oglądać, bo potrafią z ptaków niezwykle dystyngowanych zamienić

się w prawdziwych chuliganów i bez pardonu używać dzioba i skakać po pokonanym przeciwniku – słowo daję, widziałem to na własne oczy!

To wszystko to jednak coś innego niż szukanie gniazda, bo w gniazdach żurawie zachowują się cichutko jak trusie. Mało tego, robią się ostrożne i podejrzliwe. Przynajmniej kiedyś takie były. Podobno wszystko wzbudzało ich niepokój, nie mówiąc o budowie ukrycia, czyli szałas lub namiotu, gdzie można się schować, by je obserwować. Dlatego nie stawiało się od razu całego ukrycia – gdy ktoś namierzył gniazdo, to wbijał kilkanaście metrów przed nim patyk. Tak jest, jeden patyczek i absolutnie nic więcej!

Dopiero po dniu czy dwóch można było dołożyć kolejny patyk – oczywiście tylko wtedy, gdy żurawie zaakceptowały ten pierwszy i nie przerwały budowania gniazda. Potem kolejny patyk i kolejny, następnie powoli gałęzie i trzcinę. Musiałeś być cierpliwy i ostrożny, bo samo podchodzenie z patykiem mogło spłoszyć żurawie. I tak do skutku, czyli do czasu, gdy ukrycie było gotowe i ptaki powoli się przyzwyczaiły, że coś w okolicy ich gniazda się dzieje.

UCZ SIĘ OD ŻURAWI I SŁUCHAJ RODZICÓW

Czasy, gdy żurawie były rzadkością, minęły. Teraz wystarczy im kawałek łąki z podmokłym laskiem w okolicy, a czasami nawet zakładają gniazda tuż przy drogach czy po sąsiedzku z ludzkimi siedzibami. Nie są już takie płochliwe, ale zapewniam was, że wciąż mają bardzo dobre oczy. I bardzo szybko się uczą!

Arkadiusz Sikora ze Stacji Ornitologicznej w Górkach Wschodnich opowiadał mi, że pisklaki już w drugiej dobie schodzą z gniazda i zaczynają szukać pokarmu. Jedzą bezkręgowce, drobne kręgowce i płazy, potem w ich diecie pojawiają się rośliny. Rodzice ich nie karmią, a jedynie pokazują, co nadaje się do jedzenia. Maluchy wyglądają niczym puchate ministrusie i łążą po bagnach z rodzicami, ale na noc długo jeszcze wracają do gniazda. Gdy dorosłe wyczują coś podejrzanego, na przykład kręcące się w okolicy drapieżniki, budują nowe gniazdo, a raczej platformę odpoczynkową. Podobnie jak gniazdo też jest ona otoczona wodą. Maluchy jedzą i rosną. Zwykle już w sierpniu potrafią całkiem nieźle latać i wtedy razem z rodzicami ruszają w podróż. Pamiętacie, jak pisałem wam, że młode bociany na wędrówkę – przez Bałkany, Bliski Wschód i wzdłuż wschodnich wybrzeży Afryki aż na samo jej południe – lecą same? Nikt im nie pokazuje drogi, same doskonale wiedzą, jak i gdzie lecieć. Ich rodzice zostają jeszcze trochę dłużej w Polsce, by się nieco pożywić i odpocząć po trudach wychowywania dzieci. U żurawi jest zupełnie inaczej!

Małe żurawie tak jak my uczą się wszystkiego od swoich rodziców. Łącznie z lataniem. Hodowane przez ludzi zagrożone wyginięciem żurawie amerykańskie i azjatyckie są zachęcane do machania skrzydłami przez człowieka przebranego za żurawia. Wygląda to komicznie, ale innego wyjścia nie ma, bo młodemu żurawiowi mogłoby zająć bardzo dużo czasu, by odkryć

samemu, do czego służą skrzydła. Takie młode wychowane przez człowieka muszą uznać za rodzica... motolotnie. Bo właśnie człowiek lecący na motolotni pokonuje z nimi trasę na zimowiska. Oczywiście tylko raz, tak by ją zapamiętały i mogły pokazać swoim dzieciom.

Nasze żurawie tego problemu nie mają, bo młode uczą się wszystkiego od prawdziwych żurawich rodziców. I właśnie już w sierpniu możecie zobaczyć takie żurawie rodzinke z mamą i tatą z czerwonymi czapeczkami na głowie i szare młode z rudymi głowami. Im bliżej jesieni, tym w coraz większe i większe stada się łączą.



Młode żurawie – to te z rdzawymi głowami – trzymają się rodziców bardzo długo

ŻURAWIE LUBIĄ TOWARZYSTWO

W październiku do naszych żurawi dolatują ich kuzyni z północnych

regionów Europy i stada robią się naprawdę duże. Widać to szczególnie po ich miejscach noclegowych. To tereny na bagnach, rozlewiskach lub torfowiskach, na które zlatują się z okolic klucze żurawi. Takie największe noclegowisko znajdowało się jeszcze do niedawna w Międzyodrzcu na południe od Szczecina. Arek powiedział mi, że kiedyś zleciało się na nie kilkanaście tysięcy żurawi. To robi wrażenie, bo w całym naszym kraju gnieździ się 23 tysiące par!

Sypialni, do których zlatuje się po kilka tysięcy żurawi, jest pewnie w Polsce kilkanaście, większość z nich w północnej Polsce. Jeżeli chcecie zobaczyć klucze żurawi lądujące w zachodzącym słońcu lub startujące o wschodzie słońca, musicie wybrać się na Mazury lub Pomorze – na przykład w okolice Zalewu Szczecińskiego, Słowińskiego Parku Narodowego lub Parku Narodowego „Ujście Warty”.

Park Narodowy „Ujście Warty”, choć nie jest największą sypialnią żurawi, to jest moim faworytem, bo można tam jesienią spotkać także ogromne stada dzikich gęsi oraz niezwykle gustownych łabędzi krzykliwych, które od powszechnie znanych niemych – to te, które pływają w parkach, mają zgiętą szyję w S oraz czerwony dziób – różnią się tym, że mają prostą szyję i żółty dziób.

Jesienią mamy tu rekordową liczbę dzikich gęsi, łabędzi krzykliwych i żurawi. Fajnie jest też wiosną, ale wtedy trudniej trafić na moment, gdy wszystkie ptaki są razem, bo spieszą się na miejsca lęgowe i z dnia na dzień mogą ruszyć w dalszą podróż. Wszystko w zależności od pogody – mrozy przytrzymują je w miejscu, a ocieplenie natychmiast powoduje, że lecą dalej na wschód i północ.

Jesienią nigdzie się nie spieszą i można w Parku Narodowym „Ujście Warty” i jego okolicach trafić na pokaźne stada – przebywają tu od października do grudnia, stycznia, a czasami nawet do początków wiosny. Wszystko w zależności od tego, jak sroga jest zima.



Stada gęsi nad Polską to wiosenny oraz jesienny widok. Są wśród nich gęsi zbożowe, białoczelne i gęgawy

CZEMU ŻURAW STAŁ SIĘ POSPOLITY? ZAGADKA ROZWIĄZANA

Wróćmy na chwilę do żurawi i do tego, dlaczego z ptaków rzadkich stały się niemal pospolite. Otóż według mnie zagadka tkwi właśnie w tym, co dzieje się z nimi jesienią. Dawno temu żurawie odlatywały na zimę do Hiszpanii (tam też udawały się gęsi gęgawy). Wraz z ocieplaniem się klimatu wiele ptaków, zamiast lecieć na Półwysep Iberyjski, podróżuje po prostu z jednego krańca Polski na drugi. Żurawie ze Skandynawii też nie lecą już gdzieś daleko, tylko zatrzymują się w północnej i zachodniej Polsce oraz we wschodnich Niemczech. Coraz cieplejszy klimat i coraz łagodniejsze zimy spowodowały, że czasem żurawie zimują nawet w centralnej Polsce!

Żurawiom i gęsiom wędrującym jesienią pomogły też zmiany w rolnictwie, które nie są najlepsze dla całej masy innych ptaków. Olbrzymie jednorodne pola kukurydzy i zbóż ozimych to dla wielu ptaków pustynie, na których nie można znaleźć ani owadów, ani odpowiednich nasion, ani dobrych miejsc do założenia gniazda. Dla gęsi, żurawi i łabędzi krzykliwych to gigantyczne i bogato zaopatrzone stołówki. Nawet na skoszonym polu kukurydzy zawsze coś dla siebie znajdą.

Żurawie szybko adaptowały się do nowych warunków, bo dłuższa wędrówka oznacza dla nich większy wysiłek i większe ryzyko, że coś się stanie. Krótsze wędrówki i dużo jedzenia sprawiają, że żurawie szybciej i w lepszej kondycji wracają na miejsca lęgowe. To ma też wpływ na liczbę młodych. A więc im jest im wygodniej, tym ich więcej, i tak żuraw stał się ptakiem niemal pospolitym, a w niektórych regionach Polski – zupełnie pospolitym.



Gęś gęgawa to jedyny rodzimy gatunek gęsi zakładający u nas gniazda. Od niedawna robi to też obca berniklę kanadyjską

NIE PCHAĆ SIĘ, KLUCZEM WSZYSCY, KLUCZEM...

Park Narodowy „Ujście Warty” to, jak wskazuje nazwa, miejsce, gdzie Warta wpada do Odry. Warta u ujścia dzieliła się na wiele małych rzeczek, ale zmieniło się to w XVIII wieku, gdy zmeliorowano te tereny i otoczono wałami, i tam, gdzie były bagna oraz podmokłe lasy, powstały pastwiska. Na szczęście nie zniszczono jednej rzeczy – w czasie wiosennych i jesiennych wezbrań wody Odry wciskają się w to, co zostało z delty Warty, i zalewają te tereny. Rolnikom to bardzo nie przeszkadza, ponieważ na takich terenach zalewowych rośnie najlepsza trawa na świecie, a dla ptaków to raj.

Olbrzymie rozlewiska stały się idealnymi miejscami lęgowymi na przykład dla naszych rodzimych gęsi, czyli gęgaw, a jesienią – znakomitym przystankiem dla żurawi oraz lecących z dalekiej Syberii i Skandynawii gęsi zbożowych i białoczelnych. Często widzę, jak lecą w kluczach nad Puszcą Białowieską.

Klucz to taka ptasia formacja przypominająca literę V – może mieć równe ramiona lub jedno ramię dłuższe, a drugie krótsze. Najważniejsze jest to, że w takim szyku jest ptakom łatwo lecieć, bo klucz działa jak jeden wielki obiekt tnący powietrze. Oczywiście najciężej ma ptak lecący na początku i dlatego szyk kluczy cały czas się zmienia. Klucze także dzielą się na mniejsze lub łączą się w większe formacje.

Gęsi lecą bardzo często w nocy i dlatego czasami w ciemnościach możecie usłyszeć delikatne gęganie. Gdy słyszę je nocą w Puszczy Białowieskiej, często dzwonię do Izy i Jacka Englów, którzy mieszkają tuż przy Parku Narodowym „Ujście Warty”, i zastanawiamy się, jak szybko znajdą się one u nich. To trudniejsze, niż się wydaje.

Klucz gęsi leci z szybkością około 60 kilometrów na godzinę, czyli po 10 godzinach lotu powinien być nad głową Izy i Jacka. Oczywiście to nie jest takie proste, bo gęsi zatrzymują się po drodze, by coś zjeść. Poza efektownymi przelotami i pokonywaniem kolejnych setek kilometrów w czasie wędrówki około 80 procent czasu zajmuje im pożywianie się i otluszczenie – tłuszcz to przecież ich paliwo.

Jak się spóźniają, to się nie martwcie – nie zgubiły drogi! Dokładnie wiedzą, gdzie lecą, i nie tylko orientują się w trasie po ukształtowaniu terenu, wysokości słońca oraz układzie gwiazd, ale również potrafią wyczuć pole magnetyczne Ziemi, czyli mają coś w rodzaju wbudowanego kompasu.

Jak zrobić ukrycie?

Może to być kupiony namiot albo szczelny szałas, który sami postawicie. Nie ma znaczenia, co to jest, pod warunkiem że spełnia kilka kryteriów:

- **Nie stawiajcie ukrycia na środku otwartego pola**, bo to wygląda nienaturalnie. Najlepiej w jakichś zaroślach, na przykład w trzcinach czy wysokich trawach, które znajdują się na krańcu pola. Jeżeli na polu są bele siana, to oczywiście możecie tam postawić ukrycie.

- W słoneczne dni ukrycie musi być ustawione tak, **by słońce nie świeciło prosto w obiektyw aparatu**. Czyli najlepiej, jak okienko, z którego będziemy fotografować, jest skierowane na północ.
- Bez względu na to, czy to kupiony namiot, czy zbudowany szałas, **w środku musi być ciemno**. Jeżeli wybieracie namiot w sklepie i widzicie, że przez jego ściany przenika światło, nie kupujcie go. Ptaki nie mogą zobaczyć, jak się w środku ruszacie. To ważniejsze niż wszelkie maskujące wzorki na zewnątrz.
- **Konstrukcja ukrycia musi być na tyle sztywna**, żeby nie łopotała ani nie szeleściła na wietrze. Jeżeli maskujecie go trzcina, gałęziami, trawą lub siatką maskującą, nie mogą ocierać się o namiot.
- **Stawiajcie ukrycia, gdy ptaków nie ma na polu**. Najlepiej zaraz po ich odlocie wieczorem. Dobrze mieć wszystko przygotowane, by zbudować ukrycie szybko, i by nie pracować nocą. To po prostu dość nieprzyjemne.
- **Do ukrycia wchodzimy przed świtem**, gdy ptaków jeszcze na polu nie ma, i wychodzimy, gdy odlecą. Czeką nas cały jesienny dzień w namiocie, dlatego przygotujcie się dobrze. Wygodne krzesółko, ciepłe ubranie (nie będziecie się dużo ruszać), coś do zjedzenia, termos z ciepłą herbatą i – co bardzo ważne – jakiś pojemnik, do którego będziecie mogli się wysuszać. Na pewno wam się zachce, a wyjść nie można.

Nie zrażajcie się początkowymi niepowodzeniami. W końcu uda się wam zrobić takie ukrycie, do którego żurawie albo gęsi podejdą. Może na parę metrów! To będzie niesamowite przeżycie. No i zdacie wtedy test prawdziwego tropiciela.



CHLUPIE WODA W SYPIALNI

Dlaczego całe stado ptaków zatrzymują się akurat na rozlewiskach Warty i Odry, a nie na przyjemnych łąkach? Otóż właśnie ze względu na wodę. Jest im tam po prostu bezpieczniej nocować. Nie chodzi tylko o to, że lisowi będzie się trudniej do nich podkraść. Zresztą lisy świetnie pływają, choć nawet dla świetnie pływającego lisa moczenie się w wodzie nie jest przyjemnością i raczej nie lubi do niej wchodzić. Co ważniejsze, woda działa jak alarm, bo ptaki od razu usłyszą zbliżającego się przeciwnika. Nie ma rady, zawsze coś pluśnie lub chlapnie.

Z tego powodu my też nie będziemy się zbliżać do ptaków na noclegowisku. Aby to robić, trzeba wielkiego doświadczenia i wiedzy, a przecież nie chcemy ich niepokoić, gdy odpoczywają. Ja nigdy tego nie robię, bo uważam, że nie wypada przeszkadzać im w sypialni. Ale gdy mija noc i robi się coraz jaśniej, ptaki rozbudzają się i z rozlewisk słychać gwar,

a potem tysiące gęsi i żurawi wzbija się w powietrze. Opuszczają rozlewiska i lecą się posilić. Tam gdzie człowiek zastawił im wielkie stoły w kukurydzianych polach. I tam ich będziemy szukać.

PIKNIK ZUPEŁNIE RODZINNY

Bez względu na miejsce pierwszym krokiem do wytropienia stada żurawi lub gęsi jest ustalenie kierunku, w którym lecą z noclegowni na jedzenie. Gdy już dobrze się rozwidni, możecie zrobić sobie wycieczkę rowerową w tamtym kierunku. Jeżeli niczego nie znajdziecie, to czeka was wyprawa samochodem z rodzicami na poszukiwanie ptasiej restauracji, bo oznacza to, że ptaki są trochę dalej. Mogą odlecieć na odległość kilku kilometrów od sypialni, ale może to też być kilkanaście kilometrów.

Szukajcie wykoszonych pól kukurydzy. Takich, na których brzegach wciąż jeszcze stoi trochę roślin z kukurydzianymi kolbami. Nawet najdoskonalsze kombajny nie zbiorą wszystkiego i dla żurawi, gęsi oraz łabędzi krzykliwych zostaje bardzo dużo ziaren. To właśnie w takie miejsca lecą. Na polach lądują już kilkanaście minut po świcie i są tam przez cały dzień.

Z odległości kilkuset metrów, przez dobrą lornetkę lub lunetę, możecie je sobie spokojnie obserwować. Najlepiej robić to z pobliskiej drogi, bo ptaki są przyzwyczajone do ludzi na drodze, a jeszcze bardziej są przywykłe do widoku samochodów. Z jadącego samochodu można je czasem oglądać nawet z odległości kilkunastu metrów. Oczywiście zatrzymanie samochodu, a już na pewno wyjście z niego, spowoduje, że ptaki natychmiast poderwą się do lotu.



Trudno jest podejść stado gęsi szukających pokarmu na jesiennych polach. Natychmiast zrywają się do lotu

Na polach widać idealnie, że wielkie stada składają się z rodzin. Dorosłym żurawiom z czerwonymi czapeczkami na głowach towarzyszą dzieci z rudymi głowami. Podobnie z gęsiami – najlepiej widać to u gęsi białoczelnych. Rodzicom z białymi czołami (jakżeby inaczej!) towarzyszą dzieci, które takich ozdób nie mają. To nie tylko rodzinny piknik, ale również szkoła życia – właśnie jesienią dzieci uczą się od rodziców, gdzie i którądy leci się w czasie wędrówki, a także gdzie najlepiej zatrzymać się na posiłek. Tę wiedzę w kolejnych latach dzieci przełożą kolejnym pokoleniom gęsi i żurawi.

TEST PRAWDZIWEGO TROPICIELA

Musicie dokładnie obejrzeć takie kukurydziane pole nie tylko po to, by pośledzić ptasie relacje rodzinne, lecz także po to, by wybrać miejsce, w którym postawicie ukrycie. Bo naszym zadaniem będzie zbliżyć się do jedzących ptaków nie na kilkadziesiąt, ale na kilkanaście, a może nawet na kilka metrów! Czas więc na test dla prawdziwego tropiciela. Nauczymy się, jak budować ukrycie i jak podglądać lub fotografować z bliska ptaki.

Wielu fotografów robi zdjęcia z ukryć umieszczonych tuż przy gniazdach ptaków, ale od tego lepiej nie zaczynamy naszej przygody. Jeżeli ukrycie jest zrobione nieumiejętnie, to w najgorszym wypadku ptak może porzucić gniazdo albo – co się często zdarza – rzadziej karmić pisklęta. Źle zrobione ukrycie oznacza stres dla ptaków i stratę czasu dla nas samych. A przecież nie o to chodzi.

Jeżeli nie macie doświadczenia, to nigdy się nie dowiecie, czy ptak nie przylatuje do gniazda właśnie z tego powodu. Natomiast na polach pełnych żurawi i gęsi od razu będziecie wiedzieli, czy ukrycie zdało test. Żurawie i gęsi mają świetne oczy i widzą od razu, że coś jest nie tak. Jeżeli dostrzegą coś podejrzanego, to opuszczą pole albo uciekną na drugi jego koniec. Nie stanie im się wielka krzywda, bo nie są przy gniazdach, ale dla nas będzie to jasna wskazówka, czy zdaliśmy test.

Jak rozpalić ogień krzesiwem?

Wiecie, co jeszcze uwielbiam w jesieni? Zapach dymu z ognisk. Ognisko jesienią to jest to! Nie jest to zima, kiedy czuje się gorąc bijący w twarz i zimno na plecach, nie jest to też wiosna, gdy wszystko jest mokre i żeby rozpalić ognisko, trzeba się trochę napracować.

Ogień oczywiście najłatwiej rozpalić zapałkami, ale to nie jest sposób dla prawdziwego tropiciela. Polecam wam więc zabawę krzesiwem. Ja mam specjalne krzesiwo magnetyczne kupione w sklepie sportowym. Gdy pociera się o nie szybko i zdecydowanie kawałkiem żelaza, to sypie się strumień iskier. Rozpalenie nie było wcale łatwe, dopóki nie nauczyłem się dwóch rzeczy. Pierwsza to umiejętność i zdecydowane krzesanie – tak by iskry spadły odpowiednio na podpałkę, najlepiej ułożoną na suchej platformie zrobionej z patyków lub kory. Druga, niezwykle ważna rzecz, to wybór podpałki. To musi być coś, co od razu zacznie się żarzyć.

W moich okolicach na podpałkę najlepiej nadaje się cieniutka brzoza kora. Nie ta skrobana nożem, ale ta, która sama odchodzi od pnia brzozy, cieniutka jak papier. Jest zawsze sucha, bo wystarczy trochę wiatru, by ją wysuszyć. Gdy mam już pełną garść, zaczynam krzesać. Choć nie jestem jeszcze mistrzem, to po dwóch-trzech razach mam ogień rozpalony.



Jeżeli palicie ogniska w lesie, róbcie to tylko w wyznaczonych do tego miejscach

Dlaczego krzesiwo jest lepsze niż zapałki lub zapalniczka? Przede wszystkim dlatego, że jak zamoknie, to wytrę je w koszulę i już działa. Zamoknięte zapałki nie nadają się do niczego. Poza tym krzesiwo uczy nas, jak ułożyć ognisko i jakich materiałów używać do jego rozpalania, a to bardzo cenna wiedza.

A jak już nauczycie się rozpalać ogień krzesiwem nowoczesnym, to polecam wam krzesiwa tradycyjne, czyli takie, gdzie uderza się o krzemień specjalnym kawałkiem stali lub skałą zawierającą piryt. Ale o tym innym razem.



DALEKOMORSKIE WĘDRÓWKI

Jesienią wędrują nie tylko ptaki. Jeżeli wyruszyście na północ od Ujścia Warty w kierunku Bałtyku, to rozglądajcie się za pomorskimi rzekami. Polecam wam szczególnie Inę. To liczący ponad 100 kilometrów dopływ Odry i właśnie jesienią wędrują nią trocie, czyli całkiem spore i bardzo

piękne ryby łososiowe. Cel mają jeden – tarło.

Tarło to okres godowy ryb. Nazwa wzięła się od tego, że u niektórych gatunków ryb moment zapłodnienia ikry przez samca wygląda tak, jakby pocierał się on o samicę. Wiele ryb, żeby odbyć tarło, decyduje się na niezwykle długie wędrówki, porównywalne z tymi ptasimi. Europejskie węgorze płyną aż do Morza Sargassowego, czyli obszaru znajdującego się na północ od Bahamów i na południe od Bermudów – by tam dotrzeć, muszą pokonać drogę liczącą ponad 5 tysięcy kilometrów. Do naszych rzek wpływały kiedyś łososie, trocie oraz olbrzymie jesiotry. Niestety, to już właściwie przeszłość.



Ryby potrafią wędrować niczym ptaki. Tak robią np. ryby łososiowate takie jak trocie

Wiele rzek zostało, niestety, podzielonych zaporami z elektrowniami wodnymi. Mamy z tego co prawda prąd, ale zniszczyliśmy jeden z największych fenomenów przyrodniczych naszego kraju. W dawnych

czasach ogromne ilości łososi, troci, a jeszcze wcześniej olbrzymich, bo mogących mieć nawet kilka metrów długości jesiotrów, wędrowały w górę Wisły, aż do jej dopływów. Niektóre docierały całkiem daleko na południe, bo nawet na Podhale. Kres tym wędrówkom położyła zapora we Włocławku. Dziś ryby dochodzą tylko do niej i nie są to już nawet te same populacje, bo często są to ryby z zarybień, czyli wypuszczane przez ludzi. Gdyby nie nasza pomoc, w ogóle by ich tam nie było.

ŻWIREK I DUŻO GIMNASTYKI OGONA, CZYLI WSZYSTKO, CO NAJLEPSZE, DLA DZIECI

Na szczęście są takie miejsca jak właśnie Ina. Do niej i do jej dopływów wpływają jesienią trocie. Są całkiem spore, bo naprawdę duże sztuki mogą ważyć nawet do 10 kilogramów i mierzyć około metra. Trocie, gdy pływają w morzu, są srebrne, ale na swoje rzeczne wędrówki zmieniają kolor. Szczególnie widać to po samcach, które robią się miedziane, a ich plamki na bokach stają się bardzo wyraźne.

Dokąd płyną? Tam gdzie będą mogły złożyć ikrę. Najbardziej lubią niewielkie dopływy i tam spotkanie z nimi robi największe wrażenie, bo czasami z płytkiej i przejrzystej wody wystają ich grzbiety. Możecie je zobaczyć też w miastach, na przykład w Goleniowie nad Iną, gdzie jest nawet ścieżka im poświęcona.

Jeżeli uda wam się trafić na szczyt tarła troci, które przypada w listopadzie, będziecie mogli zobaczyć niesamowity spektakl. Samce przepychają się i walczą między sobą, a samice kładą się na boku i silnymi ruchami ogona robią gniazdo – tworzą coś w rodzaju kopczyków i tam składają ikrę.

Jedna samica może przerzucić ogonem nawet metr sześcienny piasku i żwirku! To ciężka praca, bo chodzi o to, żeby kopczyk był zbudowany ze żwirku, który umożliwia przepływ dobrze natlenionej wody, by ikra mogła się prawidłowo rozwijać. Ta strategia sprawia, że trocie nie muszą składać dużej ilości ikry. Samica składa około 1500 jaj na kilogram masy ciała, czyli zwykle 5-10 tysięcy ziaren ikry. Myślicie, że to dużo? Wcale nie. Inne ryby składają setki tysięcy, a nawet miliony jaj.

PEŁNE NIEBEZPIECZEŃSTW ŻYCIE MŁODYCH

Większość dorosłych troci ginie zaraz po złożeniu jaj. Część jednak wraca do morza i powraca na tarło w kolejnym roku, ale takich jest naprawdę bardzo mało. Za to wiosną z ikry wykluwają się młode trocie, a raczej larwy. Po dwóch-trzech latach są już małymi rybkami i szykują się na spłynięcie do morza. Takie rybki nazywamy smoltami. W małych strumieniach, w których nie ma zbyt wielu wrogów, do stadium smolta przeżywa co piąta larwa, w dużych rzekach, gdzie czyha na nie masa niebezpieczeństw – tylko jedna na dwieście.

W morzu młode bardzo szybko rosną i po kolejnych dwóch-trzech latach są gotowe na następne tarło. I jeżeli nic ich nie zje i nie wpadną w rybackie sieci, to znów ruszają na tarło. Jak myślicie, gdzie popłyną? Tak! Wracają do tych samych rzek, w których się wykluły z ikry i rosły, aż stały się smoltami.

Dokładnie nie wiadomo, jak młode ryby rozpoznają rzeki, do których mają wpłynąć. Jak pamiętają to po latach spędzonych w morzu? Niektórzy naukowcy tłumaczą, że ryby zapamiętują skład chemiczny rzeki, w której się wychowały. Może to jest mechanizm trochę przypominający nasze powonienie i smak? My też przecież potrafimy rozpoznawać zapach domu i smak naszych ulubionych potraw.

A, i ciekawostka na koniec! Rybom zdarza się czasem pomylić drogę. Przy dużych rzekach nie mylą się nigdy, ale zdarza im się to od czasu do czasu przy tych mniejszych. Wpływają wtedy do innej, która po prostu podobnie im „pachnie i smakuje”

Ogniskowe menu

Najbardziej ogniskową potrawą, jaką mogę sobie wyobrazić jesienią, są pieczone ziemniaki. Próbowaliście kiedyś takich? Nie z pieca w restauracji lub piekarnika w domu? Nie? To nie wiecie, co tracicie!

A więc do pracy. Na początek rzecz najważniejsza – ziemniaków nie pieczcie w ognisku, ale pod nim. Wrzucone wprost do ogniska spalą się. Po paru godzinach pod ogniskiem tworzy się całkiem spora warstwa żaru i popiołu, rozgarnijcie je, wrzucie parę ziemniaków i zagrzebce w gorącym popiele. Potem na tych zagrzebanych ziemniakach możecie rozpalić ognisko. Ziemniaki powinny się piec w żarze przynajmniej półtorej godziny, ale lepiej dwie. To, czy są gotowe, można poznać, nakłuwając je zaostrozonym cienkim patykiem. Jeżeli pod zwęgloną twardą skórką patyk wejdzie jak w masło, to znaczy, że za chwilę będzie ucztą. Wyciągnijcie ziemniaka delikatnie i ostudźcie. Za moich czasów takiego gorącego ziemniaka się rozkrawało i na niego dmuchało albo rzucało koleżankom lub kolegom i wołało: „łap!”. To właśnie od tego wzięło się powiedzenie „podrzucić komuś gorącego kartofla”, co oznacza podrzucenie kłopotu, bo złapanie takiego gorącego ziemniaka w obie dłonie nie jest przyjemne. Ziemniaki smakują najlepiej ze szczyptą soli, a tych, którzy właśnie się nimi najedli, poznacie po umorusanych węglem buziach. Jeżeli nie znajdziecie wszystkich ziemniaków od razu, pogrzebce w popiele rano. Będą wciąż pyszne i ciepłe.

W popiele i żarze można piec nie tylko ziemniaki, lecz także owoce, ryby i mięso. Obłóżcie je liśćmi, na przykład chrzanu, oblepcie gliną i tak przygotowane włóżcie do żaru. Polecam wam to bardziej niż nudne jak flaki z olejem grille. Słowo wam daję, prosty ziemniak czy ryba z żaru są tysiąc razy fajniejsze.





Gawrony w miastach pojawiają się tylko jesienią i zimą. Ale są dzielnice i miasteczka, gdzie mają też swoje kolonie lęgowe



Wiem, że już się wzdrygacie na samą myśl o jesieni w mieście. Październik jeszcze może być, ale o listopadzie strach myśleć. Mokry, chłodny i ciemny. Co może być fajnego w mieście o tej porze roku? Wszystkie liście opadły, samochody rozjeżdżają kałuże i ochlapują przechodniów, a w autobusach i tramwajach wszyscy kichają, bo trudno nie złapać przeziębienia od tej wilgoci. No i jakby tego było mało, to jeszcze te czarne kraczące ptaszyska, które wyglądają jak z horrorów. No właśnie, tymi kraczącymi ptaszyskami i innymi zwierzętami z horrorów powinniście się teraz zająć!

Jakoś tak się u nas przyjęło mówić, że wszystko, co kracze i jest czarne, to wrona lub kruk. A te czarne ptaki, które w grupkach przemierzają trawniki i zaglądają pod każdy listek oraz czają się przy śmietnikach, to nie wrony ani kruki. To gawrony.

Wśród ptaków krukowatych są takie, które potrafią polować – kruk, wrona, sroka oraz sójka – ale gawrony bardzo rzadko to robią. To są zbieracze-dłubacze. Dzięki dłuższym niż u innych krukowatych dziobom mogą dłubać, wyciągać, podnosić i wydziobywać. Jesienią widać najlepiej, że z tych umiejętności gawronów korzystają nie tylko one same, ale również ich wierni towarzysze – kawki.

Kawki poznacie na pewno. To te mniejsze z ciemną czapeczką, szarą głową, kołnierzem na szyi i ze stalowoniebieskimi oczami. Gawron pogrzebie, zje i odejdzie, a wtedy okazję wykorzystuje kawka. I już wcale grzebać nie musi! Przypatrzcie się, a może uda się wam dostrzec jakiś model współpracy. Zresztą kawki i gawrony trzymają się razem nie tylko przy jedzeniu – razem także udają się do sypialni. Wytropienie takiej sypialni będzie teraz naszym głównym tropicielskim zadaniem.

JAK ROZRÓŻNIĆ TUBYLCA I TURYSTĘ?

Zanim się jednak do tego zabierzemy, muszę wam coś wyjaśnić. Otóż jak pewnie wiecie, kawki mieszkają w miastach i są z nami przez cały niemal rok. Zajmują wszelkiego rodzaju szczeliny i szpary w budynkach, a w szczególności stropodachach. Kawki mogą też mieszkać we wszelkich dziuplach oraz budkach lęgowych.

Ciekawe jest to, że tworzą klany z bardzo silnymi związkami i określoną hierarchią. Kawki mają królów i arystokrację oraz klasę średnią i biedaków. W kawczym klanie podobno pozycję dziedziczy się po rodzicach, można też wżenić się w wyższe sfery. Te kawcze społeczeństwa mają swoje dialekty, a w obrębie miast lub dzielnic – nawet języki. Dlatego bardzo złym pomysłem jest wychowywanie młodych kawek przez ludzi. Taki młody ptak nie nauczy się od nas kawczego języka i na wolności będzie traktowany przez resztę jak najgorsze popychadło.



Kawki są bardzo miejskimi i społecznymi ptakami. Mają swoje klany i kawcze dialekty

Gawrony również mieszkają w sporych koloniach. Zakładają gniazda na wysokich drzewach w parkach, kiedyś głównie na obrzeżach miast, a dziś coraz częściej w ich centrach. Ale uwaga! Te gawrony i kawki, które właśnie jesienią łążą po naszych trawnikach, to w większości przybysze ze wschodu i północnego wschodu Europy. Nasze gawrony i kawki są już wtedy na zachodzie Europy.

Gawrony pokonują do swoich miejsc zimowania 1000-1500 kilometrów, co nie jest długą trasą jak na ptaki. Zresztą nie jest to wędrówka polegająca na ciągłym locie – gawrony i kawki koczują sobie co chwila. Zatrzymują się to tu, to tam. Ich podróż zaczyna się zwykle w sierpniu, a do celu docierają w październiku i listopadzie.

Kawczymi i gawronimi celami są bardzo często nasze miasta. W Warszawie może zimować nawet do 100 tysięcy gawronów. Nieźle, prawda? Również kawek jest tu niemal dwa razy więcej niż wiosną i latem. To ci przybysze ze wschodu robią taką frekwencję.

Ptaki nie mają paszportów, jak więc odróżnić naszego gawrona czy kawkę od gościa? Z gawronami to nie jest łatwe – jeżeli gdzieś w pobliżu jest kolonia i zajmują się pilnowaniem gniazd, to są to ptaki, które zostały na zimę. Te, które gniazdami się nie interesują, to przybysze ze wschodu. U kawek sprawa jest prosta. Przyjrzyjcie się im – wschodni podgatunek najczęściej ma wyraźny jasnoszary kołnierzyk na szyi, który oddziela szarą głowę i szyję od reszty ciała.



Wrony to w miastach przybysze, ale mają się tu świetnie. Podobnie jak gawrony sprytnie rozłupują orzechy, rzucając je na twarde asfalt lub chodnik

KUPY ATAKUJĄ!

Jeżeli będziecie obserwować gawrony i kawki popołudniem, to zauważycie, że nagle robią się nerwowe. Przestają grzebać, a zaczynają gadać. Gawrony kraczą, a kawki po kawczemu gęgają. Tak, gęganie chyba najlepiej oddaje kawczy język. Potem podrywają się. Wygląda to z początku chaotycznie i bałaganiarsko – ptaki startują, lądują, potem znowu startują. Jakby ktoś je spłoszył. W końcu znikają gdzieś, zupełnie nie wiadomo gdzie. Na chwilę robi się cicho, a później na niebie można zobaczyć olbrzymie stada czarnych ptaków ciągnące się niczym maszerujące oddziały wojska. To właśnie gawrony i kawki lecące na noclegowiska. Noclegowiska to sypialnie na wysokich drzewach, miejsca, gdzie śpią razem setki, a znacznie częściej

tysiące ptaków. Kiedyś w Warszawie była tylko jedna główna sypialnia – w Lesie Bielańskim spały prawie wszystkie warszawskie gawrony, czyli blisko 100 tysięcy ptaków. To były dawne czasy, kiedy poszukiwałem tam puszczyków. Opisywałem wam to w letniej części, pamiętacie?

Gdy szukałem puszczyków jesienią, to – słowo daję – musiałem bardzo uważać, by nie wyjść z lasu cały biały, oblepiony gawronimi odchodami. Pilnowałem się, by nie wejść pod drzewa, na których spały. Nocą tego nie było widać, ale za dnia efekty tego ptasiego noclegowiska były znakomicie widoczne. Las wyglądał, jakby spadł śnieg, bo całe jego dno było białe od gawronich kup. Muszę wam jednak wyjaśnić, że to, co białe w ptasich odchodach, to nie jest kupa, ale ptasie siuski, na które składa się głównie kwas moczowy. To on daje ten biały kolor. Właściwa kupa to to coś zielonego, brązowego lub czarnego w środku.

To nic przyjemnego zostać trafionym kupą. Wiem, bo doświadczyłem tego kiedyś nad ranem, gdy wracałem z obserwacji puszczyków. Świtało i czekałem na autobus na otwartym przystanku, gdy gawrony i kawki ruszyły z noclegowiska na miasto. Nad moją głową zrobiło się nagle czarno. Prócz krakania usłyszałem plaskanie setek ptasich kup o chodnik. Robiłem uniki, jak mogłem, ale co z tego. Zostałem trafiony, i to kilka razy. Dlatego nie ma co włożyć pod ich kupry w noclegowiskach i narażać się na takie bombardowanie. Zresztą po co płoszyć ptaki, gdy chcą sobie odpocząć.

Jak zrobić karmnik

Jesień to też idealna pora na przygotowanie karmnika. Nie możecie go postawić byle gdzie, bo wtedy dokarmianie może stać się niebezpieczne dla ptaków, a przecież nie o to chodzi. Najczęściej stawiamy karmniki naprzeciwko okien, by wygodnie obserwować ptaki.

Niestety, gdy jakiś drapieżnik atakuje posilające się w karmniku towarzystwo, zdarza się, że przerażone ptaki, uciekając, rozbijają się o okno. Jest na to jednak sposób. Najlepiej karmnik zawieszać tak, by między nim a oknem rósł jakiś krzew. Ja specjalnie posadziłem sobie koło karmnika kalinę. Dzięki temu ptaki, uciekając, nie lecą w stronę okna, co niestety kiedyś się zdarzało. Karmnik musi być też tak zrobiony, by można było go łatwo wyczyścić.

Kiedy zacząć karmić? Dopiero zimą, czyli jak temperatura za oknem spadnie poniżej zera i pojawi się śnieg – wcześniej ptaki same sobie poradzą.





Jesień to idealny czas na wieszanie budek lęgowych

Jak zrobić budki lęgowe

Jesień to świetny czas na wieszanie budek lęgowych dla ptaków oraz czyszczenie tych, które były zajęte wiosną. Pamiętajcie, by robić to przynajmniej raz na dwa lata. To ważne, by pozbyć się pasożytów. Spokojnie, nie są one groźne dla ludzi, ale mogą za to szkodzić ptakom – w starym gnieździe mogą prezimować i zaszkodzić nowym mieszkańcom. Nowe budki wieszamy natomiast lekko przechylone do przodu, tak by nie napadał do otworu deszcz. Ja wieszam je w kierunku południa lub południowego wschodu.

To, jak wybudować budkę lęgową, zależy od rodzaju ptaków, które chcemy karmić. Za Towarzystwem Przyrodniczym „Bocian” podaję wam, jak zrobić dwa najpopularniejsze rodzaje budek dla ptaków:

Dla sikor i innych małych ptaszków (bogotka, modraszka, muchołówka żałobna, mazurek, wróbel, pleszka, kowalik, krętogłów)

Wewnętrzny wymiar dna: 11x11 cm.

Głębokość od wlotu do dna (od wewnątrz): 21 cm.

Średnica otworu wlotowego: 33 mm.

Grubość przedniej ścianki (z podwójnej deski): 4 cm.

Dla szpaków

Wewnętrzny wymiar dna: 14x14 cm.

Głębokość od wlotu do dna (od wewnątrz): 26 cm.

Średnica otworu wlotowego: 47 mm.

Grubość przedniej ścianki (z podwójnej deski): 4 cm, a przy zastosowaniu zabezpieczenia przeciw kunie (dodatkowa deseczka): 6 cm.

Budki możecie wieszać już na wysokości kilku metrów. Dla sikor – nawet na wysokości 1,5-2 metrów. Pamiętajcie, by nie instalować żadnych patyczków przy wlotach do budek. One nie pomagają mieszkającym w nich ptakom, za to na pewno ułatwią robotę kotom lub kunom, które będą chciały wyjść jaja lub pisklęta.



PTASIA MIEJSKA GAZETA

Chcesz zobaczyć, jak ptaki lecą na noclegowiska? Wybierz noc z bezchmurnym niebem i pełnią księżyca, bo wtedy najlepiej widać dywan ptaków w przestworzach. Przelotowi towarzyszy gwar jak na sobotnim targu, bo gawrony i kawki cały czas gadają. Potem lądują na wysokich drzewach lub dachach i gadają jeszcze głośniej.

Wytropienie noclegowiska nie jest wcale łatwe, bo niekoniecznie jest ono tam, gdzie lecą sznury ptaków o zmierzchu. Nie dajcie się zwieść – tam, gdzie ptaki siedzą i gadają, to nie są noclegownie, ale miejsca zbiórki. Takich postojów może być kilka, zanim całe stado poleci do prawdziwej sypialni. Tam przylatują dopiero, gdy już jest naprawdę ciemno, i wtedy robią to tak cichuteńko, by nikt ich nie usłyszał.

Naukowcy nie wiedzą dokładnie, dlaczego ptaki nocują razem, i to w tak wielkich stadach. Najbliższa prawdy jest chyba teoria, że takie wspólne nocowanie to jak głośne czytanie ptasiej miejskiej gazety i służy przekazywaniu informacji o tym, co się dzieje w okolicy i gdzie można dobrze zjeść.

Gawrony i kawki potrafią lecieć nawet kilkanaście kilometrów, by coś przekąsić. Oczywiście nie mówią: „Słuchaj, na ulicy Mickiewicza znalazłem całkiem miłych ludzi, którzy wyrzucają chlebek”. Po prostu się obserwują. Jeżeli widzą, że sąsiad raniutko zbiera się dziarsko do podróży i jest podekscytowany, to znak, że poprzedniego dnia coś znalazł i warto za nim polecieć. Mądrale? Ale to jeszcze nic przy wronach!



Mieszane stada gawronów i kawek robią wrażenie, szczególnie gdy pod wieczór ciągną na swoje miejsca noclegowe

NIE PRZECHODŹ NA CZERWONYM ŚWIECIE

To nie gawrony i kawki rządzą miastem – miasto znajduje się pod absolutną kontrolą wron siwych. Na zachodzie Europy mamy jeszcze wronę czarną, zwaną czarnowronem (bo jak inaczej?), ale u nas to raczej rzadki ptak. Nasze wrony czarną mają tylko głowę, pierś, skrzydła i ogon, a reszta jest szara.

W dawnych czasach miastami rządziły sroki, ale wrony je przegoniły. Są silne, ale – co ważniejsze – niezwykle mądre. Nie wierzycie? To przeprowadźcie test orzeszka. Wrony potrafią wybierać śmieci ze śmietników, rozcinać worki, okradać ludzi i psy, ale to pestka przy sprycie, z jakim dobierają się do orzechów włoskich. Otóż wrony szybko odkryły, że orzech

to jadalne smaczne i pożywne, ale nie mają dziadka do orzechów i nie potrafią same rozbić skorupki. Nawet ich twardy dziób tu nie pomoże. Wtedy jedna anonimowa wrona odkryła, że orzeszek rzucony z wysoka pęka, i inne natychmiast poszły jej śladem. Łapią więc orzech w dziób, podlatują wysoko i rzucają na chodnik lub jezdnię. Robią to tak, by orzech nigdzie się nie turlał, tylko od razu się roztrzaskał. Mało tego, starają się nie rzucać orzeszka, gdy w okolicy są inne wrony, by nikt im go nie ukradł.

Rzucanie orzeszków to nie jest najgenialniejszy ptasi wynalazek – niektóre drozdy uderzają ślimakami o kamienie, a orłosępy w podobny sposób rozbijają kości padłych zwierząt, by wyjeść szpik. Orłosępy wzlatują bardzo wysoko i rzucają kości na skały tak długo, aż pękną. Ale wrony nie tylko wykorzystują twarde chodniki – zauważyły, że można rozbijać orzeszki za pomocą samochodów. Rzucają więc orzechy pod koła jadącym samochodom, a zabierają je, gdy auta odjeżdżają. Mało tego, wykorzystują do tego sygnalizację świetlną i skradają się po zdobycz na czerwonym świetle, gdy samochody stoją! Widziałem kiedyś wronę, która wrzuciła pod koła samochodu kość. Nie pytałem czyją.

ZŁOTOOKI I 500 MSZYC

Jeżeli z pogodą jest naprawdę źle i nawet najtwardsi tropiciele nie mają ochoty ruszać się z domu, nie martwcie się. Potropimy w mieszkaniu. Często nie mamy pojęcia, jakie stwory mieszkają razem z nami. A jesienią jest ich zwykle więcej niż o innych porach roku, bo szukają miejsc, gdzie mogą przezimować.

Nasze domy są dla nich jak jaskinie lub wielkie dziuple. U mnie w domu pojawiają się myszy, i to aż trzech gatunków: leśna, polna oraz zwykła domowa. Raz przyszła też łasica, która z ciekawością mnie obserwowała, gdy pisałem na komputerze. W mieszkaniach miejskich oczywiście nie zobaczycie łasicy, szukajcie raczej czegoś mniejszego i dlatego zaopatrzcie się w dobrą lupę.

Jesienią pojawiają się na pewno złotooki. To te małe owady o cienkich zielonych ciątkach, delikatnych czułkach i przezroczystych delikatnych skrzydłach. Złotooki zobaczycie najczęściej na suficie. Jeżeli przyjrzyjecie się im przez lupę, zobaczycie, dlaczego tak się nazywają – naprawdę mają złote oczy. Co ciekawe, ich larwy zupełnie nie przypominają tego delikatnego stworzenia, które macie przed sobą. Larwa jest podłużnym, nieco pękatym stworem z wielkimi szczękami. Przydają się, bo potrafi ona zjeść nawet 500 mszyc i innych owadów.

Larwy są naprawdę żarłoczne, natomiast dorosłe złotooki nie jedzą nic. Te, które wlatują do mieszkań i piwnic jesienią, to głównie samice. Jednak mieszkanie, gdzie się grzeje i sprząta, nie jest zbyt dobrym miejscem na zimowanie delikatnych złotoooków. Spróbujcie je delikatnie zebrać do kartonowego lub drewnianego pojemnika wypełnionego suchymi liśćmi i przenieście do miejsca, w którym jest kilka stopni ciepła, a temperatura nie

spada poniżej zera. Może to być piwnica lub strych. Wiosną, gdy robi się ciepło, złotoooki wynieście na zewnątrz i uwolnijcie. Tak samo możecie prezimować biedronki, które też pchają się do naszych domów jesienią.

Są też i inni, na ogół wzbudzający nieco większe obrzydzenie, mieszkańcy naszych mieszkań. Tacy, którzy żyją z nami od wieków. Nie myślę o karaluchach, ale na przykład o zasuwających po wielu łazienkach i kuchniach rybikach cukrowych. To te przypominające przecinki owady, które uwielbiają ciemności i gdy tylko zapalicie światło, będą czmychać, gdzie się da. Czasami aż trudno uwierzyć, że potrafią przeżyć nawet w bardzo schludnych łazienkach. Co one takiego jedzą? Otóż one jedzą tam nas. Może tego nie zauważamy i nie przywiązujemy do tego wielkiej wagi, ale cały czas tracimy drobne kawałeczki naskórka i te maleństwa to wykorzystują. Potrafią dożywać dość sędziwego jak na owady wieku ośmiu lat i nie są zbyt mile widzianymi domownikami. W dużych ilościach potrafią nabroić, zjadając książki lub ubrania.

POLOWANIE POD ZLEWEM TRWA

Na szczęście w przyrodzie jest tak, że nie można bezkarnie szaleć. W naszym domu są też drapieżniki. Zajrzyjcie pod zlew, za szafę, za sofę, gdzieś w jakiś rzadko sprzątany kąt. Jeżeli znajdziecie tam bardzo gęsto utkaną pajęczą sieć z lejkowatym otworem wejściowym, to znaczy, że mieszka u was kątnik domowy.

To ten wielki pajak, który czasem biegiem przemierza podłogę. Ten sam, którego czasami odnajdujecie w wannach lub zlewach – to głównie samce, które wędrują w poszukiwaniu samic. Kątniki mogą mieć rozpiętość odnóży sięgającą nawet ośmiu centymetrów i potrafią u tych, którzy boją się pajaków, wywołać strach. Nie ma się jednak co ich bać, bo choć wyglądem przypominają tropikalne pajaki, to nie są groźne dla człowieka. Tylko naprawdę duże okazy mogą przegryźć naszą skórę i wstrzyknąć jad. Ale poza tym, że takie ugryzienie jest trochę bolesne, to wcale nie jest groźne dla naszego zdrowia, a tym bardziej życia. Gdyby kątniki bardzo przeszkadzały mamie lub tacie, należy je delikatnie zapędzić kartką lub kawałkiem tektury do szklanki i wynieść do piwnicy. Na pewno im się to bardzo nie spodoba, ale w piwnicy nie zginą. Nie wywalajcie ich poza budynek, bo to – szczególnie za dnia – oznacza dla nich śmierć.

TO, CO KOCHAJĄ ZIEMNIAKI I ZWIERZAKI

Piwnica! Koniecznie musicie do niej wyruszyć! Jeżeli nie byliście nigdy w prawdziwej jaskini albo grocie, to wyprawa do piwnicy jest świetnym początkiem. Wiem, co chcecie powiedzieć – że piwnice nie mają nic wspólnego z jaskiniami? Bo jaskinie są głębokie i długie, są tam piękne stalaktyty (przypominające sople formy powstałe z nacieku minerałów) albo

stalagmity (wyglądające jak odwrócone sople, a czasem nawet słupy). Gdzie tam jakiegokolwiek piwnicy do Jaskini Wielkiej Śnieżnej, najdłuższej jaskini w Polsce, która znajduje się w Tatrach i ma ponad 23 kilometry długości! I macie rację – jaskinie to nie piwnice, różnią się wielkością i wyglądem. No i w jaskiniach nikt nie przechowuje niepotrzebnych gratów, przetworów czy ziemniaków.



Pająk kątnik to mieszkaniec domów i piwnic. Choć wielki jest zupełnie niegroźny

Piwnice (myślę o tych prawdziwych starych piwnicach, a nie wypięknionych i ogrzewanych) mają jednak coś wspólnego z jaskiniami – znajdują się pod ziemią i panuje w nich stała temperatura. Na ogół jest to kilka stopni, najczęściej nie więcej niż 10 powyżej zera. Wilgotność w nich jest wyższa – i to dużo – niż w naszych mieszkaniach. Dlatego ziemniaki, kapusta czy jabłka są w stanie tam przetrwać całą zimę, nie gniją i nie wysychają. Z tego powodu piwnice pokochały i zwierzaki. Piwniczny klimat jest idealny do przetrwania zimy i dlatego czasem możecie tam spotkać nawet i płazy, takie jak ropuchy czy traszki.

Piwnice uwielbiają także najśłynniejsze stworzenia jaskiń, czyli nietoperze. Nietoperze, przynajmniej te, które mieszkają w Polsce, są zwierzętami owadożernymi. Widzieliście kiedyś muchę zimą? No właśnie, nietoperze, tak samo jak ptaki, muszą rozwiązać problem braku pokarmu. Ptaki odlatują do ciepłych krajów, na przykład do Afryki, gdzie jedzenia jest w bród.

Nietoperze też wędrują, ale w poszukiwaniu odpowiednich miejsc do hibernacji, czyli do zimowego snu. Innymi słowy, problem rozwiązały, nie jedząc w ogóle.

Podczas hibernacji temperatura ich ciała staje się bliska temperaturze otoczenia, a uderzenia serca i liczba oddechów spadają do kilku na minutę. Wszystko po to, by powoli spalać tłuszcz i nie jeść. Dla kilku gatunków nasze piwnice to idealne miejsca do takiego odpoczynku, bo to, czego potrzebuje nietoperz zimą, to właśnie lekki chłodek, by nie zamarzł, i wilgoć, by w czasie snu nie wysychł na wiór.



Nietoperze nie śpią non stop. Co jakiś czas się budzą i przelatują do nowych zimowisk

Jak przygotować się na wyprawę do podziemi

Przede wszystkim ciepło się ubierzcie! Pamiętajcie o tym, że w podziemiach nie jest ciepło. Nasz strój powinien być mocny i umożliwiać swobodę ruchów. Dobrze, by był też wodoodporny, gdyż może być wilgotno. Załóżcie wełnianą czapkę, która przynajmniej trochę zamortyzuje uderzenie, jeżeli nie zauważycie zbyt niskiego stropu – zdarza mi się to cały czas. Do tego mocne buty i rękawiczki, bo w podziemiach można się natknąć na ostre przedmioty.

Konieczna jest także latarka, najlepiej czołówka, czyli taka zakładana na głowę. Sprawdźcie ją dobrze przed wyjściem i zabierzcie na wszelki

wypadek zapasową. Jeżeli chcecie penetrować nieznane wam podziemia i nie jest to przydomowa piwnica, wybierzcie się tam lepiej z kimś dorosłym. Dobrze jest wtedy przy wejściu zawiązać sznur i rozwijać go w miarę wchodzenia. Tak według mitów greckich postąpił Tezeusz i dzięki nici, którą mu podarowała Ariadna, wydostał się z labiryntu, w którym mieszkał pół byk, pół człowiek Minotaur. Mit może i jest nieprawdziwy, ale sposób na powrót bardzo skuteczny. I na koniec uwaga – pamiętajcie, że wchodzenie do jaskiń wymaga specjalnego wykształcenia i sprzętu.



NIETOPERZ NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE

Teraz będziemy tropić nietoperze. Śmiejecie się, bo co to za problem wytropić nietoperze? Przyczepione są do sufitu, zwisają głową w dół i widać je jak na dłoni, czyli kasza z mlekiem – tak myślicie? Muszę was jednak wyprowadzić z błędu. Czasami zwisają, ale to, że nie widać zwisających nietoperzy, nie oznacza, że ich nie ma. Śpią sobie gdzieś przyczepione do ściany lub wciśnięte w jakąś szparę. Pamiętam piwnicę, w której nietoperze ukryły się w szczelinach między cegłami. Miała nieco ponad centymetr szerokości! Mało, prawda? Dla nietoperzy to dość.

Jak dostają się do zamkniętych na cztery spusty piwnic? Nietoperze są mistrzami w wyszukiwaniu szpar i szczelin, o których nie mamy pojęcia. Wykorzystują do tego oczywiście echolokację, bo rozpoznają okolicę, emitując i odczytując odbite od przeszkód dźwięki. Często nie są one nawet słyszalne dla ludzi, a raczej dla ludzi dorosłych. Co ciekawe, dzieci i ci, którzy mają wrażliwy słuch, mogą usłyszeć wołania nietoperzy. Przypomina cykanie. Jednak poza echolokacją nietoperze do lokalizowania piwnicznych szpar używają też węchu – przecież podziemia mają swój zapach. Myślę też, że widzą ruchy powietrza między piwnicą a resztą świata – przecież przez taką zapomnianą szczelinę też dostaje się powietrze.

Piwnica, w której szukacie nietoperzy, nie może być świeżo odnowiona i mieć gładkich ścian. Takich gładkości i obecności chemikaliów nietoperze nie lubią. Ale w starych piwnicach z dobrą latarką powinniście coś znaleźć. Co ciekawe, to w podziemiach zrobionych przez ludzi jest więcej nietoperzy niż w jaskiniach. Jak pisze w pracy „Poznajemy nietoperze” ich badacz Grzegorz Lesiński, w korytarzach Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego – to taki system bunkrów postawiony przez nazistów w latach trzydziestych XX wieku na ówczesnej granicy z Polską, a dziś w województwie lubuskim – zimuje ponad 30 tysięcy nietoperzy. Tymczasem rekord jaskiniowy należący do jaskini Szachownica wynosi około 1500 tych ssaków. W jednej małej piwniczce mającej 5 metrów korytarza Grzegorz odnalazł aż 12 tych ssaków! Jest więc duża szansa, że coś znajdziecie.

NIETOPERZOWA KONTROLA URODZIN

Jeżeli uda się wam spotkać nietoperza w piwnicy, to najprawdopodobniej będzie to nocek rudy lub gacek. W czasie snu wcale nie tak łatwo jednego od drugiego odróżnić. Normalnie gacka poznalibyście po jego wielkich uszach, ale gdy śpi, to je zwija. Robi to, bo wystawione na działanie zimna wielkie i dobrze ukrwione uszy parowałyby i powodowałyby utratę wody, czyli wysychanie organizmu.

Jeżeli już znajdziecie nietoperza w piwnicy, to obejrzyjcie go sobie w świetle latarki, ale nie zbliżajcie jej za bardzo do zwierzaka. Nie dotykajcie też go. Starajcie się go nie budzić i mu nie przeszkadzać, bo budzenie nietoperzy to dla nich tylko niepotrzebna strata energii. Nietoperz zapadający w sen zimowy jest 30-40 procent cięższy niż wiosną czy latem. To oczywiście zasługa tłuszczu, który gromadzi na zimę i który potem powoli spala, by utrzymać się przy życiu.

Nietoperze mają także specjalne zapasy tłuszczu, które służą do „odpalenia” organizmu do normalnego życiowego tempa. Takie „odpalenie” nie następuje tylko na wiosnę, ale co kilka tygodni – nietoperz musi się wysuszać, czasami zmienia miejsce pobytu, bo na przykład zmieniły się warunki i jest mu za zimno lub za gorąco. Zwykle przebudzenia następują co kilka tygodni, a samo budzenie się trwa od kilku do kilkunastu minut. Nietoperze mogą się też budzić, gdy coś je zaniepokoi, na przykład wtedy, gdy zbyt długo świecimy w nie latarką. Zapasy tłuszczu służącego do przywracania do życia i wybudzania są ograniczone, niepotrzebne obudzenie może sprawić, że nietoperz kiedyś zaśnie i się nie obudzi.

Poza tym jest jeszcze inny ważny powód, dla którego nie należy przeszkadzać nietoperzom tam, gdzie zimują. Takie miejsca to dla nich nie tylko miejsca snu, lecz także godów i miłości. Taka piwnica to ich miejsce schadzek. I choć kochają się późną jesienią lub zimą, to zapłodnienie następuje dopiero wiosną, bo samice blokują nasienie w drogach rodnych i uwalniają dopiero, gdy robi się ciepło. Ma to logiczne uzasadnienie – opłaca się pobrać plemniki od samca, gdy jest pod ręką, ale nie opłaca się zachodzić w ciężę przed hibernacją, gdy liczy się każdy gram tłuszczu.

Naszą jesienną przygodę prawdziwych tropicieli zaczęliśmy z pajakami, to i z nimi skończmy, i poszukamy w piwnicach sieciarza jaskiniowego. Jest mieszkańcem jaskiń i grot, ale czasami odwiedza też piwnice.

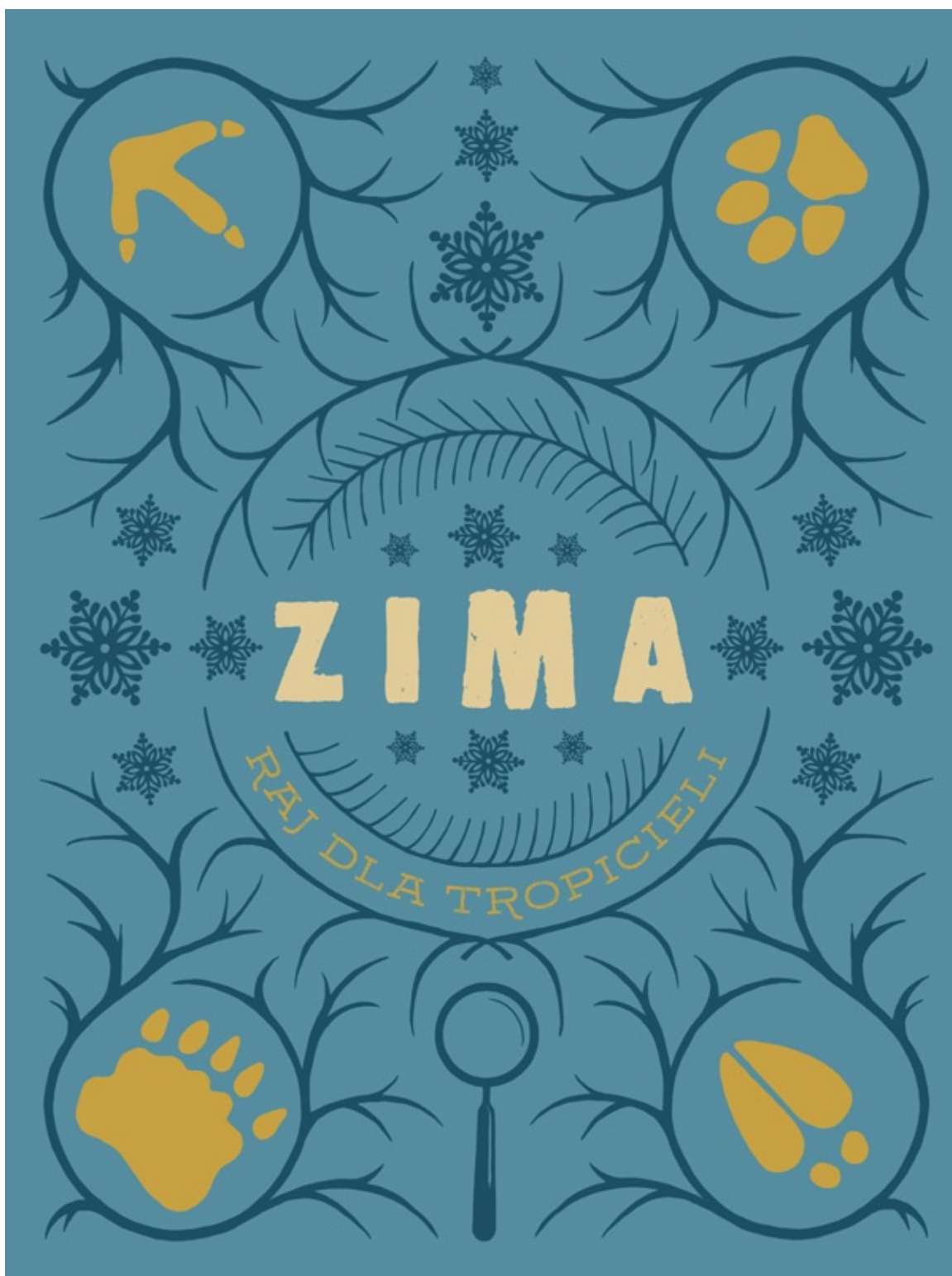
To chyba jedno z naszych najwolniej rosnących pajaków, bo dojrzewają aż dwa lata. Nic w tym dziwnego, bo w jaskiniach jest dość chłodno i nie ma w nich dużo pokarmu. Często można spotkać sieciarza przy otworach, gdzie czyha na swoje ofiary. Zimą wędruje zaś w głąb jaskiń, gdzie jest cieplej.

Poznacie go bez trudu – samice sieciarza często siedzą na białej i całkiem sporej kulce. Ta kulka to nic innego jak kokon z jajami, z których wyklują się małe sieciarze. A o pajęczych kokonach wiecie już dużo z rozdziału o łąkach i wrzosowiskach, więc nie będę się powtarzał. Zatem do zobaczenia zimą!

Jak zrobić nietoperzoprzyjazną piwnicę

Jeżeli wasza piwnica jest zbyt gładka i nie ma w niej nietoperzy, a bardzo je chcecie mieć, to możecie zrobić ją nietoperzoprzyjazną. Wspominałem wam, że nietoperze uwielbiają szczeliny. Ale przecież nikt się nie zgodzi na robienie dziur w ścianach, a poza tym to masa roboty. Na szczęście miłośnicy nietoperzy wynaleźli prostszy i tańszy sposób – umieszczają w piwnicach cegły dziurawki. To takie cegły, które mają idące na wylot otwory. Oczywiście to nie mogą być dziurawki z otworami grubości palca, bo to może nietoperzom nie wystarczyć, ale takie, które mają otwory przypominające podłużne szczeliny. Takie dziurawki można przykleić lub przymurować do ścian lub sufitu, a nietoperze – jeżeli są w okolicy – na pewno je docenią.





Hu, hu, ha, hu, hu, ha, zima zła. Kto to wymyślił? Jaka zła? Zima to moja ulubiona pora roku! Nie wiosna, jesień i na pewno nie lato, ale właśnie zima. Co roku nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie złapie mróz i spadnie śnieg, który przykryje wszystko białą kołdrą. Nieustannie śledzę prognozę pogody, by wiedzieć, kiedy zacznie się taka prawdziwa, naprawdę sroga zima. A gdy w końcu przychodzi, to czuję się jak ryba w wodzie, a raczej jak niedźwiedź polarny na lodzie.

Zakładam płócienny anorak – to taka wkładana przez głowę kurtka z kapturem i kieszenią na piersi, zrobiona na wzór tych, które nosili Inuici – przypinam narty i ruszam w las. Co ja mówię! W jaki las? Nie tylko las! Zimą cały świat stoi przede mną otworem! Narty niosą mnie przez bagna i po zamarzniętych rzekach. Nad gałęziami i korzeniami, o które wiosną czy latem bym się niemiłosiernie potykał. Włożę tam, gdzie dotąd wleźć mi było bardzo trudno albo było to zupełnie niemożliwe. Połykam przestrzeń. Sami powiedzcie: czy to nie piękne?

Zimowe tropienie też jest czystą przyjemnością – zostawione na śniegu ślady to otwarta księga. Nic, tylko czytać. Wiele zwierząt jest tak zajętych walką o przeżycie, że nie zauważa nas, ludzi, i mamy okazję podejść do nich najbliżej, jak się da. Zapomnijcie o tym o każdej innej porze roku. Tylko zimą możecie zobaczyć tropy rysia czy watahy wilków. Poczujecie dreszczyk emocji udzielający się każdemu tropicielowi, który wie, że tajemnicze zwierzęta są tuż-tuż.

Pamiętajcie jednak o tym, że zima to nie jest łatwa pora roku. Do lasu nie można iść byle jak ubranym i nieprzygotowanym. Zwierzęta też nie mają łatwo. Dla wielu z nich to czas wielkich wyzwań. Czas śmierci i głodu. Muszą sobie radzić często w bardzo ekstremalnych warunkach. Chodzi nie tylko o mróz, lecz także o krótszy dzień, głęboki śnieg i twardy lód. I wiecie co? Zwierzęta sobie z tym radzą. Tysiące lat ewolucji dały im całą masę odpowiednich narzędzi do przetrwania największych mrozów – mają futro, gęsty puch... albo po prostu niezwykle pomysłowość. Obserwowanie ich jest nie tylko bardzo ciekawe, ale również niezwykle pouczające. Wreszcie zima to ginąca pora roku. Ocieplający się klimat zamienia nasze cudowne mroźne i śnieżne zimy w nijakie pory roku. Coraz częściej zima jest jak deszczowa jesień lub ponura wczesna wiosna. Dlatego gdy zdarzy się tydzień lub dwa prawdziwej zimy, nie ma co narzekać jak jakieś mięczaki, co nie wychodzą z galerii handlowej i dla których pięć centymetrów śniegu i dwa stopnie poniżej zera to katastrofa! Zakładamy kurtki, czapki, dobre buty i ruszamy w teren, bo właśnie przyszedł czas dla prawdziwych tropicieli. Hu, ha!!!



„Zima jest przytulna” powiedział mi mój przyjaciel Michał Książek. Bardzo mi się to określenie podoba



Zastanawiacie się, dlaczego zaczynamy zimową przygodę od tak ABSOLUTNIE nudnego miejsca jak łąki i pola? Są przecież wszędzie – na południu, wschodzie, zachodzie, za każdym miastem i wsią. Czy może być coś bardziej smutnego i przygnębiającego niż takie wczesnozimowe pole lub łąka? Przecież tam niczego nie ma. Nie słychać owadów, które pochowały się już gdzieś głęboko. Jedyne, co tu teraz gwiżdże, to wiatr, który hula po tych bezkresnych polach i zacina śniegiem. Już tylko wspomnienia zostały po zielonych ziołach oraz kwiatach i wszystko teraz porasta sucha trawa i brązowe badyle. Co jest interesującego w ogołocoonych z liści krzakach? Mizernych, łysych drzewkach? Poczekajcie, poczekajcie! Właśnie, że jest! Zimą na łące będziemy tropić superzabójcę...

Pewnie myślicie, że zwariowałem, bo namawiam was do tropienia jakichś niezbyt dużych drzewek i krzaków. No więc ja zawsze wycieczkę na pole lub łąkę zaczynam właśnie od gapienia się na nie. Przyglądam się bacznie, czasami przez lornetkę. Szukam takich, które mają kolce lub coś w tym rodzaju. Mogą to być krzewy tarniny, może być po prostu dzika jabłotka. Takie jabłotki, gdy jeszcze się nie rozrosły, przypominają krzaki i mają kolce. A kiedy na takim kolczastym drzewku zobaczę coś, co przypomina zeschnięty listek, taki ostatni, który z nie wiadomo jakiego powodu jeszcze nie spadł, to wiem, że jestem na właściwym tropie i na właściwej łące!

Podchodzę bliżej i z każdym krokiem nabieram pewności, że to jest właśnie to, czego szukałem. Widzę coraz wyraźniej, że ten listek ma łapki, ogonek i futerko, i że nie jest żadnym listkiem, ale nadzianym na kolec gryzoniem. A właściwie najczęściej jest to tylko ciało gryzonia pozbawione głowy. Czasami już nieco zaschłe, czasami jeszcze całkiem świeże, a z miejsca, w którym kiedyś była głowa, sączy się krew. Brr, okropne! Istny horror

i kryminał! Kto mógł dokonać tak zbrodniczego czynu? Kto widział, żeby urywać głowy gryzoniom i nadziewać je na kolce? Już wiem, co sobie myślicie. Że to ofiara jakiegoś sadysty albo wariata. Nic z tych rzeczy.

To robota pewnego ptaszka, który choć na to nie wygląda, jest supersprawnym zabójcą i ma swoje powody, by nadziewać gryzonie na kolce. Tym ptaszkiem jest dzierzba srokosz – srokosz, bo nieco przypomina taką minisroczkę. Zapewne gdy przyglądacie się jego ofiarom, jest gdzieś niedaleko. Jeszcze bliżej, bo tuż pod waszymi stopami, są też norniki. Od nich wypadałoby zacząć, bo niemal całe towarzystwo superzabójców zimą na łące ma tylko jeden cel – dorwać jakiegoś nornika.

GDY PRZYCHODZI ROK NORNIKÓW

Nornika polnego lub północnego (pojawia się na terenach nieco podmokłych), podobnie jak wiele innych gryzoni, zobaczyć dość trudno. To niewielkie zwierzątko ma zbyt wielu wrogów, żeby łązić sobie beztrudno po polach i łąkach. Polują na niego lisy, łasice, tchórze, kuny, myszołowy, sowy czy właśnie srokosze. A drapieżnikom nie ma się co dziwić, bo zimą takie 40 gramów ciepłego mięska to nie lada kąsek. Norniki są więc bardzo ostrożne.

Czasami jednak, gdy staniecie na chwilę w bezruchu, możecie dostrzec małą szarą błyskawicę śmigającą z norki do norki. Przyjrzyć mu się nie przyjrzycie, ale za to bez najmniejszych kłopotów zauważycie pozostawione przez niego ślady, na przykład nory.

Nornik, jak sama nazwa wskazuje, jest specjalistą w kopaniu. Jego nory na ogół mają głębokość około 30 centymetrów, a korytarze otaczające komorę, w której norniki śpią lub wychowują młode – nawet do 70 centymetrów długości. Komora jest wysłana siankiem lub zeszlą trawą. W innych komorach nornik gromadzi zapasy. Żywi się nasionami i miękkimi częściami roślin, i w takiej spiżarni na zimę gromadzi nawet 3 kilogramy różnego rodzaju ziaren, bulw lub korzonków.

Zimą norniki kopią korytarze między powierzchnią ziemi a śniegiem i kiedy nagle przyjdzie odwilż i śnieg stopnieje, to można dostrzec na powierzchni pól dziwną sieć labiryntów oraz gniazda. Duża liczba takich labiryntów to znak, że właśnie mamy rok norników. Norników albo – jak kto woli – gryzoni. Taki, w którym raptem pojawia się ich cała masa.

KTO ZJADŁ KRÓLA POPIELA?

Takie masowe pojawienie się gryzoni następuje co trzy-cztery lata lub co siedem lat i jest jedną z największych zagadek ekologii, czyli nauki zajmującej się zwierzętami i wpływem środowiska na ich życie. Ludzie od czasów starożytnych zastanawiają się, jak to się dzieje, że w niektórych latach gryzoni jest zatrzęsienie, a w innych – nie ma ich wcale. I jak mówię

„zatrzęsienie”, to mam na myśli ilości naprawdę wszecholbrzymie! Zdarzają się lata, gdy na jednym hektarze można naliczyć trzy tysiące norników. Słyszeliście o natłoku lemingów? To takie trochę przypominające chomiki gryzonie w Arktyce i gdy się tak masowo pojawiają, to zawsze mówi się o tym w telewizji. W szczycie może być kilkaset lemingów na hektarze, czyli nic w porównaniu z nornikami!

Te nagłe potopy gryzoni musiały fascynować naszych przodków. Wielu specjalistów uważa, że bajka o królu Popielu, którego zjadły myszy, wcale nie musi być do końca bajką. Może właśnie w tym czasie, gdy zginął Popiel, na polach pojawiła się cała masa norników i te dwa wydarzenia ktoś ze sobą powiązał?



Nabity na kolce nornik to spiżarnia srokosza, jedynej dzierzby, która nie odlatuje na zimę

No dobrze, ale dlaczego raptem zalewają nas norniki? Najprostsza odpowiedź na to pytanie brzmiałaby tak: norniki potrafią się rozmnażać

w wielkich ilościach. Jedna samica ma od 8 do 13 młodych, a ciąża trwa 19-21 dni. Młode norniki już po 40 dniach gotowe są do zakładania rodziny, a niektóre dane mówią nawet o 14 dniach. Rozmnażać się mogą od wczesnej wiosny do jesieni. No tak, ale gdyby to tylko od ich płodności zależało, to norników powinno być zawsze dużo. Skąd więc te różnice pomiędzy latami? Dlaczego raz jest ich dużo, a raz mało, bo tylko kilkanaście na hektarze?

Naukowcy przypuszczają, że te zmiany zależą od ilości pokarmu, wpływu drapieżników albo stresu. Tak, stresu, bo przecież żadne zwierzę nie lubi żyć w tłoku. Ostatnio pojawiła się też nowa teoria, według której przed nornikami broni się trawa. Jak to trawa się broni? Otóż tak, okazuje się, że im bardziej podgryzają ją norniki, tym więcej gromadzi w sobie substancji, która podtruwa gryzonie. Nie zabija ona norników, ale powoduje, że słabiej się rozmnażają i częściej chorują. Ale to wszystko teorie, bo tak naprawdę to nie ma jednej dobrej odpowiedzi na tajemnicze zmiany w populacji norników. To odkrycie czeka być może na was.

PUCHATY ZABÓJCA W BANDYCKIEJ MASCE

Skoro wiemy już, kim są ofiary, to pora rozejrzeć się za zabójcą. Dzierzba srokosz to nasza największa dzierzba i jedyna, która nie odlatuje na zimę do ciepłych krajów. Aby ją znaleźć, trzeba się rozglądać po okolicy, bo zwykle siedzi sobie na czubku jakiegoś drzewa albo na drutach elektrycznych i bacznie się nam przygląda.

Wypatrzeć ją nie będzie trudno, trudno będzie za to uwierzyć, że właśnie przed wami bezwstydnie puszy się morderca. – Przepraszam, masz na myśli tego sympatycznego ptaszka? – pytają znajomi, nie wierząc, że ta szaro-biało-czarna kuleczka z długim ogonkiem nadziała nornika na kolec i jeszcze urwała mu głowę. Tak, to właśnie on – dzierzba srokosz. Puchaty zabójca.



Dzierzba srokosz jest prawdziwym drapieżnikiem, choć zupełnie na takiego nie wygląda

Założę się, że większość z was nigdy nie posadziłaby srokosza o takie krwawe zwyczaje. Choć wygląda raczej na jakiegoś śpiewającego ptaszka, a nie drapieżnika, to nie ma sprawniejszego skrzydlatego zabójcy na łąkach. Jedyne, co może świadczyć o jego dość krwawych zwyczajach, to masywny dzióbek z ostrym zakończeniem. Tylko żeby go zobaczyć, trzeba by się srokoszowi przyjrzeć z bliska, a to nie jest łatwe. Podejrzany też jest czarny pasek na głowie srokosza, który wygląda niczym bandycka maska. Naukowcy nie wiedzą dokładnie, czemu on służy, a ja mam swoją teorię. Uważam, że dzięki niemu ofiary nie wiedzą, w którą stronę spogląda myśliwy, bo gdyby przecież wiedziały, że srokosz patrzy właśnie na nie, toby natychmiast zwiały, prawda?

ZAWODNIK WAGI LEKKIEJ WYGRYWA ZE WSZYSTKIMI

Srokosz poluje nie tylko na norniki, lecz czasem także na ptaki. I to całkiem spore, takie jak na przykład drozdy. Kiedyś, w średniowieczu, drozdy były przysmakiem i do polowania na nie używano właśnie srokoszy. Profesor Piotr Tryjanowski, który zajmuje się tym gatunkiem, opowiadał, jak widział srokosza atakującego większe od siebie ptaki – bekasa i samca kosa. Tego drugiego zabił. W Stanach Zjednoczonych odnotowano nawet atak tamtejszego podgatunku srokosza, delikatniejszego od naszego, na pardwę, która jest wielkości kuropatwy.

Gdy jesteście na łące, to na pewno gdzieś w pobliżu kręci się myszołów. Nasz zwyczajny lub nieco większy i jaśniej ubarwiony myszołów włochaty, który przybywa do Polski na zimę z północnych rejonów Europy. Popatrzcie, jaki jest duży – wielokrotnie większy od srokosza! On też poluje na norniki. Gdyby brać pod uwagę rozmiar ciała w porównaniu z rozmiarami ofiar, to ptaki drapieżne, dziś nazywane szponiastymi, czyli sokoły, myszołowy, jastrzębie i orły, nie mogą się nawet równać ze srokoszami. Srokosz wygrywa z nimi na puchaty łeb i szyję.

Zresztą myszołowy, orły i jastrzębie do zabijania poza dziobem mają jeszcze niezwykle silne łapy zaopatrzone w ostre i długie szpony, a srokosz ma tylko dziób. Jego łapki są słabe, zupełnie nie jak u drapieżnika. Z tego właśnie powodu srokosz nadziewa swoje ofiary na kolce.



Martwy żubr to masa pokarmu dla wielu zwierząt i to na bardzo długo. Na zdjęciu myszołów

Braki w wyposażeniu srokosz uzupełnia sprytem i umiejętnościami, bo potrafi polować na kilka sposobów. Kiedyś z Andrzejem Załęskim i Krzysiem Skrokiem obserwowaliśmy srokosza, który polował na piechotę. W brzdach świeżo przeoranej ziemi gonił za nornikami, i to z całkiem dobrym skutkiem. Innym razem, gdy na polach jakoś brakowało gryzoni, pewien srokosz usiłował polować na sikorki przy naszym karmniku. Ponieważ jednak powietrzna pogoń nie należy do mocnych stron srokosza, to udało mu się tylko wyrwać kilka piór z ogona jednej, bardzo wolnej sikorki.

Czasami widuję, jak srokosz, szybko machając skrzydłami, zawisa w powietrzu niczym wałka lub minihelikopter. Nazywam to „sposobem na pustkę”, bo to właśnie te sokoły najdłużej potrafią tak zawisać w powietrzu podczas polowania. Nikt im w tym nie dorówna – ani srokosz, ani myszołowy, które też to robią, ale wyjątkowo niezgrabnie.

Srokosz jest za to mistrzem wyczekiwania. Czasami można zobaczyć, jak siedzi sobie na drutach i wpatruje się w bezruchu w to, co dzieje się pod nimi. Mijają długie minuty i nagle – bach! – spada na ofiarę niczym błyskawica. Może sobie tak czekać na drutach, na antenie telewizyjnej na dachu albo na czubku drzewa. To, czy siedzi wysoko, czy nisko, zależy od tego, czy jest śnieg.

Gdy łąka jest przykryta śniegiem, opłaca się siedzieć wysoko, bo norniki, które wyjdą na białą przestrzeń, są widoczne z daleka. Poza tym gryzonie na takiej równej śnieżnej tafli nie za bardzo mają gdzie się ukryć, a ucieczka do norki może im zająć trochę czasu – i na to liczy srokosz. Zupełnie inaczej sprawy się mają, gdy śniegu nie ma. Wtedy szaroburego nornika ledwo widać, a do tego w okolicy jest pełno zakamarków, w których może się schować. Lepiej jest wówczas znajdować się jak najbliżej miejsca, gdzie może się pojawić ofiara, i dlatego wtedy srokosze siedzą nieco niżej.

Jak się ubrać na tropienie srokosza

Gdy planujecie spędzenie kilku godzin w ukryciu, musicie pamiętać, żeby się ciepło ubrać. Na głowę założcie solidną czapkę, pod spodniami ciepłutkie kalesonki, na nogi grube skarpety i buty z wełnianymi albo filcowymi wkładkami. Do tego kurtka, najlepiej puchowa, a jak nie, to kilka warstw ubrań. Dobrze zabrać ze sobą koc albo śpiwór. Nawet jak jest kilka stopni powyżej zera, to pamiętajcie, że będziecie siedzieć prawie w bezruchu. Jak się ubierzecie za lekko, to po półgodzinie robi się wam chłodno, po godzinie zimno, a po dwóch będziecie szczekać zębami i marzyć o powrocie do domu. No i nici z oglądania srokosza.

Znakomitym pomysłem jest termos z gorącą i bardzo słodką herbatą. Zaprawcie ją dodatkowo jeszcze sokiem malinowym i odrobinką imbiru – przynajmniej ja uwielbiam taką mieszankę rozgrzewającą i bardzo mi ona umila długie godziny oczekiwania w zimowej budzie. Niestety, pyszna herbatka ma jedną wadę – chce się po niej siusiać. Ponieważ wiedza o siusianiu zimą, a szczególnie o siusianiu w ukryciu, bardzo wam się przyda, to poświęćmy jej dużo miejsca w innym miejscu tej książki.



DLACZEGO SROKOSZE LUBIĄ KOLCE?

Jeżeli wciąż nie wierzycie, że to właśnie srokosz nabija te wszystkie nieszczęsne gryzonie na kolce, to nie macie wyjścia i musicie zastosować sprawdzoną metodę policjantów i detektywów, czyli zacząć się w miejscu zbrodni. Bo jak wiadomo ze wszystkich kryminałów, zbrodniarz zawsze tam wraca. W tym przypadku warto się jeszcze zacząć, by się przekonać,

że nadziewanie nie wynika wcale ze złego charakteru srokosza. Nie nadziewa przecież dlatego, że lubi się znęcać nad ofiarami!

Po pierwsze, musicie więc znaleźć drzewko z odpowiednimi kolcami. Takie, na którym regularnie pojawiają się nowe i z którego znikają kolejne srokoszowe ofiary. Może być ich w okolicy kilka. Sami musicie ocenić, z którego najczęściej korzysta srokosz. A kiedy już będziecie pewni, że to jest właśnie to drzewko, to się przy nim zaczajcie. Uwaga, musicie się odpowiednio ukryć!

Najlepszy jest jakiś namiocik do obserwacji. Taki, do którego nie przenika światło i który nie szeleści i nie będzie łopotał na wietrze. Namiocik najlepiej ustawić i wejść do niego, gdy jest jeszcze ciemno. Nie za blisko srokoszewego drzewa, ale kilkanaście metrów od niego. Oczywiście sprawdźcie wcześniej, czy gryzoń jest jeszcze nadziany na kolec, bo może się okazać, że w nocy coś go zjadło. Lis, kuna, a może nawet sroka. To się rzadko zdarza, bo żadne zwierzę nie lubi ściągać nawet najsmaczniejszych kąsków z miejsca, gdzie można się pokłuć, ale się zdarza. Pamiętajcie jednak, że nie ma co się czaić przy jakimś wyschniętym gryzoniu albo tam, gdzie został tylko kawałek z ogonkiem i łapkami. Im świeższa ofiara, tym lepiej.

Czy już się domyślacie, po co to całe srokoszowe nadziewanie? W ten sposób srokosz po prostu magazynuje jedzenie. Zjada góra dwa norniki dziennie – i to wtedy, gdy jest bardzo zimno i ma duże zapotrzebowanie na energię – a upolować może znacznie więcej, szczególnie gdy nadarza się do tego okazja. Dlaczego z niej nie skorzystać i nie zrobić zapasów? O tej porze roku pogoda zmienia się z dnia na dzień, a gdy pada śnieg lub wieje zbyt silny wiatr, norniki nie wyściubiają nosa z norek. Dlatego srokosz poluje, gdy tylko może. Te kolczaste drzewka lub krzaki to jego spiżarnia. Zresztą nie tylko krzaki, bo parę razy zdarzyło mi się znaleźć norniki nadziane na drut kolczasty. A gdy srokosz nie ma pod ręką – o, przepraszam, pod dziobem! – żadnych kolców, to może nadziać nornika nawet na złamaną gałązkę lub po prostu wcisnąć w jakieś rozwidlenie.

SROKOSZ NIE ORZEŁ, ALE POMOCY NIE POTRZEBUJE

Myślę, że zanim srokosz rano wyruszy na polowanie, wraca do takiej kolczastej spiżarni, by zjeść sobie śniadanie. Dlatego najlepiej zacząć się rano. Pamiętajcie o tym, by nawet w namiocie robić jak najmniej ruchów. Obiektów ustawiony na statywie aparatu lub lunetę wystawcie delikatnie z ukrycia. Starajcie się, by jak najmniej światła wpadało do namiotu, bo im więcej światła, tym większe ryzyko, że srokosz was zobaczy. Kiedy przyleci, bądźcie cicho i nie trzaskajcie zdjęć całymi seriami, bo to może go wypłoszyć. Dajcie mu spokojnie jeść i oglądajcie.

Jak będziecie cierpliwi, to zobaczycie, że te kolce mają jeszcze jedną funkcję – są sztuccami. Dokładnie tak jak nam nóż i widelec służą do przytrzymywania kawałka jedzenia na talerzu, tak srokosz wykorzystuje kolec, by podzielić sobie obiad na kawałki. Nadziewa gryzonią i urywa

kawałek, po czym znów nadziewa i znów urywa. Pamiętajcie, co pisałem o jego słabych łapkach? To nie są łapy orła. Zresztą dziób srokosza też nie jest zbyt ostry i dlatego potrzebuje kolców.

Naukowcy sądzą, że srokosze nadziewają ofiary z jeszcze jednego powodu. Doktor Marcin Antczak z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu wyjaśniał mi kiedyś, że powieszone na kolcach gryzonie pozwalają ocenić samicom, jaki jest z samca kandydat na męża. Czy potrafi dobrze polować? Czy na jego terytorium jest dużo jedzenia? Dlatego samice podobno spędzają całkiem sporo czasu na przyglądaniu się nabitym na kolce gryzoniom.

By nie spiekło nas słońce

Zimą jest najmniej słońca i dzień jest najkrótszy, ale to wcale nie znaczy, że jesteśmy bezpieczni. Śnieg i lód działają jak wielkie lustro i odbijają światło – to dlatego przy pełni księżyca w śnieżne dni jest jasno jak w dzień. A Arktyczne morza są takie zimne, bo warstwa lodu odbija promienie słoneczne. Oczywiście lód i śnieg muszą być czyste i białe. Szary, zabrudzony śnieg stopi się momentalnie, bo przestanie odbijać energię słoneczną, a zacznie ją absorbować.

Zimowe słońce działa i na nas. Po wyprawie do Arktyki byłem bardziej opalony niż mój redakcyjny kolega, który wrócił z Afryki. Oczywiście opaleniznę miałem tylko na twarzy. Dlatego też kremy zabezpieczające twarz przed poparzeniem słonecznym trzeba stosować również zimą. Taki zimowy krem nie powinien zawierać wody. Smarowanie twarzy kremami, które zawierają wodę – a ma ją większość kremów – sprawi, że odmrozimy sobie skórę. Z tych samych powodów, gdy świeci mocno słońce, a czeka nas wędrówka po śniegu, trzeba założyć okulary przeciwsłoneczne. Inaczej możemy sobie oparzyć nie tylko skórę, lecz także rogówkę, czyli ważną część oka. To tak zwana śnieżna ślepotą. Bardzo nieprzyjemna przypadłość, bo bolesna i w niektórych przypadkach może prowadzić do utraty wzroku. Na Dalekiej Północy oraz w wysokogórskich rejonach okulary przeciwsłoneczne były używane od dawna. W dawnych czasach nie było oczywiście takich sympatycznych przyciemnianych szyb jak dziś, stosowano wtedy okopcone kawałki szkła, a jeszcze wcześniej płaskie kości z wydrążoną małą dziurką.



LIS – STRASZNIE SKOCZNE ZWIERZĘ

Srokosz to niejedyny myśliwy dybiący na życie nornika. Nierozzerwalnie z zimową łąką kojarzy mi się polujący lis. Biegnie cicho, stawiając nogę za nogą – dlatego później jego tropy są ułożone w jedną linię i myśliwi

mówią na to sznurowanie, bo wygląda to trochę tak, jakby lis szedł po niewidzialnym sznurku. Jeżeli zobaczycie takie dziurki jedna za drugą, to na pewno zostawił je lis.

Siedzi sobie spokojnie na łące i nasłuchuje buszujących pod śniegiem norników. Jak tylko coś usłyszy, to zaczyna polowanie. Skrada się cicho jak kot i wtedy robi coś, czego żaden kot nie potrafi. Na wyprostowanych łapkach i z uniesionym ogonem wyskakuje do góry niczym sprężyna i spada dokładnie w miejscu, w którym powinien być nornik. Namierza ofiarę wyłącznie na słuch i dlatego gdy się skrada, uszy ma skierowane tam, gdzie jest gryzoń. Nie wiem, jak skuteczne jest to polowanie u całej lisiej populacji, ale przynajmniej połowa lisich skoków, które widziałem, kończyła się sukcesem.

Lisy są tak pochłonięte polowaniem na gryzonie, że gdy przycupniecie i zapiszczycie jak mysz, czyli składając usta w ciup i wciągając powietrze – jak to się dokładnie robi, opisałem w letniej części przy okazji wabienia kun w mieście – to na pewno zwrócą na was uwagę. Są jeszcze większymi amatorami gryzoni niż miejskie kuny i na takie piski reagują jeszcze lepiej.



Żeby przywabić liska zimą wystarczy zapisać niczym gryzoń. Tak właśnie zrobiłem to zdjęcie

JAK KOTY WYPARŁY ŁASICE Z NASZYCH DOMÓW

Tak naprawdę to nie kuny i lisy są największymi czworonożnymi prześladowcami gryzoni. Jest nim jeden z mniejszych, jeżeli nie najmniejszy, z drapieżników żyjących na ziemi i chyba najbardziej rozpowszechnionych w Europie, czyli łasica. Ponad 80 procent jej diety to myszy, nornice i norniki. Gdy brakuje gryzoni, jest też mało łasic. Dlatego gdy na waszej łące nie znajdziecie zbyt wielu śladów po nornikach, nie ma co sobie zawracać głowy szukaniem łasic.

Podobno w zamierzchłych czasach nasi przodkowie trzymali w domach łasice zamiast kotów. Może i jest w tym ziarno prawdy. Prawdopodobnie jednak łasice po prostu szły za gryzoniami do ludzkich siedzib, a ludzie się nimi opiekowali. Kariera łasic w domach musiała się skończyć wraz

z pojawieniem się kotów. Nie chodzi tylko o to, że koty łatwiej się oswajają i bardziej lubią przytulanie. Po prostu niewielka łasica to dla kota taka sama zdobycz jak mysz.

Łasice systematycznie przeczesują teren w poszukiwaniu ofiar – zagląдают do nor, penetrują zwalone pnie drzew i dziuple. Badania naukowców z Instytutu Biologii Ssaków PAN wykazały, że na każdym kilometrze wędrówki łasica może przeszukać aż 26 potencjalnych gryzoniowych kryjówek. Nie jest to polowanie łatwe, bo gryzonie znakomicie sobie radzą w tej podjazdowej wojnie z łasicami. Niektóre pryskają z nor wyjściami awaryjnymi, inne stają w bezruchu, a jeszcze inne wspinają się na różnego rodzaju rośliny i łasice przechodzą pod nimi, nawet ich nie zauważając. Jak wynika z badań białowieskich naukowców, w naturze zaledwie 40 procent ataków łasic kończy się sukcesem.



Cześć łasic bieleje na zimę, żeby się zamaskować. Niestety gdy nie ma śniegu, bywa to przekleństwem

MAŁY ROZMIAR MA SAME ZALETY

Łasice są podłużne – niektóre samce mogą mieć 20 centymetrów długości i ważyć nawet 150 gramów. Samice bywają niemal trzy razy mniejsze. Skąd taka różnica? Jak zwykle, gdy nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o... jedzenie. Jak ktoś jest duży, to musi dużo jeść. Samiec, aby przeżyć, zjada dwa-trzy gryzonie wielkości myszy, czyli ważące 20-30 gramów. Samicy wystarczy jeden-dwa i dzięki temu całą nadwyżkę upolowanych gryzoni może przekazać potomstwu, a czasami musi wychować aż sześć młodych. Poza tym mniejsze rozmiary ciała to w wypadku łowcy gryzoni zaleta, a nie wada. Im mniejsza łasica, tym łatwiej wcisnąć się do różnych „mysich dziur” i w latach, gdy gryzoni jest mało, to właśnie samica ma większe szanse na przeżycie.

No dobrze, ale dlaczego w takim razie samce są tak bardzo przerośnięte? Nie muszą się zajmować potomstwem, za to dość często walczą z przeciwnikami o względy samic i tu wielkość ma ogromne znaczenie. Taki fenomen nie występuje zresztą tylko u łasic. Profesor Karol Zub powiedział mi jeszcze jedną ciekawą rzecz. Otóż choć łasice możecie spotkać i na łące, i w lesie, to jednak różnią się one od siebie. I to bardzo. Samce, które mieszkają w lesie, ważą 80-90 gramów. Samce z łąk to przy nich prawdziwe olbrzymy ważące ponad 110 gramów, a czasami nawet od 130 do 140 gramów. Również w masie ciała samic żyjących w tych dwóch różnych środowiskach widoczne są różnice, choć mniej wyraźne. To dlatego, że żyjące na łąkach norniki są większe od żyjących w lesie nornic. Najciekawsze jest to, że mała łasica „leśna” może mieć duże „łąkowe” dzieci. Wszystko zależy od tego, gdzie zechcą żyć.

Co to jest czynnik wiatru?

Temperatura, którą pokazuje termometr za oknem, i to, jak może się ona dać wam we znaki, to dwie różne rzeczy. Jak zapewne wiecie, uczucie zimna potęgowane jest przez wiatr. Dlatego naukowcy wymyślili coś, co nazywamy czynnikiem wiatru, i określili, że przy wietrze wiejącym z szybkością 2,5 metra na sekundę i rzeczywistej temperaturze około 0 stopni nasz organizm będzie się czuł jak przy -2 stopniach. A gdy wiatr przy tej samej temperaturze będzie wiał z prędkością 9,5 metra na sekundę, to już tak, jakby było -14 stopni. Czynnik wiatru zawsze należy brać pod uwagę.

	TEMPERATURA RZECZYWISTA				
	0	-5	-10	-15	-20
PRĘDKOŚĆ WIATRU (m/s)	TEMPERATURA ODCZUWALNA				
2,5	-2	-7	-12	-18	-23
4,5	-8	-14	-20	-26	-32
6,5	-11	-18	-25	-32	-38
9,5	-14	-21	-29	-36	-43
12,5	-17	-24	-32	-39	-47



GDY FUTRO BLEDNIE NA ZIMĘ

Łasice zimą nie mają łatwo, bo długie i cienkie ciało szybko się wychładza. Dlatego muszą dużo jeść, a to oznacza ciągłe polowanie. Karol Zub wyliczył, że gdy temperatura waha się między 5 a -5 stopniami, łasice zabijają od 3 do 12 gryzoni dziennie, a gdy temperatura jest wyższa – zwykle od 2 do 5. Jak polowanie jest udane i coś zostanie łasicy po obiedzie, to nadwyżki magazynuje przy gnieździe, które znajduje się pod śniegiem. Gdy jest naprawdę zimno, łasica nie poluje, ale korzysta z zapasów. Zamarznięte na kość norniki wciąga do środka gniazda, rozmraża je i zjada.

Pokarm to niejedyyny zimowy kłopot łasicy. Sama nie jest wielka i łatwo może paść ofiarą myszołowa, lisa czy właśnie kota. Nic więc dziwnego, że stara się zniknąć z pola widzenia innych drapieżników, a najłatwiejszy sposób to zlanie się z otoczeniem. Nasze łasice z populacji żyjących na północy i wschodzie kraju, gdy tylko kończy się jesień i dzień robi się coraz krótszy, robią się białe. I to zupełnie! Nie mogą zatrzymać tego procesu, bo jest on związany z hormonalną reakcją na brak światła. Innym zwierakiem bielejącym na zimę jest gronostaj, czyli większy kuzyn łasicy, ale gronostaj nie robi się cały biały – ma zawsze czarną końcówkę ogonka.

Takie białe futerko jest świetnym maskowaniem – oczywiście wtedy, gdy jest śnieg. Gdy nagle stopnieje, łasica ma poważny kłopot. Na dodatek łasice nie mogą znowu zmienić barwy i wrócić do brązowej sierści, bo to przecież nie kameleony. Za to mogą wydłużać bycie białym, chowając się częściej przed światłem np. w norach.

JAK WYTROPIĆ ŁASICĘ?

Łasice nie należą do zbyt płochliwych zwierzaków, a gdy są zajęte polowaniem, to w ogóle nie zwracają uwagi na ludzi. Kiedyś pewna łasica

w poszukiwaniu myszy weszła do naszego domu i – zupełnie nie przejmując się ani obecnością naszą, ani naszej suczki Antonii – zajrzała we wszystkie zakamarki pokoju. Parę razy zdarzyło mi się, że fotografowałem jakieś zwierzęta i pod nogami przebiegała mi łasica, która goniła jakiegoś gryzonia albo taszczyła już zdobycz do gniazda.

Niestety, nie mam dobrego zdjęcia łasicy, bo jest to zwierzak niezwykle szybki. Śmignie i zanim zdążę nastawić ostrość, jest już w innym miejscu. Ze zrobieniem zdjęć będziecie więc mieć kłopot, ale z obserwacją – żadnego. Poszukiwania zacznijcie od znalezienia tropów łasicy. Szukajcie odcisków małych łapek. No tak, ale jak je rozpoznać na łąkach pełnych odcisków małych łapek? Bywają lata, gdy niemal przy każdej norce można zobaczyć podwójne sznury drobnych tropów. Jak tropy są bardzo gęste, to wiadomo, że należą do norników. Ale już myszy polne mogą sobie skakać i zostawiać większe odstęp. I bądź tu mądry! Jak więc rozpoznać, które z tropów zostawiły łasice, a które myszy?

Mogę wam oczywiście pisać, że tropy łasicy są nieco większe, ale to nic nie mówi, jak nie macie idealnie odcisniętej łapki. A czemu mielibyście ją mieć? Jest jednak inny sposób. Przypatrzcie się łasicy i myszy. Mają ogony! Łasica krótki i gruby, a mysz długi i cienki. I teraz szukajcie odcisków ogona. Jeżeli go nie ma, to wytropiliście raczej łasicę, bo jej ogon rzadko się odbija. Ogon myszy odbija się prawie zawsze. Jak nie macie ochoty na śledzenie ogonów, to możecie po tropach dochodzić, czym takie zwierzątko się zajmowało. Biegało od nory do nory i jeszcze na dodatek niektóre rozgrzebywało? To łasica!

PRZYBYSZE Z ARKTYCZNEJ PÓŁNOCY

Na łąkach zobaczycie nie tylko nadziewającego srokosza, skaczącego liska czy wtulone w śnieg stadko kuropatw. Nasze polskie łąki to cel wędrowki bardzo wielu przybyszów z Dalekiej Północy. Dla nich nasz kraj to nic innego jak wycieczka do ciepłego kraju.

Kiedy przychodzi wiosna na Spitsbergenie, czyli w dalekiej Arktyce, polarnicy zachwycają się śpiewem śnieguły. To biało-czarny ptaszek, który wygląda trochę jak naburmuszony wróbelek. Zresztą polarnicy nazywają go „polarnym wróbelkiem”, choć śnieguła jest bliższą kuzynką trznadla. Śnieguły znam świetnie z Arktyki, ale tu, w Polsce, miałem kłopot z ich rozpoznaniem, bo u nas nie są aż tak kontrastowo ubarwione jak na Dalekiej Północy. Mają mniej białego, a czarne jest zastąpione przez szare.



Śpiew śnieguć w Arktyce zwiastuje wiosnę. Do nas przylatują by spędzić na naszych polach zimę

Śniegućy to niejedynie niespodzianki, które mogą czekać na was na łąkach. Wiele lat temu znajomi z sąsiedniej wsi powiedzieli mi, że pojawiła się u nich sowa jarzębata. Śmieszna biało-czarna sowa z prążkowaną piersią i długim ogonem. Szczerze mówiąc, gdy siedziała na antenie w środku wsi lub na czubku drzewa na łące, to wyglądała jak duży srokoś. Nic bardziej mylnego, ta sowa jest przybyszem z dalekiej tajgi. Sowa jarzębata na skraju Puszczy Białowieskiej to jeszcze nic przy sowie śnieżnej. To taka wielka biała sowa z żółtymi oczami. Zobaczyć ją jest moim marzeniem. Szukałem jej na Grenlandii, ale nie udało mi się jej tam spotkać. Nie natrafiłem też na nią w tundrze na północy Szwecji i Norwegii. Kilka razy byłem całkiem niedaleko, bo około 20 kilometrów. Wyobraźcie sobie, że pojawiła się na łąkach na skraju Puszczy Białowieskiej. Niestety, miałem pecha i choć kilku moich kolegów ją widziało, to mi to się nie udało, ale się nie poddaję.



Marzę o spotkaniu sowy śnieżnej. Podobno te ptaki zimowały w okolicach Puszczy

Trudno powiedzieć, co pcha te wielkie ptaki z północy tak daleko na południe. Czy brak lemingów, którymi się żywią? Czy może zbyt siarczysta zima? Nie mam pojęcia i zapewne nikt nie wie, co sprawia, że sowy śnieżne dość regularnie pojawiają się na polskich łąkach i polach. Nietrudno za to zgadnąć, dlaczego akurat wybierają łąki i pola na miejsca zimowania – gdy zasypie je śnieg, wyglądają jak to, co znają najlepiej, czyli jak arktyczna tundra.

Zmarzluch, czyli mors

To jest chyba najważniejsza zimowa rada i bardzo bym was prosił, żebyście ją uważnie przeczytali. Otóż zimą najgorszą rzeczą, jaka może się wam

przydarzyć, jest wyziębienie organizmu. Może do niego dojść nie tylko wtedy, gdy się ubierzecie za lekko, ale również wtedy, gdy ubierzecie się za ciepło. Jak opatulicie się tak, że przy każdym kroku będzie się łał z was pot, to bardzo szybko przemoczycie ubranie, a ponieważ coś, co jest mokre, bardzo słabo utrzymuje temperaturę, w końcu wyjdzie na jedno – będzie wam strasznie zimno. Wysuszyć rzeczy zimą w terenie jest raczej trudno, dlatego trzeba się ubierać odpowiednio. Aby to zrobić, trzeba wiedzieć dokładnie, jak reaguje wasze ciało na niskie temperatury i wysiłek.

Są ludzie, którzy mogą na siebie założyć kilka warstw ubrań, na przykład bieliznę antypotną, polar, kalesony i kurtkę przeciwwiatrową oraz przeciwwiatrowe spodnie, czapkę i rękawiczki, i przy -10 stopniach ruszyć w teren z plecakiem, a nie spłynie po nich nawet kropelka potu. Inni – na przykład ja – w takim ubraniu i przy takiej temperaturze zagrzeją się, zapocą, a potem zamarzną i klops. Na szczęście nauczyłem się, że bardzo szybko się przegrzewam, i robię wszystko, by tego unikać.

Pamiętajcie, że nie ma nic niehonorowego w byciu zmarzluchem. Po prostu wasz organizm jest taki i już. Zresztą organizm będzie się powoli przyzwyczajał do zimy i niskich temperatur i hartował. Dlatego na początku zimy można ubierać się nieco cieplej, a potem już trochę lżej. Gdy wychodzę z domu i wiem, że będę cały czas maszerować, to musi mi być na początku lekko chłodno. Nie zimno, że szczękam zębami, ale tak, bym czuł lekki chłodek. To uczucie chłodka mija już po chwili i jest mi w sam raz. A jak się zatrzymam, to jest mi ciepło, bo moje ciało mnie grzeje, a ubranie to ciepło utrzymuje.

Gdy maszerujecie i czujecie, że wasz organizm zbliża się do zagotowania i zapocenia, nie czekajcie, aż to się stanie! Najprostsze sposoby na ochłodzenie organizmu to zdjęcie rękawiczek, szalika albo czapki. Najwięcej ciepła tracimy właśnie przez głowę. To działa w dwie strony – gdy czujecie, że chłodek przekracza niebezpieczną granicę i zaczyna się wam robić zimno, od razu zakładajcie czapkę.





Puszcza Białowieska zimą to jest to, co lubię najbardziej. Nie ma kleszczy i komarów, a bagna i bajora są zamrożone, więc już nie grozi nam utapianie się w błocie. Nie ma liści i dopiero teraz widać, jak naprawdę wielkie są puszczańskie drzewa. Zima to także jedyna pora roku, kiedy można wytropić prawdziwe duchy i zjawy tego lasu. Nie wierzycie?

Takimi duchami Puszczy Białowieskiej są wilki. Nieuchwytne przez większość roku, mogą pokazać nam się zimą, bo wtedy najłatwiej je tropić. W lecie czy jesienią jesteśmy skazani na odkrywanie przypadkowych odcisków łap, które nie mówią prawie nic. Nie wiadomo, czy zwierzę szło samo, czy w stadzie, przed godziną, czy kilka dni wcześniej. A już na pewno nie ma mowy, by jesienią czy latem ruszyć wilczym tropem i obserwować, co porabiają te tajemnicze zwierzęta. A zimą? Kochani, zimą, jeżeli jest śnieg, to będziecie czytać jak z otwartej księgi. Wszystkie wilcze tajemnice staną przed wami otworem. No, prawie wszystkie...

Pewnej zimy maszerowałem, a raczej szusowałem na nartach rozległą doliną rzeki Narewki. Zmierałem na północ w kierunku domu. Ciemności już zapadły, ale niebo było bezchmurne, a światło gwiazd i księżyca odbijało się od śniegu, więc było bardzo jasno i miałem superwidoczność. Do tego siarczysty mróz i kompletna cisza. Przerywał ją tylko trzask pękającego lodu gdzieś na brzegach rzeki. I nagle rozległo się wycie. Najpierw przeciągłe, potem zupełnie zwariowane. Dochodziło z lasu, ze strony parku narodowego po drugiej stronie Narewki. Wilki były nie dalej niż kilkaset metrów ode mnie! Dzieliła nas tylko zamrożona rzeczka. Były naprawdę blisko. „Ale

fajnie” – pomyślałem. Zupełnie jak w książkach Jacka Londona albo Jamesa Curwooda. Jeżeli jeszcze nie znacie książek Londona albo Curwooda, to koniecznie je przeczytajcie – to jedne z najfajniejszych książek przygodowych, jakie znam. Wszystkie dzieją się właśnie gdzieś na Północy, bohaterowie przedzierają się przez śniegi, a obok wyją wilki. Zupełnie jak w Puszczy Białowieskiej.

Wilki więc wyły, wsłuchiwałem się w nie otępiały, a potem stało się coś naprawdę dziwnego. Otóż w Białowieży, dwa kilometry od miejsca, gdzie stałem, zawyła syrena strażacka. Donośny dźwięk rozechocił wilki jeszcze bardziej i teraz dopiero zawyły jak szalone. Ich przeciągłe głosy towarzyszyły mi jeszcze przez dobre pół godziny.

Z WAJRAKA NIE ZOSTAJE ANI KOSTECZKA

Dobrze wiem, co sobie o mnie myślicie. Jaki normalny człowiek zasuwa w siarczysty mróz przez dzicz, gdzie czają się wilki? Przecież powinienem umierać ze strachu, a nie się cieszyć. Trochę macie rację. Gdy podobna przygoda przydarzyła mi się po raz pierwszy, wiele lat temu, jak razem z moim przyjacielem Romkiem przedzieraliśmy się przez bieszczadzkie śniegi, myślałem, że już po nas. Romek zresztą też. Byliśmy pewni, że nie uciekniemy, że wilki nas dopadną i nie zostanie po nas ani kosteczka. Nasze przerażenie sięgnęło zenitu, gdy się okazało, że jedyna latarka, jaką mieliśmy, nie działa. Wilki jednak, ku naszemu ogromnemu zdziwieniu, miały nas w nosie. Jakoś nawet nie chciały za nami gonić, tylko wyły sobie gdzieś ze szczytów gór.

Potem jeszcze przez wiele lat, gdy tylko słyszałem lub widziałem wilki w lesie, uginały się pode mną nogi. Jestem przecież wychowankiem naszej cywilizacji, a ludzie od zawsze wilków nie lubili. W dawnych czasach były konkurencją – i wilki, i ludzie polowali na te same zwierzęta. Pewnie często spotykali się przy padlinie – wilki warczały i szczyrzyły kły, a ludzie wymachiwali maczugami. Każdy chciał mieć jelenia, łosia czy sarnę tylko i wyłącznie dla siebie.

W starożytności wilki miały już trochę lepszą opinię, bo Rzymianie wierzyli, że Remusa i Romulusa, osieroconych założycieli ich państwa, wykarmiła i wychowała wilczyca. Później, niestety, znowu popsuły się nasze relacje. Nasi pradziadkowie rozpoczęli bezwzględną walkę z wilkami. Polowali, truli, łapali w pułapki, wybierali im szczenięta z gniazd i je zabijali. Walka skończyła się naszym zwycięstwem – w Europie i Ameryce po wilkach nie ma już teraz prawie śladu.

Dlaczego narty?

Nie ma lepszego sposobu na tropienie niż na nartach. Tylko tak możecie pokonywać naprawdę duże odległości zimą. Poza tym jest to bardzo

zdrowy sposób, bo szusowanie zmusza niemal wszystkie mięśnie do pracy. Już widzę, jak kręcicie głowami z niedowierzaniem. Na nartach w lesie? Gdzie jest pełno gałęzi? Przecież to będzie jakaś istna udręka. Ciągłe zaczepianie się i wywrotki. Zapewniam was, że nic z tych rzeczy. Narty to świetny wynalazek do poruszania się po lesie zimą. Co tam świetny – jedyny i najlepszy do zimowych wędrówek! Narty nie wpadają pod gałęzie i konary, bo suną ślizgiem nad wszystkim, co mogłoby was zatrzymać. Nie będziecie pierwsi. Turystyka narciarska i górską była kiedyś w Polsce bardzo popularna. W 1927 roku grupa studentów przeszła na nartach trasy z Suwałk na Howerlę, najwyższy szczyt Czarnohory. To był wielki wyczyn, bo w niecały miesiąc pokonali ponad tysiąc kilometrów!



DLACZEGO BOIMY SIĘ WILKÓW?

Wojna z wilkami toczyła się też na froncie propagandowym. Ludzie tak już mają, że gdy postanawiają coś wymordować, to jeszcze stają na głowie, by obrzydzić wroga wszystkim innym, więc zrobiliśmy z wilka symbol zła. Złe zwierzę przecież łatwiej mordować i wszyscy to rozumieją. Stąd te wszystkie opowieści o krwiożerczych wilkach zabijających dla przyjemności. To dlatego, jak komuś źle z oczu patrzy, to mówimy, że patrzy wilkiem, a gdy mamy złe zdanie na temat natury ludzkiej, to mówimy: człowiek człowiekowi wilkiem. Szczytem tej antywilczej propagandy jest oczywiście bajka o Czerwonym Kapturku, w której zły i podstępny wilk zjadł babcię i wnuczkę. Na szczęście na końcu pojawia się pan leśniczy, który zabija wilka, rozpruwa mu brzuch i ratuje obie.

Strach przed wilkami wpajano nam przez pokolenia – jest więc czymś zupełnie normalnym i nie ma się czego wstydzić. Dlatego nie myślcie o sobie, że jesteście jakimiś mięczakami, gdy na widok świeżego wilczego tropu nogi zaczną wam drżeć, a na odgłos wycia pot spłynie wam po plecach. Miałem tak samo, i to bardzo długo. Do czasu, aż zrozumiałem, że to wilki mają większego stracha przed nami. I nie ma się im co dziwić, bo nie było chyba w historii bardziej prześladowanego zwierzęcia. My, ludzie, z ich strony nie mamy się czego bać. Co jakiś czas, i to raczej z winy ludzi, atakują nas zwierzęta – żubry, niedźwiedzie i bardzo rzadko dziki. Nigdy jednak wilki! Nie znam żadnego takiego przypadku i zapewne nie było takiego w Europie od kilkuset lat. Pora więc przestać się ich bać. Wilk to zupełnie normalne zwierzę.

WIELBICIELE UTARTYCH DRÓG

Wilki to wędrowcy. Codziennie pokonują od kilku do kilkunastu kilometrów, a gdy wymaga tego sytuacja – nawet więcej. Stowarzyszenie dla Natury „Wilk” przywołuje na swoich stronach internetowych historię urodzonego w Niemczech wilka Alana, który jest symbolem prawdziwego wilczego wędrowca. Alan wyruszył w wędrówkę w kwietniu 2009 roku. Przepłynął Odrę, przewędrował całą Polskę, poszedł sobie na Białoruś, potem na Litwę, a następnie ponownie udał się na Białoruś. Do października 2009 roku przemierzył aż 1400 kilometrów!

Naukowcy z Instytutu Biologii Ssaków zaopatrzyli w nadajniki telemetryczne wilki z Puszczy Białowieskiej i policzyli, że wilcza wataha średnio pokonuje 23 kilometry na dobę. Najmniej – pół kilometra, najwięcej – 64. Jako uczestnik kilku wypraw polarnych mogę was zapewnić, że niezbyt wielu jest w stanie pokonać taką odległość w tak krótkim czasie. A jeszcze zimą? Tymczasem dla wilków to chleb powszedni. By coś zjeść, muszą bez końca przemierzać las, bo przecież nie każdy spotkany jeleni da się dopaść i zabić.



Nie ma co się bać spotkania z wilkami. Wilki nie polują na ludzi

Wędrowny tryb życia wilków stanowi wskazówkę, gdzie można je spotkać. Te białowieskie są wielkimi wielbicielami dróg. Oczywiście nie tych, po których jeżdżą samochody, tylko leśnych duktów i ścieżek rzadko używanych przez ludzi. Czasami, gdy mróz jest naprawdę ostry, wilki przenoszą się na skute lodem białowieskie rzeczki, bo przecież taka rzeczka jest wtedy zupełnie jak droga, i to jeszcze o wyjątkowo gładkiej nawierzchni.

Wilki to bardzo mądre zwierzęta i wiedzą, że wędrowka przez las nie jest łatwa. Tyle zwalonych drzew, no i ten hałas! Nawet jak jest się wilkiem, nie sposób nie zaszeleścić lub nie nadepnąć na jakąś gałązkę. Łażenie po lesie jest niewdzięcznym zajęciem, szczególnie gdy jest się myśliwym, który woli, by ofiary nie dowiedziały się o jego obecności. Dlatego w Puszczy Białowieskiej – ale także w innych lasach, na przykład w Puszczy Augustowskiej albo w Bieszczadach – na wilcze tropy najłatwiej trafić na drogach. Mądre wilczyśka wiedzą, którądy chodzić.

Zresztą na drogach zobaczycie nie tylko odciski łap – na białym śniegu łatwo znaleźć wilczą kupę, która trochę przypomina psią, ale pełno w niej sierści i małych kawałeczków kości upolowanych zwierząt. Taką kupę też czuć. Nie wiem, jak wam ten zapach opisać, ale – słowo daję – nie ma gorszego zapachu niż wilcza kupa! Jak na nią traficie, na pewno będziecie o tym wiedzieć.

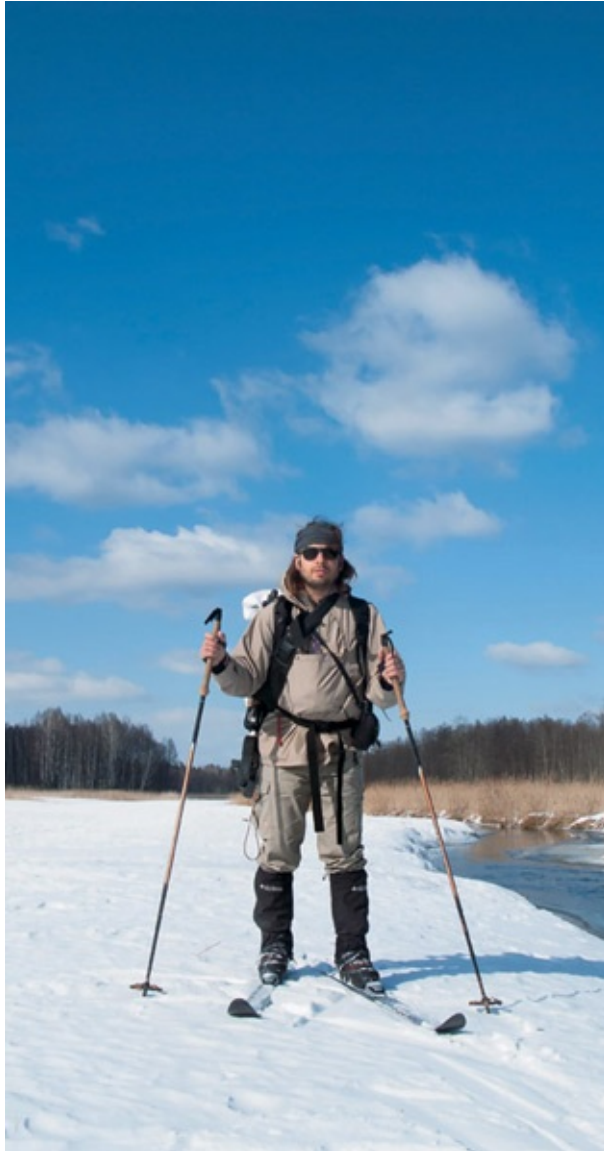
Wilków można też szukać po innych śladach, na przykład w pobliżu miejsc, gdzie zrobiły siusiu. Widać to świetnie na śniegu – przy żółtej plamie można zobaczyć wydrapane aż do czarnego podłoża. Gdy to zobaczycie, to znaczy, że trafiliście na terytorium wilczej watahy.

Najlepsze narty na wędrowkę

Do wędrowek musicie mieć specjalne narty – narty śladowe albo tzw. narty cross-country lub x-country, czyli służące do turystyki. Są szersze od biegówek, lżejsze i bardziej elastyczne od zjazdówek, ale na spodzie mają łuskę, dzięki czemu nie cofają się i łatwiej na nich podchodzić pod niewielkie wzniesienia.

Optymalne są takie, których przód ma przynajmniej osiem-dziewięć centymetrów szerokości. Poluję na takie, co mają dziesięć, ale bardzo trudno je dostać. Im szerszy przód, tym wygodniej się szusuje po nieubitym śniegu. Jeśli chodzi o długość, to najlepsze są równe z nami. Ostatecznie mogą być o pięć centymetrów krótsze lub dłuższe. Dłuższych nie polecam, bo trudniej manewrować między drzewami, a w krótszych będziecie się zapadać. Fajnie, gdy narty będą miały stalowe krawędzie, bo będziecie mogli podchodzić bokiem pod wzniesienia i łatwiej przejdziecie po zwalonych drzewach. Jeżeli będziecie poruszać się wyłącznie po płaskim terenie, takim jak Puszcza Białowieska lub Bagna

Biebrzańskie, to narty mogą być proste, czyli takie, w których przód, środek i tył są tej samej szerokości. Tam gdzie szykują się zjazdy z góry, warto mieć narty taliowane, czyli z szerokim przodem i tyłem oraz nieco węższym środkiem. Taliowane narty oczywiście świetnie nadają się też na teren nizinny, choć trochę trudniej się w nich biega.



Tak ubieram się zimą. A najlepszym sposobem na zimowe poruszanie się po lesie, łąkach i rzecznych dolinach są narty

Wybór kijków jest dość prosty. Im mocniejsze, tym lepsze. Fajne są kijki składane, bo można dopasowywać ich wysokość. Optymalne kijki to takie, które idealnie mieszczą się pod pachą. Do biegania co prawda używa się dłuższych kijków, ale są one bardzo nieporęczne w lesie.



JAK ROZPOZNAĆ ŚLADY WILKA?

Oczywiście najpewniejszym znakiem tego, że jesteście na tropie wilków, jest odcisk łapy. Bardzo, ale to bardzo przypomina odcisk łapy dużego psa. Podobnie jak u wszystkich psowatych, czyli kuzynów naszych psiaków, u wilka też widać przynajmniej dwa odcisnięte pazury. Gdy śnieg jest miękki – na przykład w czasie odwilży – możecie znaleźć fantastycznie wyraźne odciski. Zobaczycie wtedy, jak wielkie łapy ma wilk!

Gdy śnieg jest głęboki i sypki, to nie widać odcisków, a jedynie dziury w śniegu, i wtedy mamy kłopot, bo jak się dowiedzieć, czy zostawił je wilk, czy jelen, a może dzik? Pierwsza rzecz, na którą musicie zwrócić uwagę, to głębokość. Jelenie zwykle zapadają się głębiej, bo wilcze łapy działają trochę jak rakiety śnieżne, a jelenie racice – nie. Inaczej też chodzą. Wilki zwykle wyciągają łapy ze śniegu i nie rozbijają go, a więc nie tworzą śnieżnej rynny jak jelenie, a już na pewno dziki. Wilki chodzą z wielką gracją, a dzik z krótkimi nóżkami zostawia po sobie pas poruszonego śniegu. Żeby taki ślad został po przejściu wilka, śnieg musi być bardzo głęboki i sypki.

Jeżeli wciąż nie jesteście pewni, czy to nie wilki zostawiły trop, a śnieg jest sypki, to możecie jeszcze w niego dla pewności dmuchnąć. Łapa jest ciepła i przy dużym mrozie zostaje po niej odcisk, który ginie pod sypkim śniegiem, gdy zwierzę wyciąga łapę. Najlepiej po prostu klęknijcie, podeprzyjcie się rękami i ze dwa-trzy razy zdecydowanie dmuchnijcie. Jak wam się uda, to może zobaczycie ślady pazurów i poduszczyk z odbitym wyraźnym kształtem przypominającym literę X. I już wiecie, że to nie jelen ani dzik.

No dobrze, ale jak odróżnić trop wilka od psa? Dobre pytanie, bo po naszych lasach łązi sporo dużych psów. Teoretycznie łapy psa zostawiają nieco bardziej okrągłe tropy, u psa też widać częściej odbicia skrajnych pazurów, podczas gdy u wilka częściej tylko dwóch przednich. Teoretycznie, bo powiem wam, drodzy tropiciele, że tropiłem wilki przez dziesiątki, a może setki kilometrów i tylko dwa razy pomyliłem je z psami.

Nigdy nie próbuję odczytać, czy to wilk, czy pies, z samego odcisku łapy. Podobno są tacy czarodzieje, co potrafią to zrobić, ale ja ich nie znam i szczerze mówiąc, nie wierzę, że to możliwe. Zresztą nawet jakby było możliwe, to według mnie stratą czasu jest przyglądanie się tropom. Są na to lepsze sposoby. – Najlepiej patrzeć, w którym kierunku prowadzi trop. Jak do lasu, to wilk, a jak do wsi, to pies – kiedyś żartem wyjaśniał mi mój przyjaciel z Białorusi i genialny tropiciel Wadzim Sidarowicz. Wadzim ma oczywiście rację – wilki unikają ludzi, a psy nie. Choć z tym też może być różnie. Zdarzyło się, że wilki zabiły łanię jakieś 200 metrów od wsi, w której mieszkam.

Zresztą w lesie nie ma co za bardzo patrzeć na kierunek, bo zwierzę zawsze

może go zmienić. Dlatego warto zwracać uwagę na inne szczegóły. Zobaczcie, czy śladom, które wyglądają na wilcze, przypadkiem nie towarzyszy ślad człowieka, bo to oznacza, że natrafiliśmy na ślady kogoś, kto wyszedł z psem na spacer. Wilki rzadko chodzą w pojedynkę. Rozdzielają się, ale zwykle po jakimś czasie się schodzą. Powiecie, że psy też mogą iść w grupie, choć oczywiście rzadziej. Tak, to prawda, ale wtedy zwykle widać wyraźną różnicę w wielkości. Z psami już tak jest, że nawet wielkim, których ślady można pomylić z wilkiem, towarzyszy zwykle jakiś mały Pikuś lub Reksio.

Jak już zobaczycie takie duże i małe ślady bez śladów człowieka, to wciąż może to być wilk, bo wilkom czasem towarzyszy lis. Opowiem wam jeszcze kiedyś o tym. No i jak tu rozpoznać wilka? Jest jedna rzecz, która pozwoli wam niemal bezbłędnie odróżnić wilka od psa. Różnica tkwi nie w samych tropach, ale w tym, jak zwierzę idzie przez las. Pies jest bardzo niepewny, kręci się, zawraca. Widać, że czuje się tu nieswojo, choćby był nie wiem jakim psem myśliwskim. Natomiast wilk idzie prosto jak po sznurku. Jest pewny siebie – wiadomo, jest przecież u siebie w domu!



Tropy wilka i jeleni. Zima to świetny czas dla tropicieli

JELEŃ NA KOLACJĘ, CZYLI GRUNT TO RODZINA

Wataha to nic innego jak rodzina. Wilki są niezwykle rodzinnymi zwierzętami. Co prawda w różnych książkach znajdziecie pełno historii

o wilkach samotnikach, ale wilki nie lubią samotności i opuszczają rodzinę tylko wtedy, gdy młode zwierzęta wędrują w poszukiwaniu terytoriów.

Taka wilcza rodzina, czyli wataha, składa się z wilczej mamy i wilczego taty oraz dzieci. Tych urodzonych w danym roku – u nas wilczki rodzą się pod koniec kwietnia i na początku maja – oraz ich starszego rodzeństwa z poprzednich lat, które również pomaga rodzicom. Czasami do grupy dołączają wilki spoza rodziny. Watahy, które mieszkają w Polsce, liczą od czterech do sześciu, bardzo rzadko ośmiu wilków. Liczba członków rodziny jest w sam raz dopasowana do naszych warunków. Nie klimatycznych, ale spożywczych, bo najważniejsze jest jednak jedzenie.

W Polsce głównym pokarmem wilków są jelenie. Sarny są dla watahy stanowczo za małe i polowanie na nie kosztowałoby za dużo wysiłku w stosunku do wielkości zdobyczy. Łosi nie ma u nas zbyt dużo, poza tym łoś potrafi się bronić. Nie wspominam o wielkim żubrze, który raczej jest poza zasięgiem wilków, chyba że jakiś młody odłączył się od stada. Dorosły i zdrowy żubr łatwo by się nie dał. Choć tu muszę dodać, że padłe żubry są wilczym przysmakiem, ale o tym trochę później. Dzikie za to są groźne i przenoszą choroby. Wilki polują co prawda na dziki, ale jak mogą mieć na obiad jelenia, to z dzików bez żalu rezygnują.

Jeleń jest akurat tym posiłkiem, za którym nasze wilki przepadają. Upolowanie ręczego jelenia nie jest oczywiście łatwe. Wilki są szybkie, ale jelenie też. Wilki to jednak genialni stratedzy. Większość ich ofiar, które znajdowałem, ginęła w pobliżu jakiejś przeszkody, bo wilki uwielbiają wpędzać jelenie na wszelkiego rodzaju ogrodzenia. W lesie takich płotów jest sporo. Leśnicy zagradzają uprawy młodych drzew, by właśnie jelenie ich nie zjadały, i nie dość, że biedni roślinożercy nie mają dostępu do pokarmu, to jeszcze korzystają na tym wilki. Zapędzony pod taką siatkę jelenie nie ma gdzie uciec i ginie.



Jelenie mają masę sposobów jak uniknąć wilków. Np. stronią od miejsc, z których nie można szybko uciec

Zaraz powiecie: ale przecież kiedyś, dawno temu, nie było siatek w lesie, a wilki jakoś polowały. Oczywiście, że tak. Wilki potrafią wykorzystywać inne przeszkody. W Bieszczadach polują na jelenie, które wchodzą do doliny górskich strumieni. Takie jary są zwykle bardzo głębokie i strome, i tylko naprawdę sprawny jeleni potrafi z nich uciec. W Puszczy Białowieskiej takich przeszkód nie ma, bo jest raczej płaska jak talerz, ale tutejsze wilki tego nie potrzebują. Pędzą jelenie w kierunku zwalonych drzew albo rzeczek. Taka rzeczka, choć wydaje się, że można ją bez trudu pokonać, często okazuje się dla jelenia śmiertelną pułapką. Wystarczy, że jeleni zawaha się sekundę lub dwie przed skokiem, i koniec. Poza tym na zalodzonych rzekach albo rozlewiskach twarde racice jeleni ślizgają się jak łyżwy, a łapy wilcze nie. Podobnie w głębokim, ale po wierzchu zamrożonym śniegu wilki nie będą

się zapadać, a jelenie już tak. Nie wiem, skąd się wzięła opowieść o tym, że wilki głodują zimą. Jak widzicie, są tak przygotowane do polowania, że o głodzie nie ma mowy. No, chyba że my, ludzie, wybijemy wszystkie zwierzęta, na które polują...

Jakie buty i wiązania?

Aby było wygodnie poruszać się na nartach, pięta jest wolna, a but związany tylko czubkiem. Do solidnej turystyki najlepiej wybrać buty za kostkę przynajmniej o półtora numeru większe od stopy. Ja wybieram o dwa numery większe. Buty narciarskie zwykle nie mają żadnego ocieplenia i dlatego trzeba będzie włożyć do nich grubą wełnianą skarpetę lub filcowy botek.

Na rynku dostępne są dwa dobre rodzaje wiązań i butów, które sprawdzają się w warunkach terenowych. W jednych buty mają wystającą część, coś w rodzaju kaczego dzioba z dziurkami od strony podeszwy – to tzw. system 75 mm. Drugie to takie, w których wiązanie łąpie pręt wtopiony w czub buta – nazywa się to BC. To bardzo fajne wiązania, pod warunkiem że są wpinane ręcznie. Te automatyczne są zbyt delikatne w teren.

W butach z prętem chodzi się wygodniej i lepiej szusuje niż w kaczych dziobach. Nie ma też znaczenia, czy przypina się lewą, czy prawą nartę. Te wiązania mają same zalety i tylko jedną wadę, ale istotną. Gdy zamoczyicie nartę i wiązania, a po chwili ściśnie mróz, to nie odepniecie narty. Trzeba rozsznurowywać but i razem z nartą wpakować go do namiotu, wszystko ogrzać i wysuszyć. Kacze dzioby odepną się i zapną za to w każdych warunkach.



Jak się ubrać na narciarskie tropienie?

Ubranie na narty musi być lekkie. Nie może krępować ruchów i musi mieć możliwość wentylacji. Ja mam zwykle trzy warstwy ubrań, z czego dwie na sobie, a trzecią w zapasie, ale zwykle zakłada się trzy na siebie i czwartą bierze się na zapas. Najbliżej ciała mam bieliznę – nigdy, ale to nigdy nie zakładajcie bawełnianych koszulek na narciarską wyprawę. Czysta bawełna szybko zamaka i jest nie do wysuszenia. Najlepiej założyć bieliznę antypotną – może być syntetyczna albo wełniana, która nie śmierdzi nawet po kilku dniach wysiłku i nawet jak jest trochę mokra, to trzyma ciepło. Jestem fanem bielizny wełnianej. Jedyną jej wadą jest to, że jest droższa od syntetycznej i trzeba ją prać w preparatach do wełny.

Jeśli jesteście zmarzluchami, to warto założyć cienki polar. Potem warstwa

antywiatrowa – może to być kurtka goreteksowa, ortalionowa lub syntetyczno-bawełniana. Ta ostatnia to moja ulubiona, bo jest miła w dotyku, nie sztywnieje na mrozach, poza tym nie szeleści.

Pamiętajcie o tym, by kurtka i spodnie miały suwaki do wentylacji umieszczone po bokach. Gdy czujecie, że zaraz się ugotujecie, możecie je rozpiąć i od razu jest milej. Gdy wieje boczny wiatr, możecie wentylować się tylko z tej strony, która jest osłonięta. W zapasie trzeba też mieć ciepłą lekką kurtkę. Najlepsza jest kurtka puchowa. Gdy tylko przystajecie, zarzućcie ją, by gwałtownie nie tracić temperatury. Możecie wtedy zdjąć warstwę antywiatrową, by ją trochę przesuszyć na wietrze.



KTO ŚLEDZI WILCZĄ WATAHĘ W LESIE?

Jeżeli będziecie wędrowali wilczym tropem, zobaczycie, że nawet po dość długim czasie nie jest łatwo zorientować się, ile wilków liczy wataha. A to dlatego, że nie zawsze wszystkie wilki idą obok siebie. Niektóre stawiają łapy dokładnie tam, gdzie postawił je wilk idący przed nimi. Oczywiście nie robią tego, byśmy nie mogli ich policzyć, ale po prostu tak jest łatwiej maszerować. Ludzie też tak robią – narciarze idą przecież zawsze za tym, który przeciera szlak. Zresztą często widzę, że gdy przetrę szlak narciarski w głębokim śniegu, to później korzystają z niego lisy i dziki. Po co się męczyć i brnąć przez śniegi, skoro można iść po ubitym? Tak samo jest z wilkami, ale nie zawsze.

Czasami wataha, która idzie jedną ścieżką, nagle się rozdziela. Raptem gubi się jeden wilk, po nim drugi. Wilki rozsypują się po lesie czasami na bardzo dużym obszarze. To znak, że polują, ale wcale nie oznacza to, że coś upolują. Możecie przejść jeszcze wiele kilometrów, zanim znajdziecie pozostałości po ich uczie. Wilkom udaje się coś upolować nie częściej niż co dwa-trzy dni.

Czy można jakoś poznać, że wilki dopadły swoją ofiarę? Owszem. Wtedy zwykle w wilczych tropach albo tuż obok można zobaczyć odcisnięte łapki lisa. Lisy często śledzą wilcze watahy, choć spotkanie z wilkami może się zakończyć dla nich śmiercią. Ale warto ryzykować, bo a nuż zostanie coś z wilczego stołu. Gdy wilki coś zabiły, lisy to czują. Im bliżej miejsca, gdzie jest ofiara, tym więcej tropów padlinożerców – lisów i kun. Często słychać też krakanie kruków. O padlinożercach opowiem wam w innym rozdziale.

Miejsce, gdzie wilki dopadły jelenia, jest nie do przeoczenia – to wielka krwawa plama. Jeleń zwykle jest wybebeszony, a flaki walają się po okolicy. Wilki posiłek zaczynają od serca, wątroby i płuc. Tak naprawdę trudno się zorientować, w jakiej kolejności wilki zjadały obiad, bo jeżeli ofiarą jest młody jelen, to po uczie zostają tylko kręgosłup oraz kończyny.



Wataha wilków to nic innego jak rodzina. Żyjąc w rodzinie wilki mogą skutecznie polować

Jeżeli znajdziecie tylko takie resztki, możecie je dokładnie obejrzeć i przestudiować wszystkie ślady wokoło. Jeśli wilki zabiły dużego jelenia i jeszcze z niego sporo zostało, to tylko zerknijcie i się wycofajcie. Wilki wrócą, by zjeść zdobycz do końca. Oczywiście pod warunkiem, że w okolicy nie będą się kręcić ludzie, których się tak boją. Często myśliwi opowiadają mi o tym, że znajdują nadjedzone wilcze ofiary, co ma dowodzić, że wilki zabijają dla przyjemności, a nie dla jedzenia. Nic bardziej mylnego. Po prostu wilki nie będą jadły w obecności człowieka, a im więcej śladów zostawimy przy ofierze, tym większe prawdopodobieństwo, że w ogóle do niej nie wrócą.

Teraz spróbujemy jeszcze raz policzyć naszą watahę. Otóż jeżeli dalej podążycie wilczym tropem, zapewne traficie w końcu na miejsce, w którym spały. Znajdziecie wytopione w śniegu okrągłe wgłębienia. Każde z nich to łóżko, ślad po zwiniętym w kłębek wilku. Teraz możecie bez trudu je policzyć i będziecie wiedzieć, ile wilków liczyła wataha, którą tropiliście.

JAK ZAWYĆ NA WILKA?

Jakie są szanse, że zobaczycie wilka? Będę z wami szczery – niewielkie. To wyjątkowo skryte zwierzęta i do tego bardzo boją się człowieka, więc będą się starały unikać spotkania z wami. Nie ma ich też za dużo. W całej Polsce to około 1500 sztuk, głównie na wschodzie i południu kraju. W Puszczy

mieszka ich 20-30, czyli 3-4 watahy.

Być może gdy będziecie wędrować drogą przez Puszcę, to je zobaczycie. Może jakiś przetnie ścieżkę, po której szusujecie na nartach. Nie wiadomo. Kucnijcie wtedy, złożcie dłonie i zawyjcie. Najpierw raz przeciągle, a potem raz lub dwa razy krótko. Powtórzcie taką serię dwa razy i na tym skończcie, bo wilki mogą się zorientować, że próbujecie je nabrać. Chodzi o to, by do końca nie wiedziały, co to właśnie zawyło. Wilki boją się ludzi, ale również są bardzo ciekawskie. Wycie służy im do komunikowania się w stadzie i jest też sygnałem dla innych wilków, że terytorium jest zajęte. Jeżeli będziecie mieli trochę szczęścia, to wilki po cichu was obejdą i będą się starały zbliżyć, by sprawdzić, kto wył. Czasami ich ciekawość jest silniejsza niż strach i gdy ona zwycięży, będziecie mogli przyjrzeć się im z bliska. Nie potrwa to dłużej niż kilkanaście sekund, ale będzie to niezapomniane przeżycie.

Uwaga na kochane stopy!

Przy wysiłku pocą się nam stopy. Pot przenika przez jedną skarpetkę, wsiąka w następną, przełazi przez filcowy botek, a następnie dostaje się do buta. Po pewnym czasie wszystko jest mokre i robi się nam zimno w nogi. Następnie but i kolejne warstwy skarpet zamarzają na kamień. Wysuszenie grubych przepoconych skarpet albo buta na długiej wycieczce to misja niewykonalna. Ale jest na to sposób. Trochę ohydny, ale bardzo skuteczny.

Otóż na stopę nakładamy cienką skarpetę, najlepiej z mieszanki syntetyków z naturalnymi włóknami, a na nią foliowy worek. Taki do śmieci – musi sięgać wysoko. Na worek zakładamy grubą skarpetę, potem na nią botek filcowy i but narciarski. Tak robiliśmy w warunkach polarnych, więc w normalnych można zrezygnować z botka filcowego. Teraz będzie wam sucho i przyjemnie.

Cienkie skarpety łatwo wysuszyć, wkładając je za pazuchę przed snem w śpiworze. Strasznie śmierdzą i na wyprawach polarnych nazywane są śmierdziuchami. Wiem, że fuj, ale tak właśnie najlepiej się je suszy. Możecie też przed włożeniem za pazuchę świeżo przepocone skarpety zostawić na mrozie, by wybił wszystkie bakterie. Potem suszycie je w namiocie, pakujecie za pazuchę i hop do śpiwora. Nie zapomnijcie tylko zadbać o stopy. Wysuszyć je i wymasujecie. Kochane stópki są najważniejsze i o nie trzeba dbać najbardziej!





Zimą ważne jest, aby mieć wszystko suche. Nic tak nie wychładza jak mokre ciuchy. Wnętrze chatki w Arktyce

ZWIERZ WSZYSTKOJEDZĄCY

Wilki wilkami, ale wiecie, że możecie spotkać w Polsce szakala? Tak jest, szakala złocistego! Takiego samego jak gdzieś w Afryce lub w Azji. Tak jest – proszę nie przecierać oczu ze zdumienia. Dokładnie takiego. Średniej wielkości psowatego, coś pomiędzy wilkiem a lisem. Na pierwszy rzut oka szakala bardzo trudno odróżnić od wilka. Ale tropy już dość łatwo. To jedyny psowaty, którego opuszki dwóch przednich palców są zrośnięte.

Szakale w przeciwieństwie do wilków rzadko w naszych europejskich warunkach tworzą watahy. Żyją najczęściej w parach. Sukces, o czym za chwilę, zawdzięczają temu, że zjedzą niemal wszystko. Szakal zjada padlinę, najczęściej resztki ofiar po dużych drapieżnikach. Może polować

na średniej wielkości zwierzęta, wybierać jaja i pisklęta, jeść owoce albo po prostu grzebać w śmieciach. To prawdopodobnie gigantyczne ilości odpadów oraz – co tu dużo gadać – ocieplający się klimat spowodowały, że całkiem niedawno szakale ruszyły na północ naszego kontynentu i mamy je już w Polsce. Do 2017 roku było osiem stwierdzeń. W zachodniej i wschodniej części kraju. Jeszcze do niedawna ich zasięg ograniczał się w Europie do Turcji, Grecji i części Bałkanów, ale to już przeszłość. Szakale pojawiły się na Węgrzech, w Austrii, Szwajcarii, Białorusi, Estonii, Niemczech, we Włoszech, no i u nas.

Inne gadżety zimowe

Na spodnie i buty lubię zakładać ochraniacze, które zabezpieczają przed nasypyaniem się śniegu do butów. Nieodzownym elementem jest czapka. W zwykłej wełnianej można się ugotować, więc polecam cienką kominiarkę, która może być szalikiem, kominiarką oraz czapką mycką na sam czubek głowy. Poza tym fajnie jest mieć opaskę na głowę, by pot nie ściekał nam do oczu. Potrzebujecie też rękawiczek pięciopalczastych – ja używam cienkich wełnianych, ale mogą też być polarowe. Gdy planujecie wyprawę w wielkie mrozy, to dobrze mieć jeszcze dwupalczaste rękawice przeciwwiatrowe. W sklepie zwróćcie uwagę, jak są zrobione. Jeżeli mają w środku polarową wkładkę, której nie da się wyjąć, to ich nie kupujcie, a już na pewno nie zabierajcie na wyprawę. Takie rękawiczki będzie bardzo trudno wysuszyć!

Najbardziej narażone na odmrożenia są palce nóg i rąk. Jeżeli na nogach macie suche, w miarę luźne buty, nie ma się czego bać. Najgorsza rzecz, jaką możecie zrobić, to pomyśleć o rękach dopiero, gdy tracicie w nich czucie. To już poważna sprawa. Zatrzymajcie się i natychmiast włożcie rękę za puchówkę, tak by dotykała ciała. Jedną za pazuchę, a drugą strzepujcie w dół, by spłynęło do niej jak najwięcej ciepłej krwi. Potem zmiana. I aż do skutku!





Zimą to chyba najdziksze okolice w Polsce. Tłumy, które latem przewalały się po bieszczadzkich połoninach, już dawno wyjechały, a amatorzy narciarskiego szaleństwa wolą szukać gór sztucznie naśnieżanych i oświetlanych. Teraz więc panuje tu cisza i spokój. Jeżeli już na kogoś traficie, to będą to tacy sami pasjonaci dzikiej przyrody jak wy. Ale zostawcie nawet najmilsze spotkania z ludźmi na kiedy indziej, bo południowo-wschodnia Polska to koci kraj. Chyba jedyne miejsce, gdzie wciąż jeszcze żyją dzikie koty – ryś i żbik. Są niezwykle tajemnicze i zobaczyć je jest szalenie trudno, ale prawdziwi tropiciele lubią takie wyzwania, prawda?

Gdy byłem bardzo mały, nie dawałem spokoju babci Zosi i średnio dwa razy w tygodniu żądałem, żeby opowiedziała mi o rysiu. Była to historia o tym, że rzadkie zwierzęta można zobaczyć w zupełnie niezwykłych okolicznościach, oraz o tym, że prawda zawsze wychodzi na jaw.

Otóż moja babcia była panienką z dobrego domu i jak wszystkie takie panienki przed wojną uczęszczała do odpowiedniej szkoły. Szkoła nie tylko uczyła dobrych manier, francuskiego oraz niemieckiego, lecz także dbała o to, by uczennice poznawały swój kraj oraz nie były fajtłapami. I tak moja babcia oraz jej koleżanki trafiły na Huculszczyznę, czyli tereny, gdzie mieszkają cudownej urody i zwyczajów karpaccy górale zwani Hucułami. Tereny te bardzo przypominają Bieszczady i przed wojną uwielbiano tam jeździć na wycieczki. Dziś to jest Ukraina. No więc cała klasa dzielnie wędrowała sobie po górach, aż stała się rzecz zupełnie normalna, a mianowicie babci Zosi

zachciało się siusiu. Odeszła więc kawałeczek za jakieś krzaczki i kucnęła sobie, jak to robią dziewczynki. W pewnym momencie – tu jej relacja robiła się naprawdę dramatyczna – poczuła na sobie czyjś wzrok. Odwróciła się i zobaczyła czającego się rysia. Był najprawdziwszy – miał bokobrody, pędzelki na uszach, krótki ogon i futro pokryte cętkami. Ryś prychnął, a babcia wrzasnęła i każde uciekło co sił w nogach w swoją stronę.

Babci oczywiście nikt nie chciał wierzyć i wszyscy się z niej śmiali, bo już wtedy spotkanie z rysiem było tylko troszeczkę bardziej prawdopodobne niż z kosmitami, czyli zupełnie nieprawdopodobne. Babci było przykro, ale tylko do czasu. Jak już cała jej grupa schodziła z góry, drogę przeciął im wielki ryś i wszyscy na własne oczy zobaczyli, że moja babcia nie zmyślała! Byłem dumny z babci Zosi i zawsze marzyłem, by zobaczyć rysia.

Łatwo jednak powiedzieć, ale trudniej zrobić, bo spotkanie tego zwierzęcia nie jest wcale takie proste. Rysi i żbików jest w Polsce tyle co kot napłakał. Rysi, które poza górami mieszkają też na wschodzie kraju, mamy około dwustu. Żbików, które spotkać można tylko na południowym wschodzie Polski, nie wiadomo ile. Może sto, a może kilkadziesiąt. Ten dziki kocur, przypominający wielkiego pręgowanego kota domowego z puchatym ogonem i ciemną pręgą przez grzbiet, jest chyba najrzadszym ssakiem drapieżnym w naszym kraju. Niektórzy mają nawet wątpliwości, czy w ogóle jeszcze u nas mieszka. Zapewniam was jednak, że owszem, choć szukanie go przypomina tropienie tajemniczego yeti.

Duży i inne dzięcioły?

Być może zobaczycie kiedyś w lesie szyszki świerkowe powtykane w szpary kory dębów. Czasami wygląda to na robotę jakiegoś szaleńca z drabiną, bo przecież niektóre szyszki są wetknięte bardzo wysoko. Tylko że to nie dzieło wariata, ale bardzo sprytnego dzięcioła dużego, który zimą żywi się nasionkami świerku. Tylko jak je ma wydobyć, skoro nie ma łapek, by przytrzymać szyszkę? Musi przecież się jakoś trzymać pnia, bo inaczej spadłby na ziemię. Dzięcioły wymyśliły więc, że będą wtykać szyszki w szpary w korze i wtedy zaczną wydziobywać nasiona.



Dzięcioł białogrzbiety jest bardzo płochliwy, ale zimą gdy szuka pokarmu, można do niego podejść całkiem blisko

Zima to najlepsza pora roku na poszukiwanie dwóch najrzadszych polskich dzięciołów, czyli dzięcioła trójpalczastego i dzięcioła białogrzbietego. Im mroźniejsza i bardziej śnieżna, tym lepiej. Jeżeli usłyszycie stukanie, to powędrujcie w tamtym kierunku. Bardzo możliwe, że zobaczycie jednego z tych rzadkich ptaków. Oczywiście dzięcioł trójpalczasty – to ten, który u każdej łapki ma po trzy palce w przeciwieństwie do reszty dzięciołów, które mają cztery – będzie opukiwał raczej drzewa iglaste, natomiast białogrzbiety z pewnością będzie stukał w jakąś brzoškę lub grab, choć możecie je zobaczyć też na suchych świerkach. Dzięcioł trójpalczasty jest przez cały rok dość niepłochliwy, ale zobaczyć ostrożnego dzięcioła białogrzbietego z bliska bez specjalnych ukryć można tylko zimą. Tylko wtedy jest tak głodny, że zajęty szukaniem zimujących owadów nie zwróci

na was uwagi.



CO RYSIE ROBIĄ DLA ZABAWY?

Zanim wam opowiem, jak rozpoznać trop dzikich kotów, dam wam kilka wskazówek, gdzie ich szukać. Otóż gdybyście szukali tropów rysia na nizinach, na przykład w Puszczy Białowieskiej, to polecałbym wszelkie mostki nad rzeczkami. Nie wiem dlaczego, ale te dzikie koty w Puszczy Białowieskiej bardzo lubią mostki i rzeczki. Mniejsze i większe. Jeżeli w okolicy jest jakiś ryś, to nie ma mowy, żebyście na brzegu nie zobaczyli jego tropów.

W poprzednim rozdziale wspominałem wam, że w Puszczy Białowieskiej i Bieszczadach możecie szukać tropów wilków na drogach. No więc z rysiami jest trochę inaczej – te w Puszczy lubią mostki, ale za innymi elementami ludzkiej infrastruktury, na przykład drogami, zbyt nie przepadają. Za to rysie w Bieszczadach lubią chodzić dróżkami. Oczywiście niezbyt ruchliwymi, raczej tymi leśnymi albo tak zwanymi stokówkami, które pną się powoli wzdłuż stoków aż na same szczyty bieszczadzkich gór. Kiedy tropiłem ostatnio rysia w Bieszczadach, byłem mu dozgonnie wdzięczny za to, że wybrał sobie właśnie taką drogę, a nie krzaki i dzicz, tak jak to robią jego białowiescy kuzyni. Gdybym musiał w górach przedzierać się przez zarośla, zapewne wyzionąłbym ducha ze zmęczenia.



Nuria na tropie rysia. Tylko raz udało mi się zobaczyć tego kota

Zarówno nizinne, jak i górskie rysie uwielbiają za to wszelkiego rodzaju nienaturalnie wystające obiekty. Rysie przejdą po każdej kłodzie i wskoczą na każdą stertę drewna. Bo tak lubią, ale i po to, by zaznaczyć swoją obecność. Tak dzieje się najczęściej w lutym, gdy zaczyna się rysi okres godowy zwany marcowaniem. O marcowaniu i godach opowiem wam za chwilę, teraz wróćmy do sągów i kłód, bo choć wskakują na nie na pozór bez powodów, to myślę, że wiedzą co robią. Po prostu rysie – jak wszystkie koty – lubią wleźć na coś wysokiego dla kociej zabawy! Czyż to nie dobry powód?

Czy jelenie zapadają w sen zimowy?

Nie jest to sen zimowy taki jak u jeży, susłów czy nietoperzy, który trwa kilka tygodni, ale jelenie też zapadają w coś w rodzaju zimowego stanu odrętwienia. Podobnie jak dla wielu roślinożerców także dla jeleni zima to czas głodu. Obgryzają pędy i korę, bo nie są przykryte śniegiem, i tego pokarmu nie brakuje, ale z drugiej strony wędrówka w głębokim śniegu i zimno oznaczają duże wydatki energetyczne. Każda oszczędność jest na wagę złota, a każdy zaoszczędzony gram tłuszczu zwiększa prawdopodobieństwo, że uda się przetrwać do wiosny. Dlatego jelenie potrafią zwolnić przemianę materii.

W zimowe poranki zapadają w bardzo głęboki sen, tzw. torpor. Temperatura ich ciała spada wtedy z trzydziestu kilku do ledwie dwudziestu kilku stopni. Bardzo obniża się też tętno i takie prawie zahibernowane jelenie powracają do życia dopiero wtedy, gdy wszędzie słońce. Czasem to oszczędzanie energii przypłacają życiem. Jak wynika z badań Instytutu Biologii Ssaków PAN, duża część jeleni jest zabijana przez wilki właśnie nad ranem. Obniżanie poziomu przemiany energii u zwierząt jest całkiem powszechne, bo pozwala oszczędzić zapasy tłuszczu albo tlenu w ekstremalnych sytuacjach – pingwiny obniżają temperaturę ciała i zmniejszają liczbę uderzeń serca, by dłużej nurkować.





Na początku zimy na głowach jeleni można jeszcze zobaczyć piękne poroża. Pod koniec lutego i na początku marca zaczynają je zrzucać

SKĄD WIEDZIAŁEM, ŻE PANTERY NIE MA

Odcisk łapy rysia jest nie do pomylenia z żadnym innym! Raz tylko zdarzyło mi się pomylić trop bardzo dużego rysia z wilkiem. Powinno mi dać do myślenia to, że ten dziwny „wilk”, którego śledziłem długo, szedł sobie przez las sam. Trochę nabrałem podejrzeń, gdy zobaczyłem, że przeszedł po leżącym w lesie drzewie ot tak, dla zabawy właśnie, podczas gdy wilki robią to tylko, jeśli muszą. Stuprocentową pewność zyskałem dopiero wtedy, gdy zobaczyłem, że ustawiony przy ofierze aparat z fotokomórką zrobił zdjęcia pięknemu wielkiemu ryśowi kocurowi.

Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że byłem wówczas mało doświadczonym tropicielem, a śnieg był niezwykle sypki i zmylił mnie

jeden szczegół. Gdy zaczynałem tropić tego wilka, który okazał się rysiem, byłem pewien, że zobaczyłem odcisnięte pazury. Dziś myślę, że może mi się wydawało, kto wie. Dlaczego to taki ważny szczegół? Wszystkie koty, gdy sobie idą, mają schowane pazury. Nieważne, czy to lew, ryś, tygrys, żbik, czy też nasz kiciuś – w 90 procentach wypadków pazurów nie widać na tropie. Jedynie gdy się wspinają w jakimś bardzo ciężkim terenie, można je zobaczyć. Jest tylko jeden wyjątek od tej zasady – pazurów nie chowa gepard. Coś w nim jest zresztą psiego – gepardy były osławiane i używane do polowań jak psy myśliwskie. A ja wtedy na śniegu zobaczyłem pazury i dlatego od razu pomyślałem o wilku.

Dziś nie pomyliłbym żadnego kota z wilkiem. Trop kota jest asymetryczny – opuszki przednich palców nie są równoległe i jeden jest zawsze wysunięty do przodu. U psowatych, czyli wilków, lisów i jenotów, są one raczej ułożone symetrycznie na tej samej wysokości. W odróżnieniu kota od psa pomoże literka X. Jeżeli uda wam się poprowadzić dwie linie między opuszkami palców i przetną się one, nie nachodząc na największą opuszkę, czyli stopę, to jest to trop psa. Jeżeli linie przetną opuszkę stopy, jesteście na tropie kota. Zwróćcie też uwagę na tę środkową poduszeczkę. U kotów ma ona pofałdowaną zewnętrzną krawędź, u psów – gładką.

Nauka rozpoznawania śladów rysia i wilków przydała mi się w zupełnie nieoczekiwanych okolicznościach. Otóż swego czasu przez Polskę przeszła fama, że po naszym kraju grasują pumy, które uciekły z czeskiej hodowli, i zostałem zasypany wprost niewiarygodną liczbą zdjęć tropów. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak odcisnięta łapa potwornego zwierzęcia. „To na pewno puma” – pisali niezbyt wytrawni tropiciele. Patrzyłem na symetryczny układ opuszek między pazurami i od razu wiedziałem, że to nie puma, tylko duży pies. Tylko jedno zdjęcie budziło moje wątpliwości. Być może to była puma, ale wyrokowanie po jednym tropie, i to jeszcze na podstawie zdjęcia, może być bardzo mylące.

KTO CHCE UKRAŚĆ RYSIOWI OBIAD?

Polowanie rysia różni się od wilczego, bo kocur nie ma pomocników i jest zdany sam na siebie. Wilki współpracują ze sobą w watahach. Potrafią całym stadem gonić jelenie na długich dystansach, by w końcu zorganizować zasadzkę i dopaść je w odpowiednim miejscu. Ryś tak nie działa. Atakuje z ukrycia albo się podkrada do ofiary. Skoro jednak musi jak najdłużej pozostać niewidoczny, to uwielbia polować w lasach, gdzie jest pełno zwalonych drzew, za którymi może się ukryć.

Ofiarę musi dopaść w kilku susach i do tego przydaje mu się broń, której wilki nie mają, czyli wysuwane i bardzo ostre pazury. To nimi chwytą ofiarę, a ostrymi jak igły zębami przebija jej tętnicę szyjną. Ofiarą rysia może paść zając, leśne ptaki, ale też większe zwierzęta, takie jak młode jelenie lub łanie, a w Tatrach nawet kozice. Ale w naszych lasach rysie najczęściej na obiad jedzą sarny. Duże samce rysia ważą od 20 do 30 kilogramów, samice zwykle

nieco ponad 15. Dorosłe sarny zaś od 20 do 30 kilogramów, co oznacza, że w najlepszym wypadku ofiara rysia jest tej samej wielkości co on, a zwykle jest dużo większa. Nie wspominam tu o młodych jeleniach, które mogą ważyć grubo ponad 50 kilogramów. Powiecie pewnie, że nie ma się czym zachwycać, bo przecież wilkom nie przeszkadza to, że ofiary są takie wielkie. To prawda, ale przecież wilki nie chodzą na polowanie w pojedynkę!



Tropy jelenia i rysia. Jak u innych kotów poza gepardem widać, że ryś ma schowane pazury

Dlaczego więc ryś poluje na taką dużą zwierzynę? Bo myśli o przyszłości. Na zjedzenie sześćdziesięciokilogramowego młodego jelenia, który w wilczych paszczach znika po paru godzinach, ryś potrzebuje paru dni, a to, czego nie zje od razu, zostawia sobie na później. Jak wszystkie koty chowa zabite zwierzę tak, by nikt mu nie wyjadł zapasów. Gdy natraficie na ofiarę wilków, to na śniegu jest krwawo, jakby ktoś kręcił horror. Ofiarę rysia jest dużo trudniej znaleźć, bo wokół jest czyściutko.

Ryś stara się ukryć ślady polowania i obiadu najlepiej, jak potrafi. Kilka razy zobaczyłem zabita sarnę dopiero, gdy prawie w nią wdepnąłem. Ze sterty liści wystawało tylko ucho albo nie wystawało nic. Bo rysie dokładnie przykrywają swój łup liśćmi, mchami, gałązkami, a zimą zagrzebują go w śniegu. Wilki nie muszą tego robić, bo są w grupie i zwykle jak całe stado się posili, to już nie ma czego ukrywać. No i nie muszą się z nikim dzielić, bo kto by zadarł z wilczą watahą? Może niedźwiedź, ale też byłby bardzo ostrożny. Za to rysi obiad mogą ukraść wszyscy – wilki i dziki, a w Bieszczadach i Tatrach jeszcze misie. Dla niedźwiedzia taka sarna to jest jednodaniowy obiad. Ryś nie ma nawet szans mu w tym przeszkodzić, bo niby jak dwudziestokilogramowy kocur ma walczyć z dwustukilowym olbrzymem? To dlatego rysie starają się jak najdłużej ukryć swoje ofiary przed padlinożercami. Chowają je nie tylko na ziemi, czasem nawet wciągają na drzewo! Oczywiście te wszystkie zabiegi nie zapobiegają przybyciu padlinożerców, a jedynie je opóźniają.

Rysie ukrywania swoich ofiar uczą się od najmłodszego. Kiedyś z Nurią znaleźliśmy sarnę zabita przez rysicę z młodymi. Matka zostawiła je ze zdobyczą i ruszyła na dalsze polowanie. Kiedy zobaczyliśmy, jak młode rysie zamaskowały sarnę, myśleliśmy, że padniemy ze śmiechu. Trochę ją posypały śniegiem i położyły na niej dwie marne oskubane gałązki. Zresztą rysie maskują nie tylko swoje spożywcze zapasy. Tak jak inne koty także sprzątają po toalecie. Jeżeli ryś robi kupę w pobliżu zabitej sarny, to ją od razu zagrzebuje, bo doskonale wie, że to sygnał dla innych, że jest coś do zjedzenia. Jak sami wiecie, kupa nie bierze się z niczego.

Zimowy transport

Choćby nie wiem jak wspaniały był nasz plecak i nie wiadomo jakie genialne systemy wentylacyjne by posiadał, to narciarska wyprawa i tak skończy się mokrymi od potu plecami. A zimą musimy zapakować do niego więcej niż latem – taszczy my paliwo do kuchenki, ubrania na zapas i zimowy śpiwór. Po co jednak łądować to wszystko na plecy, skoro zimą mamy dużo lepsze możliwości?



Pulki, czyli sanki ciągnięte przez polarnika to lepszy pomysł na transportowanie rzeczy niż plecak

Po co ugiąć się pod ciężarem, skoro można ciągnąć go za sobą? Serdecznie w takiej sytuacji polecam wam sanki. Te specjalne, które ciągną za sobą polarnicy, to tak zwane pulki. Ich nazwa bierze się od angielskiego słowa „pull”, czyli ciągnąć. Takie pulki ciągnie się na linach lub sztywnych metalowych dyszlach. Te ostatnie są szczególnie przydatne w górach, gdzie trzeba uważać, by zjeżdżając, nie zostać przejechanym przez własne sanki. Profesjonalne pulki, niestety, są bardzo drogie, ale jest i na to sposób. To plastikowe saneczki dla dzieci. Oczywiście nie takie, co mają płozy, bo one zakopują się w śniegu i są do niczego, ale te niskie i płaskie. Takie sanki umocowane na linie do pasa biodrowego od starego plecaka są znakomitym środkiem transportu. Zamiast plecak taszczyć na plecach, ciągnijcie go za sobą. Uwaga, przetestujcie wcześniej, jak rozłożyć na sankach ciężar i gdzie umocować linę, żeby w czasie wyprawy nie ryły przodem w śniegu. Myślicie, że takie saneczki nie nadają się na wyprawy? Gdy przechodziliśmy z Kanady na Grenlandię, zabrakło nam jednych profesjonalnych pulek i w sklepie w osadzie Inuitów kupiliśmy takie saneczki dla dzieci. Znakomicie się sprawdziły i dotarliśmy z nimi aż do samego celu.



KIEDY KOTY CHODZĄ RAZEM?

Koty to zwykle samotni strzelcy i nie lubią towarzystwa innych. Kocury rysia większość czasu samotnie pilnują swoich olbrzymich terytoriów, które mogą mieć od kilkuset do nawet dwóch tysięcy kilometrów kwadratowych. Samice mają mniejsze obszary – po mniej więcej sto kilometrów kwadratowych. Zatem na terenie zajętych przez jednego samca mieszka kilka samic. Pan ryś nie lubi się dzielić z innymi panami i bardzo wyraźnie zaznacza swoją obecność. Drapie ziemię i drzewa, siusia na wystające przedmioty albo robi kupę. Nie ukrywa jej wtedy tak jak przy ofierze, bo tym razem chodzi o to, by wszyscy ją dostrzegli i wiedzieli, że ten kawałek lasu należy do niego.

Samice też prowadzą samotniczy tryb życia, oczywiście pod warunkiem, że nie mają młodych. To, czy mają młode, zależy od ilości pokarmu – w Puszczy Białowieskiej bywały takie lata, że żadna z samic nie miała maluchów, a czasami udawało się wytropić takie, które miały nawet trzy. Oczywiście rzadko się zdarza, żeby trzy kociaki osiągnęły wiek dorosły, bo wychowanie młodych jest bardzo trudne i spada wyłącznie na barki samicy. To ona musi je wykarmić i obronić. Z tatą młode rysie nie mają zbyt wiele kontaktu.

Do spotkań samicy i samca dochodzi w czasie rui, czyli pod koniec zimy, gdy dzień robi się nieco dłuższy. Ponieważ klimat się ociepla i zimy są coraz krótsze, rysie zaczynają się sobą interesować już w lutym. Ciągłe jednak czas miłości u rysia i innych kotów nazywany jest marcowaniem, bo pełnego bzika rysie dostają właśnie w marcu. W czasie marcowania rysie mniej interesują się jedzeniem, a bardziej swoimi przyszłymi partnerami. W ich poszukiwaniu przemierzają olbrzymie dystanse. Jeżeli więc chcecie znaleźć ofiarę rysia, to najlepiej szukać jej w grudniu lub w styczniu, bo w lutym jedynymi śladami, jakie znajdziecie, będą te świadczące o tym, że pan ryś spotkał panią rysicę. Nie to, że nie warto! Na śniegu świetnie widać wtedy ślady ich zabawy.

Hm, napisałem wam dużo o rysiu, ale z doświadczenia wiem, że jest to zwierzak zupełnie nieobliczalny i nieprzewidywalny. Choć za pomocą specjalnych aparatów z fotokomórką udało mi się zrobić zdjęcia kilku, to żywego rysia zobaczyłem na własne oczy nie tak dawno. Był to wielki kocur, który mnie zupełnie zignorował i tylko przeszedł mi z godnością przed nosem. No właśnie, dobra wiadomość jest taka, że jak już spotkacie rysia, to będziecie mogli mu się trochę dłużej poprzyglądać, bo nie jest tak płochliwy jak wilki.

ŻBIKU, ŻBIKU, GDZIE JESTEŚ?

Ciągle ten ryś i ryś, a przecież pisałem wam o dwóch kotach. Poza rysiem na południowo-wschodnich krańcach Polski żyje też żbik. Na pewno wiadomo, że mieszka na Pogórzu Przemyskim. Naukowcom w Bieszczadach

za pomocą specjalnych aparatów z fotokomórkami udało się sfotografować całkiem sporego kocura o pręgowanym umaszczeniu, puszystym ogonie i czarnej prędze na grzbiecie. Zanim zainstalowali te aparaty, tropili go na śniegu. Nie było to wcale proste, bo tropy żbika wyglądają dokładnie jak każdego innego kota. Do końca nie było więc wiadomo, czy żbik to żbik, czy po prostu kot.

Naukowcy szli więc za tropem przez las i widzieli, że kot próbował polować na ptaki. Potem zjadł jakiegoś gryzonia i ocierał się przy wykrocie. Tam więc ustawili fotopułapkę i na zdjęciach uchwycili kota, który ma wszelkie cechy żbika, tylko wciąż nie wiadomo, czy to jest żbik. Jak to? No tak, żbiki mieszają się z bardzo blisko, ze spokrewnionymi z nimi kotami domowymi. Kiedyś kotów w Bieszczadach było mniej, za to więcej było polan i pastwisk, na których mogły polować żbiki. Dziś żbiki są w odwrocie, a głęboko w lesie przybywa za to kotów z rozbudowujących się ludzkich osiedli. Oznacza to, że bez badań genetycznych trudno stwierdzić, czy to coś, co uda się wam zobaczyć, to bardzo duży kot, czy rzadki żbik. Proponuję przyjąć zawsze wersję optymistyczną – jak zobaczycie dużego kota z puszystym ogonem i pręgą przez grzbiet, to niech będzie to żbik!

JASNOŚĆ, WIDZĘ JASNOŚĆ!

Wiem, że palicie się do wyruszenia w teren. Zanim jednak to zrobicie, chcę wam opowiedzieć pewną historię. Zdarzyło się to wiele lat temu, gdy byłem nastolatkiem i wybrałem się na zimową bieszczadzką wyprawę z Rebeccą Goodman i Romkiem Wolańskim. Pewnego styczniowego dnia coś nas podkusiło, żeby przejść z Wetliny przez Przełęcz Orłowicza na drugą stronę pasma Połoniny Wetlińskiej, do znajdującej się tam osady Suche Rzeki. Pogoda była super, szlak znaleźliśmy znakomicie. Przynajmniej tak nam się wydawało. Nagle zerwała się wichura i śnieżycą. Wiał tak silny wiatr, że trudno było oddychać. Znany nam szlak po prostu rozpułynał się w czymś, co polarnicy nazywają „whiteout” i co na polski przetłumaczyłbym jako totalną biel. Idzicie po białym śniegu, a wokół was jest biało od padającego śniegu i nie widzicie nawet własnej wyciągniętej ręki. Nie ma żadnych punktów odniesienia i mózg zupełnie wariuje. Czasami wręcz nie wiadomo, gdzie góra, a gdzie dół. Jakby tego było mało, wpadaliśmy w zaspy po pas, bo nie mieliśmy nart ani rakiet. Z minuty na minutę traciliśmy siły. Byliśmy już na granicy wyczerpania, bo widzieliśmy na jawie różne dziwne majaki. Gdyby nie stał się cud i nie natrafilibyśmy zupełnie przypadkiem na sztafas robotników leśnych, to byłoby po nas. Zamarzlibyśmy.

Nie ma co ukrywać – byliśmy fatalnie przygotowani, a raczej w ogóle nieprzygotowani. Nie popełniajcie tego błędu! Bieszczady czy Beskid Niski to może nie najwyższe góry, ale zimą potrafią być bardzo niebezpieczne. Gdy wychodzicie na zimową wycieczkę, musicie być przygotowani do przetrwania nocy w ekstremalnych warunkach. Od tego może zależeć wasze życie. Pamiętajcie o tym i dokładnie przeczytajcie, co trzeba założyć

i jak zaopatrzyć się na wyprawę w zimowe góry. Pamiętajcie, by poinformować pracowników schroniska, gdzie idziecie i kiedy planujecie powrót. Konieczny jest naładowany telefon z wstukanym numerem GOPR, czyli 601 100 300.



Zima to pora głodu. Wiele zwierząt jej nie przeżyje. Brak pokarmu, głęboki śnieg i mróz oznaczają śmierć. Ale te, które padną z głodu lub zostaną zabite przez drapieżniki, pozwolą przeżyć innym. W przyrodzie nic się nie marnuje, a już na pewno nie wtedy, gdy jest bardzo zimno. Choć słowo „padlinożerstwo” brzmi okropnie i budzi obrzydzenie, to jest jednym z najciekawszych zjawisk w przyrodzie. I do tego możecie je obserwować wszędzie.

Padlina i padlinożerstwo – ale sobie wymyślił! Przecież to takie okropne! To wyjrzyjcie za okno. Pewnie wywiesiliście kawałek słoniny, który teraz dzielnie obskubują sikorki, a czasami nawet dzięcioł. To jest dopiero padlinożerstwo. Przecież słonina to nic innego jak kawałek martwego zwierzęcia. Jak to się stało, że sikorki, które przecież są owadożerne i rozłupują słoneczniki, zimą z takim zapałem rzucają się na słoninę?

Wiedziecie, jakie ptaki zwykle pojawiają się pierwsze, by poskubać zabita sarnę lub jelenia? To bardzo często sikorki, najczęściej bogatki. Te, które siedzą w lesie, a nie przy naszym karmniku, tylko czasami zjedzą sobie jakieś nasionko. Tak naprawdę to przeszukują las w poszukiwaniu ukrytych pod korą jaj i larw owadów, bo to one są źródłem białka i tłuszczu. Niektórym zdarza się wygrać los na loterii i trafić na gigantyczną górę jedzenia, czyli resztki po uczcie rysia lub wilków.



Sikorki uwielbiają słoninę. Nauczyły się tego objadając ofiary drapieżników takich jak wilki

Sikorki, jak widzą mięso, to nawet się nie zastanawiają, natychmiast biorą się do skubania. Taka okazja tym małym ptakom nie zdarza się często. Tym bardziej że chociaż pierwsze przybywają na padlinożerczą ucztę, to są ostatnie w kolejce do dziobania. Bo do jedzenia jest cała masa chętnych. Naukowcy naliczyli, że w Puszczy Białowieskiej jest to ponad 30 gatunków zwierząt – nie licząc bezkręgowców! Żeby jednak zobaczyć, co dzieje się przy uczcie padlinożerców, trzeba pobawić się w superagenta i sprytnego szpiega.

PADLINA PADLINIE NIERÓWNA

Na zdrowy rozum wydaje się, że padlina to padlina. Nic z tego! Jest cała masa różnych rodzajów padliny. Może być całkiem mała, jak martwe

gryzonie, i całkiem duża, jak nieżywe żubry albo łosie. Oczywiście mała padlina znika momentalnie. Natomiast taka wielka, zanim zostanie oczyszczona do kości, może leżeć w lesie nawet kilka miesięcy. Przecież martwy żubr to kilkaset kilo mięsa, i to takiego, do którego niełatwo się dostać. Tak naprawdę to jest trochę niczym gigantyczna konserwa – jedzenie zamknięte jest w niezwykle trudnej do przebicia skórce, która miejscami może mieć nawet ponad centymetr grubości. Jeżeli żubr jest trochę jak konserwa, to te duże drapieżniki są czymś w rodzaju otwieracza do konserw. Padlinożerne zwierzęta nie mogą zacząć jedzenia, dopóki nie przyjdą wilki lub niedźwiedź i nie rozetną skóry.



Po wilczej uczcie zwykle niewiele zostaje. Zamarznięta rzeka to pułapka, z której korzystają wilki polując na jelenie

Jeżeli więc znajdziecie takiego martwego, ale jeszcze nieotwartego żubra, to raczej będzie się przy nim mało działo. Tak samo nie liczcie na zamieszanie przy zdechłym dziku. Bardzo często się zdarza, że zimą dziki masowo padają. Nic w tym dziwnego. Dzik właściwie nie mają naturalnych wrogów, a raczej mają jednego bardzo poważnego – zimę. Czasami, ale niezbyt chętnie, polują na nie wilki. Ale wilki to pestka przy ostrej i śnieżnej zimie. Jak wiecie, dziki zdobywają pokarm, ryjąc, a gdy śnieg jest głęboki, a ziemia twarda jak

kamień, nie jest to łatwe. Na dodatek krótkie dzicze nóżki nie ułatwiają im wędrowania po głębokim śniegu w poszukiwaniu pokarmu. Biedne nisko zawieszone dziki brną w takich śniegach, tracąc siły. Pierwsze umierają młode i chore. Często kładą się obok siebie w gniazdach zrobionych z trzciny oraz traw i tak gasną. Wiem, że to bardzo smutne, ale na pocieszenie mogę wam powiedzieć, że dzicza populacja bardzo szybko te straty odrabia. Przeżywają tylko najsilniejsze, ale są wśród nich ciężarne lochy, które wczesną wiosną, a nawet jeszcze w końcówce zimy rodzą malutkie pasiaste warchlaczki, które dość szybko rosną i robią się z nich całkiem pokaźne dziczki.

Padlinożercy jednak za bardzo nie przepadają za martwymi dzikami. Mogą je poobgryzać lisy lub jenoty, dziobnąć kruki lub sójki, ale wielkiego tłoku przy nich nie ma. Dzieje się tak dlatego, że zwierzęta doskonale wiedzą, które mięso jest zdrowe, a które nie bardzo. Zwierzę, które padło z wycieńczenia, mogło być wcześniej osłabione jakąś chorobą lub dużą ilością pasożytów. Dzikie akurat przenoszą całą masę różnorodnych chorób. Zupełnie inaczej niż jelenie, żubry albo sarny, które właśnie dlatego zjadane są bardzo chętnie.



Dla dzików zima to ciężki czas. Śnieg i zmarznięta gleba nie pozwalają ryc

No więc najpierw do jedzenia zasiadają wilki i niedźwiedzie, a potem do akcji przystępuje reszta padlinożernego towarzystwa. Oczywiście pod warunkiem, że nie ma obok tych dwóch dużych drapieżników. Resztki po ucztach dużych drapieżników mają same zalety. Po pierwsze, do takiego mięsa łatwo się dostać. Po drugie, w wypadku wilków miejsce takiej ucztu jest bardzo łatwo zlokalizować – bo trudno przeoczyć wielką czerwoną plamę na śniegu. Po trzecie, szansa, że zwierzę, które stało się ofiarą drapieżników, było chore, jest mniejsza, niż gdyby samo padło. Dlatego kolejka chętnych do jedzenia jest spora.

KTO MA ODWAGĘ ZACZEPIAĆ KRÓLA PTAKÓW?

W zależności od miejsca przy padlinie pojawiają się różne gatunki padlinożerców. Na południu Polski macie szansę zobaczyć bardzo rzadkie orły przednie, na nizinach – orły bieliki (które nie są orłami w rozumieniu systematycznym, ale tak przyjęło się je nazywać). Gdy zaś martwe zwierzę jest w lesie, to być może przyjdą do niego dzięcioły, sikorki i kuny. Te tylko pod warunkiem, że obok jest drzewo, na które mogą zwiać, gdyby wróciły wilki lub ryś.

Przy padlinie obowiązuje ścisły porządek posilania się. Lisy nie podejść do niej, gdy w pobliżu są wilki, bo boją się, że będzie po nich. Dlatego jak podchodzą, to tylko na chwilę, by porwać jakiś kawałek i natychmiast zwiać co sił w nogach. Sikorki i sójki wolą znowu nie ryzykować, gdy przy mięsie ucztuje myszołów lub kruki. Myszołowy, kruki i sójki trzymają się zaś z daleka, gdy pojawia się jastrząb.

Ciekawe jest to, że liczy się nie tylko gatunek, lecz także wiek. Myszołowy bez oporów przegonią młodego jastrzębia, ale dorosłego nie ruszy nikt. Widziałem, jak jastrząb uciekał od padliny tylko raz, gdy w okolicy wylądował bielik, czyli nasz największy ptak drapieżny. To dopiero robi wrażenie, gdy nagle w wizjerze aparatu lub lunety pojawia się ten nastroszony olbrzym. Zwykle nie ląduje na samej padlinie, ale gdzieś obok, i podchodzi do niej krokiem nieco sztywnym i wyglądającym na oficjalny. No cóż, można zażartować, że taki krok godny i powolny przystoi ptaszysku, które jest pierwowzorem naszego godła.

Skąd wiem, że naszym godłem jest raczej bielik, a nie orzeł przedni? Popatrzcie na godło na ścianie w szkole. Ptak ma żółty masywny dziób jak bielik. Poza tym skoki, czyli łapy, są nieopierzone u bielika, podczas gdy u orła przedniego pokrywają je pióra. Wiem, co teraz myślicie: pierwowzór naszego godła to ścierwojad. To bardzo niesprawiedliwa ocena. W zamierzchłych czasach nasi przodkowie też zjadali resztki po dużych drapieżnikach. Poza tym gdyby nie zamarznięte rzeki i jeziora, bielik raczej nie szukałby padliny, tylko polowałby na ptactwo wodne. Gdy kaczek, gęsi i łysiek jest pod dostatkiem, bieliki znacznie rzadziej jedzą padlinę. Kiedy rzeki i jeziora pokrywa lód, część bielików rusza na poszukiwanie miejsc, gdzie są jeszcze ptaki wodne, a inne lecą tam, gdzie jest szansa na jakąś smaczną padlinę.



Padlina w tym ofiary drapieżników to ważny zimowy pokarm bielików

Wróćmy do tego, co się dzieje, gdy taki olbrzym, który ma około 2,3 metra rozpiętości skrzydeł, ląduje na padlinie. Otóż nikt nie ma odwagi mu przeszkadzać, ale pod warunkiem, że jest to dorosły i doświadczony ptak. Takiego można poznać po żółtym dziobie i białym jak śnieg ogonie. To zapewne od tego ogona mówi się bielik albo orzeł biały. Młode bieliki nie mają ani takich ogonów, ani żółtych dziobów i to znak dla innych, że można się z nimi podroczyć. Zaczyna się więc szarpanie za ogon i skrzydła. Wielkiego i niezdarnego bielika szarpia i skubią oczywiście kruki. To one potrafią rozpoznać wiek bielików i wiedzą, że młodego nie ma się co bać. Kruki to ptasia inteligencja i czysty spryt.

LEŚNI AGENCI WYKIWAJĄ KAŻDEGO

Są przeróżne ptaki, których obserwowanie jest bardzo przyjemne, bo są na przykład bardzo kolorowe (jak jemiołuszki) albo wyglądają majestatycznie i dostojnie (jak właśnie bieliki). Ale powiem wam, że to żadne przeżycie przy podpatrywaniu kruków, bo to są mądrale nad mądralami.

Kruki przy padlinie pojawiają się natychmiast. Co tam natychmiast! One latają nad wilkami, gdy te jeszcze gonią za jeleniem. Kruki to przecież tajna leśna agentura. Śledzą dosłownie każdy ruch każdego, ale przede wszystkim tych, którzy mogą być potencjalnym źródłem pożywienia, jak wilki. Jeśli nie ma wilków, to śledzą myśliwych – gdy usłyszą strzał, to natychmiast zlatują się z całej okolicy, bo wiedzą, że mogą liczyć na wnętrzności z wypatroszonego przez myśliwych zwierzęcia. Mój kolega Piotrek, który poluje, opowiedział mi, że kruki nie lecą byle gdzie. Potrafią po huku ocenić, w którą stronę była wycelowana broń, i lecą dokładnie tam, gdzie ma paść ofiara.



Z padliny korzystają ptaki, o których sędzi się, że tylko polują. Na przykład jastrzębie

Gdy Nuria pisała doktorat o padlinożercach i musiała po Puszczy Białowieskiej wyszukiwać padliny, to pomagały jej kruki. Naprawdę, bo kruki, gdy tylko dorwą się do padliny, zaczynają krakać. Sprawa była więc zupełnie prosta – tam gdzie była padlina, były i kruki. Kiedy tylko te ptaki się zorientują, że idziesz do ich stołówki, to na chwilę zamilkną,

a potem zaczną krakać znów. To będzie identyczne krakanie, tylko że będzie dobiegać z innego miejsca. Oczywiście tam padliny nie będzie! A ty, człowieku naiwny, już nie wiesz, w którym kierunku masz iść, bo wszystko ci się pokręciło.

Kruki wrócą sobie do jedzenia za jakiś czas, ale tym razem raczej będą zachowywać się bardzo cicho. Tak jest, kruki bez trudu potrafią wykołować każdego. Szczególnie gdy nie ma śniegu. Gdy jest śnieg, mają trudniej, bo wtedy poza głosem kruków należy kierować się też lisim albo wilczym tropem. Im gęściej od tropów lisów, kun lub jenotów, tym jesteście bliżej padliny i nie należy się przejmować tym, że kruki zamilkły.

Piórka w lesie, czyli kto zabił?

Po zjedzonym ptaku – bez względu na to, czy to sikorka, sójka, kaczka, czy kuropatwa – zostają pióra. Gdy je znajdziecie, to bez większego trudu będziecie mogli określić, kto zabił i zjadł właściciela piór. Jak? Właśnie po piórach. Jeżeli mają przegryzione dudki – to ta część, która tkwi w ciele ptaka – to mamy do czynienia ze ssakiem. Lisem lub kuną, bo one obgryzają pióra i dudki wyglądają jak obcięte lub zmiażdżone. Jeżeli ptak został zabity przez ptasiego drapieżnika, to dudki będą całe, bo żaden z ptaków nie ma zębów, więc pióra wyrywają dziobem. Kolejnym krokiem do poznania, kto był zabójcą, jest przyjrzenie się temu, w jaki sposób rozrzucone są pióra. Chodzi o to, że niektóre drapieżniki unoszą swoje ofiary wysoko i wtedy pióra spadają na dużej przestrzeni. To zależy także od wielkości ofiary, więc jeżeli na przykład mamy pióra rozrzucone na znacznej przestrzeni i należą do sójki lub drozda, to raczej mordercą był jastrząb, który jest w stanie takiego ptaka unieść wysoko. Natomiast jeżeli ptak tej wielkości został oskubany nisko, o czym świadczą pióra znajdujące się w jednym miejscu, będzie to robota krogulca, który jest mniejszy i nie jest w stanie unieść ofiary wysoko.



GANG MŁODOCIANYCH ATAKUJE

Kruczy spryt zachwycił mnie od razu, ale zakochałem się w nich na amen z innego powodu. Działo się to wiele lat temu, gdy na potrzeby badań Nuri obserwowałem kruki dziobiące resztki padłego żubra. Nie było w tym nic specjalnego – kruki przepychały się przy jedzeniu i śmiesznie przekomarzały. Ale potem jeden z nich zrobił coś, co najpierw uprawiło mnie w osłupienie, a potem w zachwyt. Otóż w podskokach podbiegł do małej zaśnieżonej górk. Wskoczył na nią, przewrócił się na plecy i zjechał jak na sankach. Potem wstał, otrzepał się, znów wskoczył na górkę i znowu zjechał. Po prostu

się bawił! A bawić się potrafią tylko najmądrzejsze zwierzaki.

Wiele lat temu Bernd Heinrich, znakomity amerykański naukowiec i przyrodnik, obserwował kruki i zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego zachowują się one tak bezinteresownie. Dlaczego gdy jeden znajdzie padlinę, natychmiast kracze i przywołuje inne. Nie lepiej byłoby kawał mięcha zostawić dla siebie? Po co wołać tabuny koleżanek i kolegów? Okazało się jednak, że to zachowanie nie ma nic wspólnego z altruizmem, czyli bezinteresowną chęcią pomocy.

Lasy, gdzie jest sporo odpowiednich drzew, na których można zbudować gniazda, są równo i dokładnie podzielone na krukce terytoria. U nas kruki zakładają gniazda najczęściej na wysokich sosnach, świerkach, czasami olchach albo słupach energetycznych. Kruki wbrew legendom rzadko polują. Raczej są zbieraczami – zjadają owady, ziarna, padlinę i jaja ptaków, czasami zagryzają to gryzoniem. Liczba młodych w gnieździe zależy od jakości terytorium. Na przykład jeżeli zimą będzie w okolicy dużo padliny, to kruki będą miały więcej młodych. Para dorosłych ptaków zazdrośnie strzeże swojego terytorium i każdy młody kruk, który się tam zapuszcza, dostaje lanie. Jeden młody owszem, ale gdy młodych jest dziesięć lub dwadzieścia, a czasami nawet sto?

W obliczu takiej siły dorosłe ptaki muszą spuścić z tonu. Zupełnie jak ludzie. Łatwo zwrócić uwagę jednemu głośnemu nastolatkowi, ale zadzieranie z dwudziestoma może okazać się niebezpieczne. Dlatego dorosłe kruki – tak samo jak ludzie – nie walczą, gdy gang młodocianych gagatków wkracza na ich terytorium. Kiedy za to znajdą na swoim terytorium padlinę, zachowują się cichutko jak trusie, bo wiedzą, że wrzeszczą tylko młode, by ściągać wsparcie reszty gangu.

Jak się najlepiej zamaskować?

To proste – trzeba założyć białe maskujące ubranie. Takie jest przynajmniej mniemanie. Niestety, to nie takie proste. Moje białe ubranko świetnie się sprawdzało, gdy chciałem zimą fotografować zimorodki, wydry albo bobry. Pamiętam, że kiedyś udało mi się w nim podejść bardzo blisko lisa i ryjących na łące dzików. Okazało się jednak, że jelenie i żubry przed tak ubranym człowiekiem natychmiast zwiewają. Długo myślałem dlaczego i olśniło mnie, jak spojrzałem na jelenie. „Dlaczego one nie są białe zimą?” – wpadło mi do głowy. Mało tego, są ciemniejsze niż latem!

Może to wynikać z tego, że mają gęstszy włos, ale nie tylko. Przecież zimą nie jest wyłącznie białe. Las jest ciemny, ściana drzew jest po prostu czarna. Ubrany w biel byłem widoczny jak na dłoni i na dodatek z daleka. Równie dobrze mogłem się ubrać w pomarańczową kamizelkę drogowca. W lesie takie białe ubranie się nie sprawdza. Tu lepsze jest szarobure, ciemne. Natomiast nad rzekami, na łąkach, gdzie jest bardzo dużo bieli, maskujące białe ubranie jest dobrym pomysłem. To nawet nie musi być jakiś specjalny strój. Wystarczy peleryna zrobiona ze starego białego

prześcierała.



Nuria i Thomas Muller w maskujących ubraniach. Znakomicie to działa na otwartych przestrzeniach, w lesie słabo

NA GAPE W DYSKOTECE

Młode, kiedy tylko w lecie opuszczą rodziców, dołączają się do takiej – jak to mówi Bernd – latającej dyskoteki. Razem śpią, patrolują teren, dzielą się informacjami, gdzie jest coś do zjedzenia, no i się bawią. Przemierzają setki, a nawet tysiące kilometrów i dlatego niektórym się wydaje, że kruków jest bardzo dużo. Tymczasem to po prostu koczujące młodzieżowe gangi, które jednego dnia są tu, a drugiego tam.

Niemiecki ornitolog Sasza Rosner oraz Nuria, badając takie gangi lecące do padliny, zauważyli coś ciekawego. Okazało się, że są w nich nie tylko ptaki młode, do trzeciego roku życia, lecz także zupełnie dorosłe. Takie, które mają już terytoria. To tacy pasażerowie na gapę. Para dorosłych kruków wie, że lecąc przez terytoria sąsiadów tylko we dwoje, narażałaby się na nieustanne awantury. Wtapiają się więc w tłum młodych i bez obaw, że ktoś je zaczepi, lecą sobie do jedzenia.

Na miejscu, przy padlinie takie dorosłe kruki najbardziej się szarogęszą. Zresztą młode są równie bezczelne, bo przy jedzeniu solidarność znika i dochodzi do nieustannych kłótni i bójek. Ale niezbyt agresywnych, bo gdy tylko jakiś starszy przesadzi, to młodszy rozdziawia dziób i pokazuje mu, że w środku jest różowy. Chodzi o to, że z wiekiem wewnątrz kruczych dziobów robi się czarne. Pokazując wewnątrz dzioba, młode kruki mówią: „Nie bij mnie, jestem młodszy i słabszy!”. I wiecie, że to czasami działa?



Para kruków gdy znajdzie padlinę, zachowuje się cicho i nie informuje o tym całego lasu

Te kruki, które rządzą, stroszą się bardzo i puszą, a jak uważają się za najważniejsze, to rosną im nawet rogi. Naprawdę! Na ich głowie pojawiają się piórka, które trochę przypominają małe różki. Młode kruki po trzech-czterech latach opuszczają gangi, bo takie życie jest bardzo niestabilne. Ciągłe coś się dzieje, ciągle się obrywa lub kogoś szturcha. Z powodu tego stresu starsze kruki starają się skończyć z takim stylem życia.

W końcu znajdują jakieś terytorium i zakładają rodzinę. Zresztą podobnie jak u ludzi – z partnerem poznanym w gangu albo – jak wolicie – na latającej dyskotece. Burzliwa młodość kończy się i czas na odpowiedzialność.

JAK PRZECHYTRZYĆ KRUKI?

Chcecie zobaczyć kruki w akcji? Jak się tłoczą przy padlinie, jak się bawią? Powiem wam od razu, że nie jest to łatwe. Obserwowanie padliny to szpiegowska gra z agentami obcych wywiadów i zadanie dla najprawdziwszych tropicieli. Kruki bardzo szybko się orientują, że coś jest nie tak. A jak tylko się zaniepokoją, to nici z obserwowania. Przylecą i będą śmigać po okolicy, przelatywać nad wami, krakać prowokacyjnie. Czasami nawet rzucać w wasze ukrycie patyczki z góry, by zobaczyć, czy ktoś jest w środku, i sprowokować was do wyjścia. Albo siedzą tuż obok cichutko jak trusie i czekają, aż poddacie się i wyjdziecie znudzeni tym, że nic się nie dzieje.

Obserwowanie kruków to naprawdę gra, która wymaga stalowych nerwów, bo przeciwnik jest niebywale sprytny i spostrzegawczy. Z mojego doświadczenia wynika, że kruki mogą dostrzec nawet mrugnięcie powieki, gdy patrzycie na nie przez aparat uzbrojony w długi obiektyw! Dlatego tak bardzo ważne jest, by w ukryciu panowała absolutna ciemność. Uważajcie też na trzask migawki, bo może spłoszyć kruki.

Najważniejsze jest jednak ustawienie ukrycia. Musi być bardzo dobrze zamaskowane i w odpowiednim miejscu. Stawianie ukrycia przy świeżej padlinie nie jest dobrym pomysłem, bo może spowodować, że drapieżniki przestraszą się i już nie wrócą. Poza tym nie liczcie, że uda wam się nabrać na takie ukrycie bardzo sprytnych padlinożerców, a w szczególności kruków. One zwykle śledzą duże drapieżne zwierzęta i są przy zabitym zwierzęciu na długo przed wami. Postawienie ukrycia może je odstraszyć i wtedy stracą okazję na posiłek. Kruki czy bieliki nie wrócą w miejsce, gdzie nagle pojawił się nowy element krajobrazu, i nie ma znaczenia, jak dobrze zamaskujecie ukrycie.

Dlatego najlepiej zacząć od budowy ukrycia. Moje to po prostu skrzynka ze sklejki ocieplanej styropianem o wymiarach półtora metra na półtora metra. Co prawda nie mam w niej za dużo miejsca na ruch, ale jest ciepło, a styropian wycisza i mnie nie słychać. Ukrycie trzeba dobrze zamaskować, by jak najlepiej zlewało się z otoczeniem. Ustawcie je na skraju lasu z widokiem na łąkę i obłóżcie gałęziami. Pamiętajcie, by obiektyw aparatu – koniecznie na statywie, byście nie musieli się ruszać – był skierowany na północ, by nie odbijało się w nim słońce.

Jak już zbudujecie ukrycie, to odczekajcie tydzień lub dwa. Niech popada na nie śnieg, niech zwierzęta się z nim oswoją. Potem w pobliżu, jakieś 10-30 metrów od waszej kryjówki, wyrzucicie trochę surowego mięsa – mogą to być wnętrzności, bo są najtańsze i najchętniej zjadane przez padlinożerców. Rozrzućcie je tak, by były dobrze widoczne. Pamiętajcie, że ptasi padlinożercy

będą chcieli zabrać kawałek i polecieć w spokojne miejsce, by je tam zjeść. Dlatego im większe kawałki, tym lepsze, bo trudniej będzie im je unieść i będą musiały jeść na miejscu.

Zanim schowacie się do ukrycia, warto podrzucać ochłapy przez parę dni i z daleka przez lornetkę obserwować, co się z nimi dzieje. Gdy zobaczycie, że wokół kręcą się ptaki, to znaczy, że możecie już wejść do środka. Wchodźcie do niego, gdy jest ciemno, ale wcześniej uzupełnijcie stołówkę padlinożerców, bo nocą mięso mogły wyjść lisy. Pierwsze ptaki będą się pojawiać, gdy zacznie świtać, tuż przed wschodem słońca. A gdy słońce wzejdzie nad horyzont, nadleci ich więcej. Jak zaczną się kłócić i przekomarzać, zobaczycie, jak super jest wskoczyć do filmu przyrodniczego.

Gdy ryjówka głoduje

W niezwykle ciekawy sposób radzą sobie zimą ryjówki. To takie małe owadożerne ssaki ze śmiesznym, przypominającym ryjek pyszczkiem. Ryjówki należą do naszych najmniejszych ssaków – najmniejsza z nich ryjówka malutka waży nie więcej niż 7 gramów, zwykle około 4 gramów. Długość ciała z ogonem rzadko przekracza 10 centymetrów (mniejsza wśród europejskich ssaków jest tylko ryjówka etruska mieszkająca na południu kontynentu).



Ryjówki są wiecznie głodne

Choć ryjówki to takie małe stworzenia, są wielkimi żarłokami. Dlatego jeżeli zobaczycie zwierzaka z charakterystycznym długim noskiem, który biega jak szalony w poszukiwaniu jedzenia, to na pewno spotkaliście ryjówkę. Jedzą w ciągu doby nawet dwa razy więcej, niż ważą. Przy czym jakoś specjalnie z tego powodu nie tyją. Mają tak szybką przemianę materii, że muszą cały czas jeść. Parę godzin bez pokarmu oznacza dla ryjówki śmierć z głodu. Ponieważ zwierzątka te żywią się bezkręgowcami, to zimą mają poważny problem ze zdobyciem pokarmu, bo większość bezkręgowców jest schowana albo w formie jaj czeka na wiosnę. Na dodatek ryjówki nie mogą zasnąć jak nietoperze i nie odlatują jak owadożerne ptaki. Co więc robią? Ponieważ muszą zjeść określoną ilość pokarmu na określoną masę własnego ciała, po prostu się zmniejszają. Nie tylko samą masę ciała, bo to nic dziwnego i robi to wiele zwierząt, ale ryjówki zmniejszają też organy wewnętrzne, w tym mózg i czaszkę. A gdy są mniejsze, to mogą mniej jeść i łatwiej im przetrwać ciężki czas.





Zimowe wędrówki przy pełni księżyca są super

Przenośna toaleta

Absolutnie niezbędnym wyposażeniem czającego się w ukryciu tropiciela albo śpiącego w namiocie zimną podróżnika polarnika jest butelka na siuski. Polarnika śpiącego w śpiworze po ciężkim dniu na nartach i obserwatora w ukryciu łączy jedno: absolutnie nie powinni opuszczać miejsca, w którym się znajdują. Polarnik, jeżeli wyjdzie z ciepłego śpiwora, rozgrzany i nieubrany, po prostu się przeziębí. Poza tym nie ma nic gorszego niż ubieranie się w środku nocy w ciasnym namiocie. Obserwator nie może wyjść z ukrycia, bo spłoszy ptaki. Doskonale jednak wiecie, że wcześniej czy później nadchodzi moment, gdy wzywa nas potrzeba. I z tego kłopotu ma wybawić nas właśnie butelka na siuski. Wynalazek ten poznałem na wyprawach polarnych, a stosuję go w czasie obserwacji

i wiem, że bez niego ani rusz. Butelka musi być pojemna – przynajmniej półtora litra, by nie obawiać się, że coś się wyleje. Najlepsze są butelki plastikowe z odpowiednio dużym otworem i bardzo szczelną zakrętką. To bardzo ważne, szczególnie w śpiworze. Dlatego butelkę dobrze przetestujcie. Nalejcie do niej trochę wody, dobrze zakręćcie i sprawdźcie, czy nie przecieka. Dzięki temu unikniecie nieprzyjemnych niespodzianek. Jak się domyślacie, taka butelka to propozycja dla chłopaków. Spróbujmy jednak pomóc i tropicielkom. Otóż możecie używać słoików albo butelki i dużego plastikowego lejka, jaki dostaniecie na każdej stacji paliw. Od jakiegoś czasu na rynku są specjalne silikonowe lejki dla dziewczyn znane pod nazwą „Go Girl”. Nuria używała ich na naszych wycieczkach arktycznych i, jak twierdzi, da się przez nie siusiać, ale wymaga to treningu.





Moje ulubione miejsce na ziemi to Arktyka, która właściwie jest lodową masą unoszącą się na wodzie. Zimą mam Arktykę, nie ruszając się z Polski, bo zalane doliny Narwi i Biebrzy zamieniają się w lodowe pola, które wyglądają podobnie jak na biegunie północnym. Niczym lodowa pustynia wygląda nawet dolina niewielkiej Narewki, która przepływa przez Puszcę Białowieską. Arktyka nie jest dla mięczaków, ale naprawdę to nasze polskie lody są prawdziwym wyzwaniem. Tylko dla najprawdziwszych twardzieli!

Kiedyś, dawno temu, z Wojtkiem Jazdonem, Jackiem Jezierskim i Wojtkiem Moskałem, który jest chyba najlepszym znawcą lodu w naszym kraju, przeszliśmy z Kanady na Grenlandię. Szliśmy również po zamrożonym Morzu Barentsa wzdłuż wschodniego wybrzeża Spitsbergenu, przecinaliśmy wiele arktycznych fiordów, czyli takich olbrzymich zatok. Wędrowaliśmy na nartach po lodzie tak cienkim, że załamał się pod idącym obok niedźwiedziem polarnym. Przedzieraliśmy się przez lód tak spiętrzony przez potężne siły arktycznego oceanu, że dziennie udawało się nam pokonać nie więcej niż parę kilometrów. To były istne labirynty, które nie miały końca. Byliśmy na krawędzi arktycznych pól lodowych – tam gdzie w kłębach parę biały lód stykał się z ciemną morską wodą. Mijaliśmy olbrzymie niebieskie góry lodowe, które oderwały się od białych lodowców i wyglądały jak klejnoty. Można powiedzieć, że o lodzie wiem sporo, bo miałem gdzie i od kogo się uczyć.

Wiem na przykład, że zanim wyjdę na lód na nartach – tak jest bezpieczniej, bo wtedy ciężar rozkłada się równomiernie na większą powierzchnię – to muszę mocno stuknąć kijem narciarskim dziesięć razy i sprawdzić, czy lód wytrzyma. To test wymyślony przez bardzo doświadczonych norweskich polarników. Wyobraźcie sobie, że lód w Arktyce

jest dużo bardziej bezpieczny niż lód na naszych rzekach i jeziorach. Zasada dziesięciu uderzeń kijkiem u nas się nie sprawdza, bo nasz lód jest naprawdę groźny i zdradliwy.

Pomyślicie, że to niemożliwe, by na lodowcach w okolicach bieguna było bezpieczniej niż na jakiejś sadzawce lub rzeczce za domem. Wcale nie przesadzam. Ilu ludzi ginie w Arktyce, bo załamał się pod nimi lód? Ja o takich nie słyszałem! Za to co roku w naszym kraju giną dzieci albo dorośli, bo załamał się pod nimi lód na jakimś, wydawałoby się bezpiecznym, stawie. Dlaczego tak się dzieje? Po pierwsze dlatego, że w Arktyce wszyscy traktują bardzo poważnie wszelkie zasady bezpieczeństwa. Gdy wychodzisz na lodowe pola, jesteś świetnie przygotowany – masz odpowiedni sprzęt, a więc narty lub sanki, które od biedy mogą zostać zamienione w małą łódkę. Doskonale też wiadomo, jak się zachować. Po drugie – morski lód arktyczny nie tworzy się przez parę dni, ale miesiącami, a czasami latami. Może mieć wiele metrów grubości. Wytrzyma nie tylko ciężar człowieka na nartach, lecz także wielkich ciężarówek, co na własne oczy widziałem na Grenlandii.

RZECZ ZUPEŁNIE NIEPRZEWIDYWALNA, CZYLI NASZ POLSKI LÓD

Pierwszą rzeczą, którą musicie zapamiętać, jest to, że lód jest niebezpieczny i wychodzenie na niego to zawsze ryzyko. Mało tego, często lód jest nie tylko niebezpieczny, ale BARDZO, BARDZO NIEBEZPIECZNY i wychodzenie na zamrożoną rzekę to zagrożenie dla życia. Mam większego pietra, gdy na nartach przecinam koryto rzeki, która ma parę metrów szerokości, niż wtedy, gdy wędruję po lodzie arktycznym i do najbliższego lądu mam wiele kilometrów.

Lód na naszych rzekach jest nieobliczalny. W jednym miejscu może mieć powyżej dziesięciu centymetrów grubości i wtedy spokojnie można po nim przejść, a metr dalej ma już centymetr grubości i wtedy załamanie się bez względu na to, czy mamy narty, czy nie. Dlatego u nas nie działa zasada dziesięciu uderzeń kijkiem. To, że sprawdzimy lód w jednym miejscu, nie daje żadnej gwarancji, że dalej jest tak samo. Szczególnie dotyczy to rzek, gdzie grubość lodu zależy od siły prądu. Tam gdzie prąd silniejszy, tam lód będzie cieńszy.

Ale to nie wszystkie pułapki. Teoretycznie im zimniej, tym lód robi się grubszy. To logiczne, bo lód niemal zawsze i wszędzie spoczywa na wodzie i im zimniej, tym bardziej przyrasta na grubości. U nas jednak wcale niekoniecznie tak się dzieje i czasami między lodem a wodą pojawia się pusta przestrzeń.

Dzieje się tak, bo zamarzają dopływy i poziom wody spada. Wydaje się, że tafla jest stabilna, a tymczasem prawda jest taka, że lód opiera się na brzegach i wcale nie zdążył narosnąć. Jest bardzo cienki, ale wcale tego nie widać i wszystko wygląda super, a tu nagle chrup i jesteśmy w wodzie.

To zjawisko najczęściej spotkacie na małych i średnich rzekach, rzadziej na jeziorkach i bajorkach.



Zamarznięte rzeki i jeziora mogą być zdradliwe

Jesienią lub podczas odwilży woda zalewa doliny rzeczne, a potem, gdy robi się zimno, zamarza po wierzchu i wycofuje się do koryta rzeki. Cała dolina wygląda jak jedno wielkie zalodzone pole. Równe jak lotnisko i tylko od czasu do czasu widać czubki traw lub trzcin, które nieco wystają ponad taflę. Uważajcie na takie lodowe lotniska, bo są bardzo niebezpieczne. Nie wiadomo, gdzie i jak płynie pod nimi rzeka. Gdzie jest głęboka woda, a gdzie jej w ogóle nie ma. Ja wtedy staram się unikać zagłębień i miejsc, gdzie widać trzcinę.

Zdradliwy, i to bardzo, jest śnieg. Śniegu na lodzie, a przynajmniej jego dużych ilości, bardzo nie lubią Inuici, czyli mieszkańcy Dalekiej Północy. Nie lubią, bo w głębokim śniegu sanie ciągnięte przez psy, czyli główny środek lokomocji na Dalekiej Północy, grzęzną i poruszają się bardzo wolno. Ale w Polsce jest też inny powód – lód przykryty dużą ilością śniegu jest jeszcze bardziej nieprzewidywalny niż zwykle. Jest bardzo słaby, bo śnieg izoluje od zimna niczym kołderka i wypycha lód w wodę, która zwykle ma koło zera stopni i topi taflę od spodu.

Wnioski są dość proste – jeżeli nie ma jakiegось życiowej konieczności, na lód nie należy wychodzić, a już w szczególności na lód na rzekach. Lód

na jeziorach jest nieco bardziej stabilny i przewidywalny, ale i tak trzeba być niezwykle ostrożnym. Na pewno nie wolno wychodzić, gdy temperatura jest bliska zera. Nie wolno, gdy widzicie na nim pęknięcia lub kałuże wody. No i nie wolno podchodzić do miejsc, w których spod lodu wystaje jakaś roślinność. Na szczęście zwierzęta związane z lodem można spokojnie obserwować również z brzegów. A czekają na nas prawdziwe klejnoty, a raczej – klejnociki.

KLEJNOT JAK TORPEDA

No właśnie, zimorodek to taki żywy klejnocik. Jeżeli jest w okolicy, zobaczycie go od razu. Ten szmaragdowoniebieski z pomarańczową piersią i dużym, wręcz karykaturalnie wyglądającym mocnym dziobkiem skrzy się nawet w zimowym słońcu. Szukać go należy nad wszelkimi zbiornikami wodnymi, tam gdzie lód nie skuł jeszcze dokładnie wszystkiego. Co prawda zimorodki w poszukiwaniu ryb patrolują całkiem duże odcinki rzek, ale mroźną zimą nie mają zbyt wielkiego wyboru i muszą się trzymać miejsc, w których woda nie zamarzła.

Ten śliczny ptaszek będzie nad wodą polował na małe rybki, które są jego podstawowym pokarmem. Wiosną i latem dietę wzbogaca również owadami, ale zimą jest absolutnym rybożercą. Oczywiście nie są to wielkie ryby, tylko na ogół kilkucentymetrowe cierniki i cierniczki oraz kiełbie. Zimorodek, polując, zawisa w powietrzu, szybko machając skrzydłami, ale zimą głównie siedzi na jakiejś gałęzi nad wodą i bacznie przygląda się temu, co pod nim przepływa. Siedzi cierpliwie, a gdy tylko zobaczy coś smacznego, to niczym błyskawica wpada do wody.

Przyjrzyjcie się jego kształtom. Są opływowe nawet mimo dużej głowy i dzioba. To taka minitorpeda. Zimorodek jest świetnie przystosowany do takich wodnych ataków. Nie tylko ma nieprzemakalne pióra, lecz także umie przełączyć swój wzrok na widzenie podwodne. Pewnie zwróciliście uwagę, że gdy nurkujecie, wszystko pod wodą wydaje się inne niż na powierzchni – o wiele większe i bliższe. Zimorodek takich problemów nie ma, bezbłędnie ocenia i wielkość, i odległość. Atak trwa sekundy i chwilę potem zimorodek znówu siedzi sobie na gałęzi i zajmuje się przygotowaniem złowionej rybki do zjedzenia. Jak to robi? Wali nią mocno o gałązkę i potem połyka.



Nawet jeżeli widzicie, że pokrywa lodowa jest stabilna, bez specjalnego kombinezonu i kołców lodowych lepiej nie wchodzić na rzeczny lód

Jak się ratować, gdy wpadniemy do wody?

Jeżeli pęka pod wami lód, kierujcie się w stronę, z której przyszliście, bo tam jest najbezpieczniej. Jeżeli czujecie, że nie zdążycie, to nabierzcie powietrza i zrzućcie plecak, zanim wpadniecie do wody. Macie czas, bo lód wszystko spowolni.

Nie wolno panikować. Wyziębienie jest groźne dla organizmu, ale nie następuje tak prędko, jak nam się wydaje. Nie jest kwestią sekund, ale paru minut. To bardzo dużo czasu i wystarczy, aby wydostać się na powierzchnię. Pod wodą kierujcie się do otworu, przez który wpadliście. Jeżeli na lodzie jest śnieg, otwór będzie ciemniejszy od lodu, jeżeli sam lód, to otwór będzie jaśniejszy.

Najważniejsze, by głowa jak najszybciej znalazła się na powierzchni. Potem powoli starajcie się wyjść, a raczej wyczołgać. Pierwsze na lodzie powinny się znaleźć ramiona i wtedy połóżcie się w pozycji horyzontalnej. Ponieważ zwykle nie ma się czego chwycić, to starajcie się wypełznąć na lód, poruszając się jak pływak i odpychając się ramionami na lądzie i nogami w wodzie. Uwaga, gwałtowne ruchy mogą spowodować, że lód się znowu załamie! Dlatego po wyjściu z wody nie wolno wstawać, trzeba się czołgać. Innym sposobem na szybkie oddalenie się od przerębla jest

odturlanie się.



ZIMOWY TEST ZIMORODKA

Zima dla zimorodków to moment kluczowy. Bynajmniej nie dlatego, że nazywają się „zimorodki”, bo ta nazwa nie wzięła się od zimy, ale od ziemi. Zimorodki kopią w skarpach nory mogące mieć nawet metr długości, to w nich wychowują pisklęta i dlatego powinny się raczej nazywać „ziemorodki”.



Nazwa zimorodek jest myląca. Dla tych ptaków zima to koszmar. Wiele ginie z głodu

Zimorodki żyją bardzo krótko. Góra kilka lat, a najczęściej dwa-trzy. Na ogromną skalę umierają właśnie zimą. Od tego, czy jest łagodna i rzeki nie są skute lodem, czy ostra i są pokryte lodem, zależy, ile tych kolorowych ptaszków przetrwa do wiosny. Na szczęście zimorodki mają całkiem niezłą strategię radzenia sobie z ciężkimi warunkami klimatycznymi i krótkim żywotem. Bardzo zresztą podobną do dzików, o których czytaliście w poprzednim rozdziale. Na zimowe straty w populacji zimorodków odpowiedzią jest szybkie i hurtowe – jak na ptaki – rozmnażanie się wiosną i latem. Zimorodki mogą mieć dwa lęgi w roku, a w każdym nawet do ośmiu młodych. Wysiadywanie jaj i wychowanie potomstwa zajmuje im góra pięćdziesiąt dni, czyli wyjątkowo krótko.

Czasami, zamiast zobaczyć zimorodka, usłyszycie jego głos. To będą takie wysokie piknięcia lub gwizdnięcia. Trudno opisać ten głos, choć znam go doskonale – niemal dokładnie taki sam wydawał z siebie nasz Julek, wydra, która mieszkała z nami przed laty. Robiła to, gdy było jej smutno. I to zimorodkowe pikanie brzmi jak płacz małej wydry.

Jak ratować kogoś, kto wpadł do wody?

Jeżeli widzicie, że ktoś wpadł do wody, bo załamał się pod nim lód, spróbujcie mu pomóc, ale tak, żebyście sami nie znaleźli się w wodzie. Nigdy nie biegniemy z pomocą i nigdy nie dochodzimy bezpośrednio do krawędzi załamanej lodu. To bardzo niebezpieczne.

W dawnych czasach nad niektórymi sadzawkami był sprzęt ratowniczy – zupełnie prosty, bo drabina oraz bosak, czyli hak ze szpikulcem służący strażakom do zrywania palących się dachów, ale też znakomicie sprawdzający się przy wyciąganiu z wody. Teraz to raczej rzadko spotykany zestaw, choć na przykład w Niemczech jest niemal nad każdą sadzawką. Do tonącego nie zbliżamy się na stojąco, ale się czołgamy, by nasz ciężar się rozłożył i byśmy nie wpadli do wody. Tonącemu rzucamy szalik, kurtkę, linkę lub podajemy gałąź, by pomóc mu się wydostać z wody. Nigdy nie zbliżajcie się do krawędzi lodu, bo zamiast jednej mogą być dwie ofiary. A jak już wyciągniecie skąpanego, to trzeba go natychmiast rozebrać. Zdjęcie mokrego ubrania i wytarcie delikwenta to podstawa. Bardzo może się przydać w takich wypadkach folia termiczna NRC, którą – mam nadzieję – macie zawsze w plecaku.



**NAGRODĘ ZA NAJLEPSZE ZIMOWE UBRANIE ZDOBYWA...
WYDRA!**

Pewnie znowu myślicie, że coś mi się pomyliło, bo zimą piszę o małych wydrach. Otóż nic mi się nie pomyliło. Może się wam zdarzyć, tak jak mi kiedyś, że usłyszycie na zalodzonej rzeczce piknięcie zimorodka, a potem piknięcie młodej wydry. Kiedyś widziałem, jak jedno z drugim rozmawiało! Im bardziej pikał zimorodek, tym bardziej pikała po wydrzemu mała wyderka.

No dobrze, ale co z tymi małymi wydrami zimą? Czy to nie jakaś ekstrawagancja decydować się na dzieci w czasach, gdy wszyscy wokoło cierpią głód? Może i tak. Wszyscy cierpią głód, ale nie wydry. Za ich główny pokarm powszechnie uważa się ryby. Wydry są doskonale przystosowane do polowania w wodzie. Ich tylne łapy są olbrzymie, a na dodatek zaopatrzone w błony, które stanowią znakomity napęd. Podobnie ogon, który może też służyć jako ster i napęd, oraz krótkie przednie łapki, które pomagają przy sterowaniu pod wodą i umożliwiają gwałtowne skręty w pogoni za ofiarą. Podczas polowania wydry zwykle nurkują na pół minuty, ale wytrzymać pod wodą mogą około trzech minut. Zanurzone mogą płynąć z szybkością ponad metra na sekundę. To wolniej niż na przykład taki pstrąg, ale ryby są szybkie tylko na krótkich dystansach, a potem muszą zwolnić.



Wydry nic sobie nie robią z zimy tam, gdzie jest w miarę naturalne środowisko. W mule rzek i stawów znajdują masę zimujących żab

W naszej szerokości geograficznej długie przebywanie pod wodą o każdej porze roku skończyłoby się oczywiście dla wydry co najmniej przeziębieniem, gdyby nie wydrze superzabezpieczenie. Wiele wodnych ssaków, na przykład foki czy wieloryby, przed utratą ciepła zabezpiecza warstwa tłuszczu, ale wydry mają na to inny sposób. Supergęste futro – na jeden centymetr wydrzego ciała przypada około sześćdziesięciu tysięcy włosów. Dla porównania niedźwiedź polarny ma pięć tysięcy włosów na jednym centymetrze kwadratowym, a człowiek około stu tysięcy na całej głowie!

Futro wydry składa się właściwie z dwóch warstw. Pierwszą są włosy okrywowe – gdy tylko zamokną, przylegają do siebie i dzięki nim mokra wydra wygląda jak jakaś wcale nieowłosiona, śliska istota. Pod włosami

okrywowymi znajduje się druga warstwa, przypominająca zbitą wełnę. Między tymi zbitymi włosami gromadzi się powietrze, które jest znakomitą izolacją termiczną chroniącą wydrę przed zamknięciem, a co ważniejsze – przed wychłodzeniem w zimnej wodzie. Oczywiście wydrze nie udaje się utrzymać w tym labiryncie włosów całego powietrza. Uwalnia się ono, gdy wydra pływa, i poznacie to po wypływających na powierzchnię bąbelkach.

Wydry muszą dbać o swoje futro, dlatego bardzo dużo czasu poświęcają na jego pielęgnację – zawsze po dłuższym pobycie w wodzie suszą je, wycierając w śnieg, glebę lub trawy. Futro stało się zresztą przyczyną prześladowań wydry. Ludzie pozazdrościli zwierzakowi i też chcieli mieć coś takiego... na kołnierzu. Na szczęście zakazano polowania na wydry i te przezabawne zwierzęta mogą czuć się bezpieczne.

Ile jest kontynentów?

Dla mnie zalodzona Arktyka to taki ósmy kontynent. Ósmy? A może siódmy lub szósty? Ile jest naprawdę kontynentów?

Tak naprawdę nie wiadomo. Może być ich siedem: Australia, Antarktyda, Ameryka Południowa, Ameryka Północna, Afryka, Azja i Europa, ale i sześć. To wtedy, gdy obie Ameryki traktujemy jako jeden kontynent lub jako jeden kontynent traktujemy Europę i Azję, których tak naprawdę poza Uralem, czyli wielkimi górami w Rosji, nic nie dzieli. Gdyby brać pod uwagę budowę geologiczną Ziemi, to powinniśmy mówić o Eurazji. Wiadomo, że największym kontynentem jest Azja, a najmniejszym – Australia. Oczywiście żadne oficjalne źródła Arktyki nie traktują jako ósmego kontynentu, ale skoro nie wiadomo, ile ich jest, to mogę ją tak potraktować, prawda?



RYBY SIĘ SAME POD NOS NIE PCHAJĄ

Wydra ma jeszcze jedną cechę, która ułatwia jej życie w wodzie. Szybka przemiana materii pozwala jej utrzymać stałą temperaturę ciała nawet w zimnym otoczeniu, jakim jest każda rzeka o tej porze roku. Metabolizm wydry jest o mniej więcej dwadzieścia procent wyższy niż u zwierzaków o podobnych rozmiarach żyjących cały czas na lądzie. Takie zużywanie energii wymaga też odpowiedniej ilości pożywienia, a ryby oczywiście same się wydrze pod nos nie pchają.

W czystej wodzie wydra nie ma większego problemu ze schwytaniem zdobyczy. Wystarczy ją wypatrzeć i już obiad na stole. A w wodzie zmaconej? Okazuje się, że i na to wydry mają sposób. Za pomocą wąsów odbierają drgania wody wywołane ruchem rybich płetw. Lokalizacja

zdobyczy trwa dłużej niż za pomocą wzroku, ale to zawsze coś. Przez te umiejętności łowieckie wydr nienawidzą wszyscy właściciele stawów. Zdarza się, że te zwierzaki potrafią wybrać z takiego zbiornika rybkę po rybce, co do jednej! Tylko tak naprawdę to właściciele stawów sami są sobie winni. Ryby nie mają tu naturalnych kryjówek, takich jak zwalone pnie czy korzenie, bo chodzi o to, by było je łatwo wybrać siecią. No i skoro nie mają gdzie uciekać, to wydry z tego korzystają. Nie samymi rybami jednak żyją wydry. Do diety rybnej dochodzą też ssaki, na przykład drobne gryzonie, czasami wodne ptaki, a raczej ich pisklęta. W wielu rejonach Europy, szczególnie tych wschodnich, bardzo ważnym pokarmem wydr są płazy. Trochę problemu mogą oczywiście sprawiać ropuchy, których skóra jest pełna gruczołów jadowych, ale i z tym wydry sobie jakoś radzą. W tym roku wiosną nad brzegiem jednej rzeczki znalazłem resztki ropuchy. Została z niej tylko główka i skóra, którą wydra ściągnęła, bo nie nadawała się do spożycia. Sprytnie zwierzątko obrało ropuchę jak banana. Ale to wiosenny obrazek – zimą ropuchy, które zimują na lądzie, są dla wydry nieosiągalne. Za to żaby trawne – owszem. To one są pokarmem, którego zimą jest tak dużo, że wydry nie muszą się o nic martwić i mogą sobie pozwolić na dzieci.

A jak wydry dają sobie radę z lodem? Otóż ich sojusznikiem jest to, co dla nas jest największym zagrożeniem, czyli kruchy rzeczny lód, który załamuje się bardzo często przy brzegach. Dzięki temu wydra ma jak dostać się do wody.

ŻABY POD PIERZYNKĄ I NA WYNOS

Jeżeli środowisko nie jest zniszczone przez intensywne rolnictwo, a w pobliżu nie ma ruchliwych dróg, na których masowo giną żaby w czasie swoich wiosennych i jesiennych wędrówek, to – słowo wam daję – w jednym jeziorze lub rzeczce może być ich bardzo dużo. Nasza wydra Julek tylko z jednego małego stawu wyciągnęła ponad 600 żab w ciągu zimy! A przecież wychowany przez nas Julek nie był wcale dobrym łowcą.

Może żaby nie są zbyt pożywne, ale zimujące w mule stada mogą liczyć tysiące płazów. Żaby nie są zbyt szybkie, a odrętwiałe przez zimno stają się bardzo łatwą ofiarą. Gdy wydra natrafi na takie pokłady, nurkuje i wyciąga żabę za żabą. Podobnie z rybami, które zimują w mule. To łatwe ofiary. Takie miejsce nietrudno wypatrzeć, bo po zjedzonych żabach zostają resztki flaczek albo przynajmniej odrobina krwi. Zwykle gdzieś w pobliżu można też znaleźć wydrzą zjeżdżalnię, czyli miejsce, w którym dla zabawy zjeżdżają sobie do wody.



Zimujące i odrętwiałe żaby to też pokarm norki amerykańskiej

W takim miejscu warto się zacząć, bo być może zobaczycie wydrę. Jeżeli będzie zajęta zdobywaniem pokarmu albo zabawą, to nie zwróci na was uwagi i możecie ją obserwować. To będzie niesamowite przeżycie, bo nie ma nic wspanialszego niż bawiące się lub polujące wydry. U żadnych innych zwierząt – przynajmniej w Polsce – nie widać aż tak wielkiej radości życia.

Wydra to niejedyny amator żab. Lubi je też mniejsza norka amerykańska, która jest u nas obcym gatunkiem. Kiedyś norki przywieziono z Ameryki dla futra, a dziś mamy ich tyle, że sieją spustoszenie i mogą być konkurencją dla naszych gatunków, na przykład dla tchórza. Tchórz to bardzo ładny zwierzak łasicowaty z białą maską na pyszczku i wybitny żabożerca. Tchórze nieźle pływają i nurkują, ale też wyszukują miejsca zimowania żab na lądzie. Część upolowanych żab tchórz zjada na miejscu, część bierze sobie na wynos i chowa w spiżarni. Nie dysponuje jednak lodówką, w której żaby by się nie

psuły, więc żywym nadgryza rdzeń kręgowy i sparaliżowane płazy nie mogą uciec. Z naszego i żabiego punktu widzenia to dość makabryczne, ale tchórz też musi czymś się żywić.

JADOWITY SSAK Z WILCZYM APETYTEM

Na żaby czyhają nie tylko wydry, norki amerykańskie i tchórze. W czasie pierwszych przymrozków na małej leśnej rzeczce z niewielkim rozlewiskiem obserwowałem, jak na żaby polują rzęsorki. W Polsce mamy dwa gatunki rzęsorka: rzeczka, większego, który jest lepszym pływakiem, i rzęsorka mniejszego, który, jak nazwa wskazuje, jest mniejszych rozmiarów. Mnie udało się zobaczyć rzeczka. To dopiero był krwawy spektakl! Malutki, bo mierzący może pięć-sześć centymetrów, rzęsorek walczył z trzy razy większą od niego żabą. Zabił ją, a potem wciągnął do kryjówki w gęstej roślinności obgryziony szkielecik, by w spokoju dokończyć ucztę. Brr, wyglądało to jak z horroru.

Jakie znacie zwierzęta jadowite mieszkające w Polsce? Żmiję, osę, szerszenia i pszczołę. Myślicie, że to wszystkie? Rzęsorek też jest jadowity. To jedyny jadowity ssak w Polsce. Nie musicie się go jednak obawiać – jad znajdujący się w jego ślinie może zabić albo sparaliżować tylko małe stworzenia. Naukowcy obliczyli, że jeden miligram jadu rzęsorka, który nie jest groźny dla człowieka, może uśmiercić mysz ważącą dwadzieścia gramów. Niesamowite jest też to, że ta ryjówka, bo rzęsorek jest ryjówką, potrafi świetnie pływać i nurkować. Dzięki nieprzemakalnemu futerku woda spływa po nim jak po kaczce. Oczywiście podobnie jak inne ryjówki rzęsorek jest bardzo żarłoczny. Przeciętnie zjada zwykle połowę tego, co waży, na dobę, a samica karmiąca młode – dwa razy tyle.

Jak widzicie, biedne żaby mają ciężki żywot i nawet w czasie zimowej hibernacji nie mogą się czuć bezpiecznie. Być może w czasie późnozimowych wędrówek znajdziecie na brzegach rzeczek lub na jakichś pieńkach coś w rodzaju białej galaretki. To nic innego jak żabi skrzek. Żabożercy pozbywają się go, patrosząc żaby, bo zjedzony skrzek pęcznieje pod wpływem wilgoci w przewodzie pokarmowym i sprawia, że myśliwy ma kłopoty z żołądkiem.

WIELCY ROŚLINOŻERCY BAGIENNI

Bagna i rozlewiska to terytorium nie tylko amatorów żab, lecz także wielkich roślinożerców. Nie zdziwcie się, gdy przed wami trzaśnie cienki lód i na powierzchnię zacznie się gramolić bóbr, czyli nasz największy gryzoń. Może ważyć nawet do 30 kilogramów.

Bobry zimą niechętnie opuszczają żeremia, czyli domki zrobione z gałęzi i mułu. Gdy cała bobra rodzina jest do siebie przytulona, w głównej komorze temperatura rzadko spada poniżej zera. Oczywiście trzeba coś jeść

i bobry są na to przygotowane. W pobliżu żeremi w norach mają zgromadzone jesienią zapasy, głównie grubsze i cieńsze gałązki. W niektórych magazynach znajduje się aż 19 metrów sześciennych pokarmu! Im bliżej wiosny, tym bardziej spiżarnie pustoszeją i to skłania bobry do coraz częstszego pokazywania się na lodzie lub lądzie. Poza tym jeszcze pod koniec lutego i na początku marca bobry mają swoje gody.

Innym bagiennym roślinożercą, i to bardzo dużym, jest łoś. O łosiach na bagnach opowiadałem wam w części wiosennej. Teraz dam wam tylko wskazówkę, gdzie szukać ich zimą. Musicie opuścić bagna i ruszyć do otaczających je sosnowych lasów. Jeżeli będziecie w Biebrzańskim Parku Narodowym, to poproście rodziców o wolniutkie przejechanie wzdłuż parku carską drogą. Jedźcie powoli, żeby nie przegapić stojących lub leżących w sosnowych lasach łosi. Zobaczycie, że mogą być bardzo blisko...

Kolce asekuracyjne, czyli sprzęt na lód

Jeżeli już musicie wejść na lód, to tylko pod kilkoma warunkami. Lód na jeziorze powinien mieć minimum dziesięć centymetrów grubości, ale nigdy nie wchodźcie na niego, gdy temperatura jest powyżej zera ani po ociepleniu, nawet gdy potem nadeszło ochłodzenie. Byłoby super, gdybyście mieli kombinezon wypornościowy – to ubranie zrobione ze specjalnej pianki. Ma dwie zalety: nie tonie i przez parę godzin może zapobiec wychłodzeniu organizmu. Niestety, ma jedną wadę – jest drogie. Innym wyjściem jest kamizelka ratunkowa, która co prawda nie zapobiegnie wychłodzeniu, ale utrzyma nas na wodzie.

Absolutną koniecznością jest posiadanie kolców asekuracyjnych. To coś w rodzaju rączki od kijka narciarskiego, która zakończona jest kolcem. Pomagają wydostać się na lód, gdy wpadniemy do wody. Po prostu wbijamy kolce w lód – jeden bliżej, drugi nieco dalej – i wydostajemy się z wody. Trochę to przypomina technikę wchodzenia na lodową ścianę z czekaniem w jednej ręce i czekanomłotkiem w drugiej, tylko zamiast wchodzić na pionową płaszczyznę, wpełzamy na poziomą. To proste i bardzo tanie narzędzie może wam ocalić życie. Znajdźcie je w sklepach wędkarskich.





Nasz Bałtyk to morze zimne i dlatego pomysł wyjazdu tam zimą może się wam wydawać jeszcze większym nieporozumieniem niż zima w mieście. Jeżeli nie jesteście członkami klubu morsów, czyli ludzi, którzy uwielbiają włązić do bardzo zimnej wody, to nie będziecie mogli się pluskać ani wylegiwać na plaży. To wcale jednak nie znaczy, że zimą nad zimnym morzem nie ma co robić. Nadmorskie zimowe plaże to świetne miejsce do obserwacji przyrodniczych. I to bardzo egzotycznych.

Dawno temu mój przyjaciel Ivar Jussi zabrał mnie na maleńką estońską wysepkę na wschodnim Bałtyku. Był początek maja, ale zdążyłem na końcówkę bałtyckiej zimy, bo piętrzyły się tam jeszcze zwały lodu. Zrobiły na mnie ogromne wrażenie – były wysokie na kilka metrów. Wyglądały i pięknie, i groźnie zarazem. „Bardzo, ale to bardzo mi się to podoba” – pomyślałem i po powrocie z tej bałtyckiej ekspedycji postanowiłem, że zostanę polarnikiem.

Jeżeli też marzycie o polarnych wyprawach, to wyprawa nad zimowy Bałtyk jest znakomitym pierwszym krokiem. Tym bardziej że Bałtyk nie różni się zbyt wiele od mórz północnych. Dawno temu żyły tu nawet foki grenlandzkie, które dziś spotyka się tylko na Dalekiej Północy. Przed tysiącami lat mieszkający nad Bałtykiem łowcy fok polowali na foki grenlandzkie, pospolite i szare. Jedną z ich osad znajdowała się koło Rzucewa, kaszubskiej wsi leżącej nad Zatoką Pucką. Podejrzewam, że ich metody łowieckie nie różniły się bardzo od tych stosowanych przez Inuitów na Grenlandii.

To było tysiące lat temu, ale w Bałtyku wciąż zostało trochę polarnych tubylców. Na przykład mieszkająca głównie na wschodzie foka obrączkowana. To głównie na ten gatunek foki polują niedźwiedzie polarne. Foki obrączkowane pojawiły się w Bałtyku w epoce lodowcowej i tu

zostały. Zachowują się bardzo podobnie do tych, które mieszkają w Arktyce – bardzo tyją na zimę i rodzą młode w śniegowych jamkach tylko na pływającym po morzu lodzie. Te foki będzie wam raczej trudno spotkać, ale polarnych atrakcji i tak nie zabraknie.



Foka obrączkowana, znana z Arktyki, mieszka też w Bałtyku oraz w jednym jeziorze w Finlandii i jednym w Rosji. To pozostałość po epoce lodowcowej

GDY ZAMARZA MORZE

Od profesora Marcina Węśławskiego dowiedziałem się, że zima Bałtykowi jest bardzo potrzebna. Marcin wie niemal wszystko o zimnych morzach, więc mu wierzę. Zimą Bałtyk oddycha – bez zimy byłoby tu o wiele mniej tlenu. Schłodzona woda jest cięższa od ciepłej, a gdy zamarza, robi się też bardziej słona na powierzchni. Ta ciężka woda z powierzchni opada na dno i w ten sposób transportuje tam tlen.

Marcin wyjaśniał mi, że bez zimowego natleniania wód przydennych umarłyby organizmy tam żyjące. Zimą niektóre ryby, na przykład babki o śmiesznych szerokich pyskach, i krewetki – tak jest, mamy w Bałtyku krewetki! – uciekają w głębiny. Słona woda ma trochę niższą temperaturę zamarzania niż słodka. Oceany zamarzają przy mniej więcej -2 stopniach Celsjusza, a Bałtyk, który jest bardziej słony – przy -0,5 stopnia. Zawsze to jednak zimniej niż przy dnie, gdzie woda ma 0 stopni, i dlatego właśnie tam ucieka wiele morskich stworzeń.

A co robią te, które mieszkają na plaży i o których czytaliście w letniej części? Otóż część zakopuje się w piasku głębiej, poniżej strefy przemarzania, a zmieraczki, czyli pchły morskie, które zjadają wiele z naszych śmieci, uciekają z plaż, wędrują na wydmy i dopiero tam się zagrzebują.

ZIMOWI ŁOWCY PRAWDZIWYCH SKARBÓW

Jeżeli ktoś chce poczuć potęgę morza, to powinien przyjechać nad Bałtyk zimą. Czasami sztormy są takie, że czuć, jak drży ziemia. Najsilniejsze mają miejsce w lutym i marcu nad otwartym morzem – od Helu do Wolina. Zimowe sztormy spiętrzają fale czasem nawet do 3 metrów wysokości. Mieszą wodę aż do 40 metrów w głąb i też odgrywają bardzo ważną rolę w natlenianiu morza.

Sztorm to najlepszy czas dla tych, którzy chcą nawdychać się bogatego w jod powietrza, bo morze działa wtedy jak wielki rozpylacz. Ale zachwył sztormem niech nie przysłoni wam zdrowego rozsądku. Uważajcie, bo często zimowe sztormy sięgają aż do linii wydm. Zastanawiacie się, dlaczego na wydmach, gdzie nie ma żadnego drzewa, leży czasami jakaś belka lub deska? Takie belki, deski lub pnie nazywane są drewnem dryftowym i czasami mogą po morzu pływać całkiem długo, aż jakiś sztorm wyrzuci je na brzeg. Czasami nawet aż na wydmy!

Sztormy wyrzucają na plaże całą masę skarbów, więc rozglądajcie się uważnie. Może uda się wam trafić na bursztyny. Nasze bursztyny powstawały około 40 milionów lat temu i w niektórych możecie znaleźć zatopione rośliny lub zwierzęta z tamtego pradawnego okresu. Takie uwięzione w bursztynie cuda nazywamy inkluzją. Choć mają miliony lat, to w bursztynie wyglądają jak żywe. Wbrew powszechnemu przekonaniu bursztyn występuje też w innych miejscach na ziemi, ale ten bałtycki jest najbardziej ceniony. Poszukiwaczy bursztynów poznacie od razu. To ci ubrani w gumowe rybackie butospodnie na szelkach, którzy sieciami na długich kijach, nieco przypominającymi te na motyle, zagarniają z wody unoszony przez sztorm materiał denny. Zimą jest ich najwięcej, bo zimowe sztormy są największe.

Wy nie musicie się tak poświęcać jak łowcy bursztynów. Poszukajcie ich na plaży wśród wyrzuconych patyczków, szkiełek, kamyczków, jednym słowem: całego morskiego śmiecia. Nawet najdoskonalsi łowcy i zbieracze nie znajdą wszystkiego i coś zostanie dla was. Może uda się wam trafić

na naprawdę wspaniały bursztyn. A jak poznać, że to właśnie on, a nie wypolerowany przez morze kawałek plastiku lub szkła? Otóż wystarczy leciutko, tak by go nie zniszczyć, nadpalić albo nawet podgrzać zapalniczką. Jeżeli to będzie szkło, nie poczujecie nic, jeżeli to plastik, to smród będzie okropny. Natomiast jeżeli traficie na bursztyn, zapach będzie tak miły, że poczujecie się jak w lesie. Nic w tym dziwnego – przecież bursztyn to skamieniała żywica iglastych drzew.

RYBA, CO BURCZY STRASZNIE

Gdy coś wam się zażółci na plaży, to wcale nie muszą to być bursztyny. Twarde zbitki jaskrawożółtych jaj to ikra kura diabła. Co to za ryba, że ma taką nazwę? Oczywiście niesamowita. Kury diabły mają szerokie pyski i rozczapierzone płetwy, zupełnie niczym kurze grzebienie lub skrzydła. Do tego samce są bardzo kolorowe. Mogą być rudo-czarno-biało-niebieskawe. Profesor Krzysztof Skóra, znawca bałtyckich ryb, powiedział mi, że lepiej nie brać złapanego kura do rąk, bo rana po ukłuciu znajdującymi się na jego skrzelałach i płetwach kolcami jest bardzo bolesna i kiepsko się goi.

Kolce to niejedyna cecha tych mierzających do pół metra ryb. Potrafią wydawać dźwięki pod wodą i nad wodą, podobno jak się je wyjmie z wody, to strasznie burczą. Kury są ciekawe również dlatego, że to samiec strzeże ikry i się nią opiekuje. Znoszenie ikry zimą może się oczywiście skończyć tym, że porwie ją sztorm i pomylimy ją na plaży z bursztynem. W zimnej wodzie ikra wolno się także rozwija – u kura trwa to około pięciu tygodni do wyklucia się larw, czyli młodych. Dzięki temu jednak młode wylęgają się wczesną wiosną, gdy zaczyna kwitnąć mikroskopijski plankton i jest pod dostatkiem pokarmu dla larw ryb, a nie ma jeszcze konkurencji przy stole. Zresztą, co łatwo zauważyć, patrząc na morze na przykład z moła lub łódki, woda w Bałtyku zimą jest najbardziej przejrzysta – bo prawie nie ma w niej mikroskopijskich glonów.

Co to jest skala Beauforta

Często to słyszycie i zapewne nie za bardzo wiecie, o co chodzi. Otóż na początku XIX wieku admirał brytyjskiej floty wojennej Francis Beaufort stworzył skalę służącą do określania siły wiatru. Chodziło o to, aby określić prędkość wiatru na podstawie obserwacji morza, co wtedy było bardzo ważne, bo ludzie pływali na żaglowcach i musieli używać żagli odpowiednich do siły wiatru. **Siła wiatru w stopniach w skali Beauforta:**

0 – morze gładkie jak lustro, nic nie wieje, prędkość wiatru mniejsza niż kilometr na godzinę;

1 – bardzo słaby powiew, woda się marszczy, prędkość wiatru między kilometrem a pięcioma na godzinę;

2-3 – łagodny wiatr, fale krótkie i gładkie o prędkości do 20 kilometrów

na godzinę;

4 – umiarkowany wiatr o prędkości do 30 kilometrów na godzinę, fale zaczynają się załamywać;

5 – fale mają grzywiaste białe grzbiety, wiatr do 40 kilometrów na godzinę;

6 – tworzą się białe grzywy, szum morza, wiatr do 50 kilometrów na godzinę;

7 – szum morza, pojawia się piana, wiatr do 60 kilometrów na godzinę;

8-9 – to już sztorm, piana na morzu, wysokie długie fale i wyraźny ryk wody, prędkość do blisko 90 kilometrów na godzinę;

10-11 – bardzo silny sztorm, ryk morza, pełno białej piany i olbrzymie fale, prędkość wiatru ponad 100 kilometrów na godzinę;

12 – huragan, huk morza, wiatr porywa wodę, słaba widoczność, prędkość wiatru ponad 103 kilometry na godzinę.





Nie ma nic bardziej spektakularnego niż zimowy sztorm

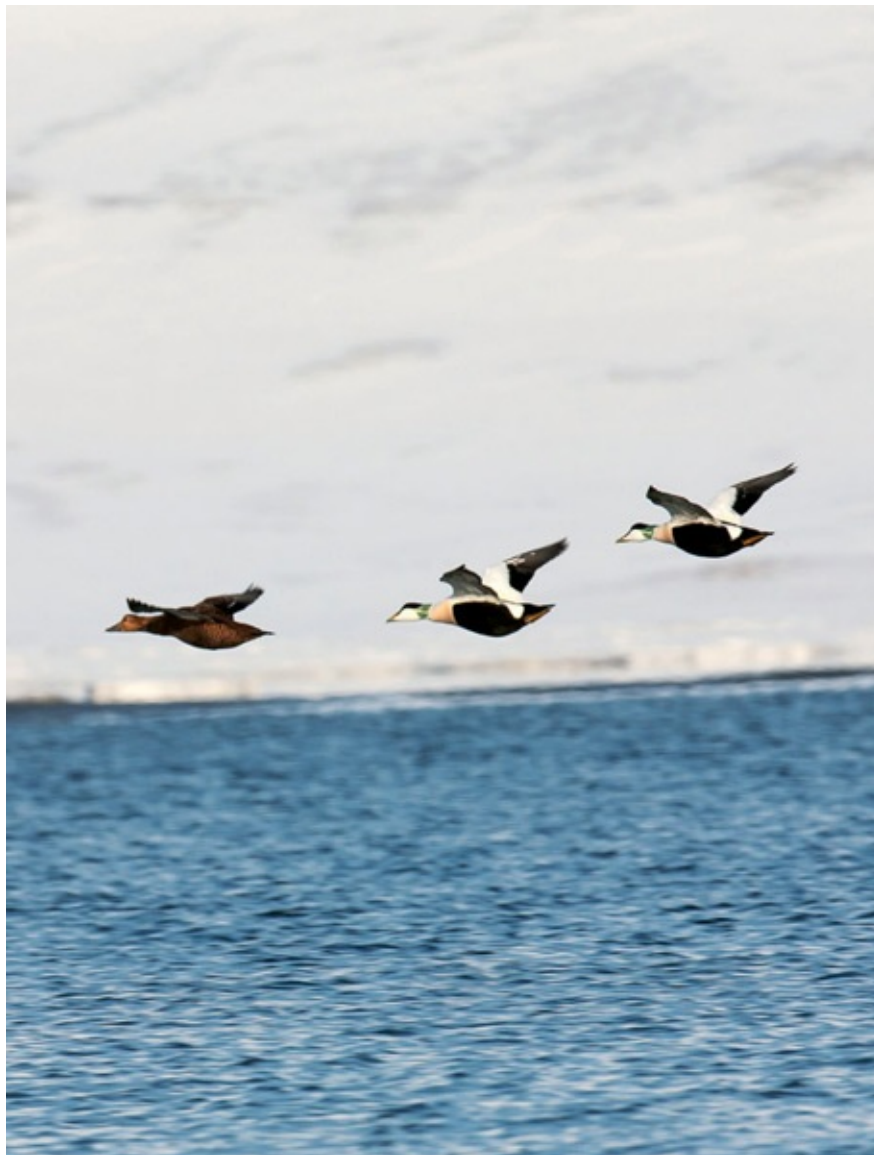
KACZKA NA PODUSZKI I KACZKA ELEGANTKA

Jak rozejrzycie się wokoło, to od razu zwróćcie uwagę na całą masę pierzastych stworzeń pływających po morzu. Zima to chyba jedyna pora roku, gdy na Bałtyku można zobaczyć aż tyle ptaków. Nie żartuję – mamy ich tu wtedy kilka milionów! Wśród nich superkaczki. Dlaczego piszę superkaczki? Bo w porównaniu z naszymi powszechnie znanymi i lubianymi krzyżówkami to są naprawdę niesamowici zawodnicy. Świetnie nurkują. Uhła, markaczka czy edredon potrafią nurkować na kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt metrów – naukowcy twierdzą, że zbierają skorupiaki i małże z dna do głębokości 30 metrów. Mało tego, to są prawdziwe kaczki polarne.

Samice edredonów wyrywają sobie puch, by zrobić z niego gniazda, w których wysiadują jaja. Robią to, by zabezpieczyć je przed wychłodzeniem.

Mają też stalowe nerwy, bo twardo siedzą na jajkach. Można chodzić koło nich bardzo blisko, a one udają, że ich nie ma. A gdy sytuacja jest już bardzo napięta i drapieżnik jest tuż-tuż, to zrywając się do lotu, robią na jaja kupę. A niech nie ma łatwo taki lis i niech kupa choć trochę obrzydzi mu jedzenie jaja. Tam gdzie edredonów jest dużo, traperzy zabierają im z gniazd puch i przekładają jaja do gniazd z sianka. Puch oczyszczają i sprzedają, bo jest to najlepszy i najdroższy puch na świecie. Napełnia się nim tylko najlepsze kołdry i poduszki.

Edredona nie sposób pomylić z żadnym innym ptakiem. Choć samice mają brązowe cętki i różnią się od czarno-białych samców, to jedne i drugie mają cechę wspólną – to bardzo krępe kaczk. Naprawdę nie ma chyba tak karykaturalnie kaczkowatych kaczek jak edredony.



Zimowi przybysze na naszej części Bałtyku to gatunki arktyczne jak na przykład edredony

Ich zupełnym przeciwieństwem są smukłe i śliczne lodówki. Pochodzą

z Dalekiej Północy i zimuje ich u nas najwięcej. Kontrastowo ubarwione samce z różowym paskiem na dziobie wyglądają niezwykle elegancko. Samice przy nich to szare myszki, tym bardziej że samice mają jeszcze niezwykle długie sterówki, czyli pióra ogona, które wyglądają jak u rajskich ptaków albo co najmniej u bażantów. Niby mało to pasuje do kaczek, ale u samców lodówek wygląda to naprawdę godnie. Wiem, trochę żałujecie, że samice nie są takie ładne. To niesprawiedliwe? Po pierwsze, takie ubranie jest niezbyt wygodne, bo każdy drapieżnik może cię wziąć na cel. Po drugie, to nie skromne samice starają się o względy pięknych samców, tylko odwrotnie. Zaloty lodówek możecie zobaczyć pod koniec zimy. Na wiosnę połączone w pary szczęśliwe małżeństwa lodówek odlatują na północne lęgowiska. By zobaczyć kaczki, wcale nie musicie wynajmować kutra. Czasami wystarczy powędrować na molo albo do jakiegoś portu. Kaczki lubią porty, bo przypominają im one głębokie zatoki.

GDZIE JEST PINGWIN PÓŁNOCY?

Skoro tyle piszę o ptakach polarnych, to dlaczego nie piszę o pingwinach? Myślicie, że to prowokacja, bo przecież każde dziecko wie, że na półkuli północnej nie ma pingwinów? Przecież zjadłyby je białe niedźwiedzie i lisy polarne. Nie, nielatający pingwin by się nie utrzymał – powiecie. Macie trochę racji, ale nie do końca.

Przyroda często stosuje bardzo podobne rozwiązania w miejscach z podobnymi warunkami. Na półkuli północnej nie mamy pingwinów, ale mamy alki. Alki, choć nie są spokrewnione z pingwinami, to jednak bardzo podobnie wyglądają. Słabo chodzą, siedzą prosto jak pingwiny, mają podobne ubarwienie. Alki zwyczajne, nurzyki i alczyki są czarno-białe – jasny brzuch i pierś jest po prostu znakomitą maskowaniem w toni. Ryby widzą jasną plamę i nie wiedzą, że to ich ostatnie chwile życia. A ryby i skorupiaki łapane w wodzie to główny pokarm i pingwinów, i alk. Jakby jeszcze tego było mało, i jedne, i drugie używają skrzydeł niczym potężnych wiosł.



Najmniejszą alką jest alczyk. W naszej części Bałtyku alczyki są bardzo rzadkimi gośćmi

Różnica między pingwinami a alkami jest jednak zasadnicza – alki potrafią latać. Zapewne właśnie dlatego, że na półkuli północnej jest tak dużo drapieżników. Choć oczywiście jest tu wyjątek, a raczej był. Mowa o alce olbrzymiej, która mieszkała na wysepkach Atlantyku, od wybrzeży Norwegii po Kanadę. Ten olbrzymi, bo ważący około pięciu kilogramów ptak o wysokości niemal metra nie latał! Miał maleńkie, piętnastocentymetrowe skrzydełka. Dopóki polowały na niego orki, niedźwiedzie polarne i bieliki, dawał sobie jakoś radę, bo alki olbrzymie miały swoje kolonie na niedostępnych wysepkach. Niestety, za alki zabrał się człowiek. Na początku polował na nie nieśmiało, bo był jeszcze prymitywnym łowcą, potem coraz śміalej. W XVIII wieku alki olbrzymie były już bardzo przetrzebione. Ludzie, którzy już wtedy mieli odpowiednie statki i łodzie, bez trudu dostawali się na ich niedostępne wysepki i zabijali dorosłe ptaki oraz

wybierali jaja. Oczywiście wszyscy myśleli, że alk będzie zawsze pod dostatkiem. Gdy było już ich naprawdę mało, erupcja wulkanu zniszczyła wyspę, na której miały swoją główną kolonię. Część ptaków uratowała się i przeniosła na sąsiednią wyspę Eldey. Tam dopadli je łowcy muzealnych okazów, bo gdy się okazało, że alk olbrzymich jest mało, każde muzeum postanowiło, że musi mieć jajo lub wypchanego ptaka. I tak w roku 1844 na wyspie Eldey zginęła ostatnia para olbrzymów, a ostatnie jajo zostało rozdeptane.

Podobno ktoś widział alki u wybrzeży Nowej Fundlandii kilkanaście lat później, ale nie wiadomo, czy to prawda. Po alce olbrzymiej zostały wypchane okazy w muzeach, smutna historia i łacińska nazwa *Pinguinus* oznaczająca nielotnego ptaka morskiego, którą później przekazano pingwinom. Oznacza to, że mieliśmy naszego północnego pingwina.

Teraz zimą u naszych brzegów możecie zobaczyć alkę zwyczajną, która jest bardzo podobna do swojej olbrzymiej poprzedniczki. Wiele badań wskazuje na to, że są one nawet spokrewnione. Na Bałtyku zimują też inne alki: nurzyki, nurniki oraz alczyki, które są maleńkie i wyglądają jak pingwin krasnoludek, choć jak już wiecie, prawie nic z pingwinami nie mają wspólnego.



Zima nad morzem jest świetnym czasem do obserwacji ptaków



Zima jest super w lesie, na łące lub nad rzeką, czyli wszędzie tam, gdzie jest biały śnieg. Ale zima w mieście? Śnieg momentalnie robi się tu szary, a potem zamienia się w okropne błocko. Na dodatek co chwila trzeba się ubierać lub rozbierać, bo albo się wychodzi z domu na zimno, albo odwrotnie. A pobudka w zimowy, ciemny ranek? Komu się chce wygramolić z ciepłego łóżka po to, żeby w zimnym autobusie lub tramwaju pojechać do szkoły?! No i jeszcze rodzice się denerwują, bo samochód nie może zapalić albo zasypał go śnieg i muszą skrobać szyby przez cały ranek. Tak, miasto nie jest najlepszym miejscem zimą, ale nie jest tu tak źle, jak się wszystkim wydaje. Zobaczycie!

To było strasznie dawno temu na moim podwórku na warszawskim Żoliborzu. Razem z Romkiem Wolańskim mieliśmy jakąś prośbę do Janusza, młodszego brata Romka. Nie pamiętam, o co chodziło, wiem, że Janusz bardzo się wzbraniał. Przekonywaliśmy go i przekonywaliśmy, a gdy to nie zadziałało, przekupiliśmy go. – Pokażemy ci papugi. Całe stado! Najprawdziwsze, i to za naszym domem! – obiecaliśmy. Janusz zmiękł, a my zaprowadziliśmy go pod wielkie jesiony, które z zapałem oskubywały kolorowe gile. Kolorowe ze ślicznymi czerwonymi brzuskami i piersiami są samce, samice zaś są szarawe, przy samcach zupełnie nikną. Nie pamiętam, czy Janusz dał się nabrać, że gile to papugi, ale staliśmy tam wszyscy trzej razem i patrzyliśmy na nie z rozdziawionymi buziami, bo gile w miejskiej zimowej szarości wyglądały bardzo tropikalnie i papuzio.

Gile to niejedyne superkolorowe ptaki, które zimą mogą się pojawić w waszych miastach. Jest ich cała masa – są to przybysze z Dalekiej Północy, ale również kolorowi mieszkańcy Polski, których wiosną i w lecie nie widać w całej okazałości, a zimą robią się trochę mniej płochliwe albo nawet

zupełnie odważne. Tak, moi drodzy, zimą w ptasim świecie robi się naprawdę kolorowo.



Gile są w Polsce przez cały rok, ale kojarzą się z zimą, bo są wtedy najlepiej widoczne

NAJLEPSZA PTASIA RESTAURACJA

Pierwszym miejscem, gdzie możecie się spodziewać tych kolorowych gości, będzie oczywiście wasz karmnik. Od razu muszę wyjaśnić jedną rzecz – żadne z ptaków, które zostają u nas na zimę, a tym bardziej przylatują do Polski z Dalekiej Północy, nie potrzebują naszej pomocy. Nie trzeba ich dokarmiać, bo zima to dla nich pora roku jak każda inna. Gatunki te przetrwały setki tysięcy lat zim tak ostrych, że te nasze to dla nich letnia bryza, więc przetrwanie nie stanowi dla nich żadnego kłopotu.

Skoro jest tak, jak mówi Wajrak, to skąd taki tłok w karmniku? – zapytacie.

Odpowiedź jest bardzo prosta. Ptaki, podobnie jak inne stworzenia, w tym i my, ludzie, nie lubią się trudzić, gdy nie ma takiej potrzeby. Po co sikorki bogatki albo modre ze śmieszną niebieską czapeczką mają się uganiać w poszukiwaniu nasion czy owadów zimujących głęboko w szparach, skoro tuż pod nosem mają słoninkę albo nasiona słonecznika? Nasz karmnik to dla ptaków wielka darmowa restauracja. Dlaczego nie miałyby z niej skorzystać?

Jak doskonale wiecie, są różne restauracje. Najgorzej trafić do takiej, w której jest nieświeże jedzenie, bo wtedy możemy się pochorować i kłops. Za to takie, w których zjedliśmy smacznie i zdrowo, zapamiętamy i będziemy do nich wracać. Dokładnie tak samo jest z ptakami. W karmniku to wy jesteście szefami kuchni i to, czy ptaki będą do was wracać, zależy tylko od was.



Jeżeli chcecie dokarmiać ptaki, można kupić takie specjalne kulki, ale najlepiej skomponować coś samemu

Jeżeli marzycie o własnym karmniku, to musicie poznać kilka podstawowych zasad.

- **Karmnik musi być czysty.** Mam taką specjalną szczotkę, którą co jakiś czas wymiatam z karmnika resztki jedzenia i ptasich kupek. Warto to robić, żeby nasz karmnik nie był siedliskiem chorób. Ptasie choroby nie są groźne dla ludzi i nie ma się czego bać, ale po takim sprzątaniu – i zresztą każdym innym! – trzeba umyć ręce. Nawet słynna ptasia grypa

nie jest groźna i nie złapiecie jej przy karmniku, chyba że go wyłiziecie, ale tego nikt z was chyba nie ma zamiaru zrobić, prawda?

- **Jedzenie musi być zdrowe i smaczne.** Ptaki, podobnie jak ludzie, mogą nie zdawać sobie sprawy, że coś może im zaszkodzić, i zjedzą wszystko, co im podacie. A tymczasem nie mogą jeść żywności przetworzonej, czyli tego, co my jemy. Dlatego nie wolno dawać ptakom resztek z naszych stołów. Żadnych pokarmów gotowanych (zawierają w sobie dużo wody i szybko się rozkładają), wędzonych i smażonych. Wszystko, co jemy, zawiera też sól, która jest dla ptaków bardzo szkodliwa – z tego powodu nie powinno się dawać ptakom chleba, poza tym szybko kwaśnieje, co też jest dla nich bardzo niebezpieczne.

- **Dania serwujcie regularnie.** Złe restauracje to nie tylko te, które podają niesmaczne i niezdrowe dania, lecz także te, w których długo się czeka na realizację zamówienia. Dlatego gdy zdecydujecie się dokarmiać ptaki, róbcie to regularnie. Codziennie, gdy temperatura spada poniżej zera, sypcie coś do karmnika. Gdy temperatura jest powyżej zera, nie należy raczej karmić, bo wtedy jedzenie nasiąka wodą i zaczyna się psuć. Jeżeli są z was lenie i bałaganiarze jak ze mnie i często zapominacie o obowiązkach, to polecam karmniki z dozownikiem. To coś w rodzaju sklepu samoobsługowego albo baru szybkiej obsługi. Bardzo fajny pomysł dla ludzi, którzy kochają ptaki, ale są zapominalscy.

JAK ZBUDOWAĆ KARMNIK I USTALIĆ MENU

No dobrze, teraz już wiecie, że taki karmnik to nie tylko przyjemność, lecz także obowiązki. Skoro jednak to was nie odstraszyło i zdecydowaliście, że będziecie dbać o ptaki zimą, to teraz pora zabrać się do pracy.

Jak zrobić karmnik? Pisałem o tym w jesiennej części, wskazówki znajdziecie też w internecie. Powiem wam tylko, że w Stanach Zjednoczonych widziałem karmnik prosty jak nie wiem co – jego wykonanie zajmuje nie więcej niż dziesięć minut. Wystarczy zwykła plastikowa butelka o pojemności większej niż litr z wyciętym szerokim jajowatym otworem niemal na całej jej długości – z jednej lub dwóch stron. Krawędzie otworu oczywiście trzeba stępić, by ptaki się nie pokaleczyły (można to zrobić zapalniczką – poproście rodziców, by wam pomogli). Tam gdzie jest zakrętka, robimy dziurkę na wylot i zawiązujemy sznurek. Butelkę wieszamy na balkonie albo na drzewie i sypiemy na jej dno ziarno. Tanio, ekologicznie i szybko. Może nie wygląda tak ładnie jak drewniane karmniki, ale taki butelkowy karmnik jest bardzo higieniczny, bo można go zawsze zdjąć i umyć.



Rodzajów karmników jest bez liku, ale ja z nich nie korzystam i zwyczajnie rozsypuję karmę w ogrodzie

No, a jak macie już karmnik, to czas ustalić menu w waszej restauracji. Możecie serwować wszelkie nieprzetworzone albo mało przetworzone ziarna i nasiona – pestki dyni, żołądźce, różnego rodzaju kasze, proso, siemię lniane, nasiona konopi. Absolutnie fantastycznym pokarmem są łuskane orzechy laskowe i włoskie. Takim orzechom nasypanym do plastikowej siateczki (takiej, w jakiej kupuje się włoszczyznę) i powieszonym gdzieś na balkonie lub w ogrodzie nie oprą się sikorki. Jeżeli chcecie zachęcić do wizyty dzwońce i grubodzioby, to nasypcie słonecznika. Nie łuskanego czy prażonego, no i oczywiście nie solonego. Sikorki i kowaliki też będą wam bardzo wdzięczne.

Do słoniny, która powinna być świeża, nieosolona i niewędzona, przylecą sikory i dzięcioły. U mnie dziobią ją chętnie dzięcioły: średni, duży oraz zielonosiwy. Kiedyś czytelnicy przystali mi zdjęcia myszołowa, który regularnie zrywał im słoninę ze sznurka.

Dla ptaków, które jedzą owoce, czyli wszelkich drozdów oraz jemiołuszek i szpaków (pojawiają się zwykle w końcówce zimy), przysmakiem będzie pokrojone na ćwiartki jabłko. Mogą też być drobno posiekane rodzynki. Można je powiesić albo nadziać na gałązki i ptaki będą zachwycone.

Jeżeli ktoś z was ma ogród, to fajnie jest posadzić jarzębinę lub kalinę. Nie dość, że wyglądają bardzo ładnie, to jeszcze ich owoce są znakomitym

pokarmem dla kosów, szpaków oraz jemiołuszek.

Propozycje typowo karmnikowe są dobre, gdy mamy do dyspozycji tylko balkon. Ostatnio coraz częściej skłaniam się do tego, żeby zachęcać szczególnie tych, którzy mają ogród, do rezygnacji z karmnika i zamiast tego rozsypywania pokarmu tak, by choć trochę przypominało to warunki naturalne. Tak tak, rozsypujcie go szerokim gestem i to w różnych miejscach. Co prawda nie wygląda to tak efektownie jak w karmniku, przy którym możemy zobaczyć utarczki między różnymi gatunkami, ale dla ptaków jest na pewno zdrowsze. Nie jedzą w tłoku, a to oznacza, że jest przy tym mniej nerwów i agresji między nimi. No i szanse na przenoszenie się chorób oraz skuteczny atak drapieżnika są mniejsze.

Co to jest jemioła?

Jemiołuszki i paszkioty obżerają się białymi lub żółtymi owocami jemioły i to obżarstwo jest jak najbardziej w interesie tej rośliny. Bez niego jemioła nie miałaby szans na przeniesienie się z drzewa na drzewo. Ptaki po zjedzeniu owoców jemioły trawią miąższ, a nasionko wydalają na jakimś innym drzewie. Ma ono kleistą otoczkę i przykleja się do pnia, by dać początek nowej jemiole.



Jemioła, której owoce są zimowym pokarmem jemiołuszek i paszkotów, będzie coraz bardziej pospolita. Dzięki ocieplaniu się klimatu

Jemioła pospolita rośnie najczęściej na topolach, lipach, jabłoniach i klonach. Jest dość łagodnym pasożytem i nie doprowadza drzew żywicieli do śmierci. Ma kilka gatunków, są takie, które rosną tylko na sosnach, oraz takie, które pasożytują wyłącznie na jodłach. Jemioły czerpią z drzew wodę i sole potrzebne do fotosyntezy, czyli produkowania pokarmu przy wykorzystaniu dostarczanej przez słońce energii. Sama jemioła może żyć nawet do 40 lat. Zapewne dlatego, że jest taka żywotna i zawsze zielona, została uznana za symbol witalności i w święta Bożego Narodzenia wiesza się ją w wielu domach pod sufitem, by przyniosła szczęście.



PTAK, KTÓRY JEST MISTRZEM KARATE, I INNI DZIWNIE GOŚCIE

Do waszego karmnika przylecą na pewno sikory i wróble. Spodziewajcie się też sikor bogatek – to te z czarną czapeczką i żółtym brzuszkiem przeciętym czarnym pasem. Wygląda jak namalowany czarnym flamastrem, ale to poważna sprawa – po nim poznacie, kto rządzi u sikor. Jeżeli przyjrzyście się dokładnie, to zauważycie, że tym sikorom, które mają pas najszerzy i najciemniejszy, wszystkie inne ustępują miejsca przy jedzeniu. Kiedyś naukowcy w ramach eksperymentu domalowali pas ptakom, które nie mogły dopchać się do pokarmu, i inne zaczęły im ustępować. Widać czarny pas jest ważny nie tylko w karate.

Obserwowanie karmnika jest lepsze od oglądania telewizji. Po tym, jak się ptaki kłębią przy karmniku, szybko poznacie, które gatunki są najważniejsze i najsilniejsze, a które muszą czekać w kolejce do dziobania. Gdy pojawią się zwabione słonecznikami grubodzioby, nikt nie śmie im przeszkadzać. Nawet sójki. Cóż się dziwić – ważący około 60 gramów grubodziób to bulterier wśród ptaków. Siła nacisku jego dzioba wynosi około 50 kilogramów i bez trudu rozcina pestki czereśni i wiśni. Nikt nie będzie wszczynał awantur z właścicielem takiego dzioba. Zimą możecie je też oglądać do woli, bo śliczne i bardzo kolorowe grubodzioby już za chwilę, wiosną, staną się bardzo skryte.



Grubodzioby są częstymi gośćmi karmników, szczególnie tych, w których jest słonecznik

Od czasu do czasu wasz karmnik może odwiedzić jakiś niespodziewany gość. Ptakiem, który bywa w moim karmniku raz na kilka lat, jest zięba jer. Te lęgące się w Skandynawii ptaki czasami przylatują do nas w wielkich ilościach, a czasami jest ich tyle co kot napłakał. U mnie pojawiają się na początku i na końcu zimy. Widać mój karmnik jest przystankiem na początku i na końcu ich podróży po Europie Środkowej. Mogą się one w każdej chwili pojawić i u was.

Najbardziej fascynujące w nich jest to, że na początku zimy wyglądają zupełnie inaczej niż pod koniec. Owszem, zostaje im pomarańczowy i biały kolor opierzenia, natomiast szary z początków zimy jakby gdzieś znika i zostaje wyparty przez czarny. I to czarny jak najprawdziwszy węgiel, co jeszcze bardziej podkreśla pomarańcz. Dla niewprawnego oka jer wygląda wtedy jak zupełnie inny ptak! Jery wcale jednak nie zmieniają upierzenia. Szare pióra się po prostu wycierają albo – jak kto woli – wykruszają. Na początku zimy, gdy te ptaki do nas przylatują, ta intensywna czerń jest przykryta przez szare końcówki piórek, które gdy zbliża się wiosna i powrót na skandynawskie lęgowiska, wykruszają się i odkrywają to, co jest pod spodem. Zresztą taką zmianę barw stosują nie tylko jery, ale również nasze szpaki czy nawet pospolite wróble, których krawacik właśnie w ten sposób czernieje intensywnie na wiosnę. U jera przemiana jest jednak najbardziej

spektakularna.



Zięby coraz częściej zimują w naszym kraju, szczególnie w miastach

SZARA BŁYSKAWICA, CZYLI KTO ATAKUJE ZNIENACKA

Nie zdziwcie się, gdy wszystkie ptaki, które do tej pory spokojnie sobie jadły, nagle z wrzaskiem prysną z karmnika, a sekundę potem przed waszym nosem śmignie szara błyskawica. Tak się składa, że ptaszą restaurację odwiedzają nie tylko ci, co się w niej stołują, lecz także ci, co mają ochotę zjeść karmnikowych gości. Nie ma się co obrażać, takie są twarde prawa przyrody. Sikorki wyjadają owady i pająki zimujące w okolicy karmnika, a same padają ofiarą krogulca.



Jeżeli dokarmiamy ptaki to możemy się spodziewać krogulca „miniaturki jastrzębia”, który będzie na nie polował

To właśnie krogulec jest najczęstszym myśliwym przy karmniku i najczęstszym drapieżnikiem w miastach, miasteczkach i na wsiach zimą. Jak wygląda? To miniaturka jastrzębia z prążkowaną piersią, długimi łapami zaopatrzonymi w ostre szpony i krótkimi, szerokimi skrzydłami oraz długim ogonem. Taka budowa umożliwia mu szybki atak na krótkich dystansach i sprawne manewrowanie wśród drzew i krzewów. Najciekawsza jest duża różnica między płciami – tak dużych nie ma u żadnego ptaka drapieżnego. Samice są brązowoszare na grzbiecie, a na jasnej piersi mają prążki tego samego koloru co grzbiet. Samce natomiast mają grzbiet szaroniebieski i rude prążki na piersiach. No i są blisko dwa razy mniejsze od samic.

Krogulec jest mistrzem nagłych skrętów, zwrotów i ataku z zasadzek. Siedzi sobie spokojnie gdzieś tuż-tuż i nagle w mgnieniu oka atakuje. Zwykle lecąc bardzo nisko, czasami dosłownie tuż nad ziemią. Gdy uda się mu coś złapać, natychmiast leci w jakieś gęste krzewy, by tam zjeść obiad. Nie chodźcie wtedy za nim, bo jedzenie nie zdarza mu się często. Większość ataków mu się nie udaje, bo sikorki i wróble potrafią zwiewać, ile sił w skrzydłach. Zimą wiele krogulców głoduje i dlatego część z nich przybywa do miast. Te, które zostają w lesie, potrafią naprawdę być zdesperowane. Pamiętam jednego, który zaatakował końcówkę kijka narciarskiego Nurii, myśląc, że może nada się do jedzenia.



Zimą nawet w miastach na szyszkach np. ozdobnych modrzewi można zobaczyć krzyżodzioby

INWAZJA USZATEK NA MIASTO

Krogulce to niejedynie ptaki drapieżne, które przybywają zimą do miast. W miastach, przez które płyną duże rzeki, na przykład w Warszawie, możecie zobaczyć bieliki, które podobnie jak krogulce przyleciały do miast za mniejszymi ptakami. Nie chodzi im o sikorki i wróble, ale o kaczki, nurogęsi i kormorany, czyli całe towarzystwo, które się zbiera przy ujściach ciepłej wody z elektrociepłowni lub miejscach, gdzie uchodzą oczyszczone lub – niestety – nieoczyszczone ścieki. Tam nie zamarza woda i aż kłębi się od wodnych ptaków, i dla bielików to doskonała stołówka.

Bieliki nie wywołują jednak takiej sensacji jak sowy uszate. „Inwazja sów na miasto!” – alarmowały gazety, gdy drzewa w jednym ze śląskich miast obsiadły sowy uszate. Tymczasem nie ma w tym nic dziwnego. Sowy w mieście szukają spokoju i odpoczynku. Sowy uszate są mniejsze od puszczyka – ważą 200-300 gramów – i mają pomarańczowe lub żółte oczy i pęczki piór na głowie, które wyglądają jak uszy, choć uszami nie są. Prawdziwe sowe uszy znajdują się za szlarą, czyli sówią twarzą. Sowy uszate polują na gryzonie i przemierzają Europę w ich poszukiwaniu.

Uszatki są najciekawsze zimą, bo zachowują się nietypowo jak na sowy. Otóż sowy zwykle są bardzo terytorialne, czyli pilnują terenu, na którym

mieszkają, i wyganiają z niego inne sowy swojego gatunku. Gonią intruzów przez cały rok. Wszystkie, ale nie sowy uszate. Te wręcz przeciwnie, zimą robią się niezwykle towarzyskie. Zbierają się w stada i tak podróżują i nocują. Ich miejsca noclegowe można niekiedy znaleźć w miastach – na drzewach, czasami w parku lub na cmentarzu, może siedzieć sobie nawet kilkadziesiąt uszatek. Podobno w niektórych sypialniach jest ich ponad sto. Oczywiście nazwa „noclegowisko” jest w tym wypadku dość myląca, bo sowy odpoczywają sobie w dzień, a w nocy ruszają na łowy.

Jeżeli chcecie się dowiedzieć, co sowy uszatki miały na obiad, to pod drzewami, na których odpoczywają, poszukajcie wypluwek. To takie kluchy z niestrawnych części pożywienia – sowy połykają ofiary w całości i to, co nie nadaje się do strawienia, wypluwają. Wypluwka składa się więc z sierści, rzadziej piór i kości. Jeżeli ją rozdłubiecie, to znajdziecie w niej małe żuchwy i czaszki, czasami całe. Po małych żółtych siekaczach poznać, że sowy jadły w nocy gryzonie.

EGZOTYCZNY WĘDROWIEC WPADA NA OBIAD

Ptaki, które w poszukiwaniu gryzoni przemierzają tysiące kilometrów, nazywamy koczownikami. Zimą takich koczowników jest w Europie naprawdę sporo. Chyba najdziwniejszy i najbardziej tajemniczy jest krzyżodziób świerkowy. Zwykle kojarzył mi się on z Tatrami lub Puszczą Białowieską, gdzie jest dużo świerków, ale kiedyś widziałem, jak krzyżodzioby objadały szyszki modrzewi w parku w Warszawie, i bardzo się zdziwiłem. Choć pewnie nie powinienem, znając podróżniczą naturę krzyżodziobów.

Jeżeli nigdy go nie widzieliście, to na pewno będziecie zdumieni, że taki ptak w ogóle żyje w naszej strefie klimatycznej. Po pierwsze, samce są tak intensywnie czerwone, że wyglądają jak z tropików. Po drugie, ten dziwny dziób – gruby, z krzyżującymi się końcówkami – przywodzi na myśl raczej papugę niż ptaka lasów świerkowo-sosnowych. Papuzie też są zwyczajnie tego ptaka, bo dziób nie tylko służy mu do wyłuskiwania nasion z szyszek świerku, sosny i modrzewia, lecz także pomaga we wspinaczce.

Co robią krzyżodzioby w miastach? Są częścią wielkiej inwazji na szyszki, bo to ich przysmak i gotowe są dla niego przelecieć cały kontynent. Młode krzyżodzioby mogą się wykluwać nawet w styczniu – wszystko zależy od tego, kiedy otwierają się szyszki, a to może się dziać o różnych porach roku. Jeżeli zobaczycie krzyżodzioba, nie oznacza to, że mieszka on w Polsce. Może miał w zeszłym roku młode na Syberii albo Półwyspie Skandynawskim, a w przyszłym roku może tam wrócić albo udać się do południowych Niemiec. Ich życie polega na pogoni za drzewami, na których wiszą duże ilości pełnych spiżarni.



Jemiołuszki to przybysze z północy. Koczują w poszukiwaniu owoców kaliny, jarzębiny, starych jabłek i oczywiście jemioły

Inne bardzo egzotycznie wyglądające ptaki, które zjawiają się u nas czasami w wielkich liczbach, to jemiołuszki. Są bardzo kolorowe, a na głowie mają dodatkowo takie śmieszne czubki. Poznacie je na pewno, bo latają w stadach, robiąc co chwila: „trii, trrii”. U siebie, czyli na północy Skandynawii i w północnej Rosji, karmią się owadami. Tak jest w lecie, ale gdy zbliża się jesień, przestawiają się na owoce. Jedzą wtedy różnego rodzaju jagody, jarzębinę, a gdy tego zabraknie, przelatują coraz dalej na południe i tak trafiają do nas. To, ile jemiołuszek przyleci do nas, nie zależy więc od tego, jak zimna jest zima na północy, ale właśnie od tego, ile było owoców i jak szybko ich zabrakło.

W Polsce mają raj, bo do zjedzenia są nie tylko jarzębina, kalina i jabłka, które wciąż jeszcze gdzieśgdyś wiszą, lecz także jemioła, od której pochodzi

nazwa jemiołuszek. Jemiołuszki to jeden z dwóch gatunków ptaków, które są w stanie jeść owoce jemioły. Wy ich nie próbujcie, bo dla ludzi są trujące. Drugim amatorem jemioły jest drozd paszkot, który też ma jemiołę w nazwie, ale łacińskiej. *Turdus viscivorus* to bowiem nic innego jak – w moim wolnym tłumaczeniu – drozd jemiołożerny. Drozd jednak zabiera się do jemioły zupełnie inaczej niż jemiołuszka. W przeciwieństwie do latających stadami niemal po całym kontynencie jemiołuszek drozdy paszkoty pilnują jednego lub kilku bogatych w jemiołę drzew i zazdrośnie ich przez całą zimę bronią przed innymi. Nie tylko przed drozdami, ale również przed jemiołuszkami. Terkocząc złośliwie, drozd potrafi odpędzić całe stado. No cóż, one mogą sobie polecieć gdzie indziej, a jemu musi to starczyć na całą zimę.



Drozd paszkot zazdrośnie strzeże grupy drzew, na których jest jemioła i terkocząc przegania jemiołuszki oraz inne paszkoty

Kret przepowiada zimę

Próbując poznać na podstawie tego, co dzieje się w przyrodzie, jaka będzie zima, można się nieźle pomylić. Mam wiele wątpliwości, czy zwierzęta potrafią przewidywać pogodę. Na przykład to, że myszy wchodzą do domów, nie jest zapowiedzią srogiej zimy, ale dowodem, że brakuje im pokarmu na polach lub w lesie. Widziałem też parę razy, jak ptaki nabrały się na zmianę pogody i zaczęły wędrować na swoje lęgowiska, podczas gdy nagle wróciła zima.



Jeżeli pojawiają się kopce kretów, znaczy to, że nadchodzi odwilż

Jest jednak jeden zwierzak, któremu można wierzyć i którego prognozy się sprawdzają z tygodniowym wyprzedzeniem. To kret. Otóż kiedy krety są przy powierzchni i widać ich świeże kopce, nie liczcie w nadchodzącym

czasie na śnieżną i mroźną zimę. Skąd krety wiedzą, jaka będzie pogoda? Ważnym pokarmem tych zwierzaków są dżdżownice. Krety nawet robią sobie z nich zapasy w specjalnych komorach. Nadgryzają im część systemu nerwowego i sparaliżowane, ale wciąż żywe, przechowują jako zapas na gorsze czasy. Dżdżownice za to, gdy ma się zrobić zimno, po prostu drażą swoje korytarze głębiej, tam gdzie ziemia nie przemarza, a za nimi podążają i krety. Skąd dżdżownice wiedzą, że ma się ochłodzić, nie pytajcie, bo nie wiem.



Uwielbiam łąkę przed naszym domem, za którą zaczyna się Puszcza



PODZIĘKOWANIA

Nie ma człowieka, który zna się na wszystkich zwierzakach i całej przyrodzie. Doświadczenia, które wam przekazuję, to też wiedza moich przyjaciół. Jest kilka osób, które gdy byłem małym chłopcem, a potem szalonym nastolatkiem, wykazały się wielką cierpliwością. Bogumiła Olech i Maciej Luniak, nauczyli mnie wielu ważnych rzeczy o życiu ptaków, a ciocia Ania Ostrowińska oraz Grażka i Pietrek Ostrowscy pokazali mi góry. Był też, oczywiście, wujek Lechosław Herz, który miał rację, mówiąc, że największe wyzwania dla prawdziwych tropicieli czekają tuż za rogiem. Przemek Chylarecki to mój ptasi mistrz czasów późniejszych, zresztą nie tylko ptasi, bo mało kto jak on rozumie, czym jest prawdziwa nauka. To, co zobaczyłem w Puszczy i to, że tak się nią zachwyciłem, zawdzięcam: Arkowi Szymurze, Bogumile Jędrzejewskiej, Włodzimierzowi Jędrzejewskiemu, Januszowi Korbelowi, Karolowi Zubowi, Tomaszowi Niechodzie, Tomaszowi Samojlikowi. Z kolei Małgorzacie i Zbigniewowi Krasińskim, Rafałowi Kowalczykowi, Małgorzacie Tokarskiej, Jerzemu Dackiewiczowi, Aleksandrowi Waszkiewiczowi i Tomaszowi Kamińskiemu dziękuję za to, że zawsze mogę się od nich dowiedzieć czegoś nowego o białowieskich żubrach. Tajemnice puszczańskich ptaków odkrywali przede mną Wiesław Walankiewicz, Dorota Czeszczewik, Patryk Rowiński, Tomasz Wesołowski, Ludwik Tomiałojć, Eugeniusz Pugacewicz, Tomasz Tumiel, Oliwia Karpińska oraz Romuald Mikusek – ten ostatni poradził mi jak namierzać sóweczki. Świat tutejszych owadów, a także dynamikę lasów zrozumiałem lepiej dzięki Jerzemu Gutowskiemu i Bogdanowi Jaroszewiczowi. Annie Kujawie, Mateuszowi Szymurze i Adamowi Bohdanowi dziękuję za wiedzę o grzybach i porostach, a o śluzowcach

Maciejowi Roamańskiemu. Ale przecież Puszcza to tylko część tej wielkiej przyrodniczej przygody. Piotrowi Dombrowskiemu i Cezaremu Werpachowskiemu dziękuję za opowieści o łosiach i ich ukochanej Biebrzy. Tomek Zwijacz-Kozica i Filip Zięba pokazali mi prawdziwe Tatry. Zbigniew Mirek odkrył przede mną świat tatrzańskich roślin. Bartłomiej Najbar, Kasia Kurek i przede wszystkim Staszek Bury zabrali mnie w świat bieszczadzkich gadów, a Grzesiek Leśniewski zdradził tajemnicę chomików. Serdecznie dziękuję Arkowi Sikorze, który już nie raz wyjaśniał mi tajniki wędrówek ptaków. Piotrowi Tryjanowskiemu i Marcinowi Antczakowi jestem wdzięczny za opowieści o dzierzbach. Marzenie Stańskiej za pokazanie mi pasjonującego świata pajaków. Konradowi Kacie za zdradzenie największych sekretów z życia polskich modliszek. Specjalne podziękowania dla Izzy i Jacka Englów za to, że pokazali mi dziką przyrodę na zachodzie Polski. Za to też dziękuję Arturowi Furdynie, nieustrudzonemu bojownikowi o dzikie ryby w dzikich rzekach. Bez Marcina Węśławskiego, Krzysztofa Skóry i Ivara Jussiego oraz Szymona Bzomy nadal uważałbym morze za najnudniejsze miejsce na świecie, choć jest dokładnie odwrotnie. Wiedzę o wilkach czerpałem przez wiele lat od Henryka Okarmy, Sabiny Nowak i Roberta Mysłajka. Pytaniami na temat rysi zamęczałem Krzysztofa Schmidta. Całemu zespołowi Carpathian Brown Bear Project dziękuję za przekazaną mi wiedzę o niedźwiedziach. To, co wiem o krukach, to niewątpliwie zasługa Nurii, najwspanialszej towarzyszki życia, a także naszych przyjaciół: Tomka Müllera, Saszy Rösner i Berndta Heinricha. Adamowi Tarłowskiemu jestem wdzięczny za pierwszą wycieczkę na bieliki i pierwsze przygody z padliną, która odmieniła moje życie. Andrzejowi Czechowi dziękuję za informacje na temat bobrów, którymi zawsze się chętnie ze mną dzieli. Wreszcie, gdyby nie Wojtek Moskal, wspaniały przyjaciel i człowiek, dla którego lód, śnieg i mróz to jak najbardziej naturalne środowisko życia, zapewne nie dałbym rady w Arktyce. Bardzo dziękuję Jurkowi Wójcikowi za pomysł, którym mnie zaraził, Kasi Kubickiej, Gosi Skowrońskiej, Anecie Borowiec i Robertowi Kijakowi za to, że zapanowali nad naszym zespołem i projektem oraz otoczyli go troskliwą rodzicielską opieką, a Karolinie Oponowicz za redakcję nowego wydania. Waldemarowi Gorlewskiemu dziękuję za znakomity wybór zdjęć, a Uli Pągowskiej za opracowanie graficzne. Dziękuję i wam, tropiciele, bo zakręconych na punkcie przyrody nigdy dość. Jesteśmy w najlepszym towarzystwie!

Adam Wajrak